

WIKTOR GOMULICKI

POWIESCI
STAROPOLSKIE

BURMISTRZÓWNA
(MIECZ I ŁOKIEĆ)



WARSZAWA
NAKLAD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT”
1915.

<http://rcin.org.pl>

WIKTOR GOMULICKI

BURMISTRZÓWNA

(MIECZ I ŁOKIEĆ)

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA
Z PIERWSZYCH LAT W. XVII

TOM I.

INSTITUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH

Biblioteka

ul. Nowy Świat 76

00-320 Warszawa

Tel. 28-38-62, 28-50-52 w. 42

WARSZAWA

NAKLAD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT”

1915.



Дозволено Военною Цензурою
Варшава, 27 Января 1915 г.

DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA SYNÓW, WARSZAWA

<http://rcin.org.pl>

CZĘŚĆ WSTĘPNA.



DZIECKO.

WYSTAWA

DNIECKO

I.

— Do saltów, waszmoście! Do kantu, waszmościanki! Oslowiliście wszyscy, jak kury na slotę.

— Spać nam się chce, panie Kiszka!... spać!... spać!... spać!... — zapiszczał cienkimi głosami chór niziolków, drzemiących po kątach wielkiej, owieszonej szpalerami komnaty zamkowej.

Pan Kiszka, wsparty o marmurowe obramienie kominka, wyprostował się i na całą długość a cienkość figury swej wyciągnął. Wówczas też dopiero okazało się, jak prawdziwy był konterfekt jego, skreślony przez Petrusa Quercusa, młodego warszawskiego rymopisa:

Owo jespán Franciszek,
Alias: Kiszka bez kiszek.
Jak trefne widowisko:
Bez subjektu nazwisko!

— Najdostojniejsze persony czuwają — oburzył się grubym głosem cienki rygorysta — a waszmościom i waszmościankom sen w głowie! Tylko patrzeć, jak najjaśniejszy skończy swe nabożeństwo i na krotocwilę przybędzie.

Szyje ośmiorga karzełek i karliczek wyciągnęły się w stronę wysokich, ciężkich drzwi, rzeźbionym u góry „Snopkiem“ ozdobnych. Powyżej Snopka, herbu Wazów, znajdował się krzyż wielki.

Za drzwiami odzywały się rytmicznie głucho, tępe uderzenia — zupełnie jakby kogoś po nagiem ciele rzemieniem smagano. Po każdym uderzeniu następował cichy jęk, po każdym jęku — długie, stłumione mamrotanie.

Nie można jednak było dosłyszeć, co mamrotano. Przeszkadzał najbardziej szum gwałtownego wichru, co za oknami wyl i płakał, świstał i grzmiał, wstrząsając i dzwoniąc oprawnymi w ołów szybkami.

Co pewien czas wicher przycichał. Wówczas deszcz nawalny chłostał okna. Zdawało się, że gwałtownymi rzutami z pełnych kadzi wodę wylewano.

Kto wskrósł szyb posłał wzrok ku niebu, widział, jak tam jaskrawo białe i miedziane wybuchy błyskawic rozrywają nieustannie obłoki, jak kłęby chmur pędzą cwałem, tłocząc się, przewalając, gniołąc.

Ta październikowa burza 1602 r. na długo w pamięci ludzkiej została. Do kronik ją nawet zapisano.

Z jednej strony zagadkowe jęki i pomruki, z drugiej świsty i ryczenia huraganu wytwarzały atmosferę ponurą, pełną grozy i niepokoju.

Nie poddawał się jej pan Kiszka. Z temperamentu melancholik, w takiej właśnie atmosferze poruszał się najswobodniej. Pełniąc przytem służbę—„urząd“ jak sam mawiał — przełożonego nad królewskimi nieziołkami, obowiązków swych w żadnym razie zaniedbywać nie mógł.

— Do kantu! do saltów! — powtórzył głosem grobowym. — Burza burzą, krotochwila krotochwilą. Jejmościanka Umarzłanka zaintonuje coś wesołego.

Panna Umarzłanka, córka imcipana Umarzły, zaściankowego szlachetki z pod Grodna, wystąpiła na środek.

Miała twarz ładną, strój wspaniały, Oczy jej były

duże, czarne, pełne zarazem namiętności i smutku— prawdziwe oczy litwinki — suknia powłóczysta z atlasu barwy kanarkowej, z długiem, koronkami oszytym ruchem. Byłaby pięknością okazała, gdyby nie to, że wzrost jej niewiele ponad łokieć sięgał.

Głosem pozytywki zaczęła śpiewać skoczną włoską aryjkę. Przy wykonywaniu tryłów maleńkie jej gardziołko wydymało się, jak u kanarka.

— Jejmościanki: Trzmielówna, Boćwinkówna i Szereszewska do kwartetu! — rozkazał Kiszka.

Trzy pozostałe karliczki zbliżyły się do swej prymadonny. Wszystkie były ubrane w jedwabie i koronki, i wszystkie brzydkie.

Cztery piskliwe głosy złączyły się, wykonywając naiwną sztuczkę wokalną. Śpiewaczki o twarzach nieruchomych, jakby z porcelany, w sukniach sztywnych, z tak grubej materji, że się prawie zgiąć nie dawała, wyglądały na lalki mechaniczne, z ukrytą wewnątrz muzyką.

Szum burzy pokrywał co chwila wątły chórek. Smagania niewidzialnego rzemienia zdawały się takt mu wybijać.

Nagle, pomiędzy niesforne głosy burzy, karliczek i pokutnika, ukrytego za drzwiami, wpadł jeszcze jeden głos ludzki.

Zabrzmiął najpotężniej ze wszystkich i od razu nad wszystkiemi zapanował.

Był to przeraźliwy krzyk niewieści.

Nadbiegł od strony wewnętrznych dziedzińców zamkowych. Wyrwać go musiało z piersi kobiety okropne cierpienie fizyczne i moralne—ból i rozpacz zarazem.

Karliczki zamilkły, stanęły, jak wryte—zupełnie jakby ktoś niespodzianie zatrzymał w miejscu ich grający mechanizm.

Kiszka uszu nadstawił; potem ręką machnął. Wyraz jego twarzy mówił: „To do urzędu mego nie należy“. Zwrócił się do karliczek, na miejsca odejść im kazał. Po chwili, widząc, że krzyk nie ponawia się, rzucił rozkaz:

— Teraz kolej ichmościów kawalerów. Proszę uformować galardeę. A kapreole niech idą gładko, by mię znów konfuzya przed najjaśniejszym nie spotkała.

Czterej niziołkowie wystąpili do tańca—wszyscy w czarnym hiszpańskim stroju, w pończochach jedwabnych, z krezami przy szyjach wielkimi. Jeśli wyginać się zabawnie, giestem zapraszając damy do kompanii.

Krotochwila była raczej dziwaczna, niż śmieszna. Jeden z karzelków miał twarzyczkę żółtą, zwiędłą, pomarszczoną, która wiek późny wydawała. Inni z żalobną powagą wyprężali drobne ciała, wystawiali naprzód malutkie piersi. Czems pogrzebowem to wszystko trąciło.

Na dworze Zygmunta Wazy nie było wogóle miejsca na śmiech. Nawet trefniś królewski Rialto ani sam był wesoły, ani innych rozweselał. Nic on nie miał w sobie z trefnisiów Szekspirowskich i z naszego Stańczyka. Nie przechował się w pamięci ludzkiej ani jeden jego żart trefny, ani jedna odpowiedź solą atycką zaprawiona. Wiemy o nim natomiast, że był uczony lingwista i że przy Dymitrze pełnił tajemnie obowiązki sekretarza...

Postać dwuznaczna, ponura, fałszywa — jak całe ówczesne otoczenie królewskie!

Niziołki rozpoczęli wesołą galardeę z „kapreolami“ — ale nie było im sądzone doprowadzić jej do końca.

Ten sam okropny krzyk niewieści, krew w żyłach

mrozący, przedarł się przez ciemność i burzę, do tańecznej komnaty wtargnął.

W tejże samej chwili otworzyły się z trzaskiem ciężkie dębowe drzwi, herbem Wazów i krzyżem ozdobione.

W progu ukazała się postać napół straszna, napół śmieszna.

Otulała ją po samą szyję karmazynowa, aksamitna delia, lekkim futerkiem podbita, a tak długa, że po ziemi się wlokła. Na białej twarzy, oczy nadmiernie rozszerzone, jakby szklane, miały wyraz zdziwienia, osłupiałości, wyraz martwy, zastygły, który bardziej jeszcze uwydatniały brwi, podniesione wysoko.

Rudawy, po szwedzku przystrzyżony zarost i także włosy na głowie były zlepione potem.

Ktoby zajrzał przez niedomknięte drzwi do środka komnaty, dostrzegłby: błyszczący srebrnymi ozdobami ołtarzyk, przed ołtarzykiem rozpostartą na posadzce skórę niedźwiedzią, obok skóry dyscyplinę o pięciu rzemykach, jakiej używali biczownicy.

Człowiekiem, który stamtąd wyszedł, był we własnej osobie król Zygmunt III.

II.

Do monarchy rzucili się wszyscy z pokłonami.

Ale on nie spojrział nawet na ulubieńców. Głosem przelekłym, lekko drżącym, zapytał:

— Gdzie pacholęta?...

Kiszka poskoczył do srebrnego dzwonka; mocno weń uderzył.

Wbiegło dwóch chłopców w ubraniach paziow-

skich. Jeden z włosami jasnymi nie miał więcej nad lat dwanaście i wyglądał na dziecko; drugi śniady, o czarnych, niespokojnie latających oczach, był piętnastoletni już wyrostek.

Ten drugi wysunął się naprzód, czekając pańskiego rozkazu. Ale król pominął go i zwrócił się ku chłopięciu jasnowłosemu.

Śniady zmarszczył się, oczami zamigotał. Nie w smak mu poszło pierwszeństwo, młodszemu oddane.

— Bieź, mały, żywo — rozkazał król — dowiedz się, kto tak po nocy lamentuje?

— Najjaśniejszy panie — wtrącił Kiszka — ja wiem...

— Co wiesz? — zapytał Zygmunt.

— Wiem, kto ów *clamor* czyni.

— Któż to zacz?

— Jejmościanka z fraucymeru... Dorotka, haf-tarka.

— A!... — zmarszczył się król i wpadł w zamyślenie.

— Panna Orszula — objaśniał tamten przyciszonym głosem—osadziła ją u strażnika, aby się grzech oraz impudencya za obręb zamku nie wydostały.

— Słusznie i roztropnie. Panna Orszula wie, co czyni.

Pacholęciu chciało się lecieć do owej Dorotki. Znał ją i lubił; była mu nawet powinowata.

— Bieżeć?—spytał, podnosząc na króla błękitne oczy.

Zygmunt poprawił delię — namyślał się nad odpowiedzią...

W tej chwili okropny, przeciągły huk wstrząsnął murami. Zdawało się, że połowa miasta w gruzy

runęła. Kilka szyb wypadło z brzękiem; do komnaty wdarł się wicher i część światła zagasił.

Ponura wrzawa licznych, dalekich głosów była echem strasznego wstrząśnienia.

Król śmiertelnie pobladł, na posadzkę się osunął. W piersi się bił i jęczał:

— *Miserere nobis, Domine!*...

Za przykładem pana poszedł Kiszka. Rozciągnął się, jak długi, powtarzając:

— *Miserere nobis, Domine!*..

Z kolei, poprzyklekali — nic jednak ze sztywności swej nie tracąc — karzełkowie i karliczki.

— *Miserere!... miserere!...*—piszczące jęły tu i owdzie głosy flecikowe.

Do komnaty wpadło kilku starszych pokojowców, wołając rozpaczliwie:

— Biada!... biada!... Święty Jan się wali!... Wieża w gruzach!... Sklepienie runęło!... Groby rozwarły!...

Oddalona z początku wrzawa zbliżyła się teraz pod same mury zamku, pod same okna, z których się szkło sypało, pod sam próg komnaty, gdzie król jęczał strachem odrętwiony. Niebawem, zappełniła się komnata pstrym tłumem, wśród którego przeważały czarne sutanny jezuitów.

III.

W roku 1602 przebudowa Zamku warszawskiego była zaledwie rozpoczęta.

Zygmunt Waza, który od kilku lat dopiero uczynił Zamek stałą siedzibą królów polskich, nie zdążył nawet jeszcze wybrać ostatecznego planu przyszłej budowy. Uczynić to miał później nieco, biorąc za wzór

zamek Dröttingholm, na wyspie Lafon, przez matkę jego wzniesiony.

Ówczesne pomieszczenie dworu królewskiego było tymczasowe i pod względem wygody wiele pozostawiało do życzenia. Mieszkało w oficynie murowanej czyli „kamienicy“, przystawionej byle jak do dawnego, modrzewiowego „dworca“. Szczęście jeszcze, że Zygmunt August oraz jego matka i siostra poczynili tam już wcześniej pewne porządki i nieco monarchszego majestatu tchnęli w prostą, niewymyślną siedzibę książąt mazowieckich.

Zamek leżał w obrębie murów, które odgradzały go od Przedmieścia Krakowskiego. Punktem, najbardziej w tym kierunku wysuniętym, była „Wieża Złamana“, stojąca w pobliżu miejsca, na którym dziś wznosi się kolumna Zygmunta.

W tym punkcie mury schodziły się pod kątem ostrym. Dalej, ku zachodowi, biegły przez dzisiejsze uliczki: Ślepą i Rycerską, równolegle do Podwała. Ku wschodowi docierały linią ukośną do samej Wisły.

Pamiętać jednak trzeba, że w początkach wieku XVII-go łożysko Wisły znajdowało się gdzieindziej, niż dziś. Brzeg rzeki przypadał wówczas tam, gdzie obecnie taras zamkowy. Wschodnia strona Zamku kąpała się wówczas dosłownie w falach wiślanych.

Wspomniana przed chwilą ukośna linia murów przy zetknięciu z Wisłą kończyła się potężną „Basztą Narożną“. Wziasze przyborów, gdy burza rozkołysała fale, one wspinały się na ten wielki ostrosłup z ciemno-czerwonej cegły, jak psy gończe na grubego zwierzka.

I niejednokrotnie, przy silniejszym natarciu rzeki, strumień mętnej wody zalewał dolne strzelnice, bryzgi białej piany uderzały w maleńkie, błonami obciążone szybki strażnikowego mieszkania.

Baszta Narożna była przesiąknięta wilgocią, pełna pleśni, zbutwiałości, zgnilizny. Z wierzchu obrastały ją mchy, wewnątrz grzyby. Szczury gnieździły się w niej stadami.

Był to może najbardziej opustoszały i zaniedbany kąt Starej Warszawy. Zresztą od tej ostatniej odgradzały go całkowicie zabudowania zamkowe. I jakkolwiek baszta nie łączyła się bezpośrednio z Zamkiem — przysuniętym wówczas bardziej do ulicy Św. Jana — magistrat poczytywał ją chętnie za własność zamkową. Uwalniało go to od czuwania nad jej całością i porządkiem.

W Baszcie Narożnej żaden cech miejski nie miał swego składu broni — jak to było we wszystkich innych basztach i wieżach. Nie zaglądała też tam prawie nigdy straż miejska. Mieszkający w baszcie strażnik należał do służby zamkowej.

Nieopodal stamtąd znajdował się przejazd z Zamku do Wisły. Leżał jednak za murami miejskimi, a więc jakby w innym już świecie. Dość wązka, spadzista uliczka, na tyłach klasztoru Bernardynek, biegła kręto pomiędzy ogrodami, oddalając się jak najbardziej, jakby z niechęcią wyraźną, od Baszty Narożnej.

Przejazd na Przedmieście Krakowskie, będący głównym łącznikiem Zamku ze światem zewnętrznym, znajdował się w większym jeszcze oddaleniu. Wyjeżdżano za mury, drogą, która biegła pomiędzy domami, należącymi do klasztoru i do jurydyki Pannien Bernardynek, a następnie obok klasztoru Bernardynów pod górę się wspinała.

Pod samym murem rozciągały się grunta, niegdyś książąt mazowieckich, później rozdarowane mieszczanom, wreszcie w znacznej części odkupione od mieszczan przez Annę Jagiellonkę. Uprawiano na

nich warzywa, sadzono kartofle, hodowano w małej ilości drzewa owocowe.

Ale nigdy schylonemu nad zagonem lub zbierającemu owoce mieszczaninowi-rolnikowi nie przyszło na myśl obracać oczu na Basztę Narożną i badać, co się w niej dzieje. Patrzano na nią, jak na rzecz, która jedynie do zapełnienia miejsca służy, to znaczy: nie widząc jej wcale.

Wszystko zresztą składało się, aby to miejsce straconą czatą uczynić. Ani na posiedzeniach w ratuszu, ani w aktach, ani nawet w potocznych rozmowach mieszczan nie wymieniano go nigdy z nazwiska.

Jedynie Zamek zajmował się niem niekiedy.

Z woli panny Urszuli Mejerinn i stosownie do szczegółowych wskazówek Andrzeja Boboli, podówczas sekretarza królewskiego, wydalona z dworu Dorotka, hafciarka, osadzona została — w Baszcie Narożnej.

IV.

Krzyś Dąbek, jasnowłosy pazik królewski, z wielką trudnością dostał się do Baszty.

Dziedzińce były zavalone stosami kamieni, cegieł i drzewa budulcowego. Wszystko to trzeba było wymijać po omacku. Nie skąpiono światła czołu zamkowemu — tyły tonęły w ciemnościach.

Prócz ciemności, panowała tam teraz pustka zupełna, bo nawet kulawy strażnik i jego żona wybiegli za innymi za bramę.

Krzyś śpieszył z bijącym sercem, pełen trwożnej ciekawości i niepokoju. Ale choćby miejsce było mu

obecne, nie zbłądziłby. Wskazywał mu drogę powtarzający się co chwil parę krzyk bolesny.

Za każdym nowym wybuchem, ten krzyk brzmiał słabiej, przechodził w głuche wołanie — aż wreszcie stał się przytłumionym jękiem.

Kręte, spadziste schody wiodły do mieszkania strażnika. Składały je dwie izby. Jedną oddano Dorocie.

Tylko chłopięcej giętkości ciała zawdzięczał Krzyś, że dostał się tam bez złamania nogi, bez nadkręcenia karku.

Izbę, o czerwonych, ceglanych ścianach, oświetlał słabo skwierczący w kącie kaganek. Chodziły po niej światła i mroki; chodził również wiatr, miotając wątłym płomykiem.

Dorotki nigdzie widać nie było.

Zmieszany chłopiec już chciał się cofnąć, gdy z kąta, w zupełnym cieniu pogrążonego, zawołano go po imieniu.

Głos osoby wołającej brzmiał dziwnie, Krzysiówi wydał się obcym.

— Czy to wy mnie wołacie, ciotuniu? — nieśmiało spytał.

Nazywał Dorotkę „ciotunią“, bo była powinowatą jego matki i miała lat ośmnaście — wiek budzący lęklivy szacunek w chłopcach dwunastoletnich.

— Przystąp, dobre dziecko — powtórzył ten sam głos w ciemności.

Zaraz też ozwał się jęk. Ten jęk był bardzo bolesny, ale cichy; brzmiał, jak echo burzy, która już minęła.

Krzyś przystąpił na palcach. W mroku wykreślały się niejasno zarysy łóżka, oraz spoczywającej na niem białej postaci.

Kaganek buchnął żywszym blaskiem, oświetlając łóżko. Chłopiec zdrętwiał. Biała postać nie była Dorotką.

Twarz barwy białego wosku; oczy ciemnymi plamami okolone i dwom dołom podobne; nos nad miarę wystający i zaostzony; usta posiniałe, prawie czarne... Czyż to wszystko mogło należeć do Dorotki, która była jak krew z mlekiem, jak róże z liliami, i od której, przed kilkoma miesiącami jeszcze, bił blask na całą dworską kobieciarnię?

— Dobrze dziecko! — powtórzyła dziwna postać. — Bóg cię nagrodzi, żeś pamiętał o tej, którą wszyscy odstąpili..

To był głos Dorotki. Krzyś wątpić już nie mógł, że ma przed sobą swą młodą ciotkę.

— Cóż to wam, ciotuniu? — spytał ze współczuciem, i pochylając się, dotknął ustami wyciągniętej na prześcieradle, bielszej od niego, wychudłej, bezwładnej ręki.

— Teraz już nic — odpowiedziała. — Teraz jużem szczęśliwa. Niczego nie pragnę i o nic się nie frasuję. Nawet swym wrogom, nawet naśmiewcom, nawet katom, nawet... jemu — przebaczyłam. Bóg mię niebogę uweselił. Takam szczęśliwa — o! takam szczęśliwa!...

W tej chwili dziwny głos ozwał się w izbie. Było to podobne razem: do płaczu, do pisku i do kociego miauczenia.

Krzyś drgnął i odwrócił się, szukając oczyma. Dojrzał też zaraz, że głos wychodzi z wielkiego węzła, z białych szmat uwitego i leżącego na dwóch, przystawionych do siebie stołkach. Węzeł podobny był do gniazda.

Twarz chorej ożywiła się. Wszedł na nią wyraz błogości.

Dorotka zwróciła oczy na chłopca, uśmiechając się. Potem wyrzekła głosem niewymownie czułym, a zarazem uroczystym i tajemniczym:

— Krzysiu... to twoja siostrzyczka...

A zanim chłopiec ochłonął ze zdziwienia, dodała jeszcze:

— Miłuj ją.

Chłopiec nie wiedział, co odpowiedzieć. Przez długą chwilę stał w miejscu, wpatrując się w przyciągające oczy Dorotki. Szukał w nich natchnienia.

I w istocie, ono mu stamtąd przyszło.

Nic nie mówiąc, zbliżył się na palcach do kwilącego węzła, pochylił się — pocałunek na nim złożył.

Dorotka nie przestawała uśmiechać się. Uśmiech na bezkrwistej, zbiedzonej twarzy wyglądał, jak kwiat na trumnie.

— Nie sromaj się, chłopcze — rzekła głosem, który w coraz większe, czulsze tony przechodził.—Ruszki uchyl i zobacz one śliczności...

Krzyś podniósł zasłonkę, miękką jak pajęczyna i misternymi haftami pokrytą. Ujrzał pod nią twarzyczkę małą, jak piąstka, czerwoną, pociesznie krzywiącą się.

— Prawda jaka cudna? — spytała chora.

— Cudna — szepnęło zmieszane chłopię.

Chłodny wiatr owionął maleństwo, które krzyczeć zaczęło.

Dorotka poruszyła się niespokojnie. Po wyteżonym spojrzeniu, po palcach chwytających kurczowo za pościel, znać było wysiłek w celu podźwignięcia się z łóżka.

Wysiłek był daremny. Ciało, bólem zmożone, leżało bezwładnie, jak kamień.

— Cyt, cyt, córuś moja!... — szepnęła poruszając ustami, jakby całować chciała. — Spij, dzieciątko!

Śpij, skarbie mój! słoneczko moje!... Strażnikowej tylko patrzeć. Przyjdzie, to mi cię tu do łóżka poda.

W głosie matki, w jej spojrzeniu, uśmiechu tkwi siła magnetyczna. Dziecię przestało płakać, nasłuchując. Potem zupełnie ucichło i zasnęło.

Uśmiech wrócił na usta Dorotki. Przymknęła oczy — jakby do siebie tylko szepnęła:

— Takam teraz szczęśliwa... Taka we mnie cichość, jak w kościele. I lekkam taka! Zda mi się, że mogłabym fruwać.

Zamilkła, uśmiechając się do swych myśli.

Krzyś rozglądał się ze strachem po tej izbie ponurej, co miała ściany, jakby krwią skrzeplą powleczone, i której skośne okienka zdawały się zezem na świat patrzeć. Wysokiego pułapu prawie wcale widać nie było. Zwieszały się stamtąd sploty grubych powrozów, jak z szubienicy.

Z jednego kąta wyzierał komin z dogasającym ogniskiem; z innego kadź spora, na stołku ustawiona, pełna wody ciepłej, jeszcze parującej.

Na ceglanej, wyboistej podłodze połyskiwały małe kałuże.

Co chwila, to mysz, to szczur przebiegały przez izbę. Pod kominem słychać było nieustanne szelesty i gryzienie.

Powietrze napełniał zaduch zgnilizny.

Chora ocknęła się z zadumy.

— Jak tu cudnie! — szepnęła, wodząc dokoła oczyma. — Cudniej, niż tam, u panny Orszuli. Taki przytulny, miłościwy kąciczek!

Nagle, przypomniawszy coś sobie, rzekła głośniej:

— Słysz, Krzysiu! Matka u mnie była.

— W imię Ojca i Syna... — przeżegnał się chłopiec. — A kiedyż?

— Na momencik jeden przed tobą.

— Co też, ciotuniu, gadacie! Toć już dwa roki, jak jejmość Rączkową u Panny Maryi pogrzebli.

— A przecie była.

— Był pewnikiem kto inny, strażnikowa może...

— Co zaś! Rodzicielki-bym nie poznała? Patrzyłam na matkę, jak na ciebie patrzę. Przy łóżku stała i mówi: „Ty się, Dosiu, o robaczka swego nie frasuj. Dobrzy ludzie wykolebią go, wyniańczą. Miej to sobie za pewne, że dzieciątko twoje nie zginie“.

Zamyśliła się; potem rzekła tonem głębokiego przeświadczenia:

— I bez matki wiedziałam, że zginąć nie może. A zgadniesz, Krzysiu, czemu?

— Nie zgadnę, ciotuniu.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

— Nie zginie dzieciątko moje, bo... znaczne.

Chłopiec oczy otworzył szeroko.

— Jakto, ciotuniu? — lękliwie spytał.

— Ano, sam zobacz. Odwiń giezłeczko, ramiączku się przyjrzyj. Tylko, złociuchny mój, słonka mi mego nie przebudź.

Krzyś spełnił, co mu zlecono. Wysunął z kąta kaganek, obnażył ramię śpiącego niemowlęcia, pochylił się nad niem z uwagą.

— Cztery palniki... — wyrzekł po chwili.

— Tak, od czterech palców!... Piąty palec śladu nie zostawił, bo się oparł na letniku jedwabnym. Moje ślady trwały od piątku do niedzieli; córuś przez cały żywot nosić je będzie.

— Jakże to? — spytał Krzyś, nie rozumiejąc.

— Oto tak, dziecko moje. Na kominku gorzał ogień wielki. Stałam blisko. On za obnażone ramię chwycił mię z całej mocy. Nie wiem, czy odciągnąć mię chciał od ognia, czy w ogień wtrącić? Ale palce jego, prawe kleszcze! ścisnęły mi ciało i piętna zo-

stawiły, jak po rozpalonem żelazie. Strażnikowa mówiła, że zawždy to przechodzi na dzieciątko.

Dopiero teraz Krzyś odważył się zapytać:

— Więc to wasze?

Dorotka nic nie odrzekła. Może zapytania nie dosłyszała, może nie była w chęci odpowiadać. Zresztą, zajmowały ją w tej chwili inne myśli.

Z wielkim trudem uniosła cokolwiek prawą rękę, dłoń chłopca ujęła.

— Krzysiu! — dziwnie uroczystym głosem wyrzekła — na pamięć mojej i twojej matki, zaklinam się prze Bóg żywy; miłuj maleństwo ono.

Chłopcu serce wezbrało rzewnością.

— Będę je miłował, ciotuniu — odpowiedział z mocą.

— Krzywdzić go nie daj!

— Nie dam, ciotuniu.

— Przed nieprzyjacioły obroń!

— Obronię, ciotuniu.

— Z paszczęki wilczej wyrwij je; z pazurów niedźwiedzich oswobódź!

— Wyrwę i oswobodzę, ciotuniu.

Zatrzymała się, jakby nagle słowa uwieźły jej w gardle.

— Jeśli będziesz mocen—rzekła po chwili głosem cichszym — hańbę z niego zetrzej!

— Zetrę, ciotuniu.

Zamilkła, oczy wzniosła do nieba.

Ręka jej, bezwładnie opadająca, pociągała Krzysia ku ziemi. Chłopiec, jakby ulegając nakazowi, pochylił się, kolana zgiął, przy łożu przyklęknął.

— Tak ci, Panie Boże, dopomóż—szepnęła chora.

— Tak mi, Panie Boże, dopomóż—szepnął Krzyś.

I rozplakał się.

Rozmowa wyczerpała słabe siły Dorotki. Leżała

teraz, nie poruszając się, nie oddychając prawie. Ręka jej wszakże nie puszczała dłoni chłopca.

Krzyś, nie śmiał się podnieść, ani przemówić. Klęczał w milczeniu; łzy gorące spływały mu po twarzy.

Burza przycichła już, wiatr zaniechał poświstów szatańskich. O wystający bok baszty tłukły się z żałością jękiem fale wiślane.

Krzyś poczuł, że ręka Dorotki z lodowatej poczyzna stawać się gorącą. Nieruchome dotąd palce poczęły drgać, kurczyć się.

I nagle z piersi jej wybiegł jęk przeciągły, stokroć żałośniejszy, niż fal rzecznych lamenty.

Chora, bezwładnie dotąd leżąca, jęła przewracać się niespokojnie na pościeli. Oczy jej otwierały się i zamykały; oddech stał się prędko, nierówny.

— Boli... boli!... — jęknęła. — Żar bije zewsząd, jak od stosu gorejącego. Płomienie pełzają, liżą, syczą. Ha! ugryzł mię jeden w samo łono! Wyrwijcie! wyrwijcie żądło jadowite!...

Gwałtownie wyszarpnęła rękę swą z dłoni Krzysia.

— Puść, szatanie! — przeraźliwie krzyknęła. — Nie masz mocy nademną. Księżo Pietrze, bywaj z kropidłem! Ty odstęp, czarowniku! Nie twojam już! I ona nie twoja! Nie sięgaj po nią, ty! i ty! i ty!... Puszczajcie! puszczajcie!

Krzyk obudził dziecko, które głośno płakać zaczęło.

Płacz dziecka wzmógł gorączkę i szaleństwo chorej.

Dręczyły ją straszne widzenia. Zrywała się z pościeli, chciała uciekać; to znów wiła się jęcząc, w boleściach okropnych.

Kaganek dopalał się, skwiercząc coraz głośniej.

Coraz większe płaty cieniów przesuwały się po ścianach i podłodze.

W izbie basztowej zapanowała atmosfera pełna grozy, dławiąca oddech, uciskająca serce.

Krzyś, przerażony, łzami zalany, biegał od matki do dziecka, starając się uspakajać oboje.

Nie wiodło mu się z tem, przyzywać więc zaczął na cały głos strażnika i jego żonę. Ale ich w domu nie było, wybiegli z całą służbą zamkową na ulicę. Wycie psa i loskot fal rzecznych były odpowiedzią na wołanie chłopca.

Kaganek zagasł; ciemność izbę zalała.

Krzyś rzucił się do drzwi i wybiegł pędem po lekarza, po jakąkolwiek pomoc dla chorej.

V.

Nie brakło w Zamku lekarzy; nie brakło też ludzi wszelkiego zawodu, którzy tytuł „doktora“ nosili.

Leczeniem zajmowali się nadto astrologowie. W czasie, gdy choroba była poczytywana za nieszczyście, ze zbiegu gwiazd lub z czarów i opętania wynikłe, do walki z nią wystarczało: patrzeć przez lunetę na niebo.

Występowała już jednak reakcja. Młodzież polska wyjeżdżała do wszechnic zagranicznych, skąd przywoziła świeże poglądy na sztukę lekarską.

Postępowcy wzruszali ramionami na hieroglify astrologów. Sami natomiast leczyli... proszkami z drogich kamieni i mumią z wisielca.

Prawie wszystkie, w Zamku zamieszkałe, powagi lekarskie obiegi Krzyś pocziwy. Z kwitkiem go wszędzie odprawiano. Jedni, przy dzbanach siedzą-

cy, sami byli chorzy; innych w domu nie było, co twierdzili ośobistem zapewnieniem; inni jeszcze, o powagę swą dbali, ani należeli, ani chcieli należeć do tych, co leczą białogłowskie niemoce.

Tkwiło w tem zresztą coś innego jeszcze. Istniała wśród załogi zamkowej tajemna zмова przeciw dziewczynie, dotkniętej klątwą ochmistrzyni i pierwszego sekretarza królewskiego.

Chłopak, dużo czasu zmarnowawszy, postanowił wreszcie wybiedz na miasto. Przypomniał sobie doktora Balcera, mieszkającego w Rynku. Dobry to był staruszek, który matkę jego dozierał w ostatniej słabości.

Z wydostaniem się z Zamku nie było kłopotu. Bramy stały otworem. Wszyscy, nie wyłączając straży niemieckiej, opuścili siedzibę królewską i obowiązki swe, i pobiegli na miejsce katastrofy.

Pozostali tylko: chorzy, głusi i — filozofowie.

Z jednym z tych ostatnich spotkał się Krzyś na samem wychodnem.

Mijał długą sień, dążąc do schodów. Nagle, w odległości kilkunastu kroków przed sobą, ujrzał czarną, wysoką postać. Postać wyglądała na księdza i zdawała się stać na czatach. Można było nawet przypuszczać, że czeka umyślnie na biegnącego chłopca.

Mimo słabego światła lampek, Krzyś poznał czekającego. Był nim *signor* Antonio Novi, zwany popolicie „Czarnym Doktorem“.

Włoch ten nie był księdzem, choć odzieżą, miną i całym obejściem się przypominał uderzająco Jezuitę. Twarz miał chudą, barwy oliwkowej, czarnym zarostem okoloną; nos i brodę silnie wystające; brwi szerokie, nad nosem złączone.

Czarny Doktor, przez Mikołaja Wolskiego sprowadzony, pomagał królowi w robotach złotniczych,

a podobno i w poszukiwaniu filozoficznego kamienia. Tu właśnie miał swą gorzelnię, z której bardzo rzadko na świat się wychylał.

Krzysiovi zagroził Włoch drogę.

— Co się tu kręcisz, utrapiony malcze? — spytał gniewnie w swym rodowitym języku.

— Lekarza szukam—odrzekł pazik, któremu, jak wszystkim na dworze, włoski język obcym nie był.

— O tej porze dzieci śpią.

— Krewna moja bardzo chora. Król pozwolił. Puść waszmość. Pilno mi.

— Mów najpierw, co robisz w tej sieni? Przez kogoś do mnie przysłany?

— Nikt nie przysyłał. Żadnej sprawy z waszmością nie mam.

— Kłamiesz! — krzyknął tamten z zaiskrzonymi oczyma. — Ale strzeż się. Więcej mogę, niż się tobie i innym wydaje. Do domu wracaj i kładź się spać. Masz zaś być, jak kamień i jak ryba. Inaczej...

Nie dokończył, lecz pochyliwszy się, przysunął do samych oczów chłopca swą twarz złowrogą.

Przestrach uczynił Krzysia śmiałym. Skoczył w bok, następnie pod samem ramieniem Włocha przelizgnął się na schody.

W trzech skokach był już na dole.

W bramie oczekiwała go jeszcze jedna zawada.

W zagłębieniu muru czatował tam śniady wyrostek, towarzysz w służbie królewskiej. „Wichrem“ albo „Wichurą“ przezywano go; właściwe jego nazwisko było: Konrad Zboiński.

Namiętny to był chłopiec, porywczy i zawistny. Chciał być wszędzie pierwszy; wyróżnienie towarzysza czyniło mu go zaraz nienawistnym.

Do Dąbka, oddawna żywił urazę; dzisiejszy fa-

wor króla, choć drobny i uwagi niegodny, wydał mu się zniewagą...

Gdy Krzyś nadbiegał, Wichura wypadł nagle z zasadki i nogę mu podstawił.

Chłopiec upadł; w upadku, czoło o kamień rozkrwawił.

Porwał się zaraz; z zaciśniętymi pięściami przyskoczył do wroga.

— Czego chcesz? — zakrzyknął, wyprężając drobną postać.

Tamten stał, gotowy już do walki, pięście przed siebie wysunawszy.

W odpowiedzi zaśmiał się szyderczo.

— Dostałeś, mleczaku, coś dla innych gotowił. Ot co!

— Takim dobry, jak i ty! Poniewierać się nie dam!

— Nie krzycz, bo nosa utrę.

— Spróbuj! — zawołał drżący z gniewu Krzyś, podsuwając mu się pod same oczy.

Wyrostek nie kwapił się jakoś z zaczynaniem.

Mierzyli się przez kilka chwil oczami, jak dwa rozjadłe koguty.

Spojrzenie Krzysia stawało się z każdą chwilą ognistsze, jadowitsze. Musiał mu tamten nieraz już zaleźć za skórę.

Chwila jeszcze, a podrażnione chłopię rzuciłoby się na przeciwnika. Ale wydało mu się nagle, że słyszy w oddali jęk Dorotki...

Oprzytomniał.

Pięście jego rozprostowały się; oczy w dół zwróciły. Podniósł leżący na ziemi berecik, otarł go z kurzu, na głowie umieścił. Potem rzekł, nie patrząc na przeciwnika:

— Obaczmy się jeszcze. Teraz gdzieindziej mi spieszno.

I oddalił się szybkim krokiem.

Wichura w ślad za nim krzyknął:

— Łyk! Skurczypałka! *Plebeius!*

Krzysiovi łzy stanęły w oczach, — nie zawrócił jednak.

VI.

Niełatwo było chłopczynie dostać się na Rynek.

Cała Grodzka i cała Świętojańska były zapchane ludźmi. Ciżba uwięzła w ciasnej gardzieli uliczki, wiodącej do kościoła, i stała nieruchomo. Nikt z tych, co dotarli do samej świątyni, nie mógł wydostać się na zewnątrz; wieści idące stamtąd podawały sobie z ust, przeistaczane, wyolbrzymiane.

Nagle, w głębi uliczki ozwał się śpiew chóralny.

Zaintonowano pieśń nabożną.

W tłumie, stojącym blisko Zamku, odpowiedziały tej pieśni głosy zdziwienia.

Właśnież była pora do śpiewów! Burza pozbawiła miasto najpiękniejszej ozdoby; straciła mu jakby szyszak z głowy, jakby głowę z ramion. Raczej płakać należało. Nawet na modlitwę miejsca nie było, bo nie odżegnałaby spełnionego już nieszczęścia.

A nieszczęście było wielkie. Huragan zrujnował najstarszą i najpiękniejszą świątynię warszawską: kościół św. Jana Chrzciciela, od dwóch wieków do znaczenia Kolegiaty podniesiony.

W ciżbie otaczającej Krzysia nikt nie znał dokładnie rozmiarów i szczegółów katastrofy. Powiadano, że świątynia jest już tylko kupą cegieł i kamieni, że

razem z nią runęły stojące na tyłach domki kanoników, że gruzy zasypały kilkudziesięciu ludzi, że wszystkie sąsiednie kamienice chwieją się i lada chwila upadną...

Pałnik jeden—bywalec wielki, w kapeluszu osztytm muszelkami, stwierdzającym, że grób Chrystusa odwiedzał—upewniał gromadkę mieszczek, że ziemia otworzyła się i kościół „pożarła”,

Jedno było pewne, bo z najdalszych punktów wzrokiem stwierdzić się dawało, że wieży kościelnej już nie ma. Podziąła się gdzieś, zniknęła, jak senne widzenie, rozwiała się.

Była zaś ta weża jednym z najcenniejszych klejnotów Starej Warszawy. Wieńczyła ją i koronowała. Była jej masztem, jej strażnicą, jej drzewcem sztandarowem. Gdy wszystko inne przypadło do ziemi, ona jedna wybiegła w niebo linią strzelistą, i modliła się za spokój starego mazowieckiego grodu.

Niepowszednia była myśl, co tę wieżę pod same obłoki wyprowadziła, krzyżem złocistym chmury rozdierać jej kazała. Gdyby innych świadectw brakło, wieża Świętojańska wystarczyłaby do stwierdzenia, że wielkie serce biło w piersiach jej twórczyni: ostatniej księżnej mazowieckiej.

Górne linie — górne myśli. Kto miał odwagę osadzić na stropie świątyni wieżę, t r z y k r o t n i e wysokość jej murów przerastającą, temu nie mogło zbraknąć męstwa, aby stawiać czoło potężnemu wówczas królowi polskiemu i bronić udzielnosci Mazowsza.

Jedno warte drugiego; jedno i drugie ze wspólnego źródła wytrysło.

Trzeba oglądać tę wieżę na starych widokach Warszawy: w *Theatrum Urbium* Brauna, albo na nagłówku „Konstytucyi Sejmu Walnego Warszawskie-

go“ z r. 1589. Na ostatniej rycinie zmieścić się nie mogła, więc rysownik, — uciął ją w połowie wysokości!

Nic równie lotnego, poetycznego, niebosiężnego nie posiadała już potem Warszawa.

Wieża Anny Mazowieckiej była drogowskazem dla wszystkich, co ze wschodu i zachodu, z południa i północy ku Warszawie dążyli. Z niezmiernej odległości widać było jej szczyt, z przedporannych i przedwieczornych mgieł wyrastający. Jesienne, nizko czołgające się, chmury zahaczały o nią, jak kra o wbite w rzekę pale.

Pozdrowiała ta wieża przychodniów znakiem Chrystusowym; mówiła im, że wstępują do miasta chrześcijańskiego, w którym gość za błogosławieństwo Boże jest poczytywany.

Przywykły do tej strzały kamiennej oczy obywateli warszawskich i wszystkich mazurów w kilkomiłowym promieniu. Podróżny, w braku słupów wiorstowych, nią kierował się w drodze; na nią podnosił oczy strudzony oracz, gdy dla odpoczynku za pługiem przystanął; na jej widok, dziad włóczęgę się po żebraniu głowę odkrywał i modlił się. Cóż mówić o flisach, którzy nadpływając od Krakowa i ostaka sił przy wiosłach dobywając, wyteżonym wzrokiem upatrywali na widnokręgu złotego jej krzyża— odpoczynku i uciechy zwiastuna!

Teraz zabraknąć miało wszystkim tego drogowskazu, tej gwiazdy przewodniej, tego krzyża. Cóż przeto znaczyły śpiewy, i to śpiewy dziękczynne?

Kilku szlachty przechodziło z miejsca na miejsce, upatrując dogodnego do spostrzeżeń punktu. Hajdukowie nieśli przed nimi pochodnie, których płomień zabarwiał czerwono mury i twarze. Gdzie zbli-

żyli się, głośno gadając, tam zaraz mieszczańkowie rozstępowali się, cichli.

Jedynym śladem burzy były w tej chwili rzadkie, na strzępy podarte chmury, które biegły po niebie z pośpiechem, niby ciury wojenne, podążające za rozbitą, cofającą się w rozsypce armią. Po zaułkach szamotał się jeszcze wicher, otrząsając z drzew liście, z dachów dachówki. Wielkie, blaszane, na każdej prawie kamienicy osadzone gargulce, mające kształt smoków z otwartymi szeroko paszczami, wyrzucały na bruk i wprost na głowy przechodniów strumienie wody deszczowej.

Były to już ostatki ulewy.

Chwilami pokazywał się księżyc. Wszystko wówczas poczynało błyszczeć, drgać, migotać, nabierając tajemniczego uroku widzeń sennych.

Śpiew nie ustawał.

Nagle w stronie kolegiaty wszczął się ruch. Stało się tam coś, o czym stojący przy Zamku nie wiedzieli, ale co ich napełniło instynktownie wzruszeniem.

Najdalsze zastępy tłumu odczuły ruch, który był odśrodkowy i rozszerzał się nakształt okręgów rozbitej fali. Jednocześnie z prądem, przebiegać jęło wśród tłumu słowo krótkie, niby hasło, które podawano sobie z ust do ust przez całą długość dwóch ulic.

To słowo, jak lawina, im dalej biegło, tem stawało się potężniejsze.

Najpierw był to szept, potem szmer, następnie zwykła rozmowa kilku ludzi, później głośne rozprawianie całej gromady, wreszcie — powszechny, donośny krzyk:

— Cud!... Cud!...

A każdy, kto to słowo wykrzyknął, padał zaraz

za innymi na kolana, głos swój do chóru śpiewających przyłączał.

Ukląkł i Krzyś, porwany ogólnym zapalem, który kazał mu chwilowo o świecie całym zapomnieć.

Tymczasem obok niego rozmawiano.

— To powiadacie, że mu nic? — pytał jakiś z tęym słuchem mieszczanin.

— Caluteńki — objaśniał drugi dobitnie. — Ze wszystkiego ruina i gruz, a onemu ani paluszczyka nie odłamało. *Miraculum*, jakem praw!

— Wierę, *miraculum*.

— Honor to dla naszej Fary i dla rajcy naszego, co figurę przywiózł z Norymberku.

— Skąd powiadacie?

— Z Norymberku.

— To będziemy mieli Jezusa Norymberskiego.

— Wielebni go nazowią, jak im się zda. Ich to rzecz. Azawždy Starej Warszawie gloryi to przyczyni. I Baryczków sława urosnie.

— Baryczków powiadacie? Ho, ho, Baryczkowie! Oni zawždy do pierwszego ordynku.

Ustała rozmowa; prawie zaraz i śpiew ustał.

Tłum zakolysał się w jedną i w drugą stronę. Zaczęły się krzyki głośne, nawoływania. Powszednia wrzawa zapanowała nad podniosłym, religijnym nastrojem. Znać było, że mieszczanom dość już ekstazy, że powracają radzi pod dach, pod pierzynę.

Porwał się Krzyś z kolan; ukląkała go myśl, że tam Dorotka leży bez ratunku w ciemnicy. Przecisnąwszy się przez ciżbę, dotarł do ulicy św. Marcina, postanawiając dokoła, przez mało uczęszczaną uliczkę Żydowską, dostać się na Dunaj, z Dunaju do Rynku.

Minęło pół godziny, zanim tę drogę, przeszkód pełną, odbył. Minęła cała godzina, zanim dokołała się wreszcie do mieszkania doktora Balcera.

Doktor mieszkał w kamienicy swego krewniaka na piętrze najwyższem. Szło się do niego po schodach niegodziwych, wązkich, stromych, które jednak miały poręcz z kutego żelaza, przedziwnej roboty, liściastą, kwiecistą, prawie żywą.

Takaż, wielkiego rozmiaru, latarnia była umieszczona w sieni i przytwierdzona do długiego, białego w mur, ramienia. W przeźroczu żelaznych, misternie wyrobionych liści i kwiatów płonęło światelko. Wiejący z wązkiego korytarza wiatr nieustannie światelkiem poruszał; za każdym poruszeniem tańczyły po murach potworne cienie wielkiej, jakby przedpotopowej, roślinności.

Mieszkanie doktora wskazała Krzysiewi inna latarka, ponad drzwiami mieszkania umieszczona. Był to zwykły kaganek, wydający więcej śwędu, niż światła.

Na drzwiach były porysowane czerwoną kredą koła, trójkąty, kwadraty, znaki geometryczne, czy też kabalistyczne.

Uczony mąż spał na oba uszy. Już na schodach słychać było jego chrapanie, do grzmotu podziemnego podobne. Tak sypiają tylko zupełni prostaczkowie i całkowici mędracy.

Kończącemu Krzysiewi otworzył *famulus*, figura blada, zgarbiona, z długim nosem i rudą nastroszoną czupryną.

Sługa doktorski wypytywał przybysza dokładnie o wszystko. Chciał osądzić, czy sprawa jest dość ważna, by dla niej można było filozoficzny sen mistrza przerywać.

Wypytawszy, kiwnął nosem przyzwalająco, zdjął z ponad drzwi latarkę, z latarką udał się do drugiej izby.

Przez uchylone drzwi Krzyś ujrzał rzeczy straszne, które go jednak nie przeraziły. Już je był kilkakrotnie za dnia oglądał. Pod pułapem izby doktorskiej poruszały się złowrogo: krokodyle, węże, żółwie, nietoperze. Wszystko zdawało się żywe, do rzucenia się na wchodzących gotowe.

Famulus targnął za ramię wielką postać, spoczywającą na szerokim, dębowem łożu.

— *Domine magister!* — na cały głos wykrzyknął. — Dźwignijcie się, jegomość!

Chrapanie ustało.

— Ważny *casus*. Pachole przybyło królewskie. Chrapanie ponowiło się.

— Nie zasypiajcież, dla Boga! Niewiasta leży w ciężkiej niemocy, dzieciątko przy niej ledwie żywe...

Olbrzym podniósł się z pościeli lekko, przytomnie, jakby wcale nie był spał. Szybko, w milczeniu ubrał się. Potem, schowawszy pod płaszcz narzędzie blaszane z wązkim końcem i wzięwszy do jednej ręki długą, prawie do ramion sięgającą, laskę, do drugiej butelkę kształtu dziwnego, wyszedł, popychając przed sobą Krzysia.

— Prowadź, pędraku! — rozkazał.

Upłynęło conajmniej pół godziny, zanim oba do Baszty Narożnej przybyli.

Ciemna była i głucha. Jeden tylko jej bok obrzucał księżyc martwym światłem. Wyglądała, jak wielki grobowiec.

Doktór schylić się musiał, aby wejść do środka. Zaledwie jednak tam zajął, cofnął się, widząc przed sobą mrok nieprzejrzany.

— Przodem, *puer!* — rozkazał. — Na górę dostań się; ciemności rozświeć. Ja poczekam.

Chłopiec zanurzył się w czarnym otworze. Zwol-

na, macając przed sobą, na czworakach prawie, przypelznął do strażnikowego mieszkania.

W izbie było tak samo ciemno i glucho.

— Śpią — pomyślał.

Na kominie, pod popiołem żarzyło się kilka węgla. W pobliżu leżało łuczywo.

Rozdmuchał pośpiesznie żar. Gdy tylko sucha drzazga płomieniem się zajęła, wybiegł ze światłem na schody, nie rozglądając się po izbie.

Po chwili, wtoczył się zadyszany doktor.

Krzyś skoczył do komina, aby zapalić świeże łuczywo.

— Gdzież ona niewiasta? Gdzie niemowlę? — spytał olbrzym.

Chłopiec powiódł go w stronę łóżka.

Dorotka leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, które były tak samo, jak przedtem, dwom ciemnym dołom podobne. I tak samo, jak przedtem, twarz jej była kredowo-biała, nos i broda zaostrome, usta sine, prawie czarne.

Doktor, pochyliwszy barczyste plecy, milcząc, ujął leżącą za rękę.

Po niedługiej chwili wyprostował się.

— Matce nic już nie trzeba — wyrzekł spokojnie. — Zobaczmy dzieciątko.

Ale tu czekała ich obu niespodzianka: dziecka w izbie nie było.

Stołki stały na dawnym miejscu, nic się w izbie nie zmieniło, niczego w niej nie brakło — dziecię jednak zniknęło.

Doktor Balcer pokiwał głową, pomyślał chwilę; wreszcie, nic nie mówiąc, bilet na głowę nasadził.

— Jakże to? — spytał Krzyś zdziwiony i przełękły, widząc, że doktor do drzwi się zwraca. — Chce waszmość odejść?

- Nic tu po nas, mój miły.
- Zaczekajmy. Ciotunia obudzi się...
- Tak... na Sądzie ostatecznym!

Wziął z drżącej ręki Krzysia luczywo i wyszedł, uprowadzając ze sobą łkającego głośno chłopczykę.

— — —

CZĘŚĆ PIERWSZA.

CZTERY C.

CEŚĆ PIERWSZA

CZĘŚĆ I

I.

W Starej Warszawie panowało wielkie ożywienie. Już od kilku dni otrąbiono i obwołano rządy marszałkowskie, co stanowiło zapowiedź blizkiego sejmu.

Dla mieszczanina warszawskiego sejm był piekłem i niebem, postrachem i nadzieją. Nigdy on nie czuł się tak upośledzonym, jak podczas tego hucznego zjazdu szlachty; nigdy jednak interesa jego świetniejszym, niż wówczas, nie szły trybem.

Burzliwa i groźna fala, zatapiająca na kilka tygodni stolicę, pozostawiała przy odpływie gruby osad złota. Osad opłacał z lichwą szkody, przez przybór sprawione.

Po kramach i pracowniach rzemieślniczych czyniono wielkie przygotowania. Dzwon ratuszowy prawie codziennie przyzywał mieszczan na narady. Węgrzy marszałkowscy nieustannie przebiegali miasto, nawołując do porządku i strasząc karami.

Na sejm, jakby na święto uroczyste, Warszawa oczyszczała się ze wszelkiego rodzaju śmieci. Nie ograniczano się jednak na zamiataniu i zmywaniu bruków, malowaniu murów, porządkowaniu bud straganowych i wywożeniu nieczystości. Prócz pachółków miejskich, dużo mieli do roboty: „mistrz“ i jego pomocnicy.

Nie było dnia, aby w Rynku, u pręgierza, nie sieczono kogoś różgami. Było to, jakby błogosławieństwo, udzielane na drogę wszystkim, których Artykuły Marszałkowskie zmuszały do opuszczenia miasta na czas sejmu. Objęci byli tym wyrokiem, a więc do śmieci miejskich zaliczeni: „hułtaje, tułacze, biegunowie, kostery“. Wyświecano też z miasta białogłowy nierządne, które kat w dodatku „na uszach naznaczał“.

Sejm 1607 roku miał być wyjątkowo ważny. Spodziewano się odeń uciszenia wielu burz, zagrażających Rzeczypospolitej. Odżegnać miał zwłaszcza rokosz, który nakształt czarnej, pioruny niosącej chmury, nad krajem ciążył.

Jakie punkty przedstawi sejmowi Zebrzydowski? Co na nie odpowiedzą senatorowie, oraz Izba poselska? Jak wobec niebezpieczeństwa zachowa się król?

Cała Polska zadawała sobie te pytania; nie dziw, że wywoływały gorące dysputy i pomiędzy kupcami staromiejskimi.

Przygrzało właśnie słońce kwietniowe i panowie Szlichtyng oraz Kawka, właściciele dwóch sąsiadujących ze sobą kramów przy Ratuszu, w drzwiach otwartych stanawszy, roztrząsali z zapalem sprawy publiczne,

Nagle jeden z nich, rzuciwszy wzrokiem w stronę ulicy św. Jana, zamilkł. Zauważyć musiał coś ciekawego, bo oczy od słońca ręką zasłonił, szyję wyciągnął i całą postać w kierunku owym pochylił.

— Cóż tam widzicie, panie Kawka? — spytał sąsiad, którego stare, zażawione oczy niewiele już rozoznawały.

Kawka odpowiadać nie potrzebował. Wyręczył go w tem tłum przekupek i przekupniów, który w tej właśnie chwili wykrzykiwać jął na różne głosy:

— Marszałek!... Marszałek!... Marszałek!...

— Któryż? — zapytał stary, oczami mrugając.—
Wielki, czy nadworny?

Kawka bardziej szyję wyciągnął.

— Szaty widzę hiszpańskie, chód indyka, nade-
tość pawia... Myszkowski-ż to czy Wolski?...

— Z jednego obaj postawu! Rozeznać ich trudno.
Chyba po nosach!

— Figur przy nim chmara. Aha! gospody idą
znaczyć.

— Utrapienie!...

— Chodźmy, sąsiedzie. Warto z blizka popatrzeć.

Po chwili, stali tuż przy orszaku marszałkowskim.

Wskazywanie gospód dla sejmujących należało
do marszałka wielkiego koronnego. Ale Myszkowski,
który wówczas tę godność dzierżył, unikał wszelkie-
go stosunku z mieszczanami. Nie lubił ich i wiedział,
że przez nich nie jest lubiany. Wysłał przeto zastępcę
swego, którym był Mikołaj Wolski, marszałek nad-
worny.

Wolski, w cudzoziemskim stroju, z cudzoziemską
twarzą, a podobno i z takiemiż myślami, kroczył
z nadzwyczajną powagą, otoczony gronem sekreta-
rzy i urzędników dworu królewskiego. Orszak za-
mykali „węgrzy“, — milicya marszałkowska, uzbro-
jona w halabardy.

Gromada ciekawych pauprów, nakształt szarego
ogona, wlokła się za nimi.

Rozpoczęto czynność od „Zamkowej“ strony
Rynku. Tak nazywał się urzędowo bok, leżący po-
między ulicami: Świętojańską i Jezuicką.

Orszak zatrzymał się przy kamienicy narożnej.
Jeden z sekretarzy, trzymający w obu rękach wielki
papier, przeczytał dobitnie:

— „*Lapidea* zacnego Klaudego Henrieta, rajcy

Magistratu. Izb cztery, komnat trzy, sklepów dwa, piwnic dwie; na tyle izdebek dwie“.

Marszałek rozkazał:

— Zapisać na jaśnie wielmożnego jegomości pana kasztelana krakowskiego!

Wyskoczył zaraz z orszaku młodzieńczyk lat dwudziestu, z miną zuchwałą, wyzywającą, z latającymi niespokojnie oczami. Pobiegł do drzwi czołowych—trzymaną w ręce kredą wypisał na nich tytuł kasztelana.

Napis taki musiał być szanowany, jak świętość. Starcie go, nawet wypadkowe, groziło wielką odpowiedzialnością.

Orszak postął przez chwilę w miejscu, jakby czekając, czy kto nie wystąpi z opozycją. Potem dalej ruszył.

Przy następnej kamienicy obwoływacz przeczytał:

— „*Lapidea* prześwietnego Mikołaja Mariana, burmistrza miasta Starej Warszawy, tudzież farmakopoli Jego Królewskiej Mości“.

— *Ex-officio* zawieszono — wyrzekł marszałek.— Idźmy dalej.

Kawka trącił w bok Szlichtynga.

— Łaska... — szepnął. — Alem ciekaw, dla kogo: dla warszawskiego Magistratu, czy też dla królewskiego aptekarza?

W kamienicy następnej wyznaczono gospodę podskarbiemu wielkiemu koronnemu.

Zaraz po niej następowała słynna z piękności kamienica Baryczków, nazywana, dla wyłączenia czoła, „Złocistą“. Właścicielem jej był wówczas Jerzy Baryczka, jeden z najświetniejszych przedstawicieli patrycyatu warszawskiego. I tę kamienicę od

gospody zwolniono — przez wzgląd na cudownego Chrystusa, którym właściciel Farę obdarzył.

Jeden z sekretarzy ośmielił się wystąpić z uwagą:

— Panie marszałku! jeśli wszystkich libertować będziemy, gdzie się podzieją ichmoście sejmujący? Chyba pod szalasami zamieszkają, jak żydowie na puszczy.

Wolski namarszczył się.

— *Patientia!* — mruknął.

Orszak znów się posunął.

— Oj! — szepnęła Kawka — skrupi się pono na mojej bratowej. A ona nieboraczka słaba i ubożuchna. Wnuków po córce wychowuje; krewniaków biednych przygarnęła.

Obwoływacz czytał:

— „*Lapidea* uczciwej Małgorzaty Kawczyny. Izb osiem, sklepów dwa, piwnic dwie, kuchni trzy“.

Kawka słuch wyteżył.

— Zapisać—rozległ się donośny głos marszałka— na jaśnie wielmożnego wojewodę poznańskiego i na jaśnie wielmożnego wojewodę mazowieckiego!

Śniady młodzieńczyk natychmiast nakreślił to na drzwiach kredą.

— Słyszałeś, sąsiedzie? — krzyknął Kawka, potrząsając gwałtownie ramieniem Szlichtynga.— Jaka niesprawiedliwość! Jaka poniewierka biednej wdowy, z tej racji jeno, że biedna i że wdowa! Otóż to rządy marszałkowskie, rządy uprzywilejowanych!

Orszak miał się już ku odejściu, gdy z ciemnej sieni wybiegł głos łzami nabrzmiały:

— Jaśnie wielmożny marszałku! Sprawiedliwości!

W tejże chwili zjawiała się w kamiennym obramieniu drzwi siwowłosa staruszka, zgarbiona, schorzała, podpierająca się laską.

Wolski zatrzymał się z wyraźną niechęcią.

— I za cóż to — spytała staruszka z żalem i wymówką — tyle ciężarów na jedną niebogę?

— Mościa pani! — odparł wyniośle marszałek — tak wypadło z porządku.

Pani Kawczyzna, stojąc w progu, lamentowała:

— Kącika niema u mnie zbytniego. Od sklepów do strychu pełnusięńko. Pomarły mi córki, pomarli synowie; wnuków muszę chować przy sobie i dalsze krewieństwo. Bratanka z czworgiem maleństwa bez władzy w nogach, od trzech roków z łóżka nie wstaje. Dwoje wiernych sług, staruszków zgrzybiałych, ma u mnie chleb łaskawy. Górne izdebki wnukom oddałam. Więc jakże, jaśnie wielmożny marszałku? Jeśli dwóch senatorów stanie u mnie gospodą, gdzież się ja chudzina z czeladką swoją podzieję?

— Udać się jejmość do krewnych — bąknął marszałek, nie patrząc na mówiącą.

— Bogatych nie mam; biedni przy mnie się pożywiają.

— Do kumów zatem, do przyjaciół... Wreszcie — rzucił niecierpliwie — jejmościna to rzecz, nie moja. U mnie, jak u *amicusa* mego, pana Jędrzeja Boboli: *est — est; non — non.*

Stuknął gniewnie laską i odwrócił się od staruszki.

Kawczyzna rozplakała się w głos, trzęsąc się ze wzruszenia.

— Więc na bruk nas wyrzucasz, panie marszałku? Jak Łazarze i Hijoby, na śmietniku mieszkać mamy? To już lepiej niech nas mistrz wyświeci za miasto! niech niewiniątka nasze odrazu potraci!...

Byłaby mówiła dalej, ale w tej chwili śniady pomocnik przyszedł z pomocą pełnemu gniewu i konfuzji marszałkowi.

Wystąpił z koła, krokiem szybkim, śmiałym podszedł do staruszki. Zdawało się, że chce odegrać rolę parlamentarza i medyatora.

Ponieważ szedł prosto na Kawczynę, stojącą w progu wąskiej sieni, niewiasta cofnęła się mimowoli do środka.

On wówczas pochwycił szybko kłamkę ciężkich drzwi i z rozmachem wielkim zatrzasnął je przed staruszką.

Lamenty ucichły.

Orszak marszałkowski udał się w dalszy pochód.

II.

Gdy marszałek, obszedłszy Rynek dokoła, powracał do Zamku, śniady młodzian wystąpił z prośbą, aby mu pozwolono pozostać.

Bez trudności dano mu pozwolenie.

Dzięki swym oczom, na wszystkie strony latającym, dojrzał w kramach otaczających Ratusz dwie rzeczy, które go w najwyższym stopniu zaciękały: szafirowe oczy pewnej dziewczeczki i jasnowłosą głowę pewnego młodzieńca.

Gdy orszak marszałka wymijał Ratusz, dziewczeczka z szafirowemi oczami stała przed jednym z kramów. Nietyle kolor jej oczów — choć wśród warszawianek osobliwy — co ich kształt, czyli oprawa, uwagę zwracały. Takie wielkie, podłużne, „migdałowe“ źrenice posiadają wyłącznie córki Wschodu.

Ta wyglądała na tureczkę, gruzinkę lub arabkę; w rzeczywistości była tylko ormianką. Instynkt wrodzony kobietom doradził jej przystroić

głowę czemś w rodzaju zawoju, przewiązanego sznurkiem bursztynów. Bursztyny miała też na szyi.

Suknia dziewczyny, ze wschodniej, wzorzystej tkaniny, spływała luźno wzdłuż łona i bioder. Małe stopki były obute w baszmagi z czerwonego safianu.

Gdy orszak przechodził w pobliżu, spojrzenie jej skrzyżowało się ze spojrzeniem śmiałego młodzieńca.

Rezolutny pomocnik marszałka drgnął; oczy jego, może po raz pierwszy w życiu, zatrzymały się nieruchomo na jednym punkcie. Jednocześnie usta otworzył, i tak dalece panowanie nad sobą stracił, że wielki kawał kredy, z urzędową powagą w ręce trzymany, wypadł mu z niej i po bruku się potoczył.

Dziewczyna zachichotała — do kramu uciekła.

Młodzian połknął haczyk... a teraz zmierzał, jakby ciągniony wędą, do tej, co go zarzuciła.

Przed samem wejściem pomacał górną wargę, i — wściekłość go ogarnęła. Pod palcami poczuł tylko rzadką, niedostrzegalną prawie szczecinkę. Postanowił brak wąsów zastąpić butą.

Nastroszył się, nos w górę zadarł — silnie pchnąwszy drzwi, wszedł do kramu, nie zdejmując kołpaczka.

Kram był z wierzchu niepozorny; wewnątrz napelniony obficie kupią wszelaką.

Dziewczyny w zawoju w kramie nie było. Za ladą siedział człek żółty, z krogulczym nosem, w mycce czerwonej. Siedział zgarbiony nad wysuniętą szufladą, palcami w niej przebierając.

Na widok wchodzącego, szufladę z pośpiechem zasunął i podniósł się, mycki uchylając.

— Na usługi waszmości — rzekł głosem noso-

wym, uniżonym, zwietrzył bowiem człowieka dworskiego.

Młodzianek stropił się, pokrył jednak stropienie miną buńczuczną.

— Białogłowskich rzeczy mi trza... — wyniośle bąknął.

Ormianin podniósł oczy do nieba, jakby w zachwycie.

— Gdzież po to, jak nie do mnie! — zaśpiewał. — Tabiny mam przednie, adamaszek wytworny, altembasy na schwał cudne... A może coś ze złota albo srebra? Tego u mnie gwałt!

Wskazał oczami sporą, okutą szkatułę, stojącą na półce, tuż za jego zydem.

— Hm... — chrząknął tamten. — Wybrać by trza, doradzić. W takowych sprawach zawżdy najlepiej niewieście dogodzi niewiasta.

Kupiec pociągnął wielkim nosem, jakby wiatr próbując.

Zaraz też w dłonie uderzył i zawołał:

— Jaga!

Poruszyła się w głębi opona ze wschodniego ko-bierca. Z poza opony wyszła dziewczyna w zawoju. Wyszła tak predko, że sądzić było można, iż tam stała oddawna, czekając na wezwanie.

— Obsłuż jegomości. Trefnego co wynajdź dla białogłowy.

Zbliżyła się cicho w swoim miękkim obuwiu bez napiętków.

— Dla starrej czy dla mlodej? — spytała z nadzwyczajną powagą, oczu nie podnosząc.

Zamiast *ł* wymawiała *l*, a każde *r* gruchało jej w gardle, jak u gołębiczy.

— Albom to dziad, żeby ze staremi mieć sprawę? — rzekł, ostro stawiając się, przybysz. — Wy-

brać proszę, jakby dla siebie samej. Jeno niech to będzie światłe i wesole.

Dziewczyna w milczeniu jąła zdejmować z półki i przed młodzianem rozkładać różne tkaniny. Jasne, częstokroć w jaskrawość przechodzące, barwy aż wzrok ćmiły.

Dziewczyna kładła na stół coraz inne tkaniny, a odbłaski ich padały na jej twarz, zabarwiając ją po kolei: złociście, szkarłatnie, szmaragdowo, błękitnie. Młodzian na tę twarz tylko miał oczy obrócone, na niej jedynie badał w odbiciu piękność towarów.

Spostrzegła to dziewczyna.

— Waszmość — rzekła — niech pilniej patrzy na tabin i adamaszek. We mnie nic ciekawego.

Młodzian, niewprawny w zalotnicze szermierki, czekał oddawna na sposobność. Gdy się nadarzyła, pochwycił ją skwapliwie. Jak każdy młodzianek wobec pięknej kobiety, czuł się nieśmiałym; buta jednak szlachecka była w nim wielka i nieśmiałość zwyciężyła.

Odrazu zmierzył przestrzeń, jaka dzieliła jego, szlachcica i królewskiego dworzanina, od kupcowy i plebejki. Odrazu też zaczął do niej mówić: ty.

— A przecie — rzekł, pod bok się biorąc — urzekły mię dziś twoje oczy.

— Gdzie? kiedy? — udała zdziwienie.

— Gdym z marszałkiem wedle Ratusza przechodził, a tyś w progu stała, nam się przypatrując.

— Nie widziałam waszmości — gładko skłamała.

I zaraz wzięła się do rozwijania nowego postawu.

Młodzieniec zamilkł, nadmiernie stropiony zwykłym niewieścim fortem. Dla fantazyi chciał włą-

sa podkręcić; gdy pod nosem nic do podkręcenia nie znalazł, stropienie bardziej się jeszcze wzmogło.

W mieszanii, z udaną pilnością, badać ją rozłożoną tkaninę. Przy badaniu palcami ją próbował, przyczem ręka jego zeszła się nieznacznie z ręką sprzedającej.

Skutek zetknięcia był taki, że oboje silnie drżeć zaczęli.

To drżenie przykre im nie było.

Młodzieniec pierwszy opanował się. Ręki nie cofając, zapytał:

— Jakże cię zowią, grzeczna panno?

— Jaga — odrzekła, podnosząc szafirowe oczy.

— Jagusia byłoby przystojniej i trefniej.

— Od dziecka tak na mnie wołają. Przywykłam.

Wypytywać ją zaczął o szczegóły dzieciństwa, o rodzinę.

Pochyleni nad jaskrawemi tkaninami, rozmawiali coraz żywiej — coraz bliżej przysuwali się do siebie.

Właściciel krogulczego nosa zdawał się wcale tego nie spostrzegać. Owszem, widząc, jak bardzo sobą zajęci, wysunął ponownie szufladę i z rozkoszą zanurzył w niej długie, szponiaste palce.

Jedno szybkie, w bok rzucone spojrzenie pouczyło młodzieńca, że źródłem tej rozkoszy było przebieranie w kupie srebrnych i złotych pieniędzy.

Zaiskrzyły mu się oczy; dziwny wyraz w nich błysnął...

— Czy to ociec twój? — spytał ze wzruszeniem, które tym razem nie z zalecanek wypływało.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Jaki ociec! — wzgardliwie szepnęła. — Stryjek, i to nie rodzony.

Ton słów był tak wymowny, że młodzieniec, bardziej jeszcze głos zniżając, rzekł poufnie.

— Nie wesoło ci przy starym stryjkę? Ckni ci się za ladą?

Dziewczyna podniosła oczy do nieba, ręce zaplotła. Z piersi jej wybiegło przeciągłe :

— Aaa!...

To „a!“ brzmiało razem, jak westchnienie i jak jęk.

Ale w tejże chwili uspokoiła się, przybierając napowrót wyraz obojętny, prawie apatyczny, kobietom wschodnim właściwy.

— Co czynić! — szepnęła z rezygnacją.

Młodzieńca obojętność podrażniła. Z właściwą sobie zapalczywością uniósł się i w głos prawie krzyknął:

— Co czynić? Uciec!

Jaga zwróciła nań łagodne i niewymownie czułe spojrzenie, i łagodnym, niewymownie czułym głosem wyrzekła:

— Z kim uciec?... Dokąd? poco?...

Ton zapytań był taki, jakby dopraszały się gwałtem o odpowiedź:

„Ze mną... pod mój dach... miłować się i świata całego przy miłowaniu poniechać“.

Młodzian jednak z odpowiedzią taką nie wystąpił — wystąpić nie mógł.

Właśnie namyślał się, co odrzec, i niecierpliwie górną wargę palcami pocierał, gdy zasunięto z łoskotem szufladę i dało się słyszeć głuche mruczenie kupca.

Stary krogulec niecierpliwiał się. Zaloty prze-

ciągały się zbyt długo, a co gorsza, nic handlowi w zysku nie przynosiły.

Jaga znak zrozumiała. Przybierając odrazu maskę zwykłej sprzedawczynie, spytała głośno:

— Więc ma to być letniczek białogłowski?

— Letniczek — potwierdził bezmyślnie młodzian.

— Ten **tabin** będzie najdogodniejszy. Odmierzyc?

Młodzian pomacał się po chudej kiesce.

— Drogiz on? — spytał miękcej nieco.

Dziewczyna spojrzała pytająco na kupca. Stary wysunął pokrzywione palce, cyfrę na nich wskazał. Podana cena była dwukrotnie wyższa od zwykłej.

Stan rycerski nie targuje się. Albo gwałtem zabiera, albo też płaci, ile zażądata. Młody szlachcic wywrócił kieskę na nice i zbył się srebra wszystkiego, ale przesoloną cenę w całości zapłacił.

Dziewczyna zabrała się do zawijania odciętego kawałka tkaniny.

— Niech ostanie — rzekł młodzian, za rękę ją przytrzymując. — Przyjdę później po swoją kupię.

— Byle rrychlo... — szepnęła.

Ręce raz jeszcze zeszyły się — i raz jeszcze silne drżenie wstrząsnęło jednym i drugim.

Gdy szlachcic kram opuszczał, garbonosy ormianin jak najniżej myckę przed nim uchylił — on zaś nasadzonego hardo kołpaczka nawet palcem nie dotknął.

III.

Wyszedłszy od dziewczyny w zawoju, dworzannin okrążył Ratusz i wstąpił do jednego z kramów po przeciwnej jego stronie.

Był to kram pana Kawki.

Samego kupca nie było; udał się do bratowej, aby ją w ciężkim frasunku pocieszać. W kramie siedział tylko nad księgą rachunkową młodzianek lat siedemnastu o miłej twarzy i jasnych włosach.

Właśnie twarz tego młodzianka, przed godziną dojrzana, sprowadziła tu dworaka.

Wszedł, wedle swego zwyczaju, ostro i buńczucznie. Od proga zakrzyknął:

— Czołem, sławetny Dąbku!

Młodzianek porwał się zdziwiony, zmieszany. Mimo zmieszania, zdobył się na ton cięty, gdy w odpowiedzi odkrzyknął:

— Czołem, jaśnie wielmożny Wichuro!

Tamten namarszczył się.

— Cóż ty mi ćmisz oczy jasnością!

— A cóż ty mi sławetnością oczy wykałasz?

Wichura złagodniał.

— No, no — rzekł układnie — nie sierz się, kolego. Przybywam nie jako adwersarz, lecz jako *amicus*. Dojrzałem cię z ulicy; ciekawość mię wzięła dowiedzieć się, co słyhać z tobą. Anim wiedział, żeś w Warszawie i że łokciem wojujesz.

Na wspomnienie o łokciu zachmurzyła się twarz młodego Dąbka. Prędko się jednak opanował. Prawo gościnności kazało być uprzejmym. Podsunął gościowi zydel — siedzieć go poprosił.

Potem zaczął mówić:

— Jak wiesz, jałem się kupiectwa, zawodu mego rodzica i całej rodziny macierzyńskiej. Dziadek i babka tego żądali. Przytem dopiekła mi już dworzyczyna. Do Warszawy-m przybył niedawno. Główna moja gospoda w Gdańsku. Jeżdżam też na okręciech do Królewca, Elbląga i dalej.

— Dobrze ci z tem? — spytał trochę drwiąco Wichura.

— Dobrze. Lepiej, niż na dworskich wysłuchach.

— Nie urągaj ty dworszczyźnie. Smaczny to chleb, jeno nie każdemu zdrowy. Mocnych zębów wymaga.

Roześmiał się szeroko i błysnął zębami, które miał bardzo białe, i jak się zdaje, bardzo krzepkie. W kształcie tych zębów było coś wilczego.

— Ja tam — ciągnął butnie — bardzo sobie chwale u dworu. Już mam urzędzik, a i kieska powoli pęcznieje. Niechno mi wąs gęściejszy się puści, wybiorę sobie szlachciankę z fraucymeru z gładkiem liczkim, z workiem pękatym. Taki u nas obyczaj. Capnie się potem jakie intratne starostwa, i będzie chleb na cały żywot.

Pogłaskał czuprynę. Bardzo był rad z siebie.

Przez chwilę milczeli.

— Co nowego w Zamku? — Krzyś zapytał.

— Same stare rzeczy. Rygor i modlitwa. Przecie kto chce, ciszkim rozpustuje!

— Cóż najjaśniejszy?

— Nieme dyablę, jak zawždy. Ody mu śmierć sprzątnęła Zamoyskiego, poweselał i usta otworzył, ale mu je, nie zwlekając, zamknął Zebrzydowski. Odkąd go rokoszanie na harc wyzwali, chodzi jakby trutkę połknął.

Dąbek od kilku chwil niespokojnie czoło pocierał. Wreszcie szepnął nieśmiało:

— A o owej Dorotce nic-że na wierzch nie wyszło?

— O jakiej Dorotce?

— O haftarce, ciotuni mojej, którą Bobola w Baszcie Narożnej więził i tam ją umorzył.

Wichura oczami i ruchem okazał zdziwienie.

— Zapomniałeś widzę — rzekł — obyczajów

dworskich. Alboż u nas gada się o Dorotkach! Grzech piętnuje ksiądz Skarga z mównicy; z grzesznikami i grzesznicami załatwiają się jego towarzysze. Wszystko ciszkiem, skrycie, jakby żyda grzebał.

— Dzieciątko po biedacze zostało, a bez śladu znikło. Nie słyhać-że cò o niem?

— Bratku! U nas nietylko dzieciątka, lecz i cali ludzie znikają. Pomnisz tego Włocha, cośmy go „Czarnym Doktorem“ przezywali?

— Cóż z nim?

— Będzie temu rok, jak z izby zamkniętej zniknął, zczezł, w parę się obrócił. A przy drzwiach stał Niemiec z dardą, bo go Wolski na oku mieć kazał. Kursorów za nim rozesłano, bo uniósł pono ze sobą proszek alchimiczny. Nie znaleziono go; ślad po nim zastygł. Skweres na dworze był wielki; Najjaśniejszy chodził przez dni kilka żółty, jakby się w szafranie wykapał. Mówią, że nawet po sejmie inkwizycyjnym lepszej był twarzy.

Odchrząknął, czuba pogładził, oczami zamigotał.

— Przejdźmy do innej materji — rzekł, ton mowy zniżając, czyniąc go poufalszym a zuchowatym. — Słysz, Dąbek! Znasz tu pewnikiem wszystkie dziewczki po kramach...

Krzyś zbudził się ze smutnej zadumy.

— Dziewki? — powtórzył. — A mnie co do dziewczek!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się tamten. — Za pomniałem, do kogo gadam. Wszakżeć to młodzianek, jak lelija, prawy *castus Josephus*. Gdyby jaki nowy Heród powtórzył rzeź niewiniątek, drzećbyś musiał o swój żywot. Ha, ha, ha!

Dąbek milczał, jakby nie do niego mówiono.

— Znać musisz przynajmniej siostrzanek sta-

rego ormianina z ptasim nosem. Wiesz... tę, co w zawoju chadza i baszmagach czerwonych. Dziewka na schwał cudna.

— Widuję tę ormiankę — odrzekł Krzyś obojętnie — ale jej nie znam.

Wichurą przysunął się z zydlem do towarzysza, rękę mu na ramieniu położył.

— Słysz ty, bratku — tajemniczo wyrzekł. — Chociesz mleczak, sprawę chyba zrozumiesz. Stary dusigrosz ma złota kupę, ot taką — tu ręce szeroko rozłożył — dziewczka zaś wrywa się od niego, jako ptak z klatki. Baczysz, Krzysiu? Dość drzwiczki od klatki odemknąć, a...

Nie dokończył. W tej chwili drzwi z trzaskiem otwarto — do kramu wszedł Kawka.

Wszedł krokiem szybkim, wzburzony, ze zwichrzoną brodą, z włosami długimi w nieładzie. Na widok gościa, stanął, jak wryty.

— A waść... a waszmość... skąd tu? po co? — przez zaciśnięte zęby rzucił.

Młodziankowi zaimponowała poważna twarz kupca, jego białe, na ramiona spadające, włosy.

Z zydła wstał i ukłon czyniąc dworski, rzekł:

— Towarzysza-m przyszedł odwiedzić, proszę waszmości.

Układna mina nie rozbroiła starego. Czerwony z gniewu wybuchnął:

— Kto niewiastę skrzywdził, temu nie lża być towarzyszem jej wnuka, ani żadnego człowieka uczciwego!

Krzyś, usłyszawszy oskarżenie, wybiegł z poza lady.

— Jakto? — zwrócił się do dziadka — uczyniłże on krzywdę jakąś babci Kawczynie?!

Wichura z wyniosłym spokojem do Kawki się zwrócił:

— Obowiązek swój spełniłem! nic więcej!

— Najpierwszym obowiązkiem młokosa cześć dla starszych! — zagrzmiał surowo kupiec.

Przybysz zabrał się do odwrotu.

— Najstarsi u mnie — odparł, nie zniżając głosu — Król Jegomość i marszałek. Im tylko — do dał, ku drzwiom zmierzając — winienem posłuszeństwo i z postępków swych ekskuzę.

— Cóż on babci uczynił? — dopytywał niecierpliwie Krzyś.

— Jako sługa marszałkowski, zmaltretował chudzinę, aż obłożnie zachorzała.

— Ha! dworski wycieruch!... Tego mu płazem nie puszcze.

W uniesieniu pochwycił ze stołu ciężki, okuty łokieć — na Wichurę się zamierzył.

Kawka rzucił się do wnuka — za ramię go przytrzymał.

— Stój! — zawołał — pod naszym dachem nie tykalny.

Wichura, przy drzwiach stojąc, śmiał się szyderczo.

— Rycerz z łokciem! — drwił — prawy bohater z kramnicy! Z przekupkami tobie wojować! z Albertusem na ślepej kobyle!

— Poczekaj! — syknął błądź ze wzruszenia Dąbek — i to się zapisze do liczby!

— Tak lepiej — szydził dalej tamten, za kławkę biorąc. — Kupiecka rzecz liczby pisać. A rycerska — dokończył głośnie, drzwi odmykając — mieczem je wyskrobywać.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Za progiem już krzyknął:

— Łyki! plebeje! Nauczę ja was rychło po kościele gwizdać!

IV.

Cały kraj był w ogniu. Płomienie obejmowały gmach Rzeczypospolitej od podstaw do szczytu. Zewsząd było słycać złowróżbny trzask, objawiający, że mury gmachu pękają.

Wir porwał wszystkich. Kogo nie uniosła namiętność stronnicza i wojenna zapalczywość, drżał, przejęty trwogą przed grożącym ogółowi niebezpieczeństwem. Obojętnych nie było. Kmieć nawet, ciemny, sponiewierany, niewiele różniący się od swego, w jarzmie chodzącego, bydłęcia, odczuwał powszechny niepokój, choć źródło jego było dlań niezrozumiałe.

Wśród ogólnej pożogi jeden tylko człowiek poruszał się swobodnie, choć ocieźzale — istna salamandra, co pozostaje zimna i wilgotna, choć płomień wszystko dokoła niej rozpała.

Człowiekiem-salamandrą był król.

Temperament rybi, myśl poruszająca się leniwie, automatyczność ruchów i postępów miały jedną stronę dobrą: powstrzymywały wybuch. Gdyby bomby, rzucone przez rokoszanów, padały na żelazo lub granit, pękałaby każda, roznosząc śmierć i spustoszenie. Ale one grzęzły w wacie i pakułach...

Nic nie było w stanie wytrącić króla ze spokojnej równowagi zegara, czy też automatu.

Groźna i wysoko spiętrzona fala rokoszu szła teraz wprost na niego. Już nietylko obelgi dolatywały od przeciwników, ale i mieczów szczęk. Radziwiłł coraz zjadliwszy się stawał, mimo pozornej układności; gwałtowne krzyki Stadnickiego — który zresztą w ostatecznej chwili miejsca nie dotrzy-

mał — echa po całym kraju roznosiły; Zebrzydowski zaciął się w buntowniczym uporze, o który, jak o skałę, rozbiły się wszelkie próby układów. Liczny, na stopie wojennej postawiony obóz rokoszowy ruszył z pod Jędrzejowa wprost ku Warszawie.

A król?

Król zamknął się w Zamku warszawskim i osadziwszy wojsko za miastem, żył po dawnemu, zwykłym, zegarowym trybem.

Codziennie, po spożyciu obiadu, „zamykał się na osobności z poufnikami swymi“.

To zamykanie się w najwyższym stopniu niepokoiło przeciwników.

— Co król czynić może po kilka godzin codziennie na osobności, zausznicami otoczony i tajemnicą osłonięty? — z przerażeniem pytali.

Odpowiedź była jedna: spiski przeciw wolności szlacheckiej knuje, układa projekt ucieczki do Szwecyi, przygotowuje zmwę z domem Raku skim, koroną i krajem frymarczy.

Aliści pewnej niedzieli, z ust każącego Skargi wybiegło zdanie: „Król kiedy w karty gra, nie jest królem“...

Uderzyły te słowa Stadnickiego. Po nabożeństwie wypytywał dworzan: „Aza król w karty gra wa?“ „Grawa — odpowiedzieli — skoro od stołu wstanie“.

Za tem odkryciem, poszły inne. Dowiedziano się, że Zygmunt w godzinach poobiednich zabawia się także piłką i wolantem...

Nie zagrażało to ani wolności szlacheckiej, ani całości Rzeczypospolitej. Zabawiali się tak samo królowie francuscy i inni. Gdy jednak kogoś nie lubimy, wszystko nam się w nim nie podoba. Więc

z owych kart, piłki i wolanta uczyniono jedno z „grawaminów“...

Załawiał się też król po dyletancku sztukami pięknymi. Malować próbował, grać, rzeźbić, snycerszczyzną trudnił się i złotnictwem.

Jedną z ulubieńszych jego rozrywek była gra na klawikordzie. W pewne, oznaczone dni, o pewnej oznaczonej godzinie, zamknięty w swej komnacie zasiadał przed narzędziem muzycznym, dalekie podobieństwo do fortepianu mającym.

Zdarzyło się pewnego dnia, na krótko przed seimem, że, gdy zabrał się do muzyki, drzwi od sąsiedniej komnaty zostawiono otworem. W komnacie znajdowało się na służbie dworzan młodych kilku; w ich liczbie Wichura-Zboiński.

Zygmunt siedział przed klawikordem z tą samą majestatyczną powagą, z jaką odmalował go Rubens na portrecie koronacyjnym. Wprost niego wisiało zwierciadło weneckie, odbijające wewnątrz obocznej komnaty.

Król grał z początku rzeczy poważne: kościelne hymny i arye bohaterskie. Wprawiało go to w senną ekstazę.

Nagle przewrócił parę kart zeszytu z nutami—skoczną galarde uderzył.

Zaledwie odegrał kilka taktów, wzrok jego padł na zwierciadło. W zwierciadle ujrzął obraz dziwny: w sąsiedniej komnacie, do taktu muzyki królewskiej, tańczył jeden z pokojowców, wyprawiając miły pocieszny.

Był to Wichura.

Zygmunt ani odwrócił się, ani wyrazu twarzy i postawy sztywnej nie zmienił. Ręce tylko od klawiszów odjął i przez kilka chwil w powietrzu potrzymał.

Zrobiła się cisza — przykra, złowroga. Pokojowiec przestał tańczyć. Zawstydzony, przelektły, poskoczył do kąta; za wielką gdańską szafę skrył się.

Król opuścił ręce na klawisze i spokojnie swej muzyki dokończył.

Nazajutrz Konrad Zboiński został wykreślony z liczby dworzan królewskich.

Nie można było bezkarnie okazywać lekceważenia Zygmuntowi, jako „artyście“..

V.

W bok ulicy Błońskiej — którą następnie nazywano Szeroką, aż wreszcie miano Długiej przybrała — zieleniła się jakby mała wioseczka.

Pełno tam było dworów i dworków w kształcie najzupełniej wiejskim. Puste przestrzenie pomiędzy nimi zapępniały sady i ogrody.

Poza tą zieloną, sielską osadą leżały szmaty gruntu ornego, czyli tak zwane „włóki“, należące to do mieszczan Starej i Nowej Warszawy, to do klasztorów i szpitali, to wreszcie do dworu królewskiego i do osiadłej w mieście szlachty.

Były tam posiadłości Gizów, Baryczków, Fulkierów, Ginterów, Długoszów.

W samym środku tej niby wioski leżał plac obszerny, a za nim, prócz dworu z ogrodem, stał jeszcze browar i słodownia. Od nazwiska właściciela, którym był Wawrzyniec Węgrzyn, mieszczanin warszawski i piwowar, plac zwał się „Węgrzynowski“.

Nadmiemy mimochodem, że syn piwowara

sprzedał tę całą posiadłość Erardowi Kleinpoldowi, od którego — odkupić ją miał z czasem Jan Bonawentura vel Dobrogost Krasiński, referendarz koronny i starosta warszawski. Magnat, który po ojcu skarby niezmierne odziedziczył, użył ich ku własnej wygodzie i ku ozdobie miasta.

Pomiędzy dworkami, otaczającymi posiadłość Węgrzyna, najmniejszy i najędzniejszy był własnością pana Piotra Zboińskiego.

Gizowie, Baryczkowie w dworkach swych trzymali ekonomów, doglądających gospodarstwa; sami latem tylko przybywali tu niekiedy dla wypoczynku, aby na darniowej ławce, pod lipą lub wiśnią, mleka się napić, albo pociągnąć piwa węgrzynowskiego. Pan Zboiński dworku swego nigdy nie opuszczał, a maluczkiem gospodarstwem zajmował się sam przy pomocy dwóch parobków i gospodyni.

Mimo to, rej wodził w całej dzielnicy i wszyscy sąsiedni właściciele oraz ich zastępcy czapki przed nim zdejmowali.

Przyczyna tego była prosta: on jeden w całej gromadzie pieczętował się herbem i miał prawo do tytułu *nobilis*. Wszyscy inni w aktach magistrackich i we wszelkiego rodzaju papierach urzędowych nazywani byli „sławetni“, albo nawet, co mniej jeszcze ważyło — „pracowici“.

Pan Zboiński w dnie powszednie, przy pracy, chadzał w wyszarzanym kolecie; duże jego wąsiska w dół się zwieszały, cała postać była pochylona. Z oczów tylko strzelał płomień, źrenicom mieszczańskim nieznany.

Ale przy święcie lub przy dworskiej, znaczniejszej uroczystości — jakaż zmiana! Wąs wykręcał się do góry, po szwedzku, jak u samego Zygmunta; czub podgolony jeżył się nakształt koguciego grze-

bienia; głowa podnosiła się wysoko; cała postać, jak wygięta sprężyna, w tył się odchyłała.

Co najważniejsze, pan Zboiński występował wówczas w „hatłasie“, którego używania wznowie-
ne prawo przeciw zbytkom stanowi mieszczańskiemu wzbraniało.

Pozatem ten „szlachcic brukowy“, rozbitek, na mieliźnie miejskiej ugrzęzły, żył byle jak i byle czem. Ale nawet i do takiego istnienia pomagać sobie musiał robotą postronną. Odrobina pola, łąki i ogrodu wyżywić go nie mogli.

Jakoż, pomagał sobie. Częściej pono widywano go w Zamku, niż przy gospodarstwie. Stałym zwłaszcza bywał gościem u Boboli, przy którym był jakby służebnikiem „do szczególnych poruczeń“.

Maj w owym roku był na podziw piękny i ciepły. Bzy i czeremchy wcześniej, niż zwykle, rozkwitły; ptaków mnóstwo po ogrodach śpiewało.

Jednego dnia, przed wieczorem, Zboiński zasiadł w krzywym, nadpróchniałym ganku. Gospodyni postawiła przed nim butlę wina, oraz duży kielich szklany z herbem rodzinnym.

Obok butli i kielicha szlachcic rozłożył na stole grubą, zniszczoną księgę: „Herby Rycerstwa“. Była to jedyna — prócz książki do nabożeństwa — rzecz drukowana, którą pan Zboiński czytywał. A czytywał nie inaczej, jak z kredą czerwoną w palcach, którą na marginesach liczne uwagi i poprawki kreślił.

Słońce prześlicznie zachodziło. Wskroś splątanych gałęzi, młodem liściem rzadko porosłych, przedzierały się promienie gasnące długimi, różowemi pasmami. Obejmowały cały ganek i całą czołową stronę dworku, jakby luną pożaru.

Szlachcic czytał, popijał, po niebie i po ziemi

oczyma wodził. Wydawał się bardzo rad sobie i światu.

Myślał pewnie o synu, o łaskach, jakie on znalazł u Myszkowskiego, o zapowiadającej się świetnie dworskiej jego karierze.

Nagle, zwróciwszy oczy na drogę, dojrzał coś, co mu się wydało wprost — niewiarogodnem.

Zasłonił oczy dłonią od słońca, raz i drugi je przetaił...

— Prze Boga żywego — wykrzyknął. — Toć to mój Konrad, a za nim jakoweś pacholki...

Porwał się z miejsca, odpychając stół gwałtownie. Butla wywróciła się, wino na podłogę pociekło.

Po chwili Konrad był już w ganku. Kłaniał się ojcu do kolan i zduszonym wściekłością głosem mówił:

— Zdyfamowano mnie, panie ojcze... sponiewierano... wypędzono.

— Tsss! — syknął szlachcic, wskazując roziskrzonym wzrokiem obcych ludzi.

Ci ludzie przynieśli w kufrach kilku całą chudobę ekspokojowca królewskiego.

Zboiński kazał im obejść dwór dokoła, od tyłu wnieść kufry do alkierza.

Potem chwycił syna gwałtownie za ramię — do izby pociągnął. Tu dopiero, odprawiwszy gospodynię i drzwi szczelnie pozamykawszy, rzucił się do Konrada z pytaniami:

— Co się stało? Z jakiej racyi? Za czyją sprawą?...

Wichura wiedział, że prawda nie ukryje się, wyznał więc wszystko, bez uciekania się do wybiegów. Dopieroż sądny dzień nastał.

Przez dwie godziny rozlegał się w dworku ha-

łas piekielny. Krzyczał ojciec i krzyczał syn, obaj w równym stopniu zapalczywi i do wybuchów łatwi.

Potem głos syna zaczął stopniowo przycichać; ojciec za to grzmiał i piorunował coraz gwałtowniej.

Nagle dał się słyszeć głos potężnego policzka — i wszystko naraz ucichło.

Tak często i podczas burzy, jedno silne uderzenie pioruna powstrzymuje w jednej chwili rozhukane żywioty — poczem już tylko przyciszony szum deszczu słyhać.

Zapadła noc; w dworku światła nie zapalano. Wichura stał w kącie, popłakując; Zboiński przemierzał izbę wielkimi krokami, milcząc a rozmyślając.

Rozmyślanja trwały długo. Skutek ich był taki, że szlachcic w ręce klasnął i przywołał gospodynię.

— Dawaj nam tu jejmość światło — rozkazał.—
Przytem coś do zjedzenia i wypicia.

Po niedługiej chwili, w oświetlonej izbie ojciec i syn siedzieli przy stole, przepijając do siebie z jednego kieliszka i zagryzając trunek wędliną.

Niebawem gospodyni wniosła miskę flaków gorących, suto zaprawionych szafranem. Na stole postawiła cynowy dzban z piwem, oraz dwie duże szklenice.

Przy flakach i piwie rozwiązał się język Zboińskiemu. Długo i szeroko rozwijał przed synem swe plany.

Wichura z wielką pilnością słuchał, czynił uwagi, przytakiwał. Wogóle, zamysły rodzica przypadły mu bardzo do smaku.

Po wieczerzy ojciec zabrał się do pisania listu; syn — do pakowania bielizny i przyodziewku, które zwijał w niewielki węzelek.

Skończywszy list, Zboiński zapalił latarkę i po-

szedł wraz z synem do stajni. Nie budząc parobka, osiedłali jednego z trzech koni, stanowiących cały dobytek szlachcica. Szkapą była mizerna, bronowłoka, ale miała niegdyś czasy świetności. Chciano jej teraz te czasy przypomnieć.

Wierzchowiec, w pełnym rynsztunku, został przywiązany do słupa przed gankiem. Zboiński wywniół z izby dwa pistolety niezmiernej długości i w olstra je wsunął. Z drugiej strony siodła kazał synowi przytroczyć węzelek z bielizną.

Wrócili do izby. Szlachcic zdjął ze ściany stare szabliisko. Broń wyglądała niepokaznie; turkusy i korale, główce jej zdobiące, srodze już były od starości spłowiały. Gdy jednak z pochwy ją wysunął, ostrze zaśniło zwierciadlaną świetnością, jakby błyskawica w izbie zamigotała.

Tę szablę z nabożeństwem nadzwyczajnem Zboiński ucałował, przeżegnał, własną ręką synowi u pasa zawiesił.

List wsunął mu za podszewkę od czapki, ortów kilka dał do ręki, wreszcie okryć się kazał długą, szeroką opończą, która go całego osłaniała.

W milczeniu wyszli przed ganek.

Noc była bezksiężycowa; gwiazdy tylko niepewnym blaskiem przyświecały. Po dworkach i chatach wszystko twardo spało. Prócz trylów słowiczycych i kumania żab, nie chwyciło ucho żadnego głosu w najdalszej przestrzeni.

— Złota noc! — szepnął Zboiński. — Jakby ją kto na gas zamówił!

Wichura wgramolił się na szkapę, która zwieszono łąb żadną miarą podnieść nie chciała.

— Panie ojczy — mruknął, rozweselony — wyglądam jak Albertus...

Rumak mój... poszedł coś na woła;

We dwu dniach mili ujść pono nie zdoła.

— Nie frasuj się — uspokoił go ojciec. — Tam ci dadzą podjezdka dobrego i wszystkiem opatrzą. Teraz sza!... Wyprowadzę cię na drogę; pojedziesz z Bogiem. Byleś nie zbłądził. Pomnij to sobie: prosto wedle Jazdowa; potem w lewo, potem w prawo, do Jeziorny.

— Pomnę, panie ojcze. Z królem owędy jeźdżałem.

— A bacz, by cię regalista jaki nie ucapił.

— Nie z takich-em, co się capić dawają. Z Bogiem, panie ojcze.

— Z Bogiem, synu.

Na liście danym przez Zboińskiego synowi znajdował się adres jednego z głośnych przewodców rokoszu.

VI.

Zdradzić swego dobroczyńcę i nóż na jego gardło naostrzyć, nie jest żadną sztuką. Ale przekonać go, że się to dla jego dobra czyniło i że poderżnięcie gardła na zdrowie mu pójdzie, wkracza już w zakres artyzmu.

Zaraz nazajutrz po wyprawieniu syna Zboiński przybrał się odświętnie i ruszył do Zamku.

Znając dobrze zwyczaje tamtejsze i wiedząc, o której godzinie przyjmuje u siebie Bobola, udał się wprost na pokoje starosty pilzneńskiego. Zapchane były tłumem księży, posłów, senatorów. Bliskość sejmu, z którym wiązało się mnóstwo spraw naj-

rozmaitszych, była przyczyną tego tłoku. Ona też sprawiała, że w całym Zamku wrzało.

Nominalnie jegomość pan Andrzej Bobola był dotąd tylko sekretarz królewski i burgrabia Zamku krakowskiego. Ale szlachta miała dobre nosy i zwiertzyła właściwą jego rolę. Dla nikogo nie było tajemnicą, że nominacya Boboli na podkomorzego koronnego leży gotowa w kancelaryi królewskiej i że wyłaca się już klucz symboliczny, który Zygmunt doręczyć ma wkrótce swemu ulubieńcowi.

Stąd ów tłok, obleganie drzwi przyszłego potentata, uniżone ukłony, zaprawne miodem i świętobliwością słowa.

Zboiński siadł skromnie w pierwszej, przechodniej komnatce, i czekał.

Przeplýwał mimo niego tłum różnobarwny, z brzękiem szabel, z chrzęstem jedwabnych strojów, z łuną, bijącą od brylantowych guzów i zapinek. On na ten przepych patrzył obojętnie, lub nawet wcale nie patrzył.

Natomiast, ile razy wśród barw papuzich zaczerniała sutanna jezuita, ze stołka się zrywał i giął w niskim pokłonie. A że sutanny snuły się gęsto, jak kawki na słotę, nogi i krzyże srodze go wkrótce rozboleły.

Już mu się też i przykrzeć zaczynało.

Nagle usłyszał znajomy sobie głos — głos brzmiący szorstko, pospolicie, prawie gminnie.

— Mości Zboiński! a chodźże tu jegomość.

Wołającym był sam Bobola, który przez niedomknięte drzwi dojrzał swego powiernika i wyręczyli.

Zboiński wstał; z podniesioną dumnie głową przeszedł wśród tłumu czekających senatorów. Du-

ma opuściła go, zaledwie przestąpił próg ostatniej komnaty, gdzie siedział Bobola.

Zgiął się, oczy w dół spuścił.

— *Laudetur...* — wyszeptał pokornie.

— *In saecula...* — odpowiedział czerstwy staruszek, siedzący u stołu, adziamskim kobierczykiem nakrytego.

Staruszek był znużony licznymi posłuchaniami. Chciał w poufnej gawędzie wytchnienia trochę znaleźć. Przywołał pokojowca; czekającym panom oświadczyć kazał, że już ich dziś przyjmować nie może.

Na stole pełno było papierów, z pośród których wystawał duży, hebanowy krucyfiks ze srebrnym Chrystusem. Na ścianach wisiały obrazy, religijnej wyłącznie treści. W głębi błyszczał srebrnymi ozdobami mały, przenośny ołtarzyk. Obok stał klęcznik, w którym miejsce poduszki goła zastępowała deska. Dwa doły znać było na tej desce — kolanami modlącego się wyżłobione.

Bobola, który rządził całym dworem królewskim, nie wyłączając podobno samego Zygmunta, wyglądał na prostego człowieka, na zrzedę i gderalskiego. Dziwny to był człowiek, do odgadnięcia niełatwy.

„Prawie święty“ — mówił o Boboli Jakób Sobieski. „Gbur, dziwak ponury“ — przedrzeźniał Sobieskiego Paweł Piasecki. Jezuita Bembus rad go był kanonizować. Rokoszanie żądali, by był „na gardle pokaran“.

W zewnątrzności Boboli uderzało przedewszystkiem, że był jakby na model króla urobiony. Ten sam czub nad wysokim czołem, też same wąsy do góry podkręcone, ta sama, po szwedzku przystrzy-

żona broda. Tyle tylko, że zarost króla był ruda-
wy, a Boboli mlecznobiałe.

Twarze takie, jakby jednym stemplem odcisnię-
te, posiadali wszyscy tworzący najbliższe i najza-
ufańsze otoczenie Zygmunta: Myszkowski, Wolski,
Nowodworski.

Rzeczyby można, że regalistom te twarze służyły
do poznawania się wzajemnego.

Bobola przyjął Zboińskiego z pewnem zakłopo-
taniem. Obawiał się wymówek, skarg, suplik. Wy-
słuchaćby ich nie mógł, gdyż Zygmunt w postano-
wieniach swych był niewzruszony.

Z utkwionemi w papierach oczami, czekał na
pierwsze słowo szlachcica.

Ale Zboiński milczał, milczał zaś tak długo,
że Bobola musiał pierwszy głos zabrać.

— Dzieciuch — rzekł, na gościa nie patrząc —
nabroił; króla jegomości uraził, *awa* nieszczęście.

Zboiński wznosił oczy do nieba, ręce rozłożył...

— Panie podkomorzy... — zaczął głosem, któ-
ry zadziwił Bobolę, gdyż ani cienia wymówki w nim
nie było.

— No, no, mój Zboińsiu — zakreślił się tamten
na stołku — zawcześnie jeszcze...

— Panie podkomorzy — powtórzył szlachcic,
na protest nie zważając — powiedziano: Bóg dał,
Bóg wziął, święte Imię Jego. A ja powiem: król
wywyższył, król poniżył, niech będzie wola jego
błogosławiona!

Podobały się te słowa królewskiemu zauszni-
kowi. Rozpogodził twarz, gościowi prosto w oczy
spojrzał.

— Nie zbywa-ć na rozumie, mości Zboiński,
awa rzecz mądrą powiedziałeś.

Pomyślał trochę i dodał przyjaźnie:

— Cóż synaczek? Twardo przyplacił chłopięcą swawolę. Na dworze uładzić się to już nie da. U nas: *est, est — non, non*. A wždy obmyśleć cośi trza dla wyrostka...

— Już obmyśliłem, jaśnie wielmożny starosto— odezwał się Zboiński.

— Tak rychło? I cóż z nim?

— Do Jeziorny-m go wyprawił.

— Do Jeziorny! — wykrzyknął Bobola, czerwieniejąc. — Wszakżeż tam dziś pan Zebrzydowski ze swoimi...

— Właśnie-ż ja do rokoszanów pchnąłem syna, do rebelizantów.

Bobola porwał się ze stołka, jakby go kto ukropem oblał.

— Oszalałeś!... Co gadasz!... Bodaj ci język kołkiem stanął!

Zboiński podniósł się także. Z założonemi na piersiach rękoma patrzył spokojnie na Bobolę.

— Nie rozumiemy się, panie podkomorzy — wyrzekł z naciskiem, ale głosu ani trochę nie podnosząc. Na gwałtowników najskuteczniej to działa.

Bobola oczy i usta szeroko otworzył.

— Więc... jakże to?... — głosem niepewnym zapytał.

— Konrada-m posłał rzekomo na sprzymierzeńca, a naprawdę: abyśmy u adwersarzów człeka swego mieli. Taki setnie usłużyć nam może. Niech skarbi sobie łaskę króla jegomości fortelami, skoro usłużyć inaczej sądzonem mu nie było.

Bobola usta zamknął i siadł, aby rzeczy usłyszane w umyśle przetrawić.

— Czemużeś mi tego, mój miły, odrazu nie rzekł? Gadałeś niewyraźnie, *awa* głupstwo usłyszał.

Ręce zatarł i dodał ciszej:

— I jakżeś to tam urządził, Zboińsiu?

Zboiński przystąpił bliżej i odrzekł, również głos zniżając:

— Konrad dojeżdżać ma do mnie nocą. Na Węgrzynowskiem twardo sypiają — nikt nie wypatrzy. W pisma-m bawić mu się nie kazał. Zdradna to rzecz; broń dla wrogów gotowa.

Bobola kiwał głową przytwierdzająco. Rękę położywszy na stole, palcami po nim bębnił.

Znać było, że rad jest temu, co usłyszał, że zadowolony ze Zboińskiego.

Szlachcic postanowił tę okoliczność wyzyskać. Minę przybrał pokorniejszą jeszcze...

— Kosztowało mię to siła... — żałośnie szepnął.

Bobola, domyślający się rzeczy, uszu nadstawił.

— Trza było jedynaka wyprawić uczciwie — ciągnął tamten. — Siodełko mu się kupiło, pistoletków parę, rzędzik na konia grzeczny. Szabelkę-m mu dał swoją, od Machabejów ją wykupiwszy. A co było srebrników doma, wszystkie w kieszeń Konradową przeszły. Syn szlachecki nie mógł, jak Lazarus, stawać w kole rycerskiem.

Bobola zrozumiał, do czego to zmierza. Przystał bębnić, czoło potarł z miną frasobliwą.

Dawanie przyjemności mu nie sprawiało — brać wolał. Było w tem nieco skąpstwa, starym bezzennikom właściwego, ale była i konieczność liczenia się z groszem, aż nadto okolicznościami ówczesnemi usprawiedliwiona.

— O usługach waszmościnych powie się królowi jegomości — mruknął, w ziemię patrząc. — Nagrodzi. Aleć i jam tobie za uprzejmość powinien.

Zaszurał nogami, wstał. Postępując, podszedł

do sporej, okutej szkatuły, którą dźwigała dębowa, na krzepkich nogach, podstawa.

Otworzył szkatułę małym, srebrnym kluczykiem, wieka uchylił — rękę zanurzwszy, wydobył jeden z rulonów, które tam leżały.

Nie złoto było w nim, niestety, lecz srebro.

— Naści — rzekł, kładąc pieniądze na wyciągniętej dłoni Zboińskiego. — Opatruję, czem mogę. Ale i u mnie skapo.

Szlachcic zważył srebro w ręce, do kieszeni wsunął. Waga wydała mu się dostateczną. Pochylił się i z rozrzewnieniem dobrodzieja swego w łokieć pocałował.

Bobola po każdym datku zręcznym się stawał. I teraz, szkatułę zamknąwszy, rozpoczął zwykłe utyskiwania.

— Nie przelewa się u nas, mój miły — płaczliwie mówił. — Podarli nas, połupili, poubożyli. Podarty i król jegomość, tak, że i siebie i nas nie ma czem ratować. Z poborami trudność nieznośna. Krzyczą na króla o obronę, a skądże? Połupiony, jako i my, że i stołu swego czem opatrować nie ma. Wszyscy zewsząd wołają: „daj! daj!“, a gdy nie masz co, to zaraz na rokosz. Siła jedzą, siła biorą, siła chcą, nienasycona to czeladka. Żołnierz niepłatny, ruszyć się z leż nie chce; swawolni wydzierają, ubodzy wrzeszczą pomocy, a w a źle. Dla Boga! przemogą-li króla, zginiemy-ć wszyscy!

Czarne myśli zasnuły umysł staruszka. Głowę na piersi zwiesił, w głęboką zadumę zapadł.

Zboiński wymruczał pocichu pożegnanie i wyszedł na palcach z komnaty.

VII.

Była już blisko północ, gdy stary Kawka pożegnał biedującą na poddaszu własnej kamienicy bratową. Od niepamiętnych czasów ani odwiedzin tak długo nie przeciągał, ani nie powracał tak późno do domu. Ale była to pora wyjątkowa; sejm wszystko w stolicy wywrócił na nice.

Nie do swojego zresztą domu szedł stary mieszczanin, czekaniem postukując. Od początku sejmu sypiał w niedużej izbie przy kramnicy ratuszowej. Jego dom, zajęty przez butnego dygnitarza, przepelniała zgraja wielkopańska, od której wrasków i lekceważącego obejścia się jak najdalej uciekał.

Przy dziadku mieścił się Krzyś, nie chcąc być babce Kawczynej ciężarem.

Od kamienicy narożnej do kramu w Ratuszu i stu kroków nie było. Jednak Kawka na odbycie tej drogi blisko pół godziny zmitrężył.

Na Rynku, gdzie zwykle o tej porze grobowa ciemność i grobowa cisza panowały, wrzało teraz, jak w kotle czarownic.

Poważna siedziba patrycyafu Starej Warszawy przypominała przez pół żołnierskie obozowisko, przez pół tabór cygański.

Surmacz na wieży ratuszowej otrębywał godzinę po godzinie, przypominając melodią coraz cichszą i coraz żałośliwszą potrzebę snu i milczenia. Co pewien czas rozlegały się lekliwe nawoływania pacholków magistrackich: „Goście ogień, gospodarze!”...

Odpowiedzią na pierwsze wezwania były pieśni

pijackie podochoconej szlachty i „towarzyszów“. Odpowiedzią na drugie — ogniska, palone przed domami, wprost na ogołoconej z bruku ziemi.

Starzec z trudnością przeciskał się przez ciżbę. Ani jego białe włosy, ani dostojność, z oblicza i całej postaci bijąca, nie budziły w nikim uszanowania. Nie ustępowano mu z drogi, potrącano go — ba! przygryzków szyderskich i jawnych obelg nasłuchać się musiał po drodze.

Właściwa ludność Starej Warszawy pochowała się w kryjówki, zataiła się, znikła. Rej wiedli przybysze: wszelkiego rodzaju hałastra, czepiająca się pańskiej klamki, dworskie i obozowe ciury, wszystko, co wyobrażało najniesforniejszy a zarazem najzuchwalszy i najbardziej pewny siebie żywioł w Rzeczypospolitej.

Co kilka kroków, młodzi junaczkowie, w przekrzywionych, futrem oszytych kołpakach, tamowali przejście, zabawiając się krzesaniem iskier z bruku końcem szabli lub stalowem okuciem czekana. Był to odrębny rodzaj wytworności, który, jako taki, miał też i nazwę odrębną. Nazywano takich zuchów „burkownikami“, gdyż i bruk zwał się w owe czasy „burkiem“.

Przed domami, na wystających gzemsach, na stopniach schodków kamiennych, na ławkach w poprzek chodnika ustawionych, rozsiadała się służba magnacka, zaopatrzona w bandurki, bałałajki i piskliwe fujary.

Przy narzędziach muzycznych połyskiwały cynowe kufle z piwem lub tanim miodem. Ten i ów miał flaszę wina, z zapasów pańskich odjętą.

Grano, pito, paplano, co ślina do ust przyniosła — niektórzy próbowali nawet puszczać się w tańiec.

Wśród rozbawionego, napół lub całkowicie pijanego tłumu przewijały się postacie dwuznaczne: ormianie, żydzi, tatarzy, błyskając zpodobnionymi iskrzącymi oczami, podsłuchując rozmów, proponując w sposób tajemniczy to jakąś dziwną sprzedaż, to dziwniejsze jeszcze kupno...

W Kawce poznawano od razu mieszczanina. Nie było to dla starca z korzyścią. Najmizerniejszy szlachetka, najlichszy wycieruch dworskich przedpokojów uważali się w prawie okazywać „łykowi“ lekceważenie — nawet wzgardę.

Nietylko dla przedstawiciela stanu rycerskiego, ale dla ostatniego z jego służby łyk, zwłaszcza trudniący się handlem, był równy żydowi, poganinowi — wyobrażał prawie społecznego paryasa.

Było to tem dziwniejsze, że niektóre z rodów mieszczańskich — w pierwszym rzędzie Baryczkowie — posiadały szlachectwo zagraniczne lub krajowe indygenaty. Niejeden z synów Starej i Nowej Warszawy krew za ojczyznę przelewał, wszyscy zaś krzepili wycieńczony jej organizm złotem, za „ładą“ zebranem.

Kawka doświadczył w przejściu zniewag i upokorzeń. Jednego z najczcigodniejszych ojców miasta poszturgiwali „burkownicy“, wyśmiewali dworscy trefnisie, gburowatemi żartami obrzucała przedpokojowa i stajenna hałastrą.

Starzec znosił wszystko w milczeniu, z cierpliwością i poddaniem się.

Dziwne było źródło tej cierpliwości! Ona nie płynęła wyłącznie z rezygnacji chrześcijańskiej, ani z pobłażliwości, jaką miewają wyżsi dla małych...

Poważny rajca, niegdyś szafarz, w przyszłości może burmistrz Starej Warszawy, uczciwy kupiec,

zacyjny obywatel, mąż szlachetny, choć nie uszlachcony, jeśli ustępował przed byle szlachetką, czynił to dlatego głównie, że w głębi duszy — czuł się niższym od niego...

O tej niższości mówiły mu nieustannie: stosunki codzienne i publiczne, każde zbliżenie się do Zamku, do urzędu marszałkowskiego, do celników, do jurystów, do magnateryi. Od rana do nocy słyszał na każdym kroku hasło złowrogie, pokoleniom przez pokolenia podawane: „Biada plebejom“.

W młodości burzyło się w nim. Bywały chwile, gdy wznosił krzepkie ramiona do góry i zaciskając pięście, wygrażał porządkowi społecznemu. Z latami... przycichła buntująca się dusza.

Gdy podczas wyznaczania gospód uniósł się chwilowo na pazia królewskiego, lęk go zdjął później niezmierny. Przez długi czas nie śmiał w stronę Zamku chodzić...

Więc i teraz przeciskał się przez ciżbę, cierpliwym i potulnym. Serce krwawiło mu się na widok szlacheckiej i żołnierskiej swawoli — jednak milczał.

Przerażeniem i obawą przejmowały go zwłaszcza rozpalone tu i owdzie, w wązkim przejściu między Ratuszem a domami, ogniska.

Służbie magnackiej, do przestronnych, pałacowych izb nawykłej, było ciasno w szczupłych miejskich kuchenkach. Jadano wówczas obficie; kuchmistrz musiał niekiedy po kilkanaście dań przygotowywać. Gdy mu miejsca do roboty brakło, wynosił się z pomocnikami na miejsce otwarte, urządzał kuchnię trybem obozowym, to znaczy, pod gołym niebem.

Wyrywano wówczas bruk; murowano naprędce polne kuchenki, nakrywając je szałasami; goto-

wano pospolitszą „warzę“ w kotłach, nad roznieconym wprost na ziemi ogniem.

Zwykle o zmierzchu ogniska bywały gaszone; tu i owdzie tylko tły w popiele węgle, które zwyczajem wiejskim z dnia na dzień przechowywano.

Tej nocy, wbrew zwyczajowi, w kilku miejscach buchały z pod kotłów płomienie. Kotły zionęły na cały Rynek silnym aromatem. Z aromatu poznało się łatwo ich zawartość.

Jednemu z oświeconych przyszła była chętka na flaki. Kilku wielmożnych pospieszyło natychmiast w tem go naśladować. Flaki wymagają długiego gotowania. Aby je podać nazajutrz na drugie śniadanie, musiano zabrać się do roboty zaraz z wieczora.

Kawce wypadła droga mimo jednego z kotłów. Od wielkiego ogniska padała łuna purpurowa na czoło przeciwległej kamienicy. Czarne, wyolbrzymione cienie kręcących się przy ogniu kuchcików, nosiwodów, palipieców migwały szybko na murze, jak czereda tańczących szatanów.

Wszyscy byli pijani.

— Mospanie kupiec! — krzyczał kuchmistrz, kiwając na Kawkę wydobytą z kotła warzęchwią.— Prosiema jutro na flaczki.

Pomocnik jego, zataczając się, dodał:

— Jeno przynieść jegomość imbiru beczkę, albo dwie...

— Liści bobkowych! — dorzucił trzeci.

— Bobków!... — poprawił czwarty.

Wybuchnęli śmiechem.

Z szalasu wynurzyła się postać ponura, kudłata, z zaspanemi oczyma. Chłop to był wielki, w koszuli tylko a hajdawerach, z odkrytą, kosmatą pierśią, na której trząsał się szkaplerzy pęk.

— Porwan katu twój imbir! — mruknął, kładąc na ramieniu mieszczanina ciężką, jak ołów, łapę. — Daj ty nam swoich holenderskich plasterków, tych żółtych, okrągłych, co w lochu u ciebie pleśnieją. Bies czyści je ogniem, my winem rzetelnie opłuczemy. Dasz z dobrej woli, krzyknjemy-ć *vivat!* nie dasz, sami do nich trafimy, łyku zatracony!

Pchnął silnie starca i wczołgał się napowrót do szałasów.

Potoczył się Kawka, omal nie upadł. Ale z ust jego nie wybiegło słowo gniewu, ni skargi; wtulił głowę w ramiona i milcząc, powlókł się dalej, ku kramowi swemu.

Jedna myśl głowę mu zaprzętała. Patrzył na płonące stosy, które pijani pacholankowie coraz nowymi kłodami drzewa podsycali; na płomienie liżące czerwonymi ozorami chruściane pokrycia szałasów; na drewniane, wyschłe od lipcowego upału budy przekupniów i przekupek — i odmawiał pocichu a żarliwie modlitwę do świętego Floryana, patrona od ognia...

VIII.

Mimo późnej godziny, Kawka zastał wnuka czuwającego.

Krzyś siedział przy stole nad wielką księgą rachunkową. Głowę wsparł na dłoniach; oczy miał w jeden punkt utkwione. Widoczne było, że go nie obchodziły czerniejące przed nim cyfry.

Myśl młodzianka błądziła daleko. Lotna, tęsknotą uskrzydłona, przepatrywała całą przestrzeń Starej i Nowej Warszawy, wszystkie przedmieścia stolicy, wszystkie wioski podmiejskie — cały obszar Rzeczypospolitej.

Ta myśl siliła się nad rozwiązaniem trapiącej ją od lat pięciu zagadki...

Od powrotu do Warszawy, Krzyś każdą chwilę wolną obracał na poszukiwanie zaginionego dziecięcia Dorotki. Przysięga złożona umierającej nie dawała mu dniem i nocą spokoju. Ceną życia gotów był opłacić możliwość jej spełnienia. Ale za tą możliwością daremnie dotąd gonił.

Wszędzie był, wszystkiego próbował — naderemnie. W Zamku niczego dopytać się nie mógł. Zagadywał to tych, to owych — w odpowiedzi odbierał: wzruszenie ramion, uśmiech drwiący, giest wystraszone.

Strażnik z baszty narożnej i jego żona udawali głuchów. Zapytywani o Dorotkę, o dziecko, mówili o szczurach rozmnożonych w baszcie, o wodzie, co lochy zalała, o bólach świdrujących kości...

Krzyś był tem wszystkiem srodze strapiony. Zbliżał się termin wyjazdu do Gdańska; chłopca coraz bardziej gryzła myśl, że znów z niczem opuści Warszawę.

Na tych rozmyślaniach zeszedł go dziadek i surowo za długie czuwanie zgromił.

Układli się obydwaj, nie zwlekając, i twardo zasnęli.

Starego musiały dręczyć przykre widzenia, rzucał się i gniewnie pomrukiwał. Młody miał sny przyjemne.

Śniło się Krzysiewi, że po wielu trudach, odnalazł poszukiwaną dziewczeczkę. Była to już panna urodziwa, miała złoty warkocz i czesała go brylantowym grzebieniem. Trzymał ją w zamknięciu czarodziej; straż przy niej odprawiał smok o siedmiu paszczach ognistych.

Zupełnie, jak w bajce.

I jak w bajce: Krzyś smoka zabił, czarodzieja pokonał, więzioną sierotkę na wolność wywiódł. Potem, niewiele myśląc — ożenił się z nią.

Wesele było wspaniałe. Z moździerzy bito; we wszystkie dzwony dzwoniło.

Krzyś, ująwszy cudną żonkę pod ramię, zasiadł właśnie do stołu biesiadnego, gdy wtem... szarpnięto go gwałtownie za rękę.

Ktoś trząsał nim z całej siły, po imieniu nań wołał, błagał „prze Bóg żywy“, aby wstał i zobaczył co za dziwy na Rynku się dzieją?

Krzyś usiadł na pościeli, trąc kułakami oczy. Gniewało go, że ktoś nie jest w stanie zrozumieć rzeczy tak prostej, jak jego wesela z odczarowaną królewną...

Nic nie widząc z powodu tarcia powiek, słyszał jednak najwyraźniej, że wszystkie dzwony dzwonią, że ludzie drą się, że mordercy raz po raz wali na wiwat.

Odjął wreszcie ręce od oczów, otworzył je i — zdziwił się niezmiernie.

Zamiast sali w królewskim pałacu, ujrzał znaną sobie izbę przy kramnicy dziadowskiej. Nie była to izba rześcicie oświetlona; owszem, była prawie ciemna. Zalewało ją światło osobliwe, brudno-szkarłatne, jakie pada od dogasających na kominie głowni.

Skąd brało się to światło? Przezorny Kawka zawsze przed zaśnięciem gasił kaganek; komina w izbie nie było; nikomu też w samym środku lipca on nie był potrzebny. Dopiero szerzej otworzywszy oczy, poznał Krzyś, że jasność zagadkowa wpadała przez okno, które — jak wszystkie wówczas okna dolne — było umieszczone wysoko i zakratowane.

Na tem tle jasnem rysowała się wyraźnie postać Kawki z długimi, rozwianymi dokoła głowy włosami. W tej chwili nie były te włosy białe, lecz czerwone.

Prędko wróciła chłopcu przytomność. Zerwał się na równe nogi; z pośpiechem wciągał na siebie ubranie. Odziewając się, zrobił dwa spostrzeżenia: że dzwony naprawdę dzwonią i że huk rytmiczny pochodzi nie od wystrzałów z moździerza, lecz od dobijania się gwałtownego do drzwi czołowych.

We drzwi uderzano czemś bardzo ciężkiem, może belką na łańcuchach rozbujaną. Ktoś widocznie chciał te drzwi wywalić lub rozbić. Była to rzecz trudna, może zgoła niemożliwa. Gruba blacha zewnątrz, a od środka szerokie sztaby żelazne czyniły wejście do kramnicy prawie niezdołym.

Stary kupiec, obudziwszy wnuka, sam na kolana padł i modlił się. Zrozumiał odrazu niebezpieczeństwo i zrozumiał trudność obrony. Mądrość, latami doświadczenia nabyta, wskazywała mu dwa tylko środki obrony: modlitwę i samopomoc.

Z kolan powstawszy, jął Krzysiovi krótkie rozkazy rzucać.

— Pachołków trzech, z pałkami okutymi. Jeden do środka; dwóch przy drzwiach od sieni. O furtę od kramnicy spokojny-m. Nie poradzą, chybaby haubice zatoczyli. Potem na Rynek, języka dostać. Najpierw do babki Kawczynej. Ona tam sama, z białogłowami tylko a dziećmi. Uspokój niebogę. Pomoc jej zapewnij. W mojej kamienicy biskup stanął, to dość. Czujny bądź i ostrożny. Zwady nie szukaj. „Szlachetnym“ ustępuj. Gorzej ognia bać się nam trza — gascieli.

Niebawem przy drzwiach bocznych stanęli:

Józiek i Frączek — dwie karyatydy w parciankach, z bosemi stopami. Do wnętrza wkroczył ciężko Garbonos, olbrzym z głosem baranka, łapą niedźwiedzia. Wszyscy trzej trzymali w rękach istne maczugi, kolcami żelaznymi najeżone.

Krzyś z trudnością przecisnął się przez sień ratuszową. Była zatłoczona lamentującymi niewiastami. Niewiasty tuliły do piersi niemowlęta, starszą dziatwę fałdami spódnic osłaniały.

Wejście obsadziła straż miejska, uzbrojona w dardy. Z polecenia burmistrza odczepiono z łańcuchów i kulami nabito moździerzki wiwatowe, u każdych wrót stojące. Pacholków w niebieskich kabatach czuwali przy nich z zapalonemi lontami.

Było to dla postrachu tylko. Burmistrz prędzej pewnie odważyłby się strzelać do własnych dzieci, niż do zgrai, pod opieką Wielkiego Sejmu rozpustującej.

Gdy Krzyś wydostał się przed Ratusz, uderzył go blask oślepiający. Cały Rynek pławił się w ogniu. Wrzask tysiąca ludzi biadających, złorzeczących, rozkazujących zlewał się w jedno potężne, rozdzierające uszy wycie.

Nie było wiatru. Kolumna powietrza, wysokimi murami kamienic ściśniona, stała nieruchomo. Płomienie, podobne olbrzymim, wyprężonym wężom, z sykiem złowrogim biegły prosto ku niebu. Lekkie, falujące drgania dawały im pozór żywych stworów.

Nad temi ognistemi ostrzami dym zatrzymywał się i gęstniał, tworząc kłęby najpierw purpurowe, potem popielate, wreszcie smołowo czarne. Posępna, żałobna chmura rozpościerała się wzdłuż i wszerz, nakrywając miasto ciemnym, nieprzejrzystym dachem.

Budy straganowe i szalasy dopalały się już, tworząc jakby ognisty, w wielu miejscach powyszczerbiany szaniec. Wszelkiego rodzaju hultajstwo rozciągało zgliszcza, poszukując łupów. Wrzeszczeli jedni z przestachu, inni z wściekłości, inni jeszcze z bólu, bo bruk rozpalony parzył stopy nieobute, a głównie sypały się na obnażone, kudłate głowy.

Zajawszy w mgnieniu oka tę pierwszą, poziomą zawadę, ogień wdarł się zwycięsko na mury najbliższych kamienic. Zwarty zastęp wielopiętrowych, czcigodnych, nietykalnych olbrzymów, przez całe stulecia Starej Warszawie królować mających, zdrztał na widok świętokradztwa...

Gdy czerwone, drgające gady wypełzły z okien i z poddasznych otworów pierwszej, narożnej kamienicy, z tłumu, jęk buchnął i płacz.

Jedni rwali naprzód, chcąc dłońmi nagiemi tłumić płomienie; drudzy miotali się na wszystkie strony, jak opętani. Byli i tacy, co na bruku klękawszy, śpiewali psalmy głosem ogromnym.

Ci jęczeli: „Gore! gore!“ i stali w miejscu, ręce łamiąc w bezsilnej rozpacz; tamci wołali: „Rata! rata!“ i biegając z miejsca na miejsce, powiększali zamęt. Gromada klęczących ciągnęła ze szlochaniem i zawodzeniem:

Już mię śmierć sroga była otoczyła,
Już i piekielnych wód powódź strwożyła,
Jużem stał w grobie, już na mię była
Śmierć niefaskawe ręce wrzuciła;
W tej ja ciężkości będąc położony,
Obróciłem się do Pańskiej obrony...

Trzask pękających murów, łoskot sypiącego się

gruzu, wycie tłoczącego się bezradnie pospólstwa głuszyły śpiew. Po przerwie, znów na wierzch wypłynął nutą coraz boleściwszą, ale i coraz potężniejszą...

Ziemia zadrżała, a na wszystkie strony
Trzęsły się góry; Pan gniewem wzruszony
Z nozdrzy dym puszczał; oczy pały
Ogniem, a z twarzy węgle strzelały.
Siadł na Cherubiech, służyć gotowych,
Leciał na piórach skrzydeł wiatrowych...

Nad tym śpiewem, nad temi jękami, nad tem wyciem unosiła się górą muzyka dzwonów kościelnych. Spiżowe serca grzmiały, płakały, modliły się. Chmura czarnego dymu zakrywała wieże kościołów — dzwonienie wprost z otwartego nieba wychodzić się zdało.

Nagle łoskot wstrząsnął ziemią i powietrzem: runęła kamienica narożna.

W tejsze chwili stanął w ogniu dom, przypierający do niej ścianą szczytową.

Tłum oniemiał z przerażenia.

Była chwila prawie zupełnej ciszy — którą przerwał jęk śpiewających:

Wołali, a nie był ich nikt ratując;

Płakali, a nie był ich nikt żałując...

— Stul pyski, psiarnio luterska! — krzyknął, podbiegając do gromady, człowiek wysoki, bez zarostu, z twarzą bladą, w czarnej, długiej delii, w płaskim, z wydłużonemi skrzydłami, kapeluszu. — Za wasze to zbrodnie karze Bóg naród chrześcijański!

Krzyczącego tłum ciekawych otoczył.

— Co to? jako? — zagadnął stary, poważnie wyglądający mieszczanin. — Toć słyszę psalmy

Dawidowe ciągną. Nijakiej w tem obrazu Boskiej, *reverende...*

— Tak, tak! — miotał się tamten. — Dawida już złutrzyli, wrychle i samego Jehowę po heretycku przebiorą. Grzech i sromota dla uszu chrześcijańskich bezceństw takowych słuchać!

Zrobił się rumor. W obliczu wielkiej klęski umysły bywają podniecone, do wybuchu łatwe. Z wrzaskiem, złorzeczeniem, z pięściami podniesionymi rzucono się na protestantów.

Śpiewacy porwali się z kolan — uciekli; hałastra za nimi, gwizdząc, wyjąc, kamieniami z bruku wyrwanymi ciskając.

Tymczasem dopalała się druga kamienica, i ogień, którego tłumieniem nikt się nie zajął, postępował dalej tryumfująco.

Na tę chwilę trafił właśnie Krzyś, przed Ratusz wybiegłszy.

IX.

Bywają w rzece prądy, które pływaka, przed siebie dążącego, wbrew jego woli, w prawo lub lewo unoszą. Bywają takie same prądy i w tłumie.

Jeden z tych ostatnich porwał i uniół młodego Dąbka. Chłopiec dążył do babki Kawczynej, a znalazł się niespodzianie tuż przed objętymi płomieniem domami. Buchnął nań żar piekielny, jakby od stosu gorejącego — omal na ziemię nie powalił.

Kramnica starego Kawki mieściła się we wschodnim boku Ratusza; na wschodniej też stronie Rynku pożar najbardziej hulał.

Krzyczano tu na różne głosy: „gore!“ i „rata!“, przyzywano ku pomocy świętego Floryana, Przenaj-

świętszą Panienkę i wszystkich Świętych; zlorze-
czono żydom, lutrom i kalwinom; czyniono sobie
wzajem zarzuty, kłócono się, nawet bito. O jednym
nikt nie myślał: o ratunku.

Wybuch pożaru był tak nagły i tak straszny,
że tych, co go dostrzegli, odrętwił. Między odrę-
twionymi był i „surmacz“ z wieży ratuszowej. Pa-
chołek magistracki uciekł w przerażeniu ze swego
stanowiska i ani kagańca ostrzegawczego nie za-
palił, ani w dzwon alarmowy nie uderzył. Wyre-
czyli go w tem dzwonnicy kościelnej, ale wyręczyli
zapóźno.

Nierychło dostała się wieść o pożarze do miej-
scowego „superintendenta“. Jemu to prawo magde-
burskie, do statutu Zygmunta Augusta wcielone, zle-
cało bronić od ognia wyznaczonej dzielnicy. On też
czuwać miał, aby obywatele byli każdej chwili do
obrony gotowi.

Gdy ów nadzorca, przez pachółka magistrac-
kiego zbudzony, zabrał się do swej czynności, wy-
szły na jaw rzeczy osobliwe.

W domach „libertowanych“, od najazdu dygni-
tarskiego wolnych, wszystko było w porządku:
i narzędzia i cebry z wodą zapasową. Na nieszczę-
ście, takich domów w Starej Warszawie nie liczono
nawet dziesięciu. Wszędzie indziej, gdzie szlachta
gospodą stała, brakło wszystkiego, co się tam dla
bezpieczeństwa publicznego znajdować było po-
winno.

Słudzy dygnitarscy wodę ze stągiew wyleli,
wiadra na użytek kuchenny obrócili, drabiny porą-
bali na podpałkę, oseków użyli do poprawiania
ognisk pod kotłami. Trafili nawet na poddasza i ze
swawoli poświdrowali dziury w beczkach zapaso-

wych. Uciechę sprawiał im widok wody, z szumem po schodach spływającej...

Mała tylko cząstka tych, co u superintendenta „na rejestrze“ byli zapisani, do ratunku stanęła. Reszta, choć to sprawą gardłową groziło, z miejsc nie ruszyła. Bo i poco? Nie ugasić ognia połą, gorzących krokiew nie rozerwać rękami!

Burmistrz rozkazał otworzyć bramy miejskie od strony rzeki: Białą i Wiślaną. Rzucił się tłum, aby ceberkami wodę czerpać i do ognia nosić. Do beczki magistrackiej zaprzężono konie, ale je wnet służba dygnitarska na użytek jaśnie wielmożnego zabrała. Prałat czy wojewoda, nawet w tym gwałcie bez cugu poszóstnego obyć się nie mogli.

Wogóle, jaśnie wielmożni, jaśnie oświeceni i przewielebni tylko o sobie pamiętali. Gdy pospołu z garstką pachółków miejskich pośpieszyli do ognia sami posesyonaci — a byli między nimi męże dostojni powagą urzędów, oraz starcy siwowłosi — uniemożliwiono im ratunek i szorstko, od własnych częstokroć domów, odepchnięto. Zgraja służbowa zajęta była wyłącznie: pakowaniem, wynoszeniem, wywożeniem rzeczy do wspaniałej osoby mecenasów należących — i nienależących...

Rozpychano, poszturgiwano, przewracano i deptano obrońców własnego mienia.

Gdzie ścisk największy, rozlegało się nagle strzelanie z biczów, kwik przerażonych ogniem koni, łoskot kół skaczących po nierównym bruku. To wytaczała się ciężka, pozłocista karoca, unosząc dostojne ciało któregoś z dygnitarzy.

Służalcy otaczali pojazd, wrzeszcząc zuchwale ochryplemi z napięcia głosami:

— Miejsce dla jaśnie wielmożnego referendarza koronnego świeckiego!

— Ustąpić przewielebnemu jegomości księdzu biskupowi kujawskiemu!

— Z drogi, psie mięso kramarskie!

— Puszczaj, straganowa hołoto!

Na wszystkie strony sypały się kije, kułaki, uderzenia bicia. Nie zważano na wiek, płeć, stanowisko społeczne. Jednak się nikt z pokrzywdzonych nie bronił. Nikomu to na myśl nawet nie przyszło. Jęczano tylko, albo płakano z cicha, jakby obawiając się, aby nie uraziła kogo skarga zbyt głośna.

Krzyś, z miejsca na miejsce przierzucany, znalazł się w samym środku wielkiej, z różnorodnych żywiołów złożonej, gromady. Prym tu trzymali mieszczankowie Nowej Warszawy, brać młodsza poważnego, staromiejskiego patrycyatu.

Obecność ich ujawniała smutną prawdę: że wbrew rozkazom burmistrza, wszystkie bramy miejskie stały otworem. Odemknąć je sobie kazała uchodząca przed niebezpieczeństwem szlachta, drwiąc z ustanowionej niedawno przez siebie samą konstytucyi, ciężkie kary na „gwałcicieli bron“ nakładającej. Wyłomem, przez szlachtę uczynionym, wlewały się fale ludności z przedmieść i wiosek pobliskich. Tłok i zamęt rosły z każdą chwilą.

W gromadzie krzyżowały się pytania, odpowiedzi, uwagi, okrzyki zdziwienia i zgrozy.

— Katerlina na szczęć pono zgorzała?...

— Do cna, kumie Kacprze! do cna!

— I Walterowej kęs nadgryzło...

— Olaboga! znów tyn gruchną! Zakurzyło się, jak we młynie!

— Widzita tam wysoko... gdzie on gargulec czartowski?...

— Cości, jak głowa człeczka... ooo!...

- Szyję widać, i ręce...
- Biedna duszo chrześcijańska!... Bez sakramentów na śmierć idziesz!
- Zamroczyło was, kumo... Adyć pysk kozi, skrzydła niedoperzowe!
- Jakże te dzwony lamentują!... o! jakże ta-mentują!...
- I Orlemusy zgorzeli... Bóg ich pokarał!... Poco drzewo nowomieszczanom wydzierali?...
- Wielu powiadacie?
- Siedemnaścioro chłopu, białogłów dziesięć abo i więcej, młodzianków i panienek czystych nie zliczyć...
- Będzie mór...
- I głodowanie...
- Oj ludzie! ludzie!... Oj Sodomo, Gomoro!...
- Nie krzyczeć, nie pomstować...
- *Fiat voluntas Tua... sicut in coelo et in terra...*
- Święty Floryanie!... Przerzuciło się na Dziordziową...
- Wszystkimi oknami buchnęło w momencie... Prawy piec Antychrysta!
- *Miserere nobis, Domine!*
- Rata! rata!
- Nagle w tej stronie gromady, co była najbliższa pożaru, rozległy się krzyki piskliwe, bez ochyby niewieście.
- Tłum poruszył się; w jedną i drugą stronę za-kołysał. W tłumie wytworzył się ruch odśrodkowy. Taż sama siła przemożna, przez którą Krzyś znalazł się w samym środku gromady, teraz wyrzuciła go na jej czoło.
- Tam właśnie niewiasty łamały ręce nad głowami. W zmieszanej gwarze ledwie można było odróżnić głosy oddzielne.

— Taka anielska dziecina!
— Taki cherubinek serdeczny!
— W samym giezłeczku była... ze stopkami bo-semi...

— W wianuszkę na głowieńce różanym.

— Nie różanym, lelijowym.

— O rajske wonności!

— O słodkości niebiańskie!

Niewiasty, zawodząc, stały w miejscu. Krzyś precisnął się między nimi bez trudu.

Czuć tu już było żar blizkiego ognia.

Wprost lamentujących płonąła kamienica Gior-gia, muzyka królewskiego. Nad dachem, który naj-pierw się zajął, unosiła się jakby czupryna gorejąca. Ogień zaczynał już przenikać do wnętrza; oknami wysuwały się błyszczące ostrza płomieni.

Ze szczytu leciały na bruk płonące głownie, wę-gle rozżarzone, kawały rozpalonego żelaza, gruz, cegły.

Tłum odsuwał się coraz dalej od płonącego do-mu, przypierając do murów Ratusza.

Ale przestrzeń pomiędzy tłumem a pożarem nie była zupełnie pusta. Biegała tam, kołując, jak gołąb spłoszony, pięcioletnia może dziewczynka, bosa, w samej koszulinie, z włosami dokoła główki roz-wianemi.

Oszołomiona blaskiem, wrzawą, gorącem, wy-dawała się napół nieprzytomną. Przed chwilą je-szcze pewnie spoczywała w łóżeczku, śniła o kwia-tach i aniołach. Teraz rzucała się obłędnie w tę i w ową stronę, wołając rozpaczliwie:

— Ojcaszku!... Mateńko!

A potem:

— Do ojcaszka chcę!... do mateńki!

Głos dziecka, cienki, przenikliwy górował nad

wrzawą i do uszów tłumu dochodził. Słyszeli go wszyscy — nikt nie chciał wysłuchać. Dziwne zdętwienie, niby paraliż woli, jakiego ptak na widok gada doznaje, trzymało tłum w miejscu.

Nagle dziewczynka krzyknęła głośniejsz, rozpostarła ramiona, i podobna lecącej w ogień ćmie białej, w płomienie skoczyła.

W tejże chwili Krzyś odepchnął ostatnią, stojącą mu na drodze kobietę. Odepchnąłby matkę rodzoną, gdyby mu drogę zagradzała. Oczy miał w jeden punkt wbite, ręce wyciągnięte przed siebie. Z tem spojrzeniem nieruchomem, z temi rękoma wysuniętymi, rzucił się za dzieckiem w otchłań ognia i dymu.

Tłum nie zdążył jeszcze krzyknąć — on już wynurzył się napowrót, cisnąc do piersi białą, drobną istotkę.

Otoczono go — on raz jeszcze tłum rozepchnął, usuwając się jaknajdalej od pożaru — o ile na to ciżba pozwalała.

Dziewczynka w pierwszej chwili wrywała mu się, płacząc i rodziców głośno przywołując. Nagle zamilkła i bystre spojrzenie zatopiła w twarzy wybawcy.

Oczy i włosy miała czarne, twarzyczkę bladą, szczupłą. Czyniła wrażenie czegoś bardzo cennego, a zarazem bardzo kruchego. Wyglądała, niby cacko zamorskie.

Dzieci miewają spojrzenia do głębi duszy sięgające. Spojrzenia takiego człowiek zły nie wytrzyma.

Przed czarnemi oczami dziewczynki, która tak właśnie patrzyła, Krzyś swych oczu niebieskich nie spuścił. Ona dostrzegła to i uspokoiła się. Bystre

dotąd oczki zaczęły spoglądać słodziej; usteczka straciły wyraz surowy.

Dziewczynka westchnęła głęboko, jak ten, co w strapieniu ciężkiem nagłej ulgi doznaje. Przytuliła się do piersi młodzieńca, obie rączki zarzuciła mu na szyję.

Przy tym ruchu koszulka, pod szyją rozpięta, zsunęła się z prawego ramienia. W całym Rynku było widno, jak w dzień słoneczny. Przy łunie pożarnej Krzyś dojrzał bez trudności odcinające się wyraźnie na białem ciałku: cztery ciemne plamki.

Stał w miejscu i obrócił dziewczynkę w ten sposób, aby światło pożogi wprost na jej ramię padało.

Plamki, czterem sinym, niezamkniętym kółkom podobne, zarysowały się jeszcze wyraźniej.

Wpatrywał się w nie jak nieprzytomny, mało zważając, że tłum falujący miota nim gwałtownie w tę i w ową stronę.

— Cztery C — wyrzekł ktoś nagle za jego plecami głębokim, metalicznym głosem.

Odwrócił się.

Stał za nim cudzoziemiec w bogatym, hiszpańskim ubiorze. Na jego twarzy oliwkowej czarny zarost wydawał się jakby tuszem wymalowany. Nad nosem zbiegały się grube, wężykowate brwi, do pijawek podobne. Wielkie oczy mocno błyszczwały.

Cudzoziemiec wpatrywał się w obnażone ramię dziecka. Wpatrywał się tak pilnie, jakby poza tem ramieniem nic go na świecie nie obchodziło.

— Nie rozumiem, o co chodzi waszmości — rzekł Krzyś z powstrzymywanem zniecierpliwieniem.

Bogaty strój i surowe oblicze nieznanego kazaly mu być powściągliwym.

Hiszpan wysunął z pod płaszcza rękę. Żółtym, zakrzywionym, jak szpon ptasi, palcem wskazywał znamiona, głośno je licząc.

— Jedno C... drugie, trzecie, czwarte C. Nie brak żadnego. Niech będzie imię Pańskie pochwalone!

Mówił językiem łamanym, mieszając wyrazy polskie, hiszpańskie, łacińskie.

— Na wieki! — dokończył prawie nieumyślnie Krzyś.

Ale zaraz, usuwając się cokolwiek na stronę, z wyraźną już niecierpliwością oświadczył:

— Każdemu droga wolna. Racz waszmość iść w swoją.

Zdawało się, że dopiero teraz nieznanomy dostrzega młodzieńca. Popatrzył nań przez chwilę dziwnym, jakby gorejącym wzrokiem. Potem obie ręce wysunął ku dziewczynie, ruchem drapieżnika, sięgającego po zdobycz.

— To dziecko naznaczone — wyniośle rzekł. — Oddaj mi je. Nie do ciebie należy.

— Widzi mi się, że i nie do waszmości — odparł Krzyś hardziej, bo go wyniosły ton cudzoziemca uraził.

— Nie wiesz, co mówisz. Uparty jesteś i ciemny. Ani do ciebie, ani do mnie w szczególności. Do Boga najpierw, potem do wszystkich wierzących na ziemi. Jednak nikt nie ma do tego dziecka więcej praw nademnie.

— I czemu to? — spytał tamten prawie drwiąco.

— Bowiem ja tylko jestem, który odczytać potrafię, co na niem dłoń Pana wypisała.

— Toś waszmość pewnie prorok...

- Kto wie.
- Albo czarownik...
- I to być może.

Dziewczynka podczas tej rozmowy nie spuszczała oczu z hiszpana. Wyraz tych oczu mówił, że cudzoziemiec nie przeraża jej — zaciekawia raczej, może nawet pociąga.

Hiszpan coraz śmieiej przysuwał się do dziecka, a Krzyś już mu tego nie bronił. Zbudziła się w nim ciekawość, z trwogą zmieszana. W czarowników wierzył, bał się ich; o ich władzy, cudownej niemal, nie powątpiewał.

Tłum poniósł obu pod ścianę Ratusza. Znaleźli się w miejscu nieco spokojniejszym. Można tu było od biedy rozmawiać.

— Powiadasz mi waszmość rzeczy ciekawe — odezwał się Krzyś miękcej. — Jeśli to hieroglify, kryć się w nich musi jakowaś sentencya. Radbym ją poznać.

Hiszpan przybrał minę wyniośle dobrotliwą.

— Poznasz ją — rzekł, przysuwając się tuż do dziecka. — Don Pedro, Rodriguez de Villanuova, hrabia de Montegiocondo, margrabia de Malvafra, kawaler di Sant Jago y d'Alcantara spełni życzenie *senora*. Hanusiu, daj rączkę.

Ruchem niby nieumyślnym odwinął kraj lekkięgo, czarnego płaszcza. Zaiskrzyła się pod płaszczem wyszywana złotem i kamieniami drogiemi szata granda hiszpańskiego.

Krzyś doznał olśnienia. Niewiadomo jednak, co z trojga niespodzianek najsilniej nań oddziałało: tytuły, strój czy też nazwanie dziecka po imieniu?

Na widok haftów złotych i brylantowych zapinek, w których przelewały się ognie tęczowe, dziewczynka puściła szyję swego wybawcy — ramiona

ku hiszpanowi wyciągnęła. Krzyś nawet nie próbował bronić jej tego. Ocknęła się w nim uniżoność pokojowca królewskiego. Kołpaczka uchylił, grzecznie spytał:

— Wasza miłość pewnie z poselstwa. Może od księcia Mendozy?

Cudzoziemiec kiwnął głową przytakująco.

— Gospoda waszych miłości zgorzała. Nie-szczęście!

Hiszpan ruszył ramionami lekceważąco.

— Wiedzącemu świat cały gospodą.

Wyciągnął rękę, objął kibić pochylającego się ku niemu dziecka.

— Pokaż ramięczko, Hanusiu — z przymile-niem rzekł. — A ty, *senor*, potrzyj to.

Podał młodzieńcowi wydobytą z fałdów płaszczka, w czarny czamlot zawiniętą, paczkę. Była nieduża, ale bardzo ciężka. Mając obie ręce wolne, jedną przytrzymał dziecko, drugą odchyłał rękaw koszulki. Twarz przyłożył niemal do samego ramięczka. Jego wielkie oczy, w których odbijała się łuna pożaru, zabłysnęły krwawo, jak dwa karbunkuły.

Palcem wodząc po ciemnych piętach, przemówił głosem poważnym, prawie kapłańskim:

— W imię Boga, w Trójcy utajonego. W imię Róży i Krzyża. Niech słuchają, którzy mają uszy do słyszenia; niech staną się wiedzącymi, którzy są ciemni, ale łakną światła. Oto co mówi Pan przez stygmaty dziecięcia: *Crux Christi Corona Christianorum*. Niech będzie imię Pańskie błogosławione.

Krzyś pochylił głowę, przejęty wzruszeniem. W teże chwili wydało mu się, że z jego ramion coś sfruwa. Zacisnął objęcia, głowę podniósł — struchlał.

Na jego ręce dziecka już nie było.

Jedno mgnienie oka wystarczyło hiszpanowi do pochwycenia dziewczynki i zniknięcia z nią w tłumie.

Krzysiówi zahuczały w uszach słowa przysięgi, którą przed pięciu laty składał w Baszcie Naróżnej. Krzyknął przerażającym głosem: „Chwytaj!” i w tłum się rzucił za zbiegiem.

X.

Z chwilą ukazania się ognia, rumor się zrobił w Zamku. Gdy łuna rozpostarła się w promieniu kilkowieństwowym, zakotłowało się i wśród rokoszanów pod Jeziorną.

I tu i tam miano obfitość koni, beczek oraz silnych, wypoczętych ludzi. Zdawało się rzeczą zupełnie prostą, że jedna lub druga strona, a może obie strony pospołu, przyjdą z pomocą staromieszczanom. Wszakże to byli nietylko bliźni, lecz i rodacy.

Stało się inaczej. W szale namiętności politycznych uczucia proste, przyrodzone milkną. Ani w siedzibie królewskiej, ani w obozie rokoszowym nie pomyślano nawet o nieszczęsnych.

Kramarze, imbirnicy, łyki pozostawieni byli po wszystkie czasy samym sobie.

Zygmuntowi niedość było rzucić na pastwę ognia Starą Warszawę: on nie zakłopotał się nawet o całość Zamku królewskiego. Gdy tylko stwierdzono, że płomienie w tym kierunku idą, wyniósł się zeń, jak podróżny z cudzej, czasowo zajmowanej gospody.

Zbudzony, na pierwszą wieść o pożarze, płacząliwie zawołał:

— To rokoszanów sprawka! Zebrzydowski w tem i Radziwiłł!

Naciągając delię, podawaną przez pokojowca, powtarzał nieprzytomnie:

— Uciekać... uciekać... uciekać...

Dworzan, po rozkazy przybywających, odsyłał do „panny Orszuli“, z Bobolą radzić im kazał.

Niebawem zatoczyły się dworskie kolebki. Król, otoczony swoimi, rzucił się z pośpiechem do wyjścia.

Na szczęście, byli w Zamku ludzie wojenni. Ci ocalili cześć majestatu. Za ich sprawą ucieczka przybrała charakter — wycieczki.

O kilka staj od miasta znajdowały się hufce zbrojne. Przywiózł je z Litwy, na czas sejmu, Chodkiewicz. Pod ich skrzydła schronił się orszak królewski, otoczony strażą przyboczną i niemieckimi drabantami.

Zauważono ten ruch pod Jeziorną.

— Regaliści zaczynają! — gruchnęło między rokoszanami. — Pan hetman litewski cholery swej zawściągnąć nie zdołał.

— To i lepiej — mówili przezorniejsi. — nie nas świat nazowie Kainami.

Rozległa się komenda — cały obóz na nogi się porwał. Towarzysze skoczyli do koni; piechota ścisnęła się w szeregi. To tu, to tam, zagrały trąbki — cicho, krótko, lekliwie. Jeszcze chwil parę, i silny oddział stanął w szyku bojowym.

Tymczasem na niebie luna wznosiła się coraz wyżej, gasząc blade, rzadko rozsypane gwiazdy. Nie zdawano sobie sprawy ze złowrózbnego zjawiska. Najpierw ciekawość, potem niepokój, wreszcie trwoga głucha nurtowały serca zbrojnych.

Wszakże to nie gród nieprzyjacielski gorzał,

jeno prastara macierz Mazowska, od niedawna i całej Korony.

Kilku starszych zjechało na stronę, radząc. Wrócili niebawem do szeregu. Po chwili od ścieśnionego hufca oderwał się jezdny. Bez zbroi był i bez rynsztunku zupełnego; szablę miał tylko, połą długiej opończy ostrożnie nakrytą. Na czleka wojennego zgoła nie wyglądał.

Jezdny ruszył szlają w bok. Potem, z płasko-wzgórza zjechawszy, pocwałował manowcami ku Warszawie.

Nie ujechał daleko — zatrzymała go czata hetmańska. Hasła nie znał, stawiony został przed dowódcę oddziału. Nie stracił rezonu. Szybko rozpruł podszewkę germaka, dobył zaszyty pod nią pergaminu kawałek.

Na pergaminie było pismo Boboli i pieczęć podkomorska.

Puszczono go swobodnie, bez dłuższych wypytywań.

Jeździec popędził ciężkim klusem wprost do miasta. Jechał, nie zatrzymując się. Na drodze nie było nikogo, od kogoby języka mógł dostać.

Na folwarku starościańskim mieszczanie rolni spali twardym snem ludzi spracowanych. Na „Gółubskim“ psy tylko ujadały; nie było widać ani jednego światelka.

Dopiero w pobliżu obszernej, gęsto zaludnionej posiadłości jegomości księdza Baranowskiego, biskupa płockiego, dały się słyszeć zmieszane, wrzawliwe głosy. Turkot kół, parskanie koni, nawoływanie woźników wskazywały, że zjechali tam liczni goście. Byli nimi posłowie sejmujący, wypłoszeni pożarem ze śródmieścia.

Wyminąwszy Baranowszczyznę, jeździec za-

trzymał się na rozdrożu, skąd już widziało się pożar, jak na dłoni. Do niedawna stało w tem miejscu skromne domostwo krawca warszawskiego, Mikołaja Czajki — teraz wznosił się wielki dwór margrabiów brandeburskich. W oknach było ciemno. Żaden prusak gościną tu nie bawił — lub może bawiąc, zdradzać się z tem nie chciał...

Droga biegnąca wprost jeźdźca wiodła bezpośrednio do Bramy Krakowskiej. Osiadły ją po bokach dość gęsto dwory i dworki. Inna, krzyżująca się z pierwszą, była pusta i ciemna. Lewe jej ramię tworzyło prostą, drzewami wysadzoną, aleję.

Aleja prowadziła na plac Węgrzynowski.

Jeździec zsiadł z konia. Zdjąwszy długą opończę, złożył ją i do siodła przytroczył. Potem powiódł wierzchowca w głąbię alei, uzdę mu na szyję zarzucił i silnem uderzeniem dłonią po zadzie do biegu przynaglił. Szkapa, świadoma drogi, pocwałowała luzem ku dworkom Węgrzynowskim.

Jeździec pobiegł do miasta.

W jego ciemnych, niespokojnie latających oczach błyszczał płomień żądy gwałtownej.

XI

— Szlachta wracają!...

Niespodziana wiadomość przebiegła błyskawicą stłoczone na Rynku tłumy. Zadziwiła wszystkich, wzruszyła — otuchy dodała.

Więc nie uciekli, jak tchórze i sobki?

— Ho! ho!... karmazyni!... — pomrukiwali, trącając się łokciami, mieszczankowie. — Hardzi w gębie, wspaniali w sercu... Wszystko zmogą, gdy się zavezną; nie ostanie się i ogień przed nimi!...

Bramą Nowomiejską i Krakowską walił tłum szlachty biedniejszej, przydwornej, pasożytniczej. Miny mieli butne, wzrok wyzywający, rękę na szabli. Magnatów, „mecenasów“ swych zawiedli w miejsca bezpieczne; ochota im przyszła raz jeszcze piekło pożaru nawiedzić.

— Po co?

Ci, co z tem zapytaniem wystąpili, nie potrzebowali czekać długo na odpowiedź.

Gromada, która wtargnęła Bramą Nowomiejską, zaraz na Gołębiej rozdzieliła się na kilka band pomniejszych. Bandy poznikały niebawem w otworach loszków, których wyjątkowo wiele znajdowało się w tem miejscu. Do loszków schodziło się wprost z ulicy, nie sprzedawano zaś w nich nic innego, jeno miód, wino a piwo.

Jedne loszki były zaryglowane, sztabami założone, na głucho zabite; drzwi innych, wbrew artykułom marszałkowskim, pozostawiono miedomknięte. Butne junaki trafili do tych i do tamtych. Gdzie nie wystarczało lekkie pukanie, pomogła pięść i głowica szabli.

Ci, co zeszli w podziemia, nie bawili tam długo. Wynurzyli się niebawem na powierzchnię bruku, butniejsi jeszcze, bardziej rycerscy. Rozlegały się za nimi zlorzeczenia i jęki — odpowiadali na nie piosenką dziarską i brzękiem szabel.

Z piosenką i brzękiem rzucili się w Rynek.

Sądny dzień tam panował. Mury padały z hukiem piorunów; płomienie syczały, jak gady; dym dławił; powietrze było pełne iskier, brzęczących, jak pszczoły i jak pszczoły kęsających.

Ogień pożarł już prawie cały wschodni bok Rynku. Kamienica Giorgia była dogasającym zgłiszczem. Okazałe domy: Gizów i Strubiczów gorza-

ły, jak stopy. Płomień sięgał już Jezuickiego „Klasztoru” — gdzie może Skarga, w zachwyceniu anielskim, leżał krzyżem na ceglach, nie widząc i nie czując nadchodzącej zagłady...

Pośród zgłiszczy biegały napół odziane niewiasty, deptąc bosymi stopami głównie, rwąc włosy z głowy, wyjąc głosem nieludzkim. Kostki ich działek skwierczały w huczącym piekle pożaru.

Junaczkowie wstąpili w ten zamęt z postawą zdobywców. Rozstępowano się przed nimi. Oni krokiem rycerskim ruszyli prosto do kramnic i — odbijać je zaczęli.

Przerażenie tłumu było w pierwszej chwili tak wielkie, że nawet oporu nie stawiał. Ale gdy ujrzano opróżniane z towarów police, odmykane przemocą skrzynie, zbudził się w mieszczanach zmysł zachowawczy i towarzysząca mu zaciekłość. Rzucono się do walki z grabieżcami.

Z jednej strony zabłyśły szable i kordy, z drugiej podniosły się czekany, sztaby żelazne, drągi, nawet metalem okute — łokcie.

Krew się połała...

Był to przedsmak blizkiej tragedyi pod Guzowem, gdzie „krew zmieszać się miała z ołowiem”.

Pomimo rozpaczliwych wysiłków mieszczan — hamowanych wrodzonym, przygniatającym uczuciem niższości wobec przeciwnika „uprzywilejowanego” — rabusie zdołali złupić kilka kramnic — przeważnie szkockich i ormiańskich.

Za szlachtą zwyrodniałą rzuciła się do rabunku kupa obdartego hultajstwa, niewiadomo skąd i kiedy wypełzła. Wszystko, co w przeddzień sejmu „wyświecono” z miasta, a co krążyło dokoła jego murów, jak rekiny dokoła okrętu, wdarło się teraz rozwartemi przez łupieżców bramami.

Rządy nad kupą objął drab kudłaty, ponury — ten sam, którego ciężką łapę poczuł był stary Kawka na swem ramieniu. Bosy, w koszuli rozpiętej, w szerokich hajdawerach, z trzęsącym się na pierśsiach pękiem szkaplerzy, powiódł wyjąca zgrają do kramu ormianina, kupczącego bławatami, złotem i srebrem.

Ciężka, z pogorzeliśka wyciągnięta, przez kilkadziesiąt rąk na powrozach rozbujana belka wystarczyła do rozbicia drzwi okutych. Czerń rzuciła się do wylomu — herszt ją powstrzymał.

Rozkraczywszy potężne, krzywe nogi, z głownią dymiącą w jednej ręce, sztabą żelazną w drugiej, wypełniał cały otwór swem cielskiem olbrzymiem.

— Wara! — wrzeszczał, wymierzając najbliższym kopnięcia. — Ja tu pierwszy!... Ja szczwacz! mnie przypada zwierzyna!... Dla was, kundle, ochłapy!...

Załoczył otwór kawałami drzewa; do wnętrza wszedł. Było tam zupełnie ciemno. Kramu nie oświetalała nawet luna, gdyż znajdował się po stronie Ratusza, odwróconej od pożaru.

Mdłe światło głowni uwyrażniało zaledwie najbliższe przedmioty: postawy falendyszu, sztuki tkanin jedwabnych, wyginane ramiona pozłocistych świeczników.

Rozmieszczone tu i owdzie małe, weneckie zwierciadelka połyskiwały w mroku krwawo, jak ślepa nocnych ptaków.

Olbrzym okręcił się na pięcie, próbując sztabą, czy nie napotka człowieka żywego.

— Rozświecić trza... — głucho mruknął.

Przyłożył głownię do lekkich, wschodnich tka-

nin — potrzymał. Jedwab tlić się zaczął — po chwili buchnęły płomienie.

W głębi kramu rozległy się razem: krzyk i jęk. Blask palących się towarów oblał dwie zatajone postacie ludzkie.

Zbój postąpił kilka kroków, głównię uniósł do góry...

Brudno-czerwone światło padło na czarne, rozpuszczone włosy; odbiło się w ogromnych, błyszczących oczach; spłynęło po nagich, białych, połyskliwie gładkich ramionach; zamigotało jaskrawo w barwnych wzorach tureckiego szala, obtulającego faliste linie młodej gibkiej kibici; rozprysnęło się i zagasło na bielejących poniżej szala, jakby z kości słoniowej utoczonych łydkach i bosych stopach pięknej, kształtnej dziewczyny.

W pobliżu leżał rozciągniiony na ladzie, ciałem swem broniący jej stary ormianin. Palce obu jego rąk trzymały szufladę, wpijając się w nią, nakształt szponów; oczy patrzyły z podełba, podejrzliwie i dziko.

Drab nie spojrział nawet na starego. Uwagę jego pochłonęła w całości dziewczyna.

Olśniło go niespodziane zjawisko. Ślepia pod gęstemi, na czoło zwieszonemi kudłami rozgorzały mu, jak u kota. Przez chwilę stał nieruchomo; potem zatoczył się, jak po tęgiej miarze mocnego trunku. Rzucił wreszcie sztabę, głównię przelożył do lewej ręki — prawą sięgnął drapieźnie po młode, pełnią życia dyszące ciało.

— Duchno... sarenko... czarnuszko... — bełkotał, wykrzywiając w potwornym uśmiechu paszczę. — Hu!... na moje ręce ty przyszła, na moje... Już mi ciebie i sam bies nie odbierze...

Objął szeroką łapą kibić dziewczyny, przygarnąć ją chciał do siebie.

Dziewczyna szarpnęła się; z piersi jej, zdrewnionej dotąd zgrozą, wyrwał się krzyk przeraźliwy...

W tej chwili upadła z łoskotem zaporą, osłaniająca wejście do kramu. W otworze błysnęło najpierw ostrze szabli; za niem ukazała się para oczu rozżarzonych wściekłością i szybko latających. Niebawem wskoczył do środka młodzian, wyglądający rycersko.

— Puszczaj, chamski synu! — krzyknął, zamierzając się szabłą.

Zbój odwrócił się bez zbyteńnego pośpiechu, kipiąc jednak w sobie złością. Był jak niedźwiedź, któremu ogar kły zatopił w szynce, właśnie w chwili, gdy już sięgał ozorem wonnego plastra miodu.

— Bo co? — spytał mrukliwie, puszczając dziewczynę.

— Bo cię na miazgę rozsieczem!... Królewski jestem... za mną drabanty!...

Olbrzym poskrobał się w kudły frasośliwie. Nie wiedział, co czynić.

Światło wzmagającego się pożaru oblało przybysza. Dziewczyna poznała go, krzyknęła radośnie i ze zwinnością lampartki — zapominając, że jest prawie bez odzienia — skoczyła mu na szyję.

— To waszmość?... O! jak dobrze!... Czekałam... Smęciłam się... Ckniło mi się barrrdzo. Rrrratuj, mój miły!... Bóg cię przywiódł... Zywot wziąć mi chciano... A ja taka młodzieńka!...

Nagle przejście od wielkiej trwogi do wielkiej radości uczyniło ją nieprzytomną. Zalana łzami, całowała młodzieńca po rękach, po twarzy...

W nim krew grała — hamował się jednak całą

mocą ducha rycerskiego. Na jedną chwilę oczy mu zasły mgłą różową. i tej jednej chwili omal życiem nie przyplącił.

Zbój, przesunawszy się ciemną stroną kramnicy, z tyłu go zaszedł i zamierzył się ciężkim żelazem. On niczego się nie domyślał. Ale czego nie dojrzała czujność męska, odgadł zawsze przytomny instykt niewieści. Dziewczyna w chwili niebezpieczeństwa oderwała usta od pocałunków i gwałtownie pociągnęła młodzieńca na stronę.

Cios nie dosięgnął nikogo.

Olbrzym zamierzył się powtórnie, junak wszakże już był gotowy do walki. Zamiast cofać się, poskoczył naprzód z nadstawioną szablą. Sztaba spadła w próżnię—ramię nadziało się na ostrze sterzące. Krew z przeciętej żyły trysnęła fontanną.

Zbój zawył z bólu. Ręka mu opadła; żelazo potoczyło się na podłogę. W jednej chwili stracił ducha; o ucieczce już tylko myślał. Przypadłszy do ziemi, czołgał się ku wyjściu.

— No, Jago, dość tych słodkości!... — zawołał Wichura, wysuwając się z objęć dziewczyny. — Deszcz siarczysty mży coraz gęściej, zwijać nam się trzeba z robotą. Gdzie stary?

Ogień sięgał już najwyższych polic. Sypały się z nich płatki ogniste, a każdy, zanim ziemi dosięgnął, unosił się przez czas jakiś w powietrzu. Izba była pełna fruujących motylów: czarnych, złotych, purpurowych.

Jaga odsunęła się od młodzieńca. Zdawała się zasmuconą jego słowami. Wróciło jej nagle uczucie wstydu: z pośpiechem naciągała szal na obnażone ramiona.

— O kim waszmość mówisz? — spytała, oczy spuszczając.

— O starym liczykrupie... O stryjkę... — poprawił się.

Dziewczyna wskazała wzrokiem ormianina. Skąpiec leżał na swym skarbie, jak Boruta na worach ze złotem. Twarz miał w cieniu; światło padało tylko na olbrzymi nos, do dzioba kruczego podobny.

— Zbieraj się, Jagulka! — rozkazał młodzian, popychając dziewczynę ruchem zarazem pieszczotliwym i energicznym. — Co macie najprzedniejszego, do wacka chowaj: brylanty, szmaragi, perły kałakuckie. Odziać się możesz byle czem. Wyuczysz się później, jak szlachcianką zostaniesz.

— Szlachcianką? — zaśpiewała Jaga, a oczy jej zamigotały. — Cóż to przecie waszmość czynić zamierzasz?

— Z klatki cię wypuścić, z domu niewoli wyprowadzić! Lubką cię swoją zrobię, przyjaciółką, niewiastką. Miłować się będziem, jako się jeszcze nikt na tym świecie nie miłował. Jeno nie mitręż, prze Bóg żywy! Godziny cieka, komu w drogę, temu czas!

Objął ją za szyję i w usta mocno pocałował.

Dziewczyna zatoczyła się. I zaraz też, jakby w odurzeniu, poszła chwiejnym krokiem w stronę komory, do której wejście kobierzec turecki zakrywał.

Wichura skoczył do ormianina, zlekka w ramię go uderzył

— Umknij, dziadku! — rzekł pół szyderczo, pół dobrodusznie. — Czerwieńce twoje zatęchły. Radzibychmy je przewietrzyć.

Stary głucho zawarczał. Palce jego mocniej wpiły się w antabę szuflady.

— Mówisz, że mocno zamknięte? — drwił tamten. — Nie wadzi. Wnet klucza dobierzem.

Wydobył szybko szablę, na której czerwieniła się jeszcze krew świeża.

Ręce ormianina odczepiły się od szuflady, zniknęły na sekundę w szerokich rękawach i wynurzyły się z nich — niepróżne.

W każdej tkwił turecki, jak brzytwa ostry, jagan.

Junak cofnął się odruchowo. Płaz, którego pocztywał za błotnego, nieszkodliwego węża, okazał się żmiją jadowitą.

— To tak? — zaśpiewał przeciągle, oczami tam i sam rzucając.

Przez chwilę stał w niepewności, co czynić. Nagle wsunął szablę do pochwy, ku płonącym półkom podbiegł...

Chwycił gorejącą sztukę altembasu i cisnął ją w starego. Potem zrobił to samo ze sztuką tabinu. Za tabinem poszły adamaszki, szkarłaty, półszkarłacia.

Ormianin, objęty płomieniami, dymem duszony, wił się i rzucał, nożami w powietrzu wywijając, klął po turecku, persku, armeńsku — czaty swej jednak nie opuszczał.

Coraz wyżej piętrzyła się sterta pocisków, aż zwolna w górę ognistą wyrosła. Pod tą górą krzyki odzywały się coraz słabiej, rzucania się były coraz wolniejsze — wreszcie wszystko ucichło.

Ogień tylko, z cichym, do szeptania podobnym, sykiem nad zagładą drogocennych tkanin dalej pracował.

Wichura rozgarnął szablą popielisko, podważył ostrzem szufladę, silnym szarpnięciem wyrwał ją z osady — ręce obie chciwie zanurzył...

Srebra nie tykał — garściami za to pełnemi wybierał złoto i napychał niem kieszenie.

Spieszyć się musiał; żar i dym groziły uduszeniem.

Obładowawszy się czerwieńcami, sięgnął po stojącą w pobliżu szkatułę. Była ciężka — poradził jej przecie.

Rozsunęły się fałdy kobierca — ukazała się Jagga. Była w stroju zwykłym: w zawoju z bursztynami, w sukni jedwabnej w kwiaty, w czerwonych baszmagach. Obiema rękami trzymała spory woreczek skórzany.

Wichura zerwał z krzaka przestronną opończę ormianina, dziewczynie na ramiona zarzucił. Głowę wraz z całym licem okrył jej leżącą w pobliżu kapuzą.

Popchnął ją potem napowrót do komory, i sam za nią pośpieszył.

Po chwili, wybiegli oboje bocznemi drzwiami na dziedziniec ratuszowy. Stamtąd, bramą zachodnią, niezbyt natłoczoną, wydostali się swobodnie na Rynek.

Był już na to czas wielki. Straż miejska wyważyła właśnie czołowe drzwi kramnicy. Pachol-kowie z kubłami wody i osękami wdarli się do wnętrza.

XII.

— Królewski jestem!... Z pismem od jaśnie wielmożnego podkomorzego!...

Kłamstwo, tonem zuchwałym wygłaszane, torowało Wichurze drogę wśród tłumu. Rozstępowano się przed imieniem króla, przed pergaminem z pieczęcią Boboli. Najprzemożniej wszakże dzia-

łały na mieszczańków: szabla młodzieńca i jego mi-
na wyzywająca. Jedno i drugie było wyłącznym
przywilejem „urodzonych“.

Młody Zboiński nie wiedział w pierwszej chwi-
li, dokąd się udać. Trzymał dwa skarby: szkatułę
z klejnotami i ładną, rozkochaną w nim dziewczynę.
Skarby budzą w bliźnich pożądliwość; instynkt
ostrzegał go, by je unieść jaknajdalej od bliźnich.

Posłuszny instynktowi, przedzierał się przez
gąszcz ludzką, jak dzik raniony przez chaszcze. Ce-
lu określonego nie miał przed sobą. Dopiero gdy
gąszcz zrzedniała, o tym celu pomyślał. I w tejsze
chwili, jak na zawołanie, on zarysował się przed nim
wyraźnie.

Celem była: Kępa Polkowska.

Wichura znał dotąd to miejsce tylko z widze-
nia. Przyglądał mu się nieraz z okien zamkowych,
gdy jako pokojowiec królewski, spędzał beczynnje
całe godziny, czekając na przywołanie.

Nudzącego się chłopca pociągał ku sobie długi
a wazki pas ziemi, wikliną gęsto porosły, nad któ-
rym unosiły się stada polnego i wodnego ptactwa.
Był podobny do wynurzonego z fal wiślanych żółto-
zielonego węża. Łeb węża znajdował się wprost
ulicy Mostowej; ogon sięgał Pólkowa i „Góry Szu-
bienicznej“.

Miejsce, choć blizkie miasta, było napół dzikie,
przez ludzi nie nawiedzane. Załedwie kilka roztrzę-
sionych szałasów i jedna, waląca się buda świadczy-
ły, że przeszła kiedyś tędy stopa ludzka. Przeszła
niedawno. przed dwoma laty załedwie, podczas
ostatniego moru. Umieszczono wówczas na kępie,
w skleconych naprędcie budynkach, kilku „zapowie-
trzonych“.

To wspomnienie, świeże a smutne, nie mogło oddziaływać na nikogo przyciągająco.

Wichura nie miał trudności z wydostaniem się za mury. Bramy miejskie stały otworem. Pociągnął towarzyszkę w stronę bram Nowomiejskich i przebył wszystkie trzy, niezaczepiany przez nikogo.

Za ostatnią furta nie było już ścisku. Skorzystał z tego, aby zatrzymać się i przełożyć ciężką szkatułę z pod lewego ramienia pod prawe. Ramieniem lewym opasał gibką kibić dziewczyny, przygarniając ją do siebie tym znamiennym, napół miłosnym, napół drapieżnym uściskiem, który mówi:

— Moja jesteś, sam szatan mi cię nie wydrze!...

Choć młodzieniaszek, nie posiadał już młodzieńczej świeżości uczucia. Starł mu ją z serca krótki pobyt w obozie. Była zresztą już wcześniej przez wychowanie domowe nadwreżona.

Para, silnie do siebie przytulona, zaraz za furta skręciła w prawo. Nie dochodząc do poblizkiej ulicy, biegnącej pochyło ku mostowi, zanurzyła się w cieniu, rzucanym przez olbrzymi mur zewnętrzny.

Ulica była wygodna, dość szeroka, brukowana; tu trzeba było potykać się o kamienie, gruzy i śmiećniki, na których wylegiwały się psy zdziczałe. Ale ulicę oświecał jasno odblask łuny pożarnej, na podmurzu zaś panował mrok głęboki. To wybór drogi tłómaczyło.

W zwykłych warunkach, ów mrok, prócz gruzy i śmieci, płodził jeszcze ludzkie potwory: włóczęgów, poróżnionych z „artykułami marszałkowskimi“, opryszków, zarabiających na stryczek. Tej nocy ludzie wyszli na połów; pozostały jedynie uczciwsze od nich, a może tylko mniej głodne — kundle.

Wichura brnął śmiało przez gruz, bo miał na

nogach skórznie wojskowe, za kolana sięgające. Cienkie, płytkie obuwie nie zabezpieczało dostatecznie Jagi. Dziewczyna co krok kaleczyła sobie do krwi stopy. Nie skarżyła się jednak — pewnie nawet bólu nie czuła.

Serce jej głośno kołatało: tętna w skroniach uderzały rytmem cwałującego konia. Była w gorączce. Ognista krew Wschodu, dotąd na uwieży trzymana, jakby sztucznie zamrożona, ocknęła się nagle i wrzątkiem w niej kipiała.

Szła, dokąd chciał, bez oporu, jak urzeczona. Poszłaby za nim w płomienie, rzuciła się w otchłań wodną, do gniazda żmij wstąpiła. Była zupełnie w mocy śmiałka, który ją zaczarował: tytułem szlacheckim, żądzą młodych zmysłów, odwagą rycerską.

Nie zapytała ani razu: dokąd ją prowadzi? Kilkakrotnie tylko drżącym od silnego wzruszenia głosem szepnęła:

— Szlachcianką waszmość mnie zrrrobisz?
prrrawą szlachcianką?

A potem:

— Mój dobrrry!... mój miły!...

Prawie na połowie drogi, mur załamywał się od wewnątrz pod kątem rozwartym. Dążąc ku Wieży Okrągłej, aby wypełnić swój cel główny: opierścienienia Starej Warszawy, cofał się w głąb, jakby uciekając od mostu i ulicy Mostowej.

Wichura, który właśnie w stronę mostu pośpieszał, musiał w tym miejscu porzucić zbawczą osłonę muru i wyjść z pasa rzucanego przezeń cienia.

Przebiegł szybko wraz z Jagą pusty plac, na którym każdą grudkę ziemi uwyrażniał jaskrawy odbłask łuny pożarnej; prawie pędem przemknął mimo wielkiej, czworogrannej Wieży Przedmosto-

wej, której brama była zamknięta, bo most fale zrujnowały.

Po kilku minutach stali już oboje na brzegu rzeki— dyszący od gorączki i zmęczenia.

Wzdłuż Wisły ciągnęły się długim, nierównym, przerywanym sznurem domki drewniane. Prawie wszystkie były pokrzywione: niejeden słomą poszity, wyglądał, jak zwykła wiejska chata.

Była to siedziba rybaków — Rybitew.

Nie świeciło się w żadnym domku. Czujniejsi, dosłyszawszy alarm, pobiegli za innymi do ognia; reszta, strudzona ciężkim w tej porze połowem, twardo spała, o niczem nie wiedząc, o nic się nie troszcząc.

Konrad, wychowany na wsi, na powiślu, znał dobrze zwyczaje rybackie. Błysnąwszy ruchliwemi oczami w prawo i lewo, odrazu zmiarkował, gdzie przystań czółen. Poskoczył tam, szkatułę na piasku złożył i, wybrawszy jedną łódź, rozplątał z ręcznie sztuczny węzeł na przytrzymującym ją powrozie.

Potem z równą łatwością odnalazł wiosło, wsunięte między najgęściejszą wiklinę.

Szkatułę umieścił na dnie czółna; dziewczynie kazał usiąść na szkatule. Sam ujął wiosło, i szybko a cicho, bez plusku prawie, przeprowił się na Kępę. Przybiwszy, obydwa drogie ciężary wyniósł na rękach, czółno ukrył starannie, wiosło ze sobą zabrał.

Ręce mu drżały, oczy płonęły. Był już w zupełnem posiadaniu śwych skarbów. Otaczała go cisza, samotność. Nie podpatrywały go niczyje oczy; nie zagrażała mu ręka niczyja. Po zaroślach piszczało jedyne ptactwo, blaskiem pożaru zbudzone; chrzęściały tylko liście, stopami rozdeptywane.

Podniecenie Jagi do szału doszło. To ocierała

się o młodzieńca ruchem łaszącej się kotki, to przyciskała doń kibić węzową, rozplaszczając o jego szeroką pierś swe drobne, krągłe, dziewicze kształty — to znowu, jakby nagłym lękiem czy wstrętem przejęta, rzucała się gwałtownie w tył, chłodnąc, sztywniejąc, oczy i twarz odwracając...

Ktoby zważał niespokojne ruchy jej palców, i w nich dojrzałby ciągłe przemiany. Chwilami te palce, wyprostowane, jakby drżące, wysuwały się powściągliwie ku Konradowi, jakby głaskać, pieścić pragnęły; chwilami, nagłym kurczem wykrzywione, przybierały taki wyraz — bo wyraz posiadać i zmieniać może każda linia ludzkiego ciała — jakby przyspasabiały się do walki, do drapania...

Wargi jej purpurowe, nabrzmiałe, szukały pocałunków; niekiedy jednak błyskała wśród nich biel zębów, które kąsać chciały.

I w Konradzie kipiało. Gorąca fala krwi uderzała mu co chwila do głowy, przesłaniając świat szkarłatem. Ale nad krwią panował. Jego spojrzenia, ruchy, krótkie, powstrzymywane uściski mówiły:

— Kochanie później...

Poszli w głąb kępy. Opasały ich zarośla, otoczyła ciemność. Nikt tu ścieżek nie wydeptywał, jednak w gęstwinie odnajdywali przesmyki, z umyślnego czy przypadkowego odchylenia gałązek powstałe, które zniewalały ich postępować w tym, nie innym kierunku.

W drodze przyświecały idącym zielonawe ogniki robaczków świętojańskich.

Jaga drżała tak mocno, że było słycać szczękanie jej zębów.

Natknęli się na drzewo, przez piorun naddarte,

u wierzchołka bezlistne, poniżej tworzące rodzaj baldachimu. Pień drzewa tonął w kępie mchu, który oboje wyczuli stopami.

Wichura pociągnął lekko dziewczynę pod drzewo, na mchu miękkim posadził. Sam nie siadł.

— Tu na mnie poczekasz, dziewczko najmilsza... — wyrzekł słodko, pochylając się nad siedzącą.

— Cknić mi się będzie! — smutno jęknęła.

— Wróć rychło.

— Jak najrrrychlej!...

Szkatułę postawił na ziemi — obie dłonie Jagi ścisnął z wielką czułością. Ale choć miał usta blisko jej twarzy, nie całował. Może bał się oszołomienia, w chwili, gdy potrzebna mu była przytomność umysłu.

Otoczył ją ramieniem, a szepcząc coś słodkiego do ucha, jednocześnie rozwiązywał rzemyki, na których był zawieszony woreczek skórzany z klejnotami.

Jeszcze raz uścisnął, szkatułę podniósł — odszedł.

W pewnej odległości stamtąd, ponad nieruchomości, pokrzywionemi konarami drzew wysterczało kilka krokiew, łąt, belek — wiązanie dachu, z gonków odarte, nadłamane skrzydłem burzy czy ręką człowieka.

Tam skierował się Wichura.

Upatrzył ten punkt jeszcze z czółna i postanowił do niego dotrzeć. Niemało był zdziwiony, że przesmyki w gęstwinie same go doń wiodły.

Znalazł się niebawem przed czarną, chwastami zarosłą, wstrętnie wyglądającą rudera.

Przełożył odważnie nogę przez próg drzwi wywalonych — do środka wszedł.

Mroczone kąty rozwaliny ozwały się szelestem

skrzydeł, piskiem, jękami. Wielki puhacz wyrwał się z ciemności, lecąc wprost na przybysza. Wichura poczuł na twarzy muśnięcie miękkich, jakby wilgotnych, skrzydeł.

Wielkim otworem w ścianie przeciwległej wyslizgnął się cień, większy od puhacza, dziwny, czworonożny. Ten cień wyprostował się później, urósł, na dwóch nogach stanął i zniknął w zaroślach.

Wichura tyleż sobie czynił w tej chwili z potworów żywych, co z cieniów.

Szybko rozejrzał się po kątach rudery — jeden upatrzył sobie — wybrał. Szablę dobył i jął wycinać zarastające ten kąt zielska. Potem, szablą również, dół w tem miejscu wykopał.

Do dołu spuścił ostrożnie szkatułę i — wacek z brylantami.

Zasypał otwór ziemią, ziemię stopami mocno ubił. Na wierzch nakładł gontów spróchniałych — wszystko potrząsnął wyciętymi przed chwilą chwastami.

— Uf! — odsapnął z uczuciem ulgi, jaką sprawa doprowadzone do końca ważne a trudne dzieło.

Omacał kieszenie, w zanadrze sięgnął — wszędzie pełno czerwieńców. Zaświstał wesoło, podskoczył, szablą kilka młyńców wywinął.

Jednego nie dostawało mu do szczęścia: nie mógł wasa pokręcić.

Cokolwiekbądź, bardzo rad sobie i światu, zawrócił w podskokach do kochanki.

Drzewo znalazł odrazu — pod drzewem wszakże nie było nikogo.

— Sam tu. Jaga! — zakrzyknął głosem mocnym, w którym więcej było niecierpliwości, niż czułości.

Odpowiedział mu z zarośli śmiech chochlikowy.

Dziewczyna, za drzewo schowana, drażniła się z nim figlarnie.

Skoczył do figlarki — ona gdzieindziej się skryła. Znów wołanie — znów śmiech — znów gonitwa.

Doścignął ją wreszcie, w ramiona muskularne pochwycił, w górę dźwignął — z roziskrzonym wzrokiem, zębami zaciętymi, z wyrazem twarzy prawie dzikim, zaniósł pod drzewo, na posłanie z mchów aksamitnych...

O wschodzie słońca Kępa zawrzała chóralem ptasich głosów. Gąszcze napelniły się światłem złotzielonem — łagodnem, kojącem. Snop promieni, przedarłszy się przez liście, padł z ukosa na twarz śpiącej Jagi.

Dziewczyna obudziła się uśmiechnięta, śliczna. Z oczyma zamkniętymi wyciągnęła przed siebie ręce — szukając.

Nie znalazła nikogo i podniosła wielkie, bistrowo zabarwione powieki.

Czarne oczy rozejrzały się niespokojnie dokoła — nie dojrzały nikogo.

Porwała się na nogi — na palce wspięła — wyprostowała. Bystry jej wzrok w różnych kierunkach przepatrywał gęstwinię.

Nikogo.

— Konrrradzie!... — zawołała nieśmiało, głosem żałością wielką przejętym.

Nikogo.

— Konrrradzie!... Konrrradzie!... Konrrradzie!... zabrzmiały wołania coraz głośniejsze, zmieszane z płaczem, w jęk, w spazm przechodzące...

Nikogo.

Rzuciła się, jak szalona, w zarośla, rozchyła-

jąc gałęzie, wciskając się w gąszcze, rozkrwawiając stopy, ramiona, twarz o kolce głogu i tarniny...

Nikogo.

Ręce jej opadły bezwładnie. Poczowała przy tym ruchu, że woreczka z klejnotami nie ma u pasa.

Stała w miejscu, sztywna, zdrętwiona.

Nagle wstrząsnął nią dreszcz gwałtowny — jeden z tych dreszczów, z którymi niekiedy dusza z ciała wychodzi.

Krzyknęła krótko — dziwnym, zachrypłym głosem i biedz zaczęła przed siebie.

Nie biegła naoslep.

Po pewnym czasie znalazła się przy ruderze, wyminęła ją i pobiegła dalej, na brzeg rzeki. Był to brzeg przeciwny warszawskiemu, w stronę Pragi zwrócony. Tu Konrad, opłynawszy Kępe, ukrył czółno, aby je nie tak rychło spostrzeżono.

Odnalazła to miejsce bardziej instynktem, niż pamięcią. Pochyliła się nad stromym brzegiem, zacierając do kryjówki...

Czółna nie było.

Na piasku wilgotnym dostrzegła jedynie świeże ślady stóp — Konradowych...

Woda płynęła bystro, kłębiąc się, wirując.

Krzyknęła raz jeszcze — i w te wiry skoczyła.

XIII.

Dopiero o białym dniu powrócił Krzyś do dziadka. Był tak znużony, że nie miał siły ani pytać, ani odpowiadać. Wymruczał pozdrowienie i zaraz powlókł się do tapczana z pościelą.

Zdażył jedynie zauważyć, że draby nie zeszli jeszcze ze stanowiska i że stary Kawka nie śpi, lecz

z braćmi mieszczanami w zamkniętym kramie żywo o czemś rozprawia.

Rzucił się w ubraniu na pościel i przespał na jednym boku do południa.

Przyszła potem babcia Kawczyzna, za nią krewniacy i krewniaczki. Kram odemknęto; drabów, dawszy im po szelągu i po kwarcie piwa, odprawiono. Zrobiło się gwaro, hałaśliwie.

Nie brakło narzekań, jęków, płaczu, nawet głósnego zawodzenia.

Krzyś nie chciał do cudzych biadań dorzucać swego lamentu. Na boku siedł; w milczeniu słuchał, jak opowiadano szczegóły klęski, wymieniając coraz nowe szkody, coraz nowe ofiary.

Ścisnął mu serce ból osobisty — czekał na sposobność dzielenia się nim, zdobycia rady lub przynajmniej pociechy.

Nad wieczorem kram opustoszał. Po nocy niespanej, po dniu spędzonym na biadaniach każdy czuł śmiertelne znużenie i biegł spocząć, choćby na pogorzeliisku.

Dopiero gdy dziad i wnuk pozostali sami, ostatniemu usta się rozwiązały. Szczegółowo rozpowiedział swe nocne przygody: jako dziecko odnalazł i od śmierci obronił, jako potem przez granda hiszpańskiego był oczarowany, jako dziecko przez tegoż hiszpana skradzione zostało, jako za złodziejem urządził pościg i długo po zaułkach się uganiał...

— Za Bramą Krakowską — mówił, wyrzekając — wedle zabudowań klasztornych, mimo włók mieszczańskich, pomiędzy płotami, chmielnikami, stogami, czarownik, jak wąż, się wykręcał. Dwa, trzy razy w garści-m go miał prawie, zawsze się przecie wywinął. Wreszcie, o pierwszym pianiu koguta, bez śladu zczezł...

Stary Kawka, czujny choć nie wywczasowany, pilnie chwycił słowa wnuka. Dosłuchawszy do tego miejsca, przeżegnał się kilkakrotnie.

— O pierwszym pianiu, powiadasz? — lękliwie spytał.

— O pierwszych kurach, panie dziadku.

Stary nosem pociągnął.

— Smołą mi to wszystko śmierdzi, jeno nie szewką...

Krzyś westchnął, zafrasowany.

— A onże hiszpan? — dopytywał Kawka — po chrześcijańsku gadał?

— Kat jego wie! Mieszał słowa święte ze świeckimi, formuły jakoweś dziwne odmawiał...

— Hm... Właśnie tak czynią kabaliści. Nie dojrzałeś przy nim świętości jakowej: krzyżyka, medalika, znaku, jaki noszą prawi synowie Kościoła?

— Znak?... znaku?... — powtarzał, przypominając sobie młodzieniec. — A! — zawołał nagle, z zydła się zrywając — mam ja tu obiekt jego własny, który mi do trzymania powierzył... Byłem go jeno nie uronił w tumulcie!

Pobiegł do sukni swej, na kołku wiszącej, którą był zdjął, spać się kładąc. Przeszukał niecierpliwie wszystkie kieszenie — były próżne. Zerwał suknię, głośno biadając — poczuł, że w niej coś cięży. Przy powtórnem szukaniu przekonał się, że ciężki przedmiot przerwał kieszeń i osunął się za podszewkę.

Rozdarł suknię drżącą ręką, zawinięcie wyszarpnął, na stół cisnął.

Kawka przysunął kaganek, zabrał się ostrożnie do rozwijania szmaty czamlotowej. Znalazł pod nią woreczek jedwabny. Z woreczka wyciągnął przedmiot mocno błyszczący.

Klejnotowi przyjrzał się uważnie, spróbował jego dźwięku, giętkości...

— Złoto... prawe złoto... — rzekł, głową kręcąc.

— Krzyż-że to, czy nie krzyż? — zapytał pochylony nad dziadkiem młodzieniec.

Ciekawość go paliła; niecierpliwy był dowiedzieć się, w jakich rękach znajduje się dziecko: w katolickich czy — szatańskich?

Stary nie przestawał głową kręcić.

— Niby krzyż, a nie krzyż... Tak patrząc: widły, a tak znowu: znak mnożenia.

Przysunął przedmiot do oczu.

— Kwiatki przytem jakoweś...

Wpatrzył się pilnie.

— I coś napisane...

Przetarł oczy chustką — z trudem sylabizował:

— *Crux... Chri... sti...*

— *Corona Christianorum!* — dokończył żywo Krzyś,

— A ty skąd wiesz? — zadziwił się stary.

— Toż samo wyczytał on czarownik na ramieniu Hanusiowem.

— Dziwne to sprawy. A i nieczyste pono...

Z kolei przystąpił Krzyś do oglądania zagadkowego przedmiotu. Było to coś nakształt litery X, wyrobionej ze złota i ułożonej na wianku, splecionym z róż i cierni. Na ramionach, w dwóch wierszach krzyżujących się, wyryto napis łaciński.

— Co z tem uczynić? — spytał, ważąc klejnot na dłoni.

Kawka zamyślił się. Już też i senność rozbierać go zaczynała. Wpatrywał się w płomień kaganka oczami zmrużonemi.

— Do księdza z tem trza — wymruczał wreszcie, od stołu wstając. — Wytlómaczy, poradzi.

Ojciec Bonawentura od Augustyanów k'temu naj-
lepsy. Człowiek święty, w scyencyach wszelakich
biegły...

— Święte słowa pana dziadka. Zaraz jutro?

— To się wie.

Zamknęli klejnot pod klucz; spać się pokładli.

Przed samem zaśnięciem Krzyś zagadnął:

— Panie dziadku!

— A co?

— Mnie się zda, żem tego czarownika już gdzieś
widział.

— To być może.

— Jeno, że wówczas nie miał brody.

— Mogła mu urosnąć.

— Ano tak.

— Mógł też przyprawić ją sobie.

— I to prawda. Dziwniejsze, że nie był wów-
czas hiszpan...

— A czyś pewny, że jest hiszpan dzisiaj? W me-
trykęś mu zaglądał?

Choć byli sami w izbie, głos przyciszył i dodał:

— U nas dziś, chłopcze, każdy wydawać się
może, za co chce. Małoż na Zamku maszkar nie-
mieckich, włoskich, hiszpańskich, holenderskich!
Kto zgadnie, co pod larwą?...

Westchnął i dokończył, ziewając:

— Śpijmy. Nie do nas to należy.

XIV.

— Krzyż to jest, duszo pobożna. Krzyż pra-
wy, jeno — nie Chrystusów!

— Jakiż przeto, ojcze wielebny? Azali są krzy-
że inaksze?

Oczy księdza Bonawentury pod brwiami krzaczastemi zamigotały. Zakonnik był porywczy i szorstki. Postawę miał atletyczną, twarz umalowaną żywymi rumieńcami. Nie pijał nigdy wina, za pokarm używał samych jarzyn.

— Duszo niecierpliwa! — opryskliwie mruknął. — Ściągnij rękę swoją ku plecom swoim, a wnet pod palcami poczujesz krzyż, nie Chrystusów!

— Nie o cielesnościach mówimy... — zauważył Krzyś z cicha, tonem urażonym.

— Właśnie ci tłumaczę, duszo uparta, wielorakie świętości rodzaje. Krzyż, na którym Zbawiciela umęczono, jakiż był? Prosty. A ten, co leży przed nami, jakiż jest? Poprzeczny. *Crux decussata*. Baczysz, młodzianku?

Chłopiec poruszył głową przytakująco, oczu z mówiącego nie spuszczał.

— *Crux decussata* — powiadam. — Słyszałeś o takim krzyżu? Nie. A o mieście Patras? Takż nie. A o świętym Andrzeju?...

Krzyś oburzył się.

— Jakżebym o świętym Andrzeju słyszeć nie miał? Wždyć to patron mego wujecznego.

— Ba! Trzody ze sobą nie pasali! A wieszże, duszo czujna, gdzie skończył życie patron twego krewniaka? W Patros. A wiesz, jaką śmiercią? Na krzyżu. A wiesz, jaki to był krzyż?

Młodzieniec słuchał z wyteżoną uwagą, nie odpowiadając.

— To był krzyż poprzeczny — kończył mnich głosem potężnym — *crux decussata*, krzyż, jakiego wyobrażenie w szmacie swojej przyniosłeś.

Wzrok Krzysia zabłysnął radością. Chłopiec wyciągnął rękę i lekko, z pełną uszanowania powściągliwością, końcami palców dotknął klejnotu.

— Świętość... — szepnął uroczyście.

W tejsze chwili olbrzymia pięść mnicha uderzyła w stół gwałtownie. Stojący na stole kubek cynowy spadł na ziemię; niedopite mleko rozlało się białą, szeroką strugą.

— Nie nazywaj świętością plugastwa! — zagrzemiał zakonnik. — Aza nie wiesz, co oni ze świętościami naszymi czynią? Hostyę Przenajświętszą do praktyk dyabelskich kradną, krucyfiks stawiają na stołach z jadłem wszetecznem, figurę Chrystusa Pana kielbasami biczą. Któż wie, do czego im służył ten symbol męczeństwa!

Potrącił klejnot ze wstrętem.

— Krzyż świętego Andrzeja, znak zacny, szanowny. Ale na co przy nim ciernie? na co litery? na co ten słonecznik czy piwonia?

— Róża... — szepnął chłopiec.

Zakonnik nie słuchał. Przytknął klejnot do oczu — napis rozpatrywał z uwagą.

Wzrok miał słaby — dostrzegał wyraźnie tylko początkowe, wielkie litery wyrazów.

— C... — pod nosem mruczał. — Co znaczy C?.. może *Centum*?... Cztery C, więc *quatuor centum*... czterysta. Czego czterysta?... Czterysta lat?... czterysta talerów?... czterysta żołnierza?...

— Ja wiem... — bąknął Krzyś, oczy spuszcza-
jąc.

— Wiesz? — zadziwił się ksiądz. — Jeśli wiesz, to czemu nie gadasz? Nawet i kaganka pod korzec wtykać nie trza.

— To znaczy: *Crux Christi Corona Christianorum*, proszę ojca wielebnego! — wyrzucił jednym tchem młodzieniec.

Ksiądz Bonawentura uniósł się do połowy na stołku.

— *Crux?... Christi?...* A ty jak tego doszedłeś?...

— Ze słów onego człego dorozumiałem się.

Mnich wstał, cisnął w kąt stołek, po celi szybko jął biegać.

— Znów nowinki! — prawil, rękoma gwałtownie wymachując. — Co chwila i zewsząd nowinki! Święte były słowa księdza Tworzydły: „Ewangelia nowotna rozmaitemi wiarami co rok frymarczy, właśnie jako szkapami“. Nowinki konfederacye czynią przeciw królom, biskupom, przeciw wszystkim staropolskiej wiary chrześcijanom. Kościoły pustoszą, ołtarze wywracają, nadania kościołom wydzierają. Ewangelia staropolska Prusy i Litwę do wiary prawdziwej nawróciła; przez nowinki w Inflanciech, w Prusiech, w Litwie siła przewierżnęło się do wiary tureckiej i żydowskiej. Ongi lichy po zaulkach się kryło, teraz na rynki wyłazi, łeb do góry dźwiga, żądłem syczy, rogami łodzie. Mieczem przyjdzie je wycinać, ogniem palić!...

— Ojczy... — przypomniał się Krzyś.

Mnich zatrzymał się; na młodzieńca wzrokiem roztargnionym spojrzal.

— Czego chcesz, duszo natrętna?

— Wiedzieć radbym: co z kiejnotem?

— Z plugastwem?

— Niech i tak będzie. Cóż z nim uczynimy?

Ojciec Bonawentura rozszerzył palce lewej ręki; wskaźnikiem prawej liczyć na nich zaczął:

— Po pierwsze, wypędzimy z tej obrzydliwości dyabła. Powtóre zdeformujemy ją młotem na kowadle. Po trzecie, wyprawimy do myncarza, żeby wybił z niej dukaty. Po czwarte, rozdamy te dukaty między ubogie.

— Wszelako... ojczy wielebny...

— Czego jeszcze, duszo krnąbrna?

— Gdyby znalazł się posesor i... zwrotu zażądał?

Ksiądz wyciągnął przed się ręce z palcami zakrzywionymi, jakby chwytać chciał kogo w pazury.

— O to, to, to!... — przeciągle zaśpiewał. — Posesora za łeb i do pana Boboli! Tamby go schowano *in pace*, a kat na obu policzkach wypaliłby mu przewrócone krzyże!

Sprawa była ostatecznie osądzona. Krzyś, widząc, że już nic tu nie ma do czynienia, pożegnał księdza Bonawenturę i klasztor opuścił.

XV.

— Bywaj, Krzychu! Nowiny są, a ważne!...

Kawka, według zwyczaju, stał przed kramem z głową odkrytą. Stare oczy dłonią lewej ręki od słońca zasłaniał; ręką prawą w powietrzu machał, przynaglając wnuka do pośpiechu.

Młody Dąbek z trudem brnął przez rumowiska, cały Rynek zaścielające. Mimo ostrożności, rozdzierał obuwie i stopy kaleczył, natrafiając co chwila na belki z wystającymi hakami, na ostre odłamy twardej, jak granit, cegieł.

Szczyściem, spadła w nocy ulewa, przybiła do ziemi kurzawę, wygasła resztki zarzewia, tłącego się pod popiołem. Nad olbrzymiem pogorzelskiem unosił się biały, gęsty opar. Gromady pogorzalców, snujące się wśród zgliszczy, wydawały się w tym oparze bładzającymi po cmentarzu duchami.

Ucichły już głośnie płacze i jęki; ze zboliałych piersi dobywały się teraz ciche, a jednak od krzyku żałośniejsze, westchnienia.

Był wczesny ranek. Bramy miejskie od go-

dziny dopiero stały otworem. Wtaczały się niemi z przedmieść ciężkie wozy, ładowne nabiałem, warzywem, owocami. W pobliżu Bramy Pobocznej, przy „Zawrocie“, snuli się gęsto umęczeni parobcy z koszami świeżego pieczywa. Tu odbywał się główny jego wypiek, tu była „Ulica Piekarzy“, *platea pistorum*, po dzisiejszemu: „Piekarska“.

W cichem, jakby drzemiącem powietrzu świegotały skowronkowym głosem sygnaturki kościelne. Zakwefione mieszczki, z pochylonemi do ziemi głowami, sunęły zwolna do kościołów, dźwigając w sporach jedwabnych woreczkach księgi nabożne i różańce. Pachołkowie miejscy, pobrzękując dardami, szli zaciągać straż w bramach i przy Wieży Marszałkowskiej. Tu i owdzie widać było białe, czarne, kawowe habity mnichów i mniszek.

Ruch panował ożywiony, ale milczący. Z twarzy i z serc nie ustąpiło jeszcze przygnębienie.

— Bywaj, Krzychu! bywaj!...

— Co nowego, panie dziadku?

— Pisma są. Dwoje pisania odrazu.

— Z daleka?

— Jużcić nie z Pragi, ani z Jazdowa. Nie zwałbych cię tak pilno.

— Jedno to już zgaduję, czyje. Z Gdańska pewnikiem, Borumbachowe.

— Zgadłeś. A wtóre?

— Hm... nie wiem. Nie od Pietra chyba. On do pisania nie skory.

Stary uśmiechnął się.

— Do izby chodź, pokażę.

Weszli obaj do kramu, który o tej porze był zupełnie pusty. Kawka zajął zwykle miejsce za ladą.

— Jakże? — dopytywał młodzieniec. — Od Pietra to? od brata?...

— I tak, i nie. Od Pietra i nie od Pietra.

— Nie rozumiem, panie dziadku.

— Pietra już niema. Jest jeno *Petrus*.

— A! zwyczajna to dziś krotochwila. Zawždy przecie Dąbek ostać się musiał?

— Nie, nie ostał się!

— Oooo!... I cóż na jego miejsce wyrosło?

— *Quercus* wyrósł, chłopcze, rzymski, łaciński *Quercus*...

— Dziw! prawy dziw! I skądże panu bratu na koniec takowy przyszło?

— Z mądrości. Nie darmo gryzł w Padwie włoszczyznę, w Paryży francuską ambrozyę spijał, a teraz w Amsterdamie śledzie łyka olenderskie...

— Więc to pisanie z Amsterdamu?

— Tak. Ciekawyś go pewnie. Czytajże.

Podsunał wnukowi list, pisany na dużym arkuszu, złożonym wązko a długo — w „dudkę“.

Krzyś ze wzruszeniem papier rozłożył. Już trzy lata miały, jak nie widział rodzzonego. Gdy on szukał losu w kupiectwie, po ciemnych kramach i komorach, Pieter zwiedzał akademie, bogacił umysł, z mężami najuczestszymi obcował. Był starszy, pełnoletni, schedą ojcowską rozporządzać mógł dowolnie. Obrócił ją na cel, który od lat pacholących najsilniej go ciągnął.

— Cóż to? — zadziwił się młodzieniec, do listu zajrzawszy. — Rymy?

— I trefne! — rzekł Kawka, brodę siwą głaszcząc. — Nasz Peter w *poetusa* się przewierzgnął. Stąd poszedł i ów chrzest łaciński. Ano, inaczej być nie mogło. Z klona *acer*, z Klonowicza *Acernus* — Dąbek uczynić się musiał *Quercusem*, choć starczyłby pono *Querculus*.

Krzyś czytał i głową kręcił. Rymowana episto-

ła wydawała mu się na podziw piękną. Zawsze czuł się niższym wobec brata, pełnego wiadomości książkowych — teraz do braterstwa z poetą ledwie śmiał się przyznawać.

— Doczytałeś się już najważniejszego? — spytał dziadek, kręcąc się niespokojnie na stolku.

— Wszystko tu ważne — bąknął wnuk, oczów od papieru nie podnosząc.

— Jak dla kogo. Ja ważnem zowę jeno to, co się tknie powrotu Pietrowego... chciałem rzec: Petrusowego.

— Więc wraca?

— Wzdyc' stoi to tam wyraźnie, jeno że w różne poetyckie fatalachy owinione.

Poeta przedstawiał rzecz figurycznie. Opowiadał, jak go kraje zagraniczne, pod postacią istot żyjących, chciały usidlić i przytrzymać. On bronił się pokusom, oczy stęsknione ku ojczyźnie obracał — ale mijały lata, a żaden przyzyw dość silny z kraju nie nadbiegał. Wreszcie pod postacią niewiasty leciwej, okazałej, „kłosonośnej“, wystąpiła Wisła, i głosem potężnym na syna marnotrawnego zakrzyknęła. Między poetą a rzeką macierzystą zawiązał się dyalog. Poeta zapytywał, co mu ona przedstawi dość ponętne, aby oderwać od piękności obcych i do ojczyzny przywiązać? Wisła, w odpowiedzi, pokazała Warszawę, jako syrenę, tak samo, jak on, śpiewającą.

W tem miejscu Krzyś mimowoli czytał głośno:

...Wówczas ona macierz
Dziwne zmówi zaklęcie, równo jakby pacierz.
Wnet zjawiła się dziewczka precudnej urody,
Chocia jeno do brzucha wychyniona z wody;

Reszta ciała pod falą rybim kształtem pluska,
 A jak blaszki na zbroje, świeci na niej łuska.
 Zaraz też wdziecznie ustek różanych rozchyli
 I nadobnie, jako ptak w dąbrowie, zakwili.
 Śpiewanie, z miejsca słabe, potem z wielką siłą
 Nad wierzchołki drzew leśnych, nad góry się wzbiło.
 Jam zdumiał — igrać cała poczęła natura;
 A macierz: „Baczysz, synu? To jest moja córa,
 Zaczem twoja siostrzyca. Proszę, miłujcie się,
 Jako dwie sroce, w jednym krzykające lesie...”

.....

Krzyś był zachwycony. Czytając, rytm wiersza napiętkiem na podłodze wybijał. A że tuż pod podłogą znajdowały się piwnice, uderzenia brzmiały huczno, donośnie. Do niektórych wierszy kilkakrotnie powracał, odczytując je głosem coraz innym, coraz śpiewniejszym, jakby nuty właściwej szukał...

Przerwał zachwyty Kawka. Butami zaszurał, łokciem w ladę kilkakrotnie stuknął...

— Dość delectacyi, Krzychu! — niecierpliwie zawołał. — Na potem je schowaj. Na czytanie czas znajdziesz, gdy frochtować będziesz.

— Toć nie rychło jeszcze — odmruknął młodzieniec niechętnie.

— Rychlej, niż myślisz, bo.., jutro do dnia!

Wieść niespodziana zmieszała Krzysia.

— Co mówicie, panie dziadku? — spytał, list odkładając. — Skąd ta nagłość? Czy się stał *casus* jakowy?

— Ledwie coś za próg wyszedł, z Gospody Gdańskiej przysłano pisanie. Chłopię, co je przyniosło, dyszało z pośpiechu. Borumbach przez kup-

ce znajome wzywa cię, abyś co ducha do Gdańska jechał, nawet godziny nie mitrząc.

— Daje racye jakowe?

— I znaczne. Jego główny „legier“ nie żyje...

— Co słyszę! Frydlender! Mój miły *magister i amicus!*

— Szkuta, na której spławiał zboże, rozbiła się przy Heli. Na dno poszedł.

Krzyś wstał, do kąta wsunął się, przeżegnał, trzykrotnie „wieczne odpocznienie“ odmówił.

— Prawa ręka Borumbacha! — jęczał, na miejsce wracając. — Co on teraz pocznie! Jeszcze w taki czas.

— Właśnież ciebie do pomocy wzywa.

— Pojadę! pojadę! Rzucę wszystko i pojadę! Jakże mógłbym człeka dobrego w nieszczęściu opuszczać? Jeno nie wiem: przydam-li się na co?

— Już cić tak być musi, skoro żąda mieć cię przy sobie.

Stary wyszedł z za lady, do wnuka przystąpił, dłoń mu na ramieniu położył.

— Jednemu nieszczęście, drugiemu los — wyrzekł tajemniczo. — Frydlendera Bóg zabrał, niech mu jasność wiekuista świeci! Nieboszczykowi nic nie trza, żywi o sobie pomnieć muszą. Borumbach bez starszego legiera ostać nie może...

— To się wie... — przytaknął Krzyś w zamyśleniu.

— I nie ostanie. Starowny to człek, czujny. Już on sobie wyręczy ciela upatrzył...

— Kogo, panie dziadku?

Kawka objął wnuka za szyję, w czoło pocałował.

— Ciebie, chłopcze kochany! — wyrzekł z rozrzwiniem.

Krzyś nie wiedział, co odpowiedzieć. Zdziwiony był, wzruszeniem przejęty.

— Honor potyka cię znaczny — ciągnął Kawka solennie. — Felicytuję-ć, z serca felicytuję. Drugi w twoich leciech ledwie do kwarty i łokcia ma dostęp, a księgi handlowe jeno z kurzu ociera. Ty wyrastasz odrazu na miejsce naczelne. Jest w tem wiele aplikacyi twojej, diligencyi, jest więcej jeszcze zasług nieboszczyka rodzica twojego. Dąbek z Borumbachem, to był prawy wizerunek amicycyi. Znała ich Warszawa, znał i Gdańsk; w Królewcu, w Elbingu, na całym pomorzu Bałtyckiem o ich związku wiedziano. Bodaj, że i Londra ma go dotąd w pamięci, bo i tam na okręciach jeźdzowali. Dąbek przyczynił bogactw Borumbachowi; Borumbach ugruntował fortunę Dąbka. Teraz stary płaci synowi, co sobie ojciec u niego zaskarbił. Ho! byłby i Dąbek równy tamtemu bogacz, gdyby go śmierć przed czasem nie zabrała!...

Zamilkł, głową pokiwał.

— Zagryzła go żalność — dodał ciszej, jakby do siebie — żalność za... marnością.

Krzyś nadstawił uszu. Nadzwyczaj był ciekaw wszystkiego, co dotyczyło nieboszczyka ojca.

— Jakto, panie dziadku? — spytał, wpatrując się bystro w starego.

— Odżałować nie mógł — ciągnął tamten — klejnotu szlacheckiego, co mu go za imanie się handlu odjęli. To go trzymało, tamto ciągnęło. Przemęczył krótki swój żywot, jak ta dusza, którą anioł szarpie do siebie, a bies do siebie. To szarpanie zdrowia i lat mu ujęło, przez nie i do grobu zbyt się pokwapił. A nie czekał długo na matkę swoją: nieboga w niecałe dwa roki za mężem poszła...

Westchnął stary głęboko. Westchnął głębiej jeszcze Krzyś.

— Żadnegoż nie było *remedium*?

— Żadnego. I doktor Balcer nie pomógł. Dla matki posyłano nawet po „mumię“. Silne były środki, niemoc była silniejsza.

— Wzdyc nie o niemocy rzecz idzie — mruknął Krzyś z niejaką niecierpliwością.

— O czemże?

— O klejnocie.

Kawka spojrział z pod oka na wnuka; brodę zatarzał...

— Ano, i na tę mizeryę remedyów szukano — rzekł, ociągając się. — Nawet potężnych. Dość rzecz, iż — kilku dworskich nie licząc — sam najjaśniejszy stronę rodzica twego trzymał. Jeno, że z magnatami sprawa najtwardsza. Gdy kto raz odtracony, krzyżyk nad nim piszą, i — amen!

— Wzdyc ociec nieboszczyk usługę znaczną królowi jegomości wyświadczył?...

— Podczas tumultu we Gdańsku pomógł schwytać onego, który wystrzelił z ruśnicy w okno królewskie.

— Byłoż tego mało?

— Dla króla zadość; dla panów mało. Im zawždy mało. Zawzięli się. Powiadają o jednym, że w sejmie gadał: „Łacniej sułtana uczynisz papieżem, niż z łokcia miecz wykowasz“.

— Bo i prawda.. — zauważył Krzyś półgłosem.

— To lepiej! — osądził stary. — Miecz, zabójstwo, krwie rozlew, grzech; łokieć, pożytek ludziom, praca. Z pracy poczciwość; z poczciwości cnota. „Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi“. Jeden

to klejnot, o który godzi się dbać. Reszta marność, *vanitas*.

— Zawždy i tamtego żal...

Kawka znów obrócił na wnuka wzrok niespokojny, badawczy. Brodę targnął, głową pokiwał.

— Tobie, widzę, ona mżerya w głowę zajechała... — rzekł napół drwiąco, napół żałośnie. — Radzęć uczciwie: poniechaj!

Krzyś zmarszczył się. Twarz jego przybrała wyraz nad wiek poważny.

— Nigdybym nie ważył się — wyrzekł solennie — lekce sobie ważyć, co ojce i dziady moje za świętość mieli.

Stary grzmotnął łokciem okutym w ladę.

— Głupi! — wybuchnął. — Wierzysz-że, iż Stwórca z innej gliny ulepił szlachcica, a z innej plebeja?

Krzyś milczał.

— Nierazżeś pewnie słyszał, jak niemcy we Gdańsku szprachają:

Da Adam hackt und Eva spann,
Wer war da ein Edelmann?

— I w naszej Starej Warszawie usłyszeć to nie nowina. Gdyby Bóg Wszechmogący miał czynić między ludźmi dyferencye, pewnie-by ich nie inak podzielił, jeno na cnotliwych i niecnotliwych.

Obrócił się ku drzwiom otwartym, przez które było widać gęsto snujących się ludzi — oblicza zbiedzzone, a jednak śmiało na świat patrzące.

Odkasznął, głosem lekko drżącym zanucił:

Nigdy się cnota nie lęka,
Ani pod kłopotem stęka;

Cnota wysoko panuje,
Cnota dobrym rozkazuje.

— Zawždy żal... — mrucał Krzyś, nie wstając z miejsca i uporczywie wpatrując się w podłogę.

Kilka osób, śpiewem zwabionych, wsunęło głowy do kramu. Pozdrawiali starca serdecznie, jak ojca.

Głową im się skłonił, nie przerywając śpiewu, który owszem coraz mocniej wzbijał się pod ostrołukowe sklepienie.

Cnota klejnot niestracony,
Cnota skarb nieprzeplacony —
Milszaś mi cnota z chudobą,
Niżli niecnota z ozdobą.

U progu stanęła gromadka ludzi w lachmanach. Mieli twarze czarne, jakby w dymie uwędzone, policzki zapadłe, oczy smutne. Każdy trzymał w ręku koszyk nieduży.

Nic nie mówili. Zamiast słów, do ciemnego wnętrza kramnicy pobiegły ich spojrzenia.

Znaczenie spojrzeń stary pojął odrazu. Prze stał śpiewać i śpiesznie posunął do kąta, gdzie w zagłębieniu muru stał stolik nakryty. Na stoliku umieścił przed chwilą służebny przyniesione z domu śniadanie: duży, gliniany kufel gorącego, żółtkami zaprawionego piwa z cukrem i cynamonem, oraz spory krąg białego ciasta z rodzynkami. Na drugim końcu stolika takiż sam kufel i także samo ciasto przygotowano dla Krzysia.

Kawka pochwycił piwo w jedną rękę, bochen w drugą — do stojących w progu skierował się.

— Pogorzelcy... — mruknął, Krzysia wymijając. — Przez „klejnotnych“ połupieni...

W milczeniu złożył swój dar do pierwszego z brzegu koszyka. Połę długiej sukni odchylił, kalety skórzanej dobył — pieniążków srebrnych kilka do koszyka drugiego wsunął.

Odwróciwszy się, natknął na wnuka. Chłopiec niósł również posiłek swój i trochę niezbytecznych srebrników ofiarom szlacheckiego rozboju.

Dziad i wnuk spojrzeli sobie w oczy—zrozumieli się.

Pogorzelcy odeszli. Krzyś zabrał się do porządkowania towarów na długich, dębowych policach: Kawka na środku kramu stanął z twarzą promieniającą.

Pierś naprzód wysunął, białą brodę dłonią do piersi przycisnął — pod powalę uleciała ostatnia strofa pieśni:

Łatwiej tu bogatym zostać,
Aniżeli cnoty dostać.
Cóż mi po bogatych włościach,
Jeśli w sprośnych gniję złościach!

Pieśń urwała się. Stary zajął zwykle miejsce na stołku skórą obitym — księgi handlowe wertować jął.

Krzyś skończył porządkowanie. Teraz zazierał do wszystkich kątów, do komory obocznej wychodził, ścigał odzież swą, bieliznę, papiery. Przygotowania czynił do podróży. Przy tem zajęciu, raz po raz, ciężko wzdychał...

Kawka z ponad wielkiego foliału podniósł wzrok pytający.

— Cóż za zmora cię dusi? — spytał.

— Frydlera okrutnie mi żal!...

— Ba! Wzdychaniem go nie wskrzesisz. „Wieczne odroczenie“ zmówiłeś, to i dość. Wzdyc nie brat twój, ani kum.

— Ach! Jakże tam „Ketchen“ srodze desperować musi!...

Wzrok starego stał się przenikliwszy.

— Cóż to? Zmówieni byli? Po zrękowinach już może?...

— Nie. Ale wiem, że ona jemu bardzo sprzyjała...

— Z przyzwoleniem pana oca?

— O tem słyhać nie było.

— To zaniechaj wzdychania.

Pogłaskał brodę, wzrokiem potoczył dokoła, ziewnął krótko — pomilczał.

— Ileż to ona już ma, ta... synogarlica?—spytał niby obojętnie, w Rynek przez otwarte drzwi patrząc.

Krzyś otworzył szeroko oczy.

— O kim mówicie, panie dziadku?

— O kimże-by! O tej tam Borumbachównie. Pono „Kaśka“ ją wabia?

Oczy Krzysia rozszerzyły się bardziej jeszcze. Zdawało się, że trudno mu pojąć: jak można takim tonem o takiej pannie przemawiać. Przybrał minę niezmiernie uroczystą—z przesadną powagą odrzekł:

— Jedyńacze pana Borumbachowej na imię: Katharina. Zowią ją przecie wszyscy Ketchen, bo tak składniej i słodziej.

Stary mrugnął kilkakrotnie powiekami.

— To ileż ma ona słodkość?

— Pannie Ketchen — oznajmił młodzieniec, powagi nie pozabawiając się — zabiera się na szesnasty.

— Gładka?

— Mało gładka! Przecudna! Krew z mlekiem, róża z leliją, poziomka w śmietanie!...

Kawka uśmiechnął się.

— Ty, Krzychu, na poziomki ze śmietaną zawsze był łasy...

Młodzianek silnie się zaczerwienił.

— A ona jakże? — dopytywał stary. — W mleczakach smakuje? Synowi ojcowego towarzysza sprzyja?

Na twarzy Krzysia rumieniec ustąpił miejsca bladeści.

— *Frojłajn* — wyjąkał, onieśmielony nagle—dla wszystkich łaskawa. Trefne słówko rzucić, uśmiechnąć się, pogłowić, łatwiej jej przychodzi. Drugdy, to i gzić się gotowa, jak koza. U Niemców to zwyczajne.

Kawka spoważniał.

— Nie zów ty Borumbachów Niemcami. Gdańszczanie to, nie Niemcy. Borumbach katolik dobry: do kirchy luterskiej nie chadza, Panienkę Najświętszą czci, kiełbasy w piątek nie żre. Że u nich w domu po niemiecku szprachają, to nic. Nie nowina to i w naszej Starej Warszawie. Nasz wójt, a podczas i sam burmistrz, kiedy wezmą artykuły majburskie wykładac, nigdy się bez Niemczyzny nie obędzie. Zapomniałeś, że Borumbachy i do warszawskiego mieszczaństwa wpisani? Toć mają dom przy świętym Janie i włóki swoje po przedmieściach. Ród dobry — daj Bóg, każdemu z nim się spowinnic.

Zamyślił się, powieki do połowy zasunął. Roit— a to rojenie przyjemne być musiało, bo mu na lica wystąpił wyraz wewnętrznego zadowolenia.

Zbudził się, poszukał oczami krzątającego się po kramie wnuka, ruchem ręki go przyzywał.

Spojrzenia dziadka i wnuka znów zeszyły się, porozumiały.

Kawka ujął młodzieńca za rękę.

— O tej tam Kasi — rzekł wesoło — pogadamy później. Niech-no ci wpierv broda gęściejszym mchem obrośnie. A i ona do pory swej nie doszła. Koza-ć to jeszcze, jakoś sam rzeknął.

Krzyś obruszył się, chciał przeczyć—stary ręką nakazał milczenie.

— Nie do wiary to — ciągnął — aby ta dziewczka dziś już komu naprawdę sprzyjała. Ot, gzi się, i tyle. Raz z kotem pofiguje albo psiakiem; drugdy ze służebną albo towarzyszem ojcowym. Do przyjaźni stamtąd dalej, niż ze Gdańska do Londry. Przeto ci mówię, Krzychu, odłóż one rzeczy na stronę. Teraz myśleć ci trza o jednym: jak u pana oćca przyjaźni i ufności dostać. Za czasem, kwaśne trześnie do swej pory dojdą, gorętszego rumieńca i słodkości nabiorą. Bądź też pewien, że w onym terminie jejmościanka Borumbachówna sprzyjać będzie temu jeno, komu sprzyjać pan ociec pozwolą i każą.

Krzyś pochylił się, w ramię dziadka pocałował. Wyraz twarzy jego mówił, że sprzeczać się ze starym nie ma już ani chęci, ani — potrzeby.

Kawka pogłaskał wnuka po twarzy, po długich jasnych włosach. Udobruchany był zupełnie.

— Co się tknie Frydlendera — dorzucił, aby usunąć ostatni cień, pogodę tej chwili maćący — radzę: mszę za duszę nieboszczykową zakup i melancholii poniechaj. Nic z niej ani jemu, ani tobie.

— Nie inaczej uczynię — przytaknął młodzianek, prostując się.

W tejże chwili tknęła go myśl nowa.

— Zarazem — dorzucił — będzie msze gwoli szczęśliwego odszukania Hanusiowego.

— I tak dobrze — potwierdził Kawka. — Wieczorne zorze pogasły, przyzywajmy zórz porannych. Na niebie zawždy musi być jasno...

Rozmowę przerwali, bo do kramu napływać zaczęli kupujący i przyjaciele. Przytem Krzyś biedz musiał na miasto, aby przed wyjazdem resztę spraw warszawskich załatwić i babcię Kawczynę pożegnać.

Łzawe oczy staruszki powiedziały mu, że już je po raz ostatni ogląda...

WIKTOR GOMULICKI

BURMISTRZÓWNA (MIECZ I ŁOKIEĆ)

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA
Z PIERWSZYCH LAT W. XVII

TOM II.

WARSZAWA
NAKLAD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT”
1915.

<http://rcin.org.pl>

Дозволено Военною Цензурою
Варшава, 27 Января 1915 г

DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA SYNÓW, WARSZAWA

<http://rcin.org.pl>

CZEŚĆ DRUGA.

MELCHIOR DREWNO.

WYDZIAŁ FIZYKI

I.

W dużej, wąskiej izbie z powalą ostrołukową płonęło kilkanaście świec woskowych. Pomimo obfitości światła, było ciemno. Całą jasność pochłaniały opony z czarnego sukna, któremi, prócz stołów i stołków, wszystkie ściany pokryto.

Był to rodzaj żałoby, przejęty z góry, od dworu królewskiego. Dał mu początek Zygmunt August. Król melancholik, po śmierci Barbary, spędzał życie w komnatach, kirem czarnym wybitych.

Na dużym krześle z oparciem prostopadłym siedział nieruchomo człowiek z twarzą, jak wosk, żółtą, z włosami, jak popiół, szaremi. Włosy okazywały, że stoi na progu starości; twarz mówiła, że wstąpił za ledwie w lata dojrzałe.

Gdyby nie oczy szeroko otwarte, można było sądzić, że ten człowiek śpi. Można go było także wziąć za umarłego. Żrenice miał szkliste i jakby słupem stojące.

Twarz siedzącego była zwrócona ku wiszącemu na jednej ze ścian obrazkowi. Czy jednak na ten obrazek patrzył? Czy, patrząc, widział go?

Srebrna rama obrazka żalobnie odbijała od tła czarnego. Z ramy wyzierała główka kilkoletniego dziecięcia. Dziecko było blade, szczupłe, z czarnymi włosami, z wyrazem smuku i powagi w dużych, czarnych również oczach.

Malowidło ujawniało pędzel dobry, rękę prawdziwego artysty. I nie dziw: blade dziecko portretował sam Dolabella, malarz królewski.

Trzeba było mieć mieszek dobrze nabity, aby sobie na taki zbytek pozwolić.

Długą komnatę przedzielała w samym środku opona z czarnego, grubego falendyszu, gęsto sfałdowana, rozsuwająca się na cienkim, posrebrzonym drążku.

Po długiej chwili ciszy, prawie cmentarnej, za tą oponą zaszemrało coś, zaszeleściało... Fałdy lekko zadrgały, jakby od prądu powietrza z drzwi otwartych płynącego.

Szmery ucichły, opona zeszywniała, czuło się jednak obecność ludzi za czarnymi fałdami.

Nagle, tak cicho, tak cienko i tak drżąco, jak wieczorna muzyka komarów, zajęczał przeciągły akord skrzypiec i wioli.

Człowieka wrażliwego przeszłoby mrowie od tej niespodzianki. Ale człowiek wpatrzony w obrazek wcale jej nie odczuł. Pewnie nawet jęśliwego akordu nie słyszał.

Po akordzie pierwszym nastąpił drugi, trzeci. Do narzędzi smyczkowych przyłączyły się flety. Rozpłakała się melodia rzewna a solenna, prosta a wzruszająca, jak psalmy Gomółki, jak muzyka do Psalterza Rybińskiego, jak wszystkie pieśni ówczesnych katolickich i protestanckich kancyonałów.

Zdawało się, że załkało echem żalobnem powietrze, że dreszcz przebiegł po zwieszających się ze ścian kirach.

Człowiek w krześle z prostopadłą poręczą ani drgnął, ani powieką mrugnął, ani głową poruszył.

Chwila ciszy — i rozległ się śpiew. *Discantus*,

Tenor, Bassus i Altus zabrzmiały w kwartecie. W języku przeciągłym zespoliła się z niemi wiola.

Z poza opony każde słowo dochodziło wyraźnie. Kwartet odśpiewał głosami cokolwiek przyciszonymi pierwszą strofę „Lamentu“:

Ach, Panie! byś nie był Bóg, co wszystko sprawujesz,
A rozlicznie człowieka grzesznego probujesz,
Umiał-bych się domawiać swej smutnej żałości,
Która mię jest potkała z twej Boskiej możności.

Ręka człowieka woskowego otworzyła się i zamknęła. Śpiew przebrzmiał — człowiek stał się na powrót automatem.

Znów przegrywka, znów śpiew. Tym razem głosy inny wyraz przybrały. Strofa pierwsza była cicha a ponura — czuło się w niej prawie pogroźkę; strofa druga zabrzmiała mocniej, lecz jakby z roztapiającą się w modlitwie żałością.

Ale iżeś jest Pan mój na wszem sprawiedliwy,
Nie śmiem na Cię narzekać, bom człowiek złośliwy,
Którym Cię z młodości mej na baczości nie miał,
Twe święte przykazania często przestępował.

Na twarz słuchającego wystąpił wyraz zdziwienia. Głowę podniósł — nasłuchiwać zaczął.

Śpiew brzmiał coraz głośniejszy, wyraziściej. Przeszedł w tony rzewne, błagalne, które zdawała się oświecać i uspokajać zorza świtającej gdzieś daleko nadziei.

Kwartet modlił się:

Wejrzyj, mój miły Panie, miłosierdziem swoim,
A racz na to wspomnieć, żem stworzeniem twojem;
Jakoś obrócić raczył do Joba świętego,
Acz się ja nieprzypównam dostojności jego.

Nastąpiło spokojne, uroczyste opowiadanie:

Raczyłeś mu być pobrać dzieci i dobytki,
Zdrowie, domy, winnice, k'temu skarby wszystkie;
Potemś wejrzeć raczył na pokorę jego,
Raczyłeś go nadarzyć wnet obficie wszego.

Żrenice słuchającego już nie stały słupem, choć jeszcze były szkliste. Palce obu rąk to ścisnęły nerwowo poręcz krzesła, to ją puszczały, rozszerzając się i sztywniejąc. Po twarzy woskowej przebiegało chwilami światło.

Teraz wszystkie narzędzia muzyczne i wszystkie głosy doszły do *fortissima*. Kwartet piersią całą zagrział:

Racz mię jeszcze na świecie z tych smętków wybawić,
A swym najświętszym duchem racz też o mnie radzić,
Abych przeciwko Tobie już nie występował,
A po śmierci w twe ręce duszę ofiarował!

W jednej chwili wszystko ucichło. Prąd świeżego powietrza poruszył fałdami opony — zaszeleściło, zaszemrało—znów izbę głuszą cementarna zajęła.

Człowiek na krześle nie poruszał się. Był, jak wpiers, sztywny, w kamień zastygły, umarły. Ale oczu nie miał już szklanych. Zmatowała je i przyćmiła mgła lekka.

Nagle powieki jego zadrgały kurczowo, kilkakrotnie podniosły się, opadły—po twarzy, wciąż nieruchomej, spłynęły zwolna dwie łzy grube...

W tejże chwili kobieta, która od pewnego czasu stała w drzwiach półotwartych, obróciła się do kogoś, ukrytego w głębi, i rzekła:

— Teraz już wasza miłość będzie mogła z moim panem mężem pomówić.

II.

Drewnowie, choć mniej głośni od Gizów, Baryczków, Strubiczów, dobrze zasłużyli się miastu ojczystemu. W kronikach Starej Warszawy często, choć w krótkim okresie czasu, zapisywano imię Łukasza Drewny, który spełniał najwyższe urzędy miejskie i nie szczędził sił, zdrowia, mienia na obywatelskie posługi.

Melchior, brat Łukasza, był człowiek cichy, zamknięty w życiu domowym, w rozmyślaniach nabożnych—potrosze w muzyce i poezji. Blasku światowego unikał, do magistrackich dostojęństw nie rwał się. Dobro miasta i kraju zawsze go żywo obchodziło; czynił dla niego niemało, zawsze jednak w sposób niegłośny, z ukrycia, umyślnie ślad swej ofiarności zacierając.

Na życie ciche, na spokojną dewocję, na szlachetne nasycanie się uciechami estetycznymi, pozwalała Melchiorowi duża zamożność. Jeszcze w młodych latach poszczęściło mu się z kupnem i odprzedazą folwarków podmiejskich. Później zakupił korzystnie winnice na Węgrzech. Znaczny grosz zebrał na handlu tokajem, który kupowano odeń do dworów magnackich, nawet na stół królewski bierano.

Ten rodzaj handlu nie przynosił wówczas ujmy najpoważniejszym ojcom miasta, najczcigodniejszym głowom patrycyatu mieszczańskiego. Uprawiali go niemal wszyscy — nie wyłączając tych, co najwyższą godność burmistrzów i wójtów dzierżyli.

Jednak Melchior Drewno nie był długo kupcem.

W chwili, gdy jego piwnice cieszyły się największym rozgłosem, sprzedał je i z handlu się wycofał.

Nie miał jeszcze wówczas lat czterdziestu; był zdrow, pełen sił, energii, rzutności. Przedwczesne usunięcie się od pracy i zabiegów światowych niezmiernie współmieszczan zdziwiło. Zdziwiło tembardziej, że Melchior należał do ulubieńców losu, że wiedło mu się wszystko, czego tknął. „Szczęście“ jego było przysłowiowe — stare kumy szeptały po kątach, że ma „inkluza“...

W rzeczywistości, nie był szczęśliwym. Los, który posiada niewyczerpany zasób ironii, temu człowiekowi, miłującemu nadewszystko życie rodzinne — nie dał rodziny. Nie dał mu przynajmniej rodziny zupełnej, tego ogniwa cudownego, które dzień dzisiejszy łączy z jutrzejszym, istnienie doczesne przedłuża — pozornie — do nieskończoności.

Melchior, po dziesięciu latach pożycia małżeńskiego, nie miał dziecka. Rodziły mu się wprawdzie dzieci, ale jedno po drugim przychodziło na świat — martwe.

W ciągu tego dziesięciolecia pięciokrotnie doświadczał wstrząsających wzruszeń nadziei i rozpaczy. Sprawiał kolejno kolebki i trumienki; zapraszał przyjaciół na chrzciny, a wiódł ich na pogrzeby.

Nie mając dziedzica, pocóż miał trudzić się nad dalszem pomnażaniem fortuny? Dla niego samego i dla żony to, co posiadał, aż nadto wystarczało. Nadmiar mienia oddawał kościołom i klasztorom, których w obrębie Starej i Nowej Warszawy najhojniejszym był dobrodziejem.

Nie zliczyć, ile mszy zakupił, ile sutych „elemożyn“ rozdał, iloma srebrnemi i złotemi aparatami ozdobił ołtarze i skarbce kościelne, z jedną zawsze

intencją: aby go Bóg dziecięciem żywym i zdrowym ubłogosławił.

I przyszedł wreszcie dzień wielki, dzień świąteczny, dzień niezmiernej, na życie całe wystarczającej radości. Kończył się właśnie rok dziesiąty jego małżeństwa, gdy znów zabłysła mu nadzieja zostania ojcem.

Tę noc, do śmierci pamiętną, przeleżał krzyżem przed ołtarzykiem domowym. Za pomyślne rozwiązanie żony ślubował Bogu pielgrzymkę do grobu Chrystusa.

Pani Melchiorowa powiła zdrową, ładną dziewczynkę — on w rok później, szlakiem Mikołaja Radziwiłła, odbył „peregrynację“, i lampę szczerozłotą w kaplicy Grobu Pańskiego zawiesił.

Przez pięć lat był ojcem; przez pięć lat z czołem wypogodzonym mówił o sobie wszystkim, że jest szczęśliwy. Znów rękawy zakasał, do pracy się zabrał — postanowił zebrać dla jedynaczki posag wielki, olbrzymi, zdumiewający.

Szło mu wszystko, jak z płatka. Po pięcioletnich zabiegach uczynił się jednym z najzamożniejszych obywateli Starej Warszawy. Miał domy *intra muros* i po przedmieściach; miał grunta pod miastem, z tej i z tamtej strony Wisły; miał pieniądze leżące w okowanych sepetach. Od współmieszczan otrzymał przydomek „Bogacz“.

Dziecko było dla niego świętością, bożyszczem. Nie tylko miłował je, ale i czcił. Pewien *pater* z „Klasztoru“ Jezuickiego ostrzegał go często, że ubóstwanie istoty ludzkiej jest grzechem. Ostrzeżeń nie słuchał — uszy przed niemi zatykał.

Dzieweczka zdawała się nie odczuwać i nie podzielać radości ojcowej. Jej duże, czarne oczy były zawsze smutne; wyraz bladej, szczupłej twarzyczki

raził zgoła nie dziecięcą powagą. Była piękną, ale pięknością kwiatów cieplarnianych, jesiennego słońca, piosenki płynącej z wiatrem po stepie...

Pięć lat trwało szczęście Melchiora. Każdy rok był jakby stopniem, wiodącym go na coraz wyższe szczyty ziemskiej radości. Gdy zaś dosięgał szczytu najwyższego... piorun losu wtrącił go w przepaść.

Podczas pożaru, Melchiora w domu nie było. Wyjechał był do Krakowa w sprawach majątkowych. Dziewczynka pozostała w domu, pod opieką matki i służby.

Czyż można zapewnić dziecku opiekę lepszą od macierzyńskiej! A jednak rzecz dziwna: Melchiorowa, choć dobra matka, nie dorównywała mężowi ani mocą ani gorącością uczucia rodzicielskiego. Nie potrafiła też w chwili okropnej miejsca jego zastąpić.

Gdy trwoga wstrząsnęła całym miastem, gdy dzwony wszystkich kościołów uderzyły „na larum“, gdy w obrębie murów i daleko poza murami nie było ani jednego człowieka, któryby z pościeli nie porwał się i o ratunku nie myślał — zbudzono się i w kamienicy Drewnowskiej, choć była znacznie od Rynku oddalona.

Pierwsza wybiegła z domu Melchiorowa, zalecając służebnym, aby dziecka pilnowały. Nauki, niestety, nie poparto przykładem. Nie upłynęło pół godziny, a w domu nie było już ani jednej duszy niewieściej. Nawet stara ochmistrzyni, upewniwszy się, że dziecko śpi, podreptała za innymi „jeno na momeciczek, jeno do węgla“...

Dziewczynka ocknęła się. Obudził ją głos dzwonów pobliskiego kościoła. Usiadła na pościeli — oczy jej przeraził czerwony blask w oknach. Usłyszała wrzawę, tentent galopującego po bruku jeźdźca...

Wyskoczyła z łóżeczka, wołając matki, potem

ochmistrzyni, potem służebnych. Nikogo w domu nie było. Przeleżała, nieprzytomna, rzuciła się w drzwi, wydostała się na ulicę — bosa, w giezłeczku samem, z włosami rozwianemi, pobiegła w stronę ognia.

Tyle ją tylko widziano.

.

III.

Serce ludzkie bywa zagadką. Ale nic zagadkowego nie powinno mieścić się w sercu matki. Czemuż jednak i miłość Melchiorowej do dziecka, póki żyło, i żal po niem, gdy stało się pastwą pożaru, różniły się tak rażąco od miłości i żalu jej męża?

Kochać dzieci rozsądnie, powściągliwie, bywa zwykle właściwością ojców — tym razem tę właściwość przyswoiła sobie matka.

Nikt nie mógł być zarzucić Drewnowej, że obowiązków rodzicielki nie spełnia — nikt zarazem nie widział nigdy, żeby ze łzami całowała rączki i nóżki dziecięcia, żeby w śpiące wpatrywała się po całych godzinach, w milczącym zachwyceniu, żeby bladła śmiertelnie lub bicia serca dostawała, gdy dziecko, biegnąc po komnacie, potknęło się i upadło.

To wszystko czynił Melchior.

Gdy przyszło nieszczęście, matka we łzach się rozplýwała — ojciec był, jak kamień.

Ci, co znają tajniki uczuć ludzkich, mówili: „Boleść matki we łzy przeszła, ze łzami spłynie; boleść ojca w sercu się skryła — póki bicia serca, póty boleści“.

Melchior ani razu imienia córeczki nie wspominał — Melchiorowa miała je nieustannie na ustach. Z nadzwyczajną też wytrwałością poszukiwała

szczałków spalonego dziecka wśród zgliszczy. Zda-
wało się, że gdyby choć parę kostek i strzęp koszulki
wyrzebała z popiołu, i tym reszkom ziemskiego
istnienia pogrzeb wyprawiła suty — ulżyłoby jej na
sercu.

Chętnie, prawie z upodobaniem, słuchała opo-
wiadań o innych dzieciach, które śmierć znalazły
w płomieniach. Lista ich była długa. Jedne dym
udusił; inne spaliły się w oczach matek, nie mogą-
cych nieść im pomocy; inne jeszcze, wyskakując
z pięter wysokich, rozbiły głowy na bruku.

Mówiono także o dzieciach ukradzionych, po-
rwanym przez cyganów, czy ormian...

Przy słuchaniu pani Drewnowa z początku za-
nosiła się od płaczu; potem łzy osychały — na twa-
rzy zjawiał się wyraz wielkiego zaciekawienia. Nie
inną twarz miałaby, słuchając „Historii Rzymskich“,
które wówczas po wszystkich domach chciwie czy-
tywano.

Te rozmowy wzruszające toczyły się najczęściej
ze starą Kosową, pół-lekarką, pół-wiedźmą. Od sze-
ściu lat ona była powiernicą Melchiorowej. Nie lubił
jej Drewno, niecierpieli domownicy — baba nie wiele
na to baczyła, mając za sobą panią domu, z którą
mogła była robić, co chciała.

Ona to niosła pomoc Drewnowej przy ostatniem,
szczęśliwem rozwiązaniu; ona pierwsza zwiastowała
jej mężowi przyjście na świat dziecka.

Drewno rzucił jej w fartuch garść czerwieńców—
w pierwszej chwili ucałować ją chciał—potem ostygł,
uczuwszy do niej wstręt nieprzewyciężony.

Czarne oczy staruchy, głęboko osadzone pod
gęstemi, siwymi brwiami, na wszystkich działały od-
pychająco. Bóg wie, czem ona się trudniła, jakie
„praktyki“ w mieście i za miastem odbywała. Mąż,

młodszy od niej, miał izbę balwierską na Szpichlernej, gdzie golił, włosy trefił, krew puszczał — leczyl potajemnie młodych rozpustników.

Oboje byli postaciami zagadkowemi, kryli się w mroku — jednak widywano ich niekiedy wymykających się chyłkiem z dworów magnackich, albo zaczajonych i zatajonych na którym z dziedzińców zamkowych.

Drewno nie wychodził z odrętwienia; owszem, coraz głębiej w nie zapadał. Owiesiwszy największą komnatę kirami, dnie całe spędzał na milczącym, nieruchomem wpatrywaniu się w wizerunek dziecka. Posiłku przyjmować nie chciał; długo prosić go musiano, zanim zgodził się wypić trochę wina lub łyżkę rosołu.

Zatrwożyła się o męża pani Melchiorowa. Wezwała lekarzów — nie pomogli; udała się do znachorów — o większą niemoc przygotowili. Astrolog jeden zobowiązał się losy Melchiora w gwiazdach wyczytać. Wziął czerwieńców niemało i przysłał kartę pergaminową, zapisaną krzywemi hieroglifami. Sam dyabeł nie doszedłby, co te wykrętasy znaczyły.

— Przecz pani bratowa pociechy kościoła nie szukasz?—zagadnął raz Melchiorową Łukasz Drewno, rodzony Melchiora. — Malcher (tak wymawiano to imię w rodzinie) był zawždy jego posłusznym i miłowanym synem. Od Boga przyszło nieszczęście, Bogu zlecić ratunek.

Rada była mądra — kobieta zdziwiła się, że szukając dróg innych, przedewszystkiem na tę nie wstąpiła. Nie zwlekając, poszła do Fary, do kanoników, z którymi tak poważnej patrycyuszce najlepiej sprawę mieć przystało.

Zawód spotkał i ją i dostojnika kościelnego. Drewno na głos kapłana był głuchy, pociech religij-

nych przyjmować nie chciał, na wzmiankę o rezygnacyi chrześcijańskiej, o poddaniu się woli Boga — ramionami zżymnął.

Zaszła w jego przekonaniach zmiana zasadnicza. On, który miał sobie za szczęście największe świecę na procesyi nosić, księdzu w zakrystyi przy ubieraniu się pomagać, kraj płaszcza kanonickiego całować, zdawał się teraz nic zgoła nie wiedzieć o istnieniu kościoła i jego hierarchii.

Kanonik wyszedł zgorszony. Mimo przesłodkiej małmazyi, którą go częstowano, miał gorycz w sercu i ustach. Żegnając się, przebąkiwał o opętaniu... o egzorcyzmach...

Z kolei udała się Drewnowa do *patrów*. Ci już nie przebąkując, ale wręcz, na cały głos, gadali, że do Melchiora „przystąpiło“, że jego odretwiałość jest opętaniem, że wreszcie rozpiera mu boki i przez usta jego przemawia — czart we własnej osobie.

Jeden, wyschły jak mumia, z żarzącymi się gorączkowo oczyma, obruszył się, gdy stan cierpiącego tłómaczono żalem po dziecięciu.

— I cóż to dziecię? — mówił szybko, dysząc. — Łątka żywa! Siła ich rodzi się; siła umiera; siła na świat znowu przychodzi. Nie zbraknie tego nigdy. Kto głupi, cieszy się łatką; kto głupi, płacze i biada, gdy ją utraci. To grzech; i tamto nie cnota.

Przesądna mieszcza już była napół uwierzyła w opętanie mężowe. Toć niemal codziennie słyszało się o kimś, w kogo czart wstąpił i męczył go srodze, póki nie został przez księdza wypłoszony.

Nie każdy kapłan moc wypędzania czarta posiadał. Dobrym egzorcyztą mógł być ten jeno, kto sam w sobie z czartem walkę zwiódł, pokonał go — podeptał.

Jednego przedwieczera, z nieszporu wraca-

jąc, rozmyślała Drewnowa: czy nie prosić o to dobrodziejstwo ojca Skargi, który na męża jej łaskaw bywał? Rozmyślanie przerwał jej śpiew wesoły. Ktoś, tuż za nią idący nucił skoczną, włoską piosenkę.

Uliczka była wązka. Śpiewak, wymijając otyłą niewiastę, w oczy jej spojrział, śpiewać przestał, czapeczki kształtnej uchylił.

— Czołem pani ciotce! *Laudetur!* — świeżym, młodym głosem pozdrowił.

— *In saecula* — odrzekła. — Dokąd wiatr pędzi pędziwiatra.

Był to bratanek Drewnowej, Jędrzych, muzykus zawołany z kapeli Jego Królewskiej Mości.

— Wiatr pędzi, dokąd jego wola — zaśmiał się. — Jać mu onej wzbronić nie mogę.

Rozmawiać zaczęli o sprawach rodzinnych, o Melchiorze, jego niemocy. Niewiasta opowiedziała krewniakowi o daremnych zabiegach lekarskich, znachorskich, księżowskich. Wspomniała wreszcie o egzorcyzmach.

Muzykus roześmiał się lekceważąco.

— To wszystko nie stoi za jaje! — oświadczył z młodzieńczą swobodą. — Znam ja na melankolię *remedium* skuteczniejsze. *Probatum est!* jak muzykę miłuję!

— Jakież ono? — żywo spytała.

— Na lutni choremu brząknąć, słodkimi gorgami po sercu przejechać...

— Pomoże?

— Jak łaknącemu chleba, pragnącemu woda, miłującemu...

Nie dokończył, przypomniawszy sobie, czyje uszy go słuchają.

Wynik rozmowy był taki, że żałobną komnatę Melchiora przepołowiono kotarą z czarnego falen-

dyszu, i że za tą kotarą najdobrze głosy z chó-
rów farskich, przy towarzyszeniu najlepszych mu-
zyków z kapeli królewskiej, wykonywały każdego
wieczora „Lament“ Szafrança, „Psalmy“ Gomółki,
„Improperie“ Palestriny...

Remedium pomogło: melancholik zapłakał.

IV.

— Niech wasza miłość wejdzie... Uniżenie
prosimy...

Dały się słyszeć kroki posuwiste, chrzęst mate-
ryi jedwabnej...

— Do komnaty wkroczył — Zboiński.

Wyglądał odświętnie. Miał żupan z „hattasu“,
buty czerwone, czub na pół łokcia, wąsy zadarte po
szwedzku. U czapki, którą na lewej, zgiętej w łok-
ciu ręce, piastował, jak dziecko, powiewało koszto-
wne pióro czaple.

Skłonił się ręką, głowy nie pochylając.

— Witam, panie sąsiedzie. Pochwalony!

Drewno otarł szybko lzy — z krzesła do poło-
wy się uniósł.

— Na wieki wieków — mruknął. — Czotem
waszmości, panu mojemu.

Drewnowa podsunęła gościowi zydel rzeźbiony.
Starala się być uniżoną, nadskakującą. Niezbyt to
się godziło z jej tuszą okazałą, z wyrazem twarzy
skupionym i sennym, jaki miewają starsze niewiasty
na obrazach mistrzów flamandzkich.

— Panu mężowi darować proszę — mówiła,
przymilając się.—Niemoc mu nogi zeszytniła, nie
może oddać czci powinnej jaśnie wielmożnemu panu.

Szlachcic odpowiedział uśmiechem łaskawej

pobłażliwości — na zydlu rozparł się wygodnie — but jeden czerwony naprzód wysunął.

Na koniec tego buta patrząc, oświadczył głosem basowym:

— Sprawy sąsiedzkie tu mię przywiodły. Fortunę swą na Węgrzynowie rozszerzyć żądam.

Drewno patrzył nań ze swego krzesła oczyma szklanemi. Nie śpieszył z odpowiedzią — może o niej zgoła nie myślał.

— Sprawy nie ucieczą — wyręczyła męża pani Melchiorowa. — Tymczasem nie wadzi gardło z kurzu przepłukać.

Zboiński kiwnął głową przyzwalająco — gospodyni wyszła.

Posiadaczem największego działu na Węgrzynowie był Drewno; najmniejszego — Zboiński. Zachowanie się tych dwóch posesorów znajdowało się w stosunku odwrotnym do majątności. Najskromniej zachowywał się bogaty mieszczanin; najbutniej — goły szlachcic.

Szczupła „fortunka“ Zboińskiego niknęła wśród rozległych pól, łąk, sadów Drewnowskich. Do ostatnich należał jeszcze browar i zarybiona sadzawka. To wszystko stykało się bezpośrednio z próchniejącym dworkiem i jałowemi gruntami szlacheckimi — opasywało zaś je tak szczelnie, że nawet droga do dworku biegła przez pola Drewny.

Zboiński więcej ciągnął zysków z dyplomacyi, niż z gospodarstwa, jednak korciło go wybrnąć z tego dokuczliwego położenia. Przywykł z młodości rozpierać się — tu musiał łokcie trzymać przy sobie. Prawda, że „łyki“ przed nim czapkowali — nie tajne było wszakże nikomu, że u nich łatwiej na stole o tłustego kapłona, niż u niego o groch ze szperką.

Ale do rozszerzenia posiadłości był potrzebny grosz gotowy, tu zaś na opłacenie podymnego niezawsze starczyło.

Teraz rzeczy miały obrócić się na lepsze. Mówiły o tem mina i czupryna Zboińskiego; mówiły także: jego buty czerwone, atłasowy żupan, kita czapla u czapki.

W chwilę po wyjściu Drewnowej służebna przydzwigała srebrną rzeźbioną tacę, pełną butelek, kielichów, talerzy srebrnych i farfurowych. Była to śnać dziewczka na podziw krzepka — dwóch zwykłej miary pacholików nie poradziłoby takiemu ciężarowi.

Pozostawiono gościowi wybór trunku. Poprosił o „żółtą juchę“. Pani Melchiorowa uśmiechnęła się. Wiedziała, co to znaczy, i była dumna, że tę osobliwość piwnica jej posiada. Zaraz też napelniła kielich szlachcica miodem wielkiej ceny, z Litwy, od Radziwiłłów sprowadzonym, który miał barwę złota, a gęsty był prawie, jak galareta.

Sięgnął po kielich i Drewno, ale uczynił to przez zapomnienie. Ledwie ustami szkła dotknął, wróciła mu niechęć do jadła i napoju — odsunął miód, skrzywiwszy się.

Uprzejmość nakazywała nie odrazu przystępować do interesu.

— Co porabia synaczek waszej miłości? — zagadnęła uprzejmie pani Melchiorowa. — Foremny to młodzianek. Pomnę go jeszcze w paziowskim kształtniczku.

Wyraz lekkiego niezadowolenia przemknął po licu szlachcica.

— Jedynek mój — pod wąsem mruknął — usługi dworskiej poniechał.

— Czemże się teraz zabawia?

— Żołnierką. Ludzi stanu rycerskiego zawsze ciągnie koń i szablę.

Gospodarz nie przerywał milczenia — gospodyni musiała mówić za męża i za siebie. W tem zajęciu była biegła, jak wszystkie mieszczki warszawskie.

— Czas mamy niespokojny! — rozciągała dalej przedmiot, którego lepiej było zaniechać. — Z Moskwą, słyszę, jeszcze nie uładzono i szwedy nie ustępują. Choć to rzecz nie białogłowska, zawsze i niewiastę serce boli, słysząc o takowych niepokojach. Trzebaż jeszcze dopuszczenia Boskiego, żeby swoi przeciw swoim wystąpili!...

— Cóż to pani sąsiadka masz na myśli?

— Cóż, jeśli nie owe nieprzystojne kłótnie z królem jegomością. Białogłowie trudno o tem sądzić, wszelako... Pewnam, że się synaczek waszmościń w te rębienie nie wdawa?

Szlachcic spochmurniał.

— Właśnież, że on tej sprawie służy. Zaciągnął się pod chorągiew razem z najlepszymi.

— Rozumie się, że trzyma z królem jegomością?

— Tak... To jest: nie ze wszystkim — mruknął cierpko.

— Spodziewam się, że nie z tymi, co stali pod Jeziorną — paplała dalej mieszczka. — Zapomniałam, jak ich zowią; mniejsza o to. Pono dowodzi nimi „Dyabeł“, nie wiem: prawy czy malowany, zawsze to grzech i sromota. Słalić oni posłów i do naszego mieszczaństwa; nikogo znacznego nie przekabacili. Poszło do nich rzemieślników kilku, co ich w warsztacie trzymać nie chciano, i hultajów kupa, za mury wyświeconych. Wstyd byłoby dla dziecka szlacheckiego z odszczepieńcami trzymać!

Zboińskiemu nie w smak było to gadanie. Kręcił się na zydłu, odchrząkiwał; to jedną, to drugą nogę, to wreszcie obie nogi razem przed siebie wysuwał. Gdyby nie sprawa, która go przywiodła i na której pomyślnem załatwieniu wiele mu zależało, byłby gniewem wybuchnął. Mieszczanie byli dlań podlejszym gatunkiem ludzi — lekceważył ich — pewnieby w uniesieniu nie oszczędzał.

Na szczęście, stosunki z Bobolą nauczyły go hamować krewkość. Nadał się tylko, i głowę zardarłszy, wyrzekł wyniośle:

— Mój syn, pani sąsiadko, trzyma z Rzeczą-pospolitą. Jednego on tylko zna pana: dobro ojczyzny, *bonum publicum*. Dla tego pana sił młodzieńczych i krwi szlacheckiej nie szczędzi i nigdy oszczędzić nie będzie.

Pani Melchiorowa oczy do góry wzniosła z udanym, a może i szczerym zapalem.

— Cudnie! sprawiedliwie! osobiwie trefnie!...— wysokim altem zaśpiewała.

— Dość o tem — zakończył łaskawiej szlachcic. — Teraz z panem sąsiadem sprawa.

Wyciągnął z kieszeni papiery, przysunął się z zydłem do stołu, planik sytuacyjny rozłożył.

Szło mu o nabycie gruntów, przedzielających jego dworek od drogi publicznej. Chciał zbadać zarazem, czy Drewno, w danym razie, zgodziłby się sprzedać inne swe „działki“, a może i całą posiadłość Węgrzynowską.

Przystępował do sprawy butnie, po szlachecku, raz po raz sięgając do kieszeni i dukatami pobrękując. Nie miał tych dukatów więcej nad pięćdziesiąt, czynił jednak niemi więcej hałasu, niż mieszczanin swym całym okowanym skarbcem.

O sprawie mówiła sama Drewnowa. Niewiasta

gospodarna, rządna, praktyczna — ekonomka biegła, w potrzebie nawet jurystka — w zupełności mogła była męża zastąpić.

Melchior tylko przytakiwał lub zaprzeczał, czasem słówko, dwa do rozmowy wsunął — wogóle okazywał obojętność i niechęć do wszystkiego.

Skorzystał z tego Zboiński. Aktu kupna dopełnił łatwo, szybko, korzystnie. Rzecz wypadłaby dlań jeszcze korzystniej, gdyby nie praktyczność Drewnowej. Przebiegły dyplomata przeciwdziałał jej urokiem swej szlacheckości, urok wszakże działać przestawał, gdy brakło — dukatów.

Cokolwiekbądź, targu dobito. Przyzwany na świadka Łukasz Drewno akt podpisał i podpisanie go na bracie wymógł. Szlachcic wypróżnił mieszek, którego zawartość okazała się niewystarczającą. Na resztę wystawił oblig. Podpisał papier zamasyście; obok podpisu odcisnął na wosku swój sygnet herbowy.

— Chwała Panu Jezusowi, uładziło się to jakoś... — rzekła z przymileniem gospodyni, odprowadzając do samych drzwi gościa „szlachetnie urodzonego“.

Zboiński łaskawie kiwnął głową.

— Uładziłoby się lepiej — oświadczył poufnie — gdybyś pani sąsiadka córkę miała...

Drewnowa podniosła oczy, nie rozumiejąc.

— Córkę, mówię — wytłómaczył dobitniej — któraby mi się za czasem na synową godziła.

Pani Melchiorowa oczy zakryła i wybuchnęła płaczem głośnym.

W tej chwili najżywiej podobno ogrom swej straty odczuła.

V.

Jak dwie chmury, wiatrami przeciwnemi niesione, posuwały się ku sobie obozy realistów i rokoszan. Posuwały się zwolna, ociężale, jakby siłą wyższą w pochodzie przytrzymane — jednak szły wciąż naprzód, przez chwilę nie zatrzymując się, ani tembardziej cofając.

Zdarza się, że takie chmury, już-już mające zetrzeć się z sobą, nagle, w chwili stanowczej, wymijają się, jedna drugiej ustępują, rzadną i mgłą lotną w powietrzu nikną. Długo łudzono się nadzieją, że i z temi tak będzie. Kto jednak zważał na barwę tych chmur, coraz ciemniejszą, na ich ruch stale przyspieszany, złudzenia tego mieć nie mógł. Starcie było nieuniknione — z matematyczną ścisłością dawało się przewidzieć, co do miejsca i czasu oznaczyć.

Trudno o sprawę bardziej zawiłą, do sądzenia trudniejszą, niż ów rokosz. Przyrosło doń na zawsze nazwisko Zebrzydowskiego, choć on był tylko jego współautorem. Z równą słusnością możnaby mianować rokoszaninem: Janusza Radziwiłła, Szczęsnego Herburta, „Dyabła“ Stadnickiego,

Ktoby nazwał go „dysydenckim“, równieźby nie zbłądził.

Niezadowolenie z porządku panującego istnieje zawsze i do końca świata istnieć będzie—bez względu na ów porządek. To niezadowolenie przyrosło do natury ludzkiej, część jej organiczną stanowi. Z niego wypływa opozycja — w nim też ma swe źródło ów ruch szczególny, od zastoju broniący, który nazywamy postępem.

Jeśli rokosz Zebrzydowskiego był protestem „złotej wolności“ (na jednej z chorągwi rokoszo-

wych błyszczał napis: *Aurea Libertas*) przeciw jedyńowładztwu, to więcej podobno powodów do niego istniało za Batorego, niż za Zygmunta. Złota wolność znaczyła po prostu: wolność magnatów, a tę Batory mocniej ścisłał, niż Waza.

Niezadowoleni istnieli tak samo wówczas, jak i teraz — nie mieli jednak w sobie, ani dokoła siebie warunków, sprzyjających zbiorowemu wystąpieniu. Być może także, iż następca zbierał plon z ziarna, posianego za poprzednika.

Pewną miarę niezadowolenia publicznego znoś każdy rząd bezkarnie. Biada mu, gdy ją przepełni. Takim przepełnieniem, za Zygmunta, stała się nietolerancja religijna. Z niej to, oraz z osobistej urazy kilku magnatów wszystko poszło.

Poszło również z wrodzonego narodowi popędu do sporów publicznych, do swarzenia się z głową państwa, nawet wówczas, gdy ją sam sobie na karku osadził. O rokoszu mówił jeden z jego przewodców: „Tu on się urodził, gdzie i my sami, trybunał mamy z Francyi, insze prawa z cesarskich i obcych praw — sam rokosz nasz własny“. Zastrzegano sobie prawa własności i wynalazku dla rzeczy, która w przekonaniu pewnej części narodu była jego chlubą. Powtarzano z dumą, że „przezwisko rokosz jest słowiańskie i polskie“¹⁾, wywlekano z kronik fakty, mające świadczyć, że jeszcze przed Zygmuntem urządzili polacy szesnaście rokoszów...

Nie było czem chwalić się. A i argument został źle wybrany: świadczył raczej przeciw rokoszanom, niż za nimi. Kto szesnaście razy rzecz jaką

¹⁾ Był to błąd. I rzecz i jej nazwa zostały przeszczepione z Węgier.

czyni, powtórzy ją siedemnasty raz bardziej z nalogu, niż z potrzeby.

Po wszystkie czasy najłatwiej u nas było o sędziów surowych, o krytyków nieubłaganych, o Kantonów. Zawsze ktoś, wysoko stojący, bywał oskarżany o zdradę, fałsz, knucie spisków, zamachy na wolność. Nie przepuszczano największym, najlepszym. Szkalowany był Kazimierz Wielki, dręczony Zygmunt August — Sobieskiego żółcią pojono, na krzyżu przybito, do śmierci strasznej, bo z bluźnierstwem na ustach, doprowadzono.

Zygmunt Waza był król drewniany — człowiek z duszą śpiącą, z charakterem słabym a dziecinnie upartym. Ale to były przywary, nie grzechy — ułomności, nie zbrodnie. Oskarżyciele zrobili zeń potwora, przy którym Nerony, Kaligule aniołami się wydają.

Nie brakło wśród rokoszan ludzi niepospolitych — od Zebrzydowskiego począwszy. Janusz Radziwiłł odznaczał się wielkim animuszem rycerskim, umysłem śmiałym, niezależnym. Herbert i miłował naukę i posiadał ją i dużo w celu krzewienia jej czynił. Łaszcz Piotr z wielu dzieł wojennych (byle nie pod Guzowem) słynął, do wielu zwycięstw nad wrogami ojczyzny przykładał się.

Jednak ci wszyscy dzielni, świetni, gdy ich demon rokoszu — „który jest słowiański i polski“ — opętał, popełniali nietylko szaleństwa, lecz i dzieciństwa, bywali nietylko wściekli, lecz i naiwni.

— „Jakież to zabawy króla? — krzyczy piorunującym głosem oskarżyciel Zygmunta na zjeździe lubelskim. — Grać w piłkę, alchymię robić, piece wymyślać, mieszkać w seraju i tam syna wychowywać, żyć w sodomskim grzechu, pojąwszy siostę swej żony!...“

Gdy się porównywa ten patos prokuratorski z rzeczywistością, z tem, co o życiu Zygmunta Bir-kowski w „Kwiatach Koron Królewskich“ napisał—trudno uśmiech powstrzymać.

Są fakty, ukazujące wielu rokoszanów w świetle mętnem...

Janusz Radziwiłł, to wróg osobisty Chodkiewicza, najżarliwszego regalisty. Nienawidzi króla, jako opiekuna a zarazem sługę jezuitów; nienawidzi go też jako rozdawcę starostw, który mu ich dwóch — bardzo pożądaných — odmówił...

Herburt, mąż światły, ojczyznę miłuje i dobrze jej życzy—ale pomawiając Zygmunta o tajemne konszachty z dworem rakuskim, sam je prowadzi z Gabrielem Batorym, księciem siedmiogrodzkim. Krzyczy głośno na frymarczenie koroną polską — po cichu sam o nią frymark wszczyna...

Stadnicki — warchoł typowy, zawadyaka, zabijaka. Zebrzydowski — człowiek dwuznaczny, nerwowy, chwiejny, nigdy nie wiedzący dobrze, czego chce, dokąd dąży...

Zięć Zebrzydowskiego, Smogulecki, żywi do króla urazę osobistą. Nie dano mu referendarstwa koronnego, o które gorąco się starał. Przytem za współdział w sprawie ręką panny Zebrzydowskiej zapłacony...

Oni wszyscy sennemu, apatycznemu Zygmuntowi zarzucają knowania skryte, ambitne projekty, plany daleko sięgające, słowem: te właśnie grzechy, które na ich sumieniu ciążyą.

A pominąć nie można i pogłoski, przez Łubieńskiego zapisanej, że jeśli nie wszyscy, to niektórzy zmagali się z przebraniem za Dymitra Hryćkiem Otrepiwym...

VI.

Chmury szły naprzeciw siebie coraz groźniejsze — była wszakże chwila, gdy zdawało się, że jedna drugą wyminie. Ta chwila przypadła zaraz po wielkim sejmie. Król i magnaci wyobrazili sobie wówczas, że ich krasomówcze popisy burzę zażegnały. Tryumfem urojonym byli upojeni, i to może właśnie uczyniło ich niewrażliwymi na klęskę mieszczan warszawskich.

Ludzi słabych, lękliwych powodzenie czyni zuchwiałymi. Gdy w Zygmunta wmówiono, że już rokoszanów lękać się nie potrzebuje, wydał w tydzień po zamknięciu sejmu uniwersał, w którym nazywa ich „tą tam gromadą“. Zaledwie jednak położył na pergaminie swój podpis i kanclerzowi pieczęć przycisnąć rozkazał — nadeszły do Warszawy uniwersały rokoszowe, wypowiadające mu głośno posłuszeństwo. Zmienił się stan rzeczy — zmienił się i ton mowy królewskiej. W nowym uniwersale, dwoma dniami tylko od poprzedniego przegrodzonym, rokoszanie są już dla Zygmunta „tą tam stroną“...

Nadzieja wiatrów pomyślnych zawiodła — starcie się chmur stało się nieuniknione. Teraz należało już myśleć o tem tylko, w jaki sposób katastrofę uczynić możliwie najłagodniejszą.

Za środek najpewniej wiodący do tego uznano: przedstawiać się jaknajgroźniej.

Król był wogóle mało wojowniczy, a raczej całkowicie ducha rycerskiego pozbawiony. Najczęściej, jak pod Chocimem naprzykład, żadna siła nie była w stanie sprowadzić go na miejsce zapasów wojennych. Teraz — porzucił piłkę, klawikord, dłu-tka jubilerskie, przywdział półzbroję, otoczył się

wojskiem koronnem i litewskim — pozował prawie na Stefana Batorego.

Najmilsze obcowanie Zygmunta było z hetmanami, zwykły przedmiot narad — wojna. Wszystkie pisma datował „z obozu“.

Nigdy droga do Moskwy, pod Smoleńsk, do Szwecyi nawet nie była przezeń na mapach studywana z taką pilnością, jak teraz wielokrotnie wyjeżdżony trakt z Warszawy do Krakowa. Ten trakt radby był lotem ptaka przebyć, wiedział jednak, że mu na nim drogę zastąpią: Zebrzydowski i Janusz Radziwiłł.

Jak się przy spotkaniu zachować?

Nad rozwiązaniem tego pytania pracowali codziennie: król, wodzowie, rycerstwo.

Jednego dnia złożono wielką radę, która była prawie radą wojenną. Prócz króla wzięło w niej udział czterdziestu senatorów. Każdy doradzał co innego, ale w nawale zdań ważyły naprawdę dwa tylko głosy — głosy mężów, ku którym wszyscy, nie wyjmując monarchy, ucho nakłaniali.

Różnili się ci **mężowie** już na pierwsze wejrzenie. Obaj byli w pełni wieku męskiego — ale na twarzy jednego, poblądłej i pożółklej, malowało się cierpienie; drugi miał twarz ogorzałą, pełną życia i zuchwałej niemal energii.

Pierwszy uosabiał rozagę, drugi męstwo. Tamten mówił spokojnie, słów dobierając, okresy Cynceronowskie kształtując; ten rzucał słowa, jak kule, mało troszcząc się, jak wyglądają i gdzie padną. Rysy pierwszego były kształtne, wyraziste lecz drobne; pod małym, orlim nosem, układał się miękko wąs niewielki; oko było raczej przenikliwe, niż ogniste. Drugiego twarz tchnęła duchem rycerskim; nos duży sterczał wydatnie nad bujnym, ie-

żącym się wąsem i takąż brodą; oko wielkie, „otworzyste“, ciskało błyskawice.

Pierwszy utykał na jedną nogę; z kieszeni wycierała mu zawsze pergaminowa okładzina książki; wyglądał chwilami bardziej na szkolnika, niż na rycerza. Drugi zdawał się wykuty ze stali; rękę trzymał zawsze na głowicy miecza: z jego czoła nie schodziła nigdy posepna, gromami brzemienna, chimura.

Były to temperamenty różne, wręcz sobie przeciwne: melancholik i choleryk. Trudno o zgodę wśród takich temperamentów — nie było też harmonii pomiędzy mężami.

Rozwaga spoglądała nieufnie na męstwo; męstwo zżymało się na spokój i wyszukane formy rozważagi. Daleko było od tych uczuć do nienawiści; jednak ci ludzie nie lubili się wzajem.

Szeptano tu i owdzie, że mąż gwałtowny za zdrości mężowi rozważnemu większych łask u króla, większej estymy u senatorów... Była to zwykła, dworska plotka. Odpychały się tylko ich temperamenty — charaktery odpychać się nie mogły, gdyż były jednakowo czyste i wzniosłe.

W głębi duszy, każdy z tych mężów żywił dla drugiego cześć głęboką. I nie mogło być inaczej, skoro jeden zwał się — Żółkiewski, drugi — Chodkiewicz.

Na radzie właściwości obu hetmanów odrazu zaznaczyły się wyraźnie. Żółkiewski zalecał dalsze pokojowe próby, wyprawienie poselstwa, któreby do zgody nakłaniało; Chodkiewicz był za orężną, i to natychmiastową rozprawą.

— Innego ja tu wyjścia nie widzę — wołał — jeno, żeby nas Pan Bóg szablą rozsądził. A skoro przyszło już naszej utrapionej Rzeczypospolitej na

ten hak, że się krew bratnia połączyć musi, im rychlej się to stanie, tem lepiej. Wyciągnijmy w pole zaraz? — krwie pociecze mało; zwlekać będziemy? — nie daj Bóg, aby się we krwi cały kraj nie skapał...

Może w gruncie rzeczy i Żółkiewski nie innego był zdania, ale sumienie obywatelskie i rozum polityczny kazały mu być do końca oględnym. Na wybuch tamtego odpowiadał stale:

— Przeciw sumieniu poszedłbym na braci; przeciw sumieniu krew-bym chrześcijańską przelewał...

Spokojne lecz bystre jego oko dostrzegało, co przed Chodkiewiczem wrodzona zapalczywość zasłaniała: niechęć wojska przeciw wyprawie bratobójczej. Groziło to w danej chwili następstwami jak najgorszymi.

Na radzie przeważył wniosek Żółkiewskiego, aby przedewszystkiem wybać ducha armii, dla sprawy królewskiej całkowicie ją zjednać. Zaraz też on wyszedł, aby zebrać rycerstwo w „wieniec“.

Chodkiewicz opuścił zebranie w gniewie, ledwie powstrzymując wybuch pasji. Czerwony, spotniały, z najeżonemi na brodzie i wąsach włosami, kazał sobie nalać potężny kielich tokaju i przyprowadzić jednego ze swych najognistszych koni. Kochał się w rumakach, które przy dosiadanu toczyły pianę z pyska, kwiczały, wyrzucały ziemię zadniemi kopytami na kilka sążni wysoko.

Wino wypił, na szalonym koniu po obozie harcować zaczął.

Czynił to zawsze — dla uspokojenia się.

Widzowie tręcali się łokciami.

— Do hetmana zwykła przystąpiła cholera! — mówił jaki taki, usuwając się przed sadzącym „szczupaki“ wierzchowcem.

— Zmykaj, komu żywot miły! — ostrzegał inny, na stronę uciekając.

Wreszcie gniew wraz z winem wyparowały ze łba bohaterowi. Osadził przed swym namiotem okrytego pianą rumaka; cugle rzucił stajennemu; szybko dysząc, z marsem na czole, wszedł pod dach płócienny.

Nie był już straszny, ale był surowy, nieubłagany.

Służba, sekretarze, podkomendni schodzili trwożnie na bok przed jego brwią ściągniętą, wąsem najeżonym, oczyma błyszczącymi.

Poszedł prosto do stołu, na którym sekretarz składał świeżo nadesłane papiery. Na samym wierzchu leżał gruby list, zaadresowany pismem niewieściem.

Hetman pochwycił list, rzucił się z nim na zydeł, pieczęć drżącą ręką rozerwał.

W miarę czytania zmieniał się wyraz jego twarzy. Rozsuwały się brwi, czoło wyglądało, na usta wchodził uśmiech łagodny, miły.

Ze złożonego arkusza wypadła ćwiartka, zapisana dużemi, niezbyt kształtnymi literami.

Hetman podjął ją z pośpiechem wielkim, do oczu zbliżył.

— Dalibóg — rozczulony zawołał, — toć-że to Hieronimkowe pisanie!... Już też większej uciechy zgotować mi nie mogli! Daj wam Bóg zdrowie, skarby moje jedyne!

Czytał, uśmiechał się, wąsa pokręcał...

— Patrzcież, patrzcie... — pomrukiwał — jak to on już kształtnie piórkiem wykreca! Tego *P* i tego *O* nie powstydałby się sam *scriptor* królewski. Łebskie pachole! Znać, że swego dyscypuła ksiądz

Jarmułtowski wspomagał; zawždyć pracowała tu i rączka mego synaczka najmilszego...

Uśmiechał się, uśmiechał — nagle pochylił głowę — na papier kilka łez upadło. Choleryk, gwałtownik, postrach rycerstwa całego — płakał, nie przestając uśmiechać się, a twarz promieniała mu, jakby słoneczną glorią ozłoconą.

Uspokoił się wreszcie, lzy otarł, pismo żonine i synowskie ucałował i do szkatułki pięknie rzeźbionej zamknął.

W tej chwili doniesiono mu, że szlachcic jakowyś, który na zdyszczanym koniu do obozu przyjechał, widzieć się z nim żąda.

— Kto zacz? — spytał. — Jeśli obcy a niepewny, nie przyjmę.

Chodkiewicz był podejrzliwy, obawiał się skrytobójców. Ta obawa graniczyła u niego prawie z manią prześladowczą. Życzył sobie zawsze śmierci rycerskiej, na polu bitwy, z ręki jawnego wroga; drżał jednak na myśl, że może — wedle własnego, -dóśadnego wyrażenia — „umierać, kwicząc, jak świnia zarzynana“...

Szlachcic miał kartę zalecającą od Boboli, obawiać się go nie potrzebowano.

Hetman zezwolił. Dwaj przyboczni wprowadzili do namiotu — Zboińskiego.

Posesor z Węgrzynowa był ubrany skromnie, prawie biednie. Miał na sobie zwykły kolet ze skóry łosiowej, buty po kolana z miękkiej, nieczernionej skóry, z ostrogami żelaznemi, u pasa szablę, na palcu tani sygnet srebrny.

Zbiedniał — tego zaś zbiednienia dwie były przyczyny. Najpierw wszystkie czerwieńce, któremi wspomógł go syn, wydał na kupno gruntu od Drewnów; następnie, naciśnięty przez dawnych

wierzyieli, musiał stroje zbytkowne zafantować. Ałłasowy żupan, czaple pióra, sygnet złoty powędrowały do „Machabejów“.

U Boboli Zboiński był pokorny i płaszczący się; u Drewnów — wyniosły i nadęty — w namiocie hetmańskim nową przybrał rolę: rolę „pana brata“, ceniącego nad wszystko równość szlachecką.

Chodkiewicz, po przywitaniu, chciał zatrzymać ludzi swoich przy sobie. Przybysz, minę uroczystą nastroiwszy, „suplikował“, uprzejmie choć bez płaszczenia się, aby rozmowa odbyła się bez świadków.

— *Salus Reipublicae* tego wymaga... — przyciszonym basem oświadczył.

Ta formuła dla wszystkich wówczas była święta. Ustąpił przed nią i hetman.

Zboiński przybywał w sprawie rokoszowej. Objawiwszy to wyraźnie i z naciskiem, zaczął rzecz od oświadczenia, że głos wszystkiej szlachty mazowieckiej, którą on w osobie swej przedstawia, domaga się orężnego zakończenia sporu.

— Żałośna to *necessitas* — zakończył, wzdychając — cóż, gdy nieunikniona!

Potem wspomniał jeszcze lekceważąco o opiniach przeciwnych i dodał, ramionami wzruszając, że je mogą mieć jeno tacy, co swą mądrość czerpią „*ex libro*“.

Była tu zarazem i łakotka dla Chodkiewicza i — pokazanie języka Żółkiewskiemu.

Hetman przytakiwał, dobrze tym wstępem dla mówcy usposobiony.

Zboiński, odchrząknąwszy i czuba pogładziwszy, przeszedł do punktu drugiego. W tym punkcie uzasadniał konieczność takiego wzięcia się do rzeczy, przy którym wszystko zakończyłoby się bar-

dzo szybko i z najmniejszym krwi bratniej rozlewem.

Rozumie się, że Chodkiewicz z całego serca tę myśl pochwalił. Wszakże to była jego własna opinia — może nawet jego własnymi słowami wypowiedziana.

Nierzadko ludzie płytkiego umysłu ale sprytni zdobywają sobie poklask mędrszych, ucząc się na pamięć ich słów, i te słowa w chwili odpowiedniej powtarzając...

Teraz następował punkt trzeci, najważniejszy, co zrobić, aby cel w punkcie drugim wyrażony osiągnąć?

Odpowiedź na to główne pytanie przynosił właśnie ze sobą Zboiński.

Hetman uszu ciekawie nadstawił — owszem, wina kazał przynieść, aby rzecz tak wielkiej wagi łatwiej przez gardło mówcy przejść mogła.

Świadków rozmowa nie miała — szlachcic mimo to przysunął się ze stołkiem tuż do hetmana i głosem przyciszonym w samo ucho kładł mu swe plany i argumenty.

Chodkiewicz słuchał z początku z wielkiem zajęciem, pochylony połową ciała ku mówiącemu. Potem wyprostował się zwolna, jakby stygnąc stopniowo w zapale. Słów ostatnich wysłuchał oziębło, choć uważnie — twarz jego wyrażała zawód zmieszany z niechęcią...

Zboiński skończył i również się wyprostował.

— Więc zgoda? — spytał, zatapiając w hetmanie wzrok ostry.

— Ano... jeślić tego wymaga *bonum publicum*...

— *Salus Reipublicae!* — poprawił szlachcic bąsem księdza celebrującego sumę.

— Czyń przeto, mości Zboiński, coć się zda.

Gdy dzieło *ad finem* doprowadzisz, wdzięczności naszej możesz być pewien.

Szlachcic długi wąż na palcu okręcił, głowę pochylił nieco...

— Siła to będzie kosztowało... — rzekł znacząco — nie jeno zdrowia, czasu i bezpieczeństwa, aleć i gotowizny...

Odpowiedzi nie było, dodał więc jeszcze:

— Chudy pacholek jestem... klejnotem nie nadstawię...

Wąż hetmański najeżył się.

— Uszczerbku mienia waszmościnego nie żądamy — rzucił Chodkiewicz. — Liczbę podasz, zwróci się.

Słowo hetmańskie najzupełniej Zboińskiemu wystarczało. Miał już, czego pragnął — mógł odejść spokojnie.

— Z Bogiem, mości hetmanie — rzekł przy pożegnaniu. — Pod Warką, da Bóg, ujrzymy się.

— Z Bogiem, mości Zboiński — odparł Chodkiewicz. — Na służby waszmościne czekać będziemy.

Ledwie płótno za odchodzącym opadło, jednego z przybocznych przywołał i rozkaz rzucił prędko:

— Do ostatnich czat odprowadzić. Oko mieć czujne na pana brata. Hasła obozowego nie zwierzać...

VII.

Pilica, rozcieplona upałem, żółciejąca tu i owdzie łysinami piasku, toczyła zwolna szaro-srebrzystą wodę.

Odbijały się w tej wodzie białe kłaki chmur i jaskrawa modrość nieba; krążyły nad nią, z ostrym piskiem, rybitwy, upatrując łupu na mieliznach.

Rzekę przecinał most drewniany, na palach. On ułatwiał dojazd do miasteczka, które rozłożyło się na lewym pobrzeżu, wychylając z pośród drzew smukłe szczyty kościółka i ostrosłup wieży ratuszowej.

Na pobrzeżu prawem zieleniły się zbite masy wikliny, dalej łąki i wysoką trawą porośnięte mokradła. Nad miejscami wilgotnymi kłębiła się mgła przejrzysta.

Był ranek. Śpiewały skowronki, pliszki, zięby. Z blizkiego gaju dochodził głos kukułki i gwizdanie kosa. Wszystko tchnęło spokojem, harmonią, miłością.

Jak okiem zasięgnąć, nie było widać człowieka. Tem swobodniejszą czuła się przyroda, tem wspanialej rozwijała swe czary.

Nagle brzeg lewy zaiskrzył się długą, ruchomą linią punktów błyszczących. Linia wynurzyła się z czarnej gąszczy lasu i, lekko falując, posuwała się ku rzece. Punkty złociste były odbiciami słońca w lufach samopalów i arkebuzów.

W tejże chwili, na brzegu przeciwnym, dotąd z pozoru zupełnie pustym, zachrząściały łamane gałęzie, szczęknęła broń z pośpiechem chwytana, ozwało się rżenie koni, wyprowadzanych z gęstwiny w wojennym rynsztunku.

Lewy brzeg zawołał:

— Rokoszanie!... Iść przed się! Nie ustępować!...

Brzeg prawy odpowiedział:

— Królewscy idą!... Czuj duch! Nie puszczać!

Z jednej i z drugiej strony rzucono się ku mostowi. Ale rokoszanie, którzy byli bliżsi, rychlej go opanowali. Opanowawszy, jęli wzbraniać tamtym przejścia.

Kupą rokoszanów na moście dowodził Wężyk—
człek mało wybitny, usposobienia snąc płochego —
warchcł pewnie, rwący się po żakowsku do prochu,
do pukaniny...

Jeszcze się królewscy nie sprawili, jeszcze się
nawet w położeniu nie zdążyli rozejrzeć, gdy ów
Wężyk kazał swoim dać ognia.

Grzmot wstrząsnął cichem powietrzem ranka;
huczące echo rozeszło się daleko po wodzie; kilka-
dziesiąt kul muszkietowych poleciało na piechotę
królewską.

Nikt nie był trafiony. Może strzelający trafiac
nie chcieli. Ale losy sporu zostały już przeważone—
początek żaloszny zrobiono.

Gniew i oburzenie opanowały regalistów. Ostat-
nie skrupuły ustąpiły w ich sercach miejsca instynk-
towi wojennemu, który bywa często instynktem
zwierząt drapieżnych.

— Krew nasza na ich głowy! — krzyczano za-
palczywie, do szyku stawając i broń gotowiac do
strzału.

Tymczasem, na odgłos pierwszej salwy, wynu-
rzać się zaczęły z gąszczów liczniejsze oddziały
wojska rokoszowego. Długa kolumna jezdnych wy-
ciągnęła się wzdłuż rzeki.

Nadjechał Chodkiewicz — sokolem spojrzeniem
odrazu stan rzeczy ogarnął.

— Spędzić tych tam z pozycyi! — rozkazał
głosem grzmiącym.

Usunął się na stronę — miejsce jego zajął Po-
tockci Jakób, który nadciągnął z kilkoma działkami
polowemi. Nie mitrząc, prawie bez rychtowania,
wystrzelono z nich raz i drugi. Tamci odpowiedzie-
li natychmiast ogniem rusznicznym i armatnim.

Trwało to krótko — poczem rokoszanie, czy to

ze strachu (bo zabitych mieli), czy przez fortel wojenny, od rzeki odstepili.

Wojsko królewskie rzuciło się za nimi — piechota po moście, jezdni wplaw.

Chodkiewicz w liście do żony przedstawił to krótko, używszy pospolitego, litewskiego prowincjonalizmu: „Dogoniliśmy rokoszanów pod Warką, którzy s t a n ą w s z y w szyku i już w y p a l i w s z y do nas z dział po kilkakroć bez szkody naszej, my też także do nich, ale z ich szkodą“.

Po przejściu Pilicy okazało się, że cofnięcie się rokoszanów było raczej manewrem, niż ucieczką. Zajęli teraz pozycję o wiele dla siebie korzystniejszą. Odgrodziwszy się od królewskich prawie nieprzebytymi mokradłami, stali za nimi w zwartej kolumnie, jakby za szańcem.

Szczerej chęci do walki nie było ani z jednej, ani z drugiej strony. Jednak regaliści uszykowali się, jak do boju prawidłowego. Żółkiewski stanął na prawem skrzydle; Chodkiewicz na lewem; środkiem dowodził Potocki.

Stano przez czas długi naprzeciw siebie, oko w oko, nie kwapiąc się zaczynać. Inni wodzowie znosili cierpliwie to wyczekiwanie — Chodkiewicz rzucał się, jak opętany.

— Tchórze! mydłki! — wymyślał przeciwnikom.

Wreszcie na suchsze miejsca pomiędzy obozami wyjeżdżać zaczęli stąd i zowąd harcownicy. Każdy szablą wytrząsał, wyzywając na bój ochotników ze strony przeciwnej.

Można było wówczas oglądać rzeczy dziwne.

Ile razy zapasnicy zbliżyli się do siebie, natychmiast, zamiast iść na ostre, podawali sobie ręce i zjeżdżali na bok, rozmawiając jak najprzyjaźniej...

Wyglądało to na czarodziejstwo — na cudowną przemianę wrogów w przyjaciół — na sztukę optyczną, dzięki której cięcia szabli wydają się zdala uściskami bratniemi.

Dziw miał wyjaśnienie zupełnie proste.

Królewscy mieli pomiędzy rokoszanami przyjaciół, sąsiadów, krewnych — często braci rodzonych, ojców lub synów. Podczas traktowań dyplomatycznych i wojennego pościgu jedni z drugimi widywać się nie mogli — gdy nastęrczyła się sposobność, skwapliwie z niej skorzystali.

Przy spotkaniu niejeden łzę uronił, biadając na los, który zmusza brata stawać przeciw bratu.

W liczbie jezdnych, co z pod chorągwi Chodkiewicza „na harc“ wyjechali, znajdował się Zboiński.

Szlachcic miał lichą szkapę, którą widocznie z bronowłoki podniesiono od razu do godności wojennego wierzchowca. Na tej szkapie jednak siedział tak dzielnie, mina jego była tak butna i szczerze rycerska, że samemu hetmanowi sprawił wyglądem swym zadowolenie.

Gdy puścił się cwałem, wywijając gołą szablą, nikt nie wątpił, że ta wyprawa będzie dla przeciwnika śmiertelna.

Ale i przeciwnik, który podążył na jego spotkanie, okazał się nie lada junakiem. Młodszy znacznie, przewyższał go przedewszystkiem zwinnością ruchów i bogactwem rwnsztunku.

Siedział na przepysznym, prawdziwie tureckim bachmacie, którego włos połyskliwy mienił się w słońcu, jak aksamit. Bogata głowica szabli, srebrne ostrogi, srebrem nabijana uprząż rzucały iskry przy każdym poruszeniu. Sam był śniady, z le-

dwie wysypującym się wąsem, z oczyma niespokojnie latającymi...

Lecieli na siebie prosto, z wielką rzekomo zawziętością — przy spotkaniu szable skrzyżowali, wedle wszelkich zasad sztuki szermierskiej.

Ale zaraz potem zawziętość ostygła, szable na dół opadły. Skręcili konie w bok, i jechali obok siebie noga w nogę, pilnie o czemś rozmawiając.

Jeden i drugi przechylili się na siodle, aby lepiej słyszeć — oglądali się też raz po raz dokoła, czy ich kto nie podsłuchuje.

Długo trwała narada — wreszcie obaj wyjechali na widok. Szable raz jeszcze skrzyżowały się, poczem każdy pocwałował ku swemu obozowi.

Zboiński, przebiegając na koniu w pobliżu Chodkiewicza, rzucił z miną tryumfującą:

— Będzie pogoda, mości hetmanie!

Ale hetman nie przestawał miotać się, kłać, fukać—widział bowiem, iż rzecz idzie znów w odwłokę.

VIII.

Guzów, 5 lipca 1607 roku.

Tę datę polak na zawsze zapamięta. We własnym jego kraju, własną jego krwią, przez własnych jego braci ona została zapisana.

Warka była tylko przegrywką. Symfonię odegrano dopiero pod Guzowem.

Przyznać trzeba królowi i jego sojusznikom, że w bratnim sporze nie zgrzeszyli porywczością. Nawet krewkość Chodkiewicza miała swe źródło w tem uczuciu, z jakim ojciec straszy dziecko różgą, modląc się w duchu, aby go bić nie potrzebował.

Nie rwali się do bitwy i rokoszanie; czynili to wszakże z innych pobudek. Im szło o to, aby przez odwleknięcie starcia, przez umyślne przeciąganie układów, nigdy do końca nie doprowadzanych, zapewnić sobie w danej chwili większe widoki zwycięstwa. Kto wie nawet, czy nie było prawdy w słowach uniwersału królewskiego, który ich oskarżał, że „z panem cudzoziemskim, nowo obranym sobie królem, kondycję postanowiwszy, z wojskiem i armatą ruszyli się, aby Kraków a przytem *insignia Regni* opanować“.

Cokolwiekbądź, przyszła chwila, gdy starcie orężne stało się dla jednej i drugiej strony koniecznością. Było to w dniu, gdy ostatni poseł pokoju, którego Żółkiewski wyprawił do Zebrzydowskiego, został przez rokoszanów zatrzymany i uwięziony.

Rokoszanie rzucili rękawicę — nie podjąć jej, znaczyłoby: w obliczu całego kraju wstydem się okryć i sprawę moralnie przegrać. Powód zaś naglej wojowniczości był ten, że nocy poprzedniej siły królewskie zostały uszczuplone o tysiąc wyborowego żołnierza, którego Chodkiewicz wyprawić musiał do Inflant. Dowiedziano się o tem przez szpiegów.

Ruchy rokoszanów były zawsze skryte, zygzakowe. W chwili, gdy król, umyślnie zboczywszy, sądził, że jest od nich znacznie oddalony, okazało się, że stoją o dwie mile od niego.

W przeddzień rozprawy, wojsko królewskie nie ruszało się ze swej leży pod Przytykiem. Drobne tylko oddziały przepatrywały okolicę, badając położenie i plany przeciwnika.

Rankiem 5-go lipca jeden z oddziałków starł

się z przednią strażą wojska rokoszowego. Natychmiast w obozie Zebrzydowskiego otrąbiono pogotowie. Ruszyli też z miejsca swego i królewscy.

Było południe, gdy oba wojska stanęły naprzeciw siebie w szyku bojowym.

Niebo prażyło straszny upał. Co chwila podrywał się wiatr suchy, palący. Po krzakach piszczało żałośnie omdlałe od żaru i spragnione ptactwo. Już od wielu dni deszcz nie padał; dokoła wszystkie źródła i strumyki powysychały.

Trudno o porę przykrzejszą i do bitwy niewłaściwszą, niż była owa.

Kąt pusty, jałowy, osamotniony, pod względem malarskim zupełnie brzydki, leżał pomiędzy trzema wsiami: Orańskim, Wołą Guzowską i Krogulczą. Było tu tylko miejsce dla zgiętego nad pługiem oracza, dla koniucha, wylegującego na trawie przy spętanych koniach, dla myśliwca, tropiącego po rozdołach szaraki...

Rzeczpospolita ściągnęła do tego kąta kwiat i koronę swego rycerstwa — wszystko, co w danej chwili siłę jej stanowiło.

Tu miałeś, po stronie królewskiej: Potockich, Kalinowskich, Strusiów, Kazanowskich, Żaboklickich, Konięcpolskich, Lubomirskich. Środkiem armii dowodził Potocki, starosta kamieniecki, i Gulski, wojewoda ruski; na skrzydłach stali: Żółkiewski na lewem, Chodkiewicz na prawem. Króla otoczyły chorągwie nadworne, usarya i pancerni; straż trzymał Aleksander Konięcpolski.

Rokoszanie wysunęli na czoło Zebrzydowskiego. Przypadło mu to miejsce jak najlepiej. Wojewoda krakowski miał pod sobą lud dzielny — w sam raz na turka i tatar. Herburt dowodził skrzydłem prawem, Radziwiłł lewem. Hufce ich nie były zbie-

raniną; żołnierz dobrze płatny, z fantazją, przemo-
wami ognistemi podniecana, mężnie wyglądał i mę-
żnie bić się obiecywał. W odwodzie Łaszcz trzy-
mał rotę zapasową, aby w potrzebie świeżym żoł-
nierzem zastąpić znużonego.

Obaj Zboińscy byli w szykach: ojciec przy kró-
lu, syn z rokoszaniem.

Stary Zboiński stanąć chciał na ochotnika w sze-
regu, ale go tam Chodkiewicz nie puścił. Uwijał
się przeto na tyłach, w pełnym rynsztunku, z miną
junacką, starając się, aby go hetman miał jak naj-
częściej na oku.

Konrad w oddziale Łaszcz trzymał miejsce je-
dno z pierwszych. Koń pod nim rwał się i pieniał; on
sam kręcił się niespokojnie, a czarne oczy latały mu
w prawo i lewo, jak jaskółki przed burzą...

Chodkiewicza los postawił oko w oko z wro-
giem osobistym: Januszem Radziwillem. Hetman
targał konia, który pod nim dęba stawał. W ścia-
gniętych brwiach, w zjeżonych wąsach i brodzie
znać było, że choleryk nie panuje już nad sobą. Krew
raz po raz uderzała mu do głowy i wzrok ćmiła.

Nie obiecywało to zwycięstwa prawemu skrzy-
dłu królewskiemu...

Upał wzmagał się. Wysoko wzbity krogulec
krakał żałościwie; jęczała boleściwie kania, czajki
wybuchały krótkim, urywanym, dziecinnym łka-
niem.

Horyzont obciągał się mętną, kłębiącą się zasło-
ną, jakby go tumany piasku okryły.

Żołnierze patrzyli ponuro. Wodzowie niespo-
koini, zawstyżeni, chowali oczy, unikając wzroku
przeciwników i towarzyszków.

Na wszystkich twarzach malowała się niecier-
pliwa chęć prędkiego zakończenia sprawy. Niepe-

wność i wyczekiwanie dopieki już jednym i drugim do żywego.

Jednak hasła bitwy długo słyhać nie było. Całe przedpołudnie zeszło na drobnych harcach. Harcownicy potykali się niechętnie, jakby pod przymusem.

Po stronie królewskiej wszyscy mieli twarze osowiałe; patrzyli ponuro nie tylko na przeciwnika, ale i wzajem na siebie. Żółkiewski wzrokiem zimnym a wyniosłym mierzył Chodkiewicza; Chodkiewicz spoglądał na Żółkiewskiego z ledwie pokrywana złością. Potocki, pochylając się z konia ku otaczającym, rzucał na obu hetmanów spojrzenia niechętne, lekceważące...

Nie było harmonii między regalistami — jak zwykle tam, gdzie wszyscy na prześcigi wydzierają sobie zazdrośnie łaskę pańską.

Chodkiewicza, jako hetmana wielkiego, drażniła przewaga, jaką zdawał mu się okazywać Żółkiewski, podówczas tylko hetman polny. Żółkiewskiego nurtowała tajona zawiść, jaką po wszystkie czasy, przy rozdziale dostojęństw i królewskich faworów, żywiła Korona względem Litwy. Potocki pragnął wysunąć się na czoło, hetmanów zaćmić, zasługę i korzyści zwycięstwa dla siebie niepodzielnie zagarnąć...

Wielcy ludzie, z blizka rozpatrywani, ujawniali małe, liche namiętnostki. Może dlatego, że i sprawa była mała i licha.

Przyszła nareszcie chwila stanowcza. O samem południu zagrały trąby, dając znak do natarcia. Zagrały głucho, żalobnie, a głos ich złączył się z pomrukiem dalekiego grzmotu.

Z wielkim rozpędem rzuciły się naprzód szyki

Chodkiewicza. Hetman chciał jak najprędzej rzecz smutną zakończyć.

Hufiec Radziwiłłowski zmieszał się. Ci i owi stracili ducha — ustępować zaczęli. Przed Chodkiewiczem zawsze i wszędzie ustępowano.

Zdawało się, że hetman pogna przed sobą spłoszonych i w niewolę ich weźmie. Na boki rozsypywać się nie mogli: z jednej strony ścisnęły ich rotty Zebrzydowskiego, z drugiej mieli trzęsawisko.

W oczach Chodkiewicza żarzył się już ten płomień dziwny, który przemieniał cudownie jego oblicze pod Kokenhauzen, pod Dorpatem, pod Białym Kamieniem, pod Kircholmem...

Nagle stała się rzecz niepojęta.

Na tyłach zwycięskiej, wichrem pędzącej jazdy wszczął się popłoch.

Oddziały zapasowe skotłowały się, skłębily, stanęły, jak wryte. Zdawało się, że od widm bezcielesnych padła na nie twoga śmiertelna. Pod kilku jeźdźcami konie rzucać się, dęba stawać zaczęły.

Na samym flanku towarzysz jeden mocował się ze swym wierzchowcem, opanować go nie mogąc. Wreszcie oszalały koń poniósł jeźdźca w tył, ku obozowi królewskiemu.

Za tym jednym pierzchnęła reszta.

W tej reszcie na miejscu naczelnem znajdował się Zboiński.

W szykach hetmańskich utworzyła się szczyrba.

Zanim szczyrbę zdążono zakryć, dojrzał ją Radziwiłł.

I błyskawicą myśl mu przemknęła, aby z tej szczyrby uczynić — wylom.

— Eljery! eljery! — wrzasnął głosem potężnym, trębaczowi rzucając hasło.

Zadźwiękła trąbka. W mgnieniu oka rozstały się szeregi, czyniąc przejście świeżemu hufcowi.

Hufiec wypadł, jak grom, na dzielnych, rwących się niecierpliwie rumakach. Jeźdźcy byli do rodni, krzepcy, zwinni; oczy ich błyszczały, różowe usta rozchyłał niedbały, pewny siebie uśmiech. Ostrza kopii tworzyły jakby stalową, ruchomą ścianę, dość silną, aby wszystko na swej drodze roztrącić lub — zmiażdżyć.

Pierś każdego jeźdźca przecinała na ukos szkarłatna, gorejąca w słońcu, jak płomień, przepaska.

Był to kwiat rycerstwa rokoszowego — najdobrzańsza jazda, którą Radziwiłł z trudem i kosztem wielkim uformował.

Co rozpoczął strach urojony, dokończyła trwoga rzeczywista.

Królewscy, jakby zmówieni, poczęli w popłochu największym uciekać. Zdawało się, że oddział oddziałowi podaje hasło do rejterady. Konie unosiły, zrzucały, tratowały jeźdźców. Na rdzawo-zielonej powierzchni trzęsawiska było widać miotających się, grzęznących w błocie ludzi. Ciężkie broje utrudniały im ratunek i ciągnęły na dno cuchnącej otchłani.

Eljery sadzili naprzód, nikogo na drodze nie spotykając. Rozstępowano się przed nimi na prawo i lewo, jakby rozmyślnie, czy też w zaślepieniu, otwierając drogę do — króla.

Zatrzymała ich dopiero usarya i niemiecka piechota królewska. Usarya najeżyła kopie, piechota wytknęła muszkiety. Jeźdźcy i piesi stali twardo, jak wrośli w ziemię. Postawa jednych i drugich wyrażała spokojną a niezłomną odwagę.

Na zapaleńców działa to najskuteczniej.

Dowódca eljerów osadził swój hufiec w miejscu. Ale już między tem rycerstwem, zaufanem w siebie, wrzało. Ozwały się szemrania.

Ci i owi, choć to śmiercią groziło, z koni zeskończyli i darli się naprzód. A znajdował się między nimi niejaki pan Hołownia, litwin zadzierzysty, który tego dnia podpił był sobie. Ten, na nic nie bacząc, rznął prosto przed się.

Pan Hołownia dzierżył w łapie szablicę, ogromną, którą młyńca nieustannie wykręcał. Ustępowano mu, wruszając ramionami, patrząc nań, jak na szaleńca. Niektórzy nawet krotochwilę zeń mieli, bo kaczki przed sobą zaganiał i coś pod nosem, jak niedźwiedź, z litewska mruczał.

Aliści ten litwos krotochwilny, ledwie dojrzał namiot królewski, skoczył doń, jak ryś, z roziskrzonym wzrokiem, z podniesioną szablicą, krzycząc przeciągle:

— A gdzie ów szwed duszka?...

Zanim podbieżono z pomocą, chwycił płócienną oponę, szarpnął gwałtownie — omal nie zerwał...

Ale w tejże chwili oskoczyła go straż królewska z dobytymi szablami — i na miejscu rozsiekan jest.

IX.

Oszołomienie długo nie trwało. Przemógł je człowiek, na którego jak najmniej w tym względzie liczone. W dzień ów wszakże niespodzianki następowały po niespodziankach...

Po wypadku z nietrzeźwym litwinem kilku wózków i senatorów wpadło z alarmem do króla.

Zygmunt siedział w dużem krześle poręcz-

wem spokojny, zimny, nieporuszony — jak z wosku.

Przypadli — jeden przez drugiego jął mówić. Doradzali, aby wobec niebezpieczeństwa król przeniósł się co rychlej na lewe skrzydło, gdzie stał Żółkiewski z siłami znacznymi.

Zygmunt podniósł na mówiących duże, bladoniebieskie oczy.

— Piechota? — spytał głosem bezdźwięcznym, lecz silnym.

— W ogniu nie była. Dotąd w miejscu stoi.

— To i my w miejscu zostaniemy.

Doradcy spojrzeli na siebie prawie przerażeni...

— Zostaniemy — powtórzył monarcha z naciskiem.

I zabrał się napowrót do rozpatrywania wzorów złotniczych, według których wykuwać miał ołtarzyk srebrny, dla katedry plockiej przeznaczony.

W minutę później, słowa królewskie powtarzano w szeregach.

Skutek był cudowny. Czego nie mogły dokonać groźby i klątwy siniego od pasyi Chodkiewicza, dokazała odrazu woskowa nieruchomość Zygmunta.

Oprzytomniano.

Jaki taki przeżegnał się, splunął...

— Tfy! urok czy co?...

Teraz dopiero usłyszano trąbki rozpaczliwie przyzywające do powrotu. Zaczęto z pośpiechem wracać pod chorągwie, sfornie ustawiać się w szyki.

Towarzyszów, co w trzęsawisku ugrzęźli, wydobyto, na koń wsadzono. Teraz nikt już nie wątpił o „opętaniu“, o „tumanie“, o „biesie“, który ludzi po moczarach topi. Kilku nieszczęśliwym za późno z pomocą przybyto: ponieśli śmierć niesławną, błotem uduszeni.

Najdłużej marudził z powrotem — Zboiński. To mu się koń splątał, to przy siodle coś się popsło, to rynsztunek trzeba było poprawiać. Zakończyło tę mitręgę dwóch jezdnych, którzy przyskoczywszy galopem, wzięli pana brata pomiędzy siebie i prawie w powietrzu zanieśli do szeregu.

Szlachcic, ślaniający się, skrzywiony, zgoła do siebie nie podobny, zajął miejsce w ostatniej, odwodowej kolumnie. Tam już do końca pozostawał — nieczynny.

Eljery ujrzeni się z nagłą w pułapce. Otoczono ich zewsząd, odwrót przecięto. Zdziwieni, zmieszani, nie wiedzieli w pierwszej chwili, co czynić...

Wnet jednak dowódca ducha im dodał. Zmienili szyk bojowy — z pozycyi zaczepnej przeszli w obronną. Oczy im zabłysnęły, na usta wrócił uśmiech wyniosły, drwiący...

Jednak zguba junaków była nieuchronna.

Podbiegł do nich na spienionym turczywie Chodkiewicz.

— Poddajcie się! — zawołał pół-groźnie, pół-dobrotliwie.

— Nie z takicheśmy, co się poddawają! — buźnie odkrzyknęli.

— Wysieczem was.

— My was w czwórnasób!

Hetman uśmiechnął się nieznacznie, pod wąsem. Lubił takie dyalogi.

— Poddajcie się — nalegał. — Nie shańbi was to. Przed swoimi broń złożycie.

— W sprawie rycerskiej niema swoich, ni obcych. Są jeno towarzysze i adwersarze.

Hetman zamyślił się, odiechał — półgłosem wydał rozkazy. Jedne szeregi pobiegły naprzód, inne w lewo — całe skrzydło, rzekłbyś, rozprysnęło

się. Dokoła eljerów utworzyła się w jednej chwili pustka.

Na twarzach junaków, po raz drugi w krótkim czasie, odmalowało się zdziwienie — tym razem z gniewem zmieszane. Rozejrzeli się dokoła — byli prawie w pustym polu. Na rotę królewskie iść, byłoby szaleństwo; z wiatrem bić się — nie sposób...

Dowódca wydał rozkaz. Hufiec szyk odmienił — szeregi, równo wyciągnięte, sporym klusem puściły się z powrotem do swoich.

A zaledwie złączyły się z oddziałem Radziwiłła, trąbki Chodkiewicza zagrały: „Ognia! — i naprzód!“

I krew się polała...

Tymczasem Potocki ścierał się już z Zebrzydowskim, a Żółkiewski odrzucał, nie bez wysiłku, przemagające siły Herburtów.

Rokoszanie okazali się mocniejszymi, niż mniemano. „Kunktatorstwo“, od kilku tygodni z rozmysłem prowadzone, posłużyło im do lepszego przygotowania się. Zaraz po pierwszych starciach hetmani poznali — może zapóźno trochę — że „tej tam kupy“ lekceważyć nie można...

Walczone zawzięcie. Długo przyduszany płomień tem gwałtowniej wybuchał. Zaledwie przekłety, odurzający odór prochu i krwi rozszedł się w powietrzu, jedna i druga strona zapomniała: z kim walczy i o co.

Nie było już regalistów, nie było rokoszanów. Było tylko rozpętane zwierzę ludzkie, którego wszystkie władze umysłowe skupiły się w jednym pojęciu:

— Morduj! — bo inaczej ciebie zamordują!...

Więc mordowano się — nie słabiej i nie powściągliwiej, niż gdyby szła rozprawa z dziczą tatarską.

Było coś złowrogiego w tej walce. Brała w niej udział przyroda; brały udział siły tajemne, niezrozumiałe. Wystrzałom broni palnej odpowiadały przeciągłe grzmoty zbierającej się burzy. Żar był tak straszny, powietrze tak duszne, że ludzie w szeregach mdleli i na ziemię padali, a ratować ich nie było czasu i możliwości.

Co najdziwniejsze, walczone w — chmurach.

Chmury powstały stąd, że miejscem walki było niedawno zorane pole. Długotrwała susza rozpyliła ziemię na lotny popiół, a ten wzbijał się w górę za lada dotknięciem. Pod kopytami kilku tysięcy koni podniosły się tumany na kilka sążni wysokie, tak zaś gęste, że o dwa kroki człowiek człowieka nie widział.

Otoczone szaro-żółtym mrokiem, z zasypywanymi pyłem oczami, walczyło rycerstwo prawie na oślep. Połyski szabel migotały, jak zygzakowe linie gromów, chmur nie rozjaśniając, ale zdradzając obecność walczących. Tylko obecność... — bo czy walczący był przyjaciel lub wróg, tego domyślano się jedynie...

Zdarzało się, że gdy jeden na drugiego nacierał i już cios ostatni miał mu zadać, nagle budziła się w jego duszy niepewność...

— Słysz! a hasło?... — pytał lekliwie.

Tamten odpowiadał: „Bóg i Król“, albo „Precz z tyranią!“ — stosownie do tego, czy był regalista, czy rokoszaninem — a wówczas nacierający opuszczał broń, mówiąc:

— Bój się Boga, bracie! Omałom swojego nie uśmiercił!...

I ściskali się, a potem szli obaj szukać po omacku wrogów, jak się szuka raków w norach podwodnych.

Walczono w chmurach i walczono za kurtyną. Właściwego przebiegu walki nawet wodzowie nie byli świadomi. W nieprzejrzanym tumanie miotała się skłębiona, potworna masa ciał ludzkich i końskich, błyskały tu i owdzie czerwone płomyki wystrzałów i blade migotanie mieczów, było słycać szczęk, wrzawę, huki — ale kto zwyciężał a kogo zwyciężano, niczyje oko dojrzeć nie mogło.

Silny wiatr — jak zwykle przed burzą — to podrywał się, to do ziemi przypadał. Pod uderzeniami jego skrzydeł chmury kurzawy podnosiły się i gęstniały — chwilami jednak, od dołu do góry rozdarte, odsłaniały na mgnienie oka, co się we wnętrzu ich działo.

To było jedyną dla wodzów wskazówką.

Dzięki jednej z tych wskazówek, dojrzał Potocki, czoło armii królewskiej wiodący, że lewe skrzydło chwiać się zaczyna. A jednak dowodził tam Żółkiewski, mistrz strategii, wódz doświadczony, bohater. Skąd wziąć to się mogło?

Tem dziwniejszy był fakt, że ani sił Herburt ani jego samego nie można było uważać za potęgi wojenne.

Powodem słabości hetmana miała być rzekomo miękkość serca, a podobno też i niechęć do całej sprawy, niechęcią do Chodkiewicza wywołana.

Cokolwiekbaż, Herburt silnie następował na regalistów. Potocki widział to z boleścią, a pomocy nieść nie mógł. Sam miał dość roboty z Zebrzydowskim. Wojewoda krakowski kazał wystąpić piechocie, która srodze dokuczała, ubijając konie pod pancernymi.

Była chwila, gdy linia lewego skrzydła łamać się już zaczęła. Jeszcze jedno silne natarcie, a możeby sromotnie tył podała...

W tej chwili zerwał się wicher silny, czarnemi kłębami kurzawy na hufce rokoszowe uderzył — i zamroczył je. Jednocześnie, jakby na skrzydłach burzy, wpadł pomiędzy szeregi Herburt rycerz na koniu.

Koń był okryty pianą, jeździec bez broni, z podniesioną w górę ręką, z twarzą wyrażającą przestach śmiertelny.

Wyglądał, jak uosobienie rozpacz i klęski...

— Zginęliśmy!... — zakrzyknął straszny głosem, zrównawszy się z najbliższym szeregiem. — Zginęliśmy!... — powtórzył, przebiegając do szeregu następnego. — Zginęliśmy! zginęliśmy!... — zabrzmiało po wielekroć jego złowróźbne krakanie, przenikając, jak zaraza, do najdalszych oddziałów.

Rycerza poznano. Był to wielki junak z pod chorągwi Łaszcz — młody Konrad Zboiński.

Za nim kłębił się nieprzebity okiem tuman.

Wystraszonym oczom rycerstwa zdawało się, że w tumanie dostrzegają towarzyszków swych pobitych, spadających z koni, uciekających...

Taż sama dziwna, niewytłómaczona trwoga, która przed kilku godzinami odrętwiła jazdę Chodkiewicza, padła teraz na hufce rokoszowe. Grobowe hasło: „zginęliśmy!“ przebiegło je z końca w koniec, wywołując ostateczne a niczem nie usprawiedliwione przygnębienie.

Napróżno Herburt, Zebrzydowski, Radziwiłł wysilali się, aby uprzytomnić i na miejscu zatrzymać szaleńców — wszyscy, jak oczarowani, pierzchać w nieładzie zaczęli...

Dopieroż siedli im na kark królewscy, pędząc przed sobą, w niewolę biorąc i więcej strachem, niż bronią, reszty męstwa pozbawiając.

Chodkiewicz wjechał na wzgórze, sokolim wzrokiem rozejrzał się dokoła...

— Skończone! — rzekł do siebie, przesuając dłonią po brodzie i wąsach, które odrazu wygładziły się i wypiękniały.

Zjechał ze wzgórza — w stronę siedziby królewskiej pogalopował. Chciał być zwiastunem dobrej wieści.

Ale zaledwie wstąpił do namiotu Zygmunta, zębami zgrzytnął — wąsy i broda szpetnie mu się najeżyły...

Przed królem stał już Żółkiewski, zdając sprawę ze zwycięstwa.

Król siedział z tą samą, co zawsze, twarzą, przebierając w palcach ziarna różańca — bowiem był to dzień i godzina, w których od wielu lat zawsze różaniec odmawiał.

Dopiero, modlitwę skończywszy, zwrócił się do hetmanów.

— Siła legło? — było pierwsze pytanie królewskie.

— Nie nazbyt — rzekł Chodkiewicz, podchodząc do monarchy. — Setek trzy lub cztery...

Żółkiewski tonem spokojnym, lecz stanowczym, poprawił:

— Dolicz się, najjaśniejszy panie, do tysiąca, może za tysiąc...

— Chyba według liczby koronnej, panie hetmanie koronny... — mruknął z cierpką ironią Chodkiewicz.

— Takaż ona, jak i litewska, panie hetmanie litewski... — odciął tamten spokojnie.

Utarczka szła dalej, ale w tej chwili król modlić się zaczął. Obaj zamilkli.

Zygmunt z pochyloną głową szeptał półgłosem, po łacinie. Odmawiał modlitwę *pro defunctis*.

— Pogrześć ich po chrześcijańsku; wdowy i sieroty wesprzeć — odezwał się skończywszy, głowy nie podnosząc.

Chodkiewicz zauważył:

— Uciekających nasi doganiają...

— Nie ścigać.

Pomyślał chwilę...

— Wszelako pana krakowskiego jać, gdyby się dało...

Zaledwie rozbiegli się gońcy z rozkazem zaprzestania pościgu, przygalopował wysłaniec Potockiego. Przynosił wieść ważną: w ręce ścigających dostała się szkatuła prywatna Radziwiłła, pełna klejnotów oraz papierów tajemnych.

Dopiero ta wieść ożywiła Zygmunta. Oczy mu zabłyśły, na woskowe policzki wystąpił bład, jakby farbą napuszczony, rumieniec.

Powstał — wydawać jął szczegółowe rozporządzenia. Wszystko, co u Radziwiłła znaleziono, owiązać, opieczetować, bezpośrednio do rąk monarchów dostawić... Nie uronić, uchowaj Boże, najmniejszego papierka, strzępka — bodaj słomki i drzazgi...

Chodkiewicz zobowiązał się czuwać nad tem.

Co chwila przybywali gońcy z wieściami o nowych jeńcach, o świeżych łupach.

Sekretarz królewski spisywał nazwiska jeńców w miarę, jak je wymieniano. Na liście znaleźli się: Strasz, Dobek, Chamiec, Branicki, Marcinkowski, Lipski, dwaj Bulterowie, Pac... To były grubsze ryby — drobiazgu liczono znacznie więcej.

Jednak król, przeglądając listę, głową potrząsał...

— Oddałbym ich wszystkich za jednego pana Mikołaja... — zwierzał się półgłosem Żółkiewskiemu. Zebrzydowski ćwiekiem tkwił mu w głowie.

X.

Nazajutrz, wcześniej, niż zwykle, powrócił pan hetman litewski do swego namiotu. Choć jeszcze zorze nie pogasły na niebie, kazał pacholikowi wszystkie świece w świeczniku zapalić.

Srodze był znużony kilkudniowym niewywczaśsem, jednak, zamiast leżąc na poławem łożu, futrami miękkimi okrytem, zabrał się do pisania listu.

Od jednego zamachu, piśmem wielkiem, prawdziwie hetmańskim, nakreślił:

„Moja najmilsza Zosieńko, moja pociecho serdeczna!“

Potem, otrząsając co chwila pióro, a wąsy naprzemian gładząc i najeżając, pisał z przestankami:

„Już nas Pan Bóg rozprawił przez szable... Pod Guzowem doszlichmy ich. Stawili nam pole jako ludzie rycerscy, ale przegrali. Na placu trupa niewiele...“

Tu pomyślał nad cyfrą. Sam ją obliczał na czterysta — ale przypomniał sobie „tysiąc“ Żółkiewskiego, zżymnął się, i własną cyfrę do połowy zredukował.

„...nie masz dwuset (pisał dalej) — ale rannych zbyt wiele. Pojmany i znacznych niemało — ile towarzyszków. Głowy pouciekały“.

Westchnął głęboko, czub nad czołem palcami lewej ręki rozwichrzył...

„Widzi Pan Bóg (ciągnął), jako z obu stron jesteśmy żałośni, patrząc na bracię swoją i na takie grono grzecznych ludzi. Żałośni i oni... Panie Boże

się pożał takiej ich sprawy; ale iż się już stało, Ty sam, Panie, racz uśmierzyć już, aby do czego gorszego potem nie przyszło...”

Znów westchnął — po dzwonek sięgnął, silnie nim potrzęsął. Pacholikowi, co wbiegł, rozkazał nalać sobie wielki kielich wina. Wino wypił do połowy, pacholika skinieniem ręki odprawił — znów pisał:

„Choraǳwie, działa nieprzyjacielskie (jeśli ich tak niebożąt nazwać) pobrane: i tak masz, moja pociecho, tragedye tuteczną. Jam z łaski Bożej...”

Nie dokończył zdania, bo mu je przerwał pacholik. Przybywał obwieścić, że imćpan Zboiński domaga się natarczywie posłuchania, które mu na tę godzinę naznaczono.

Zmarszczył się hetman i wása najeżył — skinął wszakże głową przyzwalająco.

Wszedł Zboiński, mniej uniżony, niż za poprzedniej bytności — owszem, pewny siebie i z siebie zadowolony. Głowę trzymał w mierze, nie zdzierając jej, ani też w dół chyląc. Miał minę człowieka, który spełnił swe zadanie i czeka, aby mu za to podziękowano.

— Przybywam.. — zaczął po zwykłym pozdrowieniu, zabierając się do długiej przemowy.

Przerwał mu ją Chodkiewicz słowem krótkiem, niecierpliwie rzuconem:

— Wiem.

Nie patrząc na przybysza, wyciągnął ciężką szufladę, rękę w niej zanurzył. Uczynił to z miną, z jaką sięga się po pieniądze dla szewca, który zrobił ciasne i zgoła złe buty, ale któremu zapłacić trzeba, aby — pozbyć się go raz na zawsze...

Rękę wyciągnął, dzierżąc w niej sporą, jak kieszka długą, sakwę, nadzianą talarami.

Ku sakwie żwawo posunął się szlachcic.

W połowie drogi zatrzymał się, aby wyrzec bolejąco:

— Złota-m się spodziewał, wielmożny hetmanie...

— Bierz, mości... jak cię tam... — mruknął hetman cierpko i niecierpliwie.

— Obliczone?... — szepnął tamten, wyteżonym, podejrzliwym wzrokiem opatrując, prawie obmacując, kieszkę płócienną.

Twarz Chodkiewicza przybrała wyraz niewysłowionej wzdryki, prawie wstrętu.

— Bo to synaczek — dowodził szlachcic, nie zważając na to — haniebnie się spracował. Narażał się, znoił, omal szyć nie przyplacił...

— Bierz! — rozkazał hetman głosem grzmącym, i nie odwracając głowy od stołu, rękę z sakwą w stronę przybysza wyciągnął.

Zboiński, który przemawiał tonem przyciszonym, drgnął na głośny wykrzyknik. Z zatrzymanym oddechem, lekliwie a badawczo rozejrzał się dokoła...

Zaraz też, z pośpiechem wielkim, skoczył po pieniądze.

Ale już hetman stracił cierpliwość.

Szeroka jego dłoń z taką siłą cisnęła worek, że wyprężone płótno pękło — talary wysypały się na podłogę.

Było ich sporo. Potoczyły się w różnych kierunkach, do najdalszych zakątków namiotu; pod kufry, które tam stały, pod łóżko obozowe, pod rozrzucone po kątach: broń, uprząż konną, części zbroi...

Spokojnie, jakby nic nie zaszło, złożył hetman

na najbliższym stołku sakwę z resztą pieniędzy, i — zabrał się napowrót do pisania.

Zboiński zdrętwiał. Nie tylko zdrętwiał, lecz i zgłupiał.

Ani wiedział, co czynić. Buta szlachecka walczyła w nim z chciwością i obawą. Miał-że jak pies czułgać się po ziemi, zbierając pieniądze? Miał-że żądać od hetmana, aby to czynił? Miał-że wreszcie przywoływać pacholika — i tajemnicę swą światu całemu odsłaniać?

Za ścianami namiotu słychać było rżenie koni, pobrzękiwanie szabel, wrzawę rozmów. Zboińskiemu wydało się nagle, że te wszystkie głosy zbliżają się, nabierają siły, huczą tuż u wejścia...

Przejęła go trwoga szalona, że za chwilę tłum rycerstwa do namiotu wkroczy...

Szarpnął wąsa, oczy wzniósł do nieba...

— A wszystkoć to *pro patria!*... — boleśnie jęknął.

I padł na czworaki, aby zgarniać rozsypane srebro.

Chodkiewicz udawał, że pisze, ale z pod oka przyglądał się pełzającemu. Krotoczwilę miał przednią; i musiał często dłonią zakrywać usta, aby śmiechem nie parsknąć.

Zboiński, zdecydowawszy się już raz na rolę czworonoga, sumiennie ją wypełniał. Nie było kąta, w któryby nie zajrzał; nie było fałdki, którejby nie rozgarnął; nie było śmiecia, któregooby nie obmacał, do oczu nie przysunął, nie obwachał...

Od gorąca włosy mu się zlepily, odkrywając maskowaną łysinę; wąsy zwisły, jak wiechy; nos operlił się grubemi kroplami potu.

Szlachcic sapał, dyszał, parskał, jęczał i — modlił się. Chwilami przerywał pracę i bił się w piersi.

To wszystko oznaczać miało, ile znosi udręczeń i jak bardzo poświęca się dla... ojczyzny.

Wreszcie wygarnął całą sumę, powstał, i długo ze stękaniem a sykaniem zbolały krzyż prostował.

Wyładowawszy kieszenie talarami, zabierał się już do odejścia, gdy Chodkiewicz, głowy od papieru nie podnosząc, wyrzekł:

— Mój mości!... Gadano mi plotkę, żeś był wczoraj na czele tych, co z pod mojej chorągwi *fugas-chrustas* urządzili...

Zboińskiemu zadrgały wąsy.

— Jaśnie wielmożny hetmanie — wyjąkał niewyraźnie i z niezwykłą u niego pokorą — szkapa mi się zestrachała...

— Zmień szkapę... Ponieśby cię mogła dalej, niżbyś żądał...

— Właśnie uczynić to zamierzam... Zaczem ściskam stopy jaśnie wielmożnego hetmana, i łasce się jego oddawam.

Opuścił namiot, cofając się tyłem aż do samego wyjścia.

Dopiero, gdy się poczuł za obrębem ręki hetmańskiej, zgrzytnął zębami, pięści zacisnął, za głowicę szabli chwycił, jakby rąbać chciał...

— Boćwiniarz! — syknął głosem zduszonym — Pohana mać jego! Traktuje, jak sobakę, a płaci talarami bitemi!...

Obmacał pęczniejące kieszenie i to go uspokoiło.

— Byle tylko Radziwiłł sporu nie czynił z wyplata... — mruknął. — Bies świadkiem, zem czynił, co mogłem. I gdyby nie ten durny Hołownia...

Snuł dalej myśli tajemne, zanurzając się w mro-

ku, zdala od ognisk, które żołnierstwo na noc rozpałało.

Tejże nocy opuścił obóz.

XI.

Przybył do Warszawy Piotr Dąbek — i trafił na pogrzeb starej Kawczyny, babki swojej.

O pięć lat starszy od Krzysia, był młodzian dorodny, jeno trochę bladawy. Z księgami często obcował, od ludzi również nie stronił. Sensata miny nie miał i sensat nie był ani trochę.

Osiadłszy tymczasowo u Kawki, do niczego się nie brał, jeno rozglądał się ciekawie po mieście i ludziach.

— Dziwnie mi tu swojsko, panie dziadku — mówił potem do starego mieszczanina. — Raz mi się zda, żem stąd nigdy krokiem nie ruszył; drugdy, że cała Europa ze mną tu przyszła. Mam pod bokiem Auszburk i Witembergę, mam Paryż i Rome, nie brak mi Londry i Sztokolmu. Kęs Amsterdamu znalazłem, gdym jeździł Wisłą na „Olendry“, gdybym chciał, odkryłbym pewnie i grody azyackie...

Kawka milczał i nieufnie poglądał na wnuka, który ubierał się kształtem odmiennym, niż mieszczanie: włosy trefił i wonnościami mazał, a na odzieży miewał często plamy niepiękne.

Raziły też starego zdania, które wolnomyślny *poetus* rzucał o księżach, o religii, o niewiastach, o życiu doczesnem i przyszłem...

Kawczynę pochowano w lochach u świętego Jana. Sama tego przed śmiercią żądała. Matronę,

szanowaną przez całą Starą Warszawę, postanowiono uczcić kamieniem nagrobnym, w ścianę świątyni wmurowanym. Znalazł się snycerz włoski, który marmur pięknie wyrzeźbił; znalazł się malarz — szwedzki pono — który konterfekt, na blasze okrągłej, na tle złocistym, wymalował — szło o takiego, ktoby „*inskrupcyę*“ ułożył nadobną.

Nikt nie był do tego sposobniejszym nad wnuka nieboszczki.

„*Petrus Quercus*“ skrzywił się — jednak za pióro ujął.

— Do skakania — mówił — zwawszym ja, niż do lamentów. Dziewosłęby moja rzecz, nie epitafia. Przecie staruszce na lutni brzęknę. Wźdyć to jej śluby ostatnie!

Płyta była gotowa, litery wyryte, włoski zajmował się właśnie ich wyzłacaniem, gdy w pracowni zjawił się niespodzianie — jezuita. Jezuita zjawiali się wówczas wszędzie — najbardziej tam, gdzie ich najmniej potrzebowano.

Pater napis przeczytał, nosem długim pociągnął — minę przerażoną przybrał...

— Święty Ignacy! — cienko zaśpiewał. — Cóż to za firki tu popisało!

Nos przytknął do samego marmuru — czytał najpierw półgłosem, potem na cały głos.

Epitaphium w pierwszej połowie głosiło cnoty nieboszczki oraz nieszczęścia, które ją w długim życiu przesładowały; w drugiej mówiło o nagrodzie, która ją w życiu przyszłym spotkać musiała.

Jezuitę obruszyły najbardziej wiersze następujące:

„...Dziś podniesionaś na Niebo wysokie,
Gdzie wnijszcia strzegą gwiazdy złotookie.

Sam Bóg cię sadza na wzniosłej stolicy,
Gdzie Święte Panny i gdzie Męczennice.
Bowierni kto w losów żył wrogich obieży,
Temu się miejsce w Niebiesiech należy“.

— He?... co?... jak?... — mruzczał, kamień obwąchując. — „Należy“ i — *punctum!* Ani „alfy i omegi“; ani „*orate pro ea*“; ani prośby o „Zdrowaś Marya“... Czysto, gładko, prawa mowa luterska... *Operaio!* — krzyknął na włocha, co stał nieopodal w kornej postawie — nie kończyć tego napisu. *E dannato!*

Włoch przeżegnał się i odskoczył od płyty, jakby była kawałem rozpalonego żelaza. W tejże chwili jezuita wyfrunął, czyniąc wielki szum skrzydłami fałdzistego płaszcza, na którym unosił pył gipsowy i okruchy marmuru. Poleciał, jak wiatr, do „starszych“.

„Starsi“, w kilka dni później, wezwali poetę do siebie. Wezwanie przyniósł wnukowi Kawka zaniepokojony, przelękły. Petrus natomiast żartami i śmiechem rzecz zbywał.

— Nie zadziobią mnie one kruki!... — mówił, włosami trefionymi potrząsając. — *Mehercle!* mam i ja dziób, w potrzebie i szpony wysunę. Będą pierze leciały!...

— Nie dudkuj! — jęczał stary. — Ani wiesz, z kim sprawa. Poradzą-ć oni najsilniejszemu, gdy się zawezmą.

Głos przyciszył — do samego ucha wnukowi jął szeptać:

— Chciwi są i zawziętości pełni... Trzebaż nie-szczęścia, że pani siostra ich uraziła... Pamiętała przed śmiercią o augustyanach, paulinach — nawet o mansyonarzach i psalterzystach u Świętego Jana — jedni jezuiti wyszli jakoś niebodze z pamięci...

Nic im nie zapisała... A oni właśnie *Collegium* budują, pod kościół fundamenty położyli — grosza łanką, jak kania dżdżu...

— Rozumiem... *inde ira* — mruknął, poważniejąc, poeta.

Nazajutrz „wycudził się“, jak na wesele. Strój przywdział włosko-hiszpański, który dobrze przystawał do jego kształtnej postaci. Włożył kabacik żółto-fioletkowy, obcisłe, białe famurały, baszmagi z żółto-złocistego safianu. Na głowę nasadził berecik z piórkiem.

Droga do jezuickiego „Klasztorku“ była krótka — on przecie zdążył ją okrążyć, aby przejść przez główne ulice i niewiastom pozwolić, aby się nań dosyta napatrzyły. I mieszczki i dworki goniły za młodzianem pożądliwymi oczami — on szedł buczno, jedną ręką pod bok wsparty, drugą węża młodogo pomuskując.

Z gęstą miną do furty zadzwonił, z gęstą opowiedział się braciszкови-odźwiernemu; z gęstą zasiadł w obszernej, pustej celi, gdzie inny braciszek, z twarzą układną, „maluczko“ czekać mu polecił.

Ale gdy ubiegła godzina jedna, druga i trzecia, a nikt do zamkniętego nie przybywał, gdy przez te trzy godziny nic słyhać nie było, jeno stłumione murami grubemi mruczenia i jęki; gdy ostatnie, zaślakane tu promienie słońca pogasty i mrok przedwieczorny po pustej komnacie rozlać się począł — mina młodzieńca zrzędiała.

Możnaby sądzić, że na to tylko czekano — bo w tejże chwili drzwi otwarły się bez najmniejszego szmeru (wszystkie drzwi w „Klasztorku“ tak się otwierały) i ten sam układny braciszek, w progu pochyłony, głosem pokornym wyszeptał:

— Ojciec przeor prosi waszmości:

XII.

Przeor, mąż dorodny, wytworny, z twarzą, zarostem i obejściem się człowieka światowego, przyjął poetę uprzejmie. Powstał na jego powitanie, za ramię go ujął, posadził naprzeciw siebie — za kłopot sprawiony przeprosił.

Cela przeora nie miała surowości klasztornej. Obszerna, o dwóch dużych oknach, świeciła tu i owdzie połyskiem srebrnego krucyfiks, może puchara, barwami perskiego kobierczyka, wyzłacaną na rzeźbionem krześle skórą. Przyjmowano w niej dygnitarzy — wyglądać musiała odpowiednio do swego przeznaczenia.

Mimo zapadającego wieczoru, światła w celi nie było. W pierwszej chwili zdawało się, że prócz gospodarza nikogo tu niema — później oko dostrzegło kilka postaci, do połowy zatopionych w mroku, nieruchomych.

Dwaj patrowje rozmawiali po cichu w głębokiej wnęce okna; jeden układał książki na półce, nie poruszając się prawie; jednego błądy profil majaczył niewyraźnie na ciemno-wiśniowem tle kotary.

Zachowanie się wszystkich było takie, jakby o przybyszu zgoła nie wiedzieli.

Stół, za którym przeor siedział i przy którym poetę posadził, stał w najwidniejszym punkcie komnaty — tuż przy oknie, którem nieskapa reszta dnia do celi wpadała. Ale gdy przybysz znalazł się w miejscu najbardziej rozwidnionem, przeor usunął się ze stołkiem swym w cień...

Po chwili, z cienia wybiegły słowa słodkie. Oświadczone młodzieńcowi, że jest gość bardzo miły, że jego wiedza, talent i znajomość świata są znane zakonowi, który te rzeczy w wielkiem ma posza-

nowaniu — że jeśli go poproszono, to dlatego jedynie, iż wypada, aby młodszy w pierw przybywał do starszych, nie zaś odwrotnie.

Piotr skłonił się w milczeniu. Jednocześnie pomyślał:

— Trzymajmy się twardo...

— Waszmość — ciągnął głos łagodny, prawie pieszczotliwy — siła krajów zwiedziłeś, siła wszechnic znasz, siła ksiąg przeczytałeś... Nie godzi się światła trzymać pod korcem!

— Nie trzymam, *pater venerabile* — odparł poeta z powściągliwą pokorą. — Światelko moje mdłe... prawy kaganek... każdemu-m przecie świecić nim gotowy.

— Wiemy! wiemy!... ozwał się niespodzianie głos skrzeczący z pod okna — nawet nieboszczkom... *in viam aeternam...*

Przeor zaszurał nogą, jakby nierad temu wmięszaniu się.

— Waszmość — pośpieszył z zapytaniem — piórkiem się pono zabawiasz?

— Czynię to, *reverende*.

— W „rytmach“ się ćwiczysz?

— Tak.

— Tworzysz niezawodnie *lirica*, ody...

Głos od półki z książkami dorzucił:

— *Epigramata...*

Głos od kotary dokończył:

• — *Epitaphia...*

Petrus Quercus zrozumiał, że zaczyna się natarcie.

Skłonił się dokoła wszystkim głosom, jakby mówiąc:

— Gotów jestem.

Potem wyprostował się, ręce na piersiach założył i czekał.

— Otóż to! — ozwał się przeor głosem do-
brotliwym, jakby nagle sobie przypominając — coś
mi tam o epitafiach waszmościnych gadano. Pono
trefne. Mój przyjaciel *Starovolscius* spisuje *Monu-
menta Sarmatorum*, pewnie i te rytmy do nich do-
łączy... Ba! toć i ja mam jakowąś o nich zapiskę...

Z cienia wynurzyły się ręce — grzebać jeły po-
między zalegającymi stół papierami.

Po chwili, ręce cofnęły się — z mroku wyszła
cała postać ojca przeora.

Jezuita zbliżył się ku oknu — do samych oczu
przysunął pergamin, czerwoną kredą zapisany.

— Ano, poznajmy one trefności — rzekł gło-
sem lekko zmienionym, w którym było czuć uśmiech.

Jał czytać zwolna, jedne wyrazy mruczając nie-
zrozumiale, inne dobitnie skandując.

— „Podniesionaś na niebo wysokie“... No, ~~no!~~...
„Gdzie Święte“... He, he... „Gdzie Męczennice“...
Otóż to!... „Kto żył... w obieży“... Wszyscyć tak
żyjemy!... „Temu się miejsce w niebiesiech nale-
ży“... Jak? źłem pewnie przeczytał?... „Miejsce...
należy“... Dalibóg: „należy“... No, to już nie do
wiary!...

Odstąpił od okna — w cieniu się pograżył.

— To waszmościne *opus*?

— Moje, ojciec wielbny — przytaknął spokoj-
nie poeta.

— *In laudem* jakowej Świętej, przez Kościół za
świętą poczytanej?

— Nie ze wszystkim, *reverende*. To inskryp-
cja na grób babki mojej, nieboszczki Kawczynej...

— A!...

Nastała chwila milczenia. Przerzywało ją tylko szeptanie dwóch patrów w zagłębieniu okna.

— Jejmość Kączyne znalazłem — ozwał się wreszcie przeor. — Niewiasta była ani nazbyt zła, ani zbytnie dobra. Siła takich mamy w Starej i Nowej Warszawie. Skądże waszmość tak górnie o niej trzymasz?

— Z blizka na jej żywot patrzyłem. Był czysty, szlachetny i udręczony.

— Chwalebna rzecz wnukowi czcić babkę, jak świętą. Nie przeto ma być ona świętą dla Kościoła i dla ludu.

— Bóg przyjął babkę moją do Nieba, między święte. Wierzę w to.

— Waszmość mieć musisz racye do kanonizowania tej niewiasty? — zaskrzeczał głos od okna.

— Pewnie przy jej zwłokach cuda się pełniły? — zaśpiewano przy kotarze.

Piotr odrzekł głosem mocnym:

— Cud był jeden: że srodze przez los zgnębiona, przeżyła wiek bez mała, ani razu ludziom nie złorzecząc i Bogu nie bluźniąc.

Jezuita, dotąd milczący, zagadał z kąta:

— Fraszki to są, co waszmość mówisz. Nam trzeba znaków widomych. Ukazałoż się przy zwłokach światło niebiańskie? rozlały się kwiatów rajskich zapachy?

Poeta odparł:

— W raju-m nie był; jak pachną kwiaty tamtejsze, nie wiem. Przy trumnie babczynej widziałem jeno światło gromnic, czułem zapach kadzidla kościelnego.

Znów zabrał głos przeor:

— Waszmość znasz Katechizm Rzymski, przez Sobór Trydencki zatwierdzony?

— Uczono mię go, *reverende*.

— Wiedzieć przeto powinienes, że łaska Boża koniecznie do zbawienia potrzebna. Skądżeś pewny, że ją owa niewiasta otrzymała?

— A przecz otrzymaćby nie miała?

Zamiast odpowiedzi, przeor zwrócił się do jednego z towarzyszków, tego pewnie, co przy księgach miejsce trzymał.

— Ojcie Jacku, weźmi Świętego Augustyna „Mowy tajemne“, rozdział, *ni fallor*, dwudziesty czwarty: „Że zbawienie nasze jest z Boga“. Przeczytaj, co się sprawy naszej tknie.

Po małej chwili, w oknie zaczerniała wyniosła sylweta mnicha o profilu „Dantejskim“. Mnich podniósł do oczu książeczkę niewielką i przez nos czytał:

— „Jeśli chcesz, Panie, możesz mię zbawić, a ja, choćbym chciał, zbawić siebie nie mogę... Wielkie jest mnóstwo nędz moich ze mną... Albowiem chcieć przy mnie jest; ale wykonać dobrze sam nie potrafię. Chcieć dobrego nie mogę, ażbyś ty chciał; ani uczynić mogę, co chcę, ażby mię moc twoja potwierdziła; co zaś mogę, czasem nie chcę, ażby wola twoja była jako w niebie, tak na ziemi... I któryż jest człowiek urodzony z niewiasty, coby żył a nie widział śmierci, i wyrwał duszę swoją z ręki piekielnej, jeśli ty sam nie wyrwiesz, żywocie żywotny wszelkiego żywota, przez którego wszystkie rzeczy żywią!“...

Zamilkł mnich — cisza zaległa komnatę. W tej ciszy zdało się, że wszystkie echa pod powałą i po węglach powtarzają słowa książki.

Milczał i poeta — jakby potęgą tych słów do ziemi przybity. Czyżby mógł i czyżby śmiał przeciwstawić swoje słowa słowom Ojca Kościoła?

Powrócił przecie do głosu...

— Ojczy! — wyrzekł, podnosząc się i rękę do mnicha wyciągając — na chwilę daj mi książki swej, abym i ja z niej czytał.

Mnich książkę podał — usunął się — miejsce jego zajął Petrus Quercus.

Przez celę przebiegł szmer zdziwienia.

Poeta kartek parę przewrócił, poszukał, głosem poważnym zaczął:

— „Izali Bóg nieogarnionej mocy przeciw listkowi, który wiatr porywa, będzie pokazywał moc swoją? i źdźbło suche będzie gonil? Izali król Izraelski wieczny potępi psa jednego? Izali potępi pchłę jedną?!... Słyszeliśmy o miłosierdziu twojem, Panie, że ty śmierci nie czynisz, ani się weselisz w zatraceniu umierających... Dlatego, Panie, prosimy cię, nie dopuszczaj panować śmierci, którejs nie uczynił... Albowiem, jeśli żałośny jesteś z potępienia, coć przeszkadza, Panie, który wszystko możesz, abyś się weselić nie miał zawždy z naszego zbawienia?“...

Augustyanowi świętemu odpowiedział święty Augustyn. Na zarzuty miejsca nie było. Nie było go tembardziej na szyderstwo.

Milczał przeor — milczeli bliżsi stołu jego towarzysze.

Nagle skrzeczek z pod drugiego okna zawołał:

— Waszmość w cudzych krajach nie jeno *ar-tem poeticam* zgłębiałeś. Nie obca ci jest i *ars sophistica*. Umiesz teksty święte pruć, łątać i zeszywać nie gorzej Lutra, Wiklefa, Cwingliusza...

Dopiero teraz rozwiązały się języki patrów.

— Waszmość Ojców Kościoła przekabacasz!

— Nowy katechizm stwarzasz!

— Nowy kalendarz!... nowe żywoty świętych!

— Z łaskowości waszmościnej dostaliśmy świętą Kawczynę...

— Wdowę i Męczenniczkę!

— Idź waszmość śladem Foxa: święte papieskie wymaż, swoje wpisz!

— Jest tam już Helźbieta, królowa anglicka, będzie miejsce i dla mieszczeni warszawskiej...

— Jest męczennik Huss, męczennik Wiklef, pomieszczą się i przyjacioły waszmościne...

— Panien brak... dawaj co rychlej swoje duszki!...

Petrus Quercus milczał. Choćby nawet odpowiadać chciał — nie miał komu. Głosy wychodziły z ciemności — zdawały się ulatywać w powietrzu, jak skrzydlate, syczące gadziny.

Przemówił wreszcie przeor — łagodnie, jak zawsze.

— Waszmość bładzisz. Obowiązkiem naszym: oświecić waszmości. Granice łaski Bożej rozciągasz *ad infinitum*, owszem, wcale je usuwasz. Według waszmości, nikt o zbawieniu swem wątpić nie powinien, ci nawet, co na otchłań piekielną zasłużyli...

Poeta rzekł:

— Czytamy u Dawida: „Nie opuścisz dusze mojej i w piekle“.

Z mroku wypadł głos, złością przejęty, zajadły:

— To już za jednym zamachem odrzuć waść modlitwę i spowiedź, z Lutrem do wieczery dyabelskiej zasiądź!

— Nigdy o potędze modlitwy nie wątpił — odparł Piotr. — Kto się modli, z Bogiem rozmawia, duszą w niebiesiech gości...

— A spowiedź? — zaśpiewał głos od kotary.

— Roztrząsać sumienie rzecz zawždy pożyteczna.

— Jeno tyle! Na tę odrobinę i odszczepieńcy się godzą. Jak przecie roztrząsać? przed kim?...

Głos nosowy, ten sam, co świętego Augustyna cytował, z uwagą wystąpił:

— Za pierwszych czasów ewangelicy ustawili samemu Bogu spowiadać się, nikomu inszemu. Potem, ustawę odmieniwszy, po kilku społem do ministra swego szli, a on minister rozgrzeszenie dać im obiecał. Aż lepak ustawili przed wszystkim zbrorem jawnie grzechów swych się spowiadać. Aleć i to niedługo trwało, i na synodzie w Sędmierzu jakowąś nową sztukę wymyślili... Wiedzieć nam trzeba: co waszmość o tych sprawach rozumiesz?

Na to pytanie Petrus Quercus nie dał żadnej odpowiedzi.

Spór mógł się zaostrzyć — przeor pośpieszył ze słowem łagodzącem.

— Nie odrzucasz waszmość modlitwy i szanujesz rachunek sumienia. To dobrze. Czyżbyś przecie wierzył, że dobre uczynki i życie nie zgoła szczęśliwe do zbawienia wystarczają?

— Wierzę w to.

Szmer pełen zgrozy ozwał się w ciemnościach. Przeor rzekł, głosu ani trochę nie podnosząc.

— Błąd to i wielki. Waszmość jesteś katolik; przytem młodzian światły, czytany. Wiedzieć musisz, co teologowie nazywają „skrucą“, Pismo Święte „sercem skruszonym“, a niektórzy z Ojców Kościoła „skłóciem serdecznem“. Nic to wszystko nie jest, jeno szczerą boleść za grzechy. Trzebaż tę boleść koniecznie wycierpieć, aby zbawienia dostąpić. A boleść to niepowszednia. Joel Prorok mianuje ją „serdecznem rzezaniem“. „Nawróćcie się do mnie — mówi — we wszystkim sercu waszem, w poście, w płaczu, w żalu, i rzezajcie serca wasze

a nie szaty wasze“. Widziałeś waszmość, aby to wszystko czyniła niewiasta, którąś w niebie, pomiędzy świętymi, posadził?

Młodzieniec pomyślał.

— Widziałem — rzekł — westchnienia, nie-szczęciami rodziny wzbudzane, które jej starą, zapadłą pierś rozrywały. Widziałem łzy, ze zranionego serca płynące, które na jej licach pomarszczonych wyślabiały kręte a głębokie łożyska...

— Cóż przeto?

— Przeto przywiodłem sobie na pamięć, co święty Jan mówi w „Objawieniu“: — „Zetrze Pan Bóg łzy z oczu ich, nie będą więcej płakać; ustaną uciski ich i boleści i śmierć nie będzie im panowała“. — I ukazała mi się owa niewiasta w gloryi niebiańskiej.

Szmery wzmogły się. W celi wrzało, jak w chmurze, gdy ma z niej wypaść piorun.

Nagle, w najoddalszym kącie komnaty, gdzie poeta nie podejrzewał obecności niczyjej, zabrzmiał głos nowy zgoła — głos gruby, prostacki, zuchwały.

Ten głos, aż dotąd zatajony, rzucił nagle na arenę sporów zdanie krótkie, energiczne, będące jakby ostatecznym całej sprawy zamknięciem:

— Kacarz jest!

W tejże chwili dał się słyszeć łoskot odsuwanego stołka i ciężkie kroki postępującego szybko człowieka.

Ten człowiek wynurzył się niebawem z mroku i przesunął przez smugę światła, które z okna padało.

Był stary, krępy. Miał zarost mleczno-biały, ułożony po szwedzku, nad czołem czub wysoki. Podpierał się grubą laską.

Poeta poznał — Bobolę.

Zaszeleściały sutanny, zaszemrały łacińskie, półgłośnie pożegnania — potem wszystko ucichło.

Braciszek służebny wniósł lampę.

Przy świetle, Petrus Quercus ujrzał ze zdziwieniem, że cela pusta...

Naprzeciw niego siedział tylko przeor, i wyciągając przez stół białą, piękną rękę, mówił tonem, dobrotliwie upominającym:

— Żegnam waszmości. Zapamiętaj, coś słyszał. Oby Duch Święty, póki czas jeszcze, oświecił umysł waszmości...

XIII.

Od Przedmieścia Krakowskiego ku Powiślu, w pobliżu kościoła i klasztoru Ojców Bernardynów, biegła spadziście uliczka wąska, kręta niebrukowana. Jak wiele innych, nazwy stałej nie miała. Nazywano ją rozmaicie: Błotna, Dziadowska, Bociania — aż wreszcie, w drugiej połowie XVIII wieku, ustaliło się nazwisko, niewiadomo, skąd wzięte i od czego pochodzące: Usilna.

Ta uliczka za Zygmunta III-go była bardzo podobna do zwykłej drogi wiejskiej. Więcej było przy niej sadów, niż domów; więcej płotów, niż zabudowań.

W samym końcu uliczki, w miejscu, gdzie zaczynała się stroma spadziść, wiodąca ku Wiśle, stał dworek drewniany, z piętorkiem niewielkim i gankiem. Dworek, zwrócony czołem do uliczki, zdawał się ją zamykać. Rosła przy nim wysoka, rozłożysta lipa, z gniazdem bocianiem (stąd przygodna nazwa uliczki) oraz kilka drzew owocowych poziomej urody.

Przed gankiem wygrzewał się zawsze na słońcu duży pies, kudłaty, zaspany; nad dachem podlatywały gołębie; na niskim płotku żerdzianym siadywał kruk oswojony, z miną rabina zadumanego nad Talmudem.

Na pięterku była izba dość przestronna, wybiełona, z belkami w pułapie, z piecem polewanym. Na środku stał duży stół, założony księgami. Księgi leżały też na szerokich policach, przymocowanych do ściany.

W tej izbie, przy tym stole, wśród tych ksiąg, pewnego letniego popołudnia siedzieli dwaj młodzieńcy. Jeden dochodził już wieku męskiego; miał gęstą brodę, która mu twarz okalała, oraz długie, trefione, na ramiona spadające włosy. Drugi był młodzieniaszek ledwie dwudziestoletni — szczupły, ruchliwy, układny.

Było to w sześć lat po rokoszu, w roku Pańskim 1613-tym. Echa rozprawy Guzowskiej odzywały się już tylko w pieśniach, których całe setki obiegały kraj w druku i w odpisach. Inne, wielkiej wagi zdarzenia zacierały z wolna pamięć domowej zamieszki.

Rok 1613-ty był jeden z najsmutniejszych w niewesołym panowaniu Zygmunta Wazy. Rzeczpospolita ciężko cierpiała od obcych i swoich. Ostatni akt wielkiej tragikomedyi moskiewskiej opływał krwią i łzami. Tatarzy dokazywali na kreścach, pozostawionych prawie bez obrony. Szwecya spokoju nie dawała. Uwieńczyły wszystko: konfederacye wojskowe, które obok rządów królewskich, i ponad niemi, zaprowadzały rządy miecza, kuli, pięści. One to wyrwały z ust Żółkiewskiego, w jednej z mów, w tym właśnie roku wygłoszo-

nych, pełne goryczy słowa: „Pocóż prawa wspominać? — Już dziś milczą zdeptane!“...

Młodzieńcy siedzieli przy stole, zajęci czytaniem. Przed każdym leżała sterta ksiąg, rzadko co prawda tej nazwy godnych. Były to przeważnie kilkuarkuszowe świstki *in quarto*, choć i *oktaw* między nimi nie brakło.

Młodzieńcy przerzucali świstki z drwiącym uśmiechem. Co chwil parę jeden lub drugi czynił głośną uwagę.

— Słysz, Cherubinku! Ojciec Mądrowicz mądre spłodził rymy. Jego „*Cicada rythmica*“ o tajemnicach Świętej Teologii cyka!

— Uwaga! — zapowiedział młodszy uroczyście. — „Sejm piekielny straszliwy, Egzamen Księcia Piekielnego, Słuchanie liczby czartów: co który robił na świecie, za te lata od strącenia ich z Nieba aż do dnia Sądneho“. Żałuj, Petrusie, że włosy twoje umaszczone. Pewnieby ci dębem na głowie stały!...

— Mam poetę! prawego poetę! — zakrzyknął z kolei pierwszy. — W kął Homery, Wergiliusze przed imćpanem Achacym Kmitą! On pomści Nazareńczyka — plemię Judy i Izraela z tego świata zmiecie... Czytaj, Cherubinku. Oto „Lamenty Żydów wygnanych z Bochni“... „List Żydów do Mesyasza“, „Jeryho nowe“, „Kruk w złotej klatce“... Przeczytawszy, idź Machabejom gardła podrzynać. Nie pójdziesz? znak to, że na wdzięki poezyi uszy twoje głuche, serce zamknięte...

W tej chwili „Cherubinek“ otworzył szeroko usta, język wytknął, na wszystkie strony nim obrał.

— Co czynisz, obywatelu Parnasowy? — spytał tamten.

— Języka doświadczam, czy krzepki. Nie lada mocy mu trzeba, aby podołał tytułom naszych poetusów. Myślę, że jeśli go Bóg uchroni od złamania, łącno się wywichnie. Imćpan Lankowski wyśpiewał „Hypostematicon“; szlachetny Kuczkowski wygrzmiał „Onirocritica“; przez Kmitę jest wypluta „Spitamegeranomachia“, *doctor* Malinius zaś wystękał „Jathrotheogonomiconomachie“...

Petrus skrzywił się, udawał, że lzy ociera.

— Płacmy, bracie Cherubinie — jęczał — nie ma dla nas miejsca na polskim Parnasie! Takich cudności, jak owi, nie wyśpiewamy, to trudno. Mogliby nas pod swą opiekę wziąć magnaci, ale któryż z nas w górnych tonach a niskiem czołganiu się dorówna: Paszyńskim, Moczarskim, Okuniom, Protasowiczom, Kątskim, Jurkowskim, Balińskim, Bekmanom, Montelupim, Ślachtowiczom, Sapiehom...

Udany płacz skończył się prawdziwem westchnieniem.

Petrus rozrzucił z gniewem kupę rymowanych śmieci — odszedł od stołu — w otwartem, słońca pełnem oknie usiadł.

— Tyś fortunniejszy, Cherubinku — rzekł. — Do dworu masz przystęp, do królewicza. Mówią, że Władysław przyjaciół swe proteguje, wspomaga...

— Ano, kopiejki im swoje rozdaje!

„Cherubinek“ sięgnął do mieszka — rzucił na stół dwie małe, owalne blaszki: srebrną i złotą.

— Pokaż — rzekł Petrus, wyciągając rękę.

Wziął w palce ono maleństwo, do oczu zbliżwszy, przyglądał mu się.

Po jednej stronie blaszek był Święty Jerzy, przebijający włócznią smoka; po drugiej napis, któ-

rego Petrus odczytać nie umiał. Wyręczył go tamten, sylabizując zwolna:

— „Wielikij Kniaź Ładisław Zigmontowicz“.

— Siłaż to warte?

— Tyle, co wspomnienie słodkości, po której smak gorzki został.

Petrus dobył swego wacka — pieniędzmi brzęknął.

— Wolę ja ojcową łącznę, niż synowe bańki mydlane... — zaśmiał się.

Kilka groszy srebrnych w rękę wziął, towarzyszowi podał.

— Zobacz, Cherubinku. Srebro ładajakie, ale herby pewne.

— Ba! herby groszowe zawždy najpewniejsze...

Wybrał dwie monety: koronną i litewską przekładał je z ręki do ręki, i myślał, myślał...

— Słysz, Petrusie — rzekł wreszcie: — O tych herbach taką-m fraszkę ułożył:

Pogonia z jednej strony na groszu harcuje,

Na drugiej bystroskrzydlny Orzeł polatuje.

Coby to było, mogą zrozumieć i dzieci:

Gdzie szkapa nie doskoczy, pewnie ptak doleci.

— Fraszka grzeczna — pochwalił starszy. — Zdać się do twych „Apoftegmatów o groszowej zacności“.

Pieniądze schował — do sprawy poprzedniej powrócił.

— Słyszałem o twoim królewiczu rzeczy dobre...

— Prawie zasłużone. Pan to bystrego umysłu i wielkiego serca.

— Zaleć mu służby moje...

Młodzieniec pochylał głowę w zakłopotaniu.

— Radbych... Są wszelako przeszkody.

— Bobola?

— Zgadłeś.

Petrus zamyślił się.

— Wiem. On mi wszędy drogę zagradza. On, i te kruki jezuity!...

— Tsss!... — skoczył młodszy, z dłonią wyciągniętą, jakby do zakrycia ust mówiacemu. — Ani wiesz, z czym igrasz. Oni wszędzie są, wszystko słyszą, o wszystkim wiedzą. Imię ich trudno wymówić bezkarnie...

— Eheu!... Od sześciu lat noszę tę prawdę na własnej duszy wypisaną, ba! ogniem wypaloną. Od sześciu lat niewidzialne pająki snują dokoła mnie pajęczynę. Rwę bez wysiłku one włókna cieniućhne, jeno z rwaniem nadażyć mi trudno. Coraz ich więcej, coraz więcej, i coraz bliższe, coraz bliższe... Brrrr!...

Otrząsnął się — z okna zeskoczył — rękę o rękę tarł szybko.

— Co tobie, Petrusie? — spytał towarzysza.

— Zły wiatr mię owiał. Uczulem mróz aż w kościach.

— Petercymentu łyknij.

— Właśnie to zamierzałem.

Wychylił się oknem — pełną piersią zakrzyknął:

— Greta! Greta!

Echa puste uliczki powtórzyły wołanie; pies przebudził się, szczeknął; gołębie z wielkim szumem zerwały się z dachu; kruk przeskoczył z powagą z jednego słupka na drugi.

— Nie było słychać kroków na schodach... jednak

po chwili drzwi otworzyły się bez szelestu, do izby weszła piękna, blada dziewczyna.

Weszła cicho, w milczeniu na środku izby stała. Oczy miała spuszczone, ręce złożyła na pierśsiach, jak niewolnica wschodnia. Długie, czarne rzęsy leżały na jej białych policzkach, jak żałobne motyle.

— Petercymentu prosim i alikantu — przemówił Petrus poufale, lecz bynajmniej nie rozkazująco. — Imćpan Serafin Jagodyński, mój godny towarzysz, na słodkości łasy, pieprzny trunek gardło mu drapie...

Dziewczyna mruknęła coś, czego nikt nie dośłyszał, i cofnęła się równie cicho, jak weszła. Obuwie miała miękkie, ruchy powściągliwe — poruszała się bez szelestu, jak kotka.

Jagodyński, po wyjściu jej, długo jeszcze patrzył w milczeniu na drzwi, za którymi zniknęła.

— Prawy marmur!... — rzekł wreszcie z zachwytem.

— Tak — odparł starszy — póki ma oczy spuszczone. Gdy je podniesie, płomienie na cię buchają.

Młodzianek zanucił po włosku, na pięcie się okręcił.

— Twoje Grety — zaśmiał się filuternie — coś nazbyt często farbę odmieniają. Pomnę ostatnią: lica — jabłko, włosy — len, oczy — fijołki.

— Tak jakoś się składa... Tę przypadek mi podsunął, dobre serce zatrzymało...

— A jejmość Wenus sprawy dokończyła. Och Petrusie! Petrusie!

— Och Jagodo! Jagodo!... Chciałbyś może, bym się wprzągł w jarzmo małżeńskie? Nie wiesz-li, co się to dziś w naszej utrapionej Rzeczypospolitej

pod płaszczem Sakramentu wyprawia? Dworski jesteś, słuchy dochodzić cię muszą. Aza panowie szlachta żonami nie frymarczą? aza nie kupują je i nie sprzedają? Drugi ma dwie albo trzy żonki w jednym czasie, na różnych miejscach one usadziwszy. A rozumiesz może, iż niewiasty poczciwsze? Dziw to byłby przy takich małżonkach! Więc idź w tłum a zakrzyknij: „pani duszko!“ wierę, połowa niewiast ku tobie się obróci. Nieboszczyk pan Rej napisał: „U Kumanów wszeteczne kobiety na oślice, oczyma ku ogonowi, wsadzano i obwożono publicznie; o! siłaż-by w te czasy oślic trzeba, a śnać i krowy ledwie-by nastarczyły“. Rozumiesz, że od czasów pana Rejowych naprawiło się? Nie radzęć na własnej skórze tego doświadczać!

Weszła Greta z dwiema butlami wina, świeżo z beczulek utoczonego. Poeta miał piwniczkę równie dobrze zaopatrzoną, jak księżnicę.

Dziewczyna zbliżyła się do stołu: Jagodyński podbiegł, aby miejsce zrobić, usłużyć. Napróżno jednak zagadywał milcząca, z tej i owej strony w oczy jej zaglądał — ani słowa, ani spojrzenia nie podchwycił.

Greta poruszała się, jak lunatyczka. Dziwna sprzeczność tkwiła w namiętym wyrazie jej twarzy, w czarnych brwiach, zatoczonych wielkim łukiem nad bistrowemi, jakby spalonemi powiekami, a obejściem się pełnem senności i apatyi. Z dala bił od niej żar — z blizka szły prądy lodowato zimne.

Petrus otworzył małą, wiszącą szafeczkę, aby kubków do wina dostać. Tych kubków były tam trzy rodzaje: cynowe, srebrne, złote.

Poeta dobył i na stole ustawił — cynę.

Na widok prostych naczyń skrzywił się mło-

dzieniaszek. Dworski wykwint, większy jeszcze u królewicza, niż u króla, wydelikacił mu smak, przyuczył do sybarytyzmu.

Gdy Greta zniknęła za drzwiami równie cicho, jak weszła, wrócił do stołu i najpierw skosztował wina brzeżkiem ust, potem go długim, pełnym łykiem pociągnął.

— Dla takowej ambrozyi — rzekł, paznogciem w cynę dzwoniąc — godziłoby się szlachetniejsze zamknięcie...

Uśmiech przemknął po ustach gospodarza.

— Nie znasz, widzę, mego *principium* — objaśnił. — Dopóki mam wino, jak złoto, pijam je z kruszczu podłego, boć złoto złotem i w popiele. Dla trunku średniej dobroci chowam kruszec także średni: srebro. Jedno warte drugiego. Gdyby mię wreszcie *fata* na podłą lurę skazały, przysmaczę ją sobie szczerozłotem naczyniem...

Przy winie — jak zwykle między młodymi — potoczyła się rozmowa o niewiastach.

Po trzecim kubku, Jagodyński zagadnął:

— Gdzieżeś to ułowił, Petrusie, swą nimfę?... Nie wytrząsa się dziewczek takich z rękawa!...

— Przywieźli ją kupce ormiańscy ze Lwowa. Przywieźli i porzucili. Zdybałem opuszczoną, płaczącą...

— I przyhołubiłem?...

— Com miał czynić! Wiesz, że serce moje, prawy wosk. Nie obyło się bez okupu. Ci, co w pierw uciekali, zjawili się nagle z napieraniem, z krzykiem. Trzeba im było gęby srebrnikami zatykać.

— Więc ormianka?

— Ano tak. W szarawarach chadza jedwa-

bnych, czerwonych, na świętego Józefa zaklina się i na świętego Pawła.

— To i chytra?

— Chytróści-m w niej nie dostrzegł. Ale skryta. W sercu chowa gorzkość jakowąś i melankolię.

Autor „Grosza“, który zdążył już załatwić się z czwartym kubkiem i zajrzeć do piątego, wyrwał się z wynurzeniem niewczesnem:

— Słysz, Quercus! Srodze mi się twoja Greta udała...

— Oho!...

— Gdyby nie amicycyja, posunąłbym się...

— Nie wskórałbyś!

Zaczerwienił się młodzianek, naczupurzył...

— Cóż to? Nie ostatnim przecie! Albożem nie szlachcic? nie dworzanin królewicza jegomości?

— Właśnież szlachta jej wstrętni, na dworskich patrzeć nie może.

— Firki to są! Skądżeby ona niełaska?

— Nie wiem. To jedna z jej skrytości. Nóż przy sobie nosi turecki, obosieczny. Zszedłem ją raz, gdy go na obie strony ostrzyła... — Na kogo? — pytam. — Na herbowego... — Przypierałem, żeby co więcej rzekła, nie chciała...

Jagodyńskiemu czmerało już w głowie. Uśmiechał się bezmyślnie, mech na wardze górnej skubał i kołysząc się lekko naprzód i w tył, powtarzał tylko:

— Firki to są... fi... firki...

XIV.

Cała Warszawa wyległa na Przedmieście Krakowskie, na gościniec wiodący w stronę Jazdowa. Tłumy kupiły się po obu stronach drogi;

wszystkie twarze miały wyraz wytężonej ciekawości, niecierpliwego oczekiwania...

Gdy przed dwoma laty wieść miano tędy jeńców z nod Kłuszyna, słabiej iskrzyły się oczy, mniejsza gorączka zapalała lica...

Widok zgnębionej i cierpiącej ofiary miły tylko drapieżnikom — myśmy drapieżnikami nigdy nie byli.

Co innego wszakże urągać zwyciężonym, a czcić zwycięzców. Tryumfator! — wielkie słowo, którego dźwiękiem upajają się głowy najtęższe. Przed tryumfotorem każdy tłum padnie na kolana, nie badając, czy to mąż boży, czy zbój lub szarlatan.

Ci, na których powitanie ludność stolicy za mury wyszła, po przedmieściach i gościńcach rozlała się, tryumfu zupełnego nad nikim nie odnieśli. Ale w tej chwili nikt sobie z tego sprawy nie zdawał. Pamiętano tylko o oddzielnych zwycięstwach, o „cudach waleczności“, o zadziwiającem bohaterstwie, okazywanem w chwilach najcięższych — a tego było bez liku.

Wieści, nadlatujące od lat kilku ze strony dalekich, omroczonych tajemnicą, zabarwionych tragiczną grozą światów nieznanych, wyolbrzymiały każdy z czynów rycerskich, podnosząc go do rozmiarów fantastycznych, bajecznych...

W pamięci tłumów wskrzeszały postacie Wyrwidębów, Waligórów; podnieconą wyobraźnia łączyła je z tem rycerstwem lotnem, nieustraszonem, które rozbijało zastępy, dziesięćkroć od siebie liczniejsze.

Szła przed tem rycerstwem trwoga śmiertelna: ślad jego znaczyły lzy i przekleństwa. Na postrach wroga stworzone, stać się miało z czasem postra-

chem swoich. Spełnił się na niem wyrok wiekuistej sprawiedliwości, który krwi każe płodzić krew, mieczowi zwracać się zawsze wkońcu przeciw temu, co nim wojował.

Ale poczucia tej sprawiedliwości już wówczas Rzeczpospolita nie miała. Pojęcia o bohaterstwie już się w niej mącić i psuć zaczynały. Coraz mniej było mężów pojmujących rzymską *virtus* wszechstronnie: dla ogółu ona znaczyła tylko fizyczną moc i nieustraszonosc.

I dlatego z wieńcami, z zachwytem w oczach, z ramionami gotowemi do uścisku czekano na to wojsko nieregularne, które wracało ze Wschodu i Północy, owiane burzą, otoczone glorią legend cudownych. I dlatego hetmani, najwyżsi przedstawiciele ładu i karności wojskowej, wychodzili na spotkanie tych, co byli owego ładu i owej karności najwyższem zaprzeczeniem. I dlatego sam król siadał na majestacie i posłów cudzoziemskich obok siebie usadzał, aby witać solennie wodza, który był niekiedy dziwnie podobny — „hersztowi“...

Bohaterowie przeprawili się poprzedniego dnia wieczorem przez Wisłę w pobliżu Jazdowa — raniem mieli odbyć wjazd do stolicy.

Czekano na nich od świtu.

Rzemieślnicy odbieżeli warsztatów, przekupki straganów, służba pracy rannej, przedmieszczanie roli. Tylko kupcy staromiejscy, poważni jak zawsze i w długie delie owinięci, odbywali codzienną, mrówczą pracę przy łokciu i wadze; tylko dostojny *magistratus* nie przerywał wyznaczonych na ten dzień obrad w „Kamienicy Wójtowskiej“; tylko zakonnicy odśpiewywali jutrznię i odprowadzali msze ranne, nie troszcząc się o polityczne i rycerskie igrzyska tłumu.

Pamiętał o nich za to naród przykościelny, i liczne pary rąk żyłastych trzymały wszędzie sznury od dzwonów, aby niemi, na dany znak, z całej mocy zatargać.

W gromadkach, kupiących się wzdłuż drogi, o jednym tylko gadano...

Pod Męką Pańską, gdzieś w okolicy dzisiejszego Uniwersytetu — kędy później stanąć miała olbrzymia figura Atlasa, kulę ziemską dźwigającego — zebrały się przeważnie białogłowy. Rej tu wodził czeladnik od płatnerza — człek mający do czynienia z orężem, więc napół rycerski.

Opowiadał, że nocą wykradł się z miasta i był na „pozawiślu“, gdzie przy księżycu przyglądał się z za krzaka bohaterom.

Niewiasty oskoczyły go, szarpiąc za rękę, za kolet łosiowy, sięgając niecierpliwymi rękami do jego włosów, uszów, nosa...

— Jacyż oni?... jacy?... jacy?... — dopytywały na wszystkie tony, piskliwemi, drżącemi od wzruszenia głosami.

Płatnerz rozwijał rzecz obszernie.

— Ni to usarze, ni rajtarya. Ani kirysów nie mają, ani szyszaków, ani piór, chyba jaki taki kupe pierza przy kołpaku. Pancerni? i to nie. Koszulek drucianych nie widziałem u nich, ani żadnej rzeczy z drutu. Nie węgry, bo konni; nie dragoni, bo bez rynsztunku; nie muszkietnicy, bo bez muszkietów. Oręż u nich, jakby nie oręż: łuki, toporki, czekany, noże. Trafi się u drugiego pistolet ładajaki, szablina Boże ratuj, sztylecik jak na śmiech, chyba do rzepy krajania... A przecie straszn!

Niewiasty nosami kręciły, nie takich szczegółów były ciekawe.

— Iiii!... — zadrwiła jedna. — Dudkujesz, chłoptasie! Takeś ich widział, jak swoje ucho!

Obruszył się czeladnik — zaklinać ją!

— Bodajem... bodajem...

— No, no — przerwała mu któraś — licha nie wyzywaj! Wolej powiedz: na gębie jacy?

Druga dorzuciła czempredzej:

— Jak się naszają?... Chudziaki czy zażywni?... Młodych siła?... Prawdaż to, że w sakwach, zamiast chleba, złoto przywieźli?

Platnerz odpowiedział kategorycznie:

— Sakw nie macałem, o złocie nie wiem. Sa-dła na każdym, jak na komarze. Młodziaków nie brak, choć są i siwosze. Co się tknie wyglądanja, wyglądają po rycersku: bies-by się ich przestraszył. Zresztą cali w skórę zaszyeci...

— Owej! — zadrwiła się szewcowa ze Szpichlernej. — A dziś skóra taka droga... Jeszcze może w safian abo w kordyban!

— W skórę niedźwiedziową — objaśnił czeladnik.

— Brzydale! — zaśmiała się młoda. — Nigdybym nie rozmiłowała się w burym kosmaczu...

— Nie burzy oni, jeno biali.

— Skądże?

— Bo i niedźwiedzie białe.

— Nie gadaj, Dominaszku! Takowych niedźwiedzi na świecie niema.

— U nas niema i na Litwie niema. Są nad Białem Jeziorem. Tam wszystko białe: drzewa by z cukru, kruki jak gąsiorzy, smoła jak śmietana, sadze jak puch łabędziowy. Jeno jedna Baba, złota. Siedzi ono babsko na słupie magnesowym, gębę do słońca wyszczerzyła, każdego trzy razy pyta o hasło. Odrzekniesz, na wiek wieków szczęśliwyś;

zmilczysz, biada twojej duszy w tym i w tamtym żywocie!

Pomilczał chwilę i dokończył z uśmiechem:

— Nasi babie odrzeknęli, aże ze słupa w Białe Jezioro zleciała i nogami się nakryła!

Niewiasty dziwią się, przeczą, przytakują — gwar rośnie i łączy się z innym, od drugiej gromady płynącym. Z gwarów oddzielnych powstaje wkońcu chór jeden, przeciągły, którym rozbrzmiewa cała przestrzeń od Bramy Krakowskiej aż do Zamku Jazdowskiego.

Na Przedmieściu Krakowskim, w pobliżu uliczki Bocianiej *vel* Dziadowskiej *vel* Błotnej, stała, nie mieszając się do żadnej gromady, młoda, smukła dziewczyna. Twarz jej zakrywał szczerlnie szal turecki — z pomiędzy fałd szala widać było tylko oczy wielkie, czarne, podłużne.

Była to gospodyni poety: milcząca Greta.

Wywabiła i ją z „Bocianiego dworka“ ogólna ciekawość. Poszła za innymi, nie śpiesząc, bardzo mało spodziewanem widowiskiem podniecona. Oczy jej patrzyły na drogę trochę marząco, trochę bezmyślnie; zdawała się uosobieniem odrętwiałości zupełnej, która już się niczego znikąd nie spodziewa.

Nieco dalej, przy niskim murku, okalającym cmentarz Bernardyński, modlił się żebrak — nie starv jeszcze, nie siwy, z gęstą, kołtunowatą czupryną, zwisającą na oczy. Chłop był sążnisty, w plecach rozrosły. Nogi miał krzywe, jakby pod ciężarem wielkiego cielska wygięte. Ręka prawa wisiała mu bezwładnie; w lewej trzymał miseczkę, do której stąd i zowąd rzucano szelągi.

I jego niewiele obchodzili wyglądani rycerze, rad był jedynie zbiegowisku.

Gwary, które miejscami dochodziły do krzyku,

nagle ucichły. Zapanowało milczenie. Wszystkie szyje wyciągnęły się w stronę Jazdowa.

Daleko, daleko, na drodze piaszczystej, ukazał się niewielki żółty obłoczek. Obłoczek szybko rósł i stał się niebawem wielką, kłębiącą się chmurą. W chmurze zamigotały jakby iskry, jakby płomyki.

— Jada!... — zahuczało wśród tłumu.

Chmura toczyła się po gościńcu nakształt olbrzymiej kuli, rzednąc i ukazując coraz wyraźniej swe wnętrze. W tem wnętrzu zdawał się kipieć war zmieszanych, skotłowanych kolorów: błękitu, czerwieni, żółci. Barwy papuzie grały całą tęczą, której natężenie wzmacniał oślepiający blask słońca.

Niebawem blaski i kolory ułożyły się w kształty wyraźniejsze. Już było widać konie, jeźdźców, chorągwie, orężę — wszystko do połowy w żółtym obłoku zatopione.

Tłum patrzył w głębokiem milczeniu, dech wstrzymując.

Nagle rozdarły powietrze ostre dźwięki janczarskiej kapeli. Zaraz też złączyła się z niemi pieśń wojenna — wrzaskliwa, dzika, tchnąca grozą stepu, rozpaczą bezkresnej, mroźnej, martwej pustyni...

W tejże chwili rozkołysały się dzwony Starej i Nowej Warszawy. Głosy spiżowe, solenne zmieszały się bezładnie ze świstem, brzękiem, wyciem, zawodzeniem...

Z tłumu buchnął krzyk, jak grom:

— Żyj Lisowski!... Górą straceńcy!...

XV.

Petrus Quercus na widowisko nie poszedł. Dwie

były tego przyczyny: najpierw zupełna obojętność na wszelkie sprawy żołnierskie i polityczne; następnie, odebrany w tymże czasie list od brata, z Gdańska.

Krzyś donosił rzeczy ważne.

Przedewszystkiem: żenił się. Żenił się z uroczą śmieszką, z fertyczną, szczebiotliwą, pulchną, smaczną, „jak poziomka w śmietanie“ — *trojlajn* Ketchen.

Burnbach *vel* Borumbach („Burnbach“ było nazwisko rodowe; „Borumbach“ — jego miejscowe, warszawskie uproszczenie) zachodził w lata—chciał zawczasu ustalić los jedynaczki a zarazem i swego domu handlowego. Jedynaczce na zalotnikach nie zbywało, ale wymagającemu gdańszczaninowi żaden nie zdał się odpowiednim.

Tymczasem narówni z ojcem przybywało lat i córce. Z milutkiej, figlarnej „Ketchen“ wyłaniała się coraz wyraźniej okazale piękna, poważna „Katharina“. Rówiennice jej już od trzech i czterech lat były mężatki...

Więc jednego dnia stary Burnbach przywołał do swego kantoru, egzaminowi poddał, wybadał wszechstronnie i oszacował: najpierw córkę, potem swego głównego „legera“.

Otrzymawszy tym sposobem dwie ściśle oznaczone „wartości“, zajął się dochodzeniem, czy są one „równomierne“ i czy z nich da się ułożyć matematyczna „proporcya“.

Rachunek dał odpowiedź potwierdzającą.

Stary kupiec ręce zatarł. Sprawa była skończona.

Krzyś, do ostatniej chwili niedowierzający sobie oraz łaskom swego pryncypała i jego córki, znalazł się nagle u szczytu swych marzeń. Fortuna

obdarzyła go odrazu: ręką miłowanej gorąco, choć w skrytości, dziewczki i wielkim, zawiść budzącym, majątkiem.

Szczęście swe zawdzięczał w równej mierze osobistym zasługom i uczuciu przyjaźni, jakie Burnbach chował w sercu dla jego ojca.

Termin wesela oznaczono za dwa miesiące.

Poeta, czytając, uśmiechał się. Brata kochał, szczęściu jego był rad. Już mu też po głowie chodziły wiersze „dziewosłębu“, którym uczi tak ważny w rodzinie wypadek.

Druga część listu, choć nie dotyczyła bezpośrednio rodziny, niemniej była ciekawa.

Krzyś, jak zawsze, uskarżał się przed bratem na wielką a stałą dolegliwość moralną, jaką cierpiał z przyczyny porwanego dziecka Dorotki. Przysiągł umierającej, że to dziecię „z paszczęki wilczej wyrwie, z pazurów niedźwiedzich oswobodzi“, tymczasem, w rękę już je trzymając, pozwolił, aby mu zostało fortelem lichym zabrane...

Gdybyż choć walczył w jego obronie! gdybyż choć krwią swoją tę porażkę przyplącił!

Rozsyłał gońców, aby hiszpana przekłętego ściągali; sam każdą chwilę wolną na szukanie go obracał; jałmużny rozdawał i msze zakupywał na intencję odnalezienia dziecka, wszystko nadaremnie.

Z myśli mu ta dziewczeczka nie schodziła; często też w snach nocnych był nawiedzany przez jej matkę, która przypominała przysięgi, czyniła wymówki bolesne...

Teraz donosił o wypadku dziwnym, który rzucał na tę sprawę nowe światło — raczej nową ciemność.

W ostatnich czasach kupcy gdańscy srodze cierpieli od „frajbiterów“.

Frajbiterowie byli zjawiskiem niezwykłym: korsarze z zapewnioną zgóry bezkarnością, rozbójnicy, osłonięci opieką rządu. Napadali na okręty gdańskie, kradli kupię co najcenniejszą, a pchnąwszy się na północ, ku Szwecyi, niknęli na zielonej pustyni Bałtyku. Niebawem — widziano ich żeglujących śmiało i bezczelnie po zatoce Puckiej i Sobockiej, zbliżających się do Heli, zazierających nawet do portu...

Niekiedy, w rycersko-kupieckiej sali Artushofu zjawiał się cudzoziemiec z sakwą złota szwedzkiego lub angielskiego — wymieniał je na gdańskie orty i dukaty — odbierał ukłony niskie, zalecenia służby powolnej. Nagle przebiegała salę wieść, najpierw szeptana, potem głośnie, że to korsarz, zubożony łupem ze świeżo zrabowanego okrętu. Robił się gwałt, rzucano się za intruzem — on zniknął w jednej chwili, jak bies na świtaniu.

Polityka Rzeczypospolitej, dość ciemna w tym razie i mętna, jak wiele innych polityk, była oparta na systemie, jakiego trzymają się hodowcy względem ptaków zbyt obżartych. Aby bronić takie ptaki od zatycia, przekłuwają im od czasu do czasu skórę, dla wypuszczenia zbytecznego tłuszczu...

Gdańszczanem, bogacącym się łatwo i szybko, groziło nie zatycie, lecz — rozwydrzenie i swawola. Ile razy poczuli w sobie nadmiar sił, stawali się krnąbrni, roili o oderwaniu się od Rzeczypospolitej, o stworzeniu czegoś w rodzaju północnej Wenecyi.

Post zawsze działa na takie zachcianki poskramiająco.

Gdańszczanie z korsarzami walczyli. Ale walka była ciężka. Frajbiterowie mieli statki dziwnie lekkie i lotne, broń zgoła nie kupiecką.

W ostatnich czasach zabrał się do nich Burn-

bach, któremu już do żywego dojeśli. Bogacz, przytem człek przemyślny, uzbroił i wyprawił na morze statek bez ładunku, z umyślnem poleceniem chwytania rozbójników.

Kierunek wyprawy objął Dąbek.

Po dwóch dniach kołysania się na falach, dostrzeżono wreszcie statek korsarski. Wbrew zwyczajowi, statek nie wysunął się, aby zagrozić drogę nawie kupieckiej. Płynął spokojnie, leniwie — raczej był niesiony przez fale, w kierunku wiatru wschodniego, który lekko nadymał jego żagle.

Dąbek kazał swej załodze nakierować działka, opatrzyć muszkiety. Czekano na zaczepkę — zaczepka nie zjawiała się. Statek Burnbacha przybliżał się ku statkowi korsarskiemu, a ostatni zdawał się wcale tego nie widzieć.

Krzyś wziął tubę — wezwał korsarzów do podania się.

Odpowiedzi nie było.

Powtórzył wezwanie.

Taż sama cisza.

Na statku było głucho, pusto. Zdawało się, że wszyscy tam wymarli. Nikt nie stał przy sterze; nikt nie pilnował żagli.

Fale tłukły się o boki statku z jękiem smutnym; wiatr świszczął żałośnie wśród sznurów masztowych. Statek, miotany w tę i ową stronę, wyglądał jak pozbawiony woli, energii — duszy...

Pomiędzy załogą Dąbkową nie brakło ludzi przesądnych. Ten i ów przeżegnał się, modlić się zaczął.

Okręt widmo... — szeptali jedni drugim na ucho poblądłemi od trwogi wargami.

Dąbek strachu nie doświadczał, ale paliła go ciekawość. Kazał rozwinąć wszystkie żagle. Za-

pieniła się woda pod dziobem nawy kupieckiej; niebawem oba statki zrównały się.

Prócz szumu fal i świstów wichru nic słyhać nie było.

Przestrzeń dzieląca statki szybko się zmniejszała. Milczenia nikt nie przerywał. Żeglarze drżeli. Krzyś uczył, że mu serce zamiera.

Trzęsącemi się rękoma zarzucono haki, statek korsarski zatrzymano. Po chwili ruchomy pomost połączył statki. Dąbek wstąpił na deski z pistoletami w obu rękach. Za przewodcą posunęła się zbrojna załoga, trzymając gotowe do strzału muszkiety.

Na górnym pckładzie nie znaleziono nikogo. Na dolnym... czekał przybyszów widok osobliwy.

Cała załoga korsarska klęczała tam z dłońmi złożonemi, jakby do modlitwy. Stał tylko jeden człowiek, o ścianę kajuty wsparty, i przemawiał do klęczących głosem poważnym, kaznodziejskim.

Ten człowiek, szwed widocznie, miał rudy zarost, odzież bogatą, błyszczącą od złota i drogich kamieni. Broni ani śladu. W jego postawie, ruchach, spojrzeniu było coś kapłańskiego. Klęczący słuchali go z namaszczeniem, z jakim słyha się — proroka.

W chwili gdy Dąbek z towarzyszami zbliżali się, ów prorok wyrzekł uroczyście „Amen“ i ręce wyciągnął, jakby błogosławiąc. Korsarze powtórzyli „Amen“, pochylając głowy i bijąc się w piersi. Potem wszyscy z kolan powstali i szli, jeden za drugim, całować rękę błogosławiącego.

Na Krzysia i jego muszkietników nikt nie zwrócił uwagi. Nawet spojrzenie niczyje w ich stronę nie pobiegło.

— Oręż złóżcie! poddajcie się!... — rozkazał Dąbek głosem lekko drżącym.

Korsarze obrócili na swego proroka wzrok pytający.

Człowiek z rudym zarostem odpowiedział spojrzeniem dobrotliwym, potem wyrzekł:

Nowy zaczynacie żywot. Wstępujecie do grona wiedzących. Świat wasz.

I uśmiechając się wyrozumiale, wyciągnął obie ręce do Krzysia, który schował już pistolety, a trzymał — powróż.

Po chwili, prorok był skępowany.

Korsarze poszli za jego przykładem: bez oporu związać się pozwolili.

Nad wieczorem, oba statki zawinęły do portu gdańskiego. Jeden z załogi, wcześniej wyprawiony łodzią, przywiózł do miasta wieść o szczęśliwym końcu wyprawy. Na zwycięzców czekał tłum — czekał przedewszystkiem Burnbach, z rozpromienioną Ketchen przy boku.

Korsarzów, związanych powrozami, pozostawiono do dnia następnego na statku, straż zbrojną im dodawszy. Dowódca ich został odprowadzony do więzienia miejskiego. Zamknięto go w oddzielnej celi, która miała mury półtorałokciowe, okienko z podwójną kratą, drzwi z obu stron blachą żelazną okute.

Z tej celi miał być poprowadzony niebawem na szubienicę — w wieńcu z róż, stosownie do mody, przepisanej w tym względzie dla frajbitarów.

Nazajutrz, gdy strażnik celę otworzył — nie znalazł nikogo.

Na ścianie pobielanej widniał jedynie napis, świeżo skreślony czerwoną kredą:

„CruX Christi Corona Christianorum“.

Jednocześnie przybieżono z portu z wiadomością, że statek korsarski, wraz z uwięzionymi na

nim frajbiterami, znikł w nocy bez śladu — pomimo, że go grube łańcuchy przytrzymały. Straż pilnującą więźniów znaleziono o świcie na wybrzeżu, napół nieprzytomną i skępowaną temiż samemi pętami, które mieli na sobie korsarze.

Cały Gdańsk był tem zdarzeniem do głębi przejęty — nikogo jednak ono nie wzruszyło tak silnie, jak młodego Dąbka...

Krzyś rozważał pilnie najdrobniejsze szczegóły wypadku — nagle błysnęła mu myśl, od której zdrzął cały...

Korsarz-kaznodzieja miał głos człowieka, który porwał Hanusię.

Co więcej, i z twarzy był mu podobny.

Ale tamten był hiszpan czarnowłosa, ten zaś rudy szwed. Tamten przytem starszy się zdawał...

Tkwiło w tem coś szatańskiego.

— Boże! — myślał Krzyś z rozpaczą — czyżby dziecie Dorotki wpadło w szpony złego ducha?...

Żalść jego granic nie miała.

.

Piotr Dąbek z nadzwyczajnem zajęciem czytał list brata, obszernie i szczególowo całą sprawę przedstawiający. Czytanie tak go pochłoneło, że nie słyszał ani rozgłosnej muzyki dzwonów, ani hałasu kapeli janczarskiej, ani wrzasku tłumów, do szału doprowadzonych widowiskiem..

XVI.

A widowisko było nadzwyczajne.

Podobnego już nigdy potem Warszawa nie widziała, nigdy też już z pewnością widzieć nie będzie.

Wśród żółtej, złocistej od słońca kurzawy, posuwało się szłapią kilka tysięcy jeźdźców, a każdy inaczej wyglądał, inaczej był odziany i uzbrojony.

I między końmi panowała rozmaitość. Miałaś tu wszelkie rasy i wszelkie maście. Były konie kare, przemieszane żałobnie z białymi; były gniade, skarogniade, jabłkowate, płowe, siwe, bułane, myszate, wilczate, srokate, pstrokate, szpakowate; były kasztany, deresze, taranty; były ukraińskie, tureckie, ruskie, arabskie, mołdawskie; były ogry płomienne i dychawiczne marchy; była końska arystokracja i plebs koński; były z ogonami długimi, krótkimi i zgoła bez ogonów; były z szerścią gładką i kędzierzawą, z nogami suchymi i kosmatymi, wysokie, jak wielbłądy i poziome, jak jamniki.

Rzędy na koniach błyszcząły srebrem i mosiądzem, były skórzane i parciane — nierzadko ze sztucznej kombinacji postronka i łyka. Kulbaki przeważnie wysokie; na czaprakach przeróżne kolory i przeróżny materiał: aksamit karmazynowy i szara ścierka, złotogłów i łachman pstry. Gdzieś tam mieniła się w słońcu barwami gorącymi skóra lwia lub lamparcia.

Jeźdźcy byli bez zbroi, w samych kaftanach lub burkach kosmatych, z jednego ramienia spadających, w skórzniach wysokich, po kolana i za kolana; ze srebrnymi i żelaznymi ostrogami; ubrani kuso lub w długich deliach z podpiętymi połami.

Na czapkach, bez wyjątku futrem oszytych, widniały próbki wszelkiego wlosia, jakim przyroda okrywa dzikie i domowe zwierzęta. Były oszywki z soboli, baranów, wilków, psów, wyder, lisów, rosomaków, zajęcy, kotów dzikich i swojskich. Niektórzy zawieszali jeszcze wierzchowcom u szyi ogony końskie lub lisie, a znalazł się i taki, co swego ru-

maka przystroił w „sorok“ soboli, czyli w czterdzieści skórek sobolowych, niemal na wagę złota podówczas płaconych.

Wierzchy czapek były z sukna kolorowego: zielone, żółte, karmazynowe, błękitne.

Cóż mówić o uzbrojeniu! Wszyscy mieli łuki i pełne strzał sajdaki; wszystkim z poza uszów sterczały długie rohatyny; poza tem, każdy zaopatrzył się, w co chciał i zdołał.

U jednych, o chude boki koni tłukły się sążniste koncerze; innym wisały u pasa krzywe karabale lub tureckie, półkoliste, szersze u końca szable. Ci mieli pistolety, tamci strzelby krótkie, owi ciężkie muszkiety. Kordy, jatagany, sztylety oraz toporki usarskie i czekany nierzadko się spotykały.

To wojsko, postanowiwszy być nieregularnem, o tem postanowieniu jak najskrupulatniej pamiętało. Nie było w niem żadnej reguły, żadnego prawidła. Zbrojna czereda — koło sześciu tysięcy ludzi, różnego wieku i stanu, choć najzupełniej jednakowego temperamentu — znała tylko dwa hasła: „Bij!“ oraz „Chwytaj!“

Biliż i chwyтали bez litości! Każdy prawą ręką mordował, lewą grabił. Doówczas wiedziały o tem tylko: Północ i Wschód Europy; niebawem miało to być wiadome także i Zachodowi.

Przy biciu dzwonów, przy muzyce i krzykach ogłuszających, posuwał się ten hufiec osobliwy, pół-bohaterski, pół-arlekiński, mieniając się tysiącem barw i blasków, niby wąż egzotyczny, potworny, o tysiącu coraz inaczej znaczonych kłębów.

Na czele hufca jechał Lisowski. Był to Américo tej lekkiej jazdy, która od niego wzięła nazwę, choć swego Kolumba miała w Chodkiewiczu.

Szlachcic z Litwy, rycerz z rycerzów, rębacz

zawołany, rokoszanin, po Guzowie na stronę królewską przeciągniony, nie był z pewnością jedynym, ale był w danej chwili najlepszym, jakiego Rzeczpospolita mogła na czele takiego wojska postawić.

Dość było spojrzeć nań...

Na czarnym turczyńce jechał — sam czarny, wielki a wychudły, z obwisłemi wąsiskami, ze wzrokiem ponurym, z licem wyrażającym dziką, zajądłą, w jednym uczuciu zestrzeloną energię.

Ubiór miał prosty, niedbale włożony. Z pod lekkiej, rozwianej burki wychylał się żółty, dość brudny kolet, zapinany na drobne guziki, srebrne, może cynowe. Buty z żółto-czerwonej, nieczernionej skóry, na sprzążki pod kolanami ściągnięte, pokrywał kurz i zeschnięte błoto. Czapka z opuszką futrzaną była wypłowiała od słońca i deszczu.

Ale u wypłowiałej czapki wiewało wspaniałe pióro czaple; ale przy brudnym kolecie błyszcząły nabijane złotem pistolety; ale wytarta burka była spięta szafirem przedziwnej piękności, „na dwa palce wielkim“, z korony Dymitrowej...

Ten szafir ceniono na dziesięć tysięcy ówczesnych moskiewskich rubli.

Lewą ręką wsparł się Lisowski pod bok; w prawej trzymał opuszczoną ku dołowi szablę turecką, której klinga, jak szkło błyszcząca, i główica brylantami sadzona, snopy iskier rzucały...

Ale wódz zabijaków miał inne jeszcze klejnoty, w oczach ludzi ówczesnych cenniejsze od brylantów i szafirów. Pierwszy z nich: ucho lewe, do połowy urwane strzałą Ananiasza Selewina; drugi: biodro, przerąbane szablą Nikifora Szyłowa; trzeci: straszna blizna na lewej skroni, przeorana kulą Teneniona, diaka z Troickiego Monastynu...

Pomiędzy sześcioma tysiącami „straceńców“

nie było z pewnością jednego, któryby takich klejnotów nie posiadał i na pokaz nie wystawiał.

Gdy hufiec znalazł się na Przedmieściu Krakowskiem, blizki huk dzwonów i krzyki wiwatowe podnieciły junaków. Jedni, dobywszy pistoletów, strzelali w powietrze; inni wypuszczali strzały z luków tak celnie, że im pod kopyta koni ostrzem w dół spadały; jeszcze inni, stawając na siodle, cisnęli w górę spisy i ręką chwyтали spadające.

Był wszakże jeden, dumny nad miarę i nad miarę obojętny, co zapalu powszechnego nie dzielił.

Koń pod tym jeźdźcem drżał i targał się — nieprzywykły do spokojnego, miarowego chodu. Tego konia nie powstydziliby się sultan, ale i na nim znac było życia wichrowate, niewywczas, częste kosztowanie głodu, chłodu, ostrogi i „nahajki“.

Jeździec był młodzian dwudziestopięcioletni, suchy, jakby w ogniu osmolony. Na chudej, śniadej twarzy czerniały oczy niewielkie, lecz wyraziste i nadzwyczaj ruchliwe. Mały wąs był nastroszony, aby się większym wydawał; twarz śniada, wychudła, koścista, tchnęła dzikością.

Gdy hufiec zbliżał się ku Bernardynom, na tego jeźdźca padły oczy Grety. Padły i w twarzy jego utkwily. Rozszerzyło je najpierw zdziwienie; potem wyjrzał z nich przestrach; wreszcie zabyły wściekłością.

Dziewczyna zapomniała o zakrywającym ją szalu. Końce szala z rąk wypuszczone odwinał wiatr, odsłaniając twarz, która była kredowo biała, tragiczna, prawie straszna...

W tej chwili dojrzał tę twarz jeździec. A jak zahaczają się rogi walczących jeleni, albo zęby dwóch kotwic z przeciwnej strony ciągnionych, tak

oczy junaka i oczy dziewczyny wzajem o siebie zahaczyły.

Bóg wie, co w owem zahaczeniu mówiły sobie te oczy — z pewnością jednak nie były to wynurzenia miłosne. Twarz Grety coraz bardziej bladła; twarz jeźdźca stawała się ciemno-purpurowa.

Na tę rozmowę oczów nie zwrócił uwagi nikt z tłumu i nikt z rycerstwa. Ale dojrzał ją ten, kogo rycerstwo i tłum nie obchodziły: żebrak z pod Bernardynów.

Oczy kołtuniastego olbrzyma na krzywych nogach, podobne zbójom zaczajonym za krzakami, z nikim nie zawiązały rozmowy. Przebiegały szybko z twarzy młodzieńca na twarz dziewczyny i wiodły tajemny, ponury monolog...

Trwało to może minutę — poczem, w jednej prawie chwili, rozegrała się scena gwałtowna, straszna.

Ognisty wierzchowiec lisowczyka wyrwał się nagle z szeregu i popędził galopem wprost na Gretę.

W tejsze chwili żebrak, rzucając miseczkę z szelągami, skoczył naprzeciw jeźdźca.

Potężna pałka gwizdnęła nad głową lisowczyka w tym właśnie momencie, gdy rozhukany turczyn miał już roztratować dziewczynę.

Koń, gwałtownie w tył szarpnięty, stanął dęba—leb jego wszakże zdążył już potraścić Gretę, która padła wznak, raniąc głowę o kamień przydrożny.

Turczyn, okryty pianą, dyszący, z bokami skłótemi ostrogą, powrócił, rżąc i prychając, do szeregu. Zemdloną dziewczynę podniósł żebrak. Ostrożnie, czule, prawie pieśczośliwie uniósł ją lewą ręką i głowę jej oparł o swe ramię, jak czyni matka z chorem dzieckiem.

Kilkoro ludzi, mniej zaczarowanych widowiskiem, przybiegło, ofarowując pomoc. Olbrzym

wszystkich odepchnął, i tuląc do siebie nieprzytomną ormiankę, z tłumu się wymknął.

Określił chyłkiem mury klasztorne, i, kroku przyspieszając, wpadł w sieć uliczek, opłotków, drożyn, gęsto krzyżujących się na ówczesnem Powiślu.

Zraniona skroń dziewczyny broczyła krwią, która kroplami koralowemu na czarnych włosach osiadała. Żebrak, z obłądnym uśmiechem na brzydkiej, opryszkowej twarzy, krwawe krople z włosów zcałowywał.

Mruczał przytem, jak niedźwiedź, dobierający się do barci.

Świeży wiatr od Wisły owionął zemdloną. Drgnęła — otworzyła oczy. Ujrawszy nad sobą straszną twarz zbója, zaczęła krzyczeć, wrywać się...

On silniej ją przycisnął, wykrzywiając usta w szerokim, ohydny uśmiechu. Biegł teraz pędem, unosząc zdobycz do obmyślonej zawczasu kryjówki. Krzyki dziewczyny brzmiały coraz słabiej: przydużała je opończa dziadowska, zatykająca jej usta.

Nagle olbrzym zachwiał się—bezwiedny skurcz mięśni wyprostował mu rękę. Wypuścił ofiarę, za bok się chwycił...

Greta, uczuwszy ziemię pod stopami, rzuciła się do ucieczki. Trwoga i wstręt sił jej dodały: mimo osłabienia, pędziła jak wiatr.

W dłoni uciekającej błyszczało ostrze długiego sztyletu. Nie teraz go wydobyła: miała broń w ręce już wówczas, gdy rozhukany koń lisowczyka sięgał kopytami jej piersi.

Zraniony olbrzym zdążyć za nią nie mógł. Stał w miejscu, odzież na sobie rozrywał, kłął.

— Psico!... kłasasz?... Bodajesz sparszała!... Śmierć tobie i jemu!... Niech wam trąd wyżre ciało do kości!...

Przekonał się, że rana nie groźna, choć silnie krwawiąca. Ostrze nie przeszło w głąb—po żebrach się zesunęło.

Nogi rozkraczył, pałkę wznosił do góry, okręcił nią młyńca dokoła głowy — z wielkim rozmachem rzucił za uciekającą.

Rozmach był zbyt wielki — i to ocaliło dziewczynę. Pałka przeleciała nad jej głową—padła o kilka kroków dalej, podnosząc kurz na drodze.

— Porwanaś dyabłu!—zaklął żebrak. — A wždy moja być musisz... Sam bies mi ciebie w pazury napędzi!...

Polazł, utykając, po swą pałkę. Greta zniknęła na drodze, wiodącej w górę, ku przedmieściu.

Żadnego świadka ta scena nie miała.

W tej chwili właśnie pierwsze szeregi lisowczyków — gdzie paradował i junak z latającymi oczyma, na rwącym wędzidła turczynie — wkraczały tryumfalnie w Bramę Krakowką.

Witała je grzmiąca fanfara trąb i kotłów — kłaniali się im hetmani, jako bohaterom...

XVII.

Od pewnego czasu pies poety Quercusa, zwykle bardzo cichy, po nocach szczekiwał i wył. Co dziwniejsze, objawiał niepokój i w dzień, przerywając sobie często drzemkę na ganku, wybiegając na drogę, węsząc, skomlać, naszczekując.

Poeta porzucił księgi, do okna szedł, wyglądał—nic podejrzanego dostrzedz nie mógł. Uliczką mało kto przechodził, najczęściej znajomi sadownicy z Powiśla albo dziady żebrzące.

Ostatni musieli tu być zjawiskiem zwykłym,

skoro od nich nawet uliczkę przezwano Dziadowską. A jednak teraz, ich to właśnie lachmany działały na psa drażniąco. Każdego okrażał, wietrzył i milczkiem, jakby na próbę, zębami za nogę chwycił.

Na jednym dziadzie poszarpał raz całą oponę. Co prawda, ten dziad podrażnił go, wygrażając pałąką sękatą. Wyglądał przytem obco, niepokojąco.

Poeta przywołał żebraka, szkodę mu wynagrodził. A że lubił z ludźmi prostymi gawędzić, wdał się w rozmowę, o imię zapytał.

— Matyja... — mruknął dziad niechętnie.

Znaczyło to tyleż, co Mateusz.

Ale baba, co to słyszała, odkryła później, że on „wabi się nie Matyja, jeno — Kołtun“.

Matyja-Kołtun, nawet przy protekcji pana domu, nie zdołał pozyskać łaski jego psa. Nie pomogła i wydobyta z torby kielbasa: pies nawet powąchać jej nie raczył. Spędzany z ganku, schował się za płot i stamtąd oszczeniwał żebraka bez odpoczynku, do zachrypnięcia..

Czynił to pewnie dlatego, że był przyjacielem Greta i wroga jej odgadł instynktem.

Dziewczyna z trudnością powracała do zdrowia. Rana jej była powierzchowna i rychło się zagoiła, ale wstrząśnienia moralne silnie nadwerżyły nerwy. Miewała częste napady gorączki, maligny; nawiedzały ją wizje naprzemian miłe i straszne. To w miłośnym obłędzie okrywała kogoś pocałunkami, to w szale nienawiści wbijała mu w serce sztylet, zanosząc się śmiechem spazmatycznym.

Szczegółów zdarzenia Quercus nie znał. Greta powiedziała mu tylko, że znalazła się „wypadkiem“ przed rozbieganym koniem lisowczyka, że ten koń przewrócił ją, a ona, upadając, zraniła się w głowę.

Kołtun krążył w pobliżu ormianki, jak szatan

dokoła upatrzonej duszy. Czatował na jej wyzdrowienie, na spotkanie się z nią — Bóg wie, jakie zamiary knuł w swym łbie kudłatym.

Jednocześnie miał oko zwrócone na lisowczyka. Młodzian rycerski i powabna dziewczyna ciągnęli go do siebie w równym stopniu, choć nie z jednakich powodów.

Z junakiem z pod chorągwi Lisowskiego miał do załatwienia rachunki dawne, sięgające jeszcze wielkiego pożaru w Starej Warszawie. Choć go widział wówczas raz tylko jeden i o sześć lat młodszego, zawsze on wyrył mu się w pamięci.

Nie zapomina się do śmierci człowieka, przez którego na całe życie zostało się kaleką...

Kołtuna rzadko teraz widywano pod kościołami i na cmentarzach. Nie wyruszał nawet na najbliższe odpusty.

Po dniach całych kudłaty olbrzym włóczył się po Starej i Nowej Warszawie, okryty podartą, do kostek długą opończą, z głową tak bardzo wtuloną w ramiona, z kapturem tak nisko nasuniętym na oczy, że mu twarzy zgoła widać nie było. Wydawał się chodzącą kupą łachmanów.

Zawodu swego nie rzucił, ale go uprawiał w miejscach niezwykłych. Wieczorami, niekiedy i za dnia, widywano go żebrzącego w pobliżu „gospód” najbardziej hulaszczycy, gdzie zbierało się rycerstwo na grę, taniec, miłostki i pijatykę.

Tam on szukał swego junaka, aby z nim rachunki załatwić.

Ale myliłby się, kto by sądził, że mu szło o zemstę. Dawniej, często i długo o niej przemuśliwał; teraz całkowicie została z jego rachunku wymazana.

Kołtun był człek namiętny, lecz przytem myśliciel. Nałogu myślicielskiego nabrał w ciągu sześciu

lat ostatnich. Podczas długich, samotnych godzin, w kruchcie kościelnej, u wrót cmentarza, pomiędzy mogiłami, zastanawiał się głęboko nad mnóstwem spraw, niegdyś zupełnie mu obojętnych.

Najzwyklejszym przedmiotem tych rozważań był stosunek chama do mieszczanina i szlachcica.

Ten przedmiot czyniła dlań żywotnym okoliczność, że, będąc chamem, śmiał raz przez chwilę pożądać mieszczyki stanu kupieckiego i że od szlachcica otrzymał pchnięcie szabli, które go pozbawiło władzy w prawej ręce i na zebranię skazało.

Pierwsze poczytywał sobie za grzech — nie za śmiertelny wszakże. Wiedział, że chama i od mieszczan dzieli przepaść, lecz po namyśle przyszedł do przekonania, że tę przepaść można przeleźć lub przeskoczyć. Mieszczankowie nie święci. Alboż nie poniewierała ich szlachta w jego oczach z zupełną bezkarnością?

Co innego oni, wybrani, nietykalni, co w „chatach“ chadzają, szablami iskry z bruku krzeszą, innych potracają, biją, zabijają. na samego króla rwą się, a sami nikomu, nawet marszałkowi, wziąć się nie dadzą!

W młodości służył u jednego z nich za psiarka, Dotąd w myślach widzi go zawsze otoczonego glorią, jak świętych w kościele. Bity był przezeń, głodzony, kopany, opluwany, płazowany szablą—gniewu jednak przeciw niemu nigdy w sercu nie poczuł—poczuć nie śmiał... Całował jego stopy z tem samym uczuciem, co stopy kamiennej „figury“ przy drogach rozstajnych.

Kołtun wierzył w Boga. Ten Bóg był w jego pojęciu rodzajem króla, ale króla samowładcy, który obywa się bez senatu, bez hetmanów, bez marszałków, wszystkiem zarządza osobiście, a co raz posta-

nowi, to już na wieki wieków trwać musi niewzruszenie. Bóg oddał chłama w moc i na pastwę szlachcicowi — występować przeciw temu byłoby takim samym głupstwem, jak bronić orłu, by nie gnębił drobiazgu ptasiego.

Jeśli oczy Kołtuna i wielu jego braci były zapadnięte głęboko, podobne bliznom krwawym albo wązkim, zaledwie rozemkniętym szparom, to i to wynikało z rozumnych wyroków Boga. Te oczy, szeroko otwarte i śmiało przed się patrzące, musiałyby oślepnąć od słonecznej jasności „szlachetnie urodzonych“.

A jednak — po dwakroć w swem życiu ośmielił się Kołtun podnieść rękę na słońce...

Raz pierwszy — podczas pożaru w kramie ormianina, gdy go zaślepiła chuć cielesna i pożądliwość bogactw. Raz drugi — gdy rzucił się ku obronie zagrożonej śmiercią dziewczyny.

Kołtun nie czekał, aż o tych czynach zawyrokuje sady ziemskie. Przed trybunałem własnego serca osądził siebie i — potępił.

Pierwszą zbrodnię odpokutował. Spadła nań kara doraźna i ciężka. Sam Bóg pokierował wówczas szablą szlachcica.

Zbrodnia druga czekała dopiero na zadośćuczynienie.

A zatem: w „rachunkach“ ze szlachcicem na zemstę miejsca nie było. Nie myślał też o niej olbrzym, choć do roli mściciela nie brakło mu warunków.

Ale sprawa posiadała inną jeszcze stronę. U owego pogańskiego kupca - bogacza stała się Kołtunowi krzywda. Zabrano nędzarzowi łup, który z prawa mu się należał.

Tak, z prawa... bo kraść nie jest rzecz szla-

checka. To przywilej chamów. Wyzutym ze wszystkiego musiało społeczeństwo przyznać choć to jedno skromne wynagrodzenie. Toć nawet psom na polowaniu daje się „odprawę“.

Nedzarzowi zabrano przedewszystkiem dziewczkę, którą trzymał już w pazurach. Ale o nią tymczasem mniejsza. Służyło jej w owej chwili prawo wyboru. Wybrała tamtego — bies z nią! Przwidzie czas, że smak zmienić zechce, lub zmienić będzie musiała.

Inna rzecz z czerwieńcami. Te wybierać sobie pana nie mogą. Zabiera je, kto ma do tego prawo. A prawo służyło wówczas tylko jemu — Kołtunowi.

Wiec żebrak polował teraz na szlachcica w dwóch wyraźnie określonych celach. Naipierw: po to, aby upaść mu do nóg, ucałować obuwie i otrzymać zastużone kopniecie. Następnie: aby upomnieć się o należną „odprawę“.

Polował ostrożnie — śledząc naipierw „zwierzyne“ z daleka, badając jej zwyczaje i nawyki, upatrując, gdzie ma stałe legowisko, a gdzie kryjówki przygodne...

Kołtun nie był świadom rzemiosła rycerskiego — za to w złodziejskim miał dużo wiadomości i doświadczenia. Dzięki temu, dorozumiał się, że już na czerwieńce wiele liczyć nie może. Okrągłe — w świat się potoczyły...

Ale skarb garbenosego ormianina nie z samych czerwieńców się składał. Należała doń pewna szkatuła, klejnotami nadziana, której zawartość już dawno opryszki zwąchali.

Ta szkatuła zniknęła z kramu razem z młodym szlachcicem i siostrzanką kupca. Poszła w głąb, i nic z niej dotąd na wierzch nie wypłynęło.

Kołtun, kombinując zebrane w ostatnich dniach

sposprzeżenia, przyszedł do wniosku, że ta szkatuła znajduje się gdzieś dotąd ukryta i nienapoczęta.

Ale gdzie?..

XVIII.

Noc była wietrzna, ponura. Warszawę zalewała ciemność. Chwilami tylko, przez szczeliny ciemnych, popękanych chmur, wyzierał księżyc i rzucał srebrną błyskawicę na białe, szare i czerwone mury śpiącego miasta.

Nie całe jednak miasto spało. Tu i owdzie było słyhać krzyki pijackie, śpiew przerywany czkawką, szczęk szabel i czekanów — nawet jęki ranionych.

To zabawiali się — bohaterowie.

Obok gwałtowników warty przechodziły milczące, bezradne. Żołnierstwo, wojną rozbestwione, za nic miało karność marszałkowską i magistracką. Lisowczyki w stolicy własnego kraju poczynali sobie, jak w grodzie nieprzyjacielskim.

Gdy w początkach dowódca straży przypomniał któremu artykuły marszałkowskie, słyszał w odpowiedzi:

— Milcz! za mną chodzi siedm tysięcy.

Te „siedm tysięcy“ poszły w przysłowie. Drżeli przed nimi mieszczanie — nie ze wszystkim i dwór królewski im dowierzał.

Do tego doszło, że lisowczyk w zwadzie pijackiej zabił na ulicy drabanta królewskiego. Choć to było podczas sejmu i pod bokiem króla, płazem zbrodnię puszczono.

„Mieliśmy wszelką wolność—zapisał o tych czasach Maskiewicz. — W nocy, o północy zbroić co,

posiec, zabić wolno. Nikt nie śmiał słowa rzec. Warty mimo idą, nie rzekną nic — jakby nie widzieli“...

Bramy miejskie zamykano wieczorami dla formy tylko. Przez całą noc stał w pogotowiu pacholek z kluczem w ręce, aby na każde zażądanie wpuścić lub wypuścić pijanego junaka. Zwykle przy tem obrywał po łbie lub po plecach...

Owej nocy było najtłumniej i najweselej w gospodzie „Pod Fladrą“. Znajdowała się ta gospoda za Bramą Nowomiejską, przy ulicy Błońskiej — która z czasem miała nazywać się Długą.

Zabawa przeciągnęła się za północ. Już niejednokrotnie były w robocie kordy i szable; już niejednego towarzysza wywiedziono na podwórze i tam ogolony, kurzący się łeb wodą z cebra mu zlewano; już niejeden ze szramą krwawą na gębie wyleciał oknem, do drzwi trafić nie mogąc...

Istne piekło wrzało w niskich, belkowanych izbach. Drewniany dwór trzął się, jakby miał się rozpaść lub w powietrze wylecieć. Szparami okienic buchała z wnętrza para.

Wiatr, który na niebrukowanej ulicy podnosił tumany kurzu, targał za węglem wysoką, nieruchomą, do ściany przylepioną kupę łachmanów. Targał od kilku godzin, jakby probując: czy się też pod łachmanami co żywego ukrywa?

O pierwszej z północkska gospoda opróżnić się zaczęła. Dopieroż na ulicy zawrzało, zakipiało! Zupełnie jakby krater wulkanu pękł i lawa zeń wytrysła.

Jedni bili się, inni całowali; ten śpiewał, tamten kłał, ów odmawiał w głos pacierze łacińskie. Niektórzy wyciągali przemocą z gospody dziewczki, po-przebierane dziwacznie za tureczynki, szwedki, kozaczki.

Powoli ten cały rozgardyasz wsiąkał w mrok, przycichał, niknął...

Gdy już ulica opróżniła się i krzyki ustały, z gospody „Pod Flądrami“ wyszedł ostatni biesiadnik: Konrad Zboiński.

Wyszedł ostro, z głową do góry, krokiem tak sztywnym, jakby nosił nagolenniki stalowe. Trunek zamraczał go i osłabiał — on opierał mu się po rycersku.

Był zły, jak szatan. Dziś właśnie dojrzał dno swej kieski, którą przywiózł szczelnie nabitą. A jak na złość, miał owej nocy pragnienie szalone i musiał ostatnich kubków dopijać na kredę.

Zgrał się przytem w kostki, a jedna z dziewczek, która mu dotąd stale sprzyjała, przeniosła swe afekty na innego.

Rywalowi wybił zęb, dziewczce dał po gębie, szkła i farfuru natłukł co niemiara. Zasiadzał się najdłużej, bo musiał z gospodynią czynić rozrachunek, dawać jej w zastaw sygnet ze szmaragdem, a dziewczkę łagodzić obietnicą złotych maneli i pereł na szyję.

Skonfundowany, zadłużony, z cierpkim obrzaskiem na języku, z sińcem potężnym pod lewem okiem, myślał teraz o tem tylko, że trzeba, bez mitregi, iść po owe perły i manele, a zarazem zaczerpnąć innych klejnotów, by na dalszą hulankę starczyło.

Byleby tylko do skarbu swego trafił! byle kto inny nie uprzedził go w czerpaniu!

Poprawił kołpaczka, burkę przesunął z ramienia na ramię. Pomaszerował prosto ku Wiśle ulicą, którą jedni zwali Mostową, bo wiodła do mostu, drudzy Łazarzową, bo przy niej ksiądz Skarga szpital świętego Łazarza zbudował.

Zaledwie ruszył z miejsca, oderwała się od ściany kupa łachmanów i w ślad za nim potoczyła.

Rycerz i żebrak stanęli prawie jednocześnie nad rzeką.

Wisła była wzburzona, pienista; o brzeg tłukły się z łoskotem czółna, targane przez fale. Szczelinami chmur księżyc rzadko wyblyskał; światło jego, drasnawszy po wierzchu pobrużdżoną wodę, szybko gasło, ustępując miejsca zupełnej ciemności.

Wisła płynęła łożyskiem o wiele szerszem i głębszem, niż dziś. Bystrzejsza też była i bardziej szumna. Puszczając się na nią w taką porę, w licho skleconem czółenku, nie należało do rzeczy bezpiecznych.

Lisowczyk drwił z niebezpieczeństw. Szybko odszukał wiosło, łódź odczepił i choć pijany, ruszył prosto do Kępy Polkowskiej.

Gdy już był na środku, od brzegu odbiło cicho inne czółenko, w którym siedział żebrak. Ciemność zakrywała go przed oczami rycerza. Położył się na dnie, skurczył — wśród fal wzburzonych i on i jego stateczek stali się prawie niewidzialni...

Obaj przebyli rzekę szczęśliwie. Wylądował Wichura pod krzywą wierzbą, wyskoczył, czółno wciągnął między wiklinę. O kilkadziesiąt kroków stamtąd uczynił toż samo Kołtun.

Potem obaj stanęli w miejscu, czekając na księżyc. Rycerzowi światło było potrzebne, aby dojrzeć drogę; żebrakowi — aby dojrzeć rycerza.

Błyskawica księżycowa mignęła — oni poszli w głąb kępy.

XIX.

W pijanych rozum zasypia — budzi się instynkt. Instynkt prowadził Wichurę ledwie znacznymi przesmykami, nie dopuszczając, aby wykłuł oko gałęzią,

przewalił się o drzewo wywrócone, wpadł do dołu zasypanego zeszlęmi liśćmi.

Kołtun, korzystając z ciemności, gęstwiny i szumu drzew, posuwał się o kilka kroków zaledwie za nim.

Zmitrężyli niemało czasu, zanim dotarli do rudery. Stała w swoim miejscu, bardziej tylko pochylona, nęczniejsza jeszcze i jakby w ziemię zasunięta.

Gdyby Wichura był zdolny w tej chwili do rozumowania, musiałby zadać sobie pytanie:—Kto wzmacnia i podpira tę kupę spróchniałych desek, krokwi, gontów, że się dotąd całkowicie nie rozsypała?

Nie pomyślał o tem rycerz — nie pomyślał i że-brak. Pierwszemu zanadto szumiało w głowie wino; drugi trzął się i zębami szczekał — ze strachu.

Olbrzym, choć jednoręki, nie uląkłby się wilka, niedźwiedzia, rysia — przerażała go ciemność kąta odludnego, połączona zę świstem wichru, z porykiem fal wzburzonych. Jak każde dziecko ludu, był przesądny. Wierzył w strachy, upiory, strzygi, wilkołaki. O Kępie Polkowskiej słyszał wielokrotnie, że jest siedliskiem topielców.

Ile razy łachmany jego zaczepiły o gałąź wystającą, wyobrażał sobie, że go chwyta topielec, — i lodowaciał.

A nie tylko topielcy gościli w tych zaroślach, unikanych nawet przez flisów i rybaków. Ucztowali tu także nocami „umarłaki“—ofiary ostatniej zarazy morowej, zabrane przez nią z pomiędzy tych właśnie drzew i krzaków.

W chwili, gdy zbliżali się do rudery, zrobiła się w chmurze szeroka szczelina. Na dłuższą chwilę wyjrzało przez nią bezrżęse oko księżyca.

Mdle, oparami wędnemi zmatowane światło oblało szczątki drewnianej budy.

Obrastały ją dokoła bujne, gęste chwasty. W jednym wszakże miejscu chwastów nie było: przy otworze, pozostałym po drzwiach od dawna wypadłych.

Wichura głowę rozpaloną odkrył—długo ją chłodził na wietrze. Czuł, że mu teraz potrzebna cała przytomność umysłu. Dobył szabli, zrobił nią krzyż w powietrzu; pochylił się — wszedł do środka.

Czatujący za pobliskiem drzewem Koltun wypadł z kryjówki — jednym skokiem znalazł się przy rudery. Wielkie cielsko rozciągnął na trawie, oko do szpary przyłożył — patrzył.

Co zamierzał uczynić?

Zabrać skarb ormianina, jako należną sobie własność.

Żadna z prawd tego świata nie przedstawiała mu się tak wyraźnie, jak ta, iż rzecz kradziona przypada z prawa — złodziejowi.

Nie wątpił, że szlachcic będzie bronił łupu. Cóż wówczas? Odbierze go za jakąbądź cenę. Jeśli będą go bili — zniesie bicie; jeśli otrzyma ranę — ból wycierpi; jeśli zostanie zabity...

Pod ostatnim względem był na swój sposób fatalistą. Wierzył, że bez „dekretu“ boskiego włos z głowy niczyjej nie spadnie. O życie przeto trwogi żadnej nie czuł.

Przejęty do głębi myślą, że mu na szlachcica ręki podnieść nie wolno, nawet kostura nie wziął ze sobą.

Rozstąpiły się chmury; księżyc zaświecił pełną twarzą. Przez dziurawy dach rudery strugi blasku lały się do wnętrza. Żebak mógł widzieć dokładnie, co się tam dzieje.

Powtórzyła się z zadziwiającą wiernością scena z przed lat sześciu.

Wejście Wichury zbudziło w pustkowiu popłoch. Ozwały się piski, jęki, łomot skrzydeł, szelest łap,

stukanie dziobów. Chmara ptactwa wyleciała wszystkimi otworami; małe zwierzątka, igrające przed chwilą w blasku księżycowym, pochowały się szybko w nory.

I tak samo, jak wówczas, z kąta podniósł się cień wielki, biały, przerażający swym ogromem wśród tego światka istot maleńkich. Na czworakach, z pośpiechem wielkim, poskoczył do otworu w ścianie przeciwległej, błysnął w księżycu białością wielką—wyślizgnął się. Potem urósł bardziej jeszcze, stał się dwunożnym i — zniknął w zaroślach.

Kołtun zadygotał. Drżącą ręką wyciągnął z pod opończy szkaplerze — bełkotać jął słowa modlitwy.

Instykt powiódł Wichurę do właściwego kąta. Nie rosły tam już chwasty; leżały tylko liście suche. Stopą liście rozgarnął — szablę wbijał w ziemię, próbując.

Za trzecim pchnięciem poczuł przedmiot twardy.

— Hura! — krzyknął pełną piersią.

— Hura!... hura!... — powtórzyły żalobnie echa pustkowie.

Czapkę i burkę zrzucił, bo mu zawadzały; rękawy zatoczył; zabrał się do kopania.

Szło mu niesporo — ile, że miał rękę trunkiem osłabioną i że posługiwał się szablą, narzędziem zgoła do tej roboty niesposobnem.

Kołtunowi iskrzyły się oczy, pierś dyszała. Drażniła go powolność roboty; chętnie pomógłby był szlachcicowi w kopaniu.

Nie mogąc sięgnąć wzrokiem do wnętrza ziemi, opatrywał ciekawie wnętrze rudery. Dojrzał rzeczy niespodziane: na ścianach sieci rybackie, w jednym kącie posłanie z mchu, w drugim wędy, sznury, łuki, oście. Na środku stało coś na kształt kominka z cegieł poczerniałych...

Przerwał spostrzeżenia, bo właśnie stał zadzwie-
kła o metalowe okucie.

Wichura przestał kopać. Szablę odrzucił, padł
na kolana — obie ręce w skopanej ziemi zanurzył..

Kołtun zrozumiał, że i dla niego przychodzi pora
działania.

Zacisnął wielkie łapy, jakby ich mocy próbował;
dźwigać zaczął z wolna cielsko potężne, oczu od
szpary nie odrywając.

Księżyc pochylił się już ku wschodowi. Stał
nizko na niebie, świecąc patrzącemu prosto w oczy.

Nagle, na krótką chwilę, coś go całkowicie za-
kryło. Po prostu, we wnętrzu budy cień wielki stanął
pomiędzy Kołtunem a księżycem.

Zanim żebrak pojął, co zaszło, stała się rzecz nie-
pojęta. Niepojęta i okropna.

Cień z błyskawiczną szybkością zniżył się i upadł
na klęczącego szlachcica. Upadłszy, spoił się z nim
tak ściśle, że utworzyli jedną całość, jedną bryłę dzi-
waczną.

Ta bryła potoczyła się w tył, potem naprzód.
Następnie rzucać się zaczęła na wszystkie strony,
wydając okropne ryki, wycia, warczenia, charkota-
nia.

Ziemia drżała, jakby od gwałtownych uderzeń
tysiąca stóp podkutych.

Nagle wszystko ucichło.

Bryła rozdwoiła się.

Cień wyprostował się, urósł. Szlachcic leżał na
ziemi nieruchomo, dysząc, rzeżąc. Znać było, że ma
ręce i nogi skrępowane.

Spotniały od strachu Kołtun dzwonił zębami,
mamrocząc litanię do wszystkich Świętych. Mimo

wszystko, patrzył. Siły mu brakło do oderwania oczów od szpary.

Cień, cofając się w głąb, wstąpił w kolumnę blasku księżycowego. Okazał się wówczas starcem wysokim, przerażająco chudym, z długą, mleczno-białą brodą, z włosami również białymi. Te włosy, pusząc się nad czołem i przy skroniach, a na plecy spadając w gęstych, falujących splotach, ujmowały całą głowę w nimbus srebrzysty, świetlany.

Mimo chłodnej nocy, starzec miał na sobie tylko długą do kostek, powrozem przepasaną koszulę; głowa jego była odkryta, stopy bose.

— Topielec!... umarłak!...—jęknął Kołtun, ledwie żywy.

Niewidzialna moc podrzuciła go w górę, na nogi postawiła.

Mieląc w zębach słowa litanii, rzucił się, jak szalony, do ucieczki.

Tymczasem Wichura, całkowicie obezwładniony, zarówno powrozami, jak małmazją i tokajem, leżał, jak kłoda. Nie próbował już szamotać się, nie kłął nawet — rzeżał tylko i skarżył się słabym głosem:

— Łeb pęka... W gardle ogień... Jak pies, zdechne...

Dosłyszał skargę starzec. W milczeniu za próg wyszedł — wrócił po chwili z dzbanem wody.

Ukląkł przy leżącym, dał mu się napić. Szmatę zmaczał, na czoło mu położył.

— Coś ty za człowiek? — szepnął Wichura głosem spokojniejszym. — Mordujesz, potem miłosierdzie czynisz...

— Powiedziano: pragnącego napoisz...

— Co tobie do mnie? do mojego skarbu?...

— Skarb nie twój.

— Jenó czyj?

— Najpierw Ogły, ormianina; potem jego siostrzanki, sieroty...

Oczy Konrada rozszerzyły się, zapłonęły. Wyteżał wolę, aby skupić myśli rozpierzchłe, roztrzęsione...

— Jeno że — ciągnął tamten poważnie — nie masz już Ogły między żywymi... Spalił się... A siostrzanka jego do Wisły skoczyła... w największą głębinę...

— Co za siostrzanka?

— Jaga.

Wichura przymknął oczy. Poczul zimno w krzyżu.

— To jakże? — z bólem głowy myślał. — Jaga poszła na dno i Jagę koń roztratował?... Więc chyba wówczas, na przedmieściu, nie Jaga stała?... Ale jeśli nie Jaga, to któż?...

Otworzył szeroko oczy — sam siebie głośno zapytał:

— Dusza Jagi?...

Wzdrygnął się.

— Widziałeś, jak tonęła? — spytał głosem drżącym.

— Widziałem. I ciebiem widział, jakieś skarb zakopywał.

— Widziałeś i... nie wziąłeś?

Starzec wzruszył ramionami pogardliwie.

— A mnie co po tem!

— Więc czemu mnie wziąć go bronisz?

— Bo nie twoje.

— Tamci pomarli...

Stary głową pokręcił.

— Pomarli abo i nie pomarli... Prawda, że Ogła na popiół zetlał, ale Jaga...

— Cóż Jaga?

— Żyje.

Wichurze w głowie się mąciło. Leżał przez chwilę w milczeniu, jęcząc. Wreszcie wyjąkał niewyraźnie:

— Wzdyć gadałeś, co do Wisły skoczyła?...

— Skoczyła. Alem ją wyciągnął. I potem nie jeden raz jeszcze skakać chciała. Po rękach, po nogach całowała, żebym jej nie bronił. Mówiła, że z grzechem, hańbą i żalem swoim żyć nie wydoła. Trzymać musiałem dziewczkę mocno, bo się rwała, jak szczupak. Dopiero, gdym do sumienia przemówił, pomogło. Jej Bóg, choć grecki, zawsze Bóg.

— Z tobą przecie nie ostała?

— To się wie. Uczyniła spowiedź, jak trzeba; jam jej pokutę wskazał, pobłogosławił... Odeszła w pokoju. Do Lwowa pośpieszyła, do rodziny. O skarbie jej rzekłem; ślubowałem, że strzedz go będę pilnie aż do jej powrotu.

Zamyślił się smutno.

— Cości długo nie widać niebogi... — szepnął.— A mnie już rychło trzeba tam... do swoich!

Wichura mruknął ponuro:

— Ty jej daremnie nie wypatruj, durny staruchu. Już po niej ślad zastygł. Koniem roztratowana.

Starzec spojrział przenikliwie w oczy mówiącego — głową pokręcił...

— To jest nieprawda — spokojnie wyrzekł.

— Samem widział. Za murami to było, wedle Bernardynów.

— Nieprawda... nieprawda... — powtarzał tamten, głową trzęsąc.—Gdyby nie żyła, dawno już byłym przez nią nawiedzony.

— Cóż to? Aza nawiedzają ciebie umarlaki?

Głos Wichury brzmiał drwiąco.

Starzec odrzekł z prostotą nadzwyczajną:

— W każdą noc duszyczki do mnie przychodzą. Do rozświtu nieraz biesiadują z niemi.

I dodał głosem zgoła naturalnym:

— Azaliż wytrwałbym inaczej na takowem od-ludziu!

Wichura chciał wykrzywić się starcowi szyderczo — nie zdołał.

Starzec siedział na kamieniu, oblany światłem księżyca, od stóp do głowy tak biały, jakby ze srebra ulany. Oczy jego już nie były oczami ziemskimi: były to jeziora blasku, błyszczące, mistyczne zwierciadła, z których płynęła jasność niemożliwa do wytrzymania...

Lisowczyk przymknął powieki. Dyabła w naturalnej postaci nie uląkłby się — uczuł trwogę przed świętym. Przypomniwał sobie Troicki Monastyr, w nim promienne, blachami srebrnymi obite wizerunki błogosławionych.

— Coś ty za człowiek?... co za człowiek?... — dopytywał, nie śmiąc patrzeć w twarz starca.

Starzec zaczął mówić, nie zmieniając na chwilę postawy, nie prostując rąk, które miał skrzyżowane na piersiach.

— Człowiek jestem prosty, z prostych najprościejszy. Depókim żył między wami, zwisko moje było: Szczęśliwy. Byłem bogacz: każdy grosz rodził mi dwa; każdy ort, bez nijakiej alchimii, stawał się po czasie dukatem. Miałem żonę poczciwą; miałem pięciu synów, trzy córki. Chłopcy dębczaki; dziewczki lelije. Między zbożem mojem nie trafił się kąkol; między sługami złodziej; między przyjaciółmi zdrajca. Zawiść budziłem. Gadano o mnie:— „Wierę, ten człowiek Pana Boga chwycił za nogi!“...—A ja zaprawdę, nie czułem w sobie wówczas żadnej szczęśliwości, ani żadnego spokoju! I dniem i nocą serce moje drżało. Lękałem się o swoją majątność, o żonę swoją, o dziatki sweje...

Zamilkł na chwilę. Jeśli dotąd twarz jego promieniała nieziemską pogodą, teraz przemieniła się w szczere słońce.

— Potem — mówił dalej — w niewielu dniach Bóg zabrał mi wszystką majątność. Ogień pożarł domy; powódź brogi uniosła; nieurodzaj spustoszył pola; mór wymiółł stajnie, obory, owczarnie. Co pozostało, wydarł bliźni, wystąpiwszy z fałszywym świadectwem. Do miasta ściągnąłem na „burk“. Zwisko moje było teraz: Chudy pachol. A przecie lepiej sypiałem, niż wprzód. Spokojnym był, że mi nikt mizeryi mojej nie zabierze. Zresztą, w głębi duszy nie czułem się jeszcze nędzarzem. Alboż nie miałem żony poczciwej? ośmiorga cudnych dzieciak? Jeszcze i wówczas bywało, że cudze oczy chodzą za mną z nawiścią. Znowum przeto drzeć zaczął o swoje skarby żywe, a każdy frasunek żony, każda niemoc dziecka były nożami, co mi serce krajały... I przyszedł mór srogi, jakiego Korona nasza nie pamiętała. Zachorzały, jedno po drugim, wszystkie dziatki moje, od córusi maleńkiej, co wołała „ojcaszku“, do syna żrzałego, co mówił „panie ojcze“. Zachorzała na końcu i żona, serdeczna połowa duszy mojej, duszna połowa serca mojego. Nie miałem już dukatów, ni ortów, *magistratus* wynieść kazał wszystkich moich za mury, na kępę wiślaną. Poszedłem za nimi i ja, choć mi przystępu wzbraniłi. Bóg miłosierdzie okazał: nie cierpeli długo. A jaką koleją Stwórcy mi je dawał, takąż samą wrychle wszystkie pobrał. Każdemum zamykał oczy; każdegom w giezłeczko śmiertelne ubierał. Na ostatku wziął Bóg i żonę moją: poszła za dziatkami, jak przystoi macierzy. Wszystkich pogrzebłszy, na swoją kolej czekałem. Czekałem na tem samem miejscu, na którem śmierć z ciała je wyzwoliła. Czekałem i czekam. Jak długo trwa to cze-

kanie? ani zgadnąć mogę. Może rok, może dziesięć roków, może sto lat, abo więcej. Dłuży mi się i cknę mi się, a wżdy doczekam się końca. Położyłem ufność swoją w Bogu, Bóg nie opuści duszy mojej. Głęboko jestem wierzący i głęboko spokojny jestem. Pan Bóg zresztą pociechę mi zesłał. Aby ukrócić mękę czekania, pozwolił duszyczkom moim, że mię nawiedzają nocami i krzepią a weselą... I choć nikt mię dziś nie zowie szczęśliwym, jestem nim przecie. Z rzeczy tego świata mam wszystko, co mi trzeba, nie trzeba mi zaś prawie nic zgoła. Z rzeczy zaziemskich wiele pragnę i wiele spodziewam się, wszystkiego zaś jestem już blizki.

Wstał, wyprostował się.

— Chciałeś wiedzieć, com za człowiek, oto masz mnie całego. Jeśliś ciekaw, dołożę jeszcze: żem był szlachcic, żem pieczętowałem się Zadorą.

Wichura milczał, oszołomiony wszystkim, co widział i słyszał — najbardziej może czasem przeszłym słów ostatnich. Oczy otwierał i zamykał, zadając sobie w myśli pytanie: azali nie zasnął w gospodzie „Pod Flądą“ i nie śni mu się ta cała „awantura?“...

Tymczasem stary przystąpił do leżącego, powręcz mu na nogach rozwiązał, uniósł go — na nogi postawił. Potem zdjął mu pęta z rąk, które były mocno w tył ściągnięte i do pleców przytroczone.

— Młodyś — rzekł tonem ojcowskim — jeszcze czas twój nie przyszedł. Wracaj do świata, któregoś żądny, a nie grzesz więcej.

Przyniósł mu burkę i kołpak; podał szablę i toporek.

Wichura ubierał się i zbroił, nie wychodząc z odretwienia.

Zbudził się dopiero na słowa następne, głosem mocnym wyrzeczone:

— Teraz, jeśli wola, zabij mnie i ograb. Zaprawdę ci mówię: oporu nie spotkasz.

Zżymnął się Zboiński — nasrożył.

— Zapominasz waszmość — wyniośle rzucił — do kogo przemawiasz. Szlachcic jestem.

Lekko uchylił kołpaka.

— Czołem waszmości!

I wyszedł z jedną ręką przy wąsie, z drugą przy karabeli — zmierzając prosto ku miejscu, gdzie był czółno zostawił.

XX.

Na Węgrzynie, w ciągu kilku lat ostatnich, zażyły duże zmiany. Pierwszą osobą, nie tylko z miny, lecz i ze znaczenia, był tam teraz imćpan Zboiński.

Ze spróchniałego dworka na uboczu przeniósł się stary szlachcic w sam środek osady, zamieszkał w pięknym domu z modrzewia, należącym niedawno jeszcze do Drewnów. Utył, wypiękniał; brzucha dostał senatorskiego. Głowę nosił tak wysoko, jakby nieustannie gniazd na drzewach upatrywał.

Zerwawszy z żołnierką, nie zerwał z dyplomacyą. Tę ostatnią przeniósł tylko na nowe pole—węzse, lecz zyskowniejsze. Dawniej szukał dla siebie korzyści w wysługiwaniu się na przeróżne sposoby Rzeczypospolitej; dziś pracował dla siebie bezpośrednio.

Tę pracę uprawiał w dwóch odmiennych kierunkach: jako zawołany gospodarz, i, jako teoretyczny oraz praktyczny jurysta, a raczej, ściślej się wyrażając: *jurisconsultus*.

Obsiewał liczne „włóki“ swoje i dzierzawione;

hodował konie, woły, owce, trzodę chlewną; próbował nawet warzyć piwo we własnym browarze. Rozwijał tę czynność na przestrzeni coraz większej, o wiele przekraczającej granice szczupłego „działku”, nabytego w drodze prawnej od Melchiora Drewny.

Poza tem oddawał się z zapalem studjom prawniczym.

Największa izba we dworze była pełna grubych foliałów i kwartantów, poświęconych prawoznawstwu. „Herby Rycerstwa” ustąpiły miejsca „Statutom” Łaskiego, Taszyckiego, Przyłuskiego; modlitewniki — „Porządkowi sądowemu” i „Artykułom Majdeburskim” Groickiego. Na mocnym, dębowym pulpicie, tuż przy stole do pisania, leżał zawsze olbrzymi Januszowski, pozakładany w wielu miejscach paskami papierowemi.

Nie była to czysta nauka dla nauki. Zboiński zaczerpniętą z ksiąg wiedzę natychmiast użytkował w sposób praktyczny. Niósł ją do prawników zawodowych, przed *fora* sądowe — we wszelki sposób korzyść z niej wyciągał. To wszystko pozostawało w związku jaknajściślejszym ze zwiększaniem fortuny, z powolnem lecz nieustannem rozszerzaniem posiadłości na Węgrzynowie.

Na Zamku nie bywał; hetmanom jaknajstaranniej z drogi schodził; do spraw po-rokoszowych zupełnie się nie mieszał.

Raz jeden tylko musiał, rad nie rad, bramę zamkową przekroczyć, wezwany umyślnym gońcem do chorego obłożnie Boboli...

Staruch zatrzymał poufnika przez dzień, przez wieczór; noc całą przy sobie siedzieć mu kazał — puścił dopiero nazajutrz koło południa. Zrządził, skarżył się; zlecenia dawał tajemne, do walki z „odszczepięciami” zagrzewał...

— Wezmać oni górę? — szeplecił — zginiemy. Koniec nasz, koniec Rzeczypospolitej. *Awa* prze Boga żywego, pleńcie kąkol wszyscy, którzy Stwórcę i kraj swój miłujecie...

Zboiński wyszedł z bólem głowy, z rękoma pełnemi szkaplerzy, medalików, kawałków pergaminu, zapisanych po łacinie, poświęcanych, na niemoc wszelaką skuteczných.

Pęczniała mu też kieszeń...

Wkrótce potem podkomorzy królewski życie zakończył — o czem ojciec Bembus, Jezuita, na pogrzebie powiedział: „Z ochotą umarł. Zachorawszy, tak był *resolut* na rozstanie się z tym mizernym światem, iż ni o czem, jeno o śmierci ani mówić, ani słyszeć nie chciał, za złe mając tym, którzy go nawiedzając, żywota mu dłuższego życzyli“...

Zapomniał apologista, że umierający, na krótko przed zamknięciem oczu, dyktował srogie wyroki na tych, co o pewnych sprawach religijnych ośmielili się mieć inne, niż on, zdanie.

Kilka tych wyroków zapisał sobie Zboiński *pro memoria* zaraz za powrotem do domu. Niektóre były zupełnie do wykonania gotowe: inne dojrzewać jeszcze musiały.

Jako mąż przebiegły i przewidujący, wiedział, że kiedyś i one korzyść przynieść mogą.

Nie bywał na Zamku—ale tam tylko, gdzie mieszkał król z dworem, gdzie osiadali czasowo hetmani, gdzie radzili publicznie senatorowie. Za to, aż nadto często widywano go w części Zamku, zwanej „Grodem“ — w tym jego boku dziwnym, tworzącym jakby szaniec przed siedzibą królewską, wzniesionym pod kątem ostrym do dzisiejszego czoła zamkowego, zmieniającym dzisiejszy „plac“ w dość wąską ulicę, nadającą tej ulicy nazwę — rozebraną w począt-

kach XIX-go wieku, prawie równocześnie ze Staromiejskim Ratuszem.

„Gród“ był miejscem „sądów grodzkich“ — z sądami zaś wogóle, a z tym przedewszystkiem, miewał teraz stary szlachcic ciągle do czynienia.

Zaniedbał natomiast stosunki rodzinne...

Odkąd Konrad przedzierzgnął się w lisowczyka, zaledwie dwa, trzy razy nawiedził dwór Węgrzynowski.

Za pierwszym razem przyjęto go z otwartemi ramionami — dopytując o łupy, z Moskwy przywiezione, nie żartem „przypytyując się“ do nich.

— Moje—twoje; twoje — moje. Co masz, mnie zawdzięczasz. Całyś mój. Wychowałem cię, opatrzyłem, na drogę dobrą wywiodłem. Przyjaźń mi winieneś; a przyjaźń, to jedność, a jedność, to wspólność...

Konrad był głuchy na te sylogizmy. Wniosku, do którego dążył ojciec, wyprowadzać z nich nie chciał.

Zresztą, i wyprowadzenie wniosku nie doprowadziły do niczego.

Z łupami stało się tak: jedna ich połowa rozproszyła się w drodze; drugą pochłoneła Warszawa. Wszystkie „duszki“, nawet te z nad Morza Białego, które do sprawy miłosnej tylko raz na rok odmarzają — okazały wilczy apetyt na złoto, brylanty, szmaragdy i szafiry. O gospodzie „Pod Flądrami“ z dawien dawna wiadomo, że w niej miłość srodze kosztowna.

Zboiński omal nie chwycił za batóg. Pohamował się — na kazaniu surowem poprzestał.

Za drugą bytnością Konrada rozmawiał z nim półgębkiem, i sam jedząc flaki, zaprawione szafranem, syna do nich nie zaprosił.

Ostatnie odwiedziny były — pantomina. Konrad przybył do ojca z miną kwaśno-desperacką, wyciągnął z kieszeni kieskę, w milczeniu wywrócił ją na nice, okazując, że pusta. Zboiński wzruszył ramionami, pokazał mu „figę“ i nie wyrzekłszy ani słowa, tyłem się doń odwrócił.

Nienawidzili się wzajem — jednak stosunków nie zrywali. Każdy wiedział, że w pewnej chwili z drugiego będzie mógł coś wyciągnąć.

I dlatego, przy każdym powitaniu i pożegnaniu, syn całował ojca w rękę i pochylał mu się do nóg, obejmując je pod kolanami. I dlatego ojciec, na widok przybywającego syna, zawsze ramiona do uścisku rozkładał.

Teraz jednak Konrad nie był potrzebny Zboińskiemu. Stary wyga wiedział, że to wszystko, czego syn nauczył się pod chorągwią Lisowskiego, przeszkadzałoby tylko w prowadzonym przezeń dziele. Animusz rycerski, napastniczość jawna, zapal, junkerya — to pierwiastki wręcz przeciwne dyplomacyi, a właśnie na dyplomacyi Zboiński swe wielkie dzieło opierał.

To zaś dzieło nie miało celu innego, jak: wykwitować chorego Drewnę najpierw z reszty należnej mu opłaty, następnie z całej posiadłości na Węgrzynowie...

XXI.

W wąskiej, ostrołukowej izbie, przepłówionej oponą z czarnego, wypłowiałego już falendyszu, na krześle z oparciem prostopadłym, przy świetle kilku-nastu świec woskowych, siedział starzec i wpatrywał się nieruchomo w wiszący naprzeciw niego portret kilkoletniej dziewczynki.

Starcem uczyniła Melchiora DREWnę przedwcześnie troska, która toczy duszę człowieka, jak robak rdzeń drzewa.

Twarz jego, dawniej woskowa, była teraz biała, jak z opłatka. Broda, od wielu lat nie przystrzygana, leżała na piersiach bujna, falująca, potężna, jak u „Mojżesza“ Michała Anioła. Włosy, modą ówczesną spadające na czoło, nad samemi brwiami przycięte, z boków i z tyłu długie, opuszczone, ujmowały twarz w srebrną ramę.

W tej twarzy nie było kropli krwi, iskry życia...

Już dziewięć lat upływało od straszego wypadku — dziewięć lat powolnego konania dla nieszczęsnego, niczem nie pocieszonego ojca. Olbrzymia siła żywotna tkwić musiała w tym grubo ciosanym mieszczańinie, jeśli dotąd nie runął, jak dąb, od pioruna.

Istniał — ale to istnienie było półsenne, jakby nie uświadomione, jakby wbrew woli, za pokutę, podtrzymywane. Dusza jego stopniowo zamierała; czuł, że osuwa się zwolna w przepaść. Wiedział, że tam na dnie śmierć — zatrzymać się na pochyłości nie mógł i nie chciał.

Dusza starca i jego zmysły nie oddziaływały już prawie zupełnie na bodźce zewnętrzne. Ze wszystkich zjawisk tego świata on widział i pojmował jedno tylko: bladą twarz dziecka z czarnemi oczami, odтворzoną pędzlem Dolabelli.

Drewno siedział samotnie — coraz częściej bywał teraz samotny. Aby rodzina mogła tworzyć cudowną całość, która jest podwaliną społeczeństwa i w której zamyka się najwyższa, boska myśl doczesnego istnienia — musi być trójcą. Ogniwa tej trójcy: ojciec, matka, dziecko. Ody którego z ogniw zabraknie, rodzina rozprzega się.

Rozprzęgała się i rodzina Drewnów, której już nie jednego lecz dwóch ogniw niedostawało.

Drewnowa, w obfitem gadaniu rozmiłowana, albo siedziała w swoich komnatach z kumoszkami, albo biegła do kumoszek na miasto. Służba, od karności odwykła, żyła swoim dworem. Z dalszej rodziny rzadko kto i rzadko kiedy nawiedzał samotnika, z którym rozmowa była męcząca, nijaka...

Muzyka i śpiew już Melchiora nie rozrzewniały. Lubił je wszakże. Poza malowidłem Dolabelli, one jedne wiązały go do życia. Z nich bardziej, niż z ja-dła i napoju, czerpał moralną, nawet fizyczną siłę do istnienia.

I teraz na chwilę tylko wpadła do niego żona — ubrana do wyjścia, śpiesząca się...

Wpadła szybko — rzuciła na stół papiery z du-żemi, na wosku odcisniętymi pieczęciami.

— Dwie kondemnaty!... jeden nowy zapo-zew!... — z płaczem prawie jęknęła.

On na papiery nie spojrzał. Na żonę obrócił szklane oczy — ramionami lekko wzruszył.

— Co zrobić?... Pan szwagier nie poradzi, bo w podróży. Burmistrz i wójt na sądach grodzkich *tacent*. Przyjaciły głowy pod ewangelię kłaść nie chcą. Rozum białogłowski nie wydoła... Ocknij się, panie mężu, boć zginiemy. Ten wielmożny kęs po kęsie całych nas rozszarpie!

Melancholik ręką machnął — milczał.

— Chyba elemożyny rozdaję, mszę świętą u Fary, przed Panem Jezusem, zakupię. On nam jeno jeden pozostał!

Zaniosła się płaczem, ale się zaraz uspokoiła, łzy otarła — wyszła.

Zupełna cisza panowała w domu i na ulicy. O ta-kiej ciszy mieszczanin dzisiejszy pojęcia mieć nie

może. Nie maćił jej turkot ani jednego pojazdu—rzeczy nader rzadkiej w obrębie Starej Warszawy; ani głos narzędzi muzycznych, ani nawoływania przekupniów, ani nawet głośna rozmowa.

W chłodny wieczór listopadowy, zaraz z nadejściem wieczora mieszczanie pozamykali się w domach. Na ulicach, niczem, prócz księżycą (w ów wieczór nieobecny) nie oświecanych, nie dojrzałbyś nikogo — chyba pacholka z latarnią w pilnej sprawie wysłanego, chyba psa, przemykającego się milczkiem pod domami.

Ta cisza ulgę niejaką sprawiała samotnikowi. Słuch wyteżywszy, chwycił głosy oddalone: szczękanie zegara na wieży ratuszowej, stłumione poziewanie surmacza, stojącego na najwyższej, we mgle niknącej galeryjce, stuk młotków w piwnicy, zajmowanej przez płatnerza...

Słyszał nawet chód własnego serca—nierówny, lekliwy, nieśmiały, podobny do kroków człowieka, przechodzącego z trwogą mimo przepaści.

Rozmarzony, bezsilny, zapadał z wolna w półsen. Płomyki świec wydawały mu się gwiazdami, czarna zasłona — otworem przepaści, która pochłonać go ma niebawem.

Chciał się modlić — słowa modlitwy rozpraszaly się, ginęły kędyś w mrocznych duszy zagłębiach. Chciał przypomnieć sobie pieśń dobrze znaną — melodia uciekała, przechodziła w szum niewyraźny, rozlewny, bezkreśny...

Roztopiał się w czemś niepojętem, co nie dawało się żadnym zmysłem wyczuć, żadnem słowem określić...

Nagle otworzyły się po cichu drzwi — ktoś wszedł.

— *Laudetur...*

Przybysz ani trochę Melchiora nie zadziwił, choć mu był najzupełniej obcy. Jednak nie wydawało się starcowi właściwem odpowiadać na jego pozdrowienie. Któż zresztą zaręczy, że ono zostało w samej rzeczy wypowiedziane?

Odzież i cała zewnętrzność nieznajomego wskazywały, że jest człek uczony, poważny — w całym znaczeniu *magister*.

Twarz była bez zarostu, blado-żółtawa, nie miała wszakże wyrazu chorobliwego. Owszem, tchnęła siłą, energią. Energię objawiał zwłaszcza nos duży, orli, podbródek wyskoczny, oczy silnie błyszczące, brwi podobne dwóm ruchliwym, smołowo - czarnym wężykom.

Suknia zwierzchnia przypominała zarazem: togę, delię i sutannę. Była czarna, długa, fałdzista, futrem kosztownem obramiona, z krótką na ramionach pełerynką. Z pod sukni, otwartej na przodzie, wyzierał strój również czarny, atlasowy, obcisły. Z szyi zwieszał się łańcuch złoty, zakończony takimże wielkim medalem.

Na głowie miał przybysz beret magistrowski, który zdjął dopiero przy powitaniu.

Melchiora zajęło zjawisko. Patrzył na nie i widział je — a to już była u niego rzecz wielkiej wagi. Widział zaś nietylko człowieka, lecz i rzecz, którą człowiek przyniósł ze sobą — rzecz zagadkową, do dużej, szerokiej deski podobną, czarnym czamlotem całkowicie osłonioną.

Jednak widząc, z miejsca się nie poruszał, ani tembardziej do zadawania pytań kwapił.

Nieznajomy przesunął się przez izbę, jak cień — prosto ku miejscu, gdzie wisiał portret Hanusiowy. Po ten portret ręką sięgnął...

Dopiero to obudziło Melchiora. Podniósł się z krzesła, rękami o stół oparł, szyję wyciągnął.

Obraz zniknął ze ściany — w powietrzu się rozwiął.

W tejże chwili, na tem samym miejscu, pojawił się inny obraz, kilkakrotnie większy.

Drewno wzrok wyteńczył, usta otworzył.

Z obrazu wyjrzała w całej postaci dziewczeczka dorastająca, już prawie dziewczica. Urody była nadzwyczajnej, wyrazu twarzy smętnego. Blade miała liczko; oczy czarne, głębokie. Na głowie wianek z róż białych; w jednej z rąk lilia. W stroju ciemnym, napół klasztornym, wyglądała na świętą.

To właśnie była „rzecz“, przez nieznanomego przyniesiona.

Melchior wpatrywał się w obraz długo, długo. Oczyma, nagle ożywionemi, wypić chciał do dna puhar mistycznej rozkoszy...

Wreszcie szepnął po łacinie:

— Coś uczynił, *magister*?

Nieznanomy odrzekł w tymże języku:

— Sam widzisz. Córkę-m ci twoją pokazał.

— Córka moja dzieciątkiem była.

— Dzieciątkiem nie jest.

— W niebiesiech...

Niebiosa są, gdzie Bóg. Bóg jest wszędy.
zruszenie osłabiło starca. Nogi mu drżały.

Dzieweczka moja... umarła... umarła... umarła... — jęczał cicho, białą głowę pochylając na piersi.

Nieznanomy wynurzył się z cienia, na środek izby wystąpił. W pełnym blasku świec wyglądał dostojnie — czynił wrażenie człowieka natchnionego.

— Czemuś powiedział „umarła“? — zapytał surowo. — Jak to słowo rozumiesz?

Długie zatapianie się we własnej duszy nauczyło Drewnę myślenia ścisłego, poniekąd nawet filozofii. Zawsze zresztą miał pociąg do ksiąg, czytał wiele, wyrażał się prawie po literacku.

Głowę podniósł, głosem śmielszym odparł:

— Śmierć mi dziecko zabrała. Śmierć jest zaprzeczenie życia.

— Powiedz raczej: jego stwierdzenie. Gdyby nie to, co nazywamy śmiercią, nie rozumielibyśmy tego, co nazywamy życiem. Życie jest tak samo stwierdzone przez śmierć, jak światło przez ciemność, cnota przez grzech, Bóg przez szatana.

— Cóż stąd?

— To, że wierzyć trzeba w życie, w światło, w cnotę, w Boga.

— Ja wierzę tylko w boleść.

— To dowód, że wierzysz także w szczęście.

— Nie swoje...

— Tak właśnie twoje, jak twoja jest boleść.

Szklane dotąd oczy melancholika nabrały blasku, przenikliwości. Wpatrywał się nimi dość długo w przybysza, milcząc. Potem rzekł z rezygnacją bolesną:

— Szkoda, mistrzu, twej dyalektyki. Nic tu no niej. Zbyt wielkie otchłanie zna myśl moja, zła zbyt głęboko!

— Podnieść ją trzeba na wysokość, w przestworze, leżące między ziemią a planetami.

Żrenice Melchiora napowrót zmętniały.

— Zaprawdę — szepnął — nic w tych przestrzeniach niema, prócz światów, tak samo nędznych, jak nasz; prócz boleści, tak samo zabijających, jak nasze!...

Nieznajomy wznosił głowę — mówił zwolna głosem głębokim, metalicznym — głosem proroka:

— Zaprawdę, w tych przestrzeniach są stopnie, wiodące od człowieka aż do Boga... W tych przestrzeniach są tłumy duchów doskonałych, doskonalszych i najdoskonalszych... W tych przestrzeniach jest dziewczeczka twoja.

Powieki starca drżeć zaczęły. Głosem stłumionym wyjąkał:

— Jeśli jest, niech do mnie zejdzie...

— Ty raczej wnieś się do niej.

— Jak?

— Wiara.

— Straciłem ją.

— Odzyskasz.

— Cud staćby się musiał!...

— Stanie się.

Zamilkli obydwa, mierząc się wzajem oczami.

Przerwał milczenie przybysz.

Zbliżył się do stołu, usiadł — głowę wysunął przed siebie i pochylił, jak człowiek czyniący zwierzenie.

— Wiara, którą odzyskasz — głosem niższym mówił — nie będzie tą, którą straciłeś. Będzie czystsza, świętsza. Ta wiara serce twoje rozweseli, myślom da spokój. Przez nią staniesz się wiedzący.

To wiara nowa?

Tak stara, jak Objawienie. Starsza nawet. Tam tkwi nad Nilem, w epoce narodzin sfinkramid. Oddana Chrystusowi i Chrystusa nad wszech, jako miłująca. Ale z błędów oczyszczona.

Przysunął się ze stołkiem bliżej jeszcze, głos bardziej zbliżył — mówił teraz prawie do samego ucha mieszczanina. Mówił po łacinie, gdyż cała rozmowa w tym się toczyła języku. Jako cudzoziem-

cowi, najdogodniej mu było tłómaczyć się językiem powszechnie wówczas zrozumiałym.

— Pole myśli ludzkiej chwastami zarosło. Jakaż to dziś teologia? jaka filozofia? Ciemne barbarzyństwo przywłaszczyło sobie rządy nad duszami. Nie słowem miłości, nie uczynkami świętobliwemi szerzy się dziś wiara; jej bronią: miecz katowski, strycek, stos. Jaka broń, tacy rycerze; jacy rycerze, taki sztandar. Na tym sztandarze krzyż Chrystusów tak się zatarł, że już go rozpoznać trudno. Zdziczała teologia; zwyrodniała filozofia. Mowa mędrców dzisiejszych, to bełkot dzieci i obłąkańców. Jeden drugiego nie rozumie, jakże tłumy zrozumieć ich mają? Na poziomie teologii i filozofii stoją obyczaje. Ciemność i kałuża. Rozkwitają i dziś serca czyste, charakteru prawe, dusze, zarazą epoki nie dotknięte, ale ich los opłakany. Mnichy i sofiści uganiają się za niemi, jak szczwacze za zwierzyną. Dziś człowiek z myślą niezależną, z sercem niepokalanem, czysty naśladowca Chrystusa, ukrywać się musi, jak zbrodniarz. Zaćmiło się słońce, śmierć zagraża ziemi...

Chmura przeszła po energicznem obliczu mówcy. Przeszła i zniknęła. Z niezmaconą pogodą do końca zmierzał.

— Nie! nie zgaśnie słońce; nie zmartwieje ziemia—ciągnął głosem mocniejszym. — Stwórz cud, aby je ocalić. Cuda zawsze przyjdą w pomoc prawdzie. Otworzył się jego grób, tam przez wieki ukryta stała się wiadoma wszystkim. Z grobu przemówił Christianus Rosenkreuz, a Valentinus Andrea uczynił jego słowa zrozumiałemi. Obaj w hierarchii duchów stanęli wysoko, obaj przecie są tylko podnóżki boskiego Agryppy z Nettesheimu!

Ostatnie nazwisko wymówił głosem potężnym

i zaraz głowę zniżył, jakby cześć temu nazwisku oddawając.

Trwał tak chwil parę, jakby skamieniały zachwytem. Światło świec wprost na twarz jego padało. Uwyraźniły się rysy ostre, niezwykle, jakby ręką wielkiego, lecz dziwaczного artysty z ciemnego bursztynu wyrzezane.

Melchior wpatrywał się w nieznanomego bystro. — Twarz waszmościna znam — wyrzekł z namysłem.

Tamten milczał, jakby nie słysząc.

— Jeśliś waszmość do ojca swego podobny, tom znał ojca waszmościnego.

Nieznanomy nie przerywał milczenia.

— Doktorem był, jeszcze na dworze nieboszczyka króla Stefana. Nazywał się...

— To nie był mój ojciec! — przerwał tamten pośpiesznie, jakby nie chciał dopuścić do wymienienia nazwiska.

Obrócił palające oczy na Melchiora i dokończył:

— To byłem ja!

Drewno głową pokręcił,

— Mylisz się waszmość. Tamten był mąż doirzały, gdym ja był dziecko. Taki był, jaki waszmość dziś jesteś.

Jaki jestem, wówczas byłem. Nie innym był, waszmość na świat przychodził. Nie inny, gdy jeszcze na świecie nie było. Gdy ze świata odejdzie, ja będę, jaki jestem.

Starzec rozważał te słowa, nie dziwiąc się im zbyt. Już oddawna nie dziwił się niczemu. Patrzył przez chwilę na nieznanomego, potem spojrzenie skierował na ścianę przeciwległą — napotkał obraz — oczami i duszą w nim zatonął.

Nieznajomy z obszernych fałd togi wyciągnął dwie książki—dwa tomy niewielkie w miękkiej okładzinie z ciemno-wiśniowego pergaminu.

Położył książki na stole przed Melchiorem.

— Tu znajdziesz więcej, niż powiedziałem... niż powiedzieć mogłem — z naciskiem wyrzekł. — Czytaj te księgi. Oświecą cię.

Drewno, jakby ulegając wewnętrznemu nakazowi, wziął do ręki jedną książkę, potem drugą. Na pierwszej przeczytał: *Fama Fraternitatis*; na drugiej: *Clypeus Veritatis, Irinee Agnosti*. Otworzył je: każda miała na czystej karcie przed tytułem odcisnięty krzyż poprzeczny; na krzyżu wieniec różany; dokoła litery: C.C.C.C.

Gdy oczy od książek podniósł — nikogo przed nim nie było.

Przez chwilę myślał, że miał sen. Ale na świadectwo rzeczywistości pozostały: dwa tomy łacińskie i obraz.

XXII.

Zjawienie się obrazu przypisano cudowi. Cuda często wówczas się działy. Pochodziło to stąd, że w cuda wierzone.

Melchior nie wyjawiał żonie wszystkiego. Coś ostrzegło go, że tego uczynić nie powinien. myślał o nieznanym, ale treści jego słów nie rzył. Nie wspominał też o książkach.

Te książki miał ukryte przy sobie. Gdy b... czytał. Zbudziło to nową myśl, rozpałiło trzecie ognisko w jego odrętwiałej, w ciemnościach tonącej duszy.

Dotąd zdobywał się jedynie na patrzenie i słuchanie. Teraz mógł być — z trudnością co prawda — zdania cudze przyswajając sobie, rozmyślać nad nimi.

Z początku niewiele pojmował. Poprostu, odwykł od czytania, od myśli, wyrażonych słowami. Jego myśli — o ile je miewał, bo najczęściej mózg jego bywał, jak grób, pusty—obywały się bez wszelkiej formy. Mowa ludzka nie posiadała słów, któremi możnaby było te myśli wyrazić.

Zwolna zaczął do czytania przywykać. Wyrazy drukowane wydawały mu się tonami. Wytężał umysł, aby zrozumieć ułożony z tych tonów frazes muzyczny: zdanie. Udało mu się to po pewnym czasie i sprawiło wiele zadowolenia.

Przy czytaniu doświadczał tego samego, co przy słuchaniu muzyki. Melodya zdań odpowiadała muzyce jego duszy. Była tak samo: omglona, tajemnicza, odsłaniająca ciemne, niezgłębione, ciągnące ku sobie przepaście...

Powoli do wrażeń muzycznych zaczęły przyłączać się inne. Te nowe wrażenia działały na duszę, jak lekkie, podniecające ułucia. Obie książki były pełne namiętnych protestów—prawie buntu. Wrzała w nich niechęć do stosunków panujących, do o b e c n o ś c i — odzywała się tęsknota do bytu lepszego, szlachetniejszego, świętszego — do i d e a ł u ...

W duszy melancholika i te tony oddźwięk znalazły.

Melchior nasiąkał myślami czytanych dzieł, wajał je sobie, i pod ich wpływem przetwarzał wewnątrz.

Przedewszystkiem czuł, że mniej cierpi. Zdało mu się chwilami, że przez zbite kłęby mgły, otaczającej go od dziewięciu lat, dostrzega jakby słabą zapowiedź światła. Nie więcej pewnie widzi oko, zaciągnięne kataraktą. W każdym razie, nie była to już ciemność zupełna.

Już to samo czyniło mu te książki miłemi. Uczuwał dla nich jakby wdzięczność.

To były objawy wewnętrzne. Na zewnątrz zmiana wyrażała się dość niezwykle.

Dotąd całkowicie obojętny na to: kto i w jakim celu go odwiedza, teraz zaczął czynić między odwiedzającymi wybór. Z listy gości swych wykreślił najpierw wszystkich nabożnisiów i wszystkie nabożnisię, których zadaniem było przynosić mu co pewien czas „pociechę religijną“; następnie poprosił i zażądał, aby nigdy drzwi jego domu nie otwierano pukającym do nich *patrom* jezuickim...

Melchiorową przejęło to żądanie trwogą. Gotowa była posądzać męża o rzeczy naigorsze, o kacerstwo i odszczepieństwo... Ale zadziwił ją raz jeszcze, wystąpiwszy z prośbą nagłą: aby mu przyniosła i raz na zawsze przy nim pozostawiła dzieło Tomasza z Kempis.

Wczwtywał się w nie żarliwie — naprzemian w *Fama Fraternitatis* i *Clypeus Veritatis*.

To były jakby trzy rodzaje win szlchetnych, któremi krzepił się i podniecał. Dopóki czytał—żył. Gdy książkę odłożył, zapadał w martwość poprzednią.

I był jeden wieczór, podobny bliźniaczo do żalobnego korowodu innych, co się przez tę komnatę, kirem wybitą, w ciągu dziewięciu lat przesuw

Melchior siedział sam, przez wszystkich cony, z twarzą woskową, z oczyma szklanemi wacv dawno już odeszli; książki leżały na stole zamknięte.

Nazajutrz przypadało święto. W kościołach dzwoniło. Z ulicy dochodził dziwny, do pluskania deszczu podobny, szelest kroków idącego na nabożęństwo tłumu,

Monotonne jęczenie spiżu, rytmiczne uderzanie obuwia o kamienie wprawiły samotnika w stan pośredni między jawą a snem.

Zdawało mu się, że fale głosów są falami żywej wody, i że na tych falach on, pospołu z ogromną czernią ludzi, płynie ku blademu, w bezdennej dali niepewnie drżącemu płomykowi. Czerń olbrzymia była właściwie jednym tylko człowiekiem w milionach odbić powtórzonem — a ten człowiek miał długie, białe włosy, długą, mleczną brodę, twarz z wosku, oczy szklane. Był najdoskonalszem powtórzeniem jego samego — był nim samym.

Ten „on“, na miliony sobowtorów podzielony, ku jednemu wszystkie siły wyteżał: żeby nie stracić z oczu dziewczeczki swej na obrazie, od którego fale go odrywały. Płynął z twarzą, zwróconą do portretu, trzymając się go oczyma, jak szponami.

Świece dopalały się w świeczniku. Jedna zgasła, zapachem topionego wosku izbę napełniła. Światło to wystrzelało nagłym wybuchem, to słabło i ciemniało. W izbie zmieniały się kolejno: silna jasność z półmrokiem.

W drżących blaskach przedmioty nabierały pozorów życia. Czarne opony zdawały się poruszać; sprzęty chwiać; ściany kołysać. Pod wklęsłą powalą, po kątach oddalonych przesuwwały się cienie: niby widma, tak wysokie, że się ich głowa przy zetknięciu ściany z powalą załamywała, to znów tak poziome, że przy samej podłodze czołgał się każdy nakształt węża czarnego.

Ale starzec patrzył tylko na obraz, widział tylko ukochane dziecko swoje.

Nagle, wydało mu się, że i jego dziewczeczka poruszać się zaczyna. Było to tak, jakby w obraz wstę-

powąła dusza. Widział, był pewny, że kształty malowane stają się nieznacznie żywymi.

Jeszcze chwila — i postać oderwała się od płótna. Opuściła ramy — przesunęła się bez szmeru przez izbę — tuż przy nim się znalazła.

Usłyszał głos jakby srebrnych dzwoneczków:

— O tam przyszła, panie ojciec...

Czarnowłosa główka w wianku z róż białych do stóp mu się uniżyła; wątle, dziewczęce ramiona za kolana go objęły.

On ani przeraził się — ani zadziwił.

Nie zadrzał nawet.

Na głowie klęczącej położył spokojnie dłoń wyschlą.

Jakżeś późna! — wyrzekł z łagodną wymówką. — Jakże długo czekać na siebie dałaś...

I westchnął głęboko, bardzo głęboko — jak człowiek, który się budzi ze snu twardego.



WIKTOR GOMULICKI

BURMISTRZÓWNA (MIECZ I ŁOKIEĆ)

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA
Z PIERWSZYCH LAT W. XVII

TOM III.

WARSZAWA

NAKŁAD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT”

1915.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Военною Цензурою
Варшава, 27 Января 1915 г

CZEŚĆ TRZECIA.

HANUSIA.

AGENCIJA ZA VEŠTAČENJE

HAZUŠIA

I.

Był maj 1617-go roku.

Ciepły, błękitno-złocisty poranek rozweselił i odmłodził Starą Warszawę.

Błyszczały w słońcu czoła wyniosłych, świeżo wymalowanych i wyzłoconych kamienic. Niektóre po wielkim pożarze były wybudowane na nowo, *a fundamentis*, inne podźwignione „z popiołów“, *ex cineribus*. O jednym i drugim głosiły napisy na świeżych tablicach nad furtami.

Rynek Staromiejski, dziś szary, spłowiwały, był wówczas pełen blasków i kolorów. Lśniły wpuszczone w mur i obrzeżające wejścia marmury; płonęło złoto na kamienicy Baryczkowej, na posążkach ustawionych na dachach, we wnęki wsuniętych; połyskiwały metalowe i kamienne godła — czerwienił się nawet bruk, kostkami granitowemi, pospołu z cegłą, wyłożony.

Wiosna powlokła ciepłą, złotawą barwą nawet stary mur obronny, od kilkowiekowej „patyny“ poczerniały. Z jego szczelin wyrastały tu i owdzie długie trawy, miękkie łodygi pnących się roślin — nawet wątle gałązki zasianych wiatrem brzoźek i topolek.

Wszystko wyglądało weselnie...

Pomimo dnia powszedniego, kramnice były zamknięte. Nikt też nie kupczył pod niebem otwartem, przy stolikach przenośnych i na chodnikach pod

ścianami, co nazywano: „na treciech“. I przechodniów niewiele się widziało.

Było widoczne, że Stara Warszawa święci dzień uroczysty — choć tego dnia kalendarz pomiędzy świętami nie wymieniał. Nie należało to święto do kościelnych; nie należało nawet do parafialnych. Było urzędowe — „magistrackie“.

Owego dnia miały się odbyć w Warszawie wybory nowego burmistrza. Spóźniły się w tym roku; zwykle dopełniano ich w ciągu stycznia.

Burmistrz był pierwszą osobą w tej maleńkiej republice handlowo-rękodzielniczej, która zależała od króla, niekiedy od marszałka, ale w sprawach wewnętrznych, najdonioślejszych, rządziła się samostnie. W burmistrzu ona miała jednocześnie: ojca, sędziego, adwokata, doradcę, reprezentanta. Pominąwszy różnice polityczne i społeczne, które dzieliły Wenecję od Warszawy, można powiedzieć, że burmistrz był dla drugiej tem samem, czem dla pierwszej doża.

Wybory spóźniły się, gdyż do ostatniej chwili nie wiedziano, czy na wysokim stanowisku zechce pozostać burmistrz dotychczasowy: Jan Klemens z Radziwia, lekarz królewski. Jego uczoność i odrębność stanowa ciążyły cokolwiek mieszczaństwu—nie śmiało go wszakże tykać, gdyż miał za sobą dwór i jezuitów. On sam wreszcie trudności usunął, oświadczając rajcom, że pragnie ustąpić.

To pierwsze, poufne oświadczenie zostało powtórzone *coram populi* (właściwie tylko w obliczu „poseysonatów“), w przededniu wyborów, w głównej izbie Ratusza.

Wczoraj właśnie, w godzinach rannych, koło radzieckie i ławnicze, oraz najdosłojniejsze z pomiędzy wyborców persony zostały wezwane *per pulsum*

companae („przez uderzenie dzwona“ — jak tego wymagał regulamin) na Ratusz, dla wysłuchania ustępującego burmistrza.

Ludowi wezwanie otrąbiono na czterech rogach Rynku.

Około południa wielki tłum zebrał się w starej siedzibie władzy miejskiej. Do izby głównej, zwanej „sądową“, wpuszczono tylko członków magistratu, „starszych“, czyli „cechmistrzów“, zgromadzeń rzemieślniczych, oraz obywateli, posiadających nieruchomości. Reszta pozostała w izbach dolnych — zatłoczyła sienie i schody.

Jan Klemens, z przydomkiem „z Radziwia“ — co jego kmiece pochodzenie ujawniało — przemówił do zebranych po łacinie.

Dziękował towarzyszom urzędu za pomoc, obywatelom za uległość, cechmistrzom za doskonalenie rzemiosł, które obok handlu stanowią główne miast i mieszczan bogactwo. Ostatnim był prawie wdzięczny, że zajmują się pracą trudną i upośledzoną, do której szlachta i męże uczeni nie są sposobni...

Jeśli nie słowa, to sam ton przemowy wskazywał, że ustępujący burmistrz nie jest „kość z kości“ mieszczanin. Nawet i jego łacina była jakaś sztuczna, książkowa, apteką i szpitalem zalatująca...

Oreddie zakończyło się przypomnieniem, że nazajutrz o dziewiątej zrana i starsi i cały *populus* zgromadzić się mają u Fary. Odprawi się tam nabożeństwo uroczyste na intencję szczęśliwych wyborów.

To był właśnie powód, dla którego kramnice były zamknięte, ulice opustoszałe, a całe śródmieście miało postać odświętną.

Fara, choć potężna i przestronna — przestronniejsza, niż teraz, bo posiadająca kaplic kilka, dziś już

nieistniejących — ledwie pomieścić mogła zgromadzone mieszczaństwo.

U ołtarza stał biskup; na chórze grała kapela królewska; śpiewali królewscy śpiewacy; nuczał organ, dzwoniły dzwonki, dym kadzidel wisiał w powietrzu, jak obłok niebieski. W środku nabożeństwa wstąpił na kazalnicę ksiądz Baryczka, umyślnie wezwany, jako odrośl starego rodu mieszczańskiego. Mówił piękne rzeczy o powadze i posłannictwie mieszczaństwa; przypominał ojców, dziadów, pradziadów, co w lochach farskich, pod stopami zebranego tłumu, snem kamiennym spali; nakłaniał do pracy ciężkiej, nieprzerwanej, która, choć niedoceniana, często nawet lekceważona, wyjść musi na korzyść Rzeczypospolitej. A ta Rzeczpospolita, po dwakroć nieszczęsna, nękana z zewnątrz, wewnątrz na stronnictwa rozdarta, cierpi dziś równo od wrogów swych i od synów...

Głośnie westchnienia słuchaczy towarzyszyły mówcy. Co chwil parę odzywał się jęk — niekiedy łkanie stłumione wybuchało.

Wreszcie ksiądz ukląkł i odmawiać jął modlitwę do Ducha Świętego — a cały kościół powtarzał ją za nim chórem ogromnym.

Duch Święty miał dać wyborcom natchnienie...

Poważny i wzruszający był widok magistratu, z ustępującym burmistrzem na czele, klęczącego przez cały „Kanon“ przed wielkim ołtarzem. Dostojne, prawie bez wyjątku siwe głowy chyliły się w żarliwej modlitwie aż do kamiennej posadzki. W twarzach wyrażających skupienie wewnętrzne, w oczach do góry wzniesionych znać było, jak poważnie ci starcy zadanie swe pojmują.

Znamię solenne nosiła cała publiczna a częściowo i domowa działalność ówczesnego mieszczaństwa.

Więcej bywało w niem prawdziwej powagi i dostojności, niż w magnatach, układających teatralne miny i ruchy, pożyczających siły od szabel wiszących u pasa a wspaniałości od guzów dyamentowych, spinających obłożone sobolami aksamity...

Dwaj „gminni“ obchodzili kościół z puszkami, zbierając ofiary dla celebransa. Gdy je potem na głęboką misę cynową wysypano, utworzyły stertę błyszczącą, srebrem i złotem gęsto przesianą.

Na srebrze i złocie mieszczanom nie zbywało. Mieli w rękach dwie najpotężniejsze dźwignie ekonomiczne: handel i rzemiosła. Skromni i oszczędni, gromadzili skarby. Na rękę też im była *lex sumptuaria*, ograniczająca zbytek w strojach. Bez niej młode mieszczańeczki opróżniałyby ojcowskie i mężowskie sepety na klejnoty, złotogłowy, koronki, kosztowne pióra i futra.

W dwóch tylko wypadkach skarbcze mieszczańskie otwierały się na całą szerokość: gdy Rzeczpospolita była w potrzebie i gdy przypadały publiczne albo rodzinne uroczystości.

II.

Zahuczały dzwony Świętojańskie w cieśninie wązkiej uliczki; rozlały morze dźwięków na miasto senne, ciche, wyczekujące...

— Ojcowie idą!... — rzucił dowódca pachołków miejskich, trzymających straż przy Ratuszu.

Drabanci potrząsnęli dardami, rozsunęli się, utworzyli szpaler.

Błyszczała w słońcu ich broń, błyszczały mundury błękitne, blachy na piersiach, czubate, futrem obłożone kołpaki.

Cały Ratusz stał w blaskach. Na szczycie pozłacana syrena wykręcała się z lekkim wiatrem, skrzypiąc wesoło. U wejścia, białe, kamienne anioły zdawały się z szumem radosnym rozsuwać skrzydła, wystawiając przed się tablice z herbami Korony, Litwy, Warszawy, z przewiązaniem wstęgą „Snopkiem“ Wazów, zapowiadającym krajowi dostatek, obfitość.

Przy muzyce dzwonów opuścił świątynię szlachetny *magistratus*, mając na czele rajców siwowłosych. Za rajcami ściśnioną kolumną ruszyli ławnicy i gminni; dalej obywatele, z których każdy albo już pełnił urząd miejski, albo się do pełnienia go sposobiał — wreszcie lud miejski, pełen różnorodności w typach, ubiorze, obliczu.

Wszyscy szli w milczeniu głębokim; nawet sąsiad do sąsiada nie przemówił.

W orszaku rajców budził zdziwienie i współczucie widok niezwykły. Pomiędzy białobrodymi starcami, jak pierwiosnek wśród śniegów, kwitła świeża, może szesnastoletnia dziewczeczka. Jeden ze starców wspierał się na jej ramieniu. Był to ojciec dziewczeczki, niedawno światu przywrócony Melchior Drewno.

Stary mieszczanin krokiem nie mógł ruszyć bez swej Hanusi. Ile razy znalazł się w obcym miejscu bez niej, zapadał w tęskność — milknął, martwił. Wielka cześć, jaką żywiło dla Drewny całe koło radzieckie, sprawiła, że — niebywałym w dziejach magistrackich przykładem — pozwolono mu przybywać na posiedzenia w towarzystwie córki.

Zgoła inaczej on teraz wyglądał. Twarz płonęła rumieńcem, oczy błyszczały — był podawnemu energiczny, przedsiębiorczy, bystry. Chwilami tylko nagły dreszcz go wstrząsał — twarz bladła, oczy gasły...

Wówczas jedno spojrzenie czarnych ocząt Hanusi, jeden uścisk jej białej, drobnej rączki przywracały mu pogodę.

Wzdłuż schodów ratuszowych, wiodących na piętro, ciągnęła się jakby marmurowa kronika Starej Warszawy: szereg tablic, na których literami złotemi wyryto najważniejsze zdarzenia z dziejów miasta. Po tych schodach wkroczył poważny *magistratus* do izby „radzieckiej“.

Choć izba była przestronna, zrobiło się tłoczno. Zydle rzeźbione stały tu przy wszystkich ścianach i dokoła stołu, kobiercem nakrytego — nikt wszakże nie siadał. Wszyscy stali, nie tracąc solenności, milczącymi usty myśli tajone, jakby na kłódkę, zamykając.

Hanusi podsunęto ławeczkę. Spojrzała na ojca, Ze ścian patrzyły na poważne grono dostojne oblicza monarchów polskich. Przegradzały je szafy i police dębowe z księgami, w skórę oprawionemi. Od powały zwieszał się świecznik duży, z ramionami dziwacznie wyginanemi, które wyrastały z łona rzeźbionego widząc, że siadać nie myśli, nie usiadła... nej syreny.

Gdy tak stali wszyscy, wyczekując, uchyliły się w głębi ciężkie drzwi dębowe. Wysunęła się z nich prawie zupełnie łysa, apostołska głowa starego Baryczki.

— Panów ojców prosim — panów starszych...

Tłum rozsunał się; wystąpili naprzód rajcowie. Był w ich liczbie Szlichtyng, był Szeliga, który pisał się „Scheliga“, był Długosz, był Łyszcz, zwany także „I iść“ lub „List“, był Plumhoff *vel* Plumhof, był Orlemesz, spolszczony z Horlemesa, był Dziańot, przerobiony z Gianotiego, byli: Kociśzewski, Raczek, Czer ski.

Jeden z pierwszych wysunął się, a raczej wysunięty został, z oznakami czci ogólnej — Drewno.

Rajcowie skupili się, mając na czele Szeligę oraz Drewnę z nieodstępna Hanusią.

Drzwi otworzyły się na całą szerz. Oni weszli do środka, jeden po drugim, dostojnym krokiem patrycyuszów. Gdy już ostatni próg przestąpił, drzwi zamknęły się; przy drzwiach stanął drabant z dardą.

Cała „ławica“ czyli koło ławnicze, wszyscy „gminni“ i „posesorowie“ pozostali w izbie radzieckiej. Teraz dopiero na zydlach i ławach zasiedli; zawiązała się rozmowa półgłówna.

Zwykle obiór burmistrza był poprzedzany bezpośrednio przez wybory ławników i rajców. W owym roku odstąpiono z konieczności od zwyczaju. *Scabini* i *consules* byli obrani jeszcze w styczniu — do obrania pozostawał tylko burmistrz.

Obiorcami burmistrza mogli być wyłącznie rajcowie. Ci męże, pełni powagi, rozsądku, oraz miłości kraju i miasta, nigdy nie czynili wyboru złego — chyba, że on im został z góry, od dworu, narzucony. Dwie tylko pobudki głosem ich kierowały: potrzeba publiczna i zasługi towarzysza. Prócz tego, słuchali — natchnienia.

Izba, do której weszli rajcowie, zwała się „sądowa“. Nieco szczuplejsza od poprzedniej, tchnęła większą jeszcze powagą. Tu wisiały na ścianach poczerniałe wiekiem wizerunki książąt Mazowieckich; tu na miejscu naczelnem stał brązowy posąg Sprawiedliwości, z oczyma zawiązanymi, z mieczem w jednej ręce, z wagą w drugiej.

W głębi, niezbyt duże, blachą żelazną okute drzwi wiodły do skarbcza. Oprócz pieniędzy magistrackich przechowywano w nim najważniejsze

przywileje i nadania miejskie, spisane na pergaminach, z pieczęciami książąt i królów.

Niestety! mimo tak obronnego zamknięcia, akt erekcyjny Starej Warszawy, będący metryką naszego miasta — przepadł.

Starcy zasiedli na krzesłach ustawionych w półkole. Miejsc było tyle, ilu rajców. Przed nimi, jakby w ognisku wklęsłej soczewki, stało jedno krzesło niezajęte — rodzaj tronu, ciężkiego od rzeźb, które go oplatały festonami kwiatów i owoców.

Było to miejsce przyszłego burmistrza.

W środku półkoła zasiadł stary Baryczka; na końcu prawego skrzydła Szeliga, na końcu lewego, najbliżej okna — Drewno.

Przy krześle Drewny ustawiono niską ławeczkę dla Hanusi. Starzec trzymał rękę na jej główce, chyłając się przed nim z pokorą.

Jasny, wesoły promień wpadł oknem i nie zatrzymując się w głębokiej wnęce, rzucił się na zbliżone ku sobie głowy starca i dziewczęcia. Poważny, prawie biblijny urok tchnął od tej grupy, słońcem ozłoconej.

Obiór burmistrza tem się różnił od innych, że przy nim nie za pomocą „kresiek“, lecz głosami objawiano życzenie większości. Jeszcze w przededniu wyborów to życzenie, choć głośno nie wypowiedziane, było wszystkim wiadome. Miano głosować na Jana Szeligę.

Za kandydatem wszystko przemawiało: wiek stateczny, ród znany, od kilku pokoleń w Starej Warszawie osiadły, wielki rozum kupiecki, w częstych wyprawach na obczyznę zaostrzony, doświadczenie, ujawnione w kilkoletnim sprawowaniu urzędów radzieckich, wreszcie znaczne bogactwo.

Wśród ciszy zupełnej powstał Baryczka — z przemową, zwyczajem uświęconą, do towarzyszków się zwrócił. Upomniał w krótkich słowach, że wybory mają być aktem uczuć obywatelskich, nie znaczących żadną postronną, prywatną namiętnością.

Potem podniósł się z miejsca ustępujący burmistrz. Trzymał w rece dużą księgę, w której były spisane: prawo o wyborach, oraz przywileje miasta. Jedno i drugie dał do głośnego odczytania Długoszowi, siedzącemu tuż przy Baryczce.

Wszystkie formalności były już dopełnione.

Nastała głęboka cisza.

Starcy, ust nie otwierając, porozumiewali się oczami.

Nagle pociągnęło ich wszystkich słońce — pociągnęła srebrna głowa Drewny, odbijająca malowniczo od kruczych warkoczów Hanusiowych...

Całe grono przebiegła, jakby iskra piorunowa. Poczuli natchnienie, o które przed chwilą Ducha Świętego błagali. Serca ich, bijące zawsze zgodnie, szybko się porozumiały.

Cichym szmerem przebiegło przez izbę nazwisko: Drewno...

I zaraz kilku najsędziwszych, z miejsc powstawszy, wyrzekło dobitnie;

— Oto Bóg natchnienie nam zesłał. Drewnę mieć chcemy burmistrzem!

Inni podnieśli się również, powtarzając na różne głosy:

— Drewno niech burmistrzuje... Drewno! Drewno!

Głośniejszy od innych wywoływał to nazwisko Szeliga. A Baryczka mówił do towarzyszków:

— Zaprawdę, on z nas najrozumniejszy, bowiem posiadał mądrość boleści...

Posunęli się całą gromadą do starca, który siedział w zamyśleniu, jakby nie wiedząc, że to o nim mowa. Pod ręce go ujęli, wywiedli na środek — na tronie burmistrzowskim posadzili.

Ocknął się wówczas, rumieńcem silnym zapłonął. Głowę pochyliwszy, głosem cichym wyszeptał podziękowanie.

Podano mu krucyfiks. Osunął się na kamienną posadzkę, ukląkł i dwa palce na ramionach krzyża położywszy, donośniej już rotę przysięgi odmawiał.

— Ja, Melchior Drewno, zdawien-dawna naszej Starej Warszawy obywatel, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, Najjaśniejszemu Panu Królowi Jęgomości i też wszystkiemu Pospólstwu miasta tego: sławy, pożytku, porządku, praw i wolności nadanych bronić, jako najlepiej będę umiał i mógł, z poradą i pomocą Rady. Sprawiedliwość równą wszystkim, tak bogatym, jako i ubogim, sąsiadom i gościom czynić, dobrych miłując i łaskawie z nimi się obchodząc, a złych, według ich winy, karząc. Kościołów i szpitali doglądać, sierot i wdów bronić. A tego wszystkiego nie zaniedbam i nie opuszczę dla przyjaźni, bojaźni, darów, nienawiści, gniewu — w czym mi dopomóż Boże w Trójcy Świętej jedyny i wszyscy Święci Jego. Amen.

— Amen! — powtórzył chór starców, jak jeden mąż.

Po przysiędze posunęli się wszyscy do Drewny, aby go z kolan podźwignąć, na miejscu honorowem posadzić.

Do siedzącego przystąpił Klemens z Radziwia, burmistrz ustępujący, i wręczył mu uroczyście klucze miasta.

Baryczka zdjął ze ściany łokieć okuty — trzykrotnie uderzył nim we drzwi zamknięte. Stojący

z drugiej strony drabant otworzył je na całą szerokość.

Starzec stanął w progu, górując nad tłumem w izbie radzieckiej, izba bowiem sądowa była o kilka schodków wyżej położona.

— Szlachetnemu i dostojnemu Kołu Ławnicze-
mu, dwudziestu Mężom Gminnym i całej zwierz-
chności miasta Starej Warszawy!— donośnym głosem
zawałał. — Oto z mądrej rozwagi ichmościów panów
Rajców i z natchnienia Bożego Burmistrzem naszym
obranym jest jegomość pan Melchior Drewno, mąż
uczciwy, rozgłośny, uczony. Niech żyje!

— Niech żyje! — powtórzyła okrzyk izba cała.

Dwóch rajców podprowadziło Drewnę do progu.
On się kłaniał — tamci znowu krzyczeli.

Potem Drewno poszukał oczami Hanusi. Panien-
ka zbliżyła się do ojca, który był widocznie osłabio-
ny wzruszeniem. Pochylił się do niej, słów kilka do
ucha jej szepnął.

Blade, czarnowłose dziewczę, oczy spuszcza-
jąc, wyszczebotało:

— Ojciec czyni mnie tłómaczką życzeń swoich—
i zwyczajem starodawnym wszystkich ichmościów
panów do siebie na bankiet dnia jutrzejszego zapra-
sza.

Na tem zakończył się obiór burmistrza Starej
Warszawy w roku Pańskim tysięcznym sześćsetnym
siedmnastym.

III.

W dużej, wąskiej izbie z powalą ostrołukową nie
czerniał już pośrodku wypłowały falendysz. Zniknęły
też ze ścian czarne opony.

Było jasno, wesoło. Potoki światła, płynące
z mnóstwa świec woskowych, odbijały się od po-

godnych barw gobelinu, na ścianach rozwieszonego. Gobelin przedstawiał „Wiosnę“. Pośród drzew, okrytych młodą zielenią, na łące, której trawa przypominała szmaragdowy, mieniący się w słońcu aksamit, nad strumykiem, literalnie „srebrzystym“, bo niemi srebrnymi wyhaftowanym — snuły się dziewczęta w lekkich, powłóczyстых szatach, zrywając lilie, róże, fijołki.

Przez komnatę przewijała się wstęga biesiadników, błyszcząca podobnemi gobelinowi kolorami. Zwłaszcza niewiasty wyglądały, jak kwiaty.

Bogaci mieszczenie we własnych domach lekceważyli ustawę przeciw zbytkom. Tu już nie tylko atlas, aksamit i złotogłów, lecz i klejnoty drogocenne iskrzyły się w łunie licznych świeczników. Mieszczaneczki były rade pochwalić się skarbami rodzinnymi i roztaczały bogactwo swe, jak pawie lśniące ogony.

Jedynie dziewczęta i matrony blasku od klejnotów nie pożyczały. Pierwszym wystarczały wianki z róż na rozpuszczonych włosach; drugim — wdowie, półżalobne czepece.

Przez wąską komnatę przepływały coraz nowe fale gości: młodzież, ludzie dojrzały i starcy. Wszyscy zatrzymywali się przed portretem Hanusiowym przedziwnej piękności; wszyscy oglądali z zachwytem wspaniałe, jedwabiem wyszywane „szpalery“, chwając je w głos i wartość ich — zwyczajem kupieckim — na dukaty obliczając. W całej Starej Warszawie jeden tylko Drewno „Bogacz“ mógł się być na zbytek taki zdobyć. Znawcy porównywali „Wiosnę“ z „Potopem“, dziedzicznym gobelinem królów polskich, i twierdzili, że ostatniemu w niczem nie ustępuje.

Tą „Wiosną“ haftowaną uczcił Melchior wiosnę żywą, która, w osobie Hanusi, w dom jego wstąpiła.

Do izby portretowej, którą nazywano teraz „wio-

senną“, przytykały z jednej i drugiej strony komnaty przestronne, pełne światła, sprzętów zbytkownych, wydobytego z ukrycia i rozkładającego się z zadowoleniem bogactwa.

W jednej komnacie służba przybierała stoły do bankietu. Przewodził tu i rozkazy wydawał ochmistrz dworu królewskiego, włos napół spolszczony, który za grube pieniądze zgodził się zestąpić z wyżyn zamkowych na padół mieszczański. Ale i on, to rozszerzał oczy z podziwu, to je mrużył z zadowolenia, widząc, jak niezmierną mnogość kryształów, farfuru, naczyń srebrnych, pozłacanych i szczerozłotych wydobywano z wielkich szaf gdańskich, stojących pod wszystkimi ścianami.

W tej komnacie przygotowywano miejsca dla najdostojniejszych, dla patrycyatu staromiejskiego i dla niewiast. Młodzież męska oraz mniejsi personaci bankietować mieli w izbie obocznej, która zresztą nie była od tej ani szczuplejsza ani uboższa.

Po stronie przeciwnej — tańczono. Kapela przygrywała hucznie i skocznie. Ale tylko najniecierpliwsi szli w płasy. Stateczni i światowych zwyczajów świadomsi chowali ochotę na później.

Gościnność domy rozszerza — tu jednak nie wystarczała. Domy w Starej Warszawie były przeważnie wąskie, rozrastające się bardziej wwyż i wzdłuż, niż wszerz. Kamienica Drewnowska należała do największych; i w niej wszakże na jednym piętrze tak wielki tłum gości nie pomieściłby się wygodnie. Szczęściem, do Drewny należał także dom sąsiedni. W łączącym oba domy murze wybito duży otwór, ubrano go festonami kosztownego adamaszku i z dwojga średniej wielkości mieszkań zrobiono jedno bardzo przestronne.

Wszystkie okna od czoła stały otworem. Prócz

wrzawy zmieszanych rozmów, brzęku srebra i szkła, hucznej melodyi „regalów“, lały się z nich na cichą, senną ulicę fale zapachów mocnych, odurzających, w których się podówczas nad miarę kochano. Oba domy tchnęły niemi, bo nawet podłoga w sieniach i stopnie schodów były skropione wodą kamforową.

Milczące od tak dawna mury zdawały się wstrząsać dreszczami rozkosznymi. Jak pod ciepłym marcowego słońca wychodzi ze ścian „zamróz“ zimowy, tak z tych murów sądziwych występowały na wierzch i ulatniały się zarazki nudy, melancholii, martwoty...

Było wszakże w tem ognisku wybuchliwej wesołości jedno miejsce, gdzie nie śmiano przemawiać inaczej, niż szeptem, gdzie zachowywano się statecznie, powściągliwie, prawie, jak w kościele.

Tem miejscem była nieco wgłębiona część izby gotyckiej, gdzie wisiał portret Hanusi. Przed portretem zawsze ktoś stał lub siedział, przyczem po raz tysięczny powtarzali jedni drugim historję cudownego powrotu dziewczki.

Z dnia katastrofy Hanusia zachowała tylko pamięć wielkiego blasku i gorąca, a potem głębokiej ciemności i przykrego chłodu. Zapamiętała niewyraźnie i to jeszcze, że ją wieziono przez czas długi, dniami i nocami, przez różne wsie i masta. Rozmaitość wrażeń osuszyła prędko jej lzy.

U kresu długiej podróży znajdowało się miejsce bardzo ciche i bardzo piękne. Niezliczone białe korytarze, zaciszne białe komnatki, wielkie białe izby z oknami kolorowemi... Ta białość przeczysta mieszała się z zielenią i kwiecistością licznych ogrodów, z fioletem gór, wyrastających ścianą zębatą na zachodzie.

W ogrodzie, na korytarzach, w komnatach, w izbach — młode i starsze niewiasty, ubrane szaro,

jednostajnie, przemawiały głosem cichym, słodkim, ujmującym.

Powietrze było przejęte kadzidłem, drżące od śpiewu chóralnego, od organowych akordów.

Później dopiero dowiedziała się Hanusia, że jest w klasztorze i że ten klasztor leży daleko, za Krakowem, u samego podnóża Karpat.

Gdy była nieco starsza, objawiono jej nadto, że z woli opiekuna ma zostać zakonnicą.

Tego opiekuna, który ją przywiózł i w klasztorze zostawił, nazywano „doktorem“. Znała go i wielce poważala sama ksieni. Oświadczył, że Hanusia jest sierotą zupełną i wypłacił od razu jej posag zakonny. Potem odjechał i przez lata całe nie pokazywał się w klasztorze.

Dziewczątko wyrastało, jak lilia ogrodowa, której przeznaczeniem ozdobić kiedyś ołtarz Bogarodzicy. Żyła jedynie modlitwą, ciszą, zachwytem religijnym. Wszystkiem był dla niej klasztor. Za murami klasztorami widziała świat pełen przewrotności, kłamstwa, grzechu. Nie tęskniła do tego świata — owszem, drżała przed nim.

Pamięć lat dziecięcych zupełnie w niej zamarła. Myślała często, że jej rodzice nigdy naprawdę nie istnieli. Może ją przyniósł i na stopniach ołtarza złożył anioł srebrnoskrzydły? Może spadła z chmurki białej, przepływającej nad klasztorem? Może obłoczek kadziła, tchnienie róż klasztornych, dźwięk organu, światło gromnic ucieleśniły się pod jej postacią?

Znała już wszystkie praktyki zakonne. Spiewała pieśni łacińskie i rozczytywała się w martyrologiach. Nie obcy był jej nawet ból, jaki sprawia włosienica i dyscyplina.

Z żarliwością, budzącą podziw w starszych towarzyszkach, umartwiała ciało, podnosiła ducha.

Z własnej ochoty znosiła posty surowe, sypiała na kamiennej posadzce — próbowała nawet sypać w trumnie.

Dzień jej obłóczyn był jużznaczony. Ale właśnie, gdy czyniono do tej uroczystości przygotowania, zjawił się niespodziewanie opiekun i zażądał wydania dziewczki.

Ponieważ nie upominał się o wiano zakonne, „matka wielebna“ opozycyi nie zakładała.

Hanusia powróciła do „doktora“, który wydał się jej obcym, jakby po raz pierwszy widzianym. Ale nie czuła przed nim trwogi najmniejszej. On jej powiedział, że rodzice odnaleźli się i że ją do nich powiezie.

Dzieweczce żal było obecności, ale i przyszłość ją zaciekawiała.

Pojechali do Krakowa, gdzie znakomity artysta odmalował jej portret w ubiorze klasztornym.

Z Krakowa udali się do Warszawy.

Ponieważ nagła radość z odzyskanego dziecka mogła była jej ojca zabić — pokazano mu ją najpierw na obrazie.

Potem, gdy jego oczy do obrazu nawykły, a umysł czytaniem ksiąg odpowiednich dość się wzmocnił, „doktór“ zaprowadził ją w porze wieczornej do drzwi domu rodzicielskiego.

— Wejdz — rzekł do niej — śmiało a skromnie. Przed obrazem chwilę postój, potem przystap do swego ojca i ucałuj go statecznie, jakbyś powitała po powrocie z krótkiej przechadzki.

Powiedziawszy to, ów człowiek odszedł i więcej się nie pokazał...

Hanusia uczyniła, co jej zlecono.

.

Wszyscy, słuchając opowieści, byli wzruszeni. Ale nikogo ona tak do głębi nie wstrząsnęła, jak pewnego jasnowłosego młodzieńca, który widocznie po raz pierwszy ją słyszał.

Wśród tłumu strojnego ten młodzieniec wyróżniał się na podziw skromnym ubiorem. Nie miał na sobie żadnego klejnotu; nie miał nawet złotej lub choćby srebrnej zapinki. Odzież jego była czarna, pół-żałobna.

Twarz młodzieńca pokrywał smutek. Przygasałe oczy, zapadłe policzki mówiły o przebytych niedawno cierpieniach. Było widoczne, że zabawy ogólnej nie dzieli, że w tłumie biesiadującym znalazł się z przy-musu.

A jednak, gdyby stopniem bogactwa szczęście ludzkie mierzyć, ten młodzian w domu Drewny należałby do najszcześniejszych — może byłby najszcześniejszy...

Wszakże to był Krzyś Dąbek, główny spadkobierca zmarłego przed rokiem Kawki, dziedzic jego kramu i kamienicy, starszy „legier“ potężnego domu Burnbacha, a co najważniejsze: tegoż Burnbacha syn przybrany i przyszły dziedzic—choć już nie przyszły zięć, niestety.

Obu im popsuła szyki grasująca w Gdańsku minioniej jesieni epidemia czarnej ospy. Ona to, na kilka tygodni przed ziemskimi ślubami, zabrała szczebotliwą Ketchen na trwalsze z niebem zameęcie.

IV.

W dwóch wielkich izbach stołowych dwie kapele przygrywały naprzemian ucztującym. Gdy jedna znikła, natychmiast odzywała się druga. Mury

i okna na chwilę drżeć od hucznej muzyki nie przestawały.

Biesiadnicy, choć na starszyznę i młodzież podzieleni i przy dwóch stołach siedzący, mieli też samą wygodę. Pod dachem Drewny nikt z gości nie był pośledni.

W izbie wyższej ucztującymi zajmował się sam Melchior z żoną; izba niższa była pod opieką brata Melchiorowego, Łukasza.

Oba stoły były zastawione złotem, srebrem i kryształami — cyny nawet na szarym końcu nie widziano. Olbrzymie serwisy zajmowały środek każdego stołu. Serwis na stole górnym wyobrażał świątynię z kolumnami alabastrowemi. Nakrywała ją kopuła złota w karpia łuskę; nad kopułą roztaczał białe skrzydła wielki srebrny orzeł ze „Snopkiem“ królewskim w dziobie. Pomiedzy kolumnami stały ofiarnicze trójnogi szczerozłote; na nich kryształowe naczynka na sól, cukier, pieprz, imbir i różne tłuczone korzenie. Wielkie, również kryształowe amfory mieściły w sobie ocet i oliwę. Podstawę serwisu, na lwich łapach ze srebra opartą, stanowiła olbrzymia tafla szkła zwierciadlanego.

Serwis na stole niższym był nieco skromniejszy. Cały srebrny, przedstawiał altanę, której słupki schodziły się u góry, służąc za podstawę dużemu koszowi, pełnemu pomarańcz i cytryn. I ten serwis miał kopułę, na której, zamiast orła, królowała Syrena.

Drewno „Bogacz“, a bardziej jeszcze jego dumna żona, zapragnęli owego dnia pokazać światu swe wszystkie skarby. Była w tem niezawodnie próżność, ale była przede wszystkim chęć ucieszenia siebie i innych widokiem rzeczy pięknych, kosztownych, trudem wielu lat zgromadzonych. Więc, zwyczajem

owoczesnych krezusów, pootwierano drzwi wszystkich szaf, napełnionych drogocennymi naczyniami. Prócz tego, na schodkach, umyślnie w głębi obu izb ustawionych, porozkładano wielkie misy, dzbany, pu-hary, talerze oraz cacka przeróżne, wszystko z drogiego kruszcu, wielce misternej roboty.

Drewno pewnie połowę fortuny w te „porządki“ włożył — a fortuna jego była niezmierna.

Gdy oczy opatrywały i szacowały wystawione na pokaz bogactwa, myśl zwracała się mimowoli ku tej, co w przyszłości będzie ich dziedziczką. Ona była właściwą bohaterką dnia. Rodzice synów dorosłych biedzili się nad pytaniem: komu się dostanie ten kasek królewski, ta córka jedyna bogacza nad bogacze?

Hanusia tymczasem siedziała cicha, zamyślona, najzupełniej obca całemu widowisku, wszystkim żądzom, projektom, wyrachowaniom.

Śliczna, bladziuchna, ubrana biało, miała również białe na czarnych włosach róże. Inne dziewczęta zwieńczyły się fijołkami, różami ponsowemi — jej nawet do kwiatów różowych matka namówić nie mogła.

Czemś klasztorzem i czemś żałobnem tchnęła smukła, świetlana postać dziewczki.

W tłumie biesiadniczym niejedne oczy iskrzyły się, patrząc na Hanusię. Ale nikt pewnie tak pilnej i stałej nie miał na nią uwagi, jak gość dostojny, posadzony na pierwszym zaraz miejscu po doktorze Klemensie z Radziwia, któremu prym w zebraniu należał się *ex officio*.

Obecność tego gościa niejednegoby zdziwiła. Wszakże to był we własnej osobie imć pan Zboiński, posesor z Węgrzynowa, niedawny adwersarz Melchiora Drewny!

Skąd on się wziął na tem miejscu? Jakie prawa zdobył do atencji?

Nie animusz rycerski dziwy te sprawił, lecz — dyplomacya. Nie napróżno stary szlachcic spędził długie lata w służbie Boboli...

Zaledwie doszła do Węgrzynowa wieść o zjawieniu się Hanusi i ocknięciu Melchiora, natychmiast Zboiński zrozumiał, że sprawie inny obrót nadać należy.

Po krótkim namyśle, rozłożone na pulpitych foliały i kwartanty pozamykał, z szuflad powyciągał uzyskane przeciw Drewnie kondemnaty, oraz wszelkie akta procesowe — związał to wszystko razem, ubrał się odświętnie i dosiadłszy konia, z pakunkiem swym ruszył do Starej Warszawy.

Konia zostawił w gospodzie, z papierami do Drewnów poszedł.

— Bóg was nawiedził, moi państwo — wyrzekł po przywitaniu — i mnie z wami po Bożemu poczynać wypada.

Rozwinął papiery, pokazał plik kondemnat.

— Co ziemskie — ze wzgardą dodał — niech idzie na ziemię!

I cały zwitek pod stół rzucił.

Potem otworzył szeroko ramiona, uściskał Drewnę, jak przyjaciela, Drewnowej końce palców ucałował, mówiąc, że oboje uważa za świętych — bo tylko świętym Bóg cuda ukazuje.

Wreszcie poprosił, żeby pokazano mu Hanusię. Na czole dziewczeczki złożył ojcowski pocałunek; oświadczył, że do obojga rodziców uderzająco podobna — żądał, by go uważała za przyjaciela.

Zakończył te wszystkie kordyalności pytaniem, czy kochani sąsiedzi pozwolą, aby im syna swego przedstawił?

Rumieniec oblał twarz Melchiorowej.

— Synaczek waszej wielmożności — rzekła rozpromieniona — spotka się pod dachem naszym z równą, jak jego ojciec, przyjaźnią i estymą.

Bezpośredniem tych odwiedzin następstwem była obecność obu Zboińskich na bankiecie. Ojciec królował w izbie górnej, między starszyzną; synowi dostało się miejsce nieco późniejsze, wśród młodzieży.

Wyróżnienie starego szlachcica było dziełem pani Melchiorowej. Pełna próżności niewiasta, dostawszy w dom herbowego, czuła się tak szczęśliwą, jakby „Pana Boga za nogi chwyciła“. Było między mieszczanami wielu znacznie przewyższających wartość Bobolinego poufnika — Drewnowa przecie uparła się wywyżżyć go i postawiła na swoim.

Za to przy drugim stole Melchior okazał się samowładnym. Młody Zboiński posadzony został przezeń nietylko po wszystkich „gminnych“, lecz i po obu braciach Dąbkach.

Zzymnął się na to, zębami zgrzytnął, oczyma zamigotał. Przez większą część uczyty milczał, topiąc wściekłość w kielichu. Potem zjadliwemi docinkami jął drażnić Krzysia.

Ale zatrute strzałki nie szkodziły młodemu mieszczaninowi. Nastrojony poważnie, przejęty smutkiem, nie czuł ich nawet. Od dwóch dni dopiero bawił w Starej Warszawie. Przybył w sprawach zarówno swoich, jak swego przybranego ojca, który miał tu domów kilka, oraz duże składy towarów. Zaliczony do mieszczaństwa warszawskiego, nie mógł się wymówić od uczestniczenia w uroczystościach, z obierem nowego burmistrza złączonych.

Jadł mało, nie pił wcale — z bratem swym tylko półgłówną wiódł rozmowę.

Tymczasem z każdą chwilą uczta bardziej się ożywiała. Niebawem można było powiedzieć, że bracia Dąbkwie byli jedyni z biesiadników, którym trunk głowy nie zamroczył. Poeta nie należał do tych, co za kołnierz wylewają, zwłaszcza gdy miał przed sobą wino tak wysokiej cnoty, zwykł był jednak w picciu, jak we wszystkim, przestrzegać Horacyuszowej miary.

Drzwi przedzielające obie izby stały otworem; gwar jednej przedostawał się do drugiej; dwa potoki wesołości mieszały się ze sobą, podniecając się wzajem. Mieszczanie, zwykle trzeźwi i, jak wszyscy handlujący winem, nie łakomiący się zbyt na nie, teraz gęsto wychylali kielichy. I to należało niejako do regulaminu obiorczego.

W górnej izbie, mimo obecności niewiast, „pełne“ szły za „pełnemi“, przyczem stary Zboiński uważał za obowiązek pokazywać mieszczenkom, w jaki sposób należy obchodzić się z puhaem i szklenicą. Obudziło to chęć współzawodnictwa w młodszych synach Starej Warszawy. Gdy ochota wzrosła, jeden z ostatnich pochylał się do Drewny i z uśmiechem filuternym zapytał:

— Ojczy radny! Pono nie zawadziłby „wiatraczek“?

Dosłyszał te słowa Zboiński.

— Waszmoście tak zwać musicie jakowys fortel przy picciu? — z nietajoną ciekawością zagadnął.

W odpowiedzi Drewno skinał na jednego z usługujących, do ucha rozkaz mu poszepnął.

— Za moment — rzekł, do gościa się zwracając — waszmość ów fortel obaczysz. Jest to — skromnie dorzucił — sztuka mieszczańska; nie wiem, przypadnie-li do gustu szlacheckiego?

Gdy to mówił, sługa postawił przed nim wielki

srebrny puchar kształtu osobliwego. Zboiński, niezmiernie osobliwości takich ciekaw, prosił, by mu dano dziwne naczynie do obejrzenia. Do samych oczu je podniósł, przyglądał mu się długo z pilnością niezwykłą.

Puchar miał kształt sporego dzwona.

Na wierzchu dzwona znajdował się nadzwyczaj misternie wyrobiony wiatrak. Z okienka wyglądały głowy: młynarza w szlafmocy i młynarki w dużym czepcu. Oboje byli tłuści, uśmiechnięci. Po schodach szedł w górę młynarczyk, uginając się pod ciężkim worem zboża. Scenka była pełna życia i humoru.

Szlachcic, przypatrzawszy się, kielich oddał.

— Figla-m ciekawy — rzekł — a dojść go nie mogę.

Więc kielich przeszedł w ręce sławetnego Raczka, który był z rajców najjowialniejszy. Ten zażądał przedewszystkiem, aby mu przyniesiono flaszkę co najprzedniejszej małmazyi. Wino do kielicha wylał, potem przyłożył usta do małej rurki na brzegu pucharu. Dmuchnął i zaraz skrzydła wiatraczka obracać się zaczęły z cichym furkotem. Obracający się wiatraczek podał Zboińskiemu.

— Trzeba wino wypić, zanim wiatrak obracać się przestanie.

— To potrafimy — zaśmiał się szlachcic. — Co przecie potem?

— Potem ono wypicie odzwonić.

— A czem-że?

— Czemże-by, jak nie dzwonem, co jest w środku.

— Uczynь waszmość *exemplum* — łacniej się pojmie.

Raczek gracko wywiązał się z zadania. Puściwszy w ruch wiatraczek, wino duszkiem wychylił,

potem obróconym w dół kielichem potrząsnął i donośnie zadzwonił. Do dna kielicha było przytwierdzone szczerozłote serce.

„Wiatraczek“ doznał ogólnego powodzenia. Wszystkich wyśmienicie zabawiał.

Gdy tak „góra“ rozweselała się krotoczwilami, na dole zbierało się na burzę.

Wichurze nie wystarczały już docinki. Odsunął się ze stołkiem swym od stołu i nabrawszy w rękę gałek z chleba, zaczął ciskać niemi w młodszego Dąbka.

Krzyś chciał jeszcze i to w żart obrócić, ale w bracie jego, który był bardziej porywczy, zakipiał gniew.

Poeta wysunął się również ze stołkiem, zasłaniając sobą Krzysia.

— Dziw — w głos wyrzekł — że w domu sławetnego mieszczanina poczynają sobie drudzy, jak w gospodzie lub na leżach obozowych.

Konrad ucha nadstawił — uchem, rzec można, zastrzygł.

— Nie bakałarzom — przez zęby mruknął — sądzić ludzi rycerskich obyczajem.

— Karcić nieobyczajnych, rzecz właśnie bakałarska — poprawił tamten.

Zamigotały czarne oczy lisowczyka.

— Zapominasz waszmość — syknął, najeżając wąsy — że mówisz do szlachcica...

Petrus Quercus zaśmiał się głośno.

— Szlachectwo bez cnoty — z łyka forboty! — wyrzekł do siebie niby, tak przecie, że był usłyszany przez wszystkich najbliższych.

Wichura rzucił się na stołku, jak nożem żgnięty.

— Łyku! — wrzasnął. — Na cnotę, na klejnot mi następujesz!

Kapela w owej chwili grzmiała, głusząc słowa

krzykacza. Inaczej sprawa przyjęłaby pewnie bardzo zły obrót.

Wielka ogląda, na Zachodzie nabyta, wstrzymała poetę od czynienia burdy. Odpowiadając, nie tylko, że głosu nie podniósł, lecz owszem zniżył go jeszcze.

— Trunek waści zamroczył. Rozwagi ci brak i pamięci. Zapomniałeś, że gościsz w domu łyka, otoczon łykami — że wino i mięsiwo, któremiś tak hojnie pusty żywot naładował, łyk przed tobą postawił.

Niewiadomo, coby odpowiedział porywczy szlachcic — szczęściem, w teje chwili w obu izbach zrobił się rumor. Starszyzna podniosła się od stołu; młodzież pójść musiała za jej przykładem.

Tłum rozdzielił i w przeciwne strony uniósł zwaśnionych.

Dużo czasu upłynęło, zanim pomiędzy zmieszana drużyną ład zapanował. Każdy szukał właściwej kompanii, odpowiedniej rozrywki. Jednych ciągnęła poważna *de publicis* gawęda: innych krotochwilne przekomarzanie się z niewiastami; inni jeszcze szukali kąców ustronnych do drzemki. Starszym białogłowom cisnęły się na usta utyskiwania na frasunki domowe; młodym drgały nogi do tańca.

Już też w obszernej bawialni obie złączone kapele usadowiły się na chóрку i słodkimi dźwiękami fletów mile łaskotały nerwy. Pęki świec z jarzącego wosku rzucały na wszystko żółtawe, drżące — rzekłby kto: tańczące — światło. Podłoga, wodami pachnącemi złana, tchnęła wonią odurzającą.

Matrony zasiadły sznurem pod ścianami; przy matkach tuliły się córki dorosłe, jak kurczęta przy kokoszach. Blisko drzwi jednych i drugich stali młodzieńcy, pomuskując czupryny, gładząc wąsa, wysta-

wiając jakby na pokaz zgrabne buciki na wysokich napiętkach z czerwonego lub żółtego safianu.

Aby stało się zadość zwyczajowi, starzy rajcowie, podawszy rękę poważniejszym mężatkom, wysunęli się na środek, aby przetańczyć „pieszego”. Trwało to krótko. Niebawem mężatki znalazły się na dawnych miejscach; rajcowie cofnęli się do izb dalszych — kapela huczniej i skoczniej zagrała.

Tu dopiero otworzyło się pole dla Wichury. Iskra stał się, wężem, ptakiem, płomieniem. Oczy latały mu, jak u szaleńca, śniada twarz przybrała barwę ciemnej purpury — skakały w nim wszystkie nerwy, wszystkie mięśnie. Zdawało się, że w ogniu własnej krwi spłonie, na popiół stleje, z dymem uleci.

W tańcach „skocznych“ nie miał sobie równego; w „gonionych“ sam siebie prześcigał.

Jego animusz taneczny budził zachwyt w mężczyznach i niewiastach. Owiewał je gorącym tchnieniem rycerskości, pola bitewnego, krwawej, upajającej furii, która plebejom wydawała się jakby świętym szaleństwem kapłanów eleuzyjskich...

W niejednej piersi niewieściej skakało serce do taktu płasom Konradowym. Ale niczyja twarz płomieni wewnętrznych nie zdradzała. Do mody należało mieć twarz nieruchomą, nic zgoła nie wyrażającą. Im większe było w licach podobieństwo do maski woskowej, tem nadobniejszą, tem „cudniejszą“ wydawała się niewiasta...

Z taką właśnie zimnokrwistą z pozoru pannicą o źrenicach szklanych, brwiach zlepionych w waziuchne niteczki, usteczkach, jakby wymalowanych na bladuróżowej buzi, tańczył Wichura „gonionego”. Różne miał ten taniec odmiany — Zboiński wszystkie znał, ze wszystkiemi się popisował.

Postawiwszy swą tancerkę na środku izby, wy-

bijał jej czołem pokłony i kręcił się dokoła niej, jak fryga, najdziwniejsze i najśmielsze wykonywując figury. Zwało się to „drobuszka“.

Potem nacierał na nią obcesowo, do ucieczki przymuszał, za uciekającą gonił po izbie całej w rytmicznych podskokach. Oczy mu płonęły, na ustach igrał uśmiech zalotny, twarz wyrażała największą poządliwość...

Nagle, gdy już miał dziewczynę pochwycić, wyraz jego twarzy zmieniał się błyskawicznie. Ściągnięte brwi, schmurzone czoło, usta zacięte — gniew objawiały. Wymijał tancerkę nadąsany, niechętny — jakby urażony.

Śmiano się z tych dąsów, przyklaskiwano dobrze udanej niechęci. „Oniewus“ nie mógł być tańczony inaczej, jak — z gniewem.

Zachwył niewiast był cichy; mężczyźni objawiali go głośno. Najgłośniejsze aplauzy odbierał tancerz od swego ojca. Zboiński był dumny z Konrada; na jego zalety chciał zwrócić uwagę ogólną.

Inni tanecznicy zgaśli przy Wichurze, który od razu uczynił się prowodyrem płasów. Na niego tylko patrzano, on był jedynie przedmiotem zajęcia.

Do bawialni zaglądać jęli i starsi mężowie, oklaskami zwabieni. Widowisko było naprawdę ciekawe. Mieszczanie uśmiechali się, gładząc brody; chwalili głośno, a po cichu myśleli, że jednak w karmazynach krew ognistsza i szybciej krąży.

Zboiński podszeptał hasło któremuś z najbliższych — wnet starzy i młodzi wołać zaczęli:

— Świeczkowy! świeczkowy!

Zrozumiała wołanie czujna służba — przyniosła świeczki woskowe i nalane winem szklenice. Starsi z kielichami, młodzież ze świeczkami palącymi się wystąpili na środek. opasując kołem dziarskiego tance-

rza. Kapela zmieniła melodyę, bo ją zawsze do „świeczkowego“ zmieniała. Żywe koło poczęło kręcić się w tempie coraz szybszem, przytupując i pokrzykując. Migwały złote płomyki, rzucało iskry szkło — we środku stał Konrad tryumfujący, zwycięski... a przecie ani szczęśliwy, ani zadowolony.

Wichura już kilkakrotnie zmieniał tancerki — nigdy dostać nie mógł tej, której pragnął. Ta jedna nie dzieliła ogólnej wesołości. Siedziała przy matce blada, smutna, otaczającemu ją zgiełkowi obca. A jednak dla niej to właśnie wstąpił w dom mieszczkański, dla niej wystroił się kosztownie, dla niej cudów zręczności dokonywał.

Gdy ją w płasy zapraszał, usłyszał w odpowiedzi:

- Nie nauczona-m tańca.
- Nauczę waszmościankę.
- Niepojętna-m.

Dyalog urwał się.

W tańcu niespokojne oczy Wichury nie zatrzymywały się nigdy na tancerce; biegły nieustannie ku jedynaczce Melchiorowej, starając się jej spojrzenie pochwycić. Ani razu im się to nie udało.

Napróżno matka zwracała uwagę Hanusi na tancerza i jego zręczność. Czarne oczy dziewczątka nie dostrzegały go nawet. Zresztą wyraz tych oczu był taki, jakby nie widziały nic zgoła, prócz własnych myśli.

Gdy razem z dopalającymi się świeczkami kończył się „świeczkowy“, Konradowi wydało się, że niechętnie jemu oczy Hanusi biegną w lewo, ku drzwiom otwartym...

Spojrzał tam — zadrzał.

We drzwiach stał Krzyś Dąbek, wpatrzony w Hanusię, równie blady i smutny, jak ona.

W tejże chwili taniec skończył się. Konrad skoczył, rozrywając opasujące go koło; chłodząc twarz magierką, do drzwi się skierował. Wymijając Krzysia, potracił go niby nieumyślnie z taką siłą, że młodzieńiec potoczył się na środek drugiej komnaty i omal nie upadł.

Zaledwie to uczynił, sam otrzymał z przeciwnej strony równie krzepkie potrącenie. Wymierzył mu je Petrus Quercus. Zaklął i za kord chwycił u pasa wiążący.

Nie dano mu go wydobyć. Rozważniejsi otoczyli wszystkich trzech, ścisnęli i prawie przemocą wypchnęli do izby sąsiedniej. Tam jeden ze starych rajców zajął się uspokajaniem zwaśnionych.

— Prze Boga! — błagał — powściągnijcie waszmoście swą krewkość. Estymę winniście domowi szlachetnego Drewny. Urazy na inny czas, na inne miejsce odłóżcie. Nie uciecąż.

Dąbkwowie zaraz się uciszyli — Wichura nie przestawał się miotać.

Choć poturbowany przez Petrusa, wadził się nie z nim, lecz z Krzysiem.

— Słysz, plebeju! — syczał przez zaciśnięte zęby, przysunawszy twarz swoją tuż do jego twarzy. — Znowuśmy się na wąskiej ścieżce zdybali. Radzę: ustąp. Ja w prawo, ty w lewo — inaczej nie można.

Krzyś, choć zafrasowany, nie był przecie mazgaj.

— Idę drogą swoją, nie cudzą — spokojnie odrzekł. — Ustępować nie mam przed kim, ani poco. Sam na siebie, szlachcicu, bacz — mnie w pokoju ostaw.

Spokojność i pewność siebie młodzieńca zbiły tamtego z tropu.

— Gdańsk ci posłużył — w Gdańsku losu szu-

kaj! — wyrzekł z mniejszą już butą. — Na co ci Warszawa?

Tu wmieszał się do rozmowy poeta.

— Warszawa — macierz nasza. Większe-ć do niej prawa Krzysiove, niż waszmościne. Swój Ignie do swego. Mieszczaninowi najgodniej w mieście; żołdakowi — w obozie.

Wichura ledwie się mógł pohamować. Drgały mu wąsy i powieki. Nie mogąc sięgnąć przeciwnika nożem, wbił weń straszne z podełba spojrzenie.

— Nie z waszmością gadam! — mruknął.

— To nic. Szturhańca-ś odemnie wziął — możesz przyjąć i słów kilkoro.

— Com wziął, oddam. Jeno że u mnie szturhańce inaksze: z żelaza i stali. Wrychle, da Bóg, uładzimy swoje liczby.

— Radzę waszmości uładzić je wprzód z sumieniem swoim, tudzież — z Mahabejami...

Szyderstwo dojęło szlachcica do żywego. Prawda zawsze najdotkliwsza. Nie mógł już nad sobą panować — z dobytem żelazem do poety się posunął.

Przytrzymała go na miejscu ciężka łapa starego Zboińskiego.

— Schowaj to. Nie zabijaj fortuny, którać sama zwaśnionych, zważając, co mówią.

— Jejmość pani Drewnowa dopytuje o cię — rzekł z naciskiem, zatapiając groźne spojrzenie w oczach syna.

A ciszej dodał, na kord wzrokiem wskazując:

— Schowaj to. Nie zabijaj fortuny, którać sama w ręce lezie.

Przestroga wzięła skutek. Konrad żelazo wsunął do pochwy. Z głową zwieszoną, jak u spętanego byka, za ojcem poszedł.

Ody już znaleźli się za progiem, Zboiński powiódł

syna do ustronnego kąta, obok siebie posadził. Twarz jego wyrażała wielką przebiegłość. W kącikach ust i oczu krył się tajony uśmiech.

Zadzierzysty, okazały szlachcic zmienił się na chwilę w pełzającego poufnika Boboli.

— Tu nic po żelazie — rzekł do samego ucha Konradowi. — Ty, panie synu, zakrzętnij się wedle dziewczki; Dąbków mnie ostaw. Da Bóg, żądło im się wyrwie.

W szerokim uśmiechu pokazał wielkie, ostre, wilcze zęby...

V.

Krzyś nie śpieszył z wyjazdem.

Wiele czasu zajmowały mu sprawy własne i Burnbachowe; miał przytem inne powody, przytrzymujące go na miejscu.

Bogacz gdański uczynił Krzysia swym pełnomocnikiem na całą Warszawę. Właśnie jeden z domów Burnbacha trzeba było sprzedać, inny odnowić i rozszerzyć; o grunta podmiejskie toczyła się sprawa w urzędzie wójtowskim; składy towarów były zarzucone zamówieniami zblizka i zdaleka. Zajęcia było wbród — przydawszy zwłaszcza kłopot z własnym kramem po nieboszczyku Kawce, z rozdziałem puścizny po babce, z opatrywaniem biednych krewniaków i krewniaczek.

W tem wszystkim brat nie był mu żadną pomocą.

Petrus Quercus po dawnemu dzielił czas między stare księgi, młodą gospodynię, kruka, psa i polskie oraz łacińskie rymowanie. Chwile zbywające wypełniało mu porównywanie win węgierskich z francuskimi i hiszpańskimi, w celu ostatecznego pomiędzy nimi wyboru.

Przy picciu posługiwał się wyłącznie cyną — widocznie wino wciąż jeszcze było złote.

Ile razy Krzyś zjawił się w dworku Bocianim, narzekając na frasunki lub o pomoc prosząc, poeta od razu rzecz zamykał Salomonowem: *omnia vanitas*, po którym szło zwykle Horacyuszowe: *carpe diem*.

W dworku panowała zawsze jednostajna, spokojnie wesoła i umiarkowanie poważna atmosfera. Za ledwie dawało się zauważyć, że podająca teraz flasze z winem Greta była zażywną blondynką z profilem, szyją i biustem Junony.

I ta Greta chodziła w miękkich mesztach — oczu przecie nie trzymała wciąż spuszczonej, ani była skąpa w słowach i uśmiechach.

Poeta, który utrzymywał, że o przeszłości mówić „nie warto“, a o przyszłości „na nic się zda“, nigdy jej poprzedniczki nie wspominał. Prawdę rzekłszy, choćby chciał, nicby o niej powiedzieć nie umiał.

Ormianka w zawoju i baszmagach, wyszedłszy jednego rana z domu, już się więcej nie pokazała. Poeta zapytał o nią dwóch, trzech osób, a nic się nie dowiedziawszy, dalszych poszukiwań zaniechał. Względem swych Gret trzymał się stale zasady:

— Wolna wola przwiść — wolna wola odejść...

Na trzeci dzień rządu w dworku sprawowała już Junona.

A nie tylko w sprawach handlowych i gospodarskich trzeba było Krzysiowi zasięgnąć rady braterskiej. Inna jeszcze sprawa, stokroć od tamtych ważniejsza, czyniła go od wielu dni frasobliwym.

Od chwili, gdy ujrzał Hanusię i historię jej usłyszał, nie miał spokoju. Otworła się przed nim przepaść, której nie mógł zgłębić rozumem. Im dłużej się w nią wpatrywał, tem większy zamęt czuł w myślach, niepokój w sercu.

Rozum po tysiąc razy ostrzegał go, że jest szaleń-
niec — on rozumu nie słuchał. Nie było nikogo w Sta-
rej Warszawie, ktoby wątpił, że Hanusia Drewnówna,
która powróciła z klasztoru do rodziców, jest tą sa-
mą Hanusią Drewnówną, którą podczas pamiętnego
pożaru z Warszawy uwieziono.

Choćby nawet pamięć oczu ludzkich przez te lata
osłabła, udowadniał to zachowany w całej świeżości
portret Dolabelli. Dziecko miało też samą twarz, co
dzieweczka: bladą, smętną, pełną zadumy i tajemnicy.

To było uderzające, namacalne — temu Krzyś
zaprzeczyć nie mógł.

Ale i on nie myślał jej zaprzeczać.

Scena porwania dziecka ognistemi rysami wypa-
liła się w jego umyśle. Nieustannie wywoływał ją
w pamięci; za każdym razem stwierdzał, że tamta
Hanusia i ta są jedną i tą samą osobą.

Jednocześnie gotów był przysiąc, że dziecko,
które wyrwał z płomieni i które mu ukradziono, było
dzieckiem Dorotki.

Te dwie pewności wzajem się znosiły. Dziecko
Dorotki nie mogło być córką Drewny; córka Drewny
nie mogła być dzieckiem Dorotki.

Dylemat nierozwiązalny — chaos — otchłań...

Nie mogąc rozwikłać niepojętej zagadki ani ro-
zumem, ani instynktowym domysłem, zlecił Krzyś
wszystko Bogu. Modlił się i czekał na łaskę Ducha
Świętego, która mu ciemności rozwidni.

Tymczasem jedno było dlań pewne: potężne
wrażenie, wywarte na niego przez córkę Drewny.

Gdyby nie wiedział, że to myśl grzeszna, przy-
równywałby był to wrażenie do tego, jakiego do-
świadczał, modląc się przed obrazem świętym.

Ze śmiercią Ketchen zamarła w duszy Krzysia
wszelka pusta, chochlikowa wesołość, której młoda

Gdańszczanka była uosobieniem. Gdy się z taką wesołością spotkał, wydawała mu się szaleństwem i urąganiem. Wiele też cierpiał na bankiecie u Drewnów.

Ale Hanusia nie miała w sobie nic chochlikowego. Gdyby można było jego duszę posępną i bolejącą zakląć w kształt żywy, wyglądałaby tak właśnie, jak córka Drewnów.

Ciągnęło go do niej — do jej twarzy, która miała barwę lilii białej, do jej ust, na których zastygła modlitwa, do oczu, co zdawały się nieustannie wpatrzone w dalekie, zwykłemu wzrokowi niedostępne światy.

Uczucie, jakie w nim budziła ta dziewczeczka, dopiero z osłonek dzieciństwa wykwitająca, najlepiej określało częste westchnienie:

— Jakżebym pragnął mieć taką siostrę!...

Czatował na każdą sposobność, która mu pozwalała widzieć Hanusię. Nigdy nie mógł napatrzeć się jej dosyta. Patrzenie wystarczało mu. Nie rozmawiał z nią dotąd — myślał niekiedy, że głosu jej, wprost do siebie skierowanego, mógłby słuchać tylko na klęczkach.

Codziennie rano Hanusia odprowadzała ojca do drzwi ratuszowych. Powracała w towarzystwie starej sługi. W południe, z tą samą sługą, szła po ojca. Starzec obywać się bez niej nie mógł, jak Edyp bez Antygony.

Za każdym razem na drodze Hanusiowej znajdował się Krzyś — najczęściej przez dziewczeczkę niedostrzegany. Nie chciał być natrętnym, unikał wszystkiego, coby mogło najłżejszym pyłkiem ziemskim paść na tę duszę liliową.

Sprawy, dotyczące dziedzictwa po dziadku, zawiodły go kilkakrotnie do Ratusza, przed oblicze bur-

mistrza Starej Warszawy. Znalazł przyjęcie łaskawe, dobroć prawie ojcowską.

Drewno znał dobrze Burnbacha, z którym nawet w swoim czasie spółkę miał handlową. Nieboszczyk Kawka był jego przyjacielem. Łzy pociekły mu z oczu na wieść o śmierci córki Burnbachowej. I zaraz smutek go opanował tak wielki, że rozmowę zmuszony był przerwać.

Wznowił ją po kilku dniach z większym ożywieniem i z większą jeszcze życzliwością. Widoczne było, że upodobał sobie młodego Dąbka. Wypytywał go o wszystko, jakby chciał duszę jego nawskroś przejrzeć. Rozmowa przeciągnęła się aż do końca godzin urzędowych. W progu stanął pacholek, oznajmiając, że jejmościanka panna burmistrzowna na ojca swego czeka.

Drewno ujął młodzieńca pod ramię, zeszedł z nim na dół i pozwolił razem z Haniusią odprowadzić się do domu.

Ulice Starej Warszawy nigdy nie wydawały się Krzysiu tak piękne, jak wówczas, gdy szedł niemi w jejnej kompanii z Haniusią. Unosiło go coś w górę i lewicie czuł kamienie pod stopami. Z tego, co wówczas mówił, można było o jego rozumie sądzić bardzo niepochlebnie. Prawdę rzekłszy, sam nie wiedział, co mówi.

Na Haniusię nie patrzył, jednak wybornie ją widział. Obawiał się śmiertelnie, aby do niego nie przemówiła. Musiałby wówczas klęknąć na chodniku.

Gdy zbliżano się do domu, wydało się nagie Krzysiu, że przy hartie Dawidowej chór seratów srebrnymi zadzwonił głosami. A to tylko Haniusia wyrzekła:

— Dziś ojcaszek będzie miał na obiad gęś z czarnym sosem...

Takie odprowadziny kilkakrotnie się powtórzyły. Kilkakrotnie też młodzieniec został zaproszony w gościnę.

Zaproszenie wychodziło zawsze od Drewny. Drewnowa nigdy do niego nie dorzuciła słówka. Nigdy też nie okazała gościowi twarzy uprzejmej.

Krzyś bez trudności pojął, że nie ma w niej przyjaciółki.

Powodu odgadnąć nie umiał, choć on był prosty i niejednemu wiadomy...

Drewnowa nie mogła mieć twarzy uprzejmej dla Dąbków, gdyż ją chowała dla Zboińskich.

Bogata plebejka jedno tylko kryła w sercu pragnienie: skoligacić się ze szlachtą. Już w myśli przeznaczyła Hanusię na żonę Konradową. Stary Zboiński ukazał jej drzwi raju herbowego i obiecał, że je przed nią otworzy.

Dąbka traktowałaby pewnie z powszednią uprzejmością, jak wszystkich, ale Dąbek jej zawadzał. Czula w nim groźnego współzawodnika. Był bogaty, szanowany, skromny — między młodzieżą Starej Warszawy pierwsze trzymał miejsce. Co ważniejsze, Drewno pokochał go, jak syna.

W sprawach małżeńskich uczuć panny nie brano w rachunek. Jednak coś szepotało burmistrzowej, że i z tej strony może mieć przeszkodę. Z przenikliwością niewieścią odgadywała, że serduszko Hanusi będzie skłonniejsze cichemu a czułemu Krzysiówi, niż pełnemu dzikich a nietrwałych porywów Wichurze.

Na wady ostatniego zamykała oczy.

Niechby syn szlachecki tarzał się w ścieku, nędzny i półnagi, onaby wyciągnęła go z błota, odziała w atlas i klejnoty, posadziła obok siebie — rękę córki mu oddała.

Wiedział o tem Zboiński i śmiało wiódł syna do

zwycięstwa. Nowe długi zaciągnął, siebie i Konrada wystroił; przemysłem dyplomatycznym zdobył nawet klejnotów trochę, herbem rodzinnym zdobnych, którymi nieustannie ćmił oczy burmistrzowej.

Przed Zboińskimi cel był jasny — Krzyś nie umiałby nawet przed sobą zdać z niego sprawy. Wiedział tylko, że dopóki na Hanusię patrzy, smutku swego nie czuje. Był zaś w wieku, gdy człowiek jeszcze umie i pragnie smutków swych się pozbywać.

Zboińscy często teraz nawiedzali Starą Warszawę. Sprawa ich szła coraz pomyślniej, ale tylko u matki Hanusiowej. Sama dziewczeczka i jej ojciec zachowywali się względem szlachciców obojętnie. Drewno był wręcz niechętny Konradowi, o co miewał nawet częste z małżonką spory.

Wichura nie mógł się pochwalić, żeby kiedykolwiek zajrzał w oczy Hanusi. Dzieweczka, nawet rozmawiając z nim, zdawała się go nie widzieć.

Skarżył się raz na to ojcu...

— Mleczak jesteś! — zaśmiał się stary na całe gardło. — Drewno musi być drewnem, na to nie poradzisz. Wzdycь poczekaj: zapali się ono drewno u twojego płomienia...

VI.

Dzień sierpniowy, od samego świtu bezchmurny, piekł żywym ogniem Warszawę. Nieco chłodu płynęło od Wisły, od licznych dokoła miasta gąszczów, lecz chłodowi stawał zaporą wysoki mur obronny i nie puszczał go do środka.

Antiqua Varsovia smażyła się w ciasnym zamknięciu, jak święty Wawrzyniec na ruszcie.

Nie tamowało to biegu spraw urzędowych i ku-

pieckich. Mieszczanie, jak mrówki, uwijali się po kramach, snuli po ulicach, szukając odrobiny cienia pod wystającymi daszkami, które każdy prawie dom posiadał na wysokości pierwszego piętra.

Ulicą Świętojańską szedł w stronę Rynku Krzyś Dąbek. Mimo upału szedł lekko, z głową podniesioną, z twarzą wyrażającą zachwyty. Przed chwilą widział Hanusię...

Z narożnego „sklepu“ (po dzisiejszemu piwniczki) wynurzyła się mocno różowa, potem okryta, twarz jego brata. Właściciel sklepu — zarazem pesesyonat i ławnik — sprowadził był właśnie z Węgier przednią małmazyę. Skosztować jej było prawie obowiązkiem poety.

Bracia ujęli się pod ramię, skierowali kroki do kramu dawniej Kawki, obecnie Krzysia.

Nim jeszcze znaleźli się w Rynku, dobiegły ich kilkakrotne, w krótkich odstępach czasu powtórzone, wrzaski tłumu.

— *Populus bawi się...* — zauważył z uśmiechem Petrus Quercus. — Może mu oprawca krotochwile pokazuje...

Mimo idących przebiegło pędem kilku wyrostków stanu rzemieślniczego, oraz kilka zdyszanych białogłów.

— Onufrowo! — zagadnął Krzyś znajomą. — A co tam za bałuch?

— Uciecha, mój miły! — zaszepeliła. — Mistrz łotrzycę chłosta.

— Śpieszajcie! śpieszajcie! — wykrzyknął pędzący szewczyk. — Już pewnie ochłostana.

— Jezusku Najśłodszy!... — ięczała, postukując szcudłem baba kulawa, — Żeby choć zdążyć na pięnowanie!...

Pośpieszyli za innymi i Dąbkowie. Wypadała im tamtędy droga; przytem widowiska byli ciekawi. Wszelkiego rodzaju „egzekucye“ należały do igrzysk publicznych, których widokiem nie gardzili najstacieczniejsi nawet mieszczanie.

Bracia z trudnością przecisnęli się przez tłum, który zapełniał prawą stronę Rynku. Ponad tłumem górował ustawiony wysoko pręgierz. Pod pręgiem stała młoda dziewczyna z czarnymi, rozpuszczonemi włosami.

Te włosy były ostatnią osłoną jej wstydu, ostatnią tarczą przeciw urąganiom motłochu. Nadzwyczaj długie i gęste, spływały falą czarną na oczy, twarz całą zakrywały.

— Spóźniliście się weszmoście! — mówił z ubolewaniem chudy safiannik z oczyma iskrzącemi się od uciechy. — Już butel połowy swego dokonał.

— No, no — wtrącił uspokajająco jego sąsiad, otyły winiarz, mlaskając wystającemi wargami. Jeszcze będą ładne rzeczy. Spójrzcie jeno na prawo. Grzeją się tam szczypczyki.

We wskazanym kierunku, na niższym stopniu rusztowania, stał żelazny koszyk, pełen węgli żarzących. Przy koszyku kręcił się chłop atletycznej postawy, ubrany od stóp do głowy czerwono, obciśle. Przegarniał łopatką węgle i rozpałał przy nich do czerwoności narzędzie żelazne, do długich obcęgow podobne.

Winowajczyni za całą odzież miała długą do samych stóp koszulę z płótna zgrzebnego, sznurem w pasie ściśniętą. Na plecach, ramionach i piersiach koszula była zakrwawiona. Przed chwilą właśnie skończyła się pierwsza część „widowiska“: pomocnik kata ochłostał obnażoną po pas dziewczynę.

Tuż przed Dąbkami stali dwaj ichmoście sta-

tecznie wglądający. Dopiero po bliższem wpatrzeniu widziało się, że jeden ma mine wilka, drugi lisa. Zanim jeszcze przemówili, można było poznać, że to meże uczeni. Szczególny blask ich oczu uprzedzał, że — juryści.

— Będzie-li strzyżona czy szelmowana?—pytał wilk.

— Długowłosa... nożyce jej nie miną — lis odpowiedział.

— *Zatem poena in crinibus.*

— *Et in carne.*

Wilk skrzywił się.

— *In cute*, chciałeś rzec, waszmość.

— Wiem, co mówię — zaśmiał się lis. — Prawo rozróżnia „skórę“ i „mieso“ — nie rozróżnia ich cęklarz. Widzi mi się, że ten drażal dobrał się i do mięsa.

Słońce piekło coraz mocniej. Tłumowi donoszono wodę zimną w dzbanach, które jedni drugim podawali. Mężczyźni osłaniali się od słońca zatkniętymi na kijach czankami; niewiasty trzymały nad głową rozpostarte chustki. Po wszystkich twarzach pot spływał.

Tłok zwiększał się z każdą chwilą. Znalazło się wszakże jeszcze jedno miejsce wolne dla nowego przybysza. Był nim młody, zawadyacki szlachcic. Dla szlachty zawsze i wszędzie miejsce być musiało.

Przybysz znalazł się na widowisku wypadkiem. Szedł od strony Bramy Wiślanej. Pilna a tajemna sprawa musiała go w tamtę stronę prowadzić. Nie było to miejsce dla szlachty.

Łokciami i głowicą szabli torował sobie drogę ten zuch z postawą rycerską. Potem latające, niespokojne oczy znieruchomił, utkwivszy je w obliczu skazanej. Nozdrza rozszerzyły mu się—wietrzył krew.

— Spójrz, Krzychu, — tracił brata Petrus Quercus, wskazując wzrokiem junaka — adwersarz twój...

Ale Krzys był w tej chwili zajęty odczytywaniem tablicy, na której wypisano rodzaj przestępstwa. Skazana była winna przyczynienia się do kradzieży, spełnionej u jej krewnego i opiekuna, oraz o zostawienie tego ostatniego bez opieki w chwili groźnego niebezpieczeństwa.

Ledwie skończył czytać, wrzaski tłumu wznowiły się. Na rusztowanie wstąpił butel, trzymając rozpalone cęgi.

Wielką łapą szybko, brutalnie rozgarnął sploty czarnych włosów, odsłaniając jedno ucho dziewczyny. Ucho było drobne, kształtne, białe, jak z konchy perłowej. Przyłożył do tego ucha żelazo — pociągnął..

Tłum zawył z uciechy.

— Urwał!... urwał! — wrzeszczeli jedni.

Inni poprawiali:

— Nie urwał — naderwał!...

Pomiędzy czarnymi włosami widać było tylko czerwoną, krwią buchającą plamę.

— To i koniec! — zaśpiewał z żalem chudy safiannik.

— Koniec abo i nie koniec — mlasnął winiarz. — Butel nie odchodzi. A i naród nie rusza się — śnać jeszcze na coś czeka.

— Na „dokładkę“ — zaśmiał się stojący obok rzeźnik. — Drugi pół unia stać gotów, póki mu ochłapa nie ciśniesz.

— A więc jeno *in carne* — wyrzekł z powagą jurysta o lisiej twarzy.

— *In cute* — poprawił towarzysza.

— Na jednym uchu kat przestał — pierwszą to wina,

— Nazbyt łaskawie osądzona. Wždyć kradzież ponad trzy złote sięgnęła.

— Ba, ale jakie złote? Czytaj waszmość w Prawie Saksońskim *De tribus solidis*. Nie o szelągachże to mowa?

— Jużci tak — wszakże *solidum* wykładają: złoty. Z łaciny to idzie: *a solidate auri*.

W tej chwili tłum pomrukiwać zaczął z zadowolenia. Rzekłbyś: stado niedźwiedzi, które dobroła się do miodu.

Na rusztowaniu znów się czerwony drab pojawił. Tym razem trzymał w łapie duże błyszczące nożyce.

— Hej-że dyna! — zaśpiewał nieposiadający się z uciechy parobek piwowski. — Będzie i rzeźnianie.

— Strzyżenie, dudo! — poprawił go rzeźnik.

— Waszmość duda, bo dudy nadymasz!... — odciął się parobczak.

I zaraz dał nurka w tłum, gdyż go już pięść rzeźnicka sięgała.

Błyszczące w słońcu nożyce mignęły przed samymi oczyma skazanej. Wzdrygnęła się — i to był pierwszy znak życia, jaki w niej od początku egzekucji dostrzeżono. Ruchem prawie instynktownym głowę szarpnęła w tył, lecz uderzywszy się silnie o słup przegierzowy, zaraz ją na piersi opuściła.

Butel zgarnął palcami twardemi pęk włosów granatowo czarnych. Zgrzytnęły nożyce raz, drugi, trzeci. Czarne płaty zaczęły padać dokoła, podobne martwym jaskółkom.

Teraz dopiero odsłoniła się twarz dziewczyny. Była kredowo-biała, w kamień zastygła, martwa.

— Jezus! Marya! — wykrzyknął Petrus Quercus. — Toć to moja ormianka.

Ręce załamał, zdziwiony i wzruszony,

— Wiadomo! — mruknął któryś z sąsiadów. — Siostrzanka Ogły ormianina. Nieboszczyka znałem; miał kram po tamtej stronie. Wychował ziółko. Dobrze, że naznaczona — każdy tera szelmę pozna...

— Na toż ci przyszło, niebogo! — mówił poeta ze współczuciem, na uwagi nie zważając.

Winowajczyni, zbita, „obszelmowana“, ostrzyżona, miała stać jeszcze przez czas jakiś na oczach ludzkich. Zbliżało się południe. Słońce rzucało promienie prawie prostopadle.

Każdy z widzów znalazł sobie jakąś ochronę przed upałem. Tylko dziewczyna pod pręgierzem była bezbronną ofiarą promieni słonecznych.

Strasznie było pomyśleć, że jej ostrzyżoną, niczem nie nakrytą głowę ogień z nieba od tyłu godzin przepala. Ale tej myśli nie miał nikt z tłumu. Serca, czy też tylko nerwy ówczesnych ludzi były twardsze, niż dziś, a dla winowajców zgoła nieczułe. Zresztą, tłum bywa zawsze okrutny.

Poeta nie wliczał się do tłumu, tłumem gardził. *Odiit profanum vulgus*. Ledwie zauważył mękę dziewczyny, uczył litość niezmierną.

W pobliżu stał dzban wody zimnej, świeżo ze studni przyniesionej. Chwycił dzban i rozpychając motłoch, podążył do miejsca kaźni.

Butel zagradzał mu drogę. Odepchnął go, na stopnie rusztowania skoczył—dzbanek do spalonych ust dziewczyny przyłożył.

Drgnęła, jakby budząc się z omdlenia. Potem piła długo, chciwie.

Poeta skropił obficie wodą jej twarz i głowę.

Otworzyła oczy, spojrzała mu w twarz — ani słowa nie wyrzekła.

Ale źrenice jej, dotąd suche, matowe, zabłysły nagle brylantowo, ogromnemi łzami nabrzmiałe.

Poeta postawił dzban z niedopitą wodą u stóp skazanej. Potem zeszedł powoli z rusztowania, odsuwając dostojnym ruchem ręki butla, który chciał go chwycić za ramię.

Tłum patrzył na to wszystko w milczeniu. Milczenia nie przerwał i później. Temu i owemu zrobiło się markotno; ten i ów zrozumiał, że Ewangelia każe „pragnącego napoić“, nie bacząc, kto on i gdzie się znajduje.

Jaga teraz dopiero zdawała się pojmować, co się z nią dzieje. Twarz jej skurczyła boleść: ogromne, nad miarę rozszerzone oczy zaczęły wpatrywać się z napięciem w kata i w tłum.

Najweselsi i najdziksi (co często łączy się ze sobą) przed tem spojrzeniem spuszczały lub odwracali oczy.

Nagle skazana dojrzała coś, co ją do głębi wzruszyło. Podniosła brwi, szyję wyciągnęła, wspięła się na palce, o ile na to krępujące ją sznury pozwalały. Nie mając rąk wolnych, oczyma wskazywała punkt jeden. Usta jej rozchyliły się — głosem zachrypłym, gardłowym wołać ją:

— O, o, o... tam... on!

Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku jej spojrzenia. Ale ten, którego wskazywała, nie czekał, aż go dojrzą i — również się odwrócił.

Powstało małe zamieszanie — on z niego skorzystał i ukrył się za plecami sążnistego parobka, choć szlachcicowi tak czynić nie wypadało.

Po małej chwili uwaga tłumu znów skupiła się na skazanej. Egzekucya była skończona. Kat odwiązał dziewczynę od „pręgi“, z rusztowania ją sprowadził.

Gdy stanęła na bruku, związał jej z tyłu ręce

i popędził przed sobą, jak się pędzi bydłę na rzeź lub do obory.

Już ona odtąd przestawała być istotą wolną, od siebie zależną. Prawo oddawało ją na własność i na łup oprawcy. Kat wiódł ją do ohydneho zaułka w „miedzymurzu“, to jest: w wąskiej przestrzeni, oddzielającej mur wewnętrzny od zewnętrznego. Tam mieściła się jego siedziba, w blizkiem sąsiedztwie budynku, zwanego „Dom Rycerski“, skąd i uliczka zwać się później zaczęła „Rycerska“.

Dziewczynę, kroczącą po rozpalonym bruku boso, w długiej koszuli, motłoch odprowadzał z wyciem, gwizdaniem i urągliwemi krzykami.

Ten zaś, którego ona oczyma w tłumie pokazała, z pośpiechem z drogi jej zeszedł, a zbiegłszy na Powiśle, puścił się pędem, jakby go kto gonił...

VII.

Goniono go istotnie.

W wąskiej uliczce usłyszał za sobą tętent stóp ciężkich, podkutyh. Tętent zbliżał się coraz bardziej, aż go wreszcie dosięgnął.

Widoczne było, że pościg urządza jeden tylko człowiek. Wichura mógł się bać tłumu i oczów jednej dziewczyny — lekceważył napastników nie tylko oddzielnych, lecz nawet kupą nacierających.

Stanął w miejscu i, z ręką na szabli, odwrócił się.

Ujrzał za sobą chłopa olbrzymiej postaci, w łachmanach, z pałąk w lewej ręce, z ręką prawą bezwładnie wiszącą. Ujrzał — Koltuna.

— A ty czego, dziadu? — pogardliwie skrzywił się.

Żebrak wysunął przygotowaną zawczasu miaseczkę,

— Biedny jestem... kaleka... o grosik proszę... —
zaśpiewał na nutę dziadowską.

— Tu nie miejsce na żebranie! — ofuknął go
Konrad.

I chciał odejść.

Ale Kołtun zastąpił mu drogę.

— Wielmożny panie — rzekł innym już tonem—
mnie od waszej wielmożności należy się...

— Za co?

Żebak zdrową ręką wskazał rękę bezwładną.

— A ot, za ten suchy badył, co go noszę z łaski
waszej wielmożności...

— Nie wiem, o czym gadasz. Nie znam cię.

— To ja pomogę wielmożnej pamięci. To było
dziesięć roków temu, jak Stara Warszawa gorzała...

Ciemny rumieniec przemknął po twarzy Kon-
rada.

— Dudkujesz, dziadu. Idź z Bogiem.

Podał żebrakowi drobny pieniądz i chciał odejść.

Kołtun pieniądza nie wziął, głową pokręcił,
krzywe nogi rozkraczył, zagradzając drogę.

— Tam był kram jeden — poprzednim tonem
ciągnął — w tym kramie skarby wielkie, przy skar-
bach dziewucha, jak łania...

Wichura milczał, gryząc wargi, szablę ściskając.

— To wszystko dostało się wielmożnemu panu.
A mnie z Ogłą co? Jemu śmierć; mnie sucha łapa
i kij dziadowski.

Konrad wciąż milczał, rzucając z pod brwi ścia-
gniętych wściekle spojrzenia.

Tamten mówił dalej:

— Klejnoty bies porwał — wiem. Wpadły w pa-
zury umarłakom — tam, pod szubienicą (wysunął
pałkę w stronę Kępy Polkowskiej). Ale czerwienie

u wielmożnego pana ostały. A było ich siła — widziałem!

— Czegoż ty chcesz nareszcie? — mruknął Konrad, nie patrząc na niego.

— Zaraz... zaraz... Wprzód o onej dziewczusze. Wielmożny pan widział ją u pręgi? Moja to gęba przeciw niej świadczyła. Gdzie grzych, tam i kara. I dziad ma sumienie, i dziad na Sądzie Boskim stanie. Taić mu wara.

Pomilczał chwilę, tonem poufnym dodał:

— A wżdy o wielmożnym panu zatałem. Grzych mój — wiem przecie, co się herbowemu należy.

— Więc?... — spytał Konrad nerwowo, rzucając oczami w prawo i lewo, jakby upatrywał, czy nikogo niema na drodze.

— Więc dopraszam się łaski wielmożnej o nagrodę.

Przy tych słowach pochylił się pokornie, jak przystoi proszącemu.

— Zbóju! — wrzasnął wściekły z gniewu Wichura. — Oto twoja nagroda!...

I dobywszy szablę, rzucił się na zgiętego olbrzyma.

Ale Kołtun z pod obwisłej czupryny śledził pilnie jego ruchy. Z nadzwyczajną szybkością wyprostował się — sękatą pałką cios odbił. Wytracona z ręki Konrada szabla upadła o kilkanaście kroków stamtąd.

Żebrak pobiegł po nią, podniósł, łachmanami z kurzu otarł — spokojnie podał szlachcicowi.

— Moja gęba, wielmożny panie,—wyrzekł, skłaniając się czapką, po chłopsku — nie zatka się żelazem. Tu i śrybro nie wystarczy.

Wichura zrozumiał, z kim ma do czynienia. Szablę schował do pochwy — sięgnął po kaletę.

Odwracając twarz, podał dziadowi dukata.

— Cóż to takiego, wielmożny panie? — zadziwił się szyderczo Kołtun, chowając szybko monetę. — Nie pokrzepi się świnia plewką. To tyle, co i nic!

— Trzосу przy sobie nie naszam... — mruknął niechętnie Konrad.

— To się wie. Ino rzeźniki tak czynią.

Poskrobał się w łeb, pomryślał...

— Nagrodzi mnie wasza wielmożność później — wyrzekł, czapkę poprawiając — po weselisku... Bo Kołtun wie, że się wasza wielmożność żeni — i wie, że z córką „Bogacza“. Kołtun więc wszystko... Wielmożny pan nie zna jeszcze Kołtuna. To dobry dziad — ino na złoto łasy. On poczeka — zato potem wasza wielmożność nasypie mu kwartę czerwieńców. Całą kwartę. To fracha dla takiego, co będzie je mierzył ćwierciami!

Pokłonił się do samych kolan Konrada.

— Z Bogiem, wielmożny panie! Niech będzie pochwalony... Ino Kołtuna nie zabaczać. Kołtun trzyma ozór za zębami — ale on go świerzbi... Z przed ołtarza do wieży, droga nie szlachecka... W imię Ojca i Syna... Zdrowaś Maryja, łaskiś pełna...

Odszedł, odmawiając głośno pacierz. Zaraz też i Konrad z miejsca ruszył. Zgrzytając zębami, mieląc w nich przekleństwa, z ciasnych, splątanych uliczek wydostał się na Przedmieście Krakowskie, a stamtąd szybko, prawie biegiem, podążył wprost do Węgrzynowa.

Zaraz po przybyciu do dworka wziął ojca na stronę, kilka słów do ucha mu szeptnął. Zamknęli się obaj i mieli długą, do dwóch godzin trwającą naradę.

Po naradzie ojciec ukazał się z miną zafrasowaną. Poszedł do stajni, gdzie długo zabawił, potem do lamusa, w którym chował rynsztunki wojenne, stare papiery, a podobno i zapaśne pieniądze.

Konrad do samego wieczora nie wychylał się z domu. A gdy noc zapadła, stary Zboiński przywiódł przed ganek osiodłanego wierzchowca. Konrada wywołał, dał mu worek z prowiantem, zawinięciem z bielizną, zapasik pieniędzy — i powtórzyła się scena z przed lat dziesięciu, gdy Wichura do rokossanów odjeżdżał.

Tym razem jednak jego wierzchowiec nie był dychawiczną „marchą”. Konrad wyruszał w świat na wspaniałym turczyźnie, tym samym, który go pod znakiem Lisowskiego do stolicy przywiózł.

I ten tylko turczyn i szabla damasceńska z głowicą, rubinami osypaną, pozostały mu z wypraw do Moskwy i nad morze Białe.

— Świat można z tem zdobyć! — zakrzyknął butnie na odjezdnem.

I z kopyta na ów podbój ruszył.

VIII.

Cóż to? Bez synaczka?

— Właśnie w jego sprawie waszmość panią niewiedzam.

— Spodziewam się, że nie zachorzał?

— Bóg strzegł. Jak ryba, zdrowiuśki. Jeno, że w Warszawie nieobecny.

Gdzież gości?

— W obozie. Hetman wezwał go nagle, aby śpieszył z pomocą i radą.

— Sam hetman?

— Sam Jaśnie Wielmożny Chodkiewicz.

— Wielki to honor dla syna waszej wielmożności.

— Bo i wart. Krzepka to dusza, a i ciało nie mdłe. Żelazna ręka, serce złote.

— Felicytować takiego jedynaka.

— Sięgnąćby mógł po żonę do rodów magnackich. Ale los chciał inaczej. Umiłowanie swe indziej znalazł...

Drewnowa głośno westchnęła. Zboiński zakasał, wąsa na dół pociągnął.

Przez chwilę milczeli. Gdy rozmowę podjęto, szlachcic, po krótkim kołowaniu, przystąpił *ad rem*, prosząc w imieniu syna o rękę Hanusi.

Mieszczanka poczerwieniała z radości. Gdyby nie reszta dumy, ucałowałyby może rękę szlachcica. Przewyciężyła się jednak i szepnęła, oczy spuszczać:

— Dzieciatko to jeszcze...

— Wiem — odrzekł Zboiński. — I mój Konrad nie przestarzały. Oboje czekać mogą. Jeno pewności mi trzeba, że ta mitrega fortunego końca dojdzie.

Drewnowa ciągnęła z zakłopotaniem:

— Nie wiem takóž, co pan mąż wyrzecz. On mieszczanin z dziada, z pradziada — z mieszczanami trzyma.

— W takowych sprawach zawždy niewiasta decyduje.

— Tak być powinno. Wszelako żonie działać przeciw mężowi nie wolno. Može, da Bóg, że się to uładzi. Nic ja nie mam na uwadze, jeno szczęście Hanusiowe.

Zboiński przysunął się ze stolkiem.

— Więc ze strony waszmość pani pewność mieć mogę?

Drewnowa przybrała właściwą wszystkim niewiastom minę przyzwalającego oporu.

— Czy ja wiem... — wyrzekła głosem ani przytakującym, ani przeczącym.

Zboiński ujął lekko jej rękę, na czapce swej położył i pocałował.

To było przypieczerowanie umowy.

O zapytaniu Hanusi nikt nawet nie pomyślał.

Co prawda, takie zapytanie byłoby i niewczesne i nadaremne. W główce Hanusi nie powstała dotąd ani razu myśl o małżeństwie.

Wyrwana prawie przemocą z klasztoru, dotąd miała duszę pełną klasztornych rojeń i pożądań. Snem wydawał się jej pobyt w domu rodziców; rzeczywistością — lata, spędzone pośród sióstr i matek zakonnych.

Przedłużała tamto życie nocą w snach, za dnia w marzeniu. Często ciało jej szło z matką lub z ojcem przez ulice Starej Warszawy, a dusza przebywała daleko, u podnóża fioletowych Karpat.

Wielka zamożność rodziców zapewniała jej spokój. Życie powszednie, wraz z powszednimi zabiegami, kłopotami, dla niej nie istniało. Ze zbytku, którym ją otaczano, nie korzystała, korzystała za to ze spokoju i swobody, dzięki którym mogła oddawać się bez przeszkody marzeniom, religijnym praktykom i czytaniu.

Czytała wyłącznie dzieła ascetyczne, polskie i łacińskie — w klasztorze bowiem nauczono ją łaciny. Modliła się po kilka razy na dzień; codziennie bywała w kościele. Wszystkie pieniądze, dawane jej przez ojca, szły między ubogich. Jałmużny rozdawała osobiście, zawsze zaś instynktem odgadła, komu najpotrzebniejsze.

Co rano, po odprowadzeniu ojca, szła z matką do kościoła. Lubiła ciche, ustronne kaplice, gdzie mogła przestawać sam na sam z Chrystusem lub Jego

Matką. Najchętniej modliła się u Świętego Jana, w kaplicy „Baryczkowskiej“, przed cudowną figurą Zbawiciela.

Wszystko, co Stara Warszawa miała najdosłowniejszego i najbiedniejszego, przesuwało się przed tą śliczną dziewczką z objawami szacunku i miłości. Dla wszystkich jednakowo dobra, nie wyróżniała nikogo. W jej czystych, błyszczących, pełnych głębi mistycznej oczach postacie ludzkie odbijały się na chwilę, jak w zwierciadle — utrwalić się żadna nie mogła.

Jeśli byli tacy, których obojętność Hanusi drażniła, nie należał do nich Krzyś Dąbek. Jemu wystarczyło na Hanusię patrzeć — o tem, żeby na niego patrzano, nawet nie pomyślał. Widok twarzy Hanusiowej działał na niego kojąco. Gdy miał przed oczyma tę bladą, smutną twarzyczkę, o bólu, krwawiącym mu serce, zapominał.

Zdarzyło się, że na kilka dni przed wyjazdem, Krzyś, wyszedłszy rano naprzeciw Hanusi, nie spotkał ani jej, ani Drewny. Tego dnia nie było w Ratuszu żadnego posiedzenia, ani sprawy naglącej—stary burmistrz, który trochę niedomagał, w domu pozostał.

Krzyś nie miał nic lepszego do czynienia, niż pójść do Fary na mszę ranną. Mszy wysłuchał, poczekał, aż kościół opustoszeje, potem zboczył do kaplicy Baryczkowskiej, gdzie czerniał w ołtarzu Pan Jezus cudowny.

Do tej kaplicy po wszystkie czasy zachodzili ludzie na rozmyślenia, na obrachunek z sumieniem lub sercem. Można tam było widywać zarówno kobiety, jak mężczyzn, zarówno prostaczków, jak dygnitarzy.

Wszystkich ciągnął do siebie ten Pan Jezus, któ-

rego lud nazywał „starym“ — może dlatego, że był czarny i chmurny.

Krzyś ukląkł na stopniach ołtarza — otworzył serce swe przed Bogiem-Człowiekiem. Jeszcze mu wiosna życia nie minęła, a już tylu żałobami był okryty!

Rodziców ledwie zasięgnął pamięcią. Dziadek i babka, co mu ich tak długo zastępowali, już między umarłymi. Z dalszej rodziny, ciocia Dorotka, panna z fraucymeru Urszuli Meierin, jakże żałośny miała koniec! I innym nie wiodło się: uciskani przez marszałka, prześladowani przez jezuitów, szli przez życie po cierniach...

Jedyny brat — uczony, szlachetny, dobry nawet — jest poeta i filozof ze szkoły Horacego, więc potrosze i Epikura. Troski odgania od siebie, jak muchy natrętne — smutkami swojemi i cudzemi rozrzewniać się nie lubi. Ból i łzy trzeba przed nim ukrywać.

W tej pustyni wyrósł kwiat: śliczna, wesoła, rozspiewana, rozchichotana Ketchen. Gdzież ona?...

Boleść przepęłniła mu serce.

— Jezu! Jezu! zmiłuj się nademną! — głośno jęknął.

Jezus zmiłował się: boleść młodzieńca roztopniała w łzach.

Krzyś, nie wiedząc o tem, płakał. Oczy miał otwarte, w górę wzniesione — krople łez spływały z nich na twarz, na czarną odzież, na stopnie ołtarza.

Nagle wydało mu się, że go ktoś budzi, znak mu daje...

Spojrzał w bok: o kilka kroków od niego klęczała Hanusia.

Dzieweczka patrzyła na płaczącego z głębokim współczuciem. W prawej ręce trzymała niewielką

otwartą książkę i tę książkę podawała mu ruchem takim, jakim udziela się jałmużny.

Krzyś książkę wziął i przeczytał w niej miejsce, które mu panienka palcem wskazała. Przeczytał najpierw po cichu, potem w głos:

„Wszystek żywot Chrystusów krzyżem był y męczeństwem, a ty szukasz odpocznienia y wesela? Błędzisz, błędzisz, jeśli czego innego szukasz, aniżli cierpieć utrapienia. Abowiem wszytek żywot ten śmiertelny pełen jest nędz y krzyżami zewsząd zapieczętowany. A imby kto w duchu wyżej postąpił, tem cięższe krzyże często najduje; bo wygnania swego karanie z miłości więcej roście“ ...

Książka oddziaływała nań tak samo, jak oczy Hanusiowe: kojąco i krzepiąco. Było mu trudno z nią się rozstawać. Skończywszy czytanie, raz jeszcze ją otworzył — raczej pozwolił, aby się sama otworzyła.

Książki otwierają się same w miejscach, do których często się zagląda. Krzyś nabrzmiałym łzami głosem przeczytał, co następuje:

„Tak Bóg zrządził, abyśmy się uczyli jeden drugiego ciężary nosić, bo żaden nie jest bez niedostatku, żaden bez ciężaru, żaden sobie nie jest dostatecznym, żaden sobie nie jest dosyć mądrym; ale potrzeba, abyśmy się spolem znosili, spolem cieszyli, spolem ratowali, ćwiczyli y napominali“ ...

— Amen! — wyrzekł mocny głos za plecyma klęczących.

Oboje drgneli — obejrżeli się poza siebie.

Przez kaplicę przesunął się szybko ku wyjściu człowiek w długiej, czarnej szacie.

Zwieszająca się ze stropu na srebrnym łańcuszku lampka buchnęła żywszym płomieniem. Jaskrawe światło oblało na chwilę nieznanego.

— Doktor... — szepnęła Hanusia.

— Hiszpan!... — zakrzyknął Krzyś.

Młodzieniec porwał się z kolan, za nieznanym wybiegł.

Nie było go w bocznej nawie, ani w głównej; nie było w kruchcie, ani przed kościołem. Kruchciane babki i skuleni pod murem świątyni żebracy nie widzieli nikogo wychodzącego.

Krzyś wrócił do kościoła.

Środkiem nawy gotyckiej kroczyła dostojnie sławetna Drewnowa, szum czyniąc kosztowną, ciężką, złotem przetykaną suknią. Obok niej, bez szmeru najmniejszego, płynęła, jak duch, Hanusia.

Złożył głęboki pokłon obu niewiastom. Przy tym pokłonie oczy młodych zeszyły się na chwilę i powiedziały sobie:

— Potrzeba, abyśmy się społem znosili, społem cieszyli, społem ratowali...

IX.

... „Tam zawždy nieba świeciły pogodne, przez cały się rok łąki zieleniały... Między mirtami wesołemi, chłodne, gdziekolwiek stał, wiatry powiewały. Szum drzew pachnących sny czynił łagodne; fontanny wody przejrzystej strzelały; ptactwo śpiewało, a we środku nowy stał, dziwnie piękny, pałac marmurowy“...

Czytający zamilkł, aby głośną deklamacją nie spłoszyć skradającego się szczura. Szczur wypelznął z kąta i sunął cicho, ostrożnie do kromki chleba, leżącej na ziemi, tuż przy posłaniu.

Czytający zamknął książkę, podniósł ją ponad głowę, czekał. Po chwili, gdy wilgotny pyszczek szczura dotykał już suchara, cisnął w zwierzę księgę.

Grube *in quarto* w pomarańczowym pergaminie rozplaszczyło się na ziemi — szcztura jednak nie dosięgła. Mignął, jak szara błyskawica, i tylko jego długi, nagi ogon zabielał na sekundę w czarnym otworze nory.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się człowiek. — Dobrze, że w dzban z małmazją nie ugodził. Szkoda byłaby nienagrodzona.

Poprawił się na posłaniu, które dziwnie zachręściło. Był to chrzest słomy, niezupełnie jeszcze zbudowanej i starte. Na słomie nie było ani kobierca, ani prostego kilimka, ani nawet bylejakiej płóciennej osłony.

Podniósł z ziemi „Goffreda” i, nie tracąc wesołego wyrazu twarzy, czytał dalej w głos:

— „Tu w chłodzie, między ziołami wonnemi, przy ciekacym nas zdroju posadziła, gdzie z potrawami wielki stół drogiemi i służbę złotą była postawiła. Co się znajduje w morzu, co na ziemi, co na powietrzu, i co wymyśliła uczona kuchnia, to wszystko tam było — a sto nam panien do stołu służyło”...

Uśmiechnął się przy ostatnich słowach i rękę w słomie zanurzył. Z barłogu wydobył puharek błyszczący, szczerozłoty. Podniósł go do światła, które żółtemi, jakby brudnemi smugami padało z małej, skwierczącej lampki, zawieszanej u niskiego sklepienia.

Cieszył przez chwilę oczy widokiem pięknego klejnotu. Potem wziął ciężki dzban i przechyliwszy go, napełnił puharek po same brzegi — wodą.

Wypił, językiem mlasnął, jakby po prawdziwej małmazji. Oczy wzniosł do góry, zaczął dobitnie skandować wiersz Horacego na cześć wina, dobrych przyjaciół i życia niefrasobliwego.

— Gdyby tu był *amicus* Jagoda! — rzekł do siebie, skończywszy. — Dopierożbyśmy prześcigali się w rytmiech! Ale on przy królewicu, dokoła słońca swojego krąży — o padół ani dba.

Zaśmiał się.

— A wždy i na padole słonecznie, kwiecieście — drzewa szum czynią, fontanny strzelają, wino płynie strugą, sto cudnych panien posługę sprawuje...

Znów zaczął odśpiewywać przeciągłe Horacyuszowe trocheje.

Jakby do taktu rytmom, dzwoniły dokoła krople wody, ściekające ze sklepienia. Cała izba była wodą przesiąknięta. Nawet bez wyglądanania na zewnątrz odgadywało się, że to zarazem podziemie i podwodzie. Woda kapiała z góry, spływała ze ścian, żłobiła otwory w gliniastej ziemi, niepokrytej ani deskami, ani cegłą. Na szczęście, ta ziemia była zawsze spragniona, wypijała wodę szybko, broniąc izbę od zalwu.

A woda usilnie wtargnąć tu pragnęła. Za murem jej plusk nieustannie słyszeć się dawał.

Jedno okienko miała izba — niewielkie, umieszczone wysoko, obciążone błoną pęcherzową. W dnie bardzo słoneczne przez tę błonę wpadało trochę mętnego światła. Można też było, silnie wzrok wyteżywszy, dostrzedz przez nią dużą przestrzeń kołyszącej się wody, białe bryły chmur na niebie i zielone plamy drzew, rosnących na brzegu przeciwnym.

Muzyka wierszy i dzwonienie kropel dość długo już trwały, gdy nagle wmieszały się doń głosy nowe. Przy zwiększonym plusku wody coś kilkakrotnie uderzyło z zewnątrz w mur — w ten właśnie, który z wodą stykał się bezpośrednio i w którym znajdowało się okienko.

Uderzenia były silne — wstrząsały ścianami i sklepieniem.

Po pewnym czasie ucichły.

Człowiek w izbie zamilkł — słuch wyteżył.

I nagle trwoga zjeżyła mu włosy; do okienka wyraźnie zapukano...

Kto mógł pukać?

Za oknem były tylko otchłań nocy i otchłań wody. Okienko znajdowało się w wysokości kilkunastu łokci nad powierzchnią fal. Uważano je za tak bezpieczne, że nie wzmocniono nawet kratą. Z wierzchu i od środka osłaniały je tylko dwa poprzeczne, niezbyt grube pręty żelazne.

Pukano mocno, prędko, jakby na alarm.

Człowiek trwogę przemógł — uległ ciekawości.

Na palcach, ostrożnie, przysunął stołek pod ścianę, wszedł nań, ucho do błony przyłożył.

I w tejże chwili o mało nie spadł ze stołka, usłyszawszy tuż za okienkiem wołanie:

— Panie Pietrze!... Panie Pietrze!...

Głos brzmiał dziwnie — można było jednak poznać, że jest niewieści.

Nic nie odrzekł — słuchał dalej z sercem zamierzającym.

Głos powtórzył mocniej, niecierpliwiej:

— Mości Dąbku! Czujesz-li waszmość?

„Czujesz-li“ znaczyło: czy czywasz?

Nie było wątpliwości, to na niego wołano. Głos wydał mu się znajomy, choć brzmiał dziwnie, jakby ze sfer górnych, powietrznych przybywał.

Trudno było go nie wysłuchać.

Człowiek chwycił sztabę, w zmurszałej cegle osadzoną — szarpnął — wyrwał. Pięścią rozbił ramę drewnianą — paznogciami zdarł błonę.

Do nory wpadło silnym pędem świeże, wilgotne powietrze.

X.

Uwięziono poetę nocą w jego własnym dworku. Nie dopełniła tego straż magistracka—owszem, magistrat był najzupełniej obcy gwałtowi, na wolnym obywatelu dokonanemu. Ale, jak nad Jowiszem *Ananke*, tak nad magistratem stała potęga wyższa, która w potrzebie uważała za właściwe nie tylko nie mianować się, lecz nawet oblicza swego nie odsłaniać...

Dworek obsadzili ludzie zbrojni, w których można się było domyślać drabantów królewskich. Jedną tylko pochodnią przyświecali sobie, a i tę, o ile mogli, po węglach kryli. Dowódca ich miał papier z pieczęcią na wosku, z podpisem wysokiego dygnitarza...

Zażywna Greta, z profilem i ramionami Junony, próbowała nie dopuścić przybyszów do swego pana. Dwaj drabanci chwycili ją i usta jej zatkawszy, na uliczkę wynieśli.

Petrus Quercus ze snu smacznego przebudzony, czuł więcej gniewu, niż strachu. O obronie nawet nie pomyślał, zrozumiawszy odrazu, że byłaby daremna. Zresztą, jako stoik, był zawsze i na wszystko przygotowany.

Pozwolono mu zabrać ze sobą jedną tylko książkę i jeden sprzęt najniezbędniejszy. Poeta wziął „Jerozolimę Wyzwoloną“ w przekładzie Piotra Kochanowskiego, oraz — szczerozłoty puchar.

Wszystko odbyło się prędko i cicho.

Na pożegnanie odchodzącemu „Junona“ załkała, pies zawył załośnie, kruk zbudzony pióra najeżył, zatrzepotał skrzydłami, zakrakał...

Poetę odprowadzono nie do Ratusza i nie do Wieży Marszałkowskiej, lecz — do Zamku.

Powrotnemu pochodowi już pochodnia nie przyświecała.

Orszak, wśród zupełnych ciemności, szedł krętymi zaułkami, zbaczając w prawo i lewo, rozmyślnie kołując, aby prowadzony drogi rozpoznać nie mógł.

Zatrzymano się wreszcie u bocznej furty, gdzie mur miejski dotykał już niemal Wisły. Tam drabanci oddali poetę straży zamkowej, która odprowadziła więźnia do Baszty Narożnej.

W rzadkich tylko i ważnych wypadkach więziono przestępców w obrębie Zamku. Widocznie sprawa Petrusa Quercusa należała do rzadkich i ważnych.

Gdyby stary Dąbek nie wyzbył się był dobrowolnie szlachectwa, syn jego byłby przed takim gwałtem bezpieczny. Szlachcic odpowiadał z wolności, czekając, aż mu sąd winy dowiedzie — plebeja ciągniono do wieży wpierw jeszcze, zanim okazał się jej winnym.

Poeta znalazł się nietylko w wieży; wtracono go w dodatku *in fundo*. Izba była położona o kilka stóp poniżej poziomu wody.

Zaledwie wprowadzony do wilgotnego podziemia, zaraz rzucił się na słomę i chrapnął. Miał bowiem zasadę: we wszelkich warunkach życia poświęcać na sen pewną, stale oznaczoną ilość czasu.

Niebawem dano mu poznać, że ręka, która go pochwyciła, jest właściwie łapą i że ta łapa posiada szpony żelazne.

Stawiony został przed sąd mieszany: razem świecki i duchowny. Nie wróżyło to dobrze. Obrońić się sędziom świeckim było trudno; duchownym — niepodobna;

Instygator obarczył go winami ciężkimi. Powiedział mu najpierw, że jest kacierz. Powiedział mu następnie, że jest autor złośliwych epigramatów na osoby czcigodne, a co najgorsze: że spłodził potworny *pasquillus* na świętą osobę Króla Jegomości.

Na te oskarżenia poeta odpowiedział — śmiechem.

Sędziowie porozumieli się oczami. Do protokołu zapisano: „Grzesznik zatwardziały, bezczelny“.

Poeta roześmiał się, bo mu się wydało śmiechu wartem posądzanie go o niemożliwość. Dla osób czcigodnych, o ile były takimi naprawdę, żywił zawsze cześć głęboką. Przeciw królowi nic nie napisał i napisać nie mógł, jeśli nie z innych względów, to — przez ostrożność.

Nazbyt lubił spokój i życie wesołe, aby miał dobrowolnie leżeć w gardło smokowi.

Zaraz na pierwszym posłuchaniu kazano mu przysiąc, że będzie mówił „tylko prawdę, samą prawdę, nic, oprócz prawdy“.

Petrus Quercus odrzekł swobodnie:

— Na co przysięga? Ja nigdy nic innego nie gadam, jeno prawdę!

Jednakże przysięgł.

Do protokołu zapisano: „Lekce sobie waży przysięgę“.

Potem przystąpiono do popierania oskarżeń dowodami.

„Kacerstwo“ Petrusa Quercusa było stwierdzone świadectwem Boboli. Tego świadectwa dostarczył sądowi Zboiński.

Autorstwo *pasquilusa* miały udowadniać dokumenty piśmienne. Te dokumenty zobowiązał się złożyć — Zboiński.

Zboiński odgrywał w tem wszystkim rolę wa-

zną — kto wie, czy nie główną. Ale nie zdradzał się z tem.

— Mocodawcą mym — mówił — jest świętej pamięci podkomorzy koronny. Byłem za życia jego poufnik; teraz jestem woli jego wykonawca.

Badanie oskarżonego odbywało się tylko dla formy. Wyrok był oddawna przygotowany i minąć go nie mógł. Ale i formie musiało się stać zadość — i to w zakresie jaknajszerszym.

Już od trzech miesięcy poeta siedział w więzy o chlebie i wodzie. Niekiedy przynoszono mu miskę kaszy lub grochu. Kot bawił się myszą, wiedząc, że mu nie uciecze.

W ciągu tego czasu przesłuchiowano go kilkanaście razy. Oplątywano go coraz gęściej i silniej pajęczyną sofistyki prawniczej i teologicznej. Z początku rozrywał tę pajęczynę, potem dał jej pokój, widząc, że nie podola.

Najczęściej wcale na pytania nie odpowiadał. Milczał, choć rozległa wiedza i pamięć doskonała podsuwały mu zwycięskie argumenty.

— Głuch czy niemądry? — rzekł raz na ucho koledze któryś z mniej doświadczonych sędziów.

— Szczwany — odszepnął tamten, lepiej sumień ludzkich świadomy.

Petrus Quercus, jak w pierwszej chwili, tak i później, na wszystko był gotów — nie drżał przed niczem. Zresztą, nie myślał wcale o sprawie, zatopiony całkowicie w rozważaniu przygód Tankredowych.

Sam też układał pieśni, naprzemian łacińskie i polskie. Były to wyłącznie eklogi, pełne słońca, wesołości, gruchania gołębi i kochanków.

Zresztą sypiał wybornie, jedzenie więzienne zmiatał z apetytem, humoru nie tracił. Zrobił nawet spostrzeżenie, że nowy tryb życia skuteczniej od

małmazysi „rozwesela serce i zaostrza dowcip“. Myśli i słowa nigdy mu tak obficie i z taką łatwością nie napływały na wolności, co w zamknięciu.

Mimo wszystko, przeczucie ostrzegало go, że stoi nad przepaścią. Wyrok, choć nie ogłoszony, dawno już był wydany — nie mógł zaś przynieść nic innego, prócz zguby.

Kacerstwo i zbrodnia „obrazy majestatu“ były zawsze karane śmiercią.

Stanowisko, jakie względem sędziów zajął poeta, było powodem, że opóźniał się ostatni akt sprawy. Formalna jej strona wymagała, aby oskarżony przyznał się do zarzucanych mu przestępstw — on zaś trwał wciąż przy swoim, to znaczy: przy prawdzie.

Wyobrażał też sobie, jak prawdziwy poeta, że prawda zawsze wkońcu zwycięży.

Zapomniał o jednym: że sądy ówczesne miały środek niezawodny na wydobycie z oskarżonego takiej prawdy, jaka im była potrzebna.

Ten środek miał trzy stopnie, stosowane kolejno z kilkodniowymi przerwami.

Przy stopniu pierwszym „ręce oskarżonego wyłamywały się ze stawów w ramionach, podnosiły się w górę za plecami i stawały w równej wysokości z głową; górna połowa ciała podawała się za sznur, nogi zaś, wyciągnięte i do haku przywiązane, wisiały, jak na powietrzu“.

Stopień drugi był jeszcze bardziej — przekonujący. Uparty więzień „wyciągał się, jak struna, ręce jego wykręcały się w tył, stając w prostej linii z ciałem, w piersiach robił się dół głęboki, w który tłoczyła się głowa, a cały człowiek wisiał na powietrzu, nie dotykając już wcale stołka, przyczem wszystkie żebra, kości, mięśnie i ścięgna występowały tak wyraźnie, że można je było policzyć“.

Nader rzadko musiano przechodzić do stopnia trzeciego, on był wszakże niezawodny. Ody bowiem kto miał na nogach „żelaza, z dwóch sztuk złożone, z ostrymi korbami nakształt zębów piły, przez które z obu stron przechodziły śruby“ i gdy mu te żelaza, „na wierzch piszczeli i pod spód zadane“, ściągano śrubami, które „coraz bardziej kaleczyły ciało i gniotły kości“ — gotów był „wyznać“, że zamordował prababkę, że słońce obraca się dokoła ziemi i że w każdej, wirującej na gościńcu kurzawie siedzi dyabeł z ogonem i rogami...

Petrus Quercus o tem zapomniał — pomimo, że na znakach ostrzegawczych nie zbywało. Każdego, bardziej na te rzeczy czułego, zastanowiłoby przede wszystkim na ostatniej indagacyi dziwne zachowanie się jednego z sędziów duchownych...

Ze słodyczą, od której krew cierpła w żyłach, zwracał się ten sędzia do poety, już nie żądając, lecz prosząc go, aby przyznał się do kacerstw i paszkwiłów.

— Są na waszmości wielkie dowody — mówił. — Niemasz sposobu wykręcania się. Ulżyj sumieniu swemu, wyznaj prawdę, kajaj się, skruczę i żal za grzechy okaż. Na wszystkie świętości zaklinam cię: uporu daremnego zaniechaj. Wspomnij na gorzkie łzy Piotra Apostoła: zmiennikiem nie bądź i zaprzawnicem. Odkryj z ufnością duszę swą tym, którzy sternikami dusz są uczynieni. Nie jeno ziemski trybunał sądzić cię będzie: staniesz przed trybunałem Bożym, stokroć straszliwszym. O! z jakąż lekkością serca odpowiadać będziesz Najwyższemu Sędziemu, gdy grzech uporu i kłamstwa ostawisz na ziemi...

Namowa kończyła się obietnicami, na które (w przekonaniu mówcy) trudno było nie połakomić się...

— Wina waszmości jest jako skała Syzyfiowa: własnym ciężarem wali się na grzesznika. A przecie przyznaniem się i tu wiele zdziałać zdołasz. Sprawiedliwość ludzka surowa, wzdyc i ona ma serce, zaślepieniu błądzących po ojcowsku się lituje. Przyznaj się, a może sąd łaskawszą śmiercią cię ukarze...

Petrus Quercus milczał. Oczy jego, na sędziów zwrócone, mówiły:

— Czyście oszaleli?

Posłuchanie skończyło się głośniejszem, niż zwykle, skrzypieniem piór i dłuższem acz cichem mamrotaniem słów łacińskich i greckich.

Za wyprowadzonym z izby poetą miódowousty *pater* posłał długie, pełne żalu westchnienie...

Jednocześnie inni patrowie pisali rozkaz do „mistrza“, aby opatrzył w podziemiu haki i sznury, i aby miał w pogotowiu blachy, nabijane kolcami, oraz żelazne „buty hiszpańskie“.

XI.

...Twarz, którą ujrzał poeta w wybitym otworze okna, wprawiła go w osłupienie. Gdyby nie to, że obiema rękami trzymać się musiał muru, żeby nie spaść, pewnieby się przeżegnał — jak na widok ducha.

Z pod dużej, jedwabnej chustki, która całą głowę i większą część twarzy zakrywała, wyjrzały doń wielkie, ciemno-fijołkowe, w owej chwili prawie czarne oczy, nie mające równych sobie w całej ówczesnej Warszawie...

— Przebóg! — wyjąkał. — Tyżeś to, niebogo?

— Ja sama, panie Pietrze...

— Skąd?

— Z piekła...

W ostatnim wyrazie *l* zostało wymówione miękko, jak *l*. Mimo tego złagodnienia, wyraz oddziałał na poetę wstrząsająco.

Petrus Quercus zadrżał od stóp do głowy.

Postać za oknem dodała:

— Powiedziałam: z piekła, powinnam była rzec: z czyśćca. Wždyż jeszcze o zbawieniu swem nie zwątpiłam.

Widząc osłupienie poety, przyłożyła mu usta do samego ucha, mówiąc cicho a prędko:

— Śpieszaj waszmość. Niema czasu na mitręgi. Bierz, coć trzeba i w drogę!

— Którędy?

— Przez okienko.

— Jakże? prosto do Wisły?...

— Pod basztą stoj czółno...

— Skakać?

— Nie, zejść po drabince.

Wszystkie *r* w ustach mówiącej gruchały po gołębiemu. Czyniło to jej mowę słodką, pieśczośliwą. Zresztą i sam wyraz „drabinka“ miał dużo mocy kojącej.

Poeta uspokoił się.

Naglony do pośpiechu, zeskoczył szybko ze stołka — żwawo zakrzętnął się po izbie. Narzucił na ramiona ciemną opończę, głowę nakrył czapeczką, futrem oszytą. Potem rozrzucił barłóg, dobył zeń księgę w pergaminie oraz złoty kubek. Obu przedmiotów brać ze sobą nie mógł, nie mając ich gdzie pomieścić. Bez namysłu wybrał — Kochanowskiego.

— Toć i to złoto — szepnął do siebie.

Okienko musiał rozszerzyć przez wybicie kilku cegieł, w czem pomagała mu z zewnątrz Jaga. Szum wiatru i fal zagłuszał loskot spadających gruzów.

Niebawem Petrus Quercus znalazł się na drabince, którą przytrzymało dwóch ludzi, siedzących w czółnie. Dostał się i on do czółna i zajął miejsce obok czekającej nań ormianki.

W tejże chwili krzepcy, ponuro milczący wiosłarze odepchnęli statek od baszty. Czółno zakotyssało się na wzburzonych falach i zwolna zaczęło posuwać się ku przeciwnemu brzegowi rzeki.

Poecie zdawało się, że marzy. To jedynie rozumiał, że wybawiono go z niewoli i że wybawicielką jest jego dawna Greta.

Z radością, choć i z niepokojem, zwrócił się do Jagi, aby jej wynurzyć wdzięczność, rękę serdecznie uściskać. Ale już dziewczyny przy nim nie było.

Usiadła na przeciwnym końcu czółna, jak najdalej od niego.

Zawołał na nią po imieniu — nie odpowiedziała. Zresztą szum wody i plusk wiosel zagłuszały słowa.

Chciał wstać, podejść do niej, lecz to było niepodobieństwem. Łódź silnie się kołysała, on zaś, osłabiony więzieniem, doznawał ciągłych zawrotów głowy.

Zaniechał przeto wszystkiego i siedział nieruchomo, czekając: kiedy i w jaki sposób sen się zakończy...

Noc była bardzo ciemna, niebezpieczeństwo przeprawy wielkie. Petrus Quercus zgoła o tem nie myślał. Miałżeby trwożyć się mężczyzna, mędrzec i poeta, gdy młoda, słaba niewiasta najmniejszego nie okazywała lęku?

W milczeniu okrążono Kępę; w milczeniu przedzierała się łódź do brzegu praskiego. Trwało to długo. Na rzece były wiry, które należało wymijać; niekiedy napór fal był tak wielki, że tylko z wysiłkiem pokonywać się dawał. Przytem, jeśli wysoki

brzeg warszawski błyszczał tu i owdzie sennie mrużącymi światelkami, płaszczyna Pragi tonęła w zupełnych ciemnościach.

Dążono do celu prawie po omacku.

Wreszcie Łódź wstrząsnęła się gwałtownie; zachrzącał pod nią piach wilgotny — statek nie tyle wylądował, co wyrzucony został na płaskie wybrzeże.

— Wsiądźmy — przerwała długie milczenie Jaga, wstając z miejsca i przystępując do poety.

Nie zbliżyła się jednak zupełnie, jakby obawiając się dotknięcia.

Petrus Quercus, pełniący rolę zupełnie bierną, uczynił, co mu kazano.

Zaledwie kilka kroków postąpił, usłyszał idącą za sobą ormiankę. Zatrzymał się — ona zbliżyła się doń na odległość dwóch kroków.

Prawie jej nie widział. Wydawała mu się czarną na ciemnym tle płamą.

Nie wiedział, co rzec — ona pierwsza przemówiła:

— Wolnyś waszmość. Już cię tu pacholki nie pochwyca. Idź w świat, nie oglądając się za siebie.

— Greto... — szepnął — dziewczko moja serdeczna...

Ona ciągnęła:

— Czeka waszmości droga daleka, trzeba ci kalety dobrze opatrzonej. Łaskę mi uczyni: weźmi to...

Odczuł bardziej, niż dojrzał, wyciągniętą do siebie rękę.

Instynktowo wysunął swoją — namacał w ciemnościach podawany sobie przedmiot — palcami go ujął.

— Daję, co mam, — mówiła Jaga, jakby uspra-

wiedliwiając się. — Nie czerwienie to są, jeno klejnoty. Pono siła warte.

Milczał, ściskając w ręce ciężki woreczek. Nie wiedział, ani co czynić, ani co mówić.

Dziewczyna pośpieszyła z objaśnieniem:

— Moje to własne... dziedzictwo po stryju...

— Sobie ostaw... — wyrzekł, starając się oddać jej skarb z powrotem.

— Nic mi po klejnotach... — odparła. — Grzeszna jestem i nędzna. Wór z popiołem i włosienica, oto prawe klejnoty pokutnic.

Umysł poety błędził w labiryncie.

— Nie rzekłaś mi dotąd — szepnął — jak się to wszystko stało? Kto cię przysłał? skąd się wzięłaś?...

— Mówiłam już waszmości, że z piekła.

— Gdzież ono piekło?

— W międzymurzu u kata...

Okropnie zabrzmiało to wyznanie w głuszy ciemnej, przy poświście wichru.

— A przecie — dorzuciła ponuro — żołdak mię żaden nie tknął. Grzeszłam, ale nie splugawiona. Broni mię krzyż, który noszę... na głowicy stryjowego kindżała.

Drżący promyk gwiazdy, z chmur wychylonej, załamał się na błyszczącym, obosiecznym ostrzu, które ormianka wydobyła z fałd swego odzienia.

— Strasznie tam być musi?...

— Strasznie...

— Jakże się wy dostałaś?

— Fortelem najpierw, potem, gdym już swój skarb odebrała, przekupstwem.

— W tej chwili nikogo nie potrzebujesz się obawiać?

— Nikogo.

— Ci dwaj ludzie, co nas tu przywieźli?...

— Rybacy z Powiśla, zapłaceni przezemnie.

— Ow... z międzymurza, pościgu za tobą nie urządzi?

— Co jemu po mnie!

— Chwałaż Bogu! To już i koniec piekła twojemu.

— Nie, nie koniec.

— Któż cię do powrotu zniewoli?

— Sama wrócę.

Petrus Quercus aż skoczył, usłyszawszy te słowa.

— Pocóż miałabyś wracać?

— Aby męczyć się dalej.

— Patrzyłem na twoją mękę. Wierę, Bóg jej ma zadość.

— Grzech mój śmiertelny, pokuta do śmierci trwać musi.

Poeta rozrzewnił się. Pociągnęło go do dziewczyny szczere współczucie.

— Zaniechaj tego — wyrzekł prosząco. — Pokuty dokonasz modlitwą, jałmużną, postem. Bóg ją z każdego miejsca przyjmie. Warszawę rzuć, idźmy w świat razem.

— Nie mogę.

— Radzę-ć z serca szczerzego. Nie jeno radzę, ale i proszę. Usłuchaj mnie. Wzdżyć dawniej dość mię lubiłaś...

— Nie zaraz odrzekła. Zdawała się namyślać nad odpowiedzią. Wreszcie przemówiła głucho, jakby niechętnie:

— Dziś już waszmości nie lubię.

Takiego wyznania żaden mężczyzna nie wysłucha obojętnie. Petrus Quercus, choć stoik, zafrasował się,

— Krzywaś mi, dziewczko moja? — spytał z lekką wymówką.—Za co? Uczyniłam ci krzywdę jakąwą?

— Nie.

— Jeśli przeto złości przeciw mnie w sercu nie chowasz, podaj mi rękę.

Usłuchała go.

Ręka dziewczyny była zimna, jak z lodu. Ale zaledwie potrzymał ją kilka chwil w swej dłoni, rozgorzała takim ogniem, że się zdała żagwią płonąca.

Petrus Quercus poczuł ten ogień aż w sercu.

— Prawda-li to — czule zapytał — że ty mnie nie lubisz?

— Prawda.

— Dlaczego?

Dziewczyna wybuchnęła:

— Nie lubię, bo... miłuję! Całem sercem, całą duszą miłuję waszmości! Dzbanem wody kupiłeś mnie waszmość wszystką aż do śmierci. Żywię jeno myślą o tobie. Ręcebym twoje całowała, do nóg twych upadła... Jeśli ci krwi mojej trzeba, oto nóż, oto serce moje... Podśluchałam tajemną rozmowę butłów: jako męczyć mają waszmości, i otom wyba-wić cię przyszła... Jakżem szczęśliwa, zem ci się na cokolwiek przydała!... Gdybyś mię waszmość teraz zabił, byłabym aż do ostatka dni swoich szczęśli-wa!...

Poeta słuchał tych słów, jak w odurzeniu. Było to odurzenie rozkoszne, takie, jakie sprawiają wy-ziewy kwiatów przyjemnie pachnących.

Dziewczyna zamilkła — jemu się zdawało, że wiatr, szumiący po zaroślach, słowa jej powtarza, do samego ucha mu przynosi — czule, pieśczośliwie wyszeptuje...

Nie wiedział, co odpowiedzieć. To było pod wszystkimi względami tak niespodziane!

Czuł, że pod wpływem tego wyznania wszystko przetwarza się dokoła niego i w nim. Stojąca przed nim, ledwie widna, w mgle i wietrze rozpływająca się postać nic już nie miała w sobie z jego dawnej Greta. Miejsce „gospodyni“ z Dworka Bocianiego zajęła istota zagadkowa — dobrowolna męczennica, na chwilę tylko wychylona z otchłani. Nie zdziwiłby się, ujrzawszy ją światłem otoczoną.

I w sobie czuł zmianę dziwną. Zamknięcie, post długi, wyteżona praca duszy o całe lata postarziły go, a zarazem myślą i sercem podniosły.

Doświadczał uczucia zupełnie nowego. Dziewczyna pociągała go, ale w sposób zgoła inny, niż dawniej. I teraz pragnął przygarnąć ją do siebie, uścisnąć, ucałować to miłowanie, wszakże nie było wcale podobne owemu, które jego mistrz Horacy opiewał.

Cokolwiekbaż, zrozumiał, że dziewczyna, która mu w głos kochanie swoje wyznaje, jest—jego dziewczyną. Postąpił więc ku niej, aby ją w objęcia pochwycić.

Ale pochwycił tylko mgłę zimną.

Jaga rozplynęła się w mroku.

Zawołał na nią po imieniu — nie odpowiedziała. Pobiegł w stronę rzeki — nie napotkał nic, prócz wilgotnych, cały horyzont zakrywających, oparów.

Nagle, z mgły nadrzecznej, dobiegł go głos. Brzmiał głucho, jękliwie — zdawał się płynąć z wielkiego oddalenia:

— Z Bogiem, panie Pietrze!... Z Bogiem, mój miły!...

I zaraz potem — plusk i szum wody, wiosłami rozbijanej.

Ogarnęła go wielka tęskność.

— Greto!... Greto!... Greto!... — zawołał po wielkroć.

Mgła, coraz bardziej gęstniejąca, tamowała mu głos, czyniąc go prawie bezdźwięcznym. Wołania wsiąkały w tę mgłę bez echa.

Wyciągnął ręce — chciał biedz, skąd plusk wioseł dochodził.

W tej chwili ściemniało bardziej jeszcze — puścił się deszcz rześisty. Szum wiatru, fal, ulewy razem się zmieszały. Poeta uczuł na twarzy bryzgi zimnej wody.

Oprzytomniał.

— *Mehercle!* — zawołał, jakby budząc się ze snu. — Tociem nie Wanda... do Wisły nie skoczę!...

Poczuł się napowrót stoikiem. Chciał zawrócić — ale stanął, jak wryty. Ze środka rzeki dobiegło go głośnie łkanie.

Wyteżył słuch, zważając: czy ten głos zbliżać się będzie, czy oddalać?...

Łkanie odzywało się coraz ciszej, coraz niewyraźniej — wreszcie rozwiało się w przestrzeni.

— Przywidziało mi się — mruknął. — To wiatr po chrościnie buszuje...

I przypomniawszy sobie, że ma na Pradze znajomego izraelitę, puścił się szparko, aby u niego resztę nocy przespać i klejnotów część na drogę spieniężyć.

CZEŚĆ CZWARTA.

CHOCIM.

I.

- Czuuuj!...
- Braciaszki! Taż choć momencik...
- *Wer da?*
- *Freund.*
- *Wos pun gdzie?*
- Na nocnej straży. Konia pod nim ubiły.
- *Szczast' nam Boh!*
- „*Wsidaj brate na koniá... nedaleka dorohá*“...
- *Requiescat... pacem aeternam da ei Domine...*
- Dobij! dobij!... Bóg cię nagrodzi...
- „Leć głosie po rosie“...
- *Hura-ha! Hura-ha!*...

Znów cisza. Tylko Dniestr tłucze się o skaliste brzegi, jęcząc, grożąc; tylko konie prychną i biją kopytem ziemię; tylko wiatr zarzeczny, razem z wonią świeżych pokosów, przynosi krzyk nocnego ptaka.

Obóz śpi. Ale sen obozu jest podobny do snu człowieka w gorączce. Chwile martwego odrętwienia przerywają wybuchy, rzucania się niespokojne, maligna...

Ot, i teraz, gdzieś daleko, przy łańcuchu ostatnich czat wszczął się nagły hałas. Zatrętniał galop koński, rozległ się szczeł broni, buchnęła wrzawa głosów zmieszanych. W jednej chwili wszystko uci-

chło, a w mroku zamajaczyła gromadka ludzi, wiodących w głąbę obozu skrepowanego człowieka.

Szpieg to był turecki. Schwyciła go straż nocna, gdy pełznął, jak wąż, pod okopy.

Tu i owdzie gotują strawę w kociołkach, starannie zasłoniwszy ogniska, bo hetman ogni nocnych nie lubi. Ciury czyszczą broje i handlują zdobytymi za dnia łupami; towarzysze grają w kości, ciągną wino i gorzałkę z miodem.

Ranni jęczą; umierający jedną się z Bogiem. Kapelan obozowy w komży, z olejami świętymi, przesuwając się, jak cień biały, poprzedzany przez chłopca cienko pobrzękującego małym, cichym dzwoneczkiem. Dokąd Bóg wejdzie, już tam spokój; gdzieindziej — krzyki ostre i bluźnierstwa. Zupełnie, jak w starej, żołnierskiej piosence:

Gdy już w biegu drzewce skrusza,
Niejeden się żegna z duszą,
Jednemu się mienia oczy,
A z drugiego krew się toczy,
Trzeci woła, by dobito,
Albo szablą łeb ucięto...

Żywi i cali nic na te krzyki nie baczą. Gdy się nie bawią, śpią—śpią „potężnie“, jak się jeden z dyaryuszów wyraża. Tym tylko, co zostawili domą żonę, dzieci, troska wierci serca, sen z powiek spędza...

I do hetmańskiego namiotu sen dotąd nie wstąpił. Niedawno odbyła się tam rada wojenna. Co tylko najteższego posiada obóz—z wyjątkiem chorego i na bezczynność skazanego królewicza — brało w niej udział.

Na radzie hetman został przegłosowany. Zapal sędziwego „Jana Carolusa“ wydał się młodszym

odeń znacznie komisarzom i senatorom zbyt porywczym, zbyt młodzieńczym...

Chodkiewicz chciał lecieć na bój, jak orzeł, oni postanowili być, jeśli nie „cisi, jak gołębie“, to przynajmniej „ostrożni nakształt węzów“. — Nuż nie uda się? — mówili sobie, i lęk ogarniał ich śmiertelny. — Będziemyż rzucali kostką o Rzeczpospolitą?... — powtarzali, pragnąc obronić i uprawnić swe kunktatorstwo.

Zygmunt III już był zaszczerpił polakom zimny jad swej ślimaczej, pełzającej dyplomacyi. Na sejmie mianowano jedenastu komisarzów, którzy nie mieli na celu nic innego, jak: podcinać skrzydła geniuszowi rycerskiemu Chodkiewicza.

Zwycięzcę z pod Kircholmu szanowano, czczono, wysławiono w mowach i pieśniach — ale mu nie dowierzano. Dzielił los wszystkich wielkich, otoczenie swe przerastających duchów. Zamysły jego były wielkie i śmiałe, wykonanie ich prędkie, z zuchwalstwem graniczące. Zanim inni zdążyli rozpatrzyć się w sprawie, on już ją kończył. Nienawiści swych nie ukrywał; przyjaźnie stwierdzał bodaj krwią serdeczną. Jego oko sokołe ogarniało odrazu całość; widział w jednej chwili początek i koniec każdego przedsięwzięcia. Wielkie przestrzenie, które inni przebywać muszą krok za krokiem, on jednym rozmachem skrzydeł przelatywał.

Jakże mógł nie budzić niedowierzania — prawie strachu — w królu „dojutru“, we flegmatyku zaciętym, o którym mawiano: *tardus, taciturnus, tenax* — spóźniający się, ponury, uparty!...

Hetmana przegłosowano. Radził odrazu całą masą nieznużonego jeszcze i pierwszemi tryumfami podnieconego wojska runąć na Turków, przerazić ich, upokorzyć i do zawarcia pokoju zmusić; radził jed-

nem, ogłaszającym uderzeniem pioruna zapobiedz długiemu rozlewowi krwi — nie usłuchano go. Nie usłuchano, gdyż... nie rozumiano. Leśniowski, Sieniawski, Kossakowski, zwłaszcza zaś Jakób Sobieski, zdradzający upodobania literackie, a więc wręcz rycerskim przeciwne — oświadczyli się stanowczo za wojnę przewlekłą. Bohatera mógł zrozumieć tylko bohater — nie było zaś go między komisarzami i senatorami. Podobno, po Cecorze, próżnoby oglądano się za bohaterem po całej Rzeczypospolitej...

Chodkiewicz ustąpił. Bolała go obrażona duma, w sercu czuł palącą gorycz zawodu — jednak ustąpił. Uczynił tak najpierw dlatego, że kochał ojczyznę stokroć bardziej, niż siebie; następnie, że chciał dać przykład karności, którą innym wymownie zalecał.

Ale powód najważniejszy tkwił głębiej, na samym dnie sumienia. Było nim: tajemne przeczucie, że bądź co bądź, zwycięży, tryumfotorem zostanie, imię swe na wieki z pamięcią Chocima połączy...

Mimo wszystko, cierpiał. Gdy komisarze odeszli, długo biegał po pustym namiocie, jak tygrys po klatce. Wreszcie rzucił się na łożo, futrami wysłane, głowę na dłoni wsparł, wzrok zatopił w migotliwym świetle kaganka — dumał.

Nie był to już Chodkiewicz z przed lat trzynastu. Mleczna broda leżała mu na piersiach, z nad wyłysiałego czoła zniknął czub wichrowaty; tylko brwi i wąsy zatrzymały nieco dawnej czarności, tylko głęboko osadzone oczy żarzyły się po dawnemu — czasem wściekle, częściej posępnie...

Twierdzą historycy, że miał wówczas lat sześćdziesiąt. Wacław Potocki nazywa go kilkakrotnie „starcem siedmdziesięcioletnim“. Skłonniejsi jesteśmy do uwierzenia ostatniemu. Sześćdziesiąt lat, to jeszcze nie sędziwość, zwłaszcza dla męża zahar-

townego, jak stal, z duszą płomienną, z ciałem lwiem. Któryś z wielkich poetów powiedział: „Dla ludzi genialnych starzec się znaczy rosnać“. A Chodkiewicz, czyż nie był na swój sposób genialny?

Niegdyś, stały wyraz twarzy hetmańskiej stanowiła rzymska *virtus*. Dziś o tej twarzy można było rzec, że ma wyrazów tysiąc. Życie znaczyło ją coraz inaczej, coraz inne struny targając w umyśle i sercu.

Ze śmiercią żony, z duszy i twarzy hetmana uciekła na zawsze radość; śmierć syna, ukochanego nad wszystko „Hieronimka“, wypłoszyła z nich nawet nadzieję. Wprawdzie druga żona, dwudziestoletnia Anna Aloiza, czekała na powrót sędziwego małżonka w Jarosławiu, on wszakże — wiedział, że nie powróci. Ta pewność (o której czytać u współczesnych, głównie u Petrycego) mroczyła żalobą wyraziste rysy hetmana, dając im zarazem wyraz uduchowienia, właściwy czekającym na śmierć. Dołączyły się do wszystkiego: obawa o losy ojczyzny, zgryzota, wywołana niekarnością poddanych, tysiączne ukłócia, otrzymywane od zawistników, wreszcie ohyda wstrętnego, przygaszającego zapal, przez sejm narzuconego — kunktatorstwa. Wreszcie, od roku, prześladowało go krwawe widmo Żółkiewskiego...

Nad tą całą burzą świeciła promiennym łukiem tęczy — Wiara. Chodkiewicz, zawsze nabożny, w ostatnich latach życia więcej obcował z Bogiem, niż z ludźmi. Modlitwa zabierała mu codziennie tyleż czasu, co powinności hetmańskie.

Ciałem swem już zarządził: miało legnąć w Kretyndze, obok pierwszej, gorąco umiłowanej małżonki. Resztę sił niósł na usługi krajowi, nie oszczędzając ich, ani się z nimi drożąc; jeśli zaś kiedykolwiek za-

pragnął dłuższego żywota, to tylko w tej myśli, żeby zeń pożytek miała ojczyzna.

Gdy komisarze (przyłączył się do nich Lubomirski oraz senatorów kilku) postawili na swoim, radość ich była wielka. Winszowano sobie, że „roztropność“ wzięła górę nad „porywcznością“, że zapobieżono wielkiemu nieszczęściu...

Ale to nie była prawda.

Głowę skłonić trzeba przed geniuszem Chodkiewicza. Nie porywczność, lecz rozum głęboki pchał go do walnej, energicznej rozprawy z nieprzyjacielem.

Gdy chciano go przerazić ogromem armii tureckiej, na szablę wskazując, zawołał:

— Ta ich policzy!...

Gdy wspomniano o fanatycznej zaciekłości sułtana, o jego pogroźkach, krew lodem ścinających, przytoczył ruskie przysłowie:

— *Sierditaja sobaka wołkom strawa...*

Pierwszą odpowiedź wspomniał Sarbiewski, drugą Birkowski.

Pomimo nieusłuchania hetmana, zwyciężono. Ale to zwycięstwo zostało okupione potokami krwi. Dziesiątki tysięcy trupów zaległy nadrzecze Dnieprowe, w nurtach rzeki grób znalazły. A on właśnie chciał temu zapobiedz.

To nie był „bożek wojny“, zamiłowany w bitwach, szafujący krwią ludzką obojętnie, może z upodobaniem. Niewiadomo, czy krew wroga miała dla niego jakąkolwiek wartość, ale krew polską uważał za świętość i zawsze pamiętał, że z niej Bogu wyrachować się musi...

II.

Światła i cienie przesuwały się po wyrazistej twarzy hetmana. Rzucała je może migotliwa lampka — prędzej wszakże pochodziły od kotłujących się w mózgu myśli.

Duchem stał hetman wysoko, w sferze zupełnego, nadziemskiego spokoju — nad nerwami choremi panować nie zdołał. Unosiły go często dalej, niż należało. Kiedyś, w obliczu wojska, cisnął buzdyganem w Kazanowskiego — omal nie uśmiercił magnata. Było to ze wszechmiar oplakane; najgorzej odbiło się na zdrowiu hetmańskim.

Ależ-bo trudno już było wytrzymać. Dworska hałastra, otaczająca królowica, zbyt wiele sobie pozwalala. Sama powierzchowność strojnych, podrygujących, z kudłatemi włosami, piżmem woniących młodzików poruszała żółć w starym rycerzu. Cóż dopiero, gdy te fanfarony obejściem się, minami, półsłówkami okazywali lekceważenie jego władzy najwyższej.

Hałastra czuła się bezkarną, mając za sobą syna królewskiego. Władysław pewnieby wybryki młokosów poskromił — choroba trzymała go w łożu, czyniła bezsilnym.

I położenie w obozie truło hetmana. Najlepiej był świadomy jego niedostatków, zwłaszcza przy wojnie przewlekłej. Łatwo mogło zbraknąć żywności i amunicyi. Przytem, któż mógł zaręczyć za długą wierność kozaków? Zaporozcy byli, jak wiatr stepowy — trudno było zgadnąć: kiedy i dokąd polecą. Tylko pieniądz mógł być zatrzymać ich na miejscu, ale tej marności zawsze brakło Rzeczypospolitej. Tymczasem na kozactwie stała armia, wspierały się losy całej wyprawy.

Przecucie śmierci nie miało dla Chodkiewicza nic strasznego. Ale drżał, żeby nie przyszła nie w porę. Już upatrzył w Lubomirskim swego następcę — wolałby był jednak sam sprawy z turkami uładzić.

Przesuwała mu się niekiedy przed oczyma uroczą postać drugiej, młodej żony, Anny Aloizy — postać dziwna, lotna, podobna do tych majaków, które zdaje ci się, że już trzymasz w ręce, a one ulatują w dal, albo się w nicość rozplywają. Takie promienie pięknie złocą puszystość lekkich, wiosennych obłoczków — czarnych, jesiennych chmurzysk one nie przebijają...

Mroki na czole hetmańskim coraz bardziej gęstniały — z oczu coraz posępniejsze, jakby gromniczne buchało światło. Zerwał się nagle — postąpił kilka kroków w głąbię namiotu, gdzie błyszczał w półcieniu ołtarzyk polowy.

Ukląkł na porzuconej tam skórce wilczej — oczy do nieba wznosił — modlił się...

Długo trwała modlitwa. Nie przeszkadzano w niej hetmanowi. Ktoś kilkakrotnie zaglądał do namiotu — spostrzegłszy starca na klęczkach, cofał się z pośpiechem.

Nagle oczy modlącego się stanęły słupem. Powyżej ołtarza, w ciemnym zagłębieniu dojrzał głowę Żółkiewskiego. Głowa unosiła się w powietrzu krwawa, śmiertelną sinością powleczone; z jej oczu, patrzających z bolesną wymówką, płynęły łzy...

Krótki, przenikliwy krzyk wydarł się z piersi Chodkiewicza. Starzec wznosił w górę obie ręce, na usta wystąpiła mu piana — z wykrzywioną twarzą, z drgającymi członkami na ziemię upadł.

W tejże chwili weszli do namiotu dwaj ludzie: ksiądz i lekarz.

Ksiądz wziął się zaraz do modlitwy. Lekarz podsunął choremu pod głowę zwinięty kobierzec i z miejsca go nie ruszał.

Była to chroniczna choroba hetmana: kaduk. Straszniemi jej napadami przypłacał każdą głębszą zgryzotę, każdy gwałtowniejszy wybuch gniewu. Pod Chocimem napady powtarzały się częściej, bo i cierpienia częściej i srożej dojmowały.

Burzliwy dzień życia hetmańskiego nie rozpogodził się nawet pod wieczór.

Gdy napad minął, ksiądz z lekarzem przenieśli chorego na łożo — sami siedli opodal, cicho rozmawiając.

— Wywczas mu potrzebny — mówił ksiądz. — Dość już naterał się w służbie Rzeczypospolitej. Nie młodziak; miejsce jego nie w namiocie, jeno przy ciepłym kominie, przy dzbaniu piwa z grzankami...

Lekarz uczynił głową i ręką znak przeczący.

— Co mówisz, *reverende!* — zżymnął się. — Chciałżebyś sokoły po kurnikach trzymać, ognistemi bachmatami mierzwę wozić? Jemu nie pod pierzynę leżć, jeno w pole lecieć, szabłą karków pogańskich macać. Posoka turecka — oto *remedium* na niemoc hetmańską. Zaraz jutro pchnę go na turka; gdy wyjdzie z niego cholera, ozdrowieje.

Noc płynęła, oni z miejsc nie wstawali, czuwając nad chorym. Hetman spał twardo, z oczyma szklącemi się pod niedomkniętą powieką. Przez sen mruzczał słowa to gniewne. to błagalne.

W tym samym czasie, w innej stronie obozu, przepędzał noc bezsennie człowiek, nie mający z pozorów żadnej do tego przyczyny.

Był to lisowczyk.

Towarzysze jego — z wyjątkiem zaciągnionych na straż nocną — oddawna już chrapali. Za dnia byli

w ogniu, a to na sen środek najdzielniejszy. Pomogła k'temu i gorzalka, której Wołosza dostarczała w obfitości.

Ten jeden przewracał się niespokojnie na pokrytej wołokiem ziemi, przyczem kłął półgłosem po polsku i po rusku księżyc, przez płótno namiotu przeglądający.

Już kilka nocy bezsennie przepędził. Niepokój wewnętrzny przemógł znużenie. Junak knuł plany tajemne, wyteżał myśl ku celowi, od którego cała jego przyszłość zawisała.

Niedawno jeszcze wesół, hulający bez pamięci, niedbały o jutro, we wszystkim rozpasany, od kilku dni zmienił się, sposepniał — w sobie się zataił.

Stało się to z chwilą, gdy do obozu przybył królewic z wojskiem koronnem.

Dwie wówczas niespodzianki spotkały junaka. Pierwszą był widok pięknego oddziału rajtaryi, którą własnym sumptem wystawił i przyprowadził towarzyszy jego chłopięctwa, niegdyś druh, a co najdziwniejsze, człek zgoła nie rycerski, bo — warszawski mieszczanek. Drugą stanowił list, przywieziony ze stolicy przez któregoś z rotmistrzów, a pochodzący od ojca junakowego.

W liście te były słowa:

„Uwadamiam cię, miły panie synu, że imćpan Melchor Drewno, Hanusiów ociec, srodze zachorzał, i już się pewnikiem Kostusi nie wywinie. Medycy piszą mu termin ostatni za niedziel ośm, *ad maximum* za dziesięć. Wszystko rzuć, a do Warszawy bieżaj, nie mieszkając. Póki jeszcze żyw, trzeba sprawę uładzić i koniec dać jej fortunny. *Post fata* pana oćca, opiekę nad dziewczką weźmie jego rodzony, imćpan Łuka — o którym wiesz, jako nam jest krzyw — ba, nawet cale *inimicus*. Ani momentu nie mi-

trzęź: zabieraj koń swój (zdobycze takż) i wszystko, czem cię Mars z Fortuną w wyprawach twych zbogaciły. Wiemci, jako o sobie pamiętać umiesz, a przy podziale łupów na ubocz nie idziesz. Więc kamyczków klejnotnych co najwięcej; więc rzędziki grzeczne, co u bachmatów tureckich nie nowina; więc złote sygnety, zapinki, trzęsidła, których w tureckich namiociech, a w pierw u węgrów i innych nacyi *multum* nałović musiałeś; więc naresztę czerwieńce, bo-dajby pogańskie — w sakwy statecznie kładź a wiąż, i pod strażą pacholikową, dniem i nocą, przez góry i jary, po szczęście swoje ruszaj. A niech to będzie z wolą pana hetmanową — przed którym udaj: jako ociec twój *moriturus*. Z czem cię Panu Bogu polecam.

Piotr Zboiński, ręką swą.

A sakwy miej nabite, bo wystąpić trzeba *honeste* — memu zasie mieszkowi boki haniebnie zapadły“.

Lisowczyk miał nad czem łamać głowę...

I klejnoty i złotogłowy i rzędy, turkusami sadzone, i trzosik wreszcie z dukatami niedawno jeszcze posiadał. Okazyi do ładowana sakw nie brakło. Straceńcy rzucali się w bój, jak sępy, rwali, jak kruki — nakształt srok na błyskotki byli łakomi. Ten nie zawsze bywał pierwszy do boju, za to w rabunku nikomu ubiedz się nie dał.

I byłby z pewnością skarb swój powiózł w całości do Warszawy, gdyby nie to, że pomiędzy obozem a zamkiem chocimskim był parów, że w tym parowie osiadła kupa przekupniów, handlujących najponętniejszemi dla żołnierza towarami i że najźwawszy z tej kupy miał wino mołdawskie wielkiej cnoty, gorzałkę mocną, jak ogień, i dwie córki na schwał uro-

dziwe, oraz, że w jego baraku o każdej porze szła gra w karty lub kości...

Wszystko to sprawiło, że łupy, zamiast do Warszawy, pojechały do owego handlarza, którego dla włosów rudych nazywano Szafran.

Ten Szafran uchodzić chciał za wołoszyna, był zaś naprawdę żyd farbowany. O dziewczkach, co u niego wino wojakom nalewały i inne usługi czyniły, trudno było rzec, czy są jego córki, siostry lub jego współpracownicy. Udawał wszakże ojca, wielce o ich cnotę dbałego. Gdy który z junaków w tym kierunku wykroczył, nigdy mu tego płazem nie puszczał: zawsze ów śmiałek musiał winę swą okupywać gotowizną lub fantem.

Z ilości fantów, złożonych przez Zboińskiego, można było łatwo wyrozumieć ogrom jego wykroczeń.

Pismo ojcowskie zastało junaka w położeniu prawie Hiobowem. I on sam i koń jego mogli byli śmiało powiedzieć: — To tylko nasze, co na nas.

Lisowczyk, przepijając u Szafrana ostatni klejnot, mówił sobie:

— Fraszka! Dość jeszcze onych w namiocie sultana i jego baszów.

Ale czasu nie było na świeże obłowy. Zanimby rycerz zdążył nowe trupy obedrzeć, Drewno mógł umrzeć, a z nim przepadłaby cała fortuna.

Konrad, który w stanie zwyczajnym był wściekły, teraz, gdy go wściekłość prawdziwa objęła, stał się spokojny. Chodził, „jak sum“, milczący, ponury, czarne myśli przeżuwał, czarne plany knował.

Jednego wieczora do parowu poszedł, z samym Szafranem zasiadł do kości.

— O co gramy? — spytał tamten, przezierając wzrokiem bazyliżkowym puste kieszenie lisowczyka.

—O wszystko moje, które jest u ciebie.

Szafran roześmiał się od ucha do ucha.

— Jak jest, to już jest. O cóż tu kości rzucać?...

— O to, że, jeśli wygram, wszystko do mnie powróci.

Żyd zmrużył oczy.

— A jak ja wygram?

— Zapłacę ci tyle, ile to wszystko warte.

— No, to warte dużo...

— Zapłacę ci dużo.

Szafran mieszał kostki w kubku, nie myśląc ich rzucać.

— Zaczynamy... Cóż to? Czyżbyś nie poległ na słowie szlacheckim?

Zwrócił się do dziewczyny, która siedziała w pobliżu, jednym okiem i uchem uczestnicząc w tej scenie, drugie zaś oko i ucho wysyłając przez okno do nowych gości, zsiadających z koni przed budą.

— Ot, twoja Zofka za mnie zaręczy...

Zofka roześmiała się, pokazała figę — z zalotnym spojrzeniem wybiegła do przybyszów.

Lisowczyk posłał za nią przekleństwo.

— Salka poczciwsza... Gdyś jej niedawno sznur pereł dawał, przysięgła, że będzie zawsze przyjaciółka moja. Salki jestem pewien. Hej! gdzie Salka?... Salka! Salka!

Ale Salka nie słyszała nawet wołania, siedząc przy innym stole, między dwoma towarzyszami, którzy pijanym głosem ryczeli śpiewkę żołnierską.

Żyd potraszał kostkami—uśmiechał się, milczał.

Konrad spokojnie, bo wściekły, wyciągnął z zanadrza list ojcowski, oddał czystą nołowę—na stole, przed sobą, papier rozłożył. Następnie sięgnął po pióro, leżące na półce, i—odwinał lewy rękaw swego kaftana.

Po chwili, w prawej jego ręce błysnął nóż. Szkliste ostrze dotknęło nagiego ramienia — z małej ranki trysnęła krew...

Handlarz nie przerywał zabawy z kubkiem. Na junaka patrzył ciekawie, lecz bez zdziwienia. Widział rzeczy dziwniejsze, a z krwią tyleż pewnie był znajomy, co z gorzałką.

Tamten pióro we krwi umoczył, do pisania się zabrał. Zabazgrał całą ćwiartkę, u dołu podpis zamaszysty położył. Skończywszy, zalał ranę okowitą i szmatą płócienną owiązał. Wreszcie, zdjął z palca sygnet (cynowy, bo złoty był u Szafrana w zastawie) i nad świecą zapaloną okopciwszy, przy podpisie odcisnął.

— Słysz, żółta mordo! — rzekł, papier żydowi wtykając.— Tym cyrografem czortowi pyskbyłm zaktkał... Chyba i tobie wystarczy?

Szafran z uwagą odczytał rewers.

— Mało... — skrzywił się. — Wasza wielmożność jeszcze co dorzuci...

— Chyba butem w łędźwie!

— Wasza wielmożność dołoży — szkapę!

— Co? na mego turczyzna masz oskome? Pohanyś ty i ciotka twoja maciora!

Szafran wysunął szufladę, schował kostki — zabierał się wstawać.

— Słysz! — mruknął Konrad jeszcze spokojniej, bo go wściekłość prawie dusiła. — U mnie koń jeno jeden.

— Na jednym przestanę.

— *Bene*. Dostaniesz, parszywczę, i konia — jeżeli wygrasz. Dostaniesz konia — i bodaj cię zaraz na kierkut wywiózł.

— Ja wołoszyn...

— Więc nie na kierkut, jeno prosto do samego

piekła. I to wiedz, czarci synu, że koń nie będzie twój, aż sobie innego na turkach wezmę. — A teraz grajmy.

Wyrzucili kilkakrotnie kostki.

Grając, milczeli. I w całej budzie zrobiło się cicho. Powodem cichości nie stała się gra, na którą mało zważano, ale coś niewytłómaczonego — coś, co niekiedy, niewiadomo skąd, napada ludzi i najweselszym śmiech z ust zdmuchuje, w piersiach oddech tłumi...

Być może, iż przyczyniła się do tego niezwykła w owym dniu parność, połączona z dziwnymi oparami, które słońce tylko na miejscach wyniosłych rozproszyło. Cały parów był zalany ciepłą, brudną mgłą, wyziewającą woń błota, siarki i krwi.

Cokolwiekbaż i obaj pijani towarzysze, przyśpiewujący Salce, i gromadka pancernych, baraszkująca z Zofką, i czwórka kozacza, co nieopodal siedziała na trawie, podając sobie z rąk do rąk i z gardła do gardła butlę gorzalki — uczuli nagle ściśnienie serca, które odebrało im w jednej chwili chęć do śmiechu, śpiewu i pustej gadaniny...

Może to było owo tknięcie wewnętrzne, które, cześciei, niżby kto sądził, ostrzega ludzi o wiszącej nad nimi fatalności?... Są znaki zapowiadające każdą katastrofę w przyrodzie — czemużby ich życie miewać nie mogło?

Myszki opuszczają budynek, który ma się wkrótce zawalić. Ptactwo odlatuje z miejsc, do których zbliża się zaraza. Czyż tylko człowiek miałby być pozbawiony instynktu ostrzegawczego?

Na gliniastych, piaszczystych, strugami wody powyżłabianych ścianach parowu rosły smukłe dziewanny, maki purpurowe, fioletowe ostróżki. Wszystko to raźnie wyciągało się do słońca, pławiło w niem

barwne korony — powabami późnego kwiecia usiłowało przytrzymać uciekające lato... Ale owego dnia wszystka roślinność zszarzała, sposepniała, jakby jej listki i płatki, czułe na wiatr i burzę, doznały nagłego lęku przed nadciągającym huraganem.

Na prostym stole z tarcic sosnowych kostki stukały głucho, jak grad na stwardniałej od spieki niwie. Wreszcie stukać przestały.

Gra była skończona.

Żyd westchnął, lisowczyk zaświstał. Obaj nie wyrzekli ani słowa.

Zaraz też lisowczyk wstał i nie przestając świstać, krokiem bardzo wolnym wyszedł z budy. O kilka kroków stamtąd, pod daszkiem chróścianym, stał jego tureczyn, szczypiąc trawę. Nałożył mu wędzidło, poprawił kulbakę, wsiadł...

— *Koły tak, naj tak!*... — mruknął do siebie i pocwałował, nie nazbyt śpiesząc, w stronę obozu.

Był taki, jak zawsze, poważniejszy tylko. Ale gdyby spojrział mu w oczy człowiek, co go znał, zdziwiłby się pewnie, że te oczy, zwykle w prawo i lewo latające, teraz były nieruchome i świeciły martwo, jak szkło przepalone.

Lisowczyk przegrał...

III.

W pułku rajtaryi Wajera, wojewody Chełmińskiego, znajdował się oddział niewielki, jakby samostny, który pod wielu względami wyróżniał się z pomiędzy innych chorągwi. Jeźdźców z tego oddziału przezywano rozmaicie, a zawsze z chęcią ośmieszenia. Najczęściej dawane im przezwiska były: „jazda brukowa“, „kantycznicy“ i — „krawcy“.

Ostatni tytuł urodził się na poczekaniu.

Ktoś chwalił tych jeźdźców, że choć wyglądają niebardzo po rycersku, jednak na koniu siedzą krzepko, „jak przyrośli“.

Ktoś drugi poprawił go:

— Powiedz waszmość, jak przyszyeci — zwyczajna bowiem to rzecz u krawców...

Oddział miał własną chorągiew. Na chorągwi był herb Warszawy: syrena ze skrzydłami nietoperzowymi, z mieczem i tarczą. Kto się dłużej wpatrywał w tarczę syreny, mógł dojrzeć na niej niewyraźne zarysy jakiegoś herbu szlacheckiego...

Naczelną władzę nad oddziałem sprawował Wajer. Ale „krawcy“ posiadali też własnego dowódcę. Ten dowódca był zarazem jakby pan ich i posesor. On ich zwerbował, do służby wojennej zaprawił, po rycersku odział — z rzemieślników i przekupniów uczynił żołnierzami.

Jazda rajtarska składała się początkowo z samych Niemców, skąd i nazwa jej poszła. Później przemieszrywano ich z Polakami. I w tym oddziale byli Niemcy, ale katolicy, poddani Rzeczypospolitej. Pochodzili z Gdańska i jego okolic.

Resztę oddziału tworzyła dziatwa Starej Warszawy. Po wszystkie czasy stolica bywała matką junaków. Niedarmo w jej herbie miecz połyskiwał.

Jeden duch ożywiał wodza i podwładnych. Dobrali się, a raczej dobrano ich według miary, zgóry powziętej. Wszyscy byli spokojni, poważni, z pozoru nieco ociężali i — smutni.

Wśród rozpasania, właściwego żołnierstwu zawsze, a zwłaszcza w obliczu czyhającej zewsząd śmierci, ten oddział stanowił tak wielki, że aż rażący wyjątek. Czysty, nabożny, karny, pełnił służbę wojenną poważnie, prawie z namaszczeniem, jako obywatelską powinność.

Gdy inne chorągwie, o ile nie szły w ogień lub na czaty, zabawiały się szklanką, kostkami do gry lub śpiewaniem nieprzystojnych piosenek, tu widziało się jedynie: pracę i modlitwę.

„Krawcy“ szyli odzież, bieliznę, namioty, a odłożywszy igłę, brali się do wzmacniania szaićów, opatrywania broni, naprawiania mundurów i uprząży. „Kantycznicy“ odśpiewywali chórem psalmy.

Każdy w tym oddziale miał narzędzia, należące do tego lub owego rzemiosła, oraz kancyonał. Jedni śpiewali po niemiecku, inni po polsku, a że nuta psalmów była jednakowa, chór szedł zgodnie.

Hetman, wielce nabożny, szczególną życzliwością darzył tych rycerzy statecznych. Zdarzyło się raz, że obieżdżając obóz, zboczył w tę stronę i zastał oddział, śpiewający pieśni nabożne. Rozkazał, żeby śpiewu nie przerywano i, nie zsiadając z konia, głowę jeno odkrywszy, razem ze wszystkimi psalmy ciągnął.

Już się tu wspomniało o charakterze Chodkiewicza. Był to rycerz, ale nie zabijaka. Tyleż w nim było kapłana, co żołnierza.

Dochowały się słowa hetmana: „Wypadnie nam kiedyś przed surowym i sprawiedliwym Sędzią zdać ciężki z rozlanej krwi rachunek“... Gdzieindziej woła z głębi serca: „Któż byłby tak nierozsądnym, by wojnę nad pokój przenosić!“... Wreszcie ten urodzony żołnierz, zawsze gotowy iść w bój z zagrażającym ojczyźnie lub religii wrogiem, wyznaje z wyższą nad wszelkie powątpiewanie szczerością: „Zawsze, zawsze czułem do wojny odrazę“...

„Jazdę brukową“ hetman poważał. Lubił też jej wodza, męża urodziwego, z płowym zarostem i takąż czupryną.

W tym mężu zażywnym, któremu zabierało się

na trzydziestkę, nie łatwo było poznać dawnego pazika królewskiego, co niegdyś z chyżością jelonka przebiegał komnaty, schody i dziedzińce Zamku Królewskiego... A jednak był to we własnej osobie: wnuk nieżyjących już, sławetnych Kawków, obywatel, kupiec i posesor warszawski, spadkobierca bogactw i firmy zmarłego Burnbacha, posiadacz domu handlowego w Gdańsku: Krzysztof Dąbek.

Dziwem to się zda, gdy człowiek od łokcia przebierze się za rycerza; dziwem większym—gdy w tem przebraniu idzie nie na maskaradę lub turniej dworski, lecz gdzie kule świszczą i leje się krew prawdziwa. A przecie rody mieszczańskie Starej Warszawy niejednokrotnie synów swych na pole bitwy wysyłały. Mieszczankowie odznacжали się tam sprawnością i roztropnością, zdobywając sobie względy hetmanów i królów.

Na wieść o nowej nawale tureckiej Rzeczpospolita wzdrygnęła się dreszczem śmiertelnym. Po dreszczu przyszło osłupienie. Z osłupienia, grożącego śmiercią, otrząsnęła się najpierw najtrzeźwiejsza część narodu: mieszczaństwo.

Kraj nie był przygotowany do wojny. Skarb, zawsze niedomagający, teraz przerażał pustką zupełną. Chodkiewicz umiał nawet w rozpaczę zdobyć się na dowcipne szyderstwo. Gdy król—opowiadał—zwrócił się do podskarbiego z zapytaniem: „Skąd wziąć pieniędzy?“, podskarbi odrzekł: „Właśnie o to samo zapytać miałem Jego Królewskiej Mości“...

Szlachta, żyjąca „huczno i buczno“, nigdy nie miała grosza zapaśnego. Rycerstwo żyło z dnia na dzień, goniąc nieuchwytną marę wojennych zdobyczy. Magnaci wydawali do ostatniego szeląga swe olbrzymie dochody. Gdy koniec z końcem nie wiązał się, zastawiano na wysokie procenty — zazwy-

czaj u kupców gdańskich — klejnoty osobiste, rodzinne, nawet... koronne.

Jedyną klasą narodu oszczędzającą byli mieszczanie.

Gdy trwoga padła na kraj, rządzący nim zdobyli się jedynie na wyciągnięcie rąk błagalnych do innych narodów. „Inne narody“ były dla Polski ognikami błędnymi, sprowadzającymi ją z prostej drogi i topiącymi w trzęsawiskach. I tym razem jedyna realna pomoc, na którą zdobył się Papież, nadeszła w chwili, gdy pod Chocimem podpisywano pakt pokojowe...

Mieszczanstwo Starej i Nowej Warszawy, Krakowa, Gdańska, wszystkich wielkich ognisk handlu, nie pomyślało nawet o gonitwie za majakami. Wyrosło na idei samopomocy i teraz do niej się uciekło. Zawrzało w ratuszach miejskich, na giełdach kupieckich—mrowiska zatrzęsły się od wzmożonego ruchu pracownic, które z kryjówek głębokich wynosiły na wierzch bogate zapasy.

Ironia, która zawsze, do najpoważniejszych spraw ludzkich wcisnąć się musi, sprawiła, że właśnie w tym czasie rządcy kraju zwrócili się przeciw mieszczanom. Szukając na oślep środków ratunku, w zupełnej nieznamomości stosunków ekonomicznych i społecznych, wypowiedzieli walkę najlepszym dzieciom, sługom i przyjaciółom Rzeczypospolitej. Dla ich ucisku wznowiono prawo przeciw zbytkom; ustanowiono stałą, rujnująco niską takse sprzedazną; obłożono handel, przemysł i rzemiosła nowymi podatkami.

Patryotyzm Gizów, Drewnów, Baryczków, Busserów, Fukierów nie ugiął się pod tym ciężarem. Mieszczanie byli ludzie twardzi, z nerwami mocnymi, nie powodujący się kaprysem ani wzruszeniami

przelotnemi. Nad wszystkim górowała u nich miłość rodzinnego kraju.

I oto jednego dnia zjawiło się na Zamku kilku ludzi, skromnie, szaro odzianych. Jeden z nich, najroślejszy, niósł szkatułę dębową, srebrem nabijaną. Szkatuła nie była nazbyt wielka, wszakże olbrzym z trudem ją dźwigał.

Przybysze, zwierzywszy sprawę swą marszałkowi, zostali niezwłocznie przed oblicze królewskie przypuszczeni.

To Stara Warszawa delegatów swych przysyłała.

Na czele poselstwa szedł burmistrz, którym był wówczas Stanisław Baryczka. Za nim postępowali trzej Janowie (to imię było wówczas u mieszczan w wielkiem użyciu): Giza, wójt Starej Warszawy, Czorn, jej szafarz, i Pieglowski, pisarz radziecki. Szkatułę niósł rajca i podskarbi, Jakób Szlichtyng.

Odzież posłów była tak skromna, że graniczyła niemal z ubóstwem. Wszyscy mieli dęle z taniego, szarego sukna, oszyte futrem lisiem najlichszego gatunku. Według nowego prawa, burmistrz i wójt mogli byli ustroić się w jedwabie i futra kosztowne—nie skorzystali przecie z przywileju ani w tej, ani w żadnej innej okazji.

Przemowa była krótka. Szło o rzeczy ważniejsze, niż krasomówstwo. Skłonili się nizko monarsze potem burmistrz wyrzekł po prostu:

— Słuchy nas doszły, najjaśniejszy panie, iż Rzeczpospolita nasza w potrzebie. Obowiązek synów macierz swą wspomagać. Otośmy przeto obol swój przynieśli. Od niej mamy wszystko — niechże i ona lada co od nas przyjmie. Prosimy patrzeć na serca **nasze, nie na ubóstwo.**

Tu wysunął się Szlichtyng i szkatułę, złotem wypełnioną, na stole postawił. Było w niej neimało.

Zygmunt uprzejmie powitał delegatów; ofiarę „wdzięcznem sercem“ przyjął. I uprzejmość i wdzięczność były zimne, jak on cały. Ale oni ani po dziękczynienia przyszli, ani ich potrzebowali. Spełniwszy swoje, skłonili się panu swemu do kolan i opuścili Zamek tak samo cicho a statecznie, jak do niego przybyli.

Wprost z pokojów królewskich udał się każdy do swego zajęcia, aby dalej pracować, oszczędzać, gromadzić. Tak czynią mrówki i pszczoły, a oni byli właśnie mrówkami i pszczołami Rzeczypospolitej.

W tym czasie przybył do Warszawy Krzysztof Dąbek. Nie zdążył obola swego wrzucić do wspólnej szkatuły — postanowił zanieść go oddzielnie.

W stolicy czekały nań wieści niepomyślne.

Drewno, ciężko chory, odsunawszy się od wszelkich posług publicznych, dogasał zwolna, nie odrywając oczu od Hanusi, jakby chciał obraz jej na tamten świat ze sobą zabrać.

W Drewnowej plebejuszowska chciwość honorów zagłuszyła wszystkie inne namiętności i uczucia. Przewidywana śmierć męża trapiła ją najbardziej z tego powodu, że opóźni małżeństwo Hanusi i skoli-gacenie się Drewnów ze Zboińskimi. Obawiała się też nie bezzasadnie nowych przeszkód ze strony brata mężowskiego, Łukasza. W jej przekonaniu ten „łyk zakamieniały“ nie był zdolny pojąć szczęścia, jakie daje związek z prawdziwą, herbową szlachcią.

Resztką niewieściego wstydu wstrzymywała ją od nalegania na Zboińskiego, by syna sprowadzał i z „dobiciem targu“ śpieszył. Jednak dała mu do zrozumienia, że powrót Konrada jest z wielu względów pożądanym. Stary ćwik z łatwością domyślił się reszty.

A Hanusia?

Hanusia nie dorozumiewała się nawet, o co im wszystkim chodzi. Starego posesora z Węgrzynową bała się, jak turkawka jastrzębia. O jego synu sama nigdy nie mówiła; mówiących o nim zdawała się nie słyszeć. Za to kilkakrotnie zapytywała o Krzysia — widząc jednak, że jej niechętnie na pytania odpowiadają, dała im spokój.

Zresztą, kościół, jałmużny i czytanie ksiąg nabożnych wypełniały jej duszę tak całkowicie, że już w niej na inne myśli i uczucia miejsca nie starczyło.

Krzyś, zaraz po przybyciu, odwiedził Drewnów. Nie dopuszczono go ani do ojca, ani do córki. Gościa przyjęła sama Melchiorowa — a przyjęła taką twarzą i takimi słowami, jakby chciała przekonać, że już tu miejsca dlań niema i nigdy nie będzie.

Ścisnęło się serce biednego chłopca. Oстрыm ćwiekiem wbiła mu się w głowę myśl, że nie będąc nikomu na tym świecie potrzebny, jest tem samem — zbyteczny.

Przez chwilę był blizki rozpacz. Ocalił go — sen. W śnie ukazała mu się Dorotka. Zalana łzami, skarżyła się z wyrzutem:

— Tak to przysięgi dopełniasz, dziecko moje miłujesz? Azaś obronił je przed nieprzyjacioły? z paszczęki wilczej wyrwał? z pazurów niedźwiedzich oswobodził?...

Krzyś obudził się przerażony. W ciemnej izbie, u wezglowia łóżka, stała postać świetlana, podobna do obłoczka, blaskiem księżycowym napojonego. Krzyknął — postać zniknęła.

U Augustyanów dzwoniło na prymaryę. Poszedł do kościoła, mszę zakupił — wysłuchał jej, krzyżem leżąc. Nie dało mu to zupełnego uspokojenia...

Wyszedł markotny. Przeczną, która wprost kościoła Augustyańskiego łączyła ulicę Świętego Marcina ze Świętojańską, skierował się ku kościołowi Świętego Jana.

Potrzebował skupienia wewnętrznego. Ono nigdzie mu tak łatwo nie przychodziło, jak w ciemnej kaplicy Baryczkowskiej.

Tam, gdy rozmyślał, wzdychając i płacząc, przyszło mu natchnienie, żeby część fortuny dla ojczyzny milej poświęcił i pod Chocim, na chrzest krwawy poszedł.

Tegoż dnia, około południa, był w Zamku — nie u króla wszakże, lecz u królewica. Władysław zbierał właśnie zaciągi, z którymi miał wyruszyć przeciw Osmanowi. Dąbek zwrócił się doń z prośbą, aby mu dozwolono na potrzebę Rzeczypospolitej dostawić stu jeźdźców, całkowicie uzbrojonych, z końmi i pacholikami.

To był jego obol.

Władysław, jedyny z Wazów, w którym krew Jagiellońska atawistycznie się odezwała, przyjął ofiarę z wybuchem radości. Nie przestając na wyrażeniu „wdzięcznego serca“, objął mieszczanka za szyję i jak równego sobie ucałował. Zaraz też Krzys mianowany został rotmistrzem nowego oddziału.

Dzięki czerwiencom, nieskapo szafowanym, zaciąg poszedł szybko. Gdy wojewoda chełmiński obejmował główne dowództwo nad rajtaryą, już w jego pułku jeźdźcy Krzysowi stali pod bronią, wyróżniając się ochędóstwem i statecznością.

Wojsku królewica, zbliżającemu się ku Chocimowi, dwa rodzaje wrogów drogę zastąpiły. Pierwszym było tatarstwo, które, przeprawiwszy się przez Dniestr luźną, rozbestwioną kupą, pospołu z opryszkami wszelkiej narodowości, płądrowało między

Braha a Kamieńcem; drugim... soczyste podolskie arbuzy.

Od arbuzów więcej padło ofiar, niż od strzał i szabel tatarskich. Piechota niemiecka, z głodomorów przeważnie złożona, rzuciła się na zdradny owoc, jak muchy na lep. W obozie wybuchnęła epidemia krwawej djaryi, a kto nie padł jej ofiarą, był przez czas długi osłabiony, do boju niezdatny.

W oddziale Krzysia nie przytrafił się ani jeden wypadek choroby, bo nie było tam ani głodu, ani obżarstwa.

Za to pod samą Brahą tatarzy nadszarpnęli nieco — koletów łosiowych, które nosiła rajtarya. Krzyś, który po raz pierwszy znalazł się w ogniu, z chłopcą prawie niecierpliwością rwał się do walki. Pilno mu było odbyć chrzest wojenny, rad byłby szramie krwawej, choćby przez środek oblicza...

Nadzieje zawiodły. Skończyło się na tem, że jednemu jeźdźcowi tatar urwał poję kaftana, drugiemu rozdarł rękaw, trzeciemu czapkę przedziurawił. Krzyś nawet i takiej nie poniósł szkody.

— Będą igły w robocie! — śmiał się wojewoda, lustrując wieczorem chorągiew Krzysią.

Opatrzność czuwała nad „krawcami“. Po przybyciu do obozu, otrzymywali prawie zawsze stanowisko na wałach, dokąd pociski nieprzyjacielskie nie sięgały. Zdrowi i cali, mogli wyśpiewywać psalmy chórem, dotąd ani o jeden głos nie zubożonym.

Drażniło to Dąbka. Wyzywał niebezpieczeństwo, gotów był szukać go rozmyślnie. Odkąd mu u pasa dzwoniła szabla, przy boku błyszczały pistolety, odkąd go budziła i usypiała muzyka trąbek wojennych, odkąd nad głową słyszał furkot chorągwi z syreną i herbem na tarczy — innym stał się człowiekiem.

Już to nie był wnuk Kawków — w żyłach mu grała krew ojca i wszystkich dziadów po mieczu.

Płowowłosa młodzian, dotąd cichy, prawie popularny, snuł marzenia, biegnące tak daleko, że się sam śmiałości ich przerażał. W tych marzeniach miejsce naczelne zajmowały dwie postacie niewieście, podobne do siebie, jak bliźniąt dwoje: obie z czarnymi, smutnymi oczyma, obie z wiankami róż białych na kruczonych włosach. Z początku łączyła się z nimi postać trzecia: młoda i świeża, rozchichotana, lecz jej zarzysy stopniowo bladły, zacierały się. Majowa świeżość i chichot pusty przestały już być ponętami dla osmutniałej duszy młodzieńca: harmonii z nią nie tworzyły — raczej rozdźwięk...

Sobotni dzień, czwartego września, był dla Krzysia szczególnie przykry. Mąk Tantalowych doświadczał, widząc, że dokoła wre bój zażarty, a on, przez wojewodę unieruchomiony, iść w ogień nie może.

Dzień ów miał się stać podwaliną wielkości sultana, któremu słuszniej, niż innym, dawano tytuł hunkiar, co znaczy z perska po turecku: rozlewca krwi. Dziki młokos obiecywał sobie, że jednym wściekłym napadem „niedowiarków“ zmiażdży, po ich trupach pójdzie do Krakowa i Warszawy, a tam już wrota całej Europy będzie miał otwarte...

Więc też po wiele razy rzucali się turcy na naszych z krzykiem piekielnym, jak potępieńcy; więc armaty tureckie nadzwyczajnej wielkości grzmiały tak często i tak głośno, że według Lubomirskiego: „od rannego półdopólnia aż do półdowieczora chmura z prochu słońce naszym odejmowała“, a według Sobieskiego Jakóba: „imć pan Hetman Wielki z podziwieniem zeznał, że jako na nogi swoje po-

wstał, tak dawno wojownikiem będąc, tak wielkiej strzelby nie słyszał“...

W Krzysiu kipiała krew, drgały wszystkie nerwy — a rozkaz Wajera na miejscu go trzymał...

Była chwila, już po południu, gdy hetman zakrzyknął wielkim głosem: „Rajtary“! Dąbkowi serce zabiło, bo myślał, że jego czas nadchodzi — okazało się jednak, że rozkaz dotyczy rajtarów pana Klebeka z pod chorągwi Chodkiewiczowskiej. Nieco później, ruszył i wojewoda Chełmiński na posiłek kozactwu, któremu zaczynało być „duszno“ — ale nie jazdę ze sobą wziął, lecz piechotę niemiecką.

Pod wieczór, gdy już nieprzyjaciel uciekł w płochu, nasi, zbytecznie zapędzeni, znaleźli się w opałach. Wówczas Wajer po raz wtóry wyprowadził swe pułki z poza szanów. Tym razem powołano i oddział Krzysia. Młodzieniec z uciechą rozwinął chorągiew, skrzącemi się od zapału oczami powiódł po swych jeźdźcach...

Uciecha trwała niedługo. Wojewoda zabrał z taboru kilka działek — na brzeg Dniestru ciągnąć je kazał. Rajtarzy mieli tylko osłaniać baterię.

Krzyś stał w miejscu, drząc i zębami zgrzytając z niecierpliwości. Koń jego, podniecony hukami wystrzałów, wrzaskiem bitewnym, wyziewami krwi i prochu, również szalał. Nie mogąc ustać spokojnie, kopytami wygrzebał dół po kolana.

O! gdybyż obu im rzucono rozkaz: „W imię Boże! naprzód!“...

Nadjechał w to miejsce hetman. Dostrzegł niecierpliwość młodego rotmistrza — uśmiechnął się nieznacznie.

— Koń waszmości do wędzidla nienawykły? — spytał, mierząc bystrym wzrokiem rumaka i jeźdźca.

— Jako jego pan, jaśnie wielmożny hetmanie! — odrzekł tamten śmiało.

— Na wojnie reguła pierwsza: posłuszeństwo i cierpliwość.

Krzyś oczy spuścił.

— Czy i powolność?... — zapytał ciszej.

— Nie zbytnia. Zawždy przecie: powolność rozkazom zwierzchności.

Pogładził brodę — przybrał minę zagadkową.

— Po ojcowsku waszmości radzę: zawściągnij cugle koniowi swemu i sobie. Ja animusz cenię, u innych on nie popłaca. Dziś animusz na uzdę biorą; paragrafami go opisali...

Dokończył szeptem:

— Komisarскими...

Wyprostował się dumnym ruchem — sokolem spojrzeniem potoczył dokoła. Zatrzymał wzrok na chorągwi Krzysiowej.

— Czyj herb? — zapytał, wskazując buławą syrenę i jej tarczę.

Młodzian poczerwieniał.

— Herb Starej Warszawy... Syrena...

— To wiem. Ale na tarczy co?

— Kleinot...

— Czyj?

— Oicowy.

— Jeślić oicowy, to i waszmoścín.

— Nie... nie mój...

— Jakże to?... — Chodkiewicz brwi ściągnął. —

A! Ociec szlachectwo utracił! Nie przez infamię przecie?

Krzyś rzucił się.

— Nie na miejscu to słowo, jaśnie hetmanie! Nieboszczyk rodzic poślubił kupcównę, handlu się jał... Prawu stać się musiało zadość.

— Waszmość takóż kupiec?

— I dobry. Kramy mam swoje w Warszawie i Gdańsku, statki własne na Wiśle, we Fryckiej zatoce...

Hetman uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Kupiectwo stanowi rycerskiemu nie równe. Wždy i kupiec Boga może chwalić, ojczyźnie służyć. Waszmość własnym sumptem rotę swą wystawiłeś?

— Własnym, jaśnie wielmożny hetmanie.

— Chwali się to. Znać krew nie ze wszystkim kupiecka. A do tej ofiary nie skłaniał cię nic, krom czystej *amor patriae*?

Pytając, bystro spojrzął w oczy młodzieńca.

— Nic... — szepnął Krzyś — ale wzroku hetmana nie wytrzymał i oczy spuścił, zapłoniwszy się.

Chodkiewicz czytał już w jego myślach...

Wyciągnął rękę — końcem buławy dotknął lekko ramienia Krzysiewego.

— Chociem nie król — dobitnie wyrzekł — powtórzyć mogę waszmości słowa królewskie: „Walcz, zwyciężaj“ — *ego faciam te...*

Nie dokończył. W teje chwili rozdarła powie-trze dzika pieśń powracającego do taboru kozactwa. Jeźdźcy na chudych koniach, sami chudzi, obdarci, czarni od prochu, obryzgni krwią, do szatanów podobni, na powitanie hetmana chmurę czapek wyrzucili w powietrze. Każdy miał przytroczone do siodła łupy — niektórzy prowadzili konie zdobyczne, wielkiej piękności.

Wiódł swe pułki Sahajdaczny. Jedną ręką pozdrawiał Chodkiewicza, uchylając bogatej czapki z czaplem piórem; drugą ciągnął na arkanie baszę. Był to podarek dla królewica.

Pospołu z kozakami, nadciągnęli na spienionych koniach lisowczycy. Byli również obciążeni lu-

pem, również krwawi, również straszni. Nie odróżniało się ich w tej chwili od Zaporozców, choć o to odróżnienie bardzo dbali. W czasie żerowania niknie różnica pomiędzy lwem a tygrysem.

Wśród lisowczyków Krzyś dojrzał Konrada. Wichura był ponury, osowiały — wydawał się prawie poważny. Koniowi wodze opuścił, zdobywszy nie wioził żadnej. Jednak znać było, że wraca z boju, że się męstwem popisywał — że zdobył może wawrzyn, którym kiedyś pysznić się będzie...

Już go kilkakrotnie Krzyś spotykał. Przy każdym spotkaniu odwracał się od niego z niechęcią. Teraz do niechęci przyłączyła się — zawiść.

IV.

W niedzielę, piątego września, chmury obciągnęły niebo, deszcz ciepły padał z przerwami. Co pewien czas to w tej, to w owej stronie pomrukiwał grzmot — leniwie, niechętnie, jak budzący się i znów zasypiający niedźwiedź. Powietrze było ciężkie.

Tego dnia turcy zostawili naszych w spokoju. Nasi nie kwapili się również z zaczynaniem, dzień Boży szanując. Kilkakrotnie tureccy harcownicy wyjeżdżali w pole, potrząsając krzywymi szablami, do utarczki wyzywając. Pokazywano tym zuchom plecy.

Niekiedy huknęło w oddaleniu działo tureckie — dreszcz przebiegł po powietrzu, skałach, wodzie. To Osman mówił polakom:

— Nie śpię...

Zresztą, turcy byli zajęci przenoszeniem obozu. Posuwali go bliżej taboru kozackiego. Tu ich ciągnęła potężniejsza od miłości: nienawiść. Sułtan nie w Chodkiewiczu widział głównego wroga, lecz w Sa-

hajdaczny. Góry złota obiecywał, gdy mu kto tego „psa siwego“ żywcem lub trupem dostawi.

W obozie polskim cały ranek poświęcono modlitwie. Przy rozstawionych pod odkrytem niebem ołtarzach kapelani odprawiali nabożeństwo. Cisza była tak wielka, że słyszało się wyraźnie: *Dominus vobiscum... Oremus...*—potem dzwonienie dzwonek i gruby bas ministranta, którym był wąsaty usarz lub towarzysz pancerny. Podczas Podniesienia z brzękiem głośnym wysuwano z pochw szable — już nie do połowy, lecz w całości. Zdawało się wówczas, że nad tłumami zbrojnemi przelatuje srebrna błyskawica.

Chodkiewiczowi lekarze nie pozwolili wstawać. Starzec kazał rozsunać płótno namiotu, i słuchał mszy świętej, klęcząc na łożu, okryty delią karmazynową, przez dwóch senatorów podtrzymywany.

Po nabożeństwie kilkutyśięczne chóry śpiewały hymny nabożne, litanie do Matki Boskiej, „Królowej Polski“, i do Wszystkich Świętych. Gdy spożyto południowy posiłek, przyszła kolej na pieśni świeckie, żołnierskie, często rubaszne, częściej tęskne i smutne.

Potem ozwała się tu i owdzie muzyka, zadzwoniły kubki... Ale nie wybuchnęła nigdzie wesołość hałaśliwa. Naogół więcej wypoczywano, niż bawiono się. Wojsko było znużone pracą dwóch dni ostatnich — przytem w powietrzu pływała dziwna senność, rozleniwiająca i osłabiająca.

Po obiedzie zebrano się w namiocie hetmańskim na radę. Pod wrażeniem świeżych tryumfów kozackich wystąpiono z projektem nocnej wyprawy, któraby śpiących Turków zniemacka zaskoczyła. Ostatnie wypadki dowiodły, że śmiałkom los sprzyja — kto wie, czy i tego zuchwalstwa nie uwieńczyłaby „wiktorya“?...

Chodkiewicz energicznie ów projekt odrzucił. Wszelkie skrytości, podstępny, pełzania były przeciwne jego jasnej, szczerzej naturze. Mroki są dla sów, nie dla orłów.

Choć osłabiony, argumentował z wielką energią. Przedewszystkiem zwracał uwagę na niebezpieczeństwo, jakim groziła wrodzona kozactwu chciwość łupów. Dorwawszy się do namiotów tureckich, ulgnęliby na zdobyczy, jak kwiczoły na lepie. Potem, któż wiedział dokładnie, jak jest strzeżony obóz turecki w porze nocnej? Mówią szpiegi, że pogaństwo śpi, jak zarżnięte, żadnego baczenia na tabor nie dając. Jest to wątpliwe i nawet zgoła do wiary niepodobne. Nuż wojsko wpadłoby w przygotowaną zawczasu zasadzkę?...

Przekonano się później dowodnie, jak słuszne były te argumenty. Hetman stał przy nich twardo— „komisarzom“ przegłosować się nie dał.

Uchwalono ostatecznie: nikogo „na gas“ nie posyłać. I tylko, oprócz dziennych straży, wyprawiono oddział piechoty i kozaków za rzekę po żywność.

Dzień płynął spokojnie, składnie — zdawało się, że już do końca będzie spokojny a składny.

Tymczasem — dojrzewał posiew, rzucony przez lisowczyka owej nocy, gdy mu to księżyc, przez płótno namiotu przezierający, spać nie dawał...

Lisowczyk nie ruszał się z miejsca, dopóki księżyc świecił. Kłął, zębami zgrzytał, ale nie ruszał się. Zaledwie jednak sierp księżycy zniknął za górami i ciemność ogarnęła ziemię — podniósł się i na czworakach wypełznął z namiotu.

Tabor leżał w ciszy prawie martwej; lisowczycy spali z jedną ręką na szabli, z drugą na cynglu pistoletu. On, na nogi powstawszy, przekradał się szybko a cicho wśród śpiących towarzyszków. W ten

sposób, nikogo nie zbudziwszy, dostał się do suchego, głębokiego rowu, który przedzielał dwa obozowiska: Rusinowskiego i Konaszewicza, czyli: kozaków utajonych i kozaków jawnych.

Stanąwszy nad rowem, zahukał trzykrotnie głosem puhacza. Z rowu wyszło natychmiast kilku ludzi olbrzymiej postaci. Zawiązała się rozmowa cicha a żwawa. Okazało się z niej, że nieznajomi są „mołojcy“.

Ktoby nie spał a podsłuchiwał, mógłby był pochwycić słowa: „Hetman... wola hetmańska... zdrajcy... na pohybel im“... Zakończyło naradę kilka jędrnych przekleństw.

Zmówcy rozpełzli się w różne strony, jak gady. Lisowczyk powrócił do namiotu tąż samą drogą, którą wyszedł. Legł na posłaniu, ręce pod głowę podłożył, wyciągnął się. Ale choć mu już teraz nic nie przeszkadzało, nie zasnął. Z otwartymi oczami oczekiwał dnia białego.

Ziarno było rzucone...

Nad wieczorem w obozie zrobiło się głośno. Odezwały się bębenki, hałabajki, bandurki. Śpiewano i tańczono. Gwar był, jak na jarmarku lub odpuszcie. W oddaleniu stłumiony ryk działa tureckiego odzywał się rytmicznie w równych odstępach czasu, niby basy, przygrywające do taktu wesołej kapeli.

W chwili, gdy zabawa stawała się najgłośniejszą, zadudniała nagle ziemia od galopu końskiego.

Do obozu wpadł kozak — istny upiór, z rozczochranym włosom, z oczyma zesłupionemi, bez czapki, z wyrazem przerażenia na zsiniałej warzy.

Rwał prosto do namiotu hetmańskiego, a ludziom, co mu drogę zastępowali, rzucał jedno tylko słowo:

— *Rezut!...*

Hetman był chory — zasnął — nie podobna było puszczać doń gońca takiego.

Któryś z siłaczów chwycił za uzdę i na miejscu osadził szkapę kozacką. Poseł musiał być skierowany do Lubomirskiego. Hetman polny zastępował w takich wypadkach wielkiego.

— *Rezut, batiuszki!... rezut!...* — jęczał wystraszony kozak, pokazując nahajką za siebie. Przybywał zaś od strony zamku Chocimskiego.

Czyżby nieprzyjaciel z boku zaszedł i tył wziął naszym?

Przyskoczył jeden z dowódców.

— Ko rżnie? — krzyknął. — Turcy?... Tatarzy?...

— *Naszy rezut!!...* — chrypiał zaporoziec.

Lubomirski w trzech słowach rzecz zrozumiał. Kozaka uciszył i zatrzymał w namiocie, żeby się gwałt po obozie nie rozchodził. Rozkazał też, żeby oddział zbrojny co tchu dosiadał koni...

Na kilka chwil przedtem młody Dąbek, który całe święto nad Biblią przesiedział (między gdańszczany nauczył się tego), zapragnął „rozprostować kości“. Luzak przywiódł mu konia — on samopas wyjechał za obóz.

Wierzchowiec, prawie z własnej woli, poniósł go ku Chocimowi, w stronę parowu.

Nie śpieszył zbyt. Minął kłusem pierwsze i drugie czaty, potem szlapią włókł się między skałami.

Z parowu, jak zawsze przy święcie, dochodził gwar głośny. Tej niedzieli był głośniejszy, niż zwykle. Chwilami przypominał nie tyle zabawę, co walkę.

Ta drobna różnica nie zadziwiła Krzysia. Zabawa żołnierska rzadko się bez walki obywa.

— Wino mołdawskie szumi... — myślał.

Nagle, w niewielkiej odległości, ujrzał przyczajonego za skałą jeźdźca. Jeździec, z wyciągniętą ku parowowi szyją, z wytężonym w stronę tumultu wzrokiem i słuchem, nie zauważył przybysza.

Dąbek zdziwiony, ciekawy — może przecuciem tknięty — ściągnął cugle koniowi i cofnął się tak, że mógł widzieć, nie będąc widzianym. W jeźdźcu poznał Wichurę.

Nie wyszło „Ojczy nasz“, gdy na drodze zadudniało i w tumanie kurzu przygalopował kozak. Był bardziej jeszcze zdyszany, niż ów, co z wieścią wpadł do obozu. Był przytem podobny do upiora i do zbója. Z twarzy spływał mu pot, odzież jego była poszarpana, ręce krwią ubroczone.

Szkapa, na miejscu osadzona, robiła bokami. Przygniatał ją prawie do ziemi ciężar wielkich tobołów, któremi ją objuczono.

Lisowczyk z kozakiem zawiązali rozmowę krótką, urywaną. Słyszał ją dokładnie Krzyś, ale zrozumieć wszystkich słów nie mógł. Były ruskie. Doszedł jednak, że rozmawiano o bójce, o łupach, o Szafanie...

Zaraz też połowa tobołów została przerzucona na konia Wichury. Przy przerzucaniu zadźwignęło w tobołach, jakby złoto. Były też i stąd dziwne, że do ich owinięcia użyto nie prostych szmat, lecz złotogłów, aksamitów, gobelinów.

Dzika radość rozżarzyła czarne oczy Wichury. Błysnął niemi w prawo i lewo i konia skierował na drogę. Kozak podążył za nim. Mieli zamiar przemknąć tylko przez szlak otwarty i wpaść w boczne, gęsto zadrzewione ostępy.

W tej chwili koń Krzysiowy zarżał.

Lisowczyk obejrzał się, dostrzegł wroga,

i w mgnieniu oka, pistolet dobywszy, wystrzelił. Kula przeleciała górą, nie dotknąwszy młodzieńca.

Krzyś odruchowo wyrwał szablę z pochwy, ostrze wytknął przed siebie...

A tamten leciał już na niego z drugim pistoletem. Huknęło—koń lisowczyka potracił w galopie Dąbka—młodzian poczuł, że jego szabla na jedną sekundę oparła się o coś twardego.

Jeszcze nie rozumiał, co się stało, gdy ujrzał Wichurę wraz z kozakiem, zawracających i pędzących nań z twarzami wściekłymi. Nie mieli już pistoletów — nad głowami trzymali obnażone szable.

Prawy policzek Wichury był krwią zalany.

— Panie!... w ręce Twoje!... — jęknął Dąbek, widząc ostatni moment swego życia.

Nie trwoga, lecz wzruszenie świątobliwe obezwładniło go na chwilę. Szepcząc słowa modlitwy, opuścił szablę, oczy przymknął...

Gdy je otworzył — napastników przed nim nie było.

Od strony obozu pędził oddział towarzyszków pancernych z hetmanem polnym na czele.

Sępy pierzchy przed orłem.

V.

Wojna posiada dwa oblicza: jedno wzniosłe i piękne, drugie straszne i odrażające. Pierwszem zwraca się do zwycięzców, drugim do zwyciężonych.

Pod Chocimem, d. 5 września 1621 r., wojna ukazała swe oblicze bez maski. Za przykładem wielkich, zapragnęli tam brać maluczcy. Jak Osmanowi, jego wezyrom i baszom, tak zapachniała krew ludzka oraz mienie bliźniego — motłochowi. A że motłoch jest

sam prze się brzydki i wstrętny, brzydkimi i wstrętnymi stały się i jego dzieła.

Cała hałastra obozowa, prowadzona przez kupę pijanego kozactwa, rzuciła się z nożami, toporami, drągami żelaznymi na kupczących w parowie wołochów. I tu znalazło się hasło piękne, ideą dobra publicznego osłaniające dzikość i zwierzęcość. „Śmierć zdrajcom, donosicielom, przekupnikom!” — wołali zbóje; szło im zaś naprawdę o to tylko, żeby się krwi bliźniego nachleptać.

I nachleptali się jej do syta...

W cieniu ukrył się główny sprawca zbrodni... Przynajmniej doraźni sędziowie odkryć go nie mogli. Ale nicby on był nie zdziałał, gdyby inne czynniki nie przygotowały mu gruntu. Sam lont, bez miny, wybuchu nie sprowadzi.

Bezbronną wołoszę mordowała czerń, złożona z czeladzi obozowej, luzaków czyli luźnych pacholców, słowem, to wszystko, co w wojsku oznacza się mianem: „ciury“. Trochę dzikiego, namówionego kozactwa dodawało nikczemnikom animuszu. Resztę skrupułów zwalczyła gorzałka — „gocha“, jak ją nazywa Potocki.

Ów główny, zatajony sprawca rzucił wieść, że mołdawianie zdradzają naszych, że zmówili się z turkiem, że obóz mają podpalić... Wieść była bezecnie fałszywa. Cokolwiekby, równała się wyrokowi śmierci na obwinionych.

Motłoch nie rozumuje, a do noża, pałki, stryczka ręka go świerzbi. Trzymany na uwieżi — pełza; gdy jednak zakosztuje tygrysiej rozkoszy mordowania, zmienia się odrazu we wściekle zwierzę.

Chodkiewicz, choć wódz genialny, zblądził, rozbudzając w tych pełzaczach instynkty krwiożercze. Kilkakrotnie, dla postrachu Turków, pozwolił ciurom

odegrać komedię rycerską—dopuścił nawet do tego, że uciekających gonili, zabijali, obdzierali...

Mówią myśliwi, że wilki dopóty nie ośmielią się rzucić na ludzi, dopóki wypadek nie ułatwi im pożarcia jednego człowieka. Wówczas ogarnia ich wściekła pożądliwość ludzkiego ciała, której tylko kula lub kordelas kres położyć mogą.

Motłoch z obozu polskiego rzucił się na rzekomych jego nieprzyjaciół; kto wie, czy przy zmienionych warunkach nie zwróciłby się z nożem, pałą, pięścią przeciw polakom...

Ciurowie chocimscy wtargnęli do parowu kupą wrzeszczącą, pijaną, kierowaną wyłącznie instynktem drapieżnym, niszczycielskim. Zabijać mężczyzn, gwałcić kobiety, zabierać, co pod rękę popadnie — to jedynie w ich mózgach kołowało.

Wołochów napaść zaskoczyła najniespodzianej. Uważali ją najpierw za żart, potem za pogroźkę, wreszcie za nieporozumienie. Żaden nie pomyślał nawet o obronie. Wynosili oręż, strzelby, pistolety—ciskali wszystko pod stopy napastników.

Motłoch na nic nie zważa. Najpokorniejsi oddali pierwsi nóż pod gardło. W jednej chwili droga pokryła się trupami.

Zbóje wdarli się do wnętrza baraków.

Na chwilę, nad krwiożerczością wzięły górę inne instynkty. W barakach były baryłki z winem i wódką — były „harne“ dziewczki służebne.

Przekupnie stanęli w obronie swego mienia; dziewczki powciskały się w kąty, grożąc zębami i paznogciami. Stało się to zgubą dla jednych i dla drugich.

W mgnieniu oka każdy z baraków zmienił się w piekło. Zaryczeli zbóje — w powietrzu rozległ się świst pałek i toporów. Buchnęły aż pod powalę fon-

tanny krwi, mózg z rozbitych czerepów obryzgał stoły i ściany. Jęk, płacz, charczenie, modlitwy, przekleństwa, śmiech pijacki zmieszały się w chór jeden — piekielny.

Razem ze krwią i łzami popłynęła gorzałka. Pito wprost z baryłek, wrywając czopy zębami. Ten i ow, trunkiem omroczony, padał między trupy, sam ledwie żyw, i rzeżał do choru z konającymi.

Jeden Szafran radzić sobie umiał. Nie bronił swego dobra — owszem, sam je ofiarował napastnikom. Stał przed swą budą, kłaniał się do kołan każdemu zbojowi — na tęgie wino mołdawskie, na miód szlachecki, na krzepką gorzałkę pokornie do siebie zapraszał.

I „córek” swych nie krył. Zośka i Salka, choć zielone od strachu, pośpieszyły żwawo usługiwać opryszkom, starając się nawet wykrzywiać do uśmiechu urzące, zbierając wargi.

On sam tymczasem, wypchawszy kieszenie przestronnego szarżana klejnotami i papierami ważnemi, cotał się ku tylnym zabudowaniom, mając się do ucieczki.

Zastąpili mu drogę dwaj semenowie.

Jeden wziął go pod żebra z jednej strony, drugi z drugiej — przed samemi oczyma machnęli mu nahajkami, które miały na końcach kulki ołowiane. Potem jeden powiedział mu coś do ucha głosem bardzo stanowczym.

Szafran skinął głową na znak zupełnej zgody.

Wszyscy trzej zeszli do loszku, wypelnionego fantami. Bawili tam dość długo. Z powrotem ukazał się najpierw kozacy, z których każdy był obciążony wielkimi tobołkami. Za gośćmi wywlokł się gospodarz — wciąż bardzo uniżony i kłaniający się.

Kozacy dosiedli zaraz koni i, z przytroczonemi do siodła ciężarami, kopnęli się w strony przeciwnie.

Szafran postął chwilę, raz jeszcze im się uklonił i — dał nurka w kukurydzę, której wielkie pole rozciągało się nieopodal.

Unosił życie, klejnoty i dokumenty. Żeby z tem na dno nie pójść, resztę rzucał w fale. Żał mu było zmarnowanego „towaru“, straconych fantów... O „córkach“ ani pomyślał.

Tymczasem „zabawa rycerska“ szła w najlepsze.

Już nie było ludzi, nie było zwierząt — było piekło ze wszystkimi czartami.

Wymordowano już mężczyzn, zbezczeszczono i również wymordowano kobiety — pozostali tylko starcy i niemowlęta.

Złani krwią, zataczający się, napół nieprzytomni oprawcy mieli chwilę niepokoju, wahania się...

Miażdżenie głów, płatanie piersi, rozpruwanie brzuchów już się im znudziło. Krew... ciągle krew... tylko krew... — to wkońcu musi spowszednieć. Uczuli wstręt do mordowania nożem, toporem i pałą.

Gdy tłum dojdzie do takiego stanu, przestaje myśleć, traci wolę — jest masą bierną, którą każdy może kierować. Gdyby człowiek silny duchem stanął nagle przed zbojami i, wzniosłszy w górę krzyż, zawołał: „Na kołana!“ — pewnieby padli, rycząc z żalu i zmiłowania Boskiego błagając.

Ale, zamiast tego hasła, rzucono im inne zgoła.

Ktoś głosem ochryłym wrzasnął:

— Na most!...

Natychmiast banda, jakby pchnięta niewidzialną pięścią, potoczyła się w stronę mostu.

Potoczyła się — stanęła...

W resztkach czuwających jeszcze mózgów nie uświadomił się dostatecznie cel pchnięcia.

— Topić!... — rozległ się wrzask donioślejszy.

Zrozumiano.

Na drodze, w ohydnych błocie z piasku, który wchłonał kałuże krwi i rozlanej gorzałki, czołgali się starcy schorzali i zgrzybiałe niewiasty, żebrząc o życie dla — wnuków.

Cała dziatwa wołoska zbiła się w kupkę, jak stado jagniąt podczas burzy, i wyczerpawszy się długim lamentem, w niemym odrętwieniu, okropnie wytrzeszczonymi oczyma wpatrywała się w twarze oprawców.

„Na most!“... „Topić!“... — ryczeli zbóje, tocząc się ku rzece. A jak lawina porywa lub miażdży wszystko, co spotka, tak oni miażdżyli lub porywali każdą ludzką istotę, co im na drodze stała.

Starcy padli w jednej chwili pod ciosami pałek. Po ich ciałach przeszły ciężkie, podkute skórznie, do krwawego błota je wbijając.

Wszystką dziatwę — nawet niemowlęta wyciągnięte z kolebek — porwano i uniesiono. Półnagich chłopców i dziewczątka zbrodniarze za nogi chwytali, przez ramiona przierzucali sobie, jak barany.

Z wyciem, świstem, z wrzaskami pawianów i goryłów, banda wpadła na most, pod którym szumiał i pieniał się Dniepr wezbrany.

Fala i płomień są bezlitosne. One zawsze na łup czyhają. Płomień wysuwa z sykiem drgające, czerwone żądła, kaleczy, oszpeca, zwolna, kawałkami pożera. Fala odrętwia ofiarę szumem usypiającym, połyka mokną, nigdy nie sytą gardziela, ciągnie na dno lejkowatymi wirami, dusi i na żer stworzeniom wodnym oddaje.

Owego dnia fala Dnieprowa aż zaryczała z ucie-

chy, wyszczerzając w potwornym uśmiechu białe kły skał podwodnych. Tyle ciał odrazu! takie potoki krwi świeżej, purpurowej!...

Rzucano dzieciątka do wody z wymyślnem okrucieństwem — jedno po drugim, nie śpiesząc. Gdy białe, cherubinowe ciało nie chciało iść na dno, cisniano w nie kamieniami. Przy każdej nowej ofierze, zjawiającej się na falach, wybuchał wrzask...

Wielu dzieciom los oszczędzał długiej męki. Trafwszy na ostrze skalne, odrazu ginęły. Inne pływały długo po powierzchni, unikając jakby cudem poci-sków i wirów.

Dzieci zbrakło już — Dniepr wciąż jeszcze pożą-dał żeru, a tłum uciechy. Wrócono do parowu, odszu-kano tych, co jeszcze ostatniego tchnienia nie wy-dali—wśród krzyków na most wleczono konających.

Wśród ofiar znalazły się: Zofka i Salka. W po-dartem na strzępy odzieniu, sine, obrzmiałe, huścić się zdawały na rozkołysanych falach.

Wreszcie przysła kolej na trupy...

W tej chwili dopiero zabrzmiała trąba wojenna—zboje zostali otoczeni przez wojsko.

Byli, jak zwierzęta dzikie, co się nad miarę ob-żarły i krwi ludzkiej opily — senni, ogłupiali, bez-władni. Nie bronili się—nie próbowali nawet uciekać. Zrozumieli jedno: że uciecha skończona i że teraz trzeba za nią — zapłacić.

Lubomirski złożył „sąd gorący“. Na oczekaniu zarządono dochodzenie, mające wykryć najwinniej-szych. Dla tych przygotowano odrazu stryczki i upa-trzono miejsca na gałęziach.

Czyniło się to tylko dla kształtu. Każdy wie-dział, że wszyscy są winni, i że wszystkich należa-łoby wywieszać. Ale czasu wojny, jeżeli życie ludz-kie wogóle bardzo mało się ceni, życie pewnych ludzi

posiada wartość nadzwyczajną. Tymi ludźmi wyjątkowymi są mężczyźni, zdolni do noszenia broni. Wartość ich wzrosła jeszcze kilkakrotnie pod Chocimem, gdzie na jednego polaka przypadało trzech, czterech Turków. Wieszając takich ludzi w dużej ilości znaczący: siebie samych okradać.

Wybrano przeto kilkunastu, pozostawiając wybór bardziej trafowi, niż sprawiedliwości — i ci zaraz zawisli na gałęzi. Resztę kazano ćwiczyć batogami.

I ci, których wieszano, i ci, których batożono, nie wiedzieli, co się z nimi dzieje. Gorzałka pozbawiła wszystkich przytomności i czucia. Za dotknięciem, przewracali się, jak kłody.

O martwych nie kłopotano się ani trochę. Hetmani mieli na głowie sprawy ważniejsze. Trupy ofiar i trupy katów pozostawiono „psom i krukom na opas“. Historyk powinien był dodać w tym razie: i rybom.

Pomiędzy trupy zwalili się pokotem i żywi, co batogi otrzymali. Część ich nie wstała już więcej z tego posłania.

Sobieski, a za nim Potocki, mają za złe hetmanowi polnemu zbytnią pobłażliwość. „Kara nie odnawia zbrodni“ — mówi pierwszy. Drugi dodaje: „Sroższym być podczasem sędzia należało — żeby po nim dekretu już nie poprawiało w tak jawnej krzywdzie niebo“...

Są to głosy moralisty i poety. Żołnierz i polityk wydadzą sąd inny.

Woina jest zawsze i pod wszystkimi względami — dziełem szatańskim.

VI.

Dąbek przepędził tę noc bezsennie. Nawet nie kładł się, bo się lękał strasznych widziadeł, które już na jawie nazbyt go dręczyły.

Chodził po namiocie i dokoła namiotu, wzdychając, ręce załamując — niekiedy czyniąc ruchy takie, jakby kogo odpychał.

Widował już przedtem rzecz okropną: zabitych, i rzecz okropniejszą: zabijających — niczem to jednak było w porównaniu z piekłem, oglądanem tam, przy moście chocimskim...

Jego spokojna, mieszczańska dusza, mająca za cały ideał: pracę, modlitwę, miłość Boga i ojczyzny, miotła się w konwulsjach na każde wspomnienie widzianych gwałtów.

Dręczył go też, nakształt zmory, obraz Konrada, pędzącego nań z podniesioną szablą... W oczach swego wroga dojrzał wówczas bezdeń niegodziwości. Domyślał się rzeczy okropnych, do wiary niepodobnych...

Długo walczył z tem widziadłem, daremnie usiłując pozbyć się go. Do białego rana mocował się z niem, jak archanioł ze smokiem. Na samem świtaniu zakończył walkę powzięciem silnego postanowienia, które wyraziło się w słowach:

— Tak dłużej trwać nie może. Dziś liczby swe zamknąć musimy...

Zrozumiał poprostu, że między nim a Wichurą sprawa doszła do tego punktu, w którym należało koniecznie, w taki lub inny sposób, kres jej położyć.

W obozie otrębywano pobudkę. Przywołał pacholka, żeby mu dał inną odzież, pomógł się przebrać, na głowę i ręce wylał konew wody. Przed rvmgra-fem, do płótna namiotu przytwierdzonym, odmówił

dłuższe, niż zwykle, modlitwy; potem poprawił na sobie uzbrojenie, pomacał szablę, czub i wąsy nastroszył. i— ruszył prosto do miejsca, gdzie okopali się byli Lisowczycy.

Miał do przebycia duży kawał drogi. Gdy przybył, już słońce dopijało ostatnich kropel rosy, już tu i owdzie szła dość gęsta strzelba, już ochotniejsi lub niecierpliwsi towarzysze na harc wyjeżdżali...

Przybył zapóźno. Jeszcze o zmroku przedporannym Konrad Zboiński opuścił namiot swój, obóz i Chocim.

— Uciekł?

— Co zaś! Z pozwoleniem pana hetmańskim, jawnie i okazale, wyjechał.

— Sam?

— I to nie. Luzaka wziął, pacholików dwóch czy trzech, koni zapaśnych do dziesięciu, objuczonych, jak się patrzy. Nie z próżnemi żegnał nas rękami.

— Dokąd drogę wziął?

— Do rodzica swego, który go wezwał *in articulo mortis*.

— I hetman zezwolił?

— Co nie miał zezwolić junakowi takiemu! Alboż Zboiński mało zasłużył się Rzeczypospolitej? nie dość krwi za nią przelał? Wždyć i teraz stanął przed hetmanem z gębą haniebnie żeleźcem tureckiem przejechaną...

Krzyś zamilknął — zбитy z tropu, znękany.

Przez głowę mu przebiegło: gonić wroga... Ale myśl była szalona, niewykonalna.

Potem jeszcze pomyślał: do hetmana iść... oskarżyć...

Z tej myśli otrząsnął się żywiej jeszcze, niż z pierwszej.

Od najbliższego towarzysza konia pożyczył, dosiadł go i szlapią powracał ku swemu namiotowi.

Tego dnia nie było gorętszej przeprawy z wrogiem. Turków zajmowały jeszcze przenosiny obozu. U naszych panował względny spokój.

Omawiano sprawy wewnętrzne, zajmowano się osobą hetmana wielkiego. Upragnione wyzdrowienie Chodkiewicza, lub też jego zgon, przewidywany, niestety, oraz możliwe następstwa jednego lub drugiego, najbardziej głowy zaprzętały.

Hetman czuł się owego poniedziałku lepiej. Do serca mu przypadła rada lekarza, zalecająca osobistą wyprawę w pole, z orężem w dłoni. Mówił o tem wiele, plany roił, czynił przygotowania.

Krzyś zatrzymywał się tu i owdzie przy rozprawiających gromadkach, łowiąc uchem cudzę zdania, swoje słówko wtrącając. Dojechał w ten sposób do małego, usypanego z piasku wzniesienia, skąd rozpatrywano w potrzebie ruchy nieprzyjaciół.

Zdziwiła go wielka kupa ludzi, na zboczach wzgórza stłoczona. Ci ludzie otaczali kogoś, na punkcie najwyższym stojącego, którego Krzyś nie mógł rozpoznać, bo był ciżbą osłonięny.

Dopiero zsiadłszy z konia i przepchawszy się trochę przez tłum, zdolał przyjrzeć się lepiej nieznanemu. Był to pielgrzym — „pałnik“, jak wówczas mawiano. Miał płaszcz długi po kostki, kapelusz bardzo szeroki, tykwę, zatkniętą na kłju, — wszystko, co pielgrzymom przystoi.

Pielgrzym ostro okutym końcem kija kreślił na piasku jakieś znaki, mówiąc coś przytem — otaczający słuchali go z wielką uwagą.

Krzyś, przed którym rozstępowano się, jako przed takim, co był w stanie cały oddział na własnym

żołdzie trzymać—dotarł po kilku chwilach do pierwszego rzędu widzów.

Trafił na chwilę, gdy patnik, zatarłszy końcem kostura swe rysunki, wyciągał z zanadrza dużą kartę pergaminową.

— Siła tu słyszę o wygladanych tryumfach — mówił głosem głębokim, spokojnym. — Nie masz tu nikogo, coby z całej duszy wiktoryi nie pożałował, u Pana Boga onej nie żebrał. Otom więc ręka swą napisał: *Arbor Victoriae*, „Drzewo Zwyciestwa“, aby każdy z waszmościów dowiedział się, co na niem roście...

Tu wvsunął przed siebie ów pergamin, ku któremu zwróciły się oczy wszystkich.

Na karcie czerniało wielkie, suche drzewo o rozłożystych gałęziach, na których, zamiast liści i kwiatów, wyrastały — czaszki trupie. Korzenie drzewa tkwiły w wielkiej kałuży krwi, oznaczonej farbą czerwona.

Jakiś śmieszek próbował wystąpić z dowcinem, rzecz całą w żart obrócić, ale go surowo zgromiono. Ogólne wrażenie, wywołane przez alegoryę, było smutne. Przysuwano się kolejno do karty, czyniono uwagi — kilku przesadnych przeżegnało się przed rysunkiem.

W owej epoce alegorya silnie oddziaływała na umysł. Posługiwano się nią często w sporach religijnych i politycznych, jako doświadczona, dla przeciwnika złowroga, niekiedy nawet śmiertelna, broń.

Krzyś, obejrzawszy kartę, stanął na uboczu i pilnie wpatrywał się w pielgrzyma. Poznawszy obraz, ciekaw był artysty.

Twarz nieznanomego znajdowała się w cieniu, do połowy zakryta kapeluszem. W głębi cienia żarzyły

sie wielkie, czarne oczy; na zewnątrz wystawał duży orli nos barwy żółtawej.

Wbrew zwyczajowi, ten patnik nie był starcem. Cała jego postać tchnęła pełnią meskiej siły.

Gdy już się wszyscy napatrz yli na rysunek, nieznajomy jął mówić, jakby ciągnąc wykład przerwany:

— Doświadcza liście waszmości wiedzy mojej, dowiedziawszy się, że m heraldyk. Przedstawiłem wam siła rodowodów królewskich i książęcych. Teraz wam rzeknę: kogo rodzi ta wielka pani, której służy cie wszyscy: Wielmożna, Najwielmożniejsza Wojna. Ślubując macierzy, znać trzeba i potomstwo.

Pochylił się — kosturem na piasku nakreślił kółko.

— To ona. *Mater* — choć zgoła nie *alma*.

Z kółka wyprowadził w dół trzy promienie. Koniec każdego promienia naznaczył również kółkiem.

— A to trzy cór y.

Odjął kij od piasku — wzrokiem powiódł po słuchających.

Wiemy, kto macierz — mruknął najbliższy — *Bellum* jej zwisko. A potomstwo?

Pielgrzym, w odpowiedzi, przy jednym kółku nakreślił wielkie — *M*, przy drugim — *F*, przy trzecim *P*.

I znów milczał.

Tamci kręcili głowami, siłąc się nad odgadnięciem zagadki.

— *M*, to może *Magnitudo*?... — domyślał się jeden.

Drugi rzekł śmieiej:

— *F*, to *Fama*. Nic innego, ieno *Fama*.

Znaczenia *P* nikt nie próbował nawet zgadywać.

Pielgrzym objaśnił:

— Woina zrodziła trzy cór y. Imiona ich te są:

Miseria, Fames, Pestis — Nędza, Głód, Zaraza...

— Bo i prawda! — rzekło kilku, westchnawszy.

— Prawda! prawda! — przytakiwało coraz więcej głosów, które nagle stały się poważne, posmutniały.

Nieznajomy tymczasem z kółka, znaczącego *Bellum*, wyprowadził w górę promień, i u wierzchołka jego napisał wielkie S.

— Wiadomo już waszmościom, kogo Wojna zrodziła. A oto ten, który zrodził Wojnę.

— Rodzic wojny Mars — ktoś się odezwał.

— Gradivus! — pośpieszył z dopełnieniem drugi. Pielgrzym pokręcił głową przecząco.

— Ani ten, ani ów. Oto miano, pod którem Kościół go zna...

Końcem kostura wyrył na piasku:

SATHANAS.

I zaraz schodzić jął ze wzgórza, pergamin w zanadrze chowając.

Schodząc, spotkał się oko w oko z Krzysiem. Bystro spojrział mu w twarz, i jakby poznając szukanego, przystanął, pozdrowił go...

— Z Warszawy idę... — wyrzekł z naciskiem szczególnym.

Dąbek aż drgnął, tak mu się w tej chwili ten głos wydał znajomym.

Nie namyślając się, posłuszny jedynie uczuciu, które mu serce przepelniało, zapytał:

— Drewnów znacie?...

Pielgrzym odrzekł uroczyście:

— Stary Drewno umarł.

— Umarł?... Wieczne odpocznienie! Mąż był sprawiedliwy, przytem męczennik. Wierę, nie dla innych są miejsca w niebiesiach!

Szczerze wzruszenie opanowało młodzieńca. Ręce złożył — odmawiał po cichu modlitwę za zmarłych.

Po chwili, z pewną nieśmiałością, wyjąkał:

— A ha... a córka Drewny?

— Panienska świątobliwa, czysta i... smutna, jak zawždy.

— Śmiercią oica srodze strapiona?

— Nikt bez żalu nie żegna przyjaciela...

— O jejmość panią Drewnową nie pytam. Ta w każdej przygodzie radzić sobie potrafi.

Chrzakał, węża pociagał — na sercu mu leżało inne jeszcze pytanie, którego nie śmiał wyjawić. Rad był wiedzieć: czy o rękę Hanusiową nie posunął się kto znaczny? czy może jeszcze liczyć — choćy w przyszłości oddalonej — na... przyjaźń dziewczeczki?

Pielgrzym nie przestawał wpatrywać się weń uważnie. I, jakby czytając w jego myślach, odezwał się nagle:

— O Hanusi mam ci rzec słowo...

Odeszli na stronę.

— Paniencie złość ludzka zagraża — szepnął. — Wielka dolegliwość idzie na nią i wielki ucisk serdeczny. A niema, ktoby z pomocą jej śpieszał...

— Skąd wiecie o tem?

— Wiem wszystko.

— Brońcież niebogę!... — zawołał przelękły Krzyś.

— Nie w mojej to mocy. Trzeba, żeby kto stanął przy niej, piersią swoją i duchem swoim ją osłonił. A mnie przeznaczenie pędzi gdzieindziej: do Jeruzalem, do Egiptu...

Krzyś załamał ręce. I w głosie pielgrzyma czuło było hamowane wzruszenie.

— Są wyroki nieprzełomne — ciągnął. — Bóg zwała je niewinnym, aby przez nich winni cierpieli. Moje miejsce tam, a przecie stamtąd wyniść musia-

łem. Iśoby mi trzeba na Zachód, los mię ku Wschodowi żenie... To moja pokuta!

Ujął za rękę Krzysia—jak kleszczami ją ścisnął. Oczy, których nie spuszczał z niego, rozgorzały mu silnie.

— Tobie zlecam Hanusię — wyrzekł głosem cichym, lecz mocnym.

W głosie była prośba i był rozkaz.

— Wiecie, że'm słaby i powinnością swą do miejsca przykuty — odrzekł Krzysy żałośnie.

— Będę się modlił o siłę dla ciebie. Znajdziesz ją, byleś był sprawiedliwy i na krzyż Chrystusów zawsze pomniał. Co się więzów tknie, spadną same przez się, gdy wojna ustanie. A ona wrychle skończyć się musi.

W Krzysiu ocknęła się ciekawość — nie dziwna w żołnierzu i obywatelu.

— Czem się skończy?—zapytał.—Wam wszystko wiadome, powiedzcie, kto zwycięży: my czy poganie?

— Zwycięży o n a.

— Kto taki?

Pątnik, zamiast odpowiedzi, podsunął pod oczy młodzieńca swój różaniec, przy którym zwieszała się spora, z kości wyrzezana: trupia głowa.

— Módl się—ciągnął—na krzyż wspominaj, walcz z wrogami swymi i Hanusi. Gdy Bóg pozwoli, stanę przy tobie. Stanę, aby prawdzie nieść świadectwo.

Obejrzał się i, głos zniżając, dodał:

— Byłem tam... za drugą skałą ukryty... Byłem, gdy tamten łupy zabierał, gdy strzelał do ciebie, gdy żelazem do serca twego sięgał... Byłem i widziałem.

Poprawił sakwy na plecach; z pod kapelusza, jak z pod umbry wielkiej, na niebo spojrział:

— Słońce wysoko. Siła-m czasu zmitrężył.
W drogę mi pora!

Uściskał rękę Krzysia; odchodząc, rzucił mu jeszcze:

— Pomnij na krzyż Chrystusów. *Crux Christi
Corona Christianorum.*

VII.

Po dwóch dniach pokoju nastąpił dzień wojenny. Szał, przez czterdzieści ośm godzin hamowany, wybuchnął z tem większą gwałtownością.

Zdawało się, że chwilowemu rozejmowi obie strony są rade. Było przeciwnie. Obie wyglądały z niecierpliwością chwili, gdy będą mogły szable napowrót wydobyć, ciosy rozdawać i — odbierać...

Wojna wytwarza w swych uczestnikach szczególną, chorobliwą drażliwość. Ludzie, w zwykłych warunkach cisi i bardzo o całość swą dbali, rwą się wówczas w ogień, jak szaleńcy, pohamować się nie dając. Prawie pożądamy niebezpieczeństw, bólu, ran, śmierci.

Przypomina to obłąd ascetyczny, w którym znajduje się rozkosz w sypianiu na ceglach, krwawieniu ciała ostrą włosienicą, smaganiu się rzemieniami twardemi...

Ów wtorek, po cichym poniedziałku idący, już od rana zapowiadał się niezwykle. Wprawdzie turcy sprawiali się cicho, ale widać było w ich obozie ruch wielki. Oddziały spahów przenosiły się z miejsca na miejsce, czauszowie przebiegali, jak strzały, w różnych kierunkach, przetaczano działa, przenoszono namioty.

Już się miało na południe, gdy nieprzejrzana

chmura pogaństwa, z wrzaskiem i hukiem, rzuciła się na tabor kozacki.

Ale ten tabor był nie do zdobycia. Zaporozcy umieli ze swych wozów czynić tak misterną a zarazem krzepką płataninę, że siła ludzka przełamać jej nie mogła. Co więcej, niesłychanie biegli w robotach grabarskich, zdążyli już (w ciągu jednej nocy!) zabezpieczyć swój szaniec wałem ziemnym, również nieprzełomnym. Wreszcie; już poza szańcami i wałem, pokopali doły, chrostem nakryte, a dla wroga podwójnie groźne, bo były pułapkami dla koni i — w każdym siedział gotowy do strzału kozak.

Więc też, gdy grad kul i strzał zasypywał obóz, pod niejednym wozem, czyli, według Potockiego, „pod piastą, gnojem natasowaną“, siedziała przycupnięta (kolei swej czekając) kupka mołojców, grając w „siem-odenastą“. A gdy zdarzyło się, że zbłąkana kula położyła trupem ktorego z grających, towarzysze odsuwali zabitego na stronę, miejsce jego zastępował kto inny — i gra szła dalej bez przerwy.

Nierowna jest walka, gdy jeden z zapaśników walczy z ukrycia, drugi całkowicie odsłoniony. Pociski tureckie, na oślep gęstą masą wyrzucane, rzadko sięgały Zaporozców — oni, biorąc każdy swego na cel, kładli Turków pokotem.

Była w ostatnich wielka zapamiętałość, powiedzmy uczciwie: męstwo wielkie. Prażeni ogniem siarczystym, od czoła przez kozactwo, z boku przez posiłkującą mu piechotę Denhota, biegli w bój z niesłabnącym zapałem. Czterokrotnie powtarzali natarcie, nie zważając, że ciała swych braci końmi tratuja, że sami na śmierć pewną idą.

A gdy jeszcze w tem miejscu rozprawa nie była skończona, wszczął się gwałt przed szańcami Lubomirskiego. Turcy wymacali tu słabiznę — według

planu rozważnie obmyślnego, przełamać ją postanowili.

Zle strzeżony szaniec hetmana polnego został przerwany; piechotę naszą, która (według jednego z dyaryuszów) „podjadłszy sobie, jako w Polsce, zabawiała się południowym snem a wczasem” — co do nogi wybito; zabrano działa, chorągwie i pacholików co niemiara; werżnięto się tak głęboko w nasz obóz, że już osoba królowica Władysława była zagrożona, a nad jego lepianką kule nieprzyjacielskie pogwizdywały...

Rozum i energia Chodkiewicza zapobiegły ostatecznemu nieszczęściu. Dojrzał popłoch, pchnął w to miejsce świeże zastępy, własnym męstwem je zagrzał — turcy zostali odparci.

Ale już straszne dzieło wojny było spełnione...

Wrześniowe popołudnie, na podziw piękne, roztaczało niewysłowiony czar polskiej, wczesnej jesieni. Z licznych w okolicy ogrodów nadlatywał zapach dojrzałych gruszek, jabłek, melonów. W powietrzu pływały postrzępione nici babiego lata, uskrzydłone nasionka ziół, puchy ptasie i roślinne. Dziwne ukojenie, tej tylko porze roku właściwe, przenikało przyrodę — z przyrody tchnęło w człowieka...

Ale człowiek nie chciał ukojenia — gardził ciszą — odpychał szczęście, przez Boga sobie ofiarowane.

Błękit nieba odbijał się nie w błyszczących oczach ludzi szczęśliwych i spokojnych, lecz w zeszlonych żrenicach trupów. Srebrne pajęczynki osnuwały pokrwawione żeleźce kopii, czepiały się szabel w gniewnym rozmachu podrzucanych, rąk śmierć bliźniemu niosących. Puchy osiadały na potrzaskanych zbrojach, rozplątanych czerepach, obnażonych, krwawych i sinych ciałach.

Kobierce traw, niedawno jeszcze świeże, aksamitne, kwiatkami jesiennymi wzorzyście umalowane, były zryte kopytami koni, kołami armat, podkutem obuwiem żołdactwa. Drzewa w gajach, przed miesiącem jeszcze pięknych, wonnych, cienistych, wyglądały, jak upiory — z postrącanemi liśćmi, połamanemi gałęzmi — z korą nawet przez kule i szable poodzieraną...

Na tym trupie przyrody co krok—trupie ludzkie. W jednej stronie ciała Turków, w drugiej — Polaków i Niemców najemnych. Śmierć dwojgiem skrzydeł nakrywa jedno ohydne, słońcu i oczom ludzkim jawne, cmentarzysko.

Dzicz kozacka zdążyła już wypaść z taboru, zabrać się do ostatniego dania uczty wojennej — obdzierania trupów. „Forgi, kity, czuby“, nierzadko perłą, rubinem, brylantem nasadzone, trzęsące się przed chwilą tak dumnie i tak malowniczo na głowach tureckich, stają się łupem czarnych od dymu prochowego zbójów. Do sakw, przez plecy kozackie przewieszonych, idą pospołu: jedwabne zawoje, złote łańcuszki, zapinki, poszarpany złotogłów, aksamit, czerwone, zbłocone baszmagi, główce szabel, mosiężne i srebrzone kulbaki, rzemienie z uprząży, oderwane z martwych bachmatów podkowy, ogony końskie, klejnoty, szmaty, łachmany. Na zdejmowanie pierścieni niema czasu: obcinają się palce albo ręce całe z pierścieniami.

Szakale i kormorany nie spełniłyby swej czynności grobowej tak szybko, jak tego dokonywa czerń zaporoska. Pchnięcie noża przy uczcie—rzecz zwykła. Niejeden kozak z piersią przebitą pada między ciała pogańskie — „niedowiarek“ kładzie się na sen wieczny obok „niewiernego“.

Niebawem tysiące mózgow ludzkich, rojących

się myślami, tysiące piersi, pełnych uczuć i namiętności, są już tylko resztką uczty żołdackiej, ogryzkanami, rzuconemi psom, krukowi, muchom polnym i mrówkom.

To wojna!

Przy rozrzuconym szańcu Lubomirskiego—inne widowisko. Właściwie: inna scena tegoż samego widowiska.

Tu niema ciał obdartych. Niema nawet właściwych ludzkich ciał. Są tylko buchające krwią kadłuby. Głowy turcy pucinali i zawieźli w podarunku sułtanowi.

Jak okropnie wyglądają te szczątki ludzkie! Prawie każdy trup ma ręce podniesione do ramion. Wszyscy, konając, ostatnim, konwulsyjnym skurczem bronili głów ucinanych...

Z jednych kadłubów krew tryska fontanną, z innych cieknie strumykiem, z innych jeszcze sączy się kropla po kropli. Niekiedy krwawy strumień zatrzymuje się, krzepnie, grzybem czarnym zasycha — kadłub leży sztywno, jak kłoda. Nagle trup wzdryga się, rękami i nogami porusza, z uciętej szyi rzuca się nowa krwi fala.

Już tę krew zwietrzyły psy półdzikie, których całe stada włóczą się za obozem. Już zbiegły się, już czerwoną posokę chłopcą na ziemi — już krwawe ozdory w otwarte kadłuby wsuwają...

To wojna!

Krew upaja silniej, niż wino, niż gorzałka najcieńsza. Kto w bitwie woń jej poczuł, już nie będzie spokojny, póki posoki nie przeleje do syta, póki się nią po łokcie i po kolana nie ubroczy.

VIII.

Długo stał w miejscu Chodkiewicz, śledząc ze wzgórza przebieg walki, wydając rozkazy, śląc gońców, poprawiając cudze błędy, duchem swym zdała pomagając sprawie.

Długo nozdrza jego wielkiego nosa wciągały kurz bitewny, policzki drgały, broda jeżyła się, dłoń to chwytiała, to puszczała głowicę potężnego miecza — starzec czerwienił się i bladł, puszczał cugle koniowi, ścigał je z wysiłkiem; chciał lecieć i postanawiał zostać...

Nie wytrzymał.

Właśnie przed chwilą husarze Sieniawskiego uderzyli z jego rozkazu na lecącą ku szancom jazdę turecką. Uderzenie było piorunowe — jednak kopie husarskie skruszyły się o szeregi jańczarów, jak o mur kamienny. Pogaństwo leciało, jak wichur, na ten sam przerwany szaniec, przy którym o południu święciło tak wielki tryumf.

Hetman stanął w strzemionach, błyskawiczne spojrzenie rzucił w prawo i w lewo. Prócz jego własnej chorągwi, która trzysta koni liczyła, stały tam jeszcze cztery inne pułki: Opalińskiego, Zienowicza, Sapiehy, Rudominy.

Głosem prędkim, drżącym z niecierpliwości, rzucił rozkazy — każdemu miejsce wyznaczył.

...Sam stanął na przedzie;
Lewe skrzydło Zienowicz z Opalińskim wiedzie;
Prawe Sapieha trzyma z mężnym Rudominą,
Czekając, rychło ku nim poganie się chyną.

Runął Chodkiewicz, jak orzeł, gdy z pod chmur rzuca się na stado baranów—inni, porwani jego rozpędem, z niemniejszą furją w ogień poskoczyli.

Krok był szalony; każdego z czcigodnych „komisarzów“ zgrozaby przejął. Naszych nie było więcej nad siedmiuset — turków do szesnastu tysięcy...

Ale Chodkiewicz lubił szaleństwa. Jego geniusz wojenny najochotniej kusił się o zwycięstwa nad niezwyciężonym.

Garstka naszych wpadła w zastępy tureckie, „jak w otchłań“. Wpadła — lecz nie zniknęła. Usarze rychło kopie skruszyli, do szabel się wzięli; spahowie już je od początku mieli wydobyte. Starła się stal ze stalą; lśniące ostrza, w których odbijała się purpura zachodzącego słońca, rzucać jeły dokoła miliony krwawych błyskawic.

W zbałwanionem morzu różnobarwnych kaftanów, turbanów, burnusów, wśród falujących błękitności, żółtości, czerwieni, zieleni, dwie rzeczy wciąż były widne: wyniosła postać hetmana, w zbroi, z olbrzymią szablą, oraz jego wielka, szeroko rozpostarta chorągiew.

Chorągiew była biała, adamaszkowa, tu i owdzie podziurawiona przez kule. Na chorągwi — herb Chodkiewiczów; czarne skrzydło orle z jedną nogą.

Chwilami pstra fala pogaństwa wzbierała tak silnie, że i wódz i jego chorążycy całkowicie w niej tonęli. Wówczas widać było tylko potężną szablę, górującą nad wszystkimi innymi, oraz marszczący się na wietrze płat białego adamaszku.

Trwało to długo — zbyt długo...

Ci, co stali na wałach, patrząc zdala na śmiertelne igrzysko, uczyli trwogę o ostateczny wynik zapasów. Prawda, że nasi kopijnicy, to lwy — ale i z lwami źle być może, gdy każdemu przyjdzie się porać z trzydziestoma psami.

Szmer obawy, niezadowolenia i gniewnej krytyki stawał się coraz głośniejszy. Jedni ręce łamali w nie-

mej rozpaczy; inni biadali głośno; partya „komisar-ska“ rozwodziła lamentsy nad „cholera“ hetmańską, która naszym niezawodną zgubę gotuje...

Dotąd bój, podobny do wrzątko, kotłującego się w olbrzymim kotle, kipiał na jednym miejscu. Wrzątek rozpryskiwał się na wszystkie strony, często w dalekich nawet promieniach, ale kocioł stał twardo, niczem nieporuszony.

To znaczyło, że nasi „plac trzymają“, że jeszcze siły po obu stronach równe.

Z pod pstroczyny strojów wschodnich wyłaniały się co chwila błyszczące pancerze husarzów, niby kłęby węża o łusce stalowej, przewijającego się wśród kwiatów. Ta łuska najpewniejszą była wężowi obro-ną. Szable i dzidy tureckie dzwoniły po kirysach polskich — przebić ich nie mogły. Inaczej było z turkami, których jedwabie stroiły, ale nie ochraniały. „Nasz, gdzie tnie, tam rana; gdzie pchnie — dziura w ciele; w łeb, w pierś, w brzuch, gdzie się nada, rą-bią, kołą śmieie“...

To była rzeź... — okropna rzeź wyznawców isla-mu.

Porażka turków w owym dniu była okropna. Nieprzygotowani do walki z ciężką jazdą pancerną, zewsząd ciosom odslonieni, ginęli, jak zwierzęta, wzięte obławą. Im z większym zapalem rzucali się na naszych, tem gęściej trupy ich zaścielały ziemię.

Naszyc było tylko do ośmiuset — ale to była potworna machina o ośmiuset nożach, które bez wy-tchnienia ludzkie mięso krajały.

Chodkiewicz w boju nie żartował. Serce miał czułe, ale tylko dla swoich. Gdy szło o całość Rze-czypospolitej, gotów był całą resztę świata wymor-dować bez miłosierdzia.

Mimo wszystko, niepewność ostatecznego wyniku walki przeciągała się nad miarę...

Nagle, wśród rycerstwa i czeladzi, przyglądających się walce z okopów, podniósł się krzyk. Krzyk był potężny — można było sądzić, że obwieszcza porażkę naszego rycerstwa.

Ale powodem było co innego: widzowie dostrzegli, że kotłownia wojenna przesunęła się cokolwiek w stronę obozu tureckiego. Przesunięcie się było nieznaczne — jednak doświadczone oko patrzących od razu je zauważyło — od razu oceniło jego doniosłość.

Za tem pierwszym, szybkim drgnięciem, nastąpiło niebawem drugie — dłuższe i silniejsze. Przy poprzednim można było obawiać się, że fala wróci napowrót do swej kotliny — że może nawet kolebnie się w stronę przeciwną, jak człowiek, co się tacza raz w prawo, raz w lewo. Przy następnem już ta obawa znikła.

Teraz już ta cała płatanina błyszczących pancerzy i barwnych kaftanów posuwała się w jedną stronę. A posuwanie się szło ze wzrastającym co minuta pośpiechem.

Wir kręcił się z piekielną zawrotnością. Ale teraz nie kotłowało się w nim już bez braku wszystko. Potężna, odśrodkowa siła wyrzucała zeń teraz wschodnią pstroczinę, coraz bardziej oczyszczając środek, który stawał się jednolitą masą polskiej, opancerzonej husaryi.

Wielka szablica hetmana błyszczała nieustannie — biały płat chorągwi naprzemian: zniżał się i podnosił, niknął i znów na wierzch wypływał. Tak dzieje się z białą ćmą, topolówką, gdy, wpadłszy w mrowisko, walczy z nawałą czarnego robactwa.

Znikanie tej jasnej plamy były to krótsze, to dłuższe. Jedno przeciągnęło się bardzo długo.

Na wałach już nie rozlegały się dwuznaczne okrzyki. Grzmiał tam teraz jeden ogromny krzyk tryumfu.

Chodkiewicz przeparł i rozerwał łańcuch tureckiego mrowia. Pędził je teraz przed sobą, bijąc a bijąc.

Już też na ten widok nie mogły wytrzymać chorągwie zapaśne. Wszystko, co stało na wałach i po bokach, pospołu z kozactwem i pacholikami, rzuciło się, nie czekając rozkazu, za pierzchającym nieprzyjacielem.

Było to mniej rycerskie znęcanie się nad pokonanym — ale okrutnego rozjuszenia nikt już nie był w stanie pohamować.

„Okryły się pola i dąbrowy gęstym pogańskim trupem“...

Hufcom naszym dopiero las z ukrytymi w nim janczarami, oraz ciemność zapadającej szybko nocy zaporą się stały.

Powrót Chodkiewicza do obozu był pochodem tryumfalnym.

Gdy noc zupełna zapadła, pobojuwisko zaroilo się tysiącami świateł ruchomych — niby chmurą świętojańskich robaczek.

To turcy z pochodniami i świecami szukali ciał wodzów swych, braci, przyjaciół...

Okolo północy w obozie tureckim stała się cisza, jak na cmentarzu. Osman odprawił wszystkich — nawet najzaufańszemu powiernikowi i doradcy, czarnemu rzezańcowi Sulejmanowi, który był *kizlar-aga*, czyli „strażnikiem wrót szczęśliwości“, wyjść z namiotu swego rozkazał.

Wielki Padyszach, słońce słońce, nie mający rów-

nego sobie na ziemi i we wszystkich okręgach raju, zażądał być sam.

Gdy za ostatnim jego sługą zasłona jedwabna zapadła, krwiożerczy młokos rzucił się na stos kobierców, twarz wtulił w drogocenne tkaniny. Leżał tak przez chwilę bez ruchu, bez głosu — nagle, dusząc się od stłumionych jęków, zaczął rwać na sobie odzież, kąsać do krwi ręce i ryczeć głucho, jak zwierzę dobijane.

Trwało to długo — wreszcie wściekły a bezsilny ból znalazł dla siebie ujście: Padyszach rozbeczał się w głos, jak dzieciuch osmagany...

O tymże czasie w namiocie Chodkiewicza była również cisza; na posłaniu z futer, przy bładem świetle lampki spoczywał starzec również samotny.

Już blaski, które przed kilku godzinami odmłodziły i w nimbus ubrały jego oblicze — pogasły. Hetman leżał, wsparty na ręce, złamany, bezsilny — twarz jego była wykrzywiona bólem i smutkiem — oczy miały taki wyraz, jakby patrzyły w grób otwarty...

— Nic mi po wszystkim — jęczał — kiedy chorągiew moja w rękach pogańskich. Odleciało odemnie czarne skrzydło moje, i mnie za niem w ciemność iść trzeba...

Rozpacz gościła w namiocie zwyciężonego; rozpacz siedziała u wezglowia zwycięzcy.

...To również wojna!

IX.

Do namiotu, gdzie siedział zafrasowany Dąbek, wszedł rotmistrz „jazdy brukowej“, imćpan Kacper Gomulicki.

Wszedł śmiało, zamasyście, bez zwiastowań

się i szumnych powitań, jak przyjaciel do przyjaciela.

Był nieduży wzrostem, czupurny, z twarzą śmiejącą się, z niewielkimi, przebiegłymi oczyma.

— Mości dowódcu — rzekł wesoło — jeśli masz uszy do słuchania, a miód grzeczny do picia, tedy nadstaw jedno i drugie, otom bowiem przyszedł z gębą, nagotowaną do picia i gadania. Pożyczyłem jej na urząd od stryjca swego, który wiesz, jako jest *dicendi et bibendi peritus*.

Pan rotmistrz pił tu do swego krewniaka, który w palestrze chełmińskiej cieszył się dużym rozgłosem, zarówno w zakresie jurysprudencji, jak osuszania szkieł wszelakich. Wszyscy Gomułlicy wiedli się z Chełma. Tak zaś się już od wielu pokoleń składało, że zawsze jedna ich linia poświęcała się palestrze, druga szła w służbę Kościoła, trzecia próbowała szczęścia w handlu, a przy dobrej okazji i w wojence.

Imćpan Kacper należał do trzeciej.

W kupiectwie wadziło mu usposobienie marsowe; na wojnie mało pomagała żyłka i zdolność kupiecka. Jednak zdarzały się okazyje, gdy można było pofolgować jednej i drugiej namiętności.

Krzyś w milczeniu przyjął swego rotmistrza. Był srodze zgnębiony ostatnimi przejściami. Chciał szukać oszołomienia w bitwie, w starciu orężnem — tymczasem to wszystko stale go omijało.

Może tak wypadło z planów wojennych, może to był wynik ukrytej niechęci lub braku zaufania Wejera, dość, że „jazda brukowa“ dotąd służyła wyłącznie do „osłaniania“ innych, sama w boju otwartym nie stawając.

W ostatniej rozprawie dużo dokazywała Wejrowska piechota, ukryta w fosach i prażąca nieprzy-

jaciela ogniem siarczystym prawie na długość lufy muszkietowej — jeźdźcom pozwolono tylko z daleka pukać do uchodzących z pola turków.

Wszystko to drażniło Krzysia — który widział przytem wymykającą mu się nieustannie z rąk a upragnioną sposobność odznaczenia się.

— Złe nam się wie dzie, mości Kacprze!...—westchnął w odpowiedzi na przywitanie.

— Właśnie tak uczynić zamierzam, iżby wiodło się lepiej!

— Chyba-byś fortelem jakowym dopomógł fortunie...

— Zgadłeś, mości Dąbku.

— Fortel byłby najtrefniejszy, gdyby wiodł do łaski hetmańskiej.

Gomulicki mrugnął znacząco. Mrugnięcie mówiło:

— Toć myślę nie o innym!...

Głośno powiedział:

— Mam ci rzec, mości dowódco, to i owo. Ale ta sprawa osobności i cichości wymaga.

Luzakowi, który ustawiał miód i kubki, kazano wyjść z namiotu. Przyjaciele przysunęli się do siebie — zawiązali szeptaną, ożywioną rozmowę. Z twarzy Dąbku schodziło stopniowo zafrasowanie—pozostała jednak zaduma i niepokoju sporo.

— Na wielkie dzieło ważymy się... — westchnął po skończonej rozmowie.

— Bośmy duchem nie pigmeje! — dokończył radożno tamten.

— I na wielkie niebezpieczeństwo...

— Ono nam nie nowina.

— Tak czy owak: niech się stanie!

— Amen.

Podali sobie ręce.

Wynik rozmowy był ten, że Dąbek udał się do Wejera z prośbą o zastępstwo na dwa, trzy dni. Ważne sprawy wojenno-polityczne zmuszały go wydaląć się na ten czas z obozu. W drodze miał mu towarzyszyć rotmistrz.

Tegoż dnia nad wieczorem strażę naszą wypuściły z obozu, za kartą wojewody Chełmińskiego, dwóch obdartusów. Byli to widocznie mołdawianie, którzy cudem unieśli życie z rzezi niedzielnej. Odzież ich była w strzępach; twarze mieli krwią i błotem obryzane.

Jeden obdartus ukrywał pod łachmanami gruby trzos, pełen czerwieńców; drugi — sznury bursztynów nadzwyczajnej ceny. Za bursztynami bogacze wschodni przepadali, płacąc za nie często sumy bajeczne.

Żaden z idących nie miał ani śladu broni. Podpierali się obaj podkutymi łokciami.

Mołdawianie, po opuszczeniu ostatnich polskich pozycji, jęli przemykać się chyłkiem, zaroślami i przesmykami skalnymi, wprost ku obozowi tureckiemu. Gdy już dostrzegli pierwsze strażę nieprzyjacielskie, zaczęli dawać im znaki, mówiące wyraźnie:

— Uciekliśmy od psów polaków. Do was przystać pragniemy, wierni słudzy Proroka!...

Niebawem znaleźli się wśród turków. Wodzone ich tam od Anasza do Kaifasza. Byli u wielkiego i średniego wezyra, oraz u „defterdara“ czyli podskarbiego. Ostatni przyjął ich z kocim uśmiechem garść złota, ofiarowaną sobie na stronie, potem na prośbę pana Kacpra, który umiał coś nie coś po turecku, kazał zaprowadzić ich do jednego z baszów tatarskich.

Tego baszę znał rotmistrz, miewając z nim kiedyś sprawy kupieckie. Wiedział też o nim, że go-

raćo miłuje swego hana oraz padyszacha, ale goręcej jeszcze: złoto i klejnoty.

We dwa dni później, również przed wieczorem, straże nasze pochwyciły trzech turków, wałęsających się w bliskości okopów.

Hetman przykazał był raz na zawsze, żeby wszystkich tego rodzaju brańców przyprowadzano wprost do niego. I z tymi tak uczyniono.

Wiedzeni przez obóz, z pętami na rękach, byli przedmiotem urągania i naigrawań żołdactwa. Wyśmiewano ich, obrzucano obelgami, poszturkiwano nawet — oni to wszystko znosili obojętnie, z głębokim, prawdziwie wschodnim spokojem.

Jakby gęste, czarne brody oraz turbany na sam nos zwieszzone niedość jeszcze twarze im osłaniały, trzymali głowy tak nisko, że ledwie końce ich nosów dostrzedz było można.

W namiocie hetmana wielkiego przed chwilą właśnie skończyła się narada. Sprawy wojenne przybierały obrót coraz pomyślniejszy — na nieszczęście, wojsko gonilo ostatkiem amunicyi. Z żywnością dawano sobie radę jako tako, silnie, co prawda, pasków ściągając — gorzej było z paszą dla koni — największy wszakże niedostatek pokarmu cierpiały rusznice, muszkiety, samopały oraz działa i działka. Ostatnim groziła poprostu: śmierć głodowa.

Więc zaczęto przebąkiwać o rozejmie...

Chodkiewicza to wszystko przytłaczało. Siedział na stołku polowym schorzały, przygarbiony, chmurny.

Wprowadzonych jeńców przeszył spojrzeniem ostrem, złem.

— Szpiegi?... — mruknał gniewnie.

Śludze swemu kazał przywołać tłumacza.

Na chwilę pozostał sam na sam z jeńcami. Wów-

czas jeden z nich szybkim ruchem podniósł zwieszoną dotąd głowę i rzekł czystą polszczyzną:

— Nic tu po tłómaczu, jasnie wielmożny hetmanie.

Chodkiewicz poruszył się żywo na stołku.

— Polak? — zapytał. — Poturczeniec może? re-negat?...

— Dobry polak, dobry sługa Rzeczypospolitej, a nie gorszy i pana hetmana.

— Któż waść taki?

Jeniec pokazał oczyma, ze znaczącym wyrazem twarzy, swe ręce związane.

Hetman zrozumiał. Podniósł się, z ciężkością niejaką, ze stołka, dobył noża ostrego — jednym po-ciągnięciem pęta przeciął.

W mgnieniu oka turban jeńca i jego przyprawio-na broda, silnie uwolnioną ręką szarpnięte, znalazły się na ziemi.

Przed Chodkiewiczem stanął Krzysztof Dąbek.

Hetman nie mógł powstrzymać się od śmiechu, który jednak po smutnej jego twarzy, jak błyskawica, przemknął i zaraz zagasł.

— A ówże? — spytał Chodkiewicz, wskazując drugiego jeńca.

— Przedstawi się sam, byle go rozpetano.

Drugi turban i druga broda na ziemię spadły — ukazał się w swej własnej personie: pan Kacper Gomulicki.

Rozbawiony hetman przystąpił już teraz bez py-tań do trzeciego jeńca — za czarną brodę silnie go szarpnął.

Ale broda nie odpadła — jeniec zaś zabelkotał coś gniewnie po turecku.

Hetman odskoczył.

— Ho, ho! — zawołał — to widzę, brodofijas

prawdziwy! i prawdziwa pogańska gadzina!... Cóż on czyni przy waszmościach i skąd te wszystkie maskary?

Dąbek chciał odpowiedzieć — ale w tej chwili wszedł przywołany tłumacz. Zamilkł przeto i oczywiście dał poznać hetmanowi, że tu świadkowie niepotrzebni.

Chodkiewicz gestem odprawił przybysza — sługom też swym kazał wyjść z namiotu.

Dąbek wówczas zaczął:

— Wiadomo waszej miłości, że i ja i jegomość pan Kacper jestechmy obaj ludzie kupieccy. Rybę ciągnie zawsze do wody, wilka do lasu, a kupca do handlu. Więcśmy oto umyśleli do turków się wyprawić po bławaty...

— No, no... — dziwił się hetman, nie zgadując jeszcze sprawy, ale domyślając się, że posiada głębsze znaczenie.

— Bóg nam poszczęścił — ciągnął Krzyś. — Kupiliśmy adamaszku przedniego...

— Białego... — wtrącił pan Kacper.

— Który siła nas kosztował, a przecie wart stokroć więcej... Wytrząchnęliśmy trzosa swoje do cna, jeszcześmy dłużni zostali.

Chodkiewicz wzruszał ramionami, jakby chciał powiedzieć: — Cóż za firki prawicie mi waszmoście!...

W tej chwili Dąbek porozumiał się oczami ze swym rotmistrzem, wysunął na środek — hetmanowi do kolan się skłonił.

— Wszystko się to *pro bono* waszej miłości czyniło...

Chodkiewicz oczy rozszerzył pytająco.

— Myśleliśmy sobie, że się ów adamaszek jaśnie wielmożnemu hetmanowi przygodzi...

— Na co?

— Na chorągiew.

Czoło Chodkiewicza zmarszczyło się w setne fałdy. Urażono go w miejsce najbardziej bolące.

W pierwszej chwili nic nie odrzekł — machnął tylko ręką. Potem wyjąkał z przykrością wyraźną:

— Nowe znaki dla nowych ludzi. Jam już stary!

— I nasz adamaszek nie młodziutki — wtrącił nieśmiało pan Kacper.

Już to nudziło Chodkiewicza. Wstał — chodzić zaczął — chodząc, rzucił prędko:

— Co za adamaszek? Gdzież on?

Krzyś czekał tylko na to pytanie. Szybkim ruchem rozpiął swój kaftan turecki...

— A ot, tutaj, jaśnie wielmożny hetmanie! — zawołał z powstrzymywanym wybuchem radości, na pierś pokazując.

Był cały opasany białą materyą.

Niecierpliwość go paliła — nie mógł już dłużej wytrzymać. Nie prosząc o pozwolenie, ani na nie czekając, kaftan zrzucił, materyę odwinął — obiema rękami ujął ją i przed Chodkiewiczem rozpostarł.

Hetman spojrzał — dłońmi oczy zakrył...

Przed nim, na białem tle, tu i owdzie kulami podziurawionem, ulatywało czarne skrzydło orle z rozczapierzoną łapą.

Jego herb! — jego chorągiew!

Starzec odjął dłonie; raz jeszcze rzucił na adamaszek długie, bystre spojrzenie, jakby dla upewnienia się, że nie marzy — potem wyrwał chorągiew z rąk Krzysia i, jak ze zdobyczą, uciekł z nią w przeciwny kąt namiotu.

Tam, do piersi i do twarzy ją przycisnął, gorącemi pocałunkami okrywać zaczął. Przemawiał do niej czule, pieśczośliwie, jak do żony, do dziecka.

Czynił jej wymówki, to znów przeproszał, uciszał, błogosławił. Chwilami tłumione łkania piersią jego wstrząsały.

Obecni wyszli mu zupełnie z głowy. Długa chwila upłynęła, zanim ich sobie przypomniał.

Obrócił się żwawo do stojących.

— Mówcie: skąd? jakim cudem? — niecierpliwie spytał, chorągiew za siebie chowając, jakby w obawie, by mu jej nie odebrano.

— Cudu w tem nijakiego — odrzekł Krzyś spokojnie. — Jako ludzie kupieccy, dostaliśmy onej materji za pieniądze.

— Nie bez fortelu wszelako...—wtrącił pan Kacper.

— Han tatarski nam pomógł — ciągnął tamten. Rotmistrz dorzucił:

— A wżdy i przy nim łbówbyśmy pozbyli, gdyby nie łaska Pana Boga...

Hetman słuchał pilnie. Nagle wskazał oczami turka.

— A ówże poganin?

— Przyszedł po resztę okupu. Gardziele tatarskie, a paszczyki tureckie nienasycone. Wszystko, cośmy im zanieśli, pożarły i jeszcze głodne.

— Tatar wziął od nas przysięgę, poufnika swego dał za towarzysza i egzekutora.

— Siła jeszcze żąda? — spytał Chodkiewicz.

— Siła...

Chmura przeszła po obliczu hetmańskim.

— Skarb tak jak pusty... — szepnął z zakłopotaniem.—W moim sepecie mało wiele na podzwonne ledwie starczy...

Krzyś ujął go za kolana — nie jak kmieć szlachcica, lecz jak syn ojca.

— Nasz to frasunek, jaśnie wielmożny hetma-

nie. Poganinowi skrypt się da do Warszawy lub Gdańska. Będzie zapłacony. Uładzi się wszystko i niczego nie poskapi, byle to było z ukontentowaniem pana hetmańskim.

Chodkiewicz, nie nie mówiąc, ramiona rozłożył, przygarnął do siebie Dąbka — serdecznie uściskał go i ucałował.

Potem uczynił toż samo z Gomulickim.

— A! — wyrzekł nagle, przypominając sobie. — Mam ja w dobrej pamięci naszą rozmowę tam, przy szańcu Wejerowym. Rzekłem natenczas waszmości, panie Dąbku, słowa wielkiego króla: *ego te faciam* „mościpanie“. Słowa lecą, a wždy moment przyszedł, żeby zatrzymane były i dotrzymane.

Krzysiowi oczy gorzały, jak pochodnie, gdy przemowy tej słuchał.

— *Ergo* — dokończył hetman — dziś jeszcze napiszę i pieczęcią swą utwierdzę przedstawienie do sejmu, żeby waszmości klejnot rodzinny powrócił, do ksiąg naszej sławnej polskiej szlachty, z którą żadna inna w paragon iść nie może, nazwisko twoje wpisał.

Krzyś runął, jak długi, do stóp Chodkiewicza. Bełkotał niewyraźnie słowa oderwane, które miały być podziękowaniem, a wśród których, w sposób niepojęty, powtórzyło się kilkakrotnie imię: „Hanusia“...

Podniósł go hetman i oprzytomnił — zalecając większą moc nad sercem i myślami tajemnymi.

Potem zwrócił się do pana Kacpra.

— A waszmości jakże mam wynagrodzić?

— Jużem nagrodzon — odrzekł, prostując się, rotmistrz.

— Czem?

— Hetmana wielkiego uściskiem.

Zająto się wreszcie turkiem, który stał na uboczku, zapomniany chwilowo przez wszystkich. Rozwiązano mu pęta, pozwolono usiąść na rozpostartym kobiercu — poczem Dąbek wręczył mu skrypt na znaczną sumę do swego gdańskiego legiera.

Skrypt, dla większej wagi, podpisał i pieczęcią hetmańską opatrzył sam Chodkiewicz. Należało to do warunków umowy.

Turkowi przygotowano nocleg w obozie, naza jutrz zaś, przebrany po polsku, zaopatrzony w konia, pacholka jeźdznego i list przepustny, miał wyruszyć na Warszawę do Gdańska.

Krzyś raczej wyfrunął, niż wyszedł z namiotu hetmańskiego. Z serca ustąpił mu odrazu wszelki ucisk. Czuł się lekkim, podrygiwał, podśpiewywał, uśmiechał się do wszystkich. Gdyby spotkał Osmana we własnej, krwawej osobie, kto wie, czy nie rzuciłby się mu w objęcia.

— Mości Dąbku! — upomniał go pan Kacper — nie szafuj nazbyt wesołością, bo ci jej na wesele nie starczy.

— Na wesele?... a z kimżeby? — zapytał Krzyś, nadzwyczaj zdziwiony.

Myśl wydała mu się tak nową i niesłychaną, że aż przystanął, żeby się nad nią zastanowić.

Wynik zastanowienia był dziwny. Młodzieniec, któremu już od wielu miesięcy i lat posępna troska nie schodziła z oblicza, roześmiał się nagle głośno, szeroko, „od ucha do ucha“, i, chwyciwszy rotmistrza swego w pól, okręcił się z nim, jak w tańcu..

Tymczasem Chodkiewicz, sam na sam z chorągwią, wpatrzony w herb swój, jak w tęczę, śmiejący się i płaczący jednocześnie, mówił z wzniesionymi w górę ramionami:

— Patronowie moi niebiescy, Zosieńko najmil-

sza! i ty, ukochany Hieronimku! Wyście to, razem ze znakiem mym, zdrowie mi powrócili. Za waszem przyczynieniem żyw jestem i żyw będę, póki sprawa szczęśliwego końca nie weźmie. A gdy już wiktoryę chocimską własnemi, choć gasnącemi zobaczą oczami, do was, Zosieńko i Hieronimku, spokojnie odejdę. I nic już nas wówczas nie rozłączy *in secula, seculorum, amen!*

X.

Dwoista krew płynęła w żyłach Krzysia Dąbka; dwoista natura budziła w nim naprzemian to mieszczanina, to szlachcica. Z matki wziął wiele, może najwięcej, ale i po ojcu sporo odziedziczył.

Gdy już pierwsze upojenie radości minęło, gdy młodzian wszedł w siebie i czyn swój krytycznie osądził, uczuł coś nakształt zawstydzienia.

— To było dzieło kupieckie, najzupełniej kupieckie... — mówił do siebie w zamyśleniu. — Dostać tryumfu za czerwieńce lada kramarz potrafi. Nie tym szlakiem chadzali ongi Dąbkowie...

Potem przyszła uwaga:

—Prawda, że się i głowy nadstawiało. Był moment, że szyja tylko co nie spotkała się z pętlicą lub jataganem...

Krzyś jedno z drugim zestawiał, ważył—wreszcie osądził ostatecznie:

— Zawszy nie było to całkiem po rycersku i po szlachecku. Naprawić to trzeba. Co Dąbek-mieszczanin zaczął, Dąbek-szlachcic niech kończy...

Zaraz potem oświadczył panu Kacprowi, że postanowił *more antiquo* szlachectwo swe „oblać“.

Petercymentem czy małmazją? — spytał ów.
— Juchą pogańską.

Skrzywił się rotmistrz na taki specyał — ramiona ścisnął.

— Niech ją sobie psi chłepcą!... — mruknął niechętnie i odszedł, o więcej nie dopytując.

Ale Dąbek stał mocno przy swoim i niecierpliwiej jeszcze, niż dotąd, „okazyi“ wyglądał.

Długo ona czekać na siebie kazała.

W ostatnich dniach obie strony ogarnęła dziwna ciężkość. Porywali się jedni i drudzy do boju, z wielkim napozór rozmachem, do sprawy jednak nader rzadko przychodziło.

Zdarzyło się raz, że obie armie w pełnym szyku do zachodu słońca stały naprzeciw siebie, mierząc się wzajem oczyma. Wyzywające miny jednej strony mówiły:

— Zaczynij, dostaniesz!...

Strona druga odpowiadała:

— Spróbuj, popamiętasz!...

Poczem ci i tamci wrócili do swych obozów, żeby spać się ukłaść spokojnie.

Kiedyindziej uchwalono w obozie naszym wielką, nocną wyprawę. Dwadzieścia tysięcy zaporozców, hetman wielki i polny ze swemi rotami, oddziały Wejerowskie, najemna piechota Lermunta (szkota, protoplasty poety Lermontowa), węgry i co tylko było u naszych dobrańszego — mieli runąć niespodzianie na śpiących turków i albo ostatecznie ich zgnębić, albo zadać nieprzygotowanym ciężką porażkę. O północy zatrąbiono przez mundsztuk pobudkę. Zaczęli piesi chwycić za broń, jeźdźcy dosiadać koni, wysłańcy rozbiegli się z rozkazami, wojsko stanęło gotowe do wyruszenia... Nagle puścił się deszcz ulewny i wszystkiemu przeszkodził.

Kiedyindziej jeszcze był dzień, że: „po ciężkich razach wydechali sobie turcy“.

Aż wreszcie przyszedł piętnasty września.

Tego dnia potęga Rzeczypospolitej miała być ostatecznie złamana, Chodkiewicz pohańbiony, wojsko polskie wycięte w pień albo w jasyr zabrane. Upewnił o tem sułtana nowy jego wódz, Karakaszbasha, posiadający u Turków sławę pierwszego w sztuce wojennej mistrza.

Stało się pod wszystkimi względami inaczej — pomimo, że ten Karakaszbasha był naprawdę wódz dzielny i lepszego losu godzien. Fatalnemi okazały się dlań dwie okoliczności: geniusz Chodkiewicza i podstęp jednego ze współzawodników. Nie przyniosła mu też szczęścia biała maść jego koni: przywiózł go na plac boju jeden biały koń — sześć koni białych wywozić go musiało z powrotem...

O wczesnym ranku rozlegały się tu i owdzie, od strony Turków, wystrzały. Ponieważ to było zwykle „dzień dobry“, przesyłane sobie nawzajem przez obozy, niewiele na te pukanie zważano.

Zwłaszcza wśród pułków Wejera, który się był mocno okopał (głównie od czoła), poczynano sobie ze swobodą i wygodą, zgoła nie wojenną. Węgrzy grali w karty i kłócili się, nasi wyrzucali kości, mięli się na oręż, pisali na hebnach listy; piechota niemiecka, na wznak wyciągnawszy się, przegrzewała „sznek“ i wygrzewała brzuchy przy resztkach słońca jesiennego.

Jeden Dabek nie dzielił ogólnej ufności. Nocą miał sny niespokojne: obudził się z przeczuciem ważnych wydarzeń. Odśpiewawszy z oddziałkiem swym pieśni nabożne, przykazał „krawcom“, żeby mniej o igłach i niciach, a więcej pamiętali o koniach i rynsztunku.

Nie omylił się...

Kucharze obozowi zabierali się właśnie do wa-

rzenia południowej stawy, którą wszyscy spodziewali się spożyć w zupełnym spokoju, gdy nagle—zagrały armaty tureckie.

Zagrały hucznym, pełnym akordem, osypując kulami bramę Lubomirskiego.

Krzyś z namiotu wyskoczył — nadstawił uszu, jak koń wojskowy na głos trąbki. Żadna muzyka nie wydałaby mu się tak piękną, jak ten huk ogłuszający. Krzyknął na swoich, żeby byli gotowi; sam opatrzył starannie szablę i pistolety.

Huk nie ustawał do samego południa; pociski wszakże mało szkody zrzędały. Myślano powszechnie, że na tem się skończy.

Naprzeciw lewego skrzydła polskiego obozu czerniły się ciemnym, dość gęstym jeszcze liściem, laski dębowe. Do tych lasków wjechały liczne oddziały jazdy tureckiej. Wśród naszych zbudziło to wesołość. Jeźdźcy w leśnej gęstwinie — czy może być coś śmieszniejszego!

— Chyba to wieprze na żołędzie!... — zaśmiał się ktoś.

Inni również się śmieli.

Nagle śmiech ucichł.

Z wnętrza lasu, napełnionego turecką jazdą, wyskoczyło nieprzejrzane mnóstwo — tureckiej piechoty. Spahowie i janczarowie, cudownym niemal sposobem, zmienili się tam w pieszego żołnierza.

Z ogromnym krzykiem cała ta masa — którą niektórzy na kilkadziesiąt tysięcy obliczają — rzuciła się na szanice Wejerowskie. Rzuciła się nie wprost, gdzie szanice były mocne, lecz z ukosa — na punkt, który stanowił największą ich słabiznę, огоłoconą w tej chwili całkowicie z wojska.

Tę słabiznę odkrył Karakaszwowi zdrajca węgier — i on też teraz turków na nią powiodł.

Niebezpieczeństwo było nagłe i wielkie.

Zatrąbiono szalone „larmo“.

Piechota niemiecka odskoczyła od kotłów z jęzzeniem — bo właśnie obiadowano — i z powtykaniami za pas łyżkami pośpieszyła do szeregu.

Taką kupę niesforną nietrudno było przemódz. Dokazali tego turcy, i krew obficie się polała. Nasi w zamieszaniu nie mogli ani szyku bojowego sformować, ani przyjąć pozycji obronnej. Najemny żołnierz zaczął już tył podawać...

Trwoga na obóz cały padła.

Chodkiewicz z rotami swemi stał przy bramie hetmana polnego, która pierwszy impet wroga szczęśliwie wytrzymała. Nieopodał sformowały się chorągwie konne królowica Władysława „dla ostatniego, strzeż Boże, posiłku“. Tymczasem Lubomirski tam i sam biegając, głosem prawie rozpaczliwym krzyczał:

— Prze Boga żywego! Kto z waszmościów na ochotnika?

Wówczas Dąbek zrozumiał, że jego chwila nadeszła.

Spojrzał na swych „krawców“ i „kantyczników“ — wszystkim oczy świeciły się drapieżnie. Skinał — wszyscy wrzasnęli: „Jezus, Marya!“ i skoczyli, jak rysie, na turka.

Pomknęły też z wałów chorągwie zapaśne. Pancerni i rajtary z wielkim hukiem zwalili się na dokuczające pogaństwo.

Jazda brukowa wyprzedzała wszystkich. Krzysia i jego towarzyszków coś niosło, jak na skrzydłach. Żołnierz wypoczęty, konie dobrze odkarmione, wreszcie dokuczający całemu oddziałowi głód sławy i wzruszeń bitewnych — cuda sprawiała.

Krzyś miał tego dnia poczucie wielkiej, we-

wewnętrznej mocy. Była to moc ducha, która tworzy bohaterów. Ta moc czyniła go niezwyciężonym. Gdzie konia zwrócił, drogę miał otwartą; gdzie szablę wzniosł — wszystko pierzchało.

Nie odbierał ciosów, ani postrzałów. Czuł się nietkalmym. Czy sam zabijał, lub ranił — zgoła nie wiedział. Poruszał wargami, odmawiając modlitwę, która umiał na pamięć i która mu nieświadomie przychodziła na usta. Niewidzialne skrzydła wciąż niosły go naprzód — przed nim wciąż się cofano.

Wyparowani z szaniców, turcy rzucili się do ucieczki. Uciekali w stronę dąbrowy, gdzie stały ich konie. Krzyś jechał na ich karkach, dopóki mu drzewa drogi nie zagroziły.

W gąszcz rzucili się tylko niesi niemcy i węgry. Jezdnym kazano las okrążyć, z przeciwnej strony na wroga czekać.

I tu Krzyś z jazdą swą znalazł się pierwszy.

Niehawem wróg wyrzucił się z gęstwiny. Janczarowie, dosiadłszy koni, stali się o wiele śmielsi. Nie uciekali już — rozwlnawszy się w półksiężyc, odważnie czekali natarcia.

Natarcie nastąpiło — niewle gwałtowne, co zawzięte i wytrwałe — prawdziwie mieszczkańskie. Już tu nie pierzchano przed samym błyskiem szabel, przed narskaniem nozdrzy końskich. Pierś o pierś uderzyła; miecz o miecz zadzwonił.

Krzyś dojrzał, że niektórzy z jego raitarów chwieją się na siodłach — ba, wysadzeni z nich na ziemię, spadała. Poczul młące wyziewy krwi i dymu prochowego. W zamęcie walki uderzono go kilkakrotnie: raz z tyłu w plecy, drugi raz z boku w ramię. Uderzenia wydały mu się lekkie i wcale nie bolesne.

Wkrótce otoczył go chaos. Walczył z wirem po-

teżnym, który chciał go unieść i zatopić. Przed oczyma migwały mu złociste kaftany janczarów i „misiurki“ towarzyszków: szable proste, wygięte i do sierpów podobne; wybuchy ognia, wytryski dymu i mgła, to niebieska, to czerwona...

Myślał o jednym tylko: osłaniać piersi i głowę — i przeć naprzód. Udawało mu się i to i tamto. Szablę używał głównie do odpierania ciosów. Cała siła skupiał we wzroku. Walczył duchem — jak Joanna z Arc, której historię czytał po wielekroć z zachwytem.

„Taniec wojenny“ szedł tak żwawo, że uwaga Krzysia nie mogła za jego obrotami wyrażać. Ogólnikłał mu z oczu; natomiast z nadzwyczajną wyrazistością występowały szczegóły. Nie wiedział dokładnie, na którą stronę przeważa się zwycięstwo, ani czyie roty i skąd pomagają mu w utarczce — dostrzegał jednak otworek każdej lufy, choćby zdala nań wzmierzonej, każde ostrze jatagana, grożące mu żądłowem ukłóciem, każde drgnięcie ręki nieprzyjacielskiej, zamierzającej cios mu zadać...

Cokolwiekbaż, sunął wciąż naprzód, i to go czyniło spokojnym.

Nagle napotkał zaporę.

Czyjeś ramie, szablą krzywą wymachujące, zagroziło mu drogę, jakby belką stalową: czyiś koń tak mocno wbił się kopytami w ziemię, że zechnąć go nie było sposobu — czyjeś oczy rzuciły nań urok obezwładniający.

Uroku zląkł się najbardziej.

Chciał go zmódrz siłą własnego wzroku — wzrok wypowiedział mu posłuszeństwo. Chciał go odżegnać modlitwa — modlitwa uleciała z pamięci.

— Jezus, Marya! — krzyknął i po raz pierwszy

od początku bitwy powierzył losy swe sile ręki i miecza.

Zbudził się w nim instynkt zachowawczy. Zrozumiał, że jeśli nie chce być zabitym, musi sam bić i zabijać.

Puścił zatem szablę w ruch — a siłę i zręczność miał nadzwyczajne.

I tamten wszakże okazał się graczem nielada.

Przeciwnik, walcząc, krzyczał coś po turecku. Może przeklinał — może modlił się. Więc i Krzyś gadać jął w głos: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“...

Modlitwa pokrzepiła go. Z każdym jej słowem stawał się mocniejszy. Już mógł zmierzyć swe oczy z oczami wroga; już mógł nacierać nań nietylko szablą, lecz i duchem.

Turek miał czarne, podłużne oczy na białej pięknej, prawie niewieściej twarzy. W tych oczach więcej było wschodniego rozmarzenia, niż wojennej wściekłości. Bogaty, złotem błyszczący ubiór wskazywał, że jest dostojnik. Twarz wyrażała gniewną dumę; usta były skrzywione pogardliwie, ze spokojną zaciętością.

Walczyli, jak wrośli w ziemię — na krok nie posuwając się, na krok nie ustępując. Główny war bitwy przeniósł się nieco dalej, z niejaką dla naszych korzyścią — oni zostali na uboczu. Nie bitwa to już była, lecz pojedynek.

Krzyś rozgrzewał się coraz bardziej. Już mu czad bitewny w mózgu kołował — już widział wszystko czerwono.

A turkowi usta wykrzywiały się coraz pogardliwiej, coraz niezdolniej...

— Stąd wedla ciebie tysiąc głów poleże... — darł się Krzyś na cały głos, odbijając i zadając ciosy,

które jednak dotąd zbytnej szkody nikomu nie zrządzały.

Nagle tamten zaśpiewał coś o swym Allahu — i pchnął ramię z taką siłą, że szabla przecięła kolet Krzysiowy i w ciało weszła głęboko.

Zaraz w tem miejscu wystąpiła plama krwawa. Widok krwi rozjuszył Dąbka.

— Ciebie nie dosięże miecz nieuchronny!...—ryknął wściekle, i potężnym ciosem wytrącił oręż przeciwnikowi.

Krzywa szabla ze świstem wyleciała w powietrze, gdzieś daleko upadła.

Turek sięgał po pistolet — Krzyś go uprzedził. Przechyliwszy się na siodle, chwycił go lewą garścią za pierś — roziskrzonym, pełnym ducha wzrokiem przeszył i obezwładnił.

Turek już nie próbował się bronić — nawet nie wydzierał się przeciwnikowi. Bładość przedśmiert na powlekła mu piękną twarz, ręce zwolniły cugli koniowi.

— *Kismet!*... —jęknął, przymykając czarne, gasnące oczy.

Pozostawało już tylko dokonać sprawy: przebić mu gardło lub serce, trupa rzucić żołdactwu do obdarcia.

Krzyś ścisnął krzepko głowicę miecza, zamachnął się...

W tej chwili we wnętrzu jego ducha coś wielkim głosem krzyknęło:

— Nie zabijaj!

Drgnął — ramię mu opadło — palce lewej ręki rozkurczyły się, puszczając kaftan janczara.

W milczeniu zrobił ruch, mówiący:

— Zmykaj!...

Turek nie czekał na wyjaśnienia. Przycupnął na

siodle, położył się prawie na szyi swego bachmata— galopem kopnął się do swoich.

W tejże chwili Krzyś uczuł w piersiach i bokach ból nadzwyczajny i ucisk, który go prawie tchu pozbawiał. Podciął wierzchowca, żeby się z kleszczów wyrwać — koń szarpnął się — on upadł na ziemię, tłukąc się boleśnie.

Pętlica grubego sznura ścisnęła mu żebra...

Brodaty turek czy tatar chwycił go na arkan i ciągnął po ziemi, jako zdobycz wojenną.

ZAKOŃCZENIE.

WYKONCZENIE

I

Skąd to ożywienie i nastrój świąteczny Starej Warszawy? Dlaczego kamienica Baryczków, od trzech lat posępnie milcząca, przystroić się nagle z wierzchu kwiatami i zielenią, a wewnątrz napęłniła gwarem wesołym, jak ul na wiosnę? Co znaczy, że tłum mieszczan i szlachty do jej furty się ciśnie, do okien otwartych zagląda — całą ulicę przed domem zapchał falą hałaśliwą, pstrą, pełną najrozmaitszych, nigdy tu przedtem nie widywanych postaci?

Dwa są tego wszystkiego powody.

Najpierw, jest to rok 1624, w którym, według dokumentów współczesnych, „nadzwyczajny natłok ludów w rezydencji Jego Królewskiej Mości przebywał, oraz przez nią tam i z powrotem przechodził“.

Powtóre, Hanusia Drewnówna, córka nieboszczyka „Bogacza“, za mąż wychodzi.

Już samo zameżcie najbogatszej z córek Starej i Nowej Warszawy zdolne było wprawić w ruch mieszczańskie umysły, języki i nogi. Alboż wszyscy rodzice synów dojrzałych nie czuli od dawna oskomy na tę fortunę panieńską, nie mającą równej sobie „w murach“ i „za murami“. Chodziła zaś przez pewien czas pogłoska niepokojąca, że panna mniszką chce zostać...

Z faktem małżeństwa świętobliwej panienki łączy się inny, również niezwykły: mieszczka wycho-

dzi za szlachcica. Od wielu lat zdarza się to po raz pierwszy.

Jest koniec września. Upływa okrągłe trzylecie od potrzeby chocimskiej. Pora wczesna — niema jeszcze dwóch godzin, jak surmacz na wieży zamkowej otrąbił poranek. Dzień chłodny, ale cichy i jasny.

Jeszcze właściwi goście weselni zjeżdżać się nie zaczęli. Przed sędziwą kamienicą Drewnów cisną się przeważnie ci, co „widowisko“ oglądać będą z daleka. Wszyscy wstali dziś bardzo rano, bojąc się cośkolwiek z programu uronić, czegokolwiek nie dopatrzeć lub nie dosłuchać.

Podzielili się na grupy — rozmawiają na cały głos ze swobodą prawdziwie mazurską.

— Zawždy to splendor!... — dowodzi stateczny mieszczanin w delii, siwym barankiem bramowanej.

— Wołu ani barana za niego nie kupi! — podrwiwa łyk w kusym giermaku.

— Mieszczaiństwo urośnie...

— Ale schudnie!

Nieco dalej — kontusze wytarte, przy kontuszach szable.

— Nie dla szlachty rzecz takowa!

— Są szlachta i szlachta.

— Prawda. Tych Zboińskich takoz różne linie...

— „Burkownicy“... wiadomo!

— Klejnot dziś w pomietlech. Lada smerda weń się stroi.

— Bo i tak! Teraz osiel zowie się lampart, a koczkodon z małpą chcą równać lwowi...

I niewiecie języczki pracują. Głównym przedmiotem ich zajęcia — oblubienica.

— Gołębiatko takie!... Anim myślała, że się to kiedyś obabi...

— Ba! cztery roki za nią chodzili a namawiali.

— Gadają, co nieboszczyk pan ociec był jemu krzyw.

— I ociec, i stryjec.

— Który stryjec?

— Ano, pan Łukasz, wójt naszej kochanej Starej Warszawy.

Z koła wrywa się na środek niewiasta nieduża, szczupła, z oczkami mrugającymi, z zagadkowym na wążkach wargach uśmiechem...

— Ja wiem cości jeszcze!... — cienkim głosem wykrzykuje, i zaraz usta ściska, jakby postanowiła nic więcej nie mówić.

— Co wiecie, pani Raczkowa?... Nie tajcie, prze Boga żywego!

Mała kobietka udaje zawziętą, nie chce nic mówić — dopiero gdy tamte ciasnem kołem ją otoczyły, wybucha:

— Tam było wpierw miłowanie insze... Tam był jeden taki, co go niema...

Podnoszą się krzyki, nalegania, prośby.

— Kto taki? kto?... Zwierzcie mnie na ucho... nie powtórzę!... Nie jej, jeno mnie... pary z ust nie puszczę. Mnie! mnie! tocieście kuma moja...

Pani Raczkowa zbliża się do każdej z osobna i szepcze jej do ucha nazwisko.

Wszystkie mieszczki wykrzykują na cały głos: — Dąbek?!...

Podchodzi wysoki, pleczysty wąsacz, w losiowym kaftanie, na którym znać rdzawe odciski koszulki żelaznej.

— Krzysztof Dąbek? Byłem z nim pod Chocimem. Zabit.

— O mój Boże!... I na śmierć?

— Jak mnie tu jejmoście widzicie żywego, ta-

kem ja widział jego głowę, uciętą i na turecką dzidę zatknioną.

— Jezus, Marya!

— Oczy były na wierzchu, wielkie, jak pięście, i wybałuszone... o, tak... (pokazuje). Gęba, jak u wilkołaka, czarna i wykrzywiona... o, tak... (pokazuje). A krew chlustała z onej, jak woda z rynny.

Mieszczki rozbiegają się, krzycząc — pędzone zarówno przerażeniem, jak potrzebą wygadania się.

Jedna wpada na dwóch ludzi srodze wychudłych, owiniętych w czarne, fałdujące się opończe. Nie mieszają się ci ludzie z tłumem — coś jakby maskowana pokorą duma wyziera z ich twarzy, na uboczu ich trzyma. Są to *viri litterati*, męże nie tylko umiejący czytać i pisać, lecz nawet czytujący i pisujący.

— Słyszeliście waszmoście? Dąbek zabit.

— Pieter?

— Krzysztof. Hanusia Drewnówna onego miłowała!

— Od dawnam miarkował, że tak się stało. Na wojnę poszedł, z wojny nie wrócił, *ergo: mortuus est*.

— Occisus... — wtrącił drugi.

— Różne są umierania rodzaje, śmierć zawsze jedna.

— Bogacz był. Któż po nim dziedziczy?

— Nie miał małżonki, *eo ipso* i dzieci. O siostrach nie słyszałem, rodzzonego jednego ostawił. Więc nikt, jeno brat.

— Petrus Quercus?

— Ano tak. Jeno, że onego w kraju niema. Wywołaniec jest, banita.

Mieszczka poszła dalej roznosić nowinę — oni jeszcze o braciach Dąbkach gawędzą. Przyłączył się do nich trzeci — takiż sam chuderlawy *litteratus*.

Ten przynosi kilka nowych wieści.

Nobilitacya Krzysia Dąbka już do konstytucyi wpisana — z uwagą, że on sam przepadł. Z Pietra, jego brata, banicya zdjęta.

— Kto zdjął?

— Sam królewic miłościwy, Władysław.

— Ten zawždy Jezuitom w poprzek stawia.

— To i lepiej.

— Tsss... Oni tu węszą. Przecie małżeństwo Drewnówny ze Zboińszczakiem takóž ich sprawa.

— Mogą dziś wiela, a wždy nie wszystko. Za cóž królewicz jegomość na poetę łaskaw?

— Za grzeczny *Pangericus* na wiktoryę choćmiską i na jego dostojną personeę.

Do rozmowy wtrąca się przechodzący mimo bakałarz.

— O Dąbku waszmoście mówicie? Już on w dworku swoim, zdrów i cale bezpieczny. Wczora w oknie otwartem skandował Horatiusa Flaccusa *Ad Chloëm*, aż się po całej uliczce rozlegało. Broda urosła mu tęga i brzuch prawie senatorski...

Z kamienicy Drewnów wychodzi kilku ludzi — zmierzają ku kościołowi ojców Jezuitów. Wszyscy się do nich cisną.

— Na którą ślub? — słyhać zewsząd natarczywe pytania.

— Na jedenastą! — odpowiadają wyniośle, odsuwając tłoczących się, dumni ze znajomości tak ważnego faktu.

Do widowiska jeszcze kilka godzin. Ci i owi rozchodzą się do domów, do pracy — wytrwali nie ruszają się z miejsca.

II.

W tym samym czasie, gdy w domu Drewnów, czyniono przygotowania do ślubu i wesela, a biedniejsi mieszczańkowie pożądliwie śledzili je okiem — drogą do Warszawy włókł się srodze strudzony podróżny.

Znać było, że z dalekich stron idzie; znać było, że sił ostatnich dobywa, żeby do celu podróży się dowlec.

Odzież jego była tak nędzna, wyraz twarzy tak smutny, że można go było wziąć za żebraka. Owszem, zbyt nędzny był i zbyt smutny na żebraka ówczesnego. Dziady obchodzili naówczas swój wiek złoty.

Brodę podróżnego długą, płową, rozjaśniała po bokach wczesna siwizna. Policzki były blade, zapadłe; oczy błękitne, pełne niewymownej słodyczy,

Na plecach miał sakwy; na stopach łapcie podarte. Podpierał się kosturem.

Słońce, nienaturalnie jaskrawe, świeciło mu w same oczy. On je często dłonią przysłaniał, pilnie upatrując czegoś na horyzoncie — zapewne celu, do którego dążył.

Podróżny zbliżał się do małej, ubogiej wioski. Różnego rodzaju biedacy chodzili wówczas po kraju. Aby odrazu okazać, kim jest, zaczął śpiewać głosem świeżym, choć cokolwiek drżącym:

Choć żołnierz nieubrany,
Przecie wejdzie między pany;
Suknia na nim nie blakuje,
Dziurami wiatr wylatuje...

Żołnierz nie był wówczas pożądanym gościem dla wieśniaka. Przed nadchodzącym wieśniak chował

się sam i ukrywał swój dobytek; odchodzącemu rzucał na pożegnanie przekleństwo.

Ale to nie stosowało się do żołnierzy, nucących tę pocziwą, prastarą piosenkę. Ci byli: albo wysłużonymi wojakami, wracającymi do rodzinnej zagrody, albo rozbitkami zwyciężonych i rozpierzchłych oddziałów, albo wreszcie — kalekami. Przed takimi mieszkaniec wsi otwierał chatę i serce. Bieda wspomaga biedę, bo ją rozumie.

I teraz skrzypnęły drzwi w jednej i drugiej lepiance — wysunęła się głową w czerwonej chuście — oczy okrągłe, dobre wyrzały ze współczuciem na drogę...

Podróżny ciągnął głośniej:

Chustka jest czarna za pasem,
Ale i w tej pusto czasem —
Zapłaćże mu, Jezu z Nieba,
Bo go jest pilna potrzeba...

Wieśniaczka drzwi zostawiła otworem — skoczyła do komina — na półkę sięgnęła.

Przed samym progiem rozległo się donośnie:

Trzeba żołnierza szanować,
Chleba, soli nie żałować...

— Prosiema, panie żołmirz... Co Bóg dał...

Na ławie, do okna przysuniętej, prócz chleba i soli, stała miska żuru gorącego.

Podróżny, zanim zasiadł do posiłku, zwrócił się do kobiety z zapytaniem, które już od wielu dni i tygodni z ust mu nie schodziło:

— Rychło-li Warszawa?

— Oj, nie rychło!... Jesce bańdzie takich wsiów

tsy, ctyry, albo i pięć... i jeden gród wielgi... Nie wiada, cy na podwiecz dojdzieta!...

Zafrasował się wojak — z westchnieniem wziął za łyżkę. Choć to był pierwszy jego posiłek od wczoraj, jadł bez wielkiego smaku. Żalność ścisnęła mu gardło.

Nie dojadłszy żuru ani chleba, wstał z ławy, usta otarł. Trzeba było teraz zapłacić za gościnność. Zapłata bywała w tych wypadkach zawsze jednakowa. Stanowiło ją: opowiadanie doznanych przygód.

Już to opowiadanie powtarzał podróżny setki razy — zawsze w tem samym, krótkim streszczeniu. Aby je uczynić zajmującym, nie potrzebował dodawać własnych wymysłów. Owszem, niejedno przemilczywał, żeby nie wydawało się, iż na litość poluje.

Powracał z jasyru. Trzy lata przemęczył w ciężkiej niewoli. Gdy go pojmano, próbował uciec, i tem los swój pogorszył. Byłby zaprowadzony do Stambułu, potem przedstawiony do wykupu posłowi Rzeczypospolitej i niezawodnie wykupiony. Zostawił w kraju dużą majątność — na okupby wystarczyła. Ucieczką wszystko popsuł, ściągawszy na się wściekły gniew sułtana.

Skazano go na śmierć. Sam Osman strzelać miał doń z łuku. Czynił to wiele razy: przed wojną dla postrachu wrogów, po wojnie dla nasycenia zemsty. Nigdy jedną strzałą jeńca nie uśmiercał — pomimo, że strzelec był celny. Z wyszukanem okrucieństwem dziurawił wpierw ciało ofiary; dopiero rękę zmęczony, grot w serce jej wymierzał.

Bóg zrzędził inaczej. Poganin, zanim uśmiercił chrześcijanina, wprzód sam zdechł — przez własnych janczarów uduszony.

Na jeńca wszakże zawzięto się. Uznany za niebezpiecznego, został wywieziony w głąb Azji, odda-

ny jednemu z satrapów w wieczystą niewolę. Pracował tam ciężko, pełnił najniższe posługi, nigdy pana swego nie widując.

Dobiegał do końca trzeci rok jego niewoli. Jednego poranku użyto go do naprawiania fontanny we wspaniałych ogrodach satrapy. On sam przechadzał się w pobliżu — znudzonemi oczyma wodził po niewolnikach. Dojrzał polaka — wzrok na nim zatrzymał — kazał go do siebie przywołać.

— Gdzieś wzięty? — spytał, bystro się weń wpatrując.

Rozmawiali po turecku, bo jeniec już dobrze tym językiem władał.

— Pod Chocimem?

— Którego dnia?

— Piętnastego września.

Tamten policzył na palcach...

— Dwudziestego siódmego szewala!... — wykrzyknął z nadzwyczajnem wzruszeniem.

Wstał — postąpił kilka kroków ku niewolnikowi.

— Powiedz mi jedno jeszcze: pieszy byłeś czy jeździec?

— Jeździec. Dowodziłem własnym oddziałem rajtaryi.

Wzruszenie turka powiększyło się. Drżał, dłonią serce przyciskając.

— Przystap bliżej—rzekł głosem stłumionym.— Dobrze mi się przypatrz.

Jeniec podniósł oczy. Ujrzał przed sobą twarz piękną, bladawą, prawie niewieścią, oczy czarne, podłużne, marzące.

Drgnął.

— Poznajesz mnie?

— Poznaje.

Obaj głęboko westchnęli.

— Allah jest wielki!... — szepnął turek.

Polak rzekł:

— Niezbadane są wyroki Boże. Chwała Panu na wysokości!

— Nie jesteś już niewolnikiem — oświadczył tamten. — Jesteś mój przyjaciel. Połowa mych skar-bów do ciebie należy. Każę odziać cię natychmiast w jedwab i złotogłów. Jeśli chcesz, możesz dozorcy swemu głowę uciąć.

Po tych słowach ucałował go, jak brata.

Jeniec zapłacił uściskiem za uścisk — ze łzami w oczach podziękował za wolność. Potem wymówił się od darów wspaniałych, prosząc tylko, żeby mu wolno było wrócić do ojczyzny.

W kilka dni później był już w drodze do kraju. Bogaty azyata zaopatrzył go we wszystko, czego trzeba do odbycia długiej a wygodnej podróży.

Dał mu trzos złota, dał rumaka niezrównanej piękności i siły, dał namiot jedwabny, dał zbroiny orszak, który odprowadzić go miał do granic Rzeczypospolitej.

To wszystko otrzymał jeniec z wyroków Opatrzności, za to, że w danej chwili pamiętał o piątem przykazaniu boskiem!

Droga przez prowincye tureckie odbyła się spokojnie, prawie przyjemnie. Ale zaraz po przebyciu granicy, jeniec został napadnięty przez wałęsające się kupy żołdactwa i do szczętu ograbiony. Zabrano mu konia, trzos z pieniędzmi, namiot, kosztowne upominki — zdarto zeń nawet odzież nieco wykwintniejszą i pozbawiono prowiantów.

I oto resztę drogi odbywać musi o kiju żebraczym...

W chwili, gdy podróżny kończył opowiadanie, do chaty wszedł mąż z bardzo poważną miną, z bardzo

czerwonym nosem, w bardzo długiej, czarnej, kostek sięgającej opończy. Opończa miała po bokach kieszenie głębokie; z jednej wychylał się gruby zwój pieśni kościelnych, z drugiej — butelka.

Był to klecha miejscowy, wieś bowiem była kościelna.

Wysłuchawszy końca opowieści, przybysz nosem pociągnął, głową pokiwał, ręką machnął dwuznacznie. Potem wydobył z kieszeni butelkę, napił się — w milczeniu podał ją wojakowi.

— Złe są *omina* — wyrzekł przez nos, rozsiadając się na ławie. — Pies zdechł.

— Cyj pies? Może proboscowy, Boże ratuj?

— Obal, jegomościę rataja. Pani kleszyna, moja małżonka — iż tak rzekę: *uxor mea* — dała onemu napić się rosy, na łące zebranej przed wschodem. *Experimentum* wypadło niefortunnie. Pies zdechł, jako się wyżej rzekło.

Podróżnemu pilno było w drogę. Wstał; nakładając sakwy, rzucił obojętnie:

— Psów na świecie siła. Rataj znajdzie sobie drugiego.

Klecha zwrócił nań pełne politowania spojrzenie.

— Pan żołnierz — nosowo zaśpiewał — *non intelliget*. Iż tak rzekę: nie wie, gdzie dzwonią. Nie o rataja idzie, ani o ratajową sobakę. *Omina* są złe. Wczora byłem na łące, gdzieś grabił nieco siano dla wołków swych — iż tak rzekę: *pro domo mea*. — Wracam na „Anioł Pański“, aliści, wedle kierkuta żydowskiego widzę — co? ognie latające. *Dičo*: o-gnie la-ta-ja-ce.

Zamilkł — spojrzenie świdrujące obrócił najpierw na podróżnego, potem na wieśniaczkę.

Ostatnia ręce załamała:

— Ratujże nas, Najświęantsa Panianko! i ty,

świanty Benonie, patronie od wszelkiej zarazy! Od powietrsa, głodu, ognia... Powiedztaż, mój złoty jegomość, co z tego bandzie?

Toż samo pytanie miał na ustach i żołnierz. Gotowy do wyjścia, zatrzymał się w progu, czekając, co powie klecha.

Sługa kościelny nie śpieszył z odpowiedzią. Wytarł z hałasem nos, napił się wódki, odsapnął, splunął. Potem dopiero, na nikogo nie patrząc, mruknąć raczył:

— Co będzie? Będzie siła dzwonięcia, śpiewania, kadzenia. Księżę pole chwastem nie zarośnie: grabarz je skopie, jak się patrzy — iż tak rzekę: *de profundis...*

Podróżnego dreszcz przebiegł, choć w izbie było ciepło. Przeżegnał się i wyszedł na drogę. Idąc piaszczystym gościńcem, długo jeszcze słyszał lamentującą wieśniaczkę:

— Świanta Panienko!... Świanty Benonie!...

Siły wycężał, żeby iść jak najzwawiej. Pilno mu było do rodzinnej Warszawy, do ludzi swoich, o których od lat trzech wieści żadnej nie miał. Popędzała go tęsknota, popędzał niepokój, mieszający się to z obawą — to z nadzieją...

Nic to nie pomagało. Znużone nogi z trudem go niosły. Ledwie o południu dowlókl się do miasta, które na połowie drogi leżało. Nie było sposobu dostać się do stolicy przed nocą.

W drodze coraz gęściej obsiadały mu duszę czarne, posępne myśli. Roilo mu się, Bóg wie, nie co. Pewnej chwili, gdy szedł wprost na słońce, wydało mu się, że je coś białego zakryło. Podniósł oczy i ujrzał lecące powietrzem, tuż nad ziemią, widmo niewieście w długiej, białej, fałdującej się koszuli. Widmo

leciało bez szmeru, śnieżnemu obłokowi podobne, porzysając chustą skrwawioną...

Pewnie to był majak, olśnieniem słonecznem wywołany.

Podróżny wzdrygnął się, przeżegnał...

Przez całą resztę drogi odmawiał półgłosem pacierze.

III.

Dochodziła godzina dziewiąta. Tłum nie przestawał cisnąć się u wejścia do kamienicy Drewnowskiej. Był taki tłok, że nawet służba, wychodząca z domu i powracająca, z trudem przejście sobie torowała.

Nagle zaczęto rozsuwać się, ustępować.

— Zróbcie miejsce! — wołali jedni na drugich. — Osoba godna! Człek święty! Szczęście przyniesie młodym! I domowi! I miastu!...

Od strony Bramy Krakowskiej nadchodził mąż wyniosły, w powłóczystym, zakurczonym płaszczu, w kapeluszu olbrzymim, owieszonym muszlami, z różańcem u pasa, z kosturem wysokim, który miał u wierzchu wydrażoną tykwę.

Odrzu poznawało się pątnika, powracającego ze stron bardzo dalekich — zapewne od grobu Chrystusa.

Przeszedł ze spuszczoną głową przez tłum rozstępujący się. Po drodze rozdawał medaliki, szkaple-rze. Tych, co chcieli kraj jego płaszcza całować, przy-garniał do siebie i błogosławił.

Ody wstał w dom Drewnów, natychmiast przy-puszczono go przed oblicze pani Melchiorowej. Pro-sił o to — możnaby rzec: żądał tego.

Wdowa ukazała się przybrana okazale — w stro-

ju, w którym poprowadzić miała córkę do ołtarza. Przywitała pielgrzyma uprzejmie, prawie serdecznie. Uważała za szczęśliwy *omen* jego zjawienie się w chwili tak uroczystej.

— Witajcie, gościu świątobliwy!—rzekła, wskazując mu miejsce przy stole. — W samą porę pod nasz dach przybyliście. Wina wam podać czy miodu? Mój Boże! widzieliście Betleem i Jeruzalem, żłobek i grób Chrystusowy. Jakże wasz los fortunny!

Pielgrzym milczał. Na środku komnaty stał nieruchomo, z głową spuszczoną, z ustami zaciętymi.

— Możecie głodni? Czemu nie siadacie? Każę służebnej przynieść mięsiwa i ciasta. Gdy pokrzepicie się, przywiodę wam swą córkę. Anielska dziewczeczka. Wzdyć nie odmówicie jej błogosławieństwa?

Pielgrzym milczał.

— Pewnie trzos wasz pusty? Napelnę go złotem. Czy powiedzieli wam, że dziś w domu moim gody? Jedyńaczka moja poślubia kawalera znacznego — szlachcica. Za dwie godziny powiodą ją do ołtarza. Za dwie godziny będzie już wielmożną panią Zboińską.

Pielgrzym podniósł głowę.

— Nie stanie się to za dwie godziny. Nie stanie się to nigdy — głosem głębokim wyrzekł.

Kobieta zmieszana, z tropu zbita, rozszerzyła oczy, w tył się cofnęła — pełna zdumienia, prawie trwogi...

— Co mówicie, gościu? Snać nie pojęliście słów moich. Rzekłam, iż córkę swą oddaę w zamęcie. Zanim południe wybiję, pojmie ją szlachetnie urodzony.

Tamten powtórzył z większym naciskiem:

— Powiedziałem: nie stanie się to.

W dumnej mieszczance gniew się obudził.

— Dlaczego? — ostro zapytała.

— Ja na to nie zezwolę.

Drewnowa postąpiła naprzód z zaiskrzonym oczyma. Jeszcze była piękna, majestatyczna. Tusza, której w ostatnich czasach nabrała, przysporzyła jej powagi. Owiewał ją szum i chrzęst ciężkich materyi jedwabnych, w które była odziana. Perły wielkiej ceny, które opasywały kilkakrotnie jej szyję, dzwoniły z cicha na poruszającej się szybko piersi.

— Coście wyrzekli? — syknęła, — Jakto, wy nie zezwolicie?... Wźdyć ja ciebie o to nie pytam!... Nikogo pytać mi nie trzeba. Gdyby nie święte prawo gościnności, nie estyma pielgrzymom należna, to... Nareszcie: nie znam was. Różny naród wałęsa się teraz po świecie... Powiedz: kto jesteś?

Pielgrzym odrzucił płaszcz. Przed Drewnową stanął mąż dorodny, wyniosłej postawy, z twarzą myślącą, surową. Miał czarne, zapadnięte oczy, wielki nos orli, cerę żółta, rysy wyraziste, jak z bursztynu wyrzeżane. Strój jego był napół mieszczański, napół zakonny. Na piersiach wisiał łańcuch złoty, zakończony medalem.

— Jestem ten — odrzekł — który dziewczkę do tego domu przywiódł. I ten zarazem, który dziewczkę z tego domu wywiedzie.

Melchiorowa lekko zbladła. Jednak z tą samą, co wpierv energią, cios odparowała.

— Znajomości nie żądam; pogróżek wolno mi się nie lękać. Bogu dzięki, żywiemy pod bokiem Jego Królewskiej Mości, Pana naszego miłościwego. A co się tknie Hanusi mojej, o jej losie jeno matka stanowić może.

Przybysz wyrzekł spokojnie:

— Waszmość pani nie jesteś matką Hanusi.
To był grom.

Drewnowa stała się szkarłatną. Można było obawiać się, że padnie zabita apopleksją. Postąpiła kilka kroków w tył, drżącą ręką szukając poza sobą krzesła. Znalazła je — usiadła.

Przez kilka chwil oddychała szybko, chrypliwie, jakby dusząc się. Zwolna oddech stawał się wolniejszy i cichszy, z twarzy ustępowała straszna czerwoność.

Podniosła do nosa flakonik wenecki, który wisiał u jej pasa na złotym łańcuszku. Potem przesunęła ręką po czole, skupiając myśli.

Uspokoili się. Zasłaniając usta pachnącą rękawiczką, zaczęła z cicha... śmiać się.

— Dziwy waszmość mi prawisz — rzekła wreszcie, głosu nie podnosząc. — Iście wschodnie bajki. Z onych krajów dalekich przywieźć je musiałeś. Wedle waszmości, ja nie jestem córki swojej matką. I gdzie jest macierz prawdziwa?

— W grobie — odrzekł pielgrzym smutno.

— A ociec?

Odpowiedzi nie było.

Za dużą, złotem przetykaną, koronkami oszytą rękawiczką, znów dał się słyszeć śmieszek stłumiony.

— Niezawodnie waszmość znasz i postawisz ludzie wiarogodne, co one macierzyństwo zaświadczą?

— Znam i postawię.

— Radabych je poznać...

— Przywiodeę nasamprzód starą Kosową, balwierkę ze Śpichlernej.

— Na te Gody będą dwa roki, jak u Panny Maryi pogrzebiona!

— Pogrzebiona?... — zadziwił się przybysz i spochmurniał.

Po raz pierwszy od początku rozmowy trzeba mu było namyśleć się, co powiedzieć.

Mniej pewnym głosem ciągnął:

— Postawię męża nieboszczki, balwierza Kosa.

— Przed trzema niedzielami pijacki żywot w Wiśle zakończył!

Czoło pielgrzyma pofałdowało się, na oblicze wystąpił wyraz głębokiego bólu. Ten mąż, przed chwilą jeszcze posagowi z bronzu podobny, zachwiał się, głowę na piersi zwiesił — cały przygarbił się, postarzał...

— Mógłbym — wyrzekł głucho, nie patrząc na przeciwniczkę — mógłbym i bez nich... Ale nie mogę, nie mogę!

Znać było, że w duszy tego człowieka, tak dotąd spokojnego, wre ciężka walka, mociują się wrogie siły.

Drewnowa mierzyła go wzrokiem wyniosłym, zupełnie już spokojnym. Po ustach jej przebiegał uśmiech drwiący.

Otworzyły się szeroko drzwi — stanęła w nich oblubienica. Podobna była do białej chmury, przez którą przeświecały dwie gwiazdy... czarne.

— Pani matko! teszno nam bez was... — srebrnym głosem zadzwoniła.

Pielgrzym rzucił się ku białemu zjawisku z wyciągnionymi rękami.

— Hanusiu! Hanusiu moja!... — rozdzierającym głosem zakrzyknął.

Dzieweczka obróciła się ku niemu — zadrżała. Czarne oczy napęłniły się łzami, drobne rączyny wyciągnęły do wołającego. Zdawało się, że chce mu upaść w objęcia.

Rzuciła się pomiędzy nich Drewnowa — córkę wepchnęła do drugiej izby — drzwi zatrzasnęła i sobą zasłoniła.

— Żegnam waszmości — rzekła do pielgrzyma,

lekką głowę skłaniając. — Dziś moim gościom wese-
lić się przystoi. Dla kruków złowróżbnych miejsca
tu niema...

IX.

— Niech żyją! Vivaant!...

Okrzyk tłumu, stłoczonego w wąskiej uliczce,
zahuczał, jak grzmot w wąwozie.

Z czarnego otworu sieni wybuchnął jakby huragan
kwiatów. Na ulicę wysypał się orszak weselny,
barwnymi strojami błyszczący. Nie czekały nań ka-
roce ani kolebki. Wszyscy weselnicy w obrębie Sta-
rej Warszawy pieszo do kościoła chadzali.

Orszak miał do przebycia drogę niewielką: dwie
uliczki, jedną przecznicę. Tę drogę starannie umie-
ciono, żółtym piaskiem wysypano — teraz właśnie pa-
chołkowie i dziewczki służebne potrzasały ją kwiatami.

Pannę młodą prowadził krewniak Zboińskiego,
pokojuwiec królewski, gładysz w stroju hiszpańskim.
Panu młodemu podała ramię stryjeczna Hanusi, cór-
ka Łukasza Drewny.

Drewnowa — istna dogaressa, w aksamitnej,
powłóczystej, złotem przetykanej szacie, z perłami we
włosach i na szyi — szła pod rękę z burmistrzem Sta-
rej Warszawy, Hendrichem Plumhoffem. Za nimi
stary Zboiński w kontuszu szkarłatnym z guzami
dyamentowymi kroczył dostojnie obok Łukaszowej

Dalej sunęło mieszczaństwo Starej Warszawy,
Drewnowej.

przemieszane malowniczo ze szlachtą i dworzanami
królewskimi. Mieniły się jedwabie, migotały klejno-
ty, puszyły się pióra kosztowne, złociście połyskiwa-
ły w słońcu sobolowe obrzeżenia sukien mieszczań-

skich. *Lex sumptuaria* poszła już była w zapomnienie...

Orszak zatrzymał się na ulicy przed domem, czekając, aż służba wszystkie kwiaty z koszów wytrząśnie. Tłum mógł dosyta napaść oczy widokiem przepychu, bogactwa, wytworności — na który zawsze bywa łakomy.

Rozumie się, że główną ciekawość budzili oblu-bieńcy.

Hanusia była blada, jak opłatek — śliczna, ale tą ślicznością eteryczną, księżycową, której mieszczankowie nie rozumieli i nie uznawali. Szeptano sobie o niej zdania niepocholebne. Zażywna rybaczka z Dunaja, wdowa po trzech mężach, trąciwszy w bok tłustego rzeźnika, mruknęła wzgardliwie:

— W trumnę jej, nie do łożnicy!...

Wichura lepiej przypadł do smaku — choć strój włoski, opięty, przy jego twarzy hajdamackiej raził niemiłą sprzecznością.

Chwalono jego minę pewną siebie, wyniosłą, która naprawdę była tylko: zuchwale bezczelna. Wśród tłumu nie brakło takich, co go znali ze strony złej i brzydkiej — ale olśniewała ich gloria bogactwa — milczeli...

— Jak go zdoła ta blizna na lewej jagodzie!...— mówili starzy patryoci, pokazując sobie jego policzek, przecięty szablą Krzysia Dąbka.

— Dobry syn Rzeczywspolitej — cieszyli się inni — będzie miała zeń honor i nasza Stara Warszawa!

Gdy tak jedni pysznią się sobą, a drudzy opatrują ich i sądzą, nagle, w ostatnich szeregach tłumu, wszczął się hałas.

Ktoś krzyknął tam głosem przeraźliwym:

— Puszczajcie!... puszczajcie!...

Krzyk był podobny do niewieściego, ale brzmiał

prawie nieludzko. Zdawało się, że wybiega z piersi pękniętej, rozbitej.

Poruszyła się fala ludu. Ruch, wszczęty na jednym jej krańcu, przeszedł szybko do drugiego.

Ozwały się głosy zmieszane, które urosły niebawem w gwar powszechny. W gwarze można było wyróżnić alarmujące wołanie:

— Szalona!... Szalona z Kępy!...

Szaleni strach wówczas budzili. Lękano się ich, posądzając o stosunki z czartem, o moc nadprzyrodzoną.

I teraz zaczęto rozstępować się, usuwać. Krzyk stawał się coraz głośniejszy, coraz bliższy... Po chwili, w zbitej dotąd masie utworzyła się jakby bruzda, a przez tę bruzdę, krzycząc i przepychając tłum, rwała się naprzód kobieta obłąkana.

Była straszna — bardziej do widma, niż do istoty żyjącej podobna. Całą jej odzież stanowiła długa do kostek koszula, sznurem w pasie związana. We włosach rozplecionych, czarnemi wężami na twarz i na plecy spadających, tkwiły żdźbła mchu i suchej trawy. Twarz była żółto-zielona, wyschnięta, jak u mumii. Oczy zapadły tak głęboko, że się zdały dwiema dziurami. Ale najohydniej wyglądały uszy, poszarpane, bezkształtne — raczej strzępy uszów, jakby z paszczęki dzikiego zwierza cudem wyrwane...

Na ramionach kobiety, na jej biodrach, kolanach, łokciach koszula łamała się w fałdy rażąco ostre, ujawniające nadzwyczajną, kościotrupową chudość. Cała ona zresztą wydawała się żyjącym szkieletem.

— Puszczajcie! — krzyczało widmo. — Do miłego puszczajcie! Miły czeka, o! woła na mnie. Słyszycie? dzwony dzwonią, organy huczą... To mój ślub! moje wesele!... Hu! ha!... A stryjek w ogniu skwierczy... Waszmościów proszę i waszmościanki

proszę. Będą gody!... A wy dyabły precz! teraz nie pora... Później! później! Miły czeka. Jaki cudny mój miły! Katom nic do mnie!... Puszczajcie! Do miłego puszczajcie! Mój miły szlachcianką mnie zrobi!... Hu! ha!...

Wyrwała się z ciżby — pobiegła do miejsca, gdzie stał orszak weselny. Choć widziano, że leci straszna, jak upiór, złowroga, nikt się nie ruszył. Konrad stał w miejscu, jak urzeczony — innych okamięniła trwoga zabobonna.

W tłumie gadano tylko: — Nieszczęście!... nieszczęście!...

Ona skoczyła nagle, jak pantera, na pana młodego. Zanim zrozumiano, co się dzieje, już kościotrupowe ramiona opasały Wichurę, już upiorzyca u jego szyi zawisła.

Z piersi jej wyrwał się krzyk okropny, który był zarazem: jękiem, wyciem, mrukiem, skowyczeniem.

Twarz szalonej kobiety stała się szkarłatna, usta jej przypięły się do ust Konrada. Ze wściekłą zawziętością zaczęła całować go i kąsać.

Napróżno Wichura szamotał się, wyrывał; objęcia widma były mocne, jak żelazo. Inni patrzyli na te zapasy w osłupieniu.

Dopiero gdy z ust pana młodego krew pociekła i kroplami purpurowymi spływać zaczęła na biały atłas stroju weselnego — ten i ów oprzytomniał.

Stary Zboiński, dobywszy karabeli, rzucił się na pomoc synowi — uprzedzili go pachółkowie magistraccy, którzy szaloną porwali i unieśli.

Już nie miotała się, nie wyła — z ust jej wybiegały tylko bolesne, jęklive skargi. Buchał od niej ogień — rękami chwyciła się to za pierś, to za głowę.

Pomiędzy weselnikami wszczął się popłoch. Kobiety mdlały, mężczyźni biegali od jednej do drugiej,

trzeźwiąc, o pomoc lekarską wołając, czyniąc sobie wzajem wymówki, że do nieszczęścia dopuszczono.

Jeden Konrad stał w miejscu nieporuszony, osłaniając chustką pokąsane usta i domagając się z dziką zaciętością, żeby obrządku ślubnego nie przerywano. Pomagał mu w tem ojciec. Stary szlachcic niecierpliwie szarpał wąsa, pobrzękiwał karabelą, z towarzyszką swą na czoło orszakowi rwał się...

— Do kościoła! do kościoła! — wołał prawie rozkazująco. — Dość niepotrzebnej mitręgi! Wielebni czekają, gościom dostojnym śpieszno. Z czarownicą kat się załatwi, my przed ołtarz!

Przemogła rozwaga — postanowiono ślub na kilka godzin odłożyć. Weselnicy cofnęli się do komnat. Przywołany doktor opatrzył poranione usta pana młodego — pannom i niewiastom leki dał na uspokojenie.

Dziw to był dla wszystkich, że Hanusia, choć ciałem najwątlesza, najmężniej wypadek zniosła. Tylko oczy jej dziwnie się pogłębiły, a czoło przecięła fałda, wyrażająca zarazem smutek i rezygnację...

V.

Ślub odbyć się miał o piątej popołudniu — ale się nie odbył.

Już po raz wtóry zapalono światła w ołtarzu; po raz wtóry muzycy i śpiewacy z kapeli królewskiej zgromadzili się na chórze gwoli wykonania wspaniałego *Veni creator*; już ojciec prowincyał przywdział ornat bogaty i do wyjścia się gotował; już nawet orszak weselny wkroczył do świątyni i szumem, chrzęstem, blaskiem, zapachami mocnymi nawę główną nappełnił — jednak ślub się nie odbył.

Stała się rzecz nadzwyczajna: na połowie drogi do ołtarza pan młody zachwiał się nagle i padł na posadzkę kamienną bez przytomności. Prawda, że od kilku godzin czuł się słabym, narzekał na ból głowy i stawów — nie przypisywano wszakże temu wielkiego znaczenia. On sam z niemocy swej głośno podrywał.

Pomiędzy uczestnikami nie brakło doktorów. Przy ich pomocy Wichura odzyskał przytomność. Ale już gorączkę miał gwałtowną, w malignie był — bredził...

O ślubie nie mogło być mowy.

Przyniesiono z zakrystyi nosze, okryto kobiercami — chorego na nich złożono. Panna młoda, łzami zalana, prosiła, by jej pozwolono iść za narzeczonym, pielęgnować go.

Doktór stanowczo się temu oparł.

Konrad został przeniesiony do dworu na Węgrzynowie... Poszedł tam za nim tylko ojciec i doktorów kilku. Przyjaciele, nie wyłączając drużby - krewniaka, przed chorobą pierzchnęli.

Reszta godowników, pełna przerażenia, rozbiegła się do domów i gospód, roznosząc wieść o uroku, rzuconym na pana młodszego przez czarownicę...

Czterej najsławniejsi warszawscy lekarze stanęli przy łożu chorego Konrada. Pierwszy był stary, drugi młody, trzeci bardziej młody, niż stary, czwarty bardziej stary, niż młody. Przez dwie godziny klócili się po łacinie, wygrażając sobie najpierw pięściami, wkońcu kijami.

Stary Zboiński powtarzał nieustannie: Czyńcie waszmoście, co chcecie, mój syn musi jutro ślub wziąć... — Oni w odpowiedzi mruczelili coś niewyraźnie. Wreszcie zapisali cztery długie recepty i mieli się ku odejściu, Wówczas szlachcic drogę im za-

kroczył, żądając, aby kategorycznie powiedzieli: — Weźmie ślub, czy nie weźmie?... — Na to jeden doktor rzekł: — Weźmie najniezawodniej... — Drugi: — Najniezawodniej nie weźmie... — Trzeci: — Być może, iż nie weźmie... — Czwarty: — Być może, iż weźmie.

I odeszli.

Tymczasem Wichura coraz gwałtowniej rzucał się, coraz nieprzytomniej bredził. Stary kłął, psy kopał, stolki o podłogę i o ściany rozbijał. Wielki ból serdeczny takie u niego miewał zawsze objawy.

Noc nie przyniosła choremu polepszenia. Leki nie pomagały, cisza wiejska ukoić go nie zdołała. Miał straszne widzenia, gadał rzeczy potworne, od których staremu skóra cierpła, włosy się jeżyły...

Lampę postawił na stole, blisko łóżka; przy lampie księgę wielką rozłożył. Naprzemiany: podawał synowi cuchnącą miksturę i czytał „Herby Rycerstwa Polskiego“. Czytał w głos, chcąc zagłuszyć bredzenia chorego.

Przed samą północą, klamka u drzwi szczęknęła — ktoś wszedł do izby, wymawiając łacińskie pozdrowienie. Szlachcic podniósł oczy od księgi — przed nim stał mąż poważny, we włoskim stroju, z twarzą żółtą, nosem orlim, czarnemi, głęboko osadzonemi, oczami.

— Kto waść? Czego tu po nocy? — szorstko zapytał.

— Doktor jestem. I znajomy waszmości.

Zboiński zakrył oczy dłonią od strony światła — wpatrywał się w przybysza — milczał. Widocznie poznać go nie mógł.

— Spotykaliśmy się na Zamku, u nieboszczyka pana Boboli — pomagał tamten jego pamięci.

— To już chyba dawno?...

— Dawno. Jest temu roków dwadzieścia i dwa. Tyle właśnie, ile ich liczy Hanusia...

Stary podniósł głowę.

— O kim waść mówisz? O jejmościance panie Drewnównie?

Przybysz ciągnął, nie odpowiadając na pytanie.

— To były dobre czasy. Byliśmy wówczas młodzi, mości Zboiński! A fraucymer nieboszczki królowej wirydarzowi równał: panienki nadobne rosły w nim, jak kwiaty. Jedna osobliwie Dorotka, hafciarka...

— Lada co waść prawisz!... — obruszył się szlachcic.

— Rozmiałowałeś się w onej Dorotce, mości Zboiński.

— Iiiii...

— A ona cię zdyfamowała.

— Przestałbyś waść...

— Inny cię ubiegł. Za to, gdy przyszła okazyja, zemstę nasyciłeś. Przez ciebie ono niebożatko w lochu u strażnika zmarniało.

Porwał się na nogi Zboiński.

— Na co mi to wszystko waść gadasz? — gniewnie rzucił.

— Aby pamięć waszmościna odmłodzić.

— Poznaję cię teraz. Jesteś Antonio Novi, Czarny Doktor. Byłeś lekarz i alchymista. Pono także i czarodziej. Ścigano cię... Skąd się teraz tu wzięłeś?

— Staram się zawsze być tam, gdzie potrzebny. Słyszałem, że jedynak waszmości zachorzał?

Szlachcic jęknął tylko — ręką wskazał łożę w cieńniu pograżone.

Doktor przystąpił do Konrada. Przyłożył mu rękę do czoła, obejrzał twarz i piersi, dotknął stawów,

pomacał pod pachami — spokojnie od łoża odszedł.

Ten spokój dodał staremu otuchy.

— Cóż, doktorze? — spytał. — Mój Konrad stanie jutro na kobiercu? Tamci powiedzieli, że stanie.

— Mości Zboiński — rzekł tamten — mam do waszmości słów kilkoro...

Obejrzał się po izbie — dostrzegłszy drzwi do ubocznej komnaty, do nich się skierował. Ruchem ręki wezwał ze sobą szlachcica.

Zboiński wziął ze stołu lampę — wszedł za doktorem do ciemnicy.

Zaraz za progiem rzekł przybysz:

— Od tamtej niewiasty wracam.

— Od której.

— Od szalonej.

— Przekłęta czarownica! Bodaj zczezła!

— Już się jej kłątwy nie imą. U Boga jest.

— U czarta, powiedz waść!

— U Boga.

Ciszej, jakby do siebie tylko, dodał:

— Miała ciężką śmierć. Za to, lekkie będzie jej przebudzenie.

— O jakiej śmierci waść mruczysz?

— O czarnej.

— Śmierć zawsze biało malują...

— Ta przecie czarna. *Mors nigra*.

Zboiński wzdrygnął się.

— Waść kraczesz żałobnie, jak kruk. I lżesz w dodatku. O onej okropności słyhać u nas nie było.

— Do wczora. Dziś ona jest w Starej i Nowej Warszawie. Jest *intra muros* i *extra muros*. Jest na przedmieściach i na kępach wiślanych. Wczora syna waszmościnego ucałowała, dziś masz z niej waść synową...

Szkoło trzymanej lampy głośno dzwonić zaczęło,

— Aniołowie i Archaniołowie! Oszalałeś, czarowniku! Więc mój syn?...

— Hanusi nie poślubi.

Lampa upadła z brzękiem na podłogę. Zboiński zwałił się z nóg, apopleksją zabity.

Zrobiło się czarno, okropnie...

Z obocznej izby dobiegało rżenie konającego...

VI.

Na Węgrzynowie księżyc świecił pełny, zimny, błyszczący, jak wygładzona czaszka kościotrupa. Świecił w same okna milczącego, jakby głęboko uspio-nego dworu. Okna były otwarte i niczem nie zakryte — pomimo, że wewnątrz pełniły się rzeczy, ani światła księżycowego, ani oczu ludzkich nie znoszące.

Śmierć tam gospodarowała samowładnie.

Na środku pierwszej izby, w trumnie otwartej, na katafalku, spoczywał trup starego Zboińskiego — w czerwonym kontuszu, czerwonych butach, z twarzą siną, która w promieniach księżyca czarną się wydawała.

Nie paliło się przy tej trumnie światło. Na stopniach katafalka żółciły się powywracane lichtarze, połamane gromnice...

W drugiej izbie — drugi trup. Ten leżał wprost na podłodze — potwornie pokurczony, prawie nagi, plamami sinemi pokryty. Wytrzeszczonemi, po raz pierwszy może nieruchomo stojącemi oczyma patrzył wprost w księżyc. Twarz miał wykrzywioną. Skonał widać w wielkich mękach, rzeczy straszne widząc przed sobą.

Syn umarł, gdy ojciec leżał już na marach. Służba, przerażona dwoma zgonami, a najbardziej złowieszczem słowem: „zaraza“, pouciekała do miasta.

We dworze nie było nikogo. Nawet psy powciskały się w pobliżkie zarośla i wyły tam ponuro.

Nagle, na drodze jasności księżycowej, stanął cień. Ktoś podczołgał się między chwastami pod dwór, zajrzał do środka, przez okno przelazł. Gdy barki wyprostował, okazał się olbrzymem.

Olbrzym miał nogi krzywe. Przetoczył się koślawo przez pierwszą izbę, zatrzymał przy katafalku, przeżegnał się, popatrzył uważnie na — kontusz nieboszczyka.

Potem przeszedł do drugiej izby.

Tam od progu zaraz zawołał:

— Jasny panie! Kółtun przylazł po swoje...

Nie słysząc odpowiedzi, powtórzył głośniej:

— Niechno się wasza wielmożność dźwignie. Siła czasu nie zmitrężyła. Wielmożne ręce odmierzą kwartę czerwieńców, diad zara won półdzie. Sprawiedliwie mi się należą... sprawie-dliwie. Tyla roków dzierżeć pysk zaryglowany, nie fracha! Brodzisko mi bez ten czas pobiełało!

Milczenie podrażniło go. Mruczając, potoczył się w głąb izby i teraz dopiero zobaczył trupa.

— Święty Jacku! — krzyknął. — Co to jaśnie szlachcic wyrabia?!...

Pomacał go kijem, potem nogą. Potem jeszcze schylił się, za ramię go ujął, na drugi bok przewrócił. Zrozumiał nareszcie prawdę.

— Olaboga! — wrzasnął. — Toś ty zdechl?!...

Wściekły gniew i żal dusiły go. Nogami zaczął kopać trupa, którego głowa z głuchym łoskotem odskakiwała od podłogi. Ryknął wreszcie wielkim płaczem.

— Okradł me!... Jasny szlachcic me okradł! Sirotę nie pożalował, okradł! U-hu-hu-hu-hu!...

Długo taczał się po izbie, jak pijany, kląć i la-

mentując. Nagle stanął w miejscu: dojrzał na ścianie szablę Konrada, której głowica iskrzyła się rubinami.

W mgnieniu oka zerwał ją z gwoździa—głowicę odłamał i schował w zanadrze — klingę odrzucił.

Zbudziło to w nim nowe myśli. Wziął się do przepatrywania kątów, do poszukiwania zdobyczy.

Zawiódł się. Prócz sprzętów ladajakich i szmat błyszczących a bezużytecznych, nie tam nie było do wzięcia.

Przepatrzył pierwszą izbę — też same pustki. Fortuna Zboińskich była nędzą błyszcząca, którą dopiero ożenek Konrada miał naprawić.

Mrucząc przekleństwa, przystąpił do trumny Zboińskiego — trzęsącą się ręką pozrywał guzy brylantowe z kontusza.

Z łupem wyszedł przez okno — w zaroślach przepadł.

Tejże nocy przepił wszystko „Pod wleczę“...

Nazajutrz rano znaleziono go wiszącego na drzewie przydrożnem.

VII.

Anioł śmierci objął rządy nad Warszawą.

Jęki dzwonów nie milkły na chwilę; pogrzeby szły za pogrzebami, a wszystkie ciągnęły traktem Zakroczyńskim, ku „Górze Szubienicznej“, gdzie urządzono cmentarz dla zapowietrzonych.

Nie pomogły suplikacye — Bóg nie osłonił Warszawy przed zarazą. Odwiecznym prawom musiało stać się zadość; na drzewie wojny musiał wyrosnąć i dojrzeć straszny owoc zniszczenia.

Mór zrodził się na pobojowiskach Cecory i Chocima. Setki tysięcy trupów ludzkich i zwierzęcych leżały tam bez pogrzebu. Koń i wielbłąd, wierny

i niewierny, bohater i tchórz, wszystko to pod odkrytem niebem tak samo rozkładało się, gniło, cuchnęło — sprowadzone przez śmierć do jednego miana: padliny.

Legendowa niewiasta, krwawą chustą powiewająca, przybyła do stolicy „Czarnym szlakiem“ — tą fatalną, ciałami ofiar umorzoną drogą, którą szli zawsze najwięksi wrogowie nasi: Turcy i Tatarzy. Choć pustoszyła w pochodzie wsie i miasta, umiała tak się zataić, że już pod murami samemu stała, a jeszcze o niej nie wiedziano.

Wybuch zarazy był nagły, piorunowy. W chwili, gdy zbudzona czynność zdobyła się na rozkaz okopania miasta przed wrogiem, już on w samym jego sercu gospodarował samowładnie.

Najpierw marli ludzie pojedynczo. To tu, to owdzie, ktoś, naizdrowszy do tego, padał nagle, jak mucha. Choroba trwała dwa, trzy dni; czasem w jednej dobie zabijała. Potem wymierały rodziny: albo samo potomstwo, albo sami rodzice, albo ci i tamci równocześnie. Później jeszcze śmierć wstęnowała do upatrzonych przez się domów, i nie wychodziła z nich, dopóki wszyscy mieszkańcy na marach się nie pokładli. Wreszcie mór wybijał — całe ulice.

Słyszaleś tylko: płacz dzwonów, nienia żałobne, dzwonki księży, roznoszących Oleje Świete, furkot czarnych chorągwi, litanie do świętego Benona, stłumione łkania, powstrzymywane jęki. Wystrzegano się głośnego płaczu, głośnych narzekań — nawet głośnej rozmowy. Wszyscy chodzili ze spuszczone-
mi głowami, szencac. Cała Warszawa była, jak dom, w którym leży śmiertelnie chory.

Król był już stary, żądza życia w nim przygasła. Chciał po raz pierwszy okazać się ojcem ludu, z ludem pozostać i wytrwać. Sądził też pewnie, że zara-

za uszanuje majestat, progów Zamku nie przestąpi. Ale gdy mu zachorowało i umarło dwóch muzyków z nadwornej kapeli, gdy śmierć sprzątnęła złotnika, pomagającego w jubilerstwie, a gdy doktor Katerla, leczący go doskonałemi pigułkami, niemal w chwili, gdy te pigułki podawał, padł powietrzem zabity — Zygmunt uciekł z rodziną, najpierw do Jazdowa, potem do Osiecka, wkońcu aż do Czemiernik na Podlasiu.

I znów — jak zawsze — *Antiqua Varsovia* ujrzała się sam na sam z nieszczęściem.

Nie poddała mu się jednak.

Z powietrzem wystąpił *magistratus* do walki, jak ze zwykłym najeźdźcą. Rajcowie uznali za najpilniejsze: miasto otoczyć wałem, po basztach zapasy kul i prochu powiększyć, bramy miejskie szczelnie pozamykać, na głównych drogach przy wjeździe do miasta urządzić „szlagi“, to jest rogatki.

Później dopiero pomyślano o czystości: o paleniu śmieci, uprzątanii nawozu, którego kupy tuż pod murami, a nawet w śródmieściu spokojnie leżały — o zamykaniu domów nierządnych i szynków.

Lud walczył z nieszczęściem na własną rękę i — na swój sposób. Odśpiewawszy głosem wielkim suplikacye, oraz pieśni do świętych: Benona i Rocha, szedł chwycić stare niewiasty i łowić obławą żydów. Wiadomo, że to ich „czarnoksięstwa“ są główną przyczyną moru. Stosy i haki szubieniczne nie próżnowały...

Śmierć miewa swoje kaprysy, upodobania, wstręty. Zaraz przy pierwszym wybuchu zarazy, ze szczególną zawziętością zwróciła się przeciw Łukasowi Drewnie, bratu nieboszczyka Melchiora. Człek sędziwy, wdowiec, miał za jedyne cel: dobro miasta, za jedyne szczęście: widok córek swych i wnucząt.

Najstarsza córka, dotąd nieopłakana, od lat kilku spoczywała w grobie; najmłodsza była panną. Ona to družbowiała przy niefortunnym i niedoszłym ślubie Hanusi i Konrada Zboińskiego. Średnia córka miała męża i troje dzieci. Po najstarszej zostało również dzieciątko jedno: śliczna, jak cherubinek, dziewczeczka — dziadka swego najczulsza pieszczota i największe umiłowanie.

W ciągu pierwszego tygodnia umarła córka zamężna, jej mąż i troje ich dzieci. Dom, według obowiązujących przepisów, „zamknięto na szkubel“ na drzwiach wymalowano farbą olejną wielki krzyż czarny, na znak, że od tego miejsca wszystkim stronić należy.

W drugim tygodniu umarł mąż najstarszej, nieżyjącej córki, najmłodsza zaś, z żalu i przerażenia, dostała obłędu. Starcowi pozostała już tylko jedna, ostatnia pociecha: sześciolatnia wnuczka.

W trzecim tygodniu grabarze zabrali wnuczkę. Łukasz Drewno, powróciwszy z ostatniego pogrzebu, rozłożył przed sobą wielki, w pergamin oprawiony zeszyt, i drżącym nieco piórem nakreślił na pierwszej karcie:

Virtus ad ardua tendit.

Sive vivimus, sive morimus, Domini sumus.

Potem, pomyślawszy trochę, ułożył i do tejże księgi wpisał następujące rymowane *credo*:

W Imię Twe Chryste, zostawam,
Śmierci się nic nie obawiam,
W Tobie me wszystkie pokładam ufanie,
Racz błogosławić, Jezu Chryste Panie.
Amen.

Lucas Drewno

Vicogerens Antiquae Varsoviae m. p

<http://rcin.org.pl>

Noc całą przepędził na modlitwie. Nazajutrz poszedł na Ratusz, wprost do izby „Sądowej“, gdzie, pod brązowym posągami Sprawiedliwości, siedział burmistrz w otoczeniu rajców.

Powstali na jego widok; każdy miał na ustach wyrazy współczucia i pociechy.

Drewno nikomu nie dał przyjść do słowa.

— „Powietrznego“ macie? — krótko, twardo zapytał.

Jan Korb, który był podówczas burmistrzem Starej Warszawy, odrzekł żałośnie:

— Bogać tam! Nikt się do urzędu onego nie kwapi. I nie dziw: nie urząd to, jeno męka a niewola. Któżby chciał własnowolnie kłaść na się okowy?

— Jeśli się wam godzę, mnie weźcie.

Wymawiali się od przyjęcia ofiary, nalegali na starca, żeby pomyślał raczej o odpoczynku, o załóżnieniu ran własnego krwią opływającego serca. Nie ustąpił.

Tegoż dnia Łukasz Drewno został ogłoszony „burmistrzem powietrznym“.

Burmistrz powietrzny, tylko na czas zarazy ustanawiany, był opiekunem i sługą całego miasta. Chorych leczył, umarłych grzebał, żywych pocieszał, biednych wspomagał — utrzymywał ład i karność w rozprzegającym się, skutkiem nieszczęść, społeczeństwie. Idąc pierwszy w ogień, narażał co minuta zdrowie i życie.

Starzec, któremu zaraza zabrała całą rodzinę, to znaczy: wszystek blask i wszystką siłę gasnącego już żywota, nie uciekł przed groźnym widmem na puszcę, do celi klasztornej lub do grobu samobójczego. Wyciągnionymi ramionami przygarnął do piersi całe miasto ukochane; wszystkich współobywateli ojcem się uczynił.

— Wy odtąd — rzekł — stajecie się rodziną moją; was osłaniać i bronić jest jedynym życiem mego celem...

Takich mężów rodziła *Antiqua Varsovia*.

Spodziewano się, że morowi, który narodził się w jesieni, kres położy zima. Nie spełniły się te nadzieje. Zima z roku 1624 na 25 nie była ani trochę polską zimą. Ciepła, ślimacza, zgniła, pełna mgieł brudnych i niezdrowych wyziewów, zdawała się przeniesioną z innych krajów, z pod obcego nieba.

Styczniowe i lutowe przymrozki przytłumiły chwilowo zarazę — ale już w marcu wypełzła z zasadzki z poprzednią zjadłością, a w kwietniu z całej Warszawy uczyniła w połowie szpital, w połowie cmentarz.

Wyjątkowo krwawa musi być walka, w której główni wodzowie padają. A wówczas tak właśnie się stało. Jakby od jednego zamachu kosi, położyli się równocześnie burmistrz Starej i Nowej Warszawy: Jan Korb i Jan Bucefał. Opróżnione stanowiska zaraz zapełniono — lęk wszakże padł na wszystkich, nie wyłączając najwyższych, z pozoru najsilniejszych.

Już nietylko na padole, lecz i na szczytach śmierć czyniła szczyrby. Szeregi patrycyatu warszawskiego przeredzały się. Dygnitarze świeccy i duchowni, pospołu z biednym, wyrobniczym tłumem zaludniali smutne pustkowia pod „Górą Szubieniczną“. Nikt jednak stanowiska nie porzucił, nikt nie shańbił się dezercją.

Coraz więcej czarnych krzyżów zjawiało się na bramach i murach kamienicznych. Już były całe ulice zagrodzone palisadami, zabite na „głucho“. Aby odłączyć chorych od zdrowych, zaczęto ich wynosić na Kępę Polkowską.

Przy pierwszej wyprawie w głąbię kępy wysłań-

cy natknęli na spróchniałą rudere, a w niej na szczątki ludzkie. Pod wałącą się ścianą, w gąszczu chwastów, które go do połowy zakrywały, siedział w długiej do kostek koszuli trup szlachcica, wybawiciela Jagi, z duchami swych dzieciak niegdyś obcującego. Zwłok, na kość wyschniętych, nie tknęły zwierzęta ani owady. Trup wydawał się żywym człowiekiem, a raczej ożywionem widmem, które za chwilę wstanie i natrętników z samotni swej wypędzi...

Wysłańcy uciekli, a Horlemes, który miał tę sprawę powierzoną sobie przez magistrat, kazał szalasy dla chorych zbudować na samem pobrzeżu Kępy.

Wystąpiło niebawem zwykle potomstwo zarazy: głód, nędza, rozboje.

Sprawy publiczne szły zwykłym trybem, bo one u nas zawsze i nad wszystkim górowały, ale w handlu i rzemiosłach panował zastój zupełny. Bogatsi przetrzymywali go dzięki zapasom, w lepszych czasach zgromadzonym; bieda chleba powszedniego dotknęła.

Namnożyło się żebraków. Tłumy ludzi wyblądłych, półnagich snuły się po mieście, wyciągając ręce, mrużąc głosem ponurym prośby, często groźbom podobne. Ludziom dostatniej wyglądającym niebezpiecznie było zapuszczać się w boczne uliczki. Otaczała ich tam zaraz kupa obdartusów, ściskając, szarpiąc, do kieszeni i do gardła sięgając. Jeśli milicya miejska nie przyszła napadniętemu z pomocą, zabierano mu mieszek z pieniędzmi, ściągano z palców sygnety, niekiedy i odzież kosztowniejszą z pleców.

Atmosfera grozy wisiała nad miastem, nakształt ciężkiego, duszącego oparu. W tej atmosferze legły się widma i potwory. Nie tylko ludzie gorączkujący, lecz i zdrowi miewali widzenia. Często w mgle przedporannej albo w ognistych łunach zachodu ukazywa-

ła się ludowi „dziewica morowa“. Niekiedy idąca pustym placem niewiasta padała nagle na kolana, i drżąc całym ciałem, z oczyma konwulsyjnie przewróconemi, krzyczała: „Homen!... homen!...“ Tłum się zbiegał — jedni drugim pokazywali unoszące się w powietrzu straszne, krew mrozące zjawisko. Na wozie, zaprzężonym w końskie szkielety, jechał kościotrup w czarnej płachcie — dokoła wozu tańczył, rzucał się, podrygiwał korowód trupów ludzkich i zwierzęcych.

Ulegały rozkładowi nietylko ciała, lecz i dusze. Pojawili się obdzieracze trupów; pojawili się naśmiewcy, urągający powadze i świętości śmierci. W dyaryuszu współczesnym zapisano o nich: „Nieprzystojnie chowali ciała ludzkie, szaty ściągnięte z nich przedawali, w domach brali zapowietrzonych nieprzystojnie i pośmiechy rozmaite z umarłych czynili“...

Z tem wszystkim mocować się musiał Łukasz Drewno.

Walczył mężnie, jak bohater i jak święty — bywały jednak chwile, że mu sił brakło, że pod ciężkiem brzemieniem ugięty, czuł się blizkim upadku.

Wówczas Bóg wejrzał na sługę swego i zesłał mu dwoje młodych silnych sprzymierzeńców: Hanusię i Krzysia.

VIII.

Krzyś i Hanusia tworzyli teraz jedno. Widywano ich zawsze razem, zawsze przy sobie. Byli zaś ciągle na oczach ludzkich, bo się sługami ludzi uczynili.

Stara Drewnowa pobłażliwie na to patrzyła. Zmieniły się okoliczności i zmienił się pogląd ambitnej mieszczanki na wiele spraw i ludzi. Czego nie do-

puszczonoby „sławetnemu“ Dąbkowi, to musiał mieć sobie dozwolone Dąbek „szlachetnie urodzony“.

Krzyś był już szlachcic prawy; nobilitacyę jego publicznie ogłoszono. Nikt zaś nie mógł go przezywać „skartabella“, miał bowiem szlachectwo nie świeżo nadane, lecz przywrócone. Był szlachcic z ojca i dziada.

Powrócił z jasyru biedny, zwątpiały, nie wiedząc, czem będzie, ani nawet czem jest właściwie w chwili obecnej. Przywłókł się do miasta o samej północy; nieśmiało do Dworku Bocianiego zakolał. Kołatanie powtarzać musiał kilka i kilkanaście razy, zanim nareszcie drzwi mu otwarto.

Brat przywitał go uściskiem gorącym ale krótkim, i zaraz wystąpił z przestrogą:

— Uważ, miły Krzychu, że spanie to sprawa nie-małej wagi. Mnie, gdy śpię, wolno budzić jeno: Grecie mojej i — pachółkom marszałkowskim. Gdy przeto znajdziesz się jeszcze kiedy w podobnej, jak dziś, okazji, przybycie swe do dnia białego odłóż.

Wskazał Krzysiu postanie i sam natychmiast do pościeli wrócił.

Krzyś położył się spać jako nędzny, bezdomny pielgrzym, pełny smutku i zniechęcenia — zbudził się szlachcicem, bogaczem, otoczonym czcią i miłością.

Petrus Quercus opiekował się mieniem brata, jak swem własnem. Choć upewniano go, że brat w jasyrze zginął, że jest szaleństwem w powrót jego wierzyć — działu jego nie tknął i do śmierci za nietykalny uważać go postanowił. Nie pomnożył mienia Krzysiewego, bo nie miał po temu zdolności, lecz go i nie uszczuplił. Wielka fortuna Krzysia powróciła doń w całości.

Więcej jednak, niż fortuną i szlachectwem, ucie-

szyl się młody Dąbek wiadomością o swym wrogu i współzawodniku.

— Hanusia wolna... wolna... wolna... — powtarzał sobie po sto razy na godzinę, nie mogąc się nacieszyć dowolni melodyą tych słów, słodyczą tej myśli.

Pierwsze jego wyjście z domu było do Fary, do cudownego Pana Jezusa. Poszedł, nie przebierając się, w lachmanach pielgrzymich, z brodą po pas, z napoły bosemi, okaleczonemi stopami. Krzyżem leżał długo, w piersi się bił i płakał. W łzach roztapiała się, ze łzami spływała wielka gorycz jego serca, wielka tęskność jego sieroczej duszy.

Dopiero w kilka dni później odważył się pójść do Drewnów. Poszedł z sercem zamierającym, czując, że dąży po wyrok życia lub śmierci.

Przyjęto go nadspodziewanie dobrze. Znalazł w domu smutek, żalobę — ale znalazł także spojrzenia życzliwe, ośmielające, słowa przyjazne, budzące otuchę. Obejście się Drewnowej wskazywało, że już z jej serca dawna niechęć ustąpiła. Wobec śmierci Zboińskiego a nobilitacyi Dąbka-inaczej być nie mogło.

W Hanusi zauważył zmianę. Była piękniejsza jeszcze, ale jakby wyanielona. Czoło miała do nimbusa, barki do skrzydeł, ręce do palmy męczeńskiej. Twarz jej, w pierw jednostajnie alabastrową, ożywił teraz prześliczny, różany rumieniec; oczy silnie błyszczwały, nie opuszczając się, jak dawniej, ku ziemi, lecz patrząc prosto przed siebie, a często ku niebu się podnosząc.

Wielka, duchowa piękność ukochanej czyniła Krzysia nieśmiałym — przygnębiała go prawie.

Ale Hanusia, razem z wyanieleniem wewnętrznem, nabrała wielkiej prostoty w obejściu się,

w słowach. Tą prostotą podniosła i zmeźniła młodzieńca.

Niewiele słów poświęcono osobistym smutom i osobistym nadziejom. Już w stolicy panował mór; już groza wisiała nad wszystkimi. Rozmowa rychło na ten przedmiot przeszła.

Hanusia przeprosiła gościa — z przywołaną służebną zaczęła przygotowywać się do wyjścia. Kładły obie do woreczków: flaszeczki, słoiki, bieliznę, odzież, pożywienie.

Nagle panienka do Krzysia się zwróciła:

— Pomnisz waszność one słowa święte: „Potrzeba, abyśmy się społem znosili“...

— „Społem cieszyli, społem ratowali, i napominali“ — dokończył młodzieniec tchem jednym.

— Chodź przeto, dokąd idę. Społem pełnić będziemy dzieło boże.

Poszedł i odtąd już codziennie razem chadzali.

Hanusia stała się aniołem opiekuńczym cierpiących. Żadna postać nędzy i bólu nie była dla niej straszna ani wstrętna. Nie czyniła wyboru pomiędzy nędzarnicami; nie cofała się przed niczem; na nic oczu nie zamykała. Razem z nią wchodziło wszędzie światło, wchodziła anielskość. Najciemniejszą norę rozjaśniał blask, bijący od jej oblicza; barłóg Hiobowy przy niej i od niej nabierał świętości ołtarza.

Chorzy dostawali od niej lekarstwa, umierający modlitwę, głodni pożywienie, nadzy odzież. Sieroty od trumien rodzicielskich zabierała do siebie, potem, pieniędzmi opatrzwszy, dawała dobrym ludziom na wychowanie. Wdowców i wdowy oraz osieroconych przez śmierć dzieciaków rodziców krzepiła słowami mądrości, które budziły w nich moc do dalszego, samotnego żywota. Gdzie były ręce zwieszane bezradnie, zajęła je robotą; gdzie warsztat bezczynnie

stanął, w ruch go wprawiła; gdzie zagasło ognisko, roznieciła je na nowo.

Cichej ongi dzieweczce Bóg udzielił daru wymowy. Gorącemi, natchnionemi słowy tyleż działała, co jałmużną i czynnem miłosierdziem. Wiedziała wszakże, gdzie kończy się moc słowa, gdzie zaczyna potęgą czynu. Codziennie wychodziła z domu z pełnym mieszkciem; wracała bez jednego denara.

Bogactwem, odziedziczonem po ojcu, mogła była zarządzać dowolnie — oddawała je bez liczby biednym. W miłosierdziu, ręka jej była szczodra i rozrzutna.

Pracowała w znoju ciężkim od świtu do nocy. Pożywiała się naprędce, byle czem i byle jak. Sen mało mógł ją pokrzepić — większą część nocy zabierała jej modlitwa. Gardziła wszelką wygodą cielesną. Sypiała na twardej desce — pewnie nawet we włosienicy.

A przecie kwitła. Kwitła, jak lilia i jak róża. Twarz miała zawsze rumianą, oczy błyszczące. Stałym wyrazem jej oblicza była błogość. Błogość płynęła z przeświadczenia, że odnalazła swą drogę właściwą, swe przeznaczenie — siebie samą...

Krzyś czynił wszystko, co czyniła Hanusia. Przystał zupełnie żyć dla siebie. Bliźni był dlań wszystkim, zwłaszcza bliźni cierpiący. Ile tylko zysku przynosiła mu fortuna, obracał to na jałmużny. Oswoił się z widokiem chorych, konających i umarłych. Do najnędzniejszej posługi był każdej chwili gotowy, gdy tylko wiedział, że ona przyniesie ulgę cierpiącemu.

Mieszczanie, widując ich zawsze razem, nazywali: bratem i siostrą. Doszło to do ich uszu i zadowolenie im sprawiło. — „Czemużbyśmy sami tak się zwać nie mieli?“ — rzekli sobie. Byli już zresztą wpisani do „Bractwa Miłosierdzia“, które ksiądz Skarga przy kościele Ś. Jana założył.

Odtąd Hanusia mówiła do Krzysia: „bracie“. Jemu za każdym razem chóry anielskie śpiewały w duszy: „Hosanna!“...

Rozmawiali mało — nigdy zaś o sprawach osobistych, powszednich.

Jednego dnia Hanusia nad siły się uznoila. Pot ją oblał, nogi jej drżały; zbliżał się wieczór, a ona od rana nic w ustach nie miała. Mimo to postanowiła iść jeszcze na „Rybitwę“, gdzie w opuszczonym domu leżeli zapowietrzeni, nikt zaś nie mógł im dać rątku, gdyż magistrat uliczkę palisadą zagroził. Krzyś zaczął energicznie upominać dziewczeczkę, żeby wracała do domu posilić się, odpocząć. Zatrwożony o ukochaną, starał się ją przekonać, że przeciw woli bożej postępuje, narażając zdrowie i życie...

— Co mówisz, bracie! — wykrzyknęła. — Aza nie wiesz, jako święta Małgorzata, królowa szkocka, w pierw dwudziestu czterech ubogich, własną ręką, obsłużyć i nakarmić musiała, zanim do obiadu siadła? A rannego posiłku nie tknęła, póki dziewięciorga sierrotek nie odziała, nie dopilnowała w pacierzach i nie posiliła. Jakież zaś był sen tej świętej pani? Przed północą, z pierwszego snu zrywała się na jutrznię — odmawiała godzinki o Świętej Trójcy, o Świętym Krzyżu, o Matce Bożej, potem wigilie za umarłych i Psalterz calusieński. Ledwie dniało, szła ubogim niewiastom nogi umywać i jałmużnę dawać. Do nocy nie ustawała w pracy, w znoju, w posługach. A ty chcesz, bracie, żebym ja czyniła sobie odpoczynki, gdy bliźni bez pomocy umierają?!...

Takich przykładów miała zawsze pełno w myśli i na ustach.

Niekiedy, mając chwilę wytchnienia, spowiadała się towarzyszowi z pragnień swych i rojeń.

— O! jakżebym chciała posiadać moc świętej Maryi z Egni, która nie jeno krzyżem świętym, lecz samem dotykaniem ręką leczyła! Jakże byłabym szczęśliwa, gdybym mogła, jak ona, z objawienia bożego widzieć niebezpieczeństwo grożące duszom od czarta, i pomagać onym modlitwą, postem i upomnieniem!

Ubolewano raz przed Hanusią, że kapłanów kilku i kilku członków Bractwa Miłosierdzia, posługujących chorym, zaraziło się i zmarło. Krzyś wyraził obawę, że i w Warszawie zbraknąć może posługi—zwłaszcza gdy ludzie miłosierni bez uwagi i pamięci narażać się będą na niebezpieczeństwo.

— Zaniechajcie swych obaw, ludzie ducha małego! — rzekła panienka. — Nie słyszeliścież o wielkiej zarazie w Siennie, gdzie posługę przy zapowietrzonych bractwo Panny Maryi czyniło? Na tej posłudze umarło braci dwudziestu i dwóch, sióstr ośmnaście, kapłanów dziewięciu, kleryków pięciu, aptekarzy, co leki chorym przyrządzali, siedmiu, czeladzi do grubszej posługi sześćdziesięciu. Przełożony zatrwożył się, że mu członków zabraknie, do Pana Boga o pomoc wołał. I tejsze chwili ofiarował mu się do posługi święty Bernardyn, młodzianek dwudziestoletni, za nim przyszło siła innych, i bractwo pozyskało tylu członków, że mu na każdą potrzebę wystarczali.

Jakby na potwierdzenie tych słów, Hanusi przybył wkrótce świeży, niezmiernie użyteczny współpracownik.

Był nim doktor Novi.

IX.

„Czarny Doktor“ nie chadzał razem z Krzysiem i Hanusią. Ale ile razy był potrzebny, zawsze zjawiał się przy nich — z pod ziemi, rzecz można, wyrastał.

Był to mąż średnich lat; ubierał się z włoska, poważnie i wykwiwnie; sam też poważny był i wykwiwny. Nadzwyczaj oszczędny w słowach, zamknięty w sobie, chmurny, zdawał się wyższy nad ludzi powszednich, obojętny dla nich—obcy zarówno ich radościom jak troskom.

Niewielu już było tych, co go pamiętali z lat dawnych. O tem, że z Zamku, od króla uciekł, że był pilnie poszukiwany i przez umyślnych „kursorów“ goniony, doszczętnie już zapomniano. A jednak łatwy był do poznania. Dwadzieścia trzy lat, które ubiegły od owych czasów, ani trochę go nie zmieniły.

Nikt nie wiedział, skąd przybywa, gdzie mieszka, dokąd po dniu pracowitym odchodzi. Na jego czarnej odzieży nie widziano nigdy pyłu, na obliczu zmęczenia — z jego ust nie wybiegała nigdy głośna skarga, ani ciche westchnienie.

Bano się go — i czczono. Czynił ludziom wiele dobrego, z pobudek, które trudno było odgadnąć. Nie wzruszał się, nie rozrzewniał; marmurową twarzą przyjmował dziękczynienia i przekleństwa.

Hanusia, która w żadnym wypadku nie traciła anielskiej pogody ducha, przy nim jednym czuła się zakłopotaną.

— Meczy mnie ten człowiek... — zwierzyła się raz Krzysiu.

Zaraz jednak dodała:

— Ale i pociąga ku sobie.

Dla Krzysia doktor Novi był od początku drażniącą zagadką. Pamiętał go dobrze z lat chłopięcych, ze spotkania nocnego w zamkowych korytarzach. Ale pojąć nie mógł, jakim sposobem lata ubiegłe śladu na nim nie zostawiły — nie wypisały jednej zmarszczki na obliczu, nie pobieliły jednego włoska na głowie i brodzie?

Ze wspomnieniem chłopięcem mieszały się inne, późniejsze. Grand hiszpański z Rynku warszawskiego, rudy korsarz z Gdańska, pielgrzym z pod Chocima, wszystkie zagadkowe postacie, co mu w życiu drogę zachodziły, miały ten sam wyraz oblicza, toż samo znamię wyniosłej obojętności, które „Czarnego Doktora“ czyniły tak bardzo podobnym do posągu...

Z wątpliwościami swemi zwierzył się Hanusi.

— Bracie! — rzekła panienska — co ciebie dręczy jako wątpliwość, dla mnie jest prawie pewnością. Nasz doktor i ów, co mię z klasztoru zabrał i pod dach rodzicielski przywiódł, zdają mi się też samą personą. Ciągnie mię drugdy na *szwie* mu się rzucić, ręce ucałować i łzami oblać... A wždy milczę i zdala sie trzymam, tak mię mrozi chłód, co odeń wieje.

Krzyś zamyślił się. Po chwili spytał:

— Jesteś pewna, siostró, że to mąż święty?

— Pewnam, że świętobliwy — z przekonaniem odrzekła.

— Mnie się zda wielce uczony.

— Nie jeno uczony. Sama uczoność nie zrodzi dzieł, jakie on mocen czynić.

Rozmowa urwała się. Znać było, że jedna i druga strona wiele w niej nie dopowiedziały.

Lud warszawski nazywał włocha w oczy: cudotwórcą, za oczy: czarodziejem. Mówił o nim, że nawet umarłych wskrzeszać potrafi, żaden zaś chory, przez niego leczony, nie umrze.

Byłóż to prawdą? Ależ w takim razie skądżeby się brały procesy pogrzebów, ciągnące od świtu do zmierzchu ku Górze Szubienicznej?

Jedno było pewne: że Czarny Doktor zawsze wyleczał tego, kogo chciał wyleczyć. Na nieszczęście, nie zawsze chciał. Pod tym zaś względem, woli jego

zmienić nie mogły żadne prośby, dary, zaklęcia. Nawet przed prośbami Hanusi nie ustąpił.

Wogóle jego stosunek do chorych był bardzo niezwykły. Zanim przystąpił do leczenia, poddawał pilnemu egzaminowi otoczenie chorego. Dopytywał o jego stosunki rodzinne i zawodowe, o charakter, o obyczaje, o opinię, jaką ma u bliźnich. Dopiero na podstawie zebranych wiadomości osądzał: czy podjąć się leczenia, czy je komu innemu pozostawić?

Gdy zgodził się leczyć, wówczas odchodził na stronę i modlił się gorąco. Skończywszy modlitwę, mówił:

— Siła moja jest ze mną. Uzdrowię tego człowieka.

Kazał wszystkim odstępować od łóża — sam na sam z chorym pozostawał. W krótkim czasie chory uczuwał znaczne polepszenie; po kilku dniach wstawał zupełnie zdrowy.

Czem i jak Czarny Doktor leczył, pozostawało dla wszystkich tajemnicą. To wszakże pewne, że nie używał żadnych zgoła lekarstw. Co dziwniejsze, i co prostaczków w najwyższe podziwienie wprawiało, nie posługiwał się też żadnymi znakami kabalistycznymi. Pewien krzyż kształtu niezwykłego, który nosił zawsze przy sobie, był w jego ręku raczej symbolem, niż talizmanem.

Pewnego razu rozżalona Hanusia wymawiała mu — niemal strofowała go — że zamiast wszystkich leczyć, wybiera tylko niektórych. Odpowiedział:

— Ani ja czynię wybór, ani ja uzdrawiam. Bóg spełnia przeze mnie jedno i drugie. Bóg też wie najlepiej: kto na ziemi pozostać ma, a kto zbyteczny.

Zbytecznych było snać wielu, bo Warszawa wydłubiała się w sposób przerażający.

Brakło już lekarzów do niesienia pomocy; brakło księży do jednania z Bogiem; brakło nawet „kopców“ do trupów grzebania.

Największe wysiłki Hanusi i Krzysia szły na marne, jakby im Bóg przestał błogosławić.

I przyszła na świątobliwą panienkę chwila duchowego omdlenia. Nie trwała w niem wszakże długo, a ocknąwszy się i ducha nabrawszy, rzekła do towarzysza:

— Modliłam się do Boga i jeszcze modlić się będę, aby obdarował mnie łaską, której dostąpił był święty Makary.

— Jakaż ona, siostrze? — zapytał Krzyś z niepokojem.

— Gdy w mieście Gandawie panowało powietrze, święty Makary prosił Pana Boga, aby mu pozwolił cierpienia innych przyjąć na siebie. Dla zadośćuczynienia gniewowi Pańskiemu, życie swoje ofiarowywał. Ofiara została przyjęta. Święty, temże powietrzem zarażony, po trzydniowych ciężkich mękach życie zakończył. Z Gandawy zasie powietrze ustąpiło.

Krzysiewi łzy wielkie w oczach stanęły — milczał jednak...

X.

W samo południe jednego dnia skwarne Hanusia, ciężko spracowana, szła ku domowi, aby posilić się nieco i spocząć. Ślaniającą się ze znużenia podtrzymywał Krzyś — inaczej, pewnieby upadła. Mimo to, była zadowolona, prawie wesoła. Udało się jej wyrwać ze szpon śmierci dzieciak kilkoro, dla niemowlątek zaś najwięcej miała zawsze miłości i współczucia.

Co kilka kroków panienska zatrzymywała się.

Odwróciwszy głowę, posyłała spojrzenie pełne wdzięczności postępującemu w pewnym oddaleniu Czarnemu Doktorowi. Doktor był dziś łaskawszy, niż zwykle: żadnej prośbie nie odmówił, szedł wszędzie, dokąd go wezwano.

Już byli blisko kamienicy Drewnowskiej, gdy im drogę zabiegła kobieta stara, w łachmanach. Starucha z lamentem głośnym opowiadała, że komornica u strażnika wieżowego oraz jej wnucząt dwoje ciężko zachorzeły, że od wczoraj leżą w gorączce, przez wszystkich opuszczeni, bez lekarstwa, bez posiłku, bez kropli wody...

Hanusia bez namysłu rzekła:

— Prowadźcie, dobra niewiasto.

I nie zważając na uwagi Krzysia, ramię nawet jego odsunawszy, udała się za przewodniczką, w stronę przeciwną domowi.

Dąbek i Doktor, radzi nie radzi, poszli jej śladem.

Kobieta przeszła kilka ulic, minęła Zamek, i wzdłuż muru miejskiego, ścieżką wyboistą, pełną śmieci, chwastów i kamieni, wiodła ich ku Wiśle.

Po dość długiej przeprawie, podczas której trzeba było ciągle patrzeć sobie na stopy, aby nogi nie wykręcić, lub w fosę nie wpaść, przewodniczka zatrzymała się.

— To tu, proszę łaski wielmożnego państwa — jęczącym głosem obwieściła.

Podnieśli głowy.

Nad nimi wielką, pękatą, brudno - czerwoną masą sterczała — Baszta Narożna.

Krzyś zadrżał. Po dwudziestu trzech latach wracał tam, skąd wyniósł pamięć najuroczystszej i najsmutniejszej chwili żywota.

Nie było czasu na rozpamiętywanie. Starucha wązkim, niskim otworem wprowadziła ich do wnętrza

Baszty. Po stromych, ceglanych stopniach, wśród mdlącego zaduchu zgnilizny iść musieli pod górę.

Po kilku chwilach znaleźli się w dużej, ponurej izbie, która, mimo pory południowej, była prawie ciemna. Krzyś ze wzruszeniem rozejrzał się dokoła.

Ściany izby były jakby krwią skrzeplą powleczone; skośne jej okienka zdawały się zezem na świat patrzeć. Wysokiego pułapu prawie wcale widać nie było. Zwieszały się stamtąd sploty grubych sznurów, jak z szubienicy.

Tak, to była ta sama izba.

Brakło w niej tylko Dorotki i jej dziecięcia...

Na barłogu, w kącie, leżała staruszka woskowożółta, trupowi żyjącemu podobna. W pobliżu niej, na gołej, ceglanej podłodze, tarzało się dwoje. Babka jęczała głucho; wnuczęta na cały głos krzyczały.

Hanusia pozdrowiła chorych imieniem bożem i zaraz przy pomocy Krzysia i przewodniczki do roboty przystąpiła.

Barłóg został nakryty prześcieradłem czystym; w drugim kącie izby urządzono pościółka dla dzieci. Opuchnięte, rozpalone twarze obmyto chorym chłodną wodą; napojono ich i nakarmiono. Krzyś po drabince, która się w kącie znalazła, dostał się do wysokiego okna, otworzył je, świeżego powietrza od Wisły wpuścił.

Teraz dopiero obejrzano się za doktorem.

Nie było go w izbie...

Zafrasowała się Hanusia.

— O innym lekarzu pomyśleć nam trzeba... — rzekła półgłosem do Krzysia. — U naszego jużemy w niełasce.

— Coś do niego przystąpiło—zauważył Krzyś.— Rzucił nas, nie pożegnawszy.

— Bóg z nim! My przecie rąk nie opuszczajmy.

Sięgnęła do woreczka, gdzie miała leki najpotrzebniejsze. Dała chorym mikstury uśmierzającej gorączkę, dała maści do smarowania nabrzmiałych pod pachami gruczołów. Zawiesiła im na szyjach medaliki z wyobrażeniem świętych: Rocha i Benona, patronów od morowej zarazy.

Na ścianie, w miejscu najświetlejszem, gdzie smuga słonecznego blasku z okienka wpadała, przybiła mały krucyfiks.

Czyściej, jaśniej zrobiło się w izbie. Powiało na nią tchnienie powagi, ładu, świętości. Jęki i krzyki ucichły. Przez kilka chwil było słycać szept modlitwy; potem i on rozplynął się w powietrzu.

Chorzy zasnęli.

Hanusia nie odchodziła. Krzątała się po izbie, wydając polecenia starej posługaczce. Zostawiła jej zapas leków i żywności, dała pieniędzy — potem ją wyprawiła na miasto po lekarza.

Uczyniwszy wkońcu znak krzyża nad chorymi, do Krzysia się zwróciła:

— Chodźmy, bracie...

Ale Krzys, który siedział na niskiej ławce pod oknem, tak był w myślach zatopiony, że wezwania nie słyszał.

Powtórzono je raz, drugi — również bezskutecznie.

Panienka podeszła do towarzysza, ręką ramienia jego dotknęła.

On tę rękę ujął ostrożnie, ze czcią, jak się ujmuje klejnot niesłychanej wartości — usta swe do niej przybliżył — pocałował. Przy pocałunku, płaczem wybuchnął. Na żywy, ciepły alabaster, żyłkami błękitnymi oznaczony, upadły jego lzy gorące.

Głosem kornym, uroczystym i tak cichym, jak-

by z głębokości niezmiernej wypływał, poprosił pannę, aby usiadła i wysłuchała, co jej powie.

Hanusia instynktem dziewczym odgadła, że chwila jest ważna i święta. Zająła miejsce obok towarzysza, główkę ku niemu pochyliła.

On wówczas otworzył przed nią serce — w długim, przerywanem opowiadaniu wyjawiał jej tajemnicę Dorotki, jej dziecięcia — przysięgi, którą złożył, poszukiwań, które czynił, wątpliwości, które mu duszę szarpały...

Skończył namiętnem zaklęciem:

— Prze Boga i wszystkich świętych! dla pamięci tej, której dusza męczeńska z tego miejsca do nieba uleciała! powiedz, siostró najmilsza: jestżeś tą, której szukam i pragnę?

Ona milczała, z twarzą ukrytą w dłoniach, z pierśmi, jakaniem wstrząsaną.

— Hanuś moja! — wykrzyknął głosem prawie rozpaczliwym.

Odjęła ręce od twarzy i obie na szerokiej jego dłoni złożyła.

— Twoja!... — odrzekła, płaczem się zanosząc. Nic więcej ze sobą nie mówili.

Wstali i za ręce się trzymając, z izby wyszli. Wychodzili jak najciszej, żeby chorych nie zbudzić.

Gdy z ciemności na światło się wydostali i stanęli przed Basztą, rąk nie puszczając, wydawali się cudownie przemienieni. Twarze ich płonęły, oczy błyszcząły — blask bił od obojga.

Stali tak przez chwilę, dziwiąc się słońcu, że tak jasne, niebu, że tak lazurowe, drzewom, że się tak cudnie zielenią, ptactwu, że tak rozkosznie świergocze.

Nagle dobiegł ich płacz ludzki.

Rozejrzeli się dokoła — nie dostrzegli nikogo.

Płacz wszakże nie ustał.

Zawsze skłonni do współczucia, w tej chwili godowej stokroć silniej mu ulegali. Porozumieli się uściskiem i poszli szukać nieszczęśliwego.

Nie znaleźli go ani w sadzie warzywowym, co zielenił się w pobliżu, ani wśród cegieł i kamieni, których dwie sterty leżały niedaleko. Dopiero, gdy okrążyli Basztę, po przeciwnej stronie ukazał się im człowiek płaczący.

Na jego widok skamienieli z podziwu.

Pod starym, powyszczerbianym murem, z głową odkrytą, z rękoma załamane, z czołem o kamień opartem, z wyrazem bezgranicznej rozpacz w obliczu i w całej postaci, stał i płakał — Czarny Doktor.

Zrozumieli, że byłoby okrucieństwem zdradzać swą obecność. Cofnęli się po cichu, i w milczącej zadumie powrócili do miasta.

Krzyś odprowadził Hanusię do Drewnowej; sam udał się do swego dworku na przedmieściu, gdzie mieszkał od wiosny.

Przed wieczorem pójść mieli do Fary, na sesję Bractwa Miłosierdzia. Nie poszli jednak. U obojga wystąpiły w jednym czasie złowrogie objawy zarazy morowej.

Fatalna moc, z którą przez tyle miesięcy walczyli zwycięsko, i ich wkońcu dosięgła i zmogła.

Rozesłano gońców po lekarzy — po Nowiego przedewszystkiem.

Czarnego Doktora nie było nigdzie w obrębie murów miejskich. Po długim szukaniu znaleziono go za miastem. Siedział na kamieniu polnym, długą łaską kreślił na piasku dziwne figury.

Oświadczył wręcz, że nie będzie leczył ani Hanusi, ani Krzysia. Głuchy był na prośby i błagania,

obojętny na skarby, które mu ofiarowywali: z jednej strony Drewnowa, z drugiej Piotr Dąbek.

Wysłańcom, zewsząd go naciskającym, oświadczył tonem niewzruszonej stanowczości:

— Moc moja wyszła ze mnie. Zwyciężony przez ziemską miłość, zwyciężony przez ziemską boleść, nic już zdziałać nie mogę. Zresztą — dodał, głowę z rezygnacją pochylając — ofiara spełnić się musi...

XI.

Po trzech dniach szalonej, odbierającej przytomność gorączki Krzyś zbudził się jakby z letargu. Dozorczyńni spała — w komnacie było cicho.

Usiadł na pościeli; drżącą z osłabienia ręką ściągnął z trudem zasłonę, która okno zakrywała. Czuł się zupełnie przytomnym.

Wschodziło słońce — ogromne, żarem buchające, ognistemi obłoczkami, niby stadem ptaków złotopiórych, otoczone.

Wielka jasność olśniła chorego: musiał przymknąć oczy.

Zaledwie to uczynił, ujrzał się wśród wielkiej, bezkresnej, błękitno - złocistej przestrzeni, w której drżała przyciszona harf niezliczonych muzyka. Ubrany w szaty weselne, szedł po złotych obłokach naprzeciw Hanusi, która w białej, ślubnej sukni, z wiankiem na rozpuszczonych włosach, zbliżała się ku niemu uśmiechnięta, obie ręce mu podając...

O tej samej godzinie i minucie, w takich samych okolicznościach, także samo widzenie miała Hanusia. Szła naprzeciw Krzysia.

Zaraz po tem widzeniu, które ich ślubem mistycznym na całą wieczność złączyło — oboje pomarli.

XII.

Petrus Quercus napisał bratu swemu i niedoszłej bratowej „trefne“ epitafia. Potem żył jeszcze długo w Dworku Bocianim, miewając coraz młodsze Greta, coraz starsze wino i sycąc się, a nigdy nasycić nie mogąc, Horacym i Kochanowskimi.

Drewnowa, dogadzając swej próżności, wyszła za mąż za zubożałego, dwudziestoma laty młodszego od siebie szlachetkę, który fortunę jej roztrwonił, a ją samą porzucił.

Dokonała żywota w klasztorze Klarysek, na dewocy.

Wkrótce po pogrzebie Krzysia i Hanusi (w jednej mogile ich pochowano), Bramą Krakowską wyszedł z Warszawy pielgrzym. Był to starzec zgrzybiały, z wielkim orlim nosem, z głęboko zapadłymi oczyma, z brodą białą, jak mleko.

Wyglądał na dziadka tego pielgrzyma, co przed kilku miesiącami, pełen siły i dostojności, wstępował do kamienicy Drewnowskiej...

Koniec.

**INSTITUT
BADAŃ JĘZYKOZNAWczych**

Tel. 25-88-54, 25-81-31



INSTRYTUT
BAZAN I KOLEKCYJAN

Tel. 25-83 63 25-82 25-82 25-82



F
895